M. K.

GANDHI

AUTOBIOGRAFIA

DZIEJE MOICH POSZUKIWAŃ PRAWDY

TYTUŁ ORYGINAŁU: M.K. Gandhi *An Autobiography or The Story of My Experiments With Truth*

Copyright © Navajivan Trust. This book is published by the permission of Navajivan Trust, Ahmedabad – 380014 (India)

All rights reserved.
Copyright © 2013 Axis Mundi

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © The Granger Collection/FORUM
ZDJĘCIA: str. 5, 194 (z żoną), 260 – Getty Images/Flash Press Media, str. 14 (z bratem), 96, 374 – Rue des Archives/FORUM, str. 503 – Sueddeutsche Zeitung Photo/FORUM

WYDANIE V
ISBN: 978-83-61432-49-4
EAN: 9788361432494
E-BOOK: 978-83-61432-56-2

PRZEKŁAD: Józef Brodzki
REDAKCJA MERYTORYCZNA: Bożena Rubczyńska
REDAKCJA: Elżbieta Makowska
KOREKTA: Katarzyna Szajowska, Magdalena Swoboda
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

Polish language copyright © 2013 Axis Mundi
Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

WSPÓŁPRACA WYDAWNICZA: Aleja Róż, Katarzyna Majszczyk

M. K.

GANDHI

AUTOBIOGRAFIA

DZIEJE MOICH POSZUKIWAŃ PRAWDY

AXIS MUNDI

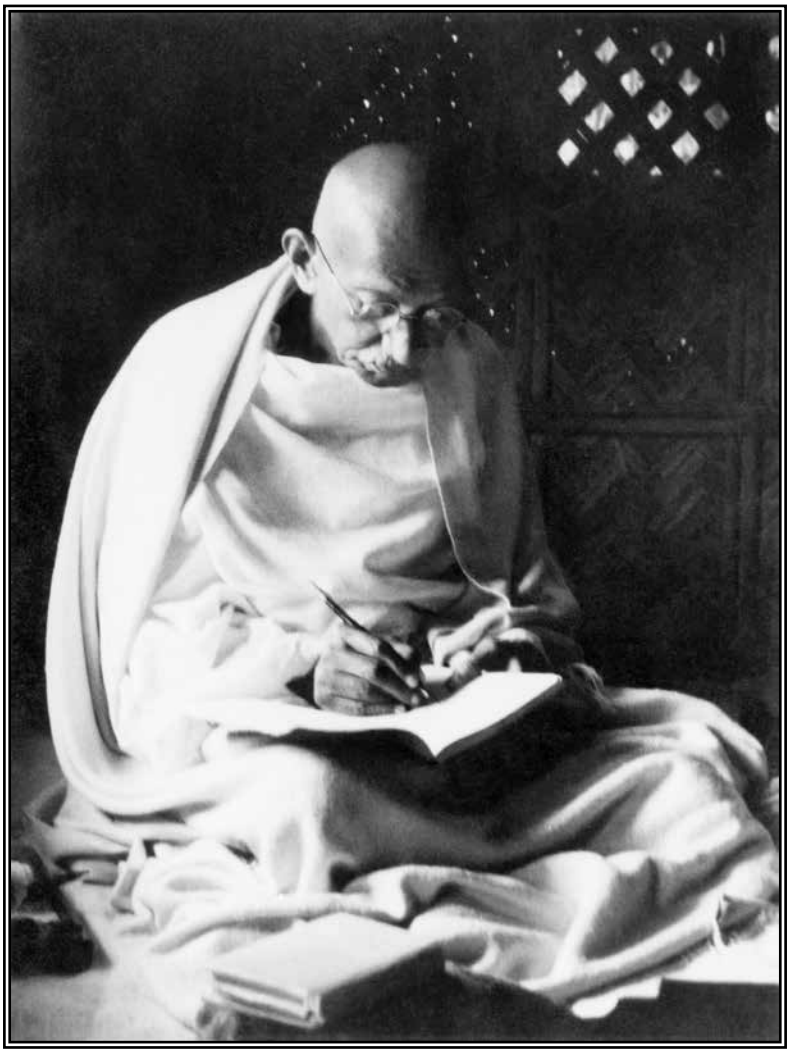

PRZEDMOWA

Przed czterema lub pięciu laty pod wpływem nalegań niektórych moich najbliższych współpracowników zgodziłem się napisać swoją autobiografię. Zacząłem więc pisać, wszakże zaledwie zdążyłem odwrócić pierwszą zapisaną kartkę, kiedy w Bombaju wybuchły rozruchy i praca moja uległa zatrzymaniu. Następnie przyszła cała seria wydarzeń, których kulminacyjnym punktem było uwięzienie mnie w Yeravda[1].

Dżeramdas, jeden z moich towarzyszy więziennych, prosił mnie, bym odłożył wszystkie inne prace i skończył spisywanie mego życiorysu. Odpowiedziałem mu, że zakreśliłem już pewien plan prac nad poznaniem siebie samego i że nie sądzę, bym mógł zająć się czymkolwiek innym, zanim tego nie wykonam. Mógłbym jednak zdążyć skończyć swą autobiografię, gdybym odsiedział całą karę w więzieniu; potrzebny mi był jeszcze rok do skończenia mego życiorysu, kiedy zostałem zwolniony.

Swami Anand ze swej strony wystąpił z taką samą prośbą, a wobec tego, że skończyłem opisywanie dziejów ruchu Satjagraha[2] w Afryce Południowej, nęciło mnie podjęcie pracy nad autobiografią dla „Navajivanu"[3]. *Swami* chciał, abym napisał oddzielnie do wydania książkowego – nie miałem jednak tyle czasu do rozporządzenia. Mogłem zaledwie co tydzień pisywać po jednym rozdziale. Coś trzeba było każdego tygodnia napisać dla „Navajivanu". Czyż nie mogłaby to być moja autobiografia? *Swami* zgodził się na mój projekt i oto zabieram się ostro do roboty. Wszelako mój głęboko wierzący przyjaciel żywił co do tego pewne wątpliwości, którymi podzielił się ze mną w „dniu milczenia".

– Czemu się wdajesz w tę awanturę? – zapytał mnie. – Pisanie własnego życiorysu jest raczej właściwe ludziom z Zachodu. Nie znam nikogo ze Wschodu, który by to robił, jeżeli nie liczyć tych, którzy ulegli wpływom zachodniego świata. I o czym chcesz pisać? Wyobraźmy sobie, że jutro odrzucisz poglądy, które dziś uważasz za niezłomne, lub też poddasz w przyszłości rewizji swoje dzisiejsze plany – czyż nie sprawi to, że ludzie postępujący zgodnie z tym, co głosi twoje słowo, bądź mówione, bądź pisane, będą się uważali za wprowadzonych w błąd?

---

1 Yeravda – więzienie brytyjskie, w którym Gandhi przebywał od 18 marca 1922 r. do 26 stycznia 1924 r.

2 Satjagraha – patrz cz. IV, rozdz. XXVI.

3 „Navajivan" (Nowe Życie) – miesięcznik kierowany przez Gandhiego. Wychodził w Ahmedabadzie w języku gudźarati.

Czy nie sądzisz, że rzeczą znacznie bardziej właściwą byłoby zaniechanie właśnie teraz pisania jakiejkolwiek autobiografii?

Ten argument wywarł na mnie pewne wrażenie. Ale moim zamiarem nie jest napisanie autentycznego własnego życiorysu. Pragnąłem po prostu opowiedzieć dzieje moich niezliczonych zmagań na drodze poszukiwania prawdy, a wobec tego, że całe moje życie jest w gruncie rzeczy tylko właśnie tymi poszukiwaniami, więc też odpowiada prawdzie, że cała opowieść będzie częściowo nosiła charakter autobiograficzny. Nie będę jednak miał nic przeciwko temu, by każda stronica mówiła jedynie o tych moich poszukiwaniach i zmaganiach, jakie toczyłem w imię prawdy.

Mam nadzieję, a może jedynie schlebiam sobie, żywiąc ją, że relacja o wszystkich tych poszukiwaniach może przynieść pewną korzyść czytelnikowi.

Moje doświadczenia w dziedzinie polityki są obecnie znane nie tylko w Indiach, lecz do pewnego stopnia całemu cywilizowanemu światu. Dla mnie osobiście nie mają one szczególnego znaczenia, a tytuł „Mahatma"[4] jaki mi zyskały, ma go jeszcze mniej. Ten tytuł sprawiał mi często głęboki ból i nie pamiętam takiej chwili, kiedy można byłoby powiedzieć, że był mi przyjemny. Natomiast bardzo chętnie gotów jestem opowiedzieć o wszystkich moich zmaganiach i poszukiwaniach w dziedzinie duchowej, o których wiem tylko ja, a które stały się źródłem tej siły, jaką rozporządzam, działając na polu polityki. Jeżeli te zmagania i poszukiwania mają charakter „duchowy", wtedy nie może być mowy o jakimś chwaleniu się z mojej strony – przeciwnie: przyczyniają się one jedynie do umocnienia mnie w skromności. Im bardziej bowiem zastanawiam się nad moją przeszłością i bliżej się jej przypatruję, tym mocniej odczuwam, jak daleko mi do doskonałości.

To, co pragnąłem osiągnąć, do czego dążyłem i co usiłowałem zdobyć w ciągu ubiegłych trzydziestu lat, zawarło się w pragnieniu poznania siebie samego, spojrzenia w oblicze Boga, w dążeniu do osiągnięcia *moksza*[5].

Żyję, działam, istnieję dla osiągnięcia tego celu. Wszystko, co czynię, bądź przemawiając, bądź pisząc, oraz wszystkie moje poczynania polityki zmierzają do tego samego celu. Wobec tego jednak, że zawsze utrzymywałem, iż to, co jest możliwe do osiągnięcia dla jednostki, jest również dostępne

4 Mahatma – wielki duchem.

5 *Moksza* – wyzwolenie od narodzin i od śmierci.

ogółowi, wszystkie moje poszukiwania prawdy prowadzone były nie w izolacji, lecz na oczach wszystkich. Nie sądzę, by ta okoliczność pomniejszała ich wartość duchową. Istnieją wszelako pewne sprawy, których poznanie jest dostępne wyłącznie jednostce oraz jej Stwórcy. Nie dadzą się one absolutnie przekazać. Poszukiwania, o których zamierzam opowiedzieć, nie mają tego charakteru. Są one natury duchowej albo raczej moralnej. Istotą bowiem religii jest moralność.

Do opowieści niniejszej włączone zostaną jedynie te sprawy dotyczące religii, które będą mogły być zrozumiane zarówno przez dzieci, jak i przez dorosłych.

Jeżeli zdołam opowiedzieć o nich w sposób beznamiętny i skromny, pomogą one wielu innym poszukiwaczom prawdy w ich dalszej drodze naprzód. Jestem bardzo daleki od nadawania tym poszukiwaniom jakichkolwiek cech doskonałości. Nie pretenduję do niczego innego, podobnie jak uczony, który przeprowadzając badania z maksymalną dokładnością, zdolnością przewidywania i skrupulatnością, nigdy nie wydaje ostatniego wniosku o swych osiągnięciach, lecz przygląda się im z całym krytycyzmem.

Poddałem się głębokiej samoanalizie, usiłowałem na każdym kroku odnajdywać siebie samego, każdą sytuację psychologiczną starałem się zbadać i zgłębić – a jednak daleki jestem od tego, by pretendować do nieomylności wniosków, do których doszedłem.

Pretenduję jednak do jednego, a mianowicie do tego, że moje wnioski wydają mi się bezwzględnie słuszne i – na razie – skłonny jestem uważać je za ostateczne. Gdyby było inaczej, nie mogłyby stanowić podstawy do jakiegokolwiek działania. W każdym przypadku stosowałem metodę przyjmowania lub odrzucania powziętych wniosków i postępowałem zgodnie z nią. Dopóki jednak moje postępowanie jest zgodne z moim rozumem i z moim sercem, muszę się mocno trzymać raz powziętych moich własnych wniosków.

Gdyby mi chodziło jedynie o rozważanie zasadniczych zagadnień, z pewnością nie próbowałbym pisać autobiografii, wobec tego jednak, że moim celem jest przytoczyć szereg różnych praktycznych wskazówek, jak stosować te zasady, więc też rozdziały, które zamierzam napisać, opatruję wspólnym tytułem: *Dzieje moich poszukiwań prawdy.*

Będą one zawierały moje zmagania i poszukiwania, o ile chodzi o niesprzeciwianie się złu, sprawę celibatu lub inne metody postępowania, jakoby niezależne od wierności zasadom prawdy. Moim zdaniem jednak, prawda jest

naczelną zasadą, skupiającą w sobie inne liczne zasady. Tego rodzaju Prawda polega nie tylko na wierności prawdzie w słowach, lecz również w myślach i dotyczy nie tylko względnej prawdy, tak jak my ją rozumiemy, lecz Prawdy Absolutnej, Zasad Odwiecznych, czyli pojęcia Boga.

Istnieją niezliczone definicje Boga, gdyż niezliczone są dowody Jego istnienia. Napełniają mnie one podziwem, czcią i na chwilę oszołamiają. Ale ja uznaję Boga jedynie jako najwyższe wcielenie Prawdy. Nie znalazłem Go jeszcze, ale wciąż Go poszukuję i gotów jestem na drodze tych poszukiwań złożyć w ofierze wszystko, co posiadam najdroższego. Nawet gdyby ta ofiara wymagała mego życia, sądzę, że byłbym gotów je poświęcić. Dopóki jednak nie zdołałem poznać Absolutnej Prawdy, muszę pozostać wierny względnej prawdzie, a więc takiej, jak ją sobie wyobrażam. Ta względna prawda musi być dla mnie – na razie – moją latarnią morską, moją tarczą i moim puklerzem. I chociaż obrana przeze mnie ścieżka jest stroma, wąska i niekiedy ostra jak ostrze brzytwy, dla mnie była ona jednak najkrótsza i najdogodniejsza.

Nawet moje błędy, wielkie jak Himalaje, wydały mi się fraszką, gdyż wiernie trzymałem się tej ścieżki. To ona ustrzegła mnie od poważnych kłopotów, szedłem więc naprzód zgodnie z prowadzącym mnie światłem. Niekiedy w posuwaniu się naprzód przytrafiały mi się chwile, gdy strwożonym spojrzeniem zdawałem się dostrzegać Absolutną Prawdę i Boga, wtedy z każdym dniem mocniej rosła we mnie pewność, że jedynie On jest czymś realnie istniejącym, wszystko inne zaś jest nierealne.

Niechże więc ci, którzy tego pragną, uprzytomnią sobie, jak bardzo to przeświadczenie brało we mnie górę, niech zechcą uczestniczyć w moich poszukiwaniach, a także – jeżeli potrafią – niech dzielą ze mną moją wiarę.

Następnym przeświadczeniem, którego nabrałem, było to, że jeżeli cokolwiek jest dostępne dla mnie, tym samym jest dostępne nawet każdemu dziecku. Miałem zresztą bezsporne powody, by tak twierdzić.

Środki, jakimi należy się posługiwać przy poszukiwaniu prawdy, są zarówno bardzo proste, jak i bardzo skomplikowane. Mogą się one jednak wydać wręcz nie do pomyślenia zarówno zuchwalcowi, jak i niewinnemu dziecku.

Człowiek poszukujący prawdy winien być skromniejszy od pyłu zaścielającego ziemię. Życie potrafi skruszyć proch pod jego stopami na najdrobniejszy pyłek, lecz poszukiwacz prawdy sam winien być tak skromny, że nawet ów pył jest w stanie go skruszyć. Tylko wtedy i dopiero wtedy dostrzeże on prawdę.

Dialog pomiędzy Wasiszthą i Wiszwamitrą[6] czyni to aż nadto oczywistym. Chrześcijaństwo oraz islam również w dostatecznym stopniu to potwierdzają.

Jeżeli cokolwiek z tego, co spisuję na tych kartkach, mogłoby urazić czytelnika, gotowego przyjąć je za dowód rozpierającej mnie pychy, niech raczej zechce uznać, że coś w moich dociekaniach się nie zgadza, a moje przelotne widzenia potraktuje jeno jako miraż. Niechaj zginą setki takich jak ja, lecz niech ostoi się Prawda. Nie uszczuplajmy zakresu prawdy nawet o włos, wydając sądy o pogrążonych w błędach śmiertelnikach, podobnych do mnie samego.

Mam nadzieję i wnoszę o to modły, by nikt nie zechciał uważać porad rozsianych w tych rozdziałach za autorytatywne. Opowiedziane tu poszukiwania prawdy powinno się rozpatrywać jako ilustracje, w świetle których każdy jest w stanie poczynić własne doświadczenia, zgodnie ze swoimi upodobaniami i umiejętnościami. Wierzę, iż w tym ograniczonym zakresie owe ilustracje mogą być doprawdy pożyteczne, nie mam bowiem zamiaru ani przemilczać, ani przeceniać żadnej z przykrych spraw, które muszą być opowiedziane.

Mam nadzieję, że czytelnik całkowicie pozna wszystkie moje błędy i pomyłki.

Moim celem nie jest bynajmniej powiedzieć, jak bardzo jestem dobry, lecz opisać swoje poszukiwania na drodze poznawania wiedzy o satjagraha. Wydając sąd o sobie samym, będę usiłował być równie bezwzględny, jak jest nią Prawda, oraz jakimi pragnę, by byli inni. Przykładając do siebie tę miarę, muszę zawołać wraz z Surdasem[7]:

Gdzie znaleźć nędznika
Bardziej niż ja zepsutego i obmierzłego?
Byłem tak wiarołomny,
Żem własnego wyrzekł się Stwórcy

Bo nieprzerwanym pasmem tortur dla mnie jest to, że wciąż jeszcze jestem daleki od Niego, który – dobrze wiem o tym – rządzi każdym tchnieniem mego

6 Aluzja do bardzo starej legendy opisującej rywalizację między Wasiszthą i Wiszwamitrą – dwoma wielkimi mędrcami.

7 Surdas (1483–1563) – poeta indyjski, autor *Sursagar* – zbioru poematów religijnych.

życia i którego jestem latoroślą. Świadom jestem tego, że złe uczucia trzymają mnie z dala od Niego, a przecież nie mogę się ich wyzbyć.

Muszę jednak już kończyć. Pozostaje mi jedynie podjąć niniejszą opowieść w rozdziale, który nastąpi później.

M.K. Gandhi
Aśram,
Sabarmati

26 listopada 1925 r.

CZĘŚĆ I

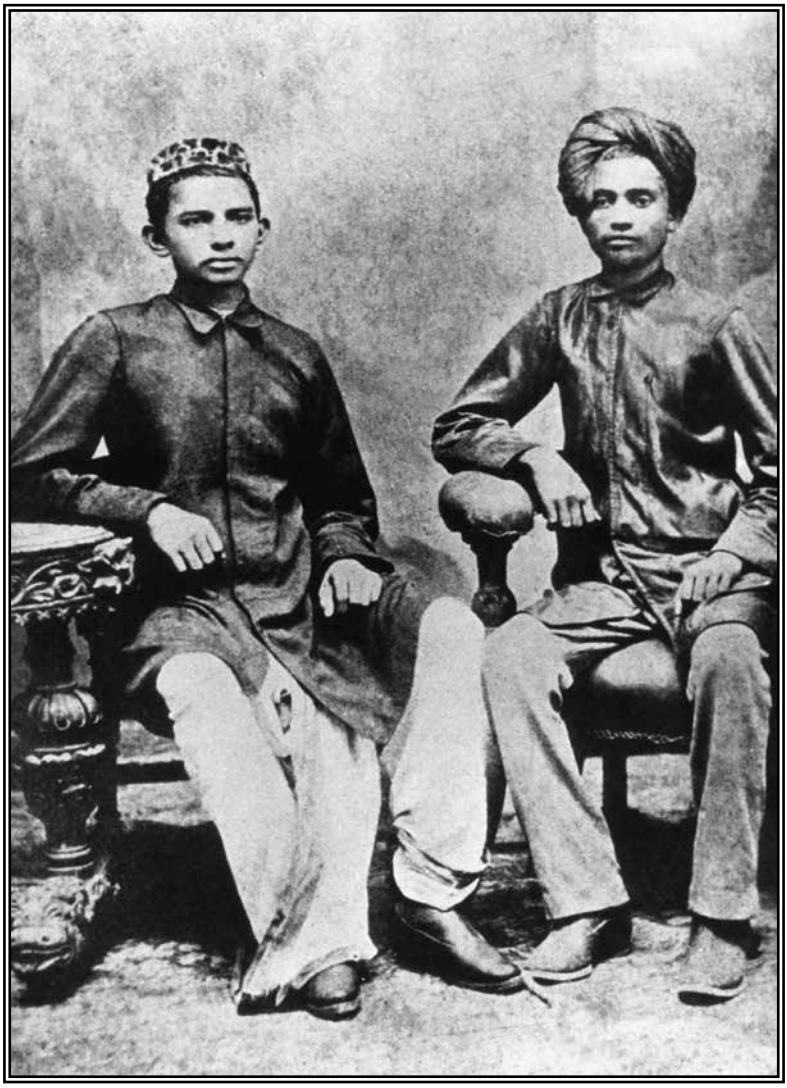

Ród Gandhich należy do kasty *bania*[8] i – jak się wydaje – wywodził się z kupców korzennych. Jednak od trzech pokoleń, począwszy od mego dziadka, byli oni premierami rządu w różnych księstwach Katiawadu[9].

Uttamczand Gandhi, czyli Ota Gandhi, mój dziadek, musiał być człowiekiem o surowych zasadach. Intrygi państwowe zmusiły go do opuszczenia Porbandaru[10], gdzie był diwanem[11], i schronienia się w Dźunagadh[12]. Tu powitał nawaba[13], unosząc do góry lewą rękę, a ktoś zwróciwszy uwagę na ten ostentacyjny afront, zażądał wyjaśnień, na co otrzymał następującą odpowiedź: „Prawa ręka jest na razie zajęta w Porbandarze".

Ota Gandhi, owdowiawszy, ożenił się po raz drugi. Z pierwszego małżeństwa miał czterech synów, a z drugiego – dwóch. Nie sądzę, abym kiedykolwiek w dzieciństwie odczuł lub bodaj wiedział, iż owi synowie Oty Gandhiego nie byli dziećmi jednej matki. Piątym spośród tych sześciu braci był Karamczand Gandhi, czyli Kaba Gandhi, szóstym zaś Tulsidas Gandhi. Obydwaj ci bracia byli kolejno, jeden po drugim, premierami rządu w Porbandarze. Kaba Gandhi był moim ojcem. Był on członkiem Trybunału w Radźasthanie[14]. Dziś nie istnieje on już, lecz w owych czasach stanowił bardzo wpływową instytucję służącą do likwidowania zatargów pomiędzy przywódcami a członkami ich klanów. Był on również przez pewien czas premierem w Radźkocie[15], a następnie w Wankanerze[16]. Gdy umierał, był emerytem państwa Radźkot.

Kaba Gandhi czterokrotnie zawierał związki małżeńskie, zostając raz po raz wdowcem. Miał dwie córki z pierwszego i drugiego małżeństwa. Jego ostatnia żona, Putlibai, urodziła mu córkę oraz trzech synów, z których ja byłem najmłodszy.

---

8 *Bania* – kasta drobnych kupców.

9 Katiawad – zachodnia część Indii, na północ od Bombaju, obecnie Mumbaju.

10 Porbandar – port w południowo-zachodniej części Katiawadu.

11 *Diwan* – premier w księstwach indyjskich.

12 Dźunagadh – księstwo w południowej części Katiawadu.

13 *Nawab* – w okresie panowania mogołów przedstawiciel władzy najwyższej, z czasem władca udzielny, książę.

14 Radźasthan – jedna z prowincji indyjskich, położona między Gudźaratem a Delhi.

15 Radźkot – księstwo w centrum Katiawadu.

16 Wankaner – księstwo na północ od Radźkotu.

Mój ojciec kochał swój klan, był mu wierny, odznaczał się odwagą i wielkodusznością, lecz był wybuchowy. Nie stronił od uciech cielesnych. Ożenił się po raz czwarty, kiedy był już po czterdziestce. Był niesprzedajny i zarówno wśród rodziny, jak i na zewnątrz zdobył sobie sławę swą niezłomną bezstronnością. Jego lojalność w stosunku do państwa była powszechnie znana.

Kiedy zastępca przedstawiciela rządu brytyjskiego obelżywie odezwał się o thakore sahebie[17] z Radźkotu, jego przełożonym, wówczas Kaba Gandhi stawił czoło owym obelgom. Tamten rozgniewał się i zażądał od Kaby Gandhiego, by go przeprosił, na co mój ojciec odpowiedział odmownie i w rezultacie został uwięziony na parę godzin. Kiedy jednak ów urzędnik zorientował się, że Kaba Gandhi jest nieprzejednany, wydał rozkaz uwolnienia go.

Mój ojciec nigdy nie pretendował do jakiegokolwiek gromadzenia majątku i pozostawił nam w spadku bardzo niewiele. Nie miał żadnego wykształcenia, prócz tego, które daje doświadczenie. Co najwyżej dałoby się o nim powiedzieć, że osiągnął piąty stopień w języku gudźarati. Znajomość historii i geografii była mu całkowicie obca, jednak bogate doświadczenie nabyte przy rozwiązywaniu praktycznych zagadnień dawało mu mocne podstawy przy rozstrzyganiu najbardziej zawiłych spraw oraz sprawowaniu władzy nad setkami ludzi.

Był też bardzo mało obyty ze sprawami religijnymi, natomiast reprezentował ten rodzaj kultury religijnej, którą wielu Indusów zdobywa dzięki częstemu odwiedzaniu świątyń i przysłuchiwaniu się dyskusjom na tematy religijne. U schyłku swego życia zaczął, na skutek nalegań pewnego zaprzyjaźnionego z rodziną wykształconego bramina, studiować księgi *Gity*[18] i zwykł podczas odprawiania codziennych modłów głośno recytować poszczególne wersety.

Dominującym wspomnieniem, jakie mi pozostało po matce, jest otaczająca ją aureola pewnej świętości. Matka była głęboko religijna. Nie zasiadłaby nigdy do spożywania posiłku bez uprzedniego odprawienia codziennych modłów. Odwiedzanie *haveli*[19] – świątyni poświeconej bogowi Wisznu – było jednym z jej codziennych obowiązków. Jak daleko sięga moja pamięć, nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek opuściła *Czaturmas*[20]. Składała najsurowsze

17 *Thakore saheb* – książę, pan.

18 *Bhagawadgita* – sławny poemat stanowiący fragment epopei sanskryckiej *Mahabharaty*. Jest to wykład doktryny religijnej, filozoficznej i podstawowy tekst religii hinduskiej.

19 *Haveli* – świątynia boga Wisznu, wisznuicka.

20 *Czaturmas* – ślubowanie postu lub półpostu podczas czterech deszczowych miesięcy.

ślubowania i spełniała je bez uchybień. Nawet choroba nie usprawiedliwiała zwolnienia od nich. Przypominam sobie, że kiedyś zachorowała w trakcie przestrzegania ślubowania *Czandrajana*[21], jednak zły stan zdrowia nie był wystarczającym powodem, by je przerwała. Poddanie się dwom lub trzem kolejno po sobie następującym postom nie było dla niej czymś niezwykłym. Podczas świętowania *Czaturmas* przyjmowanie jednego posiłku dziennie weszło jej w zwyczaj. Nie zadowalając się tym, matka moja pościła co drugi dzień w okresie jednego *Czaturmas.* Podczas innego *Czaturmas* złożyła ślubowanie nieprzyjmowania posiłków, zanim nie ujrzy słońca.

W owe dnie my, dzieci, staliśmy wpatrzeni w niebo, czekając, aż będziemy mogli oznajmić naszej matce ukazanie się słońca. Każdy wie, że w kulminacyjnych momentach pory deszczowej słońce często wcale się nie pokazuje. Przypominam sobie dnie, kiedy przy nagłym jego ukazaniu się biegliśmy do matki, by jej tę wiadomość oznajmić. Wtedy matka sama wybiegała z domu, by na własne oczy przekonać się o tym, tymczasem krótka chwila ukazania się słońca już zdążyła przeminąć, pozbawiając ją pożywienia.

– To nie ma znaczenia! – mówiła z pogodą ducha – widocznie Bóg nie chciał, bym dziś jadła. – Po czym wracała do swych domowych zajęć.

Matka moja była obdarzona wybitnie rozwiniętym poczuciem zdrowego rozsądku. Była doskonale poinformowana, gdy chodziło o wszystkie sprawy dotyczące państwa, a panie bywające na dworze wysoko ceniły jej inteligencję. Często, korzystając z przywilejów dzieciństwa, towarzyszyłem jej i wciąż jeszcze zachowałem w pamięci niektóre ożywione dyskusje, jakie moja matka prowadziła z owdowiałą matką thakore saheba.

Urodziłem się więc jako dziecko tych oto rodziców, w Porbandarze, znanym również pod nazwą Sudamapuri, dnia drugiego października 1869 roku. Dzieciństwo spędziłem w Porbandarze. Pamiętam, że posłano mnie do szkoły. Przebrnięcie przez tabliczkę mnożenia sprawiało mi znaczne trudności. Nie przypominam sobie z owych dni nic więcej niż to, że nauczyłem się wraz z innymi chłopcami nadawać naszemu nauczycielowi najróżniejsze przezwiska – świadczy to dobitnie, że moje zdolności umysłowe były raczej dość nikłe, a moja pamięć – niedojrzała.

---

21 *Czandrajana* – rodzaj postu, podczas którego dzienna porcja pożywienia ulega zwiększeniu lub zmniejszeniu, zależnie od ubywania czy też powiększania się tarczy księżyca.

II. DZIECIŃSTWO

Miałem zapewne około siedmiu lat, kiedy mój ojciec opuścił Porbandar dla Radźkotu, by zostać członkiem Trybunału w Radźasthanie. Zostałem tam oddany do szkoły i doskonale pamiętam zarówno te czasy, jak i nazwiska oraz wszelkie inne szczegóły dotyczące moich nauczycieli. Podobnie jak było w Porbandarze, tak i tutaj niewiele da się powiedzieć o mojej nauce. Byłem zaledwie przeciętnym uczniem. Z tej szkoły przeszedłem do podmiejskiej, a następnie do liceum – miałem już wtedy dwanaście lat. Nie przypominam sobie, abym w ciągu tego niedługiego okresu powiedział kiedykolwiek nieprawdę moim nauczycielom bądź kolegom. Byłem bardzo nieśmiały i unikałem towarzystwa. Książki i odrabianie lekcji zastępowały mi kolegów. Moim zwyczajem na co dzień było punktualnie przychodzić do szkoły, a później po skończeniu lekcji wracać co żywo do domu. Dosłownie biegłem ile sił, gdyż nie miałem dość śmiałości, by się odezwać słówkiem do kogokolwiek. Bałem się, że ktoś może sobie ze mnie zakpić.

W pierwszym roku uczęszczania do gimnazjum przytrafiło mi się podczas egzaminów pewne wydarzenie, o którym warto wspomnieć. Mister Gilles, inspektor oświaty, przybył na wizytację do naszego liceum. Dał nam pięć wyrazów, które mieliśmy napisać i wymawiać litera po literze. Jednym z tych wyrazów był *kettle* (czajnik). Literowałem go błędnie. Nauczyciel usiłował przyśpieszyć moją odpowiedź, szturchając mnie końcem bucika, ale mu się nie udało. Nie zorientowałem się, że nauczyciel daje mi do zrozumienia, abym ściągnął prawidłową pisownię z tabliczki mego sąsiada, przeciwnie – sądziłem, że obecność nauczyciela ma na celu przeszkodzenie nam w ściąganiu jeden od drugiego. Rezultat był taki, że wszyscy chłopcy prócz mnie napisali każdy wyraz całkiem prawidłowo. Tylko ja byłem tępy. Nauczyciel usiłował później oduczyć mnie tego braku bystrości, ale ja nigdy nie nauczyłem się ściągać.

To zdarzenie nie zdołało jednak w żadnym stopniu pomniejszyć szacunku, jaki żywiłem dla mego nauczyciela. Z reguły byłem ślepy na błędy popełniane przez starszych. Później poznałem wiele innych słabych stron tego nauczyciela, jednak moje poważanie dla niego nie uległo zmianie. Nauczyłem się bowiem wykonywać rozkazy wydawane przez starszych i nie krytykować ich postępków.

Dwa inne wydarzenia związane z tym samym okresem pozostały na zawsze w mojej pamięci. Z reguły nie lubiłem czytania jakichkolwiek innych książek poza podręcznikami szkolnymi. Moje codzienne lekcje musiały być sumiennie

odrobione, gdyż tak samo nie lubiłem zbytnio obarczać mego nauczyciela, jak i sprawiać mu zawodu. Dlatego też odrabiałem lekcje, ale rzadko poświęcałem im zbyt wiele uwagi. Toteż nawet kiedy lekcje nie były odrobione jak należy, nie było mowy o tym, abym przeczytał coś więcej poza tym, co było zadane.

Pewnego jednak razu wzrok mój padł na książkę kupioną przez mego ojca. Była to *Shravana Pitribhakti Nataka* (sztuka teatralna o przywiązaniu Śrawany do swych rodziców). Przeczytałem ją z ogromnym zainteresowaniem. W tym samym czasie do zamieszkiwanej przez nas miejscowości przybyli wędrowni aktorzy. Jedno z przedstawień, które widziałem, ukazywało Śrawanę dźwigającego ślepych rodziców przywiązanych rzemykami, kiedy odbywał wraz z nimi pielgrzymkę. Zarówno książka, jak i przedstawienie wywarły na mnie niezatarte wrażenie.

– Oto przykład do naśladowania! – powiedziałem do siebie.

Rozdzierające zawodzenia rodziców nad martwym ciałem Śrawany wciąż są świeże w mojej pamięci. Tkliwa melodia wzruszyła mnie głęboko, wygrywałem ją na „concertinie", którą kupił mi ojciec.

Przytrafiło się jeszcze jedno podobne wydarzenie, mające związek z innym przedstawieniem. W tym oto czasie otrzymałem zezwolenie ojca na zobaczenie przedstawienia odgrywanego przez zespół aktorów dramatycznych. Sztuka ta, nosząca tytuł *Hariśćandra*[22], podbiła moje serce. Mógłbym na nią patrzeć bez końca. Lecz czyż często mogłem otrzymać pozwolenie na oglądanie jej? Musiałem więc niezliczoną ilość razy odgrywać ją dla siebie samego.

„Czemu – zapytywałem siebie dniem i nocą – wszystko nie jest tak samo prawdziwe jak dla Hariśćandy?"

Postępować zgodnie z prawdą i przejść przez te wszystkie próby, jakim poddał się Hariśćandra – oto co było przyświecającym mi ideałem. Uwierzyłem dosłownie w dzieje Hariśćandry. Sama myśl o nim przyprawiała mnie o łzy. Mój zdrowy rozsądek powiada mi dziś, że Hariśćandra nie mógł być postacią historyczną. Jednak obaj – Hariśćandra i Śrawana – są dla mnie żyjącymi postaciami i jestem przekonany, że gdybym dziś przeczytał te sztuki, byłbym tak samo głęboko wzruszony jak wtedy.

22 *Hariśćandra* – bardzo popularna legenda w Indiach, przedstawia króla Hariśćandrę, męczennika prawdy.

III. MAŁŻEŃSTWO DZIECIĘCE

Nie mam zbyt wielkiej ochoty do napisania tego rozdziału i wiem, że w trakcie tej opowieści będę miał niejedną gorzką pigułkę do przełknięcia. Nie mogę jednak postąpić inaczej, jeżeli chcę uchodzić za człowieka, który przede wszystkim uznaje prawdę. Obowiązkiem, który mi sprawia sporo przykrości, jest opowiedzenie, jak wstąpiłem w związki małżeńskie, mając trzynaście lat.

Kiedy patrzę na młodzież mającą tyleż, co ja wtedy, lat, a pozostającą dziś pod moją opieką, wzbiera we mnie uczucie litości dla siebie samego oraz cieszę się z tego, że oni uniknęli losu, który mnie spotkał. Nie widzę żadnego moralnego argumentu na poparcie potrzeby zawierania tych zdecydowanie przedwczesnych małżeństw.

Chcę jednak ustrzec czytelników przed popełnieniem błędu: zostałem ożeniony, nie zaś zaręczony. Gdyż w Katiawadzie przestrzegane są dwa różne obyczaje: zaręczyny i małżeństwo. Zaręczyny są uprzednim przyrzeczeniem ze strony rodziców chłopca i dziewczyny, iż oboje zawrą związek małżeński, przy czym przyrzeczenie to nie jest nienaruszalne. Śmierć chłopca nie czyni wdową dziewczyny. Jest to porozumienie zawarte wyłącznie pomiędzy rodzicami i dzieci nie mają z nim nic wspólnego. Często nie są nawet o tym powiadamiane. Okazuje się, że – nic nie wiedząc o tym – byłem trzykrotnie zaręczony. Opowiedziano mi, że dwie dziewczyny, które zostały wybrane dla mnie, umarły jedna po drugiej, stąd też wiem, że byłem trzy razy zaręczony. Natomiast jak przez mgłę przypominam sobie, że obrządek moich trzecich zaręczyn odbył się, kiedy miałem siedem lat. Nie pamiętam jednak, by mnie o tym powiadomiono.

W niniejszym rozdziale opowiadam o swoim małżeństwie, którego dzieje najdokładniej sobie przypominam.

Wypada jeszcze raz nadmienić, że było nas trzech braci. Najstarszy był już żonaty. Rodzina postanowiła ożenić jednocześnie średniego brata, który był starszy ode mnie o dwa, trzy lata, naszego kuzyna, starszego mniej więcej o rok, i mnie. Przy powzięciu podobnej decyzji bynajmniej nie brano pod uwagę, czy to będzie z korzyścią dla nas, jeszcze mniej liczono się z naszą wolą – była to po prostu sprawa wygodna dla rodziny, no i pewna oszczędność.

Małżeństwa wśród hindusów nie są czymś prostym. Bardzo często rodziny narzeczonej i narzeczonego doprowadzają się przez nie do ruiny. Traci się majątek, marnuje czas. Przygotowania trwają nieraz całe miesiące – chodzi o szycie

strojów i ozdób, o gromadzenie środków na ucztę weselną. Jedni starają się prześcignąć drugich liczbą i rozmaitością przygotowanych potraw. Kobiety obdarzone głosem, czy też nie, ćwiczą się w śpiewie aż do zachrypnięcia, czasami nawet zapadają na zdrowiu i zakłócają spokój swoim sąsiadom. Ci z kolei spokojnie znoszą wszystkie niewygody i wrzaski, wszystkie brudy i nieporządki, wiedząc, że przyjdzie czas, kiedy oni sami będą musieli zachować się w podobny sposób.

Toteż dorośli w mojej rodzinie byli zdania, że najlepiej będzie, jeżeli załatwią to wszystko za jednym zamachem. Wydatki będą mniejsze, a efekt – większy. Łatwiej jest bowiem narazić się na wydatki, skoro się wie, że będą jednorazowe, a nie trzykrotne. Mój ojciec i stryj byli już starzy, a my byliśmy ostatnimi ich dziećmi, które należało ożenić. Możliwe również, że chcieli po raz ostatni w życiu zabawić się jak należy. Wszystkie te względy zadecydowały więc o tym, że miała się odbyć potrójna uroczystość weselna i – jak już wcześniej powiedziałem – przygotowania do niej trwały od paru miesięcy.

Otóż jedynie dzięki tym przygotowaniom my, chłopcy, zostaliśmy zawczasu powiadomieni o zbliżających się wydarzeniach. Nie sądzę, by wtedy oznaczało to dla mnie coś ponad perspektywę otrzymania nowego odzienia, walenia w bęben, uczestniczenia w pochodzie weselnym, wzięcia udziału w obfitych ucztach weselnych i pozyskania obcej mi dziewczyny do zabawy. Cielesne potrzeby przyszły później. Chciałbym właściwie ukryć za kurtyną uczucie wstydu, jakiego wtedy doznawałem, podając jedynie parę szczegółów zasługujących na to, by o nich opowiedzieć. Wrócę zresztą do nich później, chociaż one również mają mało wspólnego z zasadniczym celem, dla którego podjąłem się opisania całego tego wydarzenia.

A więc mój brat i ja zostaliśmy przywiezieni z Radźkotu do Porbandaru. Przytrafiło się również parę zabawnych szczegółów poprzedzających moment kulminacyjny obchodu, jak między innymi to, że wysmarowano nam całe ciało wonnymi olejkami, sporządzonymi z żółcienia – ale wolę raczej pominąć te szczegóły.

Chociaż mój ojciec był diwanem, jednak był sługą państwa, tym bardziej że cieszył się względami thakore saheba, a ten nie chciał mu aż do ostatniej chwili pozwolić wyjechać. Kiedy wreszcie przystał na to, kazał sporządzić dla mego ojca specjalne furgony, dzięki czemu podróż została skrócona o dwa dni. Los chciał jednak, by się stało inaczej. Porbandar jest odległy od Radźkotu o sto dwadzieścia mil, podróż końmi trwa pięć dni. Mój ojciec odbył ją wprawdzie w ciągu trzech, ale powóz wpadł na trzeci furgon i ojciec został ciężko poraniony. Na miejsce przybył cały obandażowany.

Zarówno jego, jak i nasze zainteresowanie nadchodzącymi wydarzeniami osłabło, ale uroczystości weselne musiały się odbyć. Czyż można było odłożyć datę ślubu? Jednak w swojej chłopięcej uciesze z racji mającego się odbyć wesela zapomniałem o smutku, jaki powinny były we mnie wzbudzić obrażenia mego rodziciela.

Wprawdzie byłem bardzo przywiązany do moich rodziców, ale nie mniejszą przyjemność sprawiały mi wszelkie uciechy cielesne. Dopiero później dane mi było poznać, że szczęście i wszelkie przyjemności winny być złożone w ofierze i zastąpione czcią dla rodziców. I oto, jak gdyby kara za moje pragnienie uciech, przytrafiło się coś, co na całe życie pozostało w mojej pamięci i o czym opowiem później.

Niszkulanand[23] śpiewa: „Wyrzeczenie się przedmiotów bez wyrzeczenia pragnień ma krótki żywot, choćbyś nie wiem jak mocno do tego dążył…". Ilekroć sam śpiewam tę pieśń lub słyszę, jak ją śpiewają, w mojej pamięci uparcie powraca to przykre wydarzenie i napełnia mnie uczuciem wstydu.

Mimo odniesionych obrażeń mój ojciec zachował się bardzo dzielnie i wziął udział we wszystkich uroczystościach weselnych. Dziś jeszcze, kiedy o tym pomyślę, widzę miejsce, na którym siedział podczas różnych faz obchodzonej uroczystości. Anim przypuszczał wtedy, że nadejdzie dzień, gdy będę surowo osądzał mego ojca za to, że ożenił mnie, jeszcze dziecko, ale wtedy wszystko wydawało mi się w największym porządku, właściwe i zabawne. Zresztą, sam miałem wtedy ogromną ochotę ożenić się, a wszystko, cokolwiek czynił naonczas mój ojciec, nie mogło podlegać żadnym zastrzeżeniom.

Wszystko to żywo zachowało się w mojej pamięci. Dziś jeszcze widzę siebie, jak siedzimy na naszym weselnym tronie, jak wykonujemy ceremoniał *Saptapadi*[24], jak my, nowo poślubieni małżonkowie, kładziemy sobie wzajemnie do ust kawałki słodkiego kansaru[25], jak rozpoczynamy wspólne pożycie. I – ach! – ta pierwsza poślubna noc! Dwoje niewinnych dzieci wbrew swojej woli zostało rzuconych w ocean życia. Żona mojego brata pouczyła mnie, jak mam się zachować w pierwszą noc poślubną. Nie wiem, kto uświadomił moją żonę. Nigdy jej o to nie pytałem ani nie mam zamiaru czynić tego obecnie. Czytelnik może być pewny, że oboje byliśmy zbyt zdenerwowani, by móc spojrzeć na siebie.

23 Niszkulanand – poeta piszący w języku gudźarati, żyjący na początku XIX w.

24 *Saptapadi* – siedem kroków, jakie narzeczeni wykonują razem, składając równocześnie ślubowanie wierności i oddania.

25 *Kansar* – placek pszenny, który nowo poślubieni spożywają po zakończeniu uroczystości.

Byliśmy poza tym ogromnie nieśmiali. Jak przemówić do niej i co jej powiedzieć? Całe uprzednie pouczenie niewiele mi się przydało, gdyż w takich przypadkach raczej przydaje się brak wszelkich pouczeń. Świadomość tego, w jaki sposób przyszliśmy na świat, czyni wszelkie uświadamianie zgoła zbytecznym. Stopniowo coraz lepiej poznawaliśmy się nawzajem, rozmawialiśmy ze sobą bez skrępowania. Byliśmy w jednym wieku. Nie uczyniłem jednak nic, by zapewnić sobie autorytet małżonka.

IV. ZABAWA W „MAŁŻONKA"

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wstąpiłem w związek małżeński, ukazały się niewielkie broszury, w cenie jednej piastry (nie pamiętam dokładnie), w których omawiano sprawy miłości małżeńskiej, oszczędności, małżeństw zawieranych w wieku dziecięcym lub podobne tematy. Ilekroć wpadły mi w ręce, czytałem je od deski do deski. Przywykłem zapominać o tym, czego nie lubiłem, i wprowadzać w czyn to, co mi odpowiadało. Zawarta w tych książeczkach dozgonna wierność żonie, jako jeden z obowiązków małżonka, pozostała w mym sercu na zawsze. Ponadto żywiłem niepohamowane umiłowanie prawdy, a jakiekolwiek uchybienie jej było dla mnie czymś wręcz nie do pomyślenia. Zresztą, w tym wczesnym okresie życia było bardzo niewiele sposobności, bym mógł nie dochować jej wiary.

Owa lekcja wierności miała jednak również swoje nieprzewidziane skutki „Jeżeli – mówiłem do siebie – nawołuje się mnie, bym dochował wierności mojej żonie, winno się i ją wezwać, by mi była wierna". Te myśli uczyniły ze mnie zazdrosnego małżonka. Obowiązki ciążące na mojej żonie zamieniły się we mnie w prawo domagania się od niej wierności i jeżeli chciałem obstawać przy tym prawie, musiałem pilnie i uparcie stać na jego straży. Nie miałem wprawdzie najmniejszego powodu, by podejrzewać moją żonę o wiarołomstwo, ale zazdrość nie czeka na dowody. Musiałem bacznie pilnować każdego jej kroku, nie wolno jej było wychodzić gdziekolwiek bez mojego pozwolenia. Stało się to powodem gorzkich sprzeczek pomiędzy nami.

Ograniczenie swobody poruszania się było – właściwie mówiąc – więzieniem, a Kasturbai nie była dziewczyną, która by się zgodziła znosić coś podobnego. Kategorycznie zażądała dla siebie prawa wychodzenia, kiedy będzie chciała i dokąd zechce. Im bardziej ograniczałem jej swobodę poruszania się, tym większej

domagała się dla siebie wolności, a ja coraz bardziej sprzeciwiałem się temu. I oto my, dwoje poślubionych sobie dzieci, przywykliśmy całymi dniami nie zamieniać ze sobą słowa.

Sądzę, że stawianie przez Kasturbai żądań udzielenia jej wolności, wobec stosowanych przeze mnie ograniczeń, było rzeczą wręcz niewinną. Jakże mogła dziewczyna pozbawiona wszelkiej przebiegłości ulegać zakazom chodzenia do świątyni lub odwiedzania przyjaciół? Jeżeli ja uzurpowałem sobie prawo zabraniania jej czegokolwiek, czemu jej nie miały przysługiwać te same prawa? Dziś to wszystko jest dla mnie oczywiste, ale wtedy chodziło mi przede wszystkim o zdobycie autorytetu „małżonka".

Niech jednak czytelnicy nie sądzą, że życie nasze składało się wtedy z samych przykrości… Cała moja surowość miała przecież swe źródło w miłości. Pragnąłem uczynić z mej żony idealną małżonkę. Ideałem moim było stworzenie dla niej życia pełnego prawości, nauczenie jej tego, czego się sam uczyłem, wreszcie upodobnienie jej życia i myśli do moich.

Nie jestem pewien, czy Kasturbai miała podobne ambicje. Była analfabetką. Była prosta, miała niezależne, konsekwentne usposobienie, a wobec mnie była małomówna. Brak wykształcenia nie przygnębiał jej i nie przypominam sobie, by moje studia kiedykolwiek dodawały jej ochoty zakosztowania tego samego. Mam jednak wrażenie, że wszystkie moje ówczesne ambicje były dość jednostronne i koncentrowały się w jednym kierunku, a mianowicie widziałem w mojej żonie jedynie kobietę i pragnąłem tylko wzajemności. Jeżeli jej nawet nie było, nie stanowiło to dla mnie nieszczęścia, a to dlatego, że przynajmniej jedna strona była pochłonięta czynną miłością.

Muszę przyznać, że kochałem ją namiętnie. Nawet w szkole nie przestawałem myśleć o niej, a świadomość tego, że oto znów zapadnie noc i będziemy razem, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Rozłąka była nie do zniesienia. Przywykłem rozmawiać z nią do późnej nocy, a gdyby tej pożerającej mnie namiętności nie towarzyszyło jednocześnie nieugięte poczucie ciążących na mnie obowiązków, byłbym niewątpliwie albo wpadł w chorobę i umarł przedwcześnie, albo zaczął prowadzić życie pełne udręki. Wszakże z góry powzięte, codzienne zobowiązania musiały być spełniane każdego ranka, a oszukiwanie przeze mnie kogokolwiek w ogóle nie wchodziło w rachubę. To właśnie uchroniło mnie od wielu czyhających na mnie pułapek.

Powiedziałem już, że Kasturbai była analfabetką. Bardzo pragnąłem uczyć ją, ale moja miłość pełna pożądania nie pozostawiała mi na to czasu. Nauka

musiała jednak mieć miejsce, nawet wbrew jej woli, często w nocy. Nie śmiałem spotykać się z nią w obecności osób starszych, a tym bardziej rozmawiać z nią w ciągu dnia. W Katiawadzie obowiązywał w owych czasach, a nawet istnieje obecnie, swoisty i barbarzyński zwyczaj *purdah*[26]. Okoliczności były więc niesprzyjające temu. Muszę jednak wyznać, że większość moich wysiłków uczenia Kasturbai, gdy oboje byliśmy jeszcze młodzi, się nie powiodła. Kiedy zaś ochłonąłem z mocy zmysłów, którym ulegałem, wpadłem zaraz w wir życia społecznego, które pozostawiało mi bardzo mało wolnego czasu. Nie udało mi się również nauczyć jej czegokolwiek za pośrednictwem prywatnych nauczycieli i w rezultacie Kasturbai z trudem potrafi dziś skreślić parę nieskomplikowanych liter i czyta jedynie najprostsze słowa języka gudźarati. Jestem przekonany, że gdyby moja miłość dla niej nie miała tak bardzo zmysłowego charakteru, moja żona byłaby dziś wykształconą kobietą. Potrafiłbym przemóc jej niechęć do nauki, bo nie ma przecież rzeczy niemożliwych dla prawdziwej miłości.

Wspomniałem tylko o jednej okoliczności, która w mniejszym lub większym stopniu ocaliła mnie od katastrofy popadnięcia w odmęty wyłącznie zmysłowej miłości. Warto jednak dodać do tego jeszcze jedno słowo. Liczne przykłady przekonały mnie, iż Bóg ocala w końcu tego, kto kieruje się prawymi pobudkami.

Obok okrutnego zwyczaju zawierania ślubów pomiędzy dziećmi, w społeczeństwie indyjskim istnieje jeszcze inny obyczaj, który do pewnego stopnia pomniejsza zło wyrządzane przez poprzedni. Oto rodzice nie pozwalają młodym małżeństwom na zbyt długie przebywanie razem. Żona – prawie dziecko – przeważną część czasu spędza u boku swego ojca. Podobnie było z nami. Czyli można powiedzieć, że w ciągu pierwszych pięciu lat naszego małżeństwa – a więc od trzynastego do osiemnastego roku życia – razem spędziliśmy najwyżej trzy lata. Nie minęło sześć miesięcy, kiedy byliśmy razem, a już przychodziło wezwanie ze strony rodziców mojej żony, by powróciła do nich. Wtedy te wezwania były niepożądane, ale one ocaliły nas oboje.

Kiedy miałem osiemnaście lat, wyjechałem na studia do Anglii, co oznaczało długi i zbawienny dla mego zdrowia okres rozłąki. Nawet po moim powrocie z Anglii rzadko byliśmy razem dłużej niż sześć miesięcy. Musiałem być w ciągłych podróżach pomiędzy Radźkotem a Bombajem. Później zostałem

26 *Purdah* – słowo pochodzenia perskiego, oznacza zasłonę. W Indiach panował zwyczaj zamykania kobiet w oddzielnej części domu, co oznaczało separację od życia zewnętrznego, będącego udziałem wyłącznie mężczyzn. Oznaczało to także noszenie zasłon przez kobiety.

wezwany do Afryki Południowej i ta okoliczność ostatecznie uwolniła mnie od potrzeby zaspokajania pożądań cielesnych.

V. W LICEUM

Powiedziałem już, że kiedy się ożeniłem, byłem uczniem liceum. Wszyscy trzej moi bracia chodzili do tej samej szkoły. Najstarszy był oczywiście o parę klas wyżej od reszty, a średni brat, ten, który jednocześnie ze mną wstąpił w związek małżeński, był tylko o jedną klasę wyżej ode mnie. Dla każdego z nas małżeństwo oznaczało stratę jednego roku w nauce szkolnej. Dla jednego z moich braci skutki były jeszcze gorsze, gdyż w ogóle zrezygnował z dalszej nauki. Któż zdoła obliczyć, ilu młodzieńców uległo tej samej co on pokusie. Dopiero obecnie w naszym społeczeństwie nauka i małżeństwo mogą iść w parze.

Kontynuowałem więc naukę. W liceum nie uważano mnie za tępego i zawsze cieszyłem się względami nauczycieli. Każdego roku posyłano rodzicom ocenę moich postępów w nauce i mojego sprawowania. Dostawałem nawet nagrody, przechodząc do następnych oddziałów. W czwartym i szóstym otrzymałem stypendia: jedno wynosiło cztery rupie, drugie – dziesięć, które raczej zawdzięczam sprzyjającemu mi szczęściu aniżeli posiadanym wiadomościom.

Stypendia nie były dostępne dla wszystkich, lecz zarezerwowane jedynie dla najlepszych uczniów, pochodzących z okręgu Sorath w Katiawadzie. W owych zaś czasach w klasach liczących od czterdziestu do pięćdziesięciu uczniów nie było takich wielu.

O ile sobie przypominam, nie miałem zbyt wysokiego mniemania o własnych zdolnościach. Często byłem nawet szczerze zdziwiony, otrzymując nagrody i stypendia. Zazdrośnie jednak stałem na straży własnej godności. Najmniejsza uraza wyciskała mi łzy z oczu. Było dla mnie czymś nie do zniesienia, gdy zasłużyłem lub, zdaniem nauczyciela, zasługiwałem na naganę. Przypominam sobie, że kiedyś zostałem wychłostany. Nie tyle chodziło mi o sam fakt ukarania mnie, ile o to, że uważano, jakobym na nie zasłużył. Zalewałem się łzami. Przytrafiło się to, kiedy byłem w pierwszym lub drugim oddziale. Drugi podobny wypadek miał miejsce, kiedy byłem w siódmym. Dyrektorem szkoły był wtedy Dorabdźi Eduldźi Gimi. Cieszył się dużą popularnością wśród uczniów, chociaż surowo przestrzegał dyscypliny, był nieugięty, a jednocześnie był dobrym nauczycielem. Za jego

sprawą gimnastyka oraz gra w krykieta były obowiązkowe dla uczniów starszych oddziałów. Nie lubiłem ani gimnastyki, ani krykieta. Nigdy nie brałem udziału w żadnych ćwiczeniach, grach w krykieta lub piłkę nożną, zanim te zajęcia nie zostały uznane za przymusowe.

Wrodzona nieśmiałość była przyczyną, dla której trzymałem się na uboczu, co – jak to obecnie widzę – było błędem z mojej strony. Ulegałem wówczas mylnemu przeświadczeniu, że gimnastyka nie ma nic wspólnego z nauką. Dziś rozumiem, że trening fizyczny powinien w wychowaniu zajmować tyleż miejsca, co umysłowy. Muszę jednak zaznaczyć, że powodem, dla którego nie brałem udziału w ćwiczeniach fizycznych, bynajmniej nie był mój zły stan zdrowia. Powód leżał gdzie indziej: przeczytałem w książkach o pożytku, jaki przynoszą długie spacery na świeżym powietrzu, a wobec tego, że to mi odpowiadało, nabrałem przyzwyczajenia do odbywania długich przechadzek, co mi pozostało aż do dziś. Te długie przechadzki ogromnie mnie zahartowały.

Innym powodem tego, że nie znosiłem gimnastyki, było moje gorące pragnienie pielęgnowania ojca. Zaraz po skończonych zajęciach w szkole biegłem do domu i zabierałem się do obsługiwania go. Raczej ten rodzaj zajęcia skłonny byłem uważać za obowiązkowe ćwiczenia. Zwróciłem się z prośbą do dyrektora szkoły, mister Gimiego, o zwolnienie mnie z ćwiczeń gimnastycznych, abym miał czas na pielęgnowanie ojca. Ale dyrektor nie chciał mnie wysłuchać. Otóż przytrafiło się pewnej soboty, kiedy zajęcia szkolne kończyły się z rana, że powinienem był o czwartej po południu wrócić z domu do szkoły na owe ćwiczenia gimnastyczne. Nie miałem zegarka, a zachmurzone niebo wprowadziło mnie w błąd. Zanim przybiegłem do szkoły, wszyscy chłopcy już się porozchodzili.

Następnego dnia mister Gimi, przeglądając listę, spostrzegł, że byłem nieobecny. Kiedy mnie zapytał o przyczynę, odpowiedziałem mu, dlaczego tak się stało. Dyrektor nie chciał mi jednak uwierzyć i kazał mi zapłacić karę w wysokości jednego czy też dwóch ann[27] (nie przypominam sobie dokładnie). Byłem więc oskarżony o to, że kłamię! Cierpiałem z tego powodu ogromnie. W jaki sposób udowodnić, że jestem niewinny? Nie było na to sposobu. Płakałem z gniewu. Zrozumiałem wtedy, że człowiek dbający o prawdę musi jednocześnie być uważny. Był to pierwszy i ostatni przykład mojego niedbalstwa w szkole. Słabo sobie przypominam, co wygrałem na tym, że kara została mi darowana. Ostatecznie uzyskałem zwolnienie z ćwiczeń gimnastycznych, ale dopiero

27 Anna – 1/16 część rupii.

po wystosowaniu przez mego ojca własnoręcznego pisma do dyrektora szkoły, w którym zawiadomił go, że życzy sobie, abym zaraz po skończonych lekcjach wracał do domu.

Pomimo jednak, że nie byłem jednym z najgorszych uczniów zaniedbujących owe ćwiczenia gimnastyczne, wszystkie kary, jakie miały spadać na innych opieszałych uczniów, stale skupiały się na mnie.

Nie wiem, jaką drogą doszedłem do przeświadczenia, że ładny charakter pisma nie jest konieczny do wykształcenia, pozostało mi ono jednak aż do czasu, kiedy wyjechałem do Anglii. Kiedy znacznie później, zwłaszcza w Afryce Południowej, zobaczyłem piękne, wykaligrafowane pismo adwokatów i młodzieży urodzonej i wychowanej na miejscu, czułem się głęboko zawstydzony i ogromnie żałowałem własnego niedbalstwa. Zrozumiałem, że brzydkie pismo powinno się uważać za dowód niedoskonałości otrzymanego wykształcenia. Usiłowałem je później poprawić, ale już było za późno. Nigdy nie zdołałem odrobić tego, co zostało przeze mnie zaniedbane w młodości.

Niechże mój przykład będzie przestrogą dla każdego młodzieńca i dziewczyny – powinni zrozumieć, że wyraźne i ładne pismo jest nieodzowną częścią wykształcenia. Jestem obecnie zdania, że zanim dzieci zaczną się uczyć pisać, powinny się nauczyć rysować. Niech dziecko nauczy się odróżniać kształt liter, podobnie jak uczy się rozróżniania odmiennych kształtów różnych przedmiotów. Dopiero wtedy będzie w stanie pisać znakomicie wyćwiczoną ręką.

Jeszcze dwa wspomnienia z moich szkolnych lat zasługują na to, by o nich opowiedzieć.

Z powodu mojego małżeństwa straciłem cały rok, a mój nauczyciel chciał, abym nadrobił stracony czas, przeskakując jedną klasę, na co zazwyczaj pozwalano jedynie wyjątkowo pilnym uczniom. Miałem za sobą tylko sześć miesięcy w trzecim oddziale licealnym i otrzymałem promocję do czwartego po egzaminach, jakie się odbyły po feriach letnich. Począwszy od czwartego oddziału, większość przedmiotów wykładano w języku angielskim. Czułem się jak rzucony na fale bezgranicznego oceanu. Geometria była dla mnie nowym przedmiotem i nie bardzo byłem w niej mocny, a wykłady w języku angielskim czyniły ją dla mnie jeszcze trudniejszą. Nauczyciel wykładał bardzo dobrze, ale nie byłem w stanie za nim nadążyć. Niekiedy całkowicie traciłem nadzieję i myślałem o tym, by powrócić do trzeciego oddziału, zdając sobie sprawę, że ambicja odrobienia dwóch lat w ciągu jednego roku szkolnego była nieco wygórowana. Ale byłoby to kompromitacją nie tylko dla mnie, ale i dla mego nauczyciela, który

licząc na moją pracowitość, wyraził zgodę na przeniesienie mnie do wyższego oddziału. Obawa sprawienia podwójnego zawodu kazała mi więc wytrwać.

Kiedy wreszcie z największym trudem przezwyciężyłem trzynaste twierdzenie geometryczne Euklidesa, cała prostota tej nauki objawiła mi się naraz w sposób zgoła nieoczekiwany. Przedmiot, który wymagał jedynie zwykłego i całkowicie nieskomplikowanego rozumowania, nie mógł przedstawiać zbytnich trudności. Od tego czasu geometria stała się dla mnie zarówno przyjemnym, jak i łatwym przedmiotem.

Natomiast nauka sanskrytu była orzechem trudnym do zgryzienia. W geometrii nie było nic do zapamiętania, za to w nauce sanskrytu, moim zdaniem, trzeba się było uczyć wszystkiego na pamięć. Przedmiot ten zaczynano wykładać począwszy od czwartego oddziału. Jak tylko przeszedłem do szóstego, zniechęciłem się ostatecznie. Nauczyciel był bardzo wymagający, zależało mu przede wszystkim – jak mi się wydaje – na tym, aby wywierać presję na uczniów. Pomiędzy nauczycielem sanskrytu a wykładowcą języka perskiego istniał pewien rodzaj rywalizacji. Nauczyciel perskiego był bardziej wyrozumiały. Uczniowie mówili zazwyczaj między sobą, że język perski jest bardzo łatwy do nauki i że nauczyciel tego przedmiotu jest dobry i pobłażliwy dla uczniów. Owa „łatwość" skusiła mnie pewnego dnia i zostałem na lekcji perskiego. Nauczyciel sanskrytu poczuł się tym ogromnie urażony. Wezwał mnie do siebie i powiedział:

– Jak mogłeś zapomnieć o tym, że jesteś synem ojca wyznającego wiarę wisznuicką? Czyżbyś nie chciał się uczyć języka własnej wiary? Jeżeli napotykasz pewne trudności, dlaczego nie przyjdziesz do mnie? Chcę was, moich uczniów, nauczyć sanskrytu, jak tylko potrafię najlepiej. Gdy zrobisz pewne postępy, sam odnajdziesz w nim wiele niezmiernie ciekawych rzeczy. Nie zniechęcaj się. Przyjdź, mój chłopcze, znów na lekcje sanskrytu.

Dobroć nauczyciela mnie zawstydziła. Nie mogłem zlekceważyć jego życzliwości. Dziś z wdzięcznością wspominam Kryszna śankara Pandya, bo przecież gdybym się wtedy nie nauczył – wprawdzie niezbyt wiele – sanskrytu, z pewnością studiowanie naszych świętych ksiąg przychodziłoby mi ze znacznie większym trudem. Bardzo też później ubolewałem nad tym, że nie poznałem gruntowniej sanskrytu, a od tego czasu nabrałem przekonania, że każdy hinduski chłopiec lub też dziewczyna powinni znać podstawy sanskrytu.

Sądzę również, że wśród przedmiotów wykładanych w każdym liceum w Indiach powinno się zostawić dość dużo miejsca na naukę języków: hindi, sanskrytu, perskiego, arabskiego oraz angielskiego, niezależnie od nauki języka

ojczystego. Ta długa lista nie powinna nikogo przerażać. Gdyby nasze wykształcenie było bardziej systematyczne, a nasi chłopcy byli zwolnieni od obowiązku uczenia się w obcym języku wykładanych im przedmiotów, jestem przekonany, że nauka wszystkich wymienionych języków przestałaby być tak nudna, a stałaby się przyjemnością. Gruntowna znajomość jednego języka w pewnym sensie znacznie ułatwia poznanie drugiego.

W rzeczywistości bowiem języki: hindi, gudźarati i sanskryt mogą być rozpatrywane jako jeden język, a perski i arabski również jako jeden. Pomimo iż język perski należy do grupy języków aryjskich, arabski zaś do semickich, pomiędzy tymi dwoma językami istnieje bliskie pokrewieństwo, ponieważ swój główny rozwój zawdzięczają islamowi. Nie uważam natomiast urdu za wyraźnie odrębny język, gdyż przyswoił sobie gramatykę hindi, a jego słownictwo ma swe główne źródło w perskim i arabskim. Każdy więc, kto chce dobrze poznać urdu, musi znać perski i arabski, podobnie jak chcąc nauczyć się języków: gudźarati, hindi, bengali lub marathi, trzeba znać sanskryt[28].

VI. TRAGEDIA

Pomiędzy nielicznymi przyjaciółmi, których miałem w różnych okresach uczęszczania do liceum, zaledwie dwóch mogę nazwać bliskimi i serdecznymi. Jedna z tych przyjaźni nie trwała zbyt długo, chociaż nigdy nie wypierałem się moich przyjaciół. Tym razem mój przyjaciel wyparł się mnie, gdyż znalazłem sobie nowego. Tę ostatnią przyjaźń uważam za tragedię mego życia. Trwała długo. Zdawało mi się, że spełniam jakąś misję nawrócenia.

Chłopiec, o którym mowa, był właściwie przyjacielem mego brata. Chodzili do jednej klasy. Znałem jego wady, ale uważałem go za wiernego przyjaciela. Zarówno moja matka, jak starszy brat i moja żona, wszyscy przestrzegali mnie przed nim, twierdząc, że to dla mnie złe towarzystwo. Byłem jednak zbyt ambitny, by zwracać uwagę na przestrogi żony, a nie miałem dość odwagi, by przeciwstawić się opinii matki i starszego brata. Broniłem go jednak, mówiąc: „Wiem, że on ma wady, o których mówicie, ale nie znacie jego zalet. On mnie nie sprowadzi na błędną drogę, a moja przyjaźń z nim może go nawrócić.

28 Języki hindi, gudźarati, bengali, marathi wywodzą się z sanskrytu, podobnie jak języki romańskie wywodzą się z łaciny. Język urdu ma tę samą gramatykę co język hindi, lecz jego słownictwo jest zapożyczone w znacznej mierze z języka arabskiego i perskiego.

Jestem pewien, że jeżeli się zmieni, będzie znakomitym człowiekiem. Proszę was, bądźcie o mnie spokojni!".

Nie sądzę, bym ich przekonał, ale zgodzili się z moimi argumentami i pozwolili mi postępować, jak będę uważał za stosowne. Przekonałem się później, że moje rachuby były mylne. Reformator nie może sobie pozwolić na utrzymywanie bliskich stosunków z kimś, kogo chce zmienić. Prawdziwa przyjaźń polega na pokrewieństwie dusz, które rzadko przytrafia się na świecie, i dlatego istotnie wartościowa i długotrwała może być przyjaźń jedynie pomiędzy dwoma naturami mającymi wiele wspólnych cech. Jeden przyjaciel oddziałuje na drugiego i dlatego też w prawdziwej przyjaźni jest tak mało miejsca na nawracanie. Jestem ponadto zdania, że należy unikać wszelkiej szczególnej intymności w stosunkach z przyjaciółmi, gdyż człowiek łatwiej przyswaja sobie wady aniżeli zalety. Ten zaś, kto pragnie utrzymywać przyjaźń z Bogiem, musi albo pozostać samotny, albo cały świat uczynić swymi przyjaciółmi.

Możliwe, że się mylę, ale moje usiłowania utrzymania bliskiej przyjaźni skończyły się niepowodzeniem.

Kiedy po raz pierwszy zbliżyłem się do owego przyjaciela, fala „reform" przelewała się przez Radźkot. Dowiedziałem się od niego, że wielu spośród naszych nauczycieli w tajemnicy je mięso i pije wino. Wymienił mi również nazwiska wielu dostojnych obywateli w Radźkocie, którzy należeli do tego samego towarzystwa. Wśród nich mieli się również znajdować, jak mi powiedział, niektórzy uczniowie miejscowego liceum.

Byłem tym ogromnie zaskoczony i boleśnie dotknięty. Zapytałem mego przyjaciela, czym należy to wytłumaczyć, a on wyjaśnił mi w następujący sposób:

„Jesteśmy słabym narodem dlatego, że nie jemy mięsa. Anglicy rządzą nami dlatego, że je spożywają. Wiesz, jaki jestem silny i jaki ze mnie doskonały biegacz – to dlatego, że ja też jem mięso. Ci, co jedzą mięso, nie miewają ani wrzodów, ani żadnych narośli, a nawet jeżeli im się czasami przytrafią – to szybko znikają. Nasi nauczyciele i inne wybitne osoby spożywające mięso nie są głupcami. Widzę, jakie to jest pożyteczne. Powinieneś robić tak samo, a zresztą, to ci nie zaszkodzi, jeżeli spróbujesz. Zobaczysz, przybędzie ci wiele siły".

Wszystkie te namowy na rzecz jedzenia mięsa nie od razu odniosły skutek. Stanowiły temat długich i skomplikowanych argumentów, za pomocą których mój przyjaciel od czasu do czasu usiłował na mnie oddziaływać. Mój starszy brat już im uległ i potwierdzał słowa swego przyjaciela. W porównaniu z moim bratem i tym przyjacielem istotnie wyglądałem na znacznie słabszego fizycznie.

Obaj byli silniejsi ode mnie, fizycznie lepiej rozwinięci i odważniejsi. Wyczyny dokonywane przez tego przyjaciela miały dla mnie ogromny urok. Potrafił bardzo szybko przebiegać duże odległości, umiał skakać daleko i wysoko, potrafił wytrzymać każdą chłostę. Często popisywał się przede mną, a przecież zawsze jest się olśnionym, widząc w innym zalety, których się nie ma. Toteż bywałem istotnie olśniony jego wyczynami – a zatem gorąco pragnąłem stać się podobny do niego. Cóż, kiedy nie potrafiłem ani tak biegać, ani tak skakać jak on. Czemuż nie miałbym zostać równie silny? Ponadto – byłem bardzo tchórzliwy. Panicznie bałem się złodziei, wszelkich duchów, żmij. Bałem się wychylić nosa poza dom w nocy. Ciemność mnie przerażała. Usnąć w ciemnym pokoju było niemal niepodobieństwem dla mnie, gdyż wciąż wyobrażałem sobie, że oto z jednej strony zbliżają się duchy, z drugiej – złodzieje, z trzeciej – żmije. Nie mogłem zasnąć, jeżeli w pokoju nie paliło się światło.

Czy mogłem zwierzyć się z tych obaw żonie, która już przestała być dzieckiem i spała obok mnie? Wiedziałem, że jest odważniejsza ode mnie, i czułem się zawstydzony. Kasturbai nie bała się ani żmij, ani duchów. Potrafiła pójść wszędzie po ciemku. Mój przyjaciel wiedział o wszystkich moich słabościach. Opowiadał mi o tym, jak umie trzymać w ręku żywą żmiję, jak potrafi się obronić przed złodziejami i jak nie wierzy w żadne duchy. Wszystko to, rzecz oczywista, wynikało z tego, że jadł mięso.

Wśród uczniów liceum dużą popularnością cieszył się wtedy marnawy utwór napisany w języku gudźarati przez poetę Narmada[29]. Oto jego treść:

Spójrz, jak potężny Anglik
Rządzi małymi Indusami,
Dlatego, że żre mięso,
Ma pięć łokci wzrostu.

Wszystko to wywierało na mnie odpowiednie wrażenie. Byłem zdruzgotany. Nabierałem coraz mocniejszego przeświadczenia, że spożywanie mięsa jest dobre, że uczyni mnie mocnym i odważnym i że gdyby ludzie w całym naszym kraju zaczęli jeść mięso, zapanowalibyśmy nad Anglikami.

Wyznaczony został zawczasu dzień, kiedy miałem zacząć spożywać mięso. Oczywiście, wszystko było zachowane w najściślejszej tajemnicy.

29 Narmad (1833–1886) – poeta i prozaik piszący w języku gudźarati.

Ród Gandhich należał do wyznawców Wisznu. Moi rodzice byli mu szczególnie oddani. Regularnie uczęszczali do *haveli.* Rodzina posiadała nawet własne świątynie. W Gudźaracie dżinizm[30] był bardzo silny, a jego wpływ dawał się odczuć wszędzie i przy każdej okazji. W całych Indiach nie można było się spotkać z równie ostrym sprzeciwem przeciwko spożywaniu mięsa i ze wstrętem, jaki ono budziło, jak właśnie w Gudźaracie wśród wyznawców dżinizmu i Wisznu. Takie właśnie były tradycje, wśród których się urodziłem i byłem wychowany. Trzeba dodać, że żywiłem niewypowiedzianą cześć dla moich rodziców. Zdawałem sobie sprawę, że będzie dla nich śmiertelnym ciosem, jeżeli się dowiedzą, że jadłem mięso. Ponadto moje gorące umiłowanie prawdy zwiększyło jeszcze moje skrupuły. Nie mogę również powiedzieć, abym nie wiedział, że popełnię oszustwo wobec rodziców, jeżeli zacznę jeść mięso. Ale mój umysł był całkowicie pochłonięty potrzebą dokonania „reformy". Nie chodziło bynajmniej o przyjemność, jaką to mogło sprawić memu podniebieniu. Nie wiedziałem zresztą wcale o tym, że mam szczególnie wydelikacony zmysł smaku. Chciałem po prostu być silny i odważny oraz pragnąłem, by wszyscy moi ziomkowie byli tacy po to, byśmy mogli pobić Anglików i przywrócić Indiom wolność.

Nie słyszałem jeszcze nigdy przedtem wyrazu *swaradź*[31] – wiedziałem jednak, co oznacza wolność. Szał „reform" opętał mnie. Zapewniwszy sobie tajemnicę, przekonałem sam siebie, że ukrycie tego wydarzenia przed rodzicami nie będzie właściwie odejściem od prawdy.

VII. TRAGEDIA (CIĄG DALSZY)

Nadszedł ów dzień. Trudno dokładnie opisać, w jakim znajdowałem się stanie. Z jednej strony było gorące pragnienie dokonania jakiejś odmiany w życiu i rozpoczęcia czegoś zgoła nowego, z drugiej – uczucie wstydu, gdyż jak złodziej musiałem się kryć z tym, co miałem zrobić, a co uważałem za słuszne. Nie potrafię powiedzieć, które z tych uczuć przeważało we mnie.

Udaliśmy się na poszukiwanie bezludnego miejsca nad rzeką i wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem mięso. Była też przy nim kromka białego chleba.

30 Dżinizm – religia hinduska, jeden z wczesnych odłamów braminizmu.

31 *Swaradź* – autonomia, niezawisłość.

Ani jedno, ani drugie mi nie smakowało. Mięso kozy było twarde jak skóra. Po prostu nie byłem w stanie go ugryźć. Zemdliło mnie i musiałem przestać jeść.

Noc, którą spędziłem potem, była okropna. Jakieś okropne koszmary męczyły mnie przez cały czas. Ilekroć zasypiałem, zdawało mi się, że żywa koza beczy tuż obok, wyrzuty sumienia tak mnie dręczyły, że gotów byłem wyskoczyć z łóżka, ale wtedy przekonywałem sam siebie, że spożywanie mięsa jest moim obowiązkiem, i jakoś się uspokajałem.

Mój przyjaciel nie był człowiekiem skłonnym do szybkiej rezygnacji. Zabrał się do przyrządzania różnych przysmaków z mięsa i podlewania ich sosami. Jako jadalnia nie służył nam już bezludny brzeg rzeki, lecz gmach rządowy z salą jadalną, stołami, fotelami. Wszystko to zostało zaaranżowane przez mojego przyjaciela w porozumieniu z głównym kucharzem tej instytucji.

Przynęta odniosła skutek. Przemogłem swój wstręt do chleba oraz do koziego mięsa i stałem się wielkim smakoszem wszelkich mięsnych potraw, choć za samym mięsem nie przepadałem. Trwało to mniej więcej rok. Tych mięsnych uczt było ogółem nie więcej niż jakieś pół tuzina, a to dlatego, że nie zawsze można było dostać się do tego rządowego lokalu, a częste sporządzanie kosztownych potraw z mięsa było połączone z dość dużymi trudnościami. Nie miałem pieniędzy, by sobie pozwolić na taką „reformę" życia. Natomiast mój przyjaciel zawsze potrafił znaleźć niezbędne środki. Nie mam pojęcia, jak to robił. Miał ich zawsze pod dostatkiem, bo mu ogromnie zależało na tym, by zrobić ze mnie stałego „mięsożercę". Widocznie jednak jego środki też musiały się wyczerpać, a tym samym owe uczty stawały się coraz rzadsze.

Ilekroć miałem sposobność pofolgować sobie podczas tych obfitych uczt, nie mogło być już mowy o tym, bym mógł zjeść obiad w domu. Matka zazwyczaj wołała mnie, bym przyszedł na posiłek, i chciała wiedzieć, dlaczego nic nie jem. W takich razach mówiłem, że nie mam apetytu lub że coś jest nie w porządku z moim trawieniem.

Nie mogę powiedzieć, abym bez skrupułów posługiwał się podobnymi pretekstami. Wiedziałem, że kłamię, co gorsza: że okłamuję matkę. Zdawałem sobie jednocześnie sprawę z tego, że gdyby rodzice się dowiedzieli, że jem mięso, byliby tym po prostu wstrząśnięci. Świadomość tego pożerała mi serce.

Wtedy powiedziałem sobie: „Aczkolwiek spożywanie mięsa jest ważne, podobnie jak ważne jest przeprowadzenie reformy odżywiania w kraju, jednak oszukiwanie i okłamywanie rodziców jest czymś gorszym aniżeli spożywanie mięsa. Dopóki moi rodzice żyją, nie może więc być mowy o tym, bym jadł

mięso. Gdy umrą i będę wolny, będę je jadł otwarcie, ale zanim to nastąpi, powstrzymam się".

Zakomunikowałem swe postanowienie przyjacielowi i od tego czasu nigdy już nie powróciłem do spożywania mięsa. Rodzice nigdy się nie dowiedzieli, iż ich dwaj synowie jedli mięso.

Wyrzekłem się spożywania mięsa, aby nie okłamywać rodziców, ale nie zrezygnowałem z towarzystwa przyjaciela. Moje gorące pragnienie nawrócenia go miało dla mnie katastrofalne następstwa, jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przebywanie w jego towarzystwie doprowadziłoby mnie do złamania wierności żonie. Cudem ocalałem.

Pewnego razu przyjaciel zaprowadził mnie do domu publicznego, udzieliwszy mi przedtem wszelkich niezbędnych informacji. Wszystko było z góry przygotowane i opłacone. Wszedłem w samą paszczę grzechu, lecz Bóg w swej niezmierzonej dobroci obronił mnie przede mną samym. Niemal głuchy i ślepy znalazłem się w tej jaskini występku. Siedziałem obok jakiejś kobiety na jej łóżku i nie mogłem z siebie wykrztusić ani słowa. Zniecierpliwiło to wreszcie tę kobietę, więc złorzecząc i obrzucając mnie wyzwiskami, wyrzuciła mnie za drzwi. Miałem wrażenie, że moja godność męska została srodze obrażona i gotów byłem ze wstydu zapaść się pod ziemię. Nie przestaję jednak po dzień dzisiejszy dziękować Bogu, że mnie wtedy uratował. Przypominam sobie jeszcze cztery podobne przypadki w moim życiu i za każdym razem raczej szczęśliwy traf, aniżeli jakikolwiek wysiłek z mojej strony, przychodził mi ze zbawienną pomocą.

Z etycznego stanowiska każdy z tych przypadków należy ocenić jako dowód upadku moralnego, gdyż miało się do czynienia z pożądaniem cielesnym, które oznacza tyleż co sam akt. Natomiast patrząc na te sprawy zwyczajnie, trzeba powiedzieć, że człowiek, który został fizycznie powstrzymany od popełnienia grzechu, może być uważany za ocalonego. Jeżeli chodzi o moją osobę, zostałem ocalony jedynie w tym sensie. Istnieją bowiem takie uczynki, że ocalenie przed nimi można uważać za dar nieba – zarówno dla tego, który ocalał, jak i dla tych, co nim kierowali. Z chwilą gdy człowiek odzyskuje świadomość tego, co jest słuszne, składa on dzięki Opatrzności za to, że ocalał. Wiemy, że człowiek często ulega pokusie, mimo iż się przeciwko niej broni, ale wiemy również, że Opatrzność często przychodzi mu z pomocą i wbrew woli człowieka wybawia go z niebezpieczeństwa. Dlaczego się tak dzieje, w jakim stopniu człowiek jest istotą wolną, a w jakim zależną od otaczających go warunków, jak daleko może

się posunąć na tej drodze i kiedy na scenę wkracza przeznaczenie? – Wszystko to jest owiane mrokiem tajemnicy i pozostanie nią.

Ale powróćmy do naszej opowieści. Nawet te wydarzenia nie uświadomiły mi zepsucia, jakie wynikało z przebywania w towarzystwie mego przyjaciela. Miałem zresztą sporo innych, nie mniej przykrych przykładów w zapasie, aż wreszcie naocznie przekonałem się o pewnych, zgoła niespodziewanych dla mnie, dowodach moralnego upadku mego przyjaciela. Ale o tym później – chcę zachować ciągłość chronologiczną mojej opowieści.

O pewnym wydarzeniu muszę jednak wspomnieć zaraz, tym bardziej że jest ono związane z tym samym okresem. Jednym z powodów nieporozumień, jakie wynikły pomiędzy mną a moją żoną, było niewątpliwie moje przebywanie w towarzystwie tego przyjaciela. Byłem jednocześnie oddanym i pożeranym przez zazdrość małżonkiem, a ów przyjaciel rozpalał we mnie wszelkie podejrzenia wobec mojej żony. Nigdy nie wątpiłem w prawdziwość jego słów, nigdy też nie mogłem sobie wybaczyć brutalności, jakiej się dopuszczałem wobec mojej żony, karząc ją często za przewinienia, które zgodnie z tym, co mi opowiadał mój przyjaciel, miała jakoby popełniać.

Myślę, że tylko hinduska kobieta mogła znieść te upokorzenia i zapewne tylko dlatego zawsze uważałem kobietę za uosobienie wyrozumiałości. Służący, na którego pada niezasłużone podejrzenie, porzuca swoje miejsce pracy, syn w podobnym przypadku opuszcza ojcowski dom, a przyjaciel może zerwać więzy przyjaźni. Jeżeli kobieta podejrzewa męża o wiarołomstwo, musi zachować spokój, natomiast jeżeli sama ściągnęła na siebie podejrzenia męża, jest skazana na cierpienia i nieszczęście. Dokąd bowiem ma się udać? Kobieta hinduska nie ma prawa domagać się w sądzie rozwodu. Prawo nie udziela jej żadnej pomocy.

Nigdy nie zapomnę i nie wybaczę sobie tego, że doprowadziłem moją żonę do rozpaczy. Pożerający mnie robak podejrzeń został we mnie wytępiony dopiero wtedy, kiedy zrozumiałem, na czym polega ahimsa[32] we wszystkich odmianach. Poznałem wtedy wielkość brahmaćarji[33] i zrozumiałem, że żona nie jest niewolnicą męża, lecz jego towarzyszką i pomocnicą, oraz że ma prawo do uczestniczenia w jego smutkach i radościach, a także, podobnie jak jej mężowi, wolno jej obrać własną drogę w życiu.

---

32 Ahimsa – nauka o niewyrządzaniu zła i niestosowaniu przemocy.

33 *Brahmaćarja* – dosłownie oznacza drogę wiodącą do Boga, celibat.

Ilekroć przypomnę sobie tamte mroczne dni pełne zwątpień, podejrzeń, przeklinam własne szaleństwo i okrucieństwo podyktowane pożądliwością i opłakuję moją ślepą uległość owemu przyjacielowi.

VIII. KRADZIEŻE I SKRUCHY

Chcę jeszcze opowiedzieć o paru innych przewinach, jakie popełniłem zarówno w okresie spożywania przeze mnie mięsa, jak i znacznie wcześniej, przed moim ślubem lub też po nim.

Mój krewniak i ja staliśmy się nałogowymi palaczami tytoniu. Nie znajdowaliśmy co prawda żadnej szczególnej przyjemności w paleniu ani nie pociągał nas specjalnie zapach dymu tytoniowego – po prostu podobało nam się samo wypuszczanie z ust kłębów dymu. Mój stryj był nałogowym palaczem i kiedy widzieliśmy go palącego, przyszło nam do głowy naśladować go, ale nie mieliśmy pieniędzy. Zaczęliśmy więc wykradać niedopałki papierosów pozostawione przez stryja.

Nie zawsze jednak można było upolować owe niedopałki, a ponadto nie dawały one tyle dymu. Wtedy zaczęliśmy wykradać miedziaki z kieszeni naszej służby, by móc kupować indyjskie papierosy. Problemem było to, gdzie je przechować. Nie mogliśmy też palić w obecności starszych. Jakoś nam uchodziło w ciągu paru tygodni to palenie za skradzione miedziaki. Dowiedzieliśmy się później, że łodygi niektórych roślin są porowate i nadają się do palenia. Zdobyliśmy je i zaczęliśmy palić.

Ale to nas bynajmniej nie zaspokajało. Zaczęła nas pożerać potrzeba niezależności. Już to samo, że nie wolno nam nic zrobić bez zezwolenia starszych, było nie do zniesienia. Wreszcie, zniechęceni do ostateczności, postanowiliśmy popełnić samobójstwo.

Jak jednak wprowadzić w czyn to postanowienie? Skąd wziąć truciznę? Słyszeliśmy, jakoby nasiona dhatury były trujące. Poszliśmy do dżungli na ich poszukiwanie i znaleźliśmy je. Wieczór wydawał nam się odpowiednią porą do wprowadzenia w czyn naszego zamiaru. Udaliśmy się do Kedardźi Mandir[34], nalaliśmy topionego bawolego masła do lampy płonącej w świątyni, dostąpiliśmy błogosławieństwa, a następnie zaczęliśmy się rozglądać za jakimś samotnym kącikiem. Zabrakło nam jednak odwagi. A co będzie, jeżeli trucizna nie

34 Kedardźi Mandir – świątynia boga Sziwy.

uśmierci nas od razu? A w ogóle, co nam z tego przyjdzie, że sobie odbierzemy życie? Dlaczego raczej nie walczyć o zdobycie większej niezależności? Przełknęliśmy jednak każdy po dwa, trzy nasiona. Nie mieliśmy odwagi połknąć więcej, każdy z nas bał się przecież śmierci, postanowiliśmy więc dla uspokojenia pójść do Ramdźi Mandir[35] i porzucić wszelką myśl o samobójstwie.

Wtedy zrozumiałem, że łatwiej jest myśleć o samobójstwie, aniżeli je popełnić, a gdy słyszałem, że ktoś grozi popełnieniem samobójstwa, nie robiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia.

Owe samobójcze myśli w rezultacie doprowadziły do tego, że obydwaj postanowiliśmy zrezygnować z palenia papierosów i wykradania służbie miedziaków na papierosy. Później, nawet gdy byłem dorosły, nigdy już nie odczuwałem chęci palenia tytoniu i zawsze uważałem ten nałóg za barbarzyński, brzydki i szkodliwy dla zdrowia. Nigdy nie mogłem zrozumieć, skąd na świecie powstał nieprzeparty nałóg palenia, nigdy też nie byłem w stanie podróżować w przedziałach dla palących. Po prostu dusiłem się.

Znacznie poważniejsza od tych kradzieży była ta, której się dopuściłem nieco później. Owe miedziaki „ściągałem", kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat, a może i mniej. Następną kradzież popełniłem w wieku piętnastu lat. Tym razem skradłem trochę złota z bransoletki mego brata, tego właśnie, co to również jadł mięso. Zadłużyłem się na jakieś dwadzieścia pięć rupii. Na ręce mój brat nosił bransoletkę z prawdziwego złota. Nie było trudno odczepić z niej parę kółek.

Trudno – stało się: dług został spłacony, ale to było ponad moje siły. Przysiągłem, że nigdy więcej nic nie ukradnę, poza tym postanowiłem, że przyznam się ojcu do wszystkiego. Nie miałem jednak odwagi przemówić do niego – nie dlatego, abym się bał, że mnie zbije. Nie przypominam sobie, by ojciec kiedykolwiek uderzył któreś z dzieci. Powstrzymywała mnie obawa przed bólem, który mogę mu sprawić. Zdawałem sobie sprawę, że muszę się na to zdobyć, bo bez przyznania się do winy nie może być oczyszczenia się z niej. Wreszcie postanowiłem, że napiszę całą mą spowiedź, wręczę ją ojcu i poproszę go, by mi wybaczył. Spisałem wszystko na świstku papieru i sam mu go podałem. Nie tylko przyznałem się do winy, lecz prosiłem o wymierzenie mi odpowiedniej kary za nią, a skończyłem, zaklinając ojca, by za moje przewinienie nie nałożył kary na siebie. Jednocześnie przysiągłem, że nigdy więcej nie popełnię żadnej kradzieży.

35 Ramdźi Mandir – świątynia boga Ramy.

Wręczając tę kartkę ojcu, dygotałem cały. Ojciec cierpiał wtedy na wrzody i leżał w łóżku, które składało się ze zwykłych drewnianych desek. Wręczyłem mu kartkę i usiadłem naprzeciw niego.

Ojciec przeczytał, a po policzkach spłynęły mu perliste łzy, które spadły na papier i go zamoczyły. Ojciec przymknął oczy, rozmyślał, ściskając w ręce kartkę. Następnie usiadł na łóżku, by jeszcze raz ją przeczytać, i znów się położył. Mnie również łzy ciekły po twarzy. Widziałem, jak ojciec cierpi. Gdybym był malarzem, potrafiłbym dziś jeszcze namalować całą tę scenę – tak żywo pozostała mi w pamięci.

Te perliste krople oczyściły moje serce i zmyły ze mnie mój grzech. Zrozumieć to potrafi jedynie ten, kto sam doznał podobnej miłości, bo – jak głoszą słowa psalmu:

Ten jedynie,
Kogo poraził grot miłości,
Zdolen jest poznać jej moc.

Była to dla mnie poglądowa lekcja ahimsy. Wtedy nauczyła mnie jedynie tego, czym jest miłość ojcowska, dziś wiem, że był to dowód prawdziwej ahimsy (czyli nauki o nieczynieniu nikomu zła). Gdy staje się ona wszechobejmująca, potrafi zmienić wszystko, czego się dotknie, i wtedy jej potęga nie ma granic.

Podobny rodzaj niezwykłej pobłażliwości nie był właściwy memu ojcu. Sądziłem raczej, że będzie się gniewał, mówił surowe słowa i pocierał swe czoło, ale ojciec był niezwykle łagodnie usposobiony i skłonny jestem przypisać to mojej szczerej spowiedzi. Bo szczere przyznanie się do winy, któremu towarzyszy obietnica, iż nigdy więcej nie popełni się czegoś podobnego, jeżeli się ją składa komuś, kto ma prawo ją przyjąć, jest najczystszą formą skruchy.

Wiem, że moja spowiedź sprawiła, że ojciec nabrał do mnie całkowitego zaufania, i ponad wszelką miarę wzmogła w nim uczucie, jakie dla mnie żywił.

IX. ŚMIERĆ OJCA I MOJA PODWÓJNA HAŃBA

Czasy, o których będę teraz opowiadał, dotyczą szesnastego roku mego życia. Mój ojciec, jak już o tym była mowa, nie opuszczał łóżka, chorując na wrzody. Moja matka, nasza stara służąca i ja obsługiwaliśmy chorego. Do mnie należały czynności pielęgniarki, polegające przeważnie na zmianie opatrunków, dawaniu lekarstw, a także przyrządzaniu ich, o ile to się dało zrobić w domu. Co noc masowałem mu nogi i odchodziłem tylko wtedy, kiedy ojciec kazał mi odejść lub kiedy zasnął. Lubiłem spełniać te czynności i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wykonywał je niedbale. Cały wolny czas, jakim rozporządzałem po spełnieniu codziennych obowiązków, był podzielony pomiędzy szkołę i pielęgnowanie ojca. Wychodziłem z domu tylko dla odbycia wieczornej przechadzki lub wtedy, gdy ojciec czuł się lepiej.

W tym też czasie moja żona spodziewała się dziecka. Był to powód, jak to sobie dziś dopiero uprzytamniam, bym się czuł podwójnie zawstydzony: po pierwsze – nie potrafiłem, jak należało, zapanować nad sobą (byłem jeszcze uczniem liceum), a po drugie – moja zmysłowość brała górę nad moimi innymi obowiązkami, a więc również nad nauką, i – co uważałem za swój najświętszy obowiązek – nad miłością dla rodziców, a przecież moim ideałem od wczesnego dzieciństwa było poświęcenie Śrawany. Każdego wieczoru, kiedy moje ręce były zajęte masowaniem ojcowskich nóg, moje myśli krążyły dokoła sypialni, przy tym działo się to w czasie, kiedy zarówno religia, jak i wiedza lekarska oraz zdrowy rozsądek zabraniają utrzymywania stosunków z żoną. Czułem się zazwyczaj nad wyraz szczęśliwy, gdy po zwolnieniu się od swych obowiązków i obsłużeniu ojca mogłem pobiec wprost do naszej sypialni.

Stan zdrowia ojca pogarszał się z dnia na dzień. Lekarze posługujący się metodami ajurwedy[36] wypróbowali już wszystkie swoje nacierania, lekarze *hakim*[37] – swe plastry, a miejscowi znachorzy – swe „zamawiania". Pewien chirurg, Anglik, również udzielił swej porady, przy czym jako jedyne wyjście zalecał operację. Nasz domowy lekarz sprzeciwił się jednak temu, twierdząc, że operacja w tak podeszłym wieku nie jest wskazana. Ów lekarz znał się na rzeczy i cieszył się dużą popularnością, toteż jego zdanie przeważyło. Zaniechano operacji i zaczęto stosować niezliczoną liczbę różnych leków. Wydaje mi się, że gdyby ów

36 Lekarze posługujący się metodami ajurwedy stosują starą medycynę hinduską.

37 Lekarze *hakim* stosują medycynę muzułmańską.

lekarz zezwolił na operację, rana zaleczyłaby się łatwiej. W końcu zgodzono się na nią, miał ją wykonać pewien bardzo znany chirurg w Bombaju[38]. Ale Bóg chciał inaczej. Gdy śmierć jest nieunikniona, któż myśli o najwłaściwszym lekarstwie? Ojciec powrócił z Bombaju, przywożąc ze sobą całą aptekę, która w obecnym stadium choroby była już bezużyteczna. Nie było nadziei utrzymania go przy życiu. Ojciec był coraz słabszy, aż wreszcie doszło do tego, że lekarze zalecili mu załatwianie wszystkich niezbędnych czynności w łóżku, ale ojciec do ostatniej chwili nie zgadzał się na to i wolał pokonywać ogromne trudności połączone z opuszczaniem łóżka. Reguły obowiązujące wyznawców Wisznu i nakazujące przestrzeganie schludności są niezłomne.

Nie ulega wątpliwości, że podobna schludność jest niezbędna, jednak wiedza lekarska Zachodu poucza, iż wszystkie czynności – nawet kąpiel – mogą być wykonywane w łóżku, bez narażania chorego na jakiekolwiek niewygody, przy czym łóżko pacjenta może pozostać nieskazitelnie czyste. Uważam tego rodzaju schludność za zgodną z kultem wisznuickim, a upór ojca opuszczającego łóżko budził we mnie jedynie podziw dla niego.

Nadeszła wreszcie owa straszliwa noc. Mój stryj przyjechał wtedy do Radźkotu, przypuszczam, że przybył po otrzymaniu wiadomości o tym, że stan zdrowia mego ojca się pogorszył. Bracia byli do siebie ogromnie przywiązani. Stryj potrafił cały dzień przesiedzieć przy łóżku mego ojca i po odesłaniu nas na spoczynek upierał się, że zostanie przy nim przez całą noc. Nikt nie przypuszczał, by ta właśnie noc miała być fatalna, aczkolwiek niebezpieczeństwo nie przeminęło.

Była godzina dziesiąta i pół w nocy lub może jedenasta. Stryj powiedział, że gotów jest mnie zluzować. Byłem z tego bardzo zadowolony i udałem się wprost do naszej małżeńskiej sypialni. Moja żona, to biedactwo, już prawie spała, ale czy mogła spać spokojnie, kiedy ja wróciłem? Obudziłem ją. Po paru zaledwie minutach służący zapukał do drzwi. „Wstań czym prędzej – mówił – ojciec jest bardzo chory!" Wiedziałem, że ojciec jest chory, ale domyśliłem się, co te słowa „bardzo chory" oznaczają w obecnej chwili! Wyskoczyłem z łóżka.

– Co się stało? Powiedz mi!

– Ojciec nie żyje…

A więc już było po wszystkim! Pozostało mi jedynie załamać ręce. Było mi straszliwie wstyd, czułem się okropnie. Pobiegłem do pokoju ojca. Uprzytomniłem sobie, że gdyby mnie nie oślepiła moja zwierzęca pożądliwość, uniknąłbym

38 Bombaj, obecnie Mumbaj.

tortur, na jakie mnie skazywało sumienie za to, że opuściłem ojca podczas ostatnich chwil jego życia. Powinienem był zostać przy nim, masować go, a umarłby na moich rękach. Ten przywilej przypadł w udziale mojemu stryjowi. Co prawda był tak bardzo przywiązany do swego starszego brata, że zasłużył na zaszczyt oddania mu ostatniej posługi. Ojciec przeczuwał zbliżającą się śmierć. Kazał sobie podać papier i pióro i nakreślił te oto słowa: „Przygotujcie ostatnie posługi". Następnie zdjął amulet z ręki, a także złotą bransoletę z paciorkami i położył je obok siebie. Chwilę później nie żył.

Uczucie hańby, o którym mówiłem wyżej, było następstwem pożądliwości, której pozwoliłem zapanować nad sobą w chwili, kiedy powinienem był nieustannie czuwać przy moim ojcu. Była to plama na moim sumieniu, której nigdy nie zdołałem zmyć. Zawsze sądziłem, że moja miłość dla rodziców nie ma granic i że gotów jestem w imię tej miłości uczynić wszystko, a tymczasem to uczucie nie wytrzymało próby, kiedy moje myśli w owej fatalnej chwili znalazły się w mocy moich zmysłów.

Uważałem siebie zawsze za wiernego, choć opanowanego przez zmysły małżonka. Upłynęło niemało czasu, zanim zdołałem uwolnić się z kajdan, jakie one na mnie nakładały. Musiałem dochować wierności wielu ślubowaniom, żeby zapanować nad zmysłami (namiętnościami), aż je w sobie przemogłem.

Zanim skończę ten rozdział, w którym jest mowa o tym, jak dwukrotnie okryłem się hańbą, chcę jeszcze wspomnieć, że biedne maleństwo, które wkrótce potem wydała na świat moja żona, żyło nie dłużej niż trzy lub cztery dni. Czyż można było się spodziewać czegoś innego? Niech ten przykład będzie przestrogą dla wszystkich małżeństw.

X. NIECO O RELIGII

Od szóstego czy też siódmego roku życia aż do szesnastu lat, kiedy chodziłem do szkoły, uczono mnie najróżniejszych przedmiotów, wszystkiego – prócz religii. Muszę przyznać, że nie otrzymałem od swoich nauczycieli nic z tego, co mogli mi przecież dać bez żadnego z ich strony wysiłku. Tym niemniej udawało mi się tu i ówdzie uszczknąć ze swojego otoczenia coś niecoś na ten temat.

Posługuję się określeniem „religia" w szerokim sensie, mając na myśli świadomość swego istnienia lub wiedzę o sobie samym.

Jako urodzony w kulcie Wisznu, musiałem często chodzić do *haveli* (świątyni). Nigdy mnie to nie pociągało. Nie lubiłem zewnętrznego blichtru tej świątyni ani jej pompatyczności. Dochodziły mnie również słuchy o niemoralnych czynach, jakie się tam praktykowało, i w końcu zupełnie przestałem się tym interesować. Od tej pory *haveli* nic mi nie mogła dać.

To jednak, czego nie mogłem uzyskać tam, otrzymywałem od mojej piastunki, starej służącej w naszej rodzinie, o której przywiązaniu do mnie zawsze pamiętam. Wspomniałem już wcześniej, że ogromnie się bałem wszelkich duchów i zjaw. Rambha – tak nazywała się owa piastunka – poradziła mi, abym jako lekarstwo na te lęki powtarzał *Ramanamę*[39].

Miałem co prawda więcej zaufania do niej aniżeli do zalecanego przez nią lekarstwa i oto w bardzo wczesnym wieku zacząłem powtarzać *Ramanamę*, by wyleczyć się ze strachu przed duchami i zjawami. Oczywiście trwało to dość krótko, ale dobre ziarno posiane w dzieciństwie wydało swe plony. Sądzę, że dzięki tej dobrej kobiecie *Ramanama* stała się dla mnie dziś niezawodnym środkiem uzdrawiającym.

W tym samym czasie mój kuzyn, który był zapalonym wielbicielem *Ramajany*[40], zorganizował dla mnie i dla mego drugiego brata naukę *Ramarakszy*[41]. Uczyliśmy się jej na pamięć i niejako rytuałem stało się dla nas recytowanie jej każdego ranka po kąpieli. Uprawialiśmy ten zwyczaj podczas pobytu w Porbandarze. Gdy przeprowadziliśmy się do Radżkotu, zapomnieliśmy o nim, gdyż nie bardzo wierzyłem w jego skuteczność. Recytowałem te wersety, szczycąc się przeważnie tym, że potrafię deklamować *Ramarakszę,* posługując się prawidłową wymową.

Odczytywanie *Ramajany* w obecności mego ojca czyniło na mnie głębokie wrażenie. Pewien okres swej choroby ojciec spędził w Porbandarze. Wtedy każdego wieczoru zwykł słuchać, jak recytowano *Ramajanę.* Recytatorem był zapalony wyznawca Ramy, Ladha Maharadża z Bileświaru[42]. Opowiadano o nim, że uleczył siebie z trądu nie za pomocą leków, lecz przykładając do porażonych części ciała liście rośliny *bilva*[43], która po zerwaniu została złożona przed obrazem Mahadewy w świątyni w Bileświarze, oraz przez systematyczne powtarzanie

---

39 Ramanama – imię boga Ramy; powtarzanie tego imienia ma rzekomo zdolność uzdrawiającą.

40 *Ramajana* – epos narodowy.

41 *Ramaraksza* – dosłownie obrona Ramy.

42 Bileświar – mała wioska w rejonie Porbandaru. Znajduje się w niej znana stara świątynia.

43 *Bilva* – owoc przypominający granat, ma właściwości lecznicze.

Ramanamy. Potęga wiary miała go uczynić odpornym na choroby. Nie wiem, czy to odpowiada prawdzie, czy nie, w każdym razie myśmy bez zastrzeżeń w to wierzyli, a ciało Ladhy Maharadży, gdy rozpoczynał recytowanie *Ramajany,* całkowicie uwalniało się od znaków trądu. Miał on bardzo melodyjny głos. Potrafił śpiewać *dohy* (zwrotki) i *śloki* (czterowiersze), umiał wyjaśniać ich sens, wdając się w długie rozważania i wciągając w nie swych słuchaczy.

Miałem wtedy zapewne około trzynastu lat, ale doskonale przypominam sobie, jaki byłem przejęty jego recytacjami. Posłużyło to później za podstawę głębokiego uwielbienia, jakie żywię dla *Ramajany.* Dziś uważam *Ramajanę* Tulasidasa[44] za jedną z najznakomitszych ksiąg w dziedzinie literatury religijnej.

Parę miesięcy później przenieśliśmy się do Radźkotu. Czytanie *Ramajany* zostało przerwane, natomiast każdego dnia *ekadaśi* (jedenasty dzień w księżycowym miesiącu: pół światła i pół mroku) odczytywano *Bhagawad*[45].

Niekiedy asystowałem przy odczytywaniu, ale recytator był mało porywający. Dziś zdaję sobie sprawę, że *Bhagawad* jest księgą zdolną do wywołania zapału religijnego. Czytałem ją w języku gudźarati z najwyższym zainteresowaniem. Kiedy jednak usłyszałem podczas swojego dwudziestojednodniowego postu recytację fragmentów oryginału wykonaną przez pandita[46] Madana Mohana Malaviyę[47], żałowałem, iż nie było mi dane usłyszeć tego w dzieciństwie z ust takiego znawcy, co niewątpliwie już w dziecięcych latach uczyniłoby ze mnie miłośnika tej księgi.

Wrażenia odebrane w tym wieku zakorzeniają się głęboko w ludzkiej duszy i dlatego nie przestaję żałować, iż nie miałem wtedy szczęścia wysłuchać odczytywania większej liczby podobnych ksiąg.

W Radźkocie otrzymałem pierwsze podstawy zalecające tolerancję wobec wszystkich odmian hinduizmu oraz pokrewnych wierzeń. Moi rodzice odwiedzali zarówno świątynie Wisznu, jak świątynie Śiwy lub Ramy i albo zabierali nas ze sobą, albo posyłali nas. Również zakonnicy dżiniści często odwiedzali mego ojca i nawet przyjmowali od nas posiłki, chociaż nie byliśmy wyznawcami dżinizmu. Prowadzili oni rozmowy z moim ojcem na tematy religijne i świeckie.

---

44 Tulasidas (1535–1623) – autor *Ramajany* i innych poematów.

45 *Bhagawad* – legenda o bogu Wisznu, tekst sanskrycki z X w.

46 Pandit – sanskrycki tytuł nadawany erudytom hinduistycznym oraz indyjskim profesjonalistom w jakiejkolwiek dziedzinie.

47 Madan Mohan Malaviya (1861–1946) – adwokat, działacz polityczny, obrońca kultury hinduskiej, jeden z założycieli uniwersytetu indyjskiego w Benaresie (obecnie Waranasi).

Prócz tego ojciec miał przyjaciół muzułmanów i parsów, którzy prowadzili z nim rozmowy na temat swych wierzeń, a ojciec wysłuchiwał ich zawsze z szacunkiem, a niekiedy z dużym zainteresowaniem.

Pełniąc przy ojcu czynności pielęgniarza, często miałem sposobność asystować przy podobnych rozmowach. Wiele z tego, co słyszałem, zaszczepiło we mnie tolerancję dla wszystkich wierzeń religijnych.

Wyjątek w owym czasie stanowiło jedynie chrześcijaństwo. Rozwinęła się we mnie jakaś niechęć do niego. Skądinąd – słuszna. W owych czasach misjonarze chrześcijańscy ustawiali się zazwyczaj na najbliższym naszego liceum narożniku i lżyli zarówno hindusów, jak i czczonych przez nich bogów. Nie mogłem tego ścierpieć. Zaledwie raz przystanąłem, by posłuchać, co mówią, ale wystarczyło mi to, bym nigdy więcej tego nie powtórzył.

W tym samym mniej więcej czasie słyszałem, jak pewien bardzo znany hindus został nawrócony na chrześcijaństwo. Całe miasto mówiło wtedy o tym, jak dokonano na nim obrzędu chrztu, jak spożywa mięso i pije trunki wyskokowe, jak zmienił sposób ubierania się i od tego czasu chodził w europejskim ubraniu, a nawet w kapeluszu.

Wszystko to działało mi na nerwy. Nie ulega wątpliwości – rozumowałem wtedy – że religia, która zmusza człowieka do jedzenia mięsa, picia wódki i zmiany sposobu ubierania się, nie zasługuje na miano religii. Doszły mnie również słuchy, iż ów nowo nawrócony wykpiwał wiarę swych przodków, ich obyczaje i swój kraj ojczysty. Wszystko to przyczyniało się do tego, że zdecydowanie nie lubiłem chrześcijaństwa.

To jednak, że przywykłem okazywać tolerancję dla innych religii, bynajmniej nie oznaczało, że żywiłem w duszy jakąkolwiek wiarę w istnienie Boga. Tak się złożyło, że właśnie w owym czasie zetknąłem się z kodeksem *Manusmryti*[48], znajdującym się w księgozbiorze mego ojca. Historia stworzenia świata oraz podobne rzeczy nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia – wręcz przeciwnie: skłoniły mnie raczej do ateizmu.

Miałem wtedy pewnego kuzyna, dziś jeszcze żyjącego, dla którego intelektu odczuwałem wielki szacunek. Do niego skierowałem się ze swymi wątpliwościami – jednak nie był on w stanie ich rozwiązać. Odesłał mnie z taką oto odpowiedzią: „Kiedy dorośniesz, sam rozwikłasz swe wątpliwości. W twoim wieku nie powinno się poruszać podobnych spraw".

48 *Manusmryti* – rodzaj kodeksu religijnego i moralnego braminizmu (prawa *Manu*).

Umilkłem, lecz nie doznałem żadnej ulgi. Rozdziały dotyczące wstrzemięźliwości w jedzeniu oraz inne, poruszające podobne sprawy, wydały mi się w kodeksie *Manu* czymś sprzecznym z codzienną praktyką. Na moje wątpliwości związane z tymi zagadnieniami otrzymałem podobną odpowiedź. Wtedy powiedziałem sobie: „Kiedy będziesz miał bardziej rozwinięty umysł i będziesz bardziej oczytany, sam to wszystko zrozumiesz…".

W każdym razie to nie kodeks *Manu* nauczył mnie ahimsy, czyli niesprzeciwiania się złu i niewyrządzania nikomu krzywdy.

Opowiedziałem już o tym, jak spożywałem mięso. *Manusmryti* zdawał się to pochwalać, wynikało z niego również, że nie jest czymś niemoralnym zabijanie żmij, robaków i innych żyjących stworzeń. Pamiętam, że zabijałem wtedy robaki i wszelkie owady, uważając to za obowiązek.

Głęboko jednak zakorzeniło się we mnie przeświadczenie, iż moralność jest podstawą wszystkiego, a prawda jest nieodzownym składnikiem wszelkiej moralności. Toteż prawda stała się jedynym celem, do którego dążyłem. To przeświadczenie wzrastało we mnie z każdym dniem, a moje ujmowanie istoty prawdy coraz bardziej się rozszerzało.

Pewien pouczający wiersz, napisany w języku gudźarati, wbił mi się jednocześnie w umysł i w serce. Postępować zgodnie z nim – niezależnie od tego, czy mi to wyjdzie na dobre, czy na złe – stało się moją naczelną zasadą. To pragnienie opanowało mnie do tego stopnia, że podjąłem szereg usiłowań w tym kierunku. Oto te przecudowne (dla mnie) strofy:

Za wody kubek – jadłem hojnie obdarz,
Za powitanie miłe – pokłon złóż do ziemi,
Za zwykły miedziak – odpłać złotem,
A jeśli ocaleć chcesz w życiu – żyj rozumnie.
Oto są słowa i czyny, jakie rozwaga dyktuje.
Każdą, najmniejszą przysługę wynagrodź stokrotnie.
Człek prawdziwie szlachetny wszystkich jednako traktuje –
I dobrem płaci za zło mu wyrządzone.

XI. PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU DO ANGLII

Egzaminy maturalne złożyłem w 1887 roku. Odbywały się one w dwóch miastach: Ahmedabadzie i Bombaju. Powszechne ubóstwo kraju zmuszało uczniów do wybierania najbliższego i najtańszego miasta. Ubóstwo mojej rodziny dyktowało mi podobny wybór. Była to moja pierwsza podróż, którą odbyłem z Radźkotu do Ahmedabadu, i w dodatku sam. Moja rodzina życzyła sobie, abym po złożeniu matury kontynuował naukę w college'u. Jeden znajdował się w Bhawnagadzie[49], drugi w Bombaju, a że pierwszy był tańszy, obrałem to miasto i wstąpiłem do Samaldas College. Zacząłem uczęszczać na wykłady, ale wkrótce poczułem się jak rzucony na fale bezbrzeżnego oceanu. Wszystko było ogromnie trudne. Nie byłem w stanie nie tylko nadążyć, ale nawet zrozumieć wykładów moich profesorów. Nie było to zresztą ich winą. Wykładowcy w tym college'u uważani byli za bardzo dobrych – to ja byłem niedouczony. Pod koniec pierwszego semestru wróciłem do domu.

W osobie Mawdźiego Dave'a, który był przebiegłym i wykształconym braminem, mieliśmy starego przyjaciela i doradcę naszej rodziny. Utrzymywał on bliskie stosunki z nami nawet po śmierci ojca. Tak się złożyło, że odwiedził nas podczas moich ferii. W rozmowie z matką i moim starszym bratem dopytywał się o moje postępy w nauce. Dowiedziawszy się, że studiuję w Samaldas College, powiedział: „Czasy się zmieniły. Żaden z was nie może mieć nadziei na dziedzictwo *gadi* (tronu) waszego ojca, jeżeli nie otrzyma właściwego wykształcenia. Wobec tego, że ten młodzieniec kontynuuje studia, powinniście wszyscy dbać o to, aby uzyskał ojcowski *gadi.* Otrzymanie stopnia B.A.[50] zajmie mu od czterech do pięciu lat, i w najlepszym razie pozwoli objąć stanowisko za pięćdziesiąt rupii, ale nie wystarczy do zostania diwanem. Jeżeli, podobnie jak mój syn, wybierze studia prawnicze, zajmie mu to jeszcze więcej czasu, a tymczasem zjawi się mnóstwo prawników, którzy będą się ubiegali o stanowisko diwana. Byłbym raczej zdania, byście go posłali do Anglii. Mój syn, Kewalram, powiada, że można tam bardzo łatwo zostać adwokatem. On wraca za trzy lata. Koszt studiów nie wyniesie więcej niż cztery do pięciu tysięcy rupii. Spójrzcie tylko na tego adwokata, który właśnie powrócił z Anglii. Jaki wytworny tryb życia prowadzi.

49 Bhawnagad – miasto i port w Katiawadzie.

50 B.A. – Bachelor of Arts, tytuł naukowy – magister.

Niechby tylko zechciał zostać diwanem, a przyznano by mu zaraz tę godność. Bardzo usilnie doradzałbym wam wysłać Mohandasa do Anglii jeszcze w tym roku. Kewalram ma licznych przyjaciół w Anglii, da mu listy polecające i wasz syn będzie miał tam wszystko ułatwione".

Joszidźi[51], jak przywykliśmy nazywać starego Mawdźiego Dave'a, zwrócił się do mnie z pewną siebie miną i zapytał: „Czy nie wolałbyś wyjechać do Anglii, niż studiować tutaj?".

Niczego nie pragnąłem bardziej! Trudności, jakie mi sprawiały studia na miejscu, bardzo mnie onieśmielały, zerwałem się więc z miejsca na tę propozycję i odpowiedziałem, że im wcześniej to nastąpi, tym lepiej. Złożenie egzaminów nie było rzeczą łatwą, czy nie mógłbym więc zacząć studiować medycyny?

Brat mi przerwał: „Ojciec nigdy nie lubił medycyny. Miał właśnie ciebie na myśli, kiedy mówił, że my, wyznawcy Wisznu, nie powinniśmy mieć nic wspólnego z krajaniem trupów. Ojciec przeznaczył ciebie na studia prawnicze".

Joszidźi przyklasnął tym słowom, mówiąc: „Nie jestem tak jak wasz ojciec przeciwny studiom medycznym. Nasze śastry[52] również nie są temu przeciwne, ale zawód lekarza nie uczyni z ciebie diwana, a ja pragnąłbym, abyś nim został albo nawet kimś więcej. Jedynie obierając tę drogę, będziesz mógł zapewnić pomoc waszej licznej rodzinie. Czasy zmieniają się szybko i są coraz trudniejsze – dlatego obecnie najmądrzej jest zostać adwokatem".

Zwracając się do mojej matki, *joszidźi* dodał: „A teraz muszę już odejść. Zastanówcie się nad tym, co powiedziałem. Mam nadzieję, że kiedy przybędę do was następnym razem, dowiem się o twoich przygotowaniach do podróży do Anglii. Proszę, dajcie mi znać, czy mogę wam być w czymś pomocny".

Joszidźi odszedł, a ja zacząłem budować zamki na lodzie.

Mój starszy brat był poważnie zatroskany. Jak znaleźć fundusze na wysłanie mnie? I w ogóle czy można było mieć zaufanie do takiego jak ja młodzika i wysłać go samego za granicę?

Matka się zamartwiała. Nie była skłonna się ze mną rozstawać. Oto jakimi sposobami usiłowała odwieść mnie od tego zamiaru: „Stryj – mówiła – jest teraz najstarszym członkiem rodziny. Powinno się przede wszystkim zasięgnąć jego rady. Jeżeli on wyrazi swą zgodę, zajmiemy się tym".

---

51 *Joszidźi* – astronom, astrolog.

52 Śastry – zbiór pism dotyczących moralności, logiki.

Mój brat był innego zdania i powiedział do mnie: „Mamy pewne roszczenia wobec rządu Porbandaru. Mister Lely jest administratorem i jest bardzo dobrego zdania o naszej rodzinie, stryj jest również bardzo dobrze notowany u niego. Możliwe, że uda mu się uzyskać pewną pomoc rządową na twoje studia w Anglii".

Bardzo mi to odpowiadało i czyniłem przygotowania do wyjazdu do Porbandaru. Kolei w owych czasach jeszcze nie było. Miałem przed sobą pięciodniową podróż wozem, ciągnionym przez woły. Przyznałem się już przedtem do tego, że byłem tchórzem, ale moje tchórzostwo rozwiało się wobec gorącego, całkowicie pochłaniającego mnie pragnienia wyjazdu do Anglii. Wynająłem wóz zaprzężony w woły aż do Dhoradży, a stamtąd ruszyłem w drogę na wielbłądzie, chcąc w ten sposób o jeden dzień wcześniej przybyć do Porbandaru. Była to moja pierwsza jazda na wielbłądzie. Wreszcie przybyłem na miejsce, z pokorą pozdrowiłem mego stryja i opowiedziałem mu o wszystkim. Stryj zastanowił się i odrzekł: „Nie mam pewności, czy pobyt w Anglii nie odbije się niekorzystnie na twoich uczuciach religijnych. Sądząc z tego, co słyszałem, mam raczej pewne wątpliwości. Spotykając się z tymi znakomitymi adwokatami, nie spostrzegam żadnej różnicy pomiędzy nimi a Europejczykami. O ile chodzi o sprawy odżywiania się, nie mają oni żadnych skrupułów. Nie wyjmują cygar z ust. Ubierają się równie bezwstydnie jak Anglicy. Wszystko to stoi w sprzeczności z naszymi rodzinnymi tradycjami. Ja sam wkrótce udam się na pielgrzymkę, niewiele mi już pozostało lat życia. Jakżebym mógł, stojąc u progu śmierci, pozwolić ci na wyjazd do Anglii, na przebycie tylu mórz? Nie chcę jednak stanąć w poprzek twojej drogi, tu chodzi przecież głównie o zgodę twojej matki. Jeżeli ona ci pozwoli – ruszaj z Bogiem! Powiedz jej, że się nie sprzeciwiam. Wyjedziesz, mając moje błogosławieństwo".

– Niczego więcej nie pragnę od ciebie, stryju! – odpowiedziałem. – Będę usiłował teraz przekonać moją matkę. A czy stryj nie mógłby mi dać polecającego listu do mister Lely'ego?

– Jakże mógłbym to zrobić? – odparł stryj. – Ale to jest bardzo dobry człowiek. Postaraj się, by cię przyjął, i opowiedz mu, z jakiej pochodzisz rodziny. Z pewnością okaże ci pomoc.

Nie rozumiem, dlaczego stryj nie dał mi owego listu polecającego. Mam jednak wrażenie, że nie chciał współdziałać w sprawie mego wyjazdu do Anglii, który uważał za sprzeczny z zasadami religijnymi.

Napisałem do mister Lely'ego, który wezwał mnie, bym się zgłosił do jego rezydencji. Spostrzegł mnie, idąc do góry schodami, oświadczył oschle: „Niech

pan wpierw złoży swój magisterski egzamin i następnie zobaczy się ze mną. Na razie nie mogę panu okazać żadnej pomocy". Po czym szybko pobiegł schodami.

A ja tak starannie przygotowałem się do tego spotkania. Nauczyłem się na pamięć kilku sentencji, umiałem składać niski pokłon i pozdrawiać go obiema rękami. Wszystko na próżno.

Pomyślałem wtedy o biżuterii mojej żony, o moim starszym bracie, w którym pokładałem wszystkie swe nadzieje. Był hojny aż do przesady i kochał mnie jak swego syna.

Wróciłem więc z Porbandaru do Radźkotu i opowiedziałem o wszystkim, co miało miejsce. Zapytałem o radę joszidźiego, który sądził nawet, że mogę zaciągnąć na ten cel pożyczkę. Zaproponowałem zastawienie kosztowności mojej żony, za co dałoby się otrzymać od dwóch do trzech tysięcy rupii. Brat również obiecał postarać się o pieniądze.

Matka wciąż jeszcze była przeciwna memu wyjazdowi. Zaczęła gromadzić szczegółowe informacje: ktoś powiedział jej, że młodzież wykoleja się w Anglii, inny – że przyzwyczaja się do spożywania mięsa, jeszcze ktoś opowiedział, jakoby ta młodzież nie mogła żyć bez alkoholu.

– I cóż ty na to? – zapytywała mnie matka.

Na co odpowiadałem:

– Nie masz, matko, do mnie zaufania? Nie będę cię okłamywał, przysięgam jedynie, że nie dotknę żadnej z tych rzeczy. Czy *joszidźi* pozwoliłby mi wyjechać, gdyby istniało podobne niebezpieczeństwo?

– Mam do ciebie zaufanie… – mówiła matka – ale jak ci zaufać, skoro będziesz tak daleko? Jestem w rozterce i nie wiem, co czynić. Zasięgnę rady u swamiego Behadźiego.

Swami Behadźi, z pochodzenia *modh bania*[53], został zakonnikiem dżinistów. Był, podobnie jak *joszidźi*, doradcą naszej rodziny i przyszedł mi z pomocą, oświadczając: „Każę mu złożyć trzy uroczyste ślubowania i wtedy można będzie pozwolić, by wyjechał".

Zorganizował więc uroczyste złożenie przeze mnie trzech przysiąg: nie pić wina, nie jeść mięsa, nie obcować z kobietami.

Po złożeniu przyrzeczeń matka udzieliła mi zezwolenia na wyjazd. Liceum urządziło na moją cześć pożegnalny wieczór. Wyjazd młodego człowieka

53 *Modh bania* – podkasta w kaście kupców.

z Radźkotu do Anglii był bądź co bądź niezwykłym wydarzeniem. Napisałem kilka słów podziękowania, z trudem jednak potrafiłem je wyjąkać. Pamiętam, jak kręciło mi się w głowie i jak cały dygotałem, kiedy wstałem, by je wygłosić.

Pobłogosławiony na drogę przez wszystkich starszych członków rodziny, wyjechałem do Bombaju. Była to moja pierwsza podróż z Radźkotu do Bombaju. Mój brat mi towarzyszył. Nie wszystko jednak poszło gładko. W Bombaju spotkały nas pewne trudności.

XII. WYKLĘTY

patrzony matczynym zezwoleniem i błogosławieństwami wyruszyłem pełen radości do Bombaju, zostawiwszy w domu żonę i kilkumiesięczne dziecko. Kiedy przybyliśmy na miejsce, przyjaciele mego brata oświadczyli mu, że w czerwcu i lipcu Ocean Indyjski jest bardzo burzliwy, a wobec tego, że ma to być moja pierwsza podróż morzem, ich zdaniem powinienem odłożyć wyjazd aż do listopada. Ktoś dodał, że właśnie niedawno podczas burzy zatonął parowiec.

Wszystko to sprawiło, że brat zabronił mi wyruszyć w owym czasie w tak ryzykowną podróż. Zostawiwszy mnie u swego przyjaciela w Bombaju, sam powrócił do Radźkotu. Pieniądze przeznaczone na moją podróż dał na przechowanie szwagrowi, a swych przyjaciół prosił, by w razie potrzeby okazali mi pomoc.

Mój pobyt w Bombaju przedłużał się niepomiernie. Nie przestawałem marzyć o dniu wyjazdu do Anglii. Tymczasem członkowie tej samej co ja kasty byli ogromnie wzburzeni moim zamiarem udania się do Anglii. Żaden z hindusów przynależnych do *modh bania* nie był dotychczas w Anglii, a jeżeli ja mam zamiar uczynić coś podobnego, to należy mi to wyperswadować! W tym celu zostało zwołane zebranie całej kasty, a mnie wezwano do stawienia się na nim. Uczyniłem to. W jaki sposób potrafiłem się zdobyć na podobną odwagę – nie umiem powiedzieć. Pewny siebie, bez najmniejszych wahań stanąłem przed tym zebraniem.

Szeth[54] – przewodniczący gminy – który był moim dalekim krewnym i utrzymywał przyjazne stosunki z moim ojcem, od razu wystąpił z oskarżeniem przeciwko mnie.

54 *Szeth* – kupiec lub bankier.

– Twój zamiar udania się do Anglii – oświadczył mi – został uznany przez naszą kastę za niewłaściwy. Nasza religia nie pozwala na odbywanie zamorskich podróży. Słyszeliśmy również, że jest niemożliwe żyć w tamtym kraju, nie narażając na szwank naszej religii. Jest się tam zmuszonym jeść i pić wraz z Europejczykami!

Na co odpowiedziałem:

– Bynajmniej nie sądzę, by nasza religia była przeciwna wyjazdom do Anglii. Zamierzam udać się do tego kraju dla dalszych studiów. Uroczyście przyrzekłem mojej matce, iż powstrzymam się od robienia tych trzech rzeczy, których się najwięcej obawiacie. Jestem pewien, że to ślubowanie uchroni mnie od złego!

– A my zapewniamy ciebie – podjął ponownie *szeth* – że dotrzymanie w tamtym kraju wierności naszej religii jest niemożliwe. Wiesz, jakie stosunki łączyły mnie z twoim ojcem, i powinieneś posłuchać mojej rady!

– Wiem o tym – odrzekłem – jesteście starsi ode mnie, ale nic na to nie poradzę. Nie mogę zrezygnować z wyjazdu do Anglii. Przyjaciel i doradca mego ojca, uczony bramin, nie widzi żadnych przeszkód, bym wyjechał, a moja matka i bracia również wyrazili zgodę.

– Złamiesz przykazania naszej kasty!

– Trudno! Moim zdaniem kasta nie powinna się wtrącać do tych spraw.

Ta odpowiedź oburzyła szetha. Rzucił na mnie przekleństwo. Siedziałem jak skamieniały. Wtedy *szeth* wyrzekł te oto słowa: „Ten chłopiec od dziś jest wyklęty! Każdy, kto mu przyjdzie z pomocą lub odprowadzi go do przystani, skąd będzie odpływał, zostanie ukarany przeze mnie grzywną w wysokości jednej rupii i czterech ann!"

Ten wyrok nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Odszedłem, zastanawiając się jednak nad tym, jak postąpi mój brat. Na szczęście pozostał przy swoim i napisał do mnie, zapewniając, że udziela mi nadal swego zezwolenia oraz że słowa szetha nie mają znaczenia.

To wydarzenie zwiększyło jednak moje obawy związane z wyjazdem do Anglii. Co będzie, jeżeli im się uda skłonić mego brata do zmiany decyzji? A może zajdą jakieś nieprzewidziane wypadki?

Kiedy się więc zamartwiałem, dowiedziałem się naraz, że pewien prawnik z Dżunagadhu udaje się do Anglii, wezwany do stawienia się przed sądem, i że odpływa statkiem czwartego września. Spotkałem się z przyjaciółmi, których mój brat przed wyjazdem prosił, by się mną opiekowali. Ci również byli zdania, że powinienem skorzystać z okazji i udać się w podróż w tak odpowiednim

towarzystwie. Nie było więc czasu do stracenia. Wysłałem telegram do brata, prosząc go o pozwolenie wyjazdu, na co otrzymałem zezwalającą odpowiedź.

Zwróciłem się do szwagra, by mi dał pieniądze, ale on powołał się na słowa szetha i powiedział, że nie może narazić się na wyrzucenie go z kasty. Odwołałem się wtedy do przyjaciela naszej rodziny z prośbą o umożliwienie mi opłacenia kosztów podróży oraz związanych z nią wydatków. Pieniądze wyłożone na mnie miały być zwrócone przez mego brata. Ów przyjaciel nie tylko spełnił moją prośbę, ale wszelkimi sposobami podtrzymał mnie na duchu. Byłem mu za to bezgranicznie wdzięczny.

Część otrzymanych od niego pieniędzy natychmiast wydałem na opłacenie kosztów przejazdu, następnie musiałem się odpowiednio wyekwipować! Pomocą i radą służył mi inny przyjaciel naszej rodziny, który miał duże doświadczenie w tych sprawach. Kupił dla mnie ubranie i różne inne rzeczy. Niektóre części garderoby podobały mi się, innych nie lubiłem. Na przykład krawaty, które później chętnie nosiłem, z początku wydawały mi się czymś obrzydliwym. Krótką marynarkę również uważałem za nieskromny strój. Wszystkie te uprzedzenia były jednak bez znaczenia wobec pragnienia znalezienia się w Anglii, które ogarnęło mnie wszechwładnie. Miałem również aż nadto wszelkiej żywności na czas podróży. Mój przyjaciel zarezerwował dla mnie miejsce w tej samej kabinie, w której miał odbyć podróż ów prawnik, nazwiskiem Trjambakrai Mazmudar. Zostałem mu przedstawiony.

Był to mężczyzna w sile wieku, dobrze znający świat i mający duże doświadczenie, natomiast ja byłem całkowicie niedoświadczonym osiemnastoletnim młodzikiem. Mazmudar zapewnił moich przyjaciół, że mogą być o mnie spokojni.

Czwartego września odpłynąłem wreszcie z Bombaju.

XIII. NARESZCIE W LONDYNIE

Na statku wcale nie przechodziłem morskiej choroby, jednak po pierwszym dniu podróży ogarnął mnie jakiś niepokój. Byłem tak nieśmiały, że nie miałem odwagi przemówić nawet do służby okrętowej. Byłem zresztą zupełnie nieprzyzwyczajony do rozmawiania po angielsku, a oprócz owego prawnika, Mazmudara, wszyscy pozostali pasażerowie w drugiej klasie byli Anglikami. Nie potrafiłem prowadzić z nimi rozmów,

gdyż często nie rozumiałem słów, którymi się do mnie zwracali, a niekiedy nawet rozumiejąc, nie umiałem na nie odpowiedzieć. Każde bowiem zdanie musiałem przed wypowiedzeniem długo tłumaczyć w myślach. Nie umiałem się posługiwać nożem ani widelcem, nie śmiałem się zapytać, które z podawanych dań zawiera mięso, i dlatego nigdy nie jadłem przy wspólnym stole, lecz w swojej kabinie, przy czym moje posiłki składały się przeważnie ze słodyczy i owoców, które zabrałem ze sobą.

Natomiast Mazmudar nie miał żadnych trudności i obcował ze wszystkimi na statku. Spacerował swobodnie po pokładzie, podczas gdy ja cały dzień siedziałem ukryty w kabinie i wychodziłem jedynie wtedy, gdy na pokładzie było mało ludzi. Mazmudar wciąż mnie zachęcał, bym zawarł znajomości z innymi pasażerami i bez skrępowania z nimi rozmawiał. Mówił przy tym, że adwokat powinien mieć „długi język", i opowiadał mi o swoich prawniczych doświadczeniach. Radził mi również, bym korzystał z każdej nadarzającej się sposobności i rozmawiał po angielsku, nie obawiając się popełnienia błędów, co jest nieuniknione przy posługiwaniu się obcym językiem. Jednak nic nie mogło przełamać mojej nieśmiałości.

Pewien pasażer Anglik, zwracając się do mnie bardzo uprzejmie, wciągnął mnie w rozmowę. Był starszy ode mnie. Pytał mnie, co jem, kim jestem, dokąd się udaję, czemu jestem taki nieśmiały i tak dalej. Namawiał mnie również, bym jadał przy ogólnym stole. Śmiał się przy tym z mojego uporu niejadania mięsa i kiedy byliśmy jeszcze na Morzu Czerwonym, w nad wyraz życzliwy sposób powiedział:

– To wszystko jest bardzo słuszne, ale będzie pan musiał zmienić swój pogląd, gdy znajdziemy się w Zatoce Biskajskiej. W Anglii jest tak zimny klimat, że niepodobna tam mieszkać, nie jedząc mięsa.

– A ja słyszałem, że ludzie żyją tam, obywając się bez jedzenia mięsa – odparłem.

– Zapewniam pana, że to nieprawda! O ile mi wiadomo, w Anglii każdy musi jeść mięso. Przecież nie namawiam pana do picia mocnych trunków, pomimo że sam to robię. Zdaje mi się jednak, że powinien pan jadać mięsne potrawy, bo trudno będzie panu wyżyć w Anglii bez tego.

– Dziękuję panu za te życzliwe rady – odpowiedziałem – ale przyrzekłem matce, że nie będę jadał mięsa. Gdyby się okazało, że nie sposób obejść się bez tego, gotów jestem raczej powrócić do Indii, aniżeli zostać i złamać moje przyrzeczenie.

Wpłynęliśmy do Zatoki Biskajskiej, ale nie odczuwałem jakiejkolwiek potrzeby jedzenia mięsa ani picia mocnych trunków. Poradzono mi, abym zebrał parę zaświadczeń stwierdzających, iż powstrzymałem się na statku od spożywania mięsa. Zwróciłem się więc do tego życzliwie dla mnie usposobionego Anglika, by zechciał mi je napisać. Chętnie mi je dał, a ja przez pewien czas przechowywałem je skrzętnie jak coś bardzo cennego. Kiedy jednak przekonałem się później, że można otrzymać takie poświadczenie, pomimo że się jada mięso, ów papierek stracił dla mnie wszelką wartość. Jeżeli moje słowo nie zasługiwało na zaufanie, jakąż wartość mogło przedstawiać posiadanie podobnego zaświadczenia?

Do Southampton przybyliśmy, o ile sobie przypominam, w sobotę. Na statku byłem ubrany w czarne ubranie, a białe wełniane, kupione dla mnie przez mego przyjaciela, leżało schowane w kabinie, przygotowane do włożenia w chwili, kiedy będziemy lądowali. Sądziłem, że biały strój bardziej się nadaje w takiej chwili, i dlatego się przebrałem. Były to ostatnie dni września. Wkrótce spostrzegłem, że jestem jedyną osobą ubraną na biało. Swój bagaż oddałem do dalszego wysłania firmie Grindlay and Co, widząc, że inni robią to samo.

Byłem w posiadaniu czterech polecających listów: do doktora P.J. Mehty, do Dalpatrama Shukli, do księcia Randżitsinhdźiego i do Dadabhai Naorodźiego. W Londynie ktoś na statku poradził mi zatrzymać się w hotelu Victoria. Mazmudar i ja udaliśmy się tam. Byłem ogromnie zażenowany tym, że jestem jedyną osobą ubraną w białe ubranie. Po przybyciu do hotelu dowiedziałem się, że moje rzeczy nadejdą dopiero pojutrze, gdyż następnego dnia była niedziela. Byłem zrozpaczony.

Doktor Mehta, do którego wysłałem telegram z Southampton, zjawił się tego samego dnia o ósmej wieczorem. Powitał mnie serdecznie, uśmiechając się na widok mojego białego ubrania. Rozmawiając z nim, od czasu do czasu dotykałem ręką jego cylindra, głaszcząc jego błyszczącą powierzchnię, robiłem to jednak w niewłaściwym kierunku i zwichrzyłem jego gładkość.

Doktor Mehta z niezadowoleniem spojrzał na mnie i odebrał z moich rąk cylinder, ale wyrządzonej mu przykrości nie dało się już zatrzeć. To wydarzenie stało się dla mnie przestrogą na przyszłość. Była to pierwsza udzielona mi lekcja zachowywania się po europejsku, chociaż doktor Mehta potraktował ją dość humorystycznie. „Nie należy dotykać cudzych rzeczy – powiedział mi wtedy. – Nie należy zadawać pytań, jak to przywykliśmy czynić w Indiach od

pierwszej chwili zawarcia znajomości, nie należy mówić zbyt głośno, nie powinno się zwracać do osoby, z którą się rozmawia, mówiąc wciąż «sir», jak to jest w zwyczaju w Indiach. Jedynie służba i podwładni używają tutaj potocznie tego zwrotu". Takich oto i temu podobnych rad udzielał mi doktor Mehta.

Powiedział mi również, iż mieszkanie w hotelu jest bardzo kosztowne, i poradził, bym zamieszkał przy rodzinie. Odłożyliśmy załatwienie tego do poniedziałku.

Zarówno Mazmudar, jak i ja doszliśmy do przekonania, że nie ma sensu mieszkać w hotelu, co zresztą stanowiło duży wydatek. Na statku razem z nami płynął pewien podróżny z Malty, hindus z prowincji Sindh, który zaprzyjaźnił się z Mazmudarem. Znał dobrze Londyn i zaproponował nam znalezienie odpowiednich dla nas pokojów. Chętnie się zgodziliśmy i w poniedziałek, zaraz po nadejściu naszych bagaży, zapłaciliśmy rachunek w hotelu i przenieśliśmy się do pokojów znalezionych dla nas przez owego przyjaciela z Sindhu.

Przypominam sobie, że mój rachunek wyniósł trzy funty, co mnie po prostu przeraziło. Mimo tak wygórowanego rachunku w hotelu byłem ciągle głodny. Nic mi nie smakowało. Odsyłałem jedną potrawę, zamawiałem drugą, ale płacić musiałem za obydwie. Żywiłem się cały czas tym, co zabrałem z Bombaju.

W nowym mieszkaniu nie czułem się zbyt dobrze. Nie przestawałem myśleć o swoim domu, o swoim kraju. Pamięć o matczynej miłości nie odstępowała mnie na chwilę. W nocy łzy spływały mi po policzkach, a wspomnienia rodzinnego domu odbierały mi sen. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym podzielić się trapiącym mnie bólem. Zresztą, gdybym nawet miał, co by mi z tego przyszło? Wiedziałem, że nikt nie jest w stanie mi pomóc.

Wszystko dokoła było mi obce: ludzie, ich tryb życia, nawet ich mieszkania. Byłem zupełnym nowicjuszem w sprawach przestrzegania angielskiej etykiety i musiałem się mieć wciąż na baczności.

Moje wegetariańskie śluby powiększały wszystkie te trudności. Potrawy, które wolno mi było jeść, były niesmaczne. Znalazłem się więc pomiędzy Scyllą a Charybdą. Anglii nie znosiłem, ale o powrocie nie było nawet mowy. Wewnętrzny głos podpowiedział mi: „Skoro już tu jesteś, musisz pozostać trzy lata".

XIV. MÓJ WYBÓR

Doktor Mehta przyszedł w poniedziałek do hotelu Victoria, licząc na to, że mnie jeszcze zastanie. Dowiedział się, że się wyprowadziliśmy, otrzymał nasz nowy adres i odwiedził nas w nowym miejscu zamieszkania. Przez zwykłą głupotę podczas podróży nabawiłem się liszaja na skórze. Do mycia i kąpieli używano na statku morskiej wody, w której mydło się nie rozpuszcza. Ja jednak używałem mydła, uważając to za dowód pewnej cywilizacji – rezultat był ten, że zamiast umyć skórę, przetłuszczałem ją – no i porobiły mi się na niej liszaje. Pokazałem je doktorowi Mehcie, który zalecił mi stosowanie kwasku octowego. Pamiętam, że mi to sprawiało ogromny ból.

Doktor Mehta obejrzał mój pokoik oraz warunki, w których miałem zamieszkać, po czym potrząsnął głową, wyrażając swe niezadowolenie. ,,To się nie nadaje dla ciebie, mój przyjacielu – powiedział. – Przyjeżdżamy do Anglii nie tylko dla odbycia studiów, lecz również, by przyjrzeć się angielskiemu życiu i zwyczajom. By to osiągnąć, trzeba zamieszkać przy jakiejś angielskiej rodzinie, zanim jednak to się stanie, sądzę, że przyda się pewien niedługi okres wstępnej nauki i w tym celu zabieram cię do siebie".

Z wielką wdzięcznością przyjąłem tę propozycję i przeprowadziłem się do domu, w którym mieszkał mój przyjaciel. Był on uosobieniem dobroci i troskliwości. Traktował mnie jak własnego brata, zapoznał z angielskim trybem życia, uczył mnie tutejszych zwyczajów i stopniowo przyzwyczajał do posługiwania się w rozmowie językiem angielskim.

Niestety, sprawa mojego odżywiania wciąż nastręczała znaczne trudności. Wygotowane w wodzie jarzyny, bez soli i przypraw, nie mogły mi smakować. Gospodyni gubiła się w domysłach, czym mnie karmić. Na śniadanie dostawałem płatki owsiane, co było wystarczające, natomiast od obiadów i kolacji wstawałem głodny. Mój przyjaciel namawiał mnie bez przerwy do jedzenia mięsa, ale ja stale odmawiałem, powołując się na złożone przeze mnie ślubowanie, po czym przerywałem rozmowę na ten temat.

Na obiad i na kolację dostawałem szpinak, chleb i dżem. Miałem zdrowy żołądek i dobry apetyt – potrafiłem dużo zjeść. Cóż, kiedy wstydziłem się poprosić o więcej niż dwie kromki chleba, uważając, że to „nie wypada". Muszę jeszcze dodać, że ani do obiadu, ani do kolacji nie podawano mleka. Pewnego razu mój przyjaciel, oburzony na mnie, wręcz mi powiedział: „Gdybyś był moim bratem, kazałbym ci spakować manatki! Jaką wartość ma ślubowanie

złożone matce analfabetce, która nie ma pojęcia o tutejszych warunkach życia? Nie są to, moim zdaniem, żadne ślubowania i nie mają one żadnej mocy! Upieranie się przy podobnym przyrzeczeniu jest po prostu przesądem. Chcę ci powiedzieć, mój przyjacielu, że upór nie pomoże ci w osiągnięciu czegokolwiek tutaj. Przyznałeś mi się, że jadłeś mięso i że ci ono smakowało. Robiłeś to wtedy, kiedy nie zachodziła żadna potrzeba, a nie chcesz się zgodzić teraz, gdy to jest wręcz niezbędne. Wstydziłbyś się!".

Byłem jednak nieprzejednany. Nie było dnia, aby mój przyjaciel nie sprzeczał się ze mną, spotykał się jednak z niezmienną odmową z mojej strony. Im bardziej nalegał – tym bardziej obstawałem przy swoim. Codziennie prosiłem Boga o pomoc, a On mi jej udzielał. Nie wynika jednak z tego, bym miał jakieś określone wyobrażenie o Bogu, była to raczej wiara, którą kiedyś posiała w mej duszy zacna piastunka Rambha.

Pewnego dnia mój przyjaciel zaczął mi czytać *Teorię użyteczności* Benthama. Nie byłem w stanie tego zrozumieć, język był dla mnie za trudny. Wtedy mój przyjaciel zabrał się do wyjaśniania mi wszystkiego, na co rzekłem do niego: „Wybacz mi, ale wszystkie te zawiłe sprawy są dla mnie niezrozumiałe. Zgadzam się z tym, że należy spożywać mięso, ale nie mogę złamać przyrzeczenia. Nie mogę również prowadzić sporów na ten temat, gdyż wiem, że nie potrafię ci dorównać w doborze argumentów. Daj mi więc spokój i uważaj mnie za głupca lub upartego. Bardzo cenię twą miłość do mnie i wiem, że jesteś mi jak najbardziej życzliwy, ale nic na to nie poradzę. Ślubowałem – i nie mogę złamać swego przyrzeczenia!".

Mój przyjaciel ze zdziwieniem na mnie spojrzał. Zamknął książkę i powiedział: „Dobrze. Więcej nie będę się z tobą sprzeczał!".

Byłem bardzo uradowany. Istotnie, mój przyjaciel nigdy nie poruszał już tego tematu, ale nie przestawał się o mnie martwić. Sam palił i pił mocne trunki, ale nigdy mnie nie namawiał do robienia tego samego. Przeciwnie, nawet zalecał mi, bym nie przyzwyczaił się ani do jednego, ani do drugiego. Obawiał się jedynie, że nie jedząc mięsa, opadnę z sił i będę się źle czuł w Anglii.

W ten oto sposób odbyłem u niego miesięczny okres „nauki". Mój przyjaciel mieszkał w Richmond i do Londynu można było przyjeżdżać najwyżej raz lub dwa razy w tygodniu.

Doktor Mehta i Dalpatram Shukla postanowili wówczas, że powinienem zamieszkać przy jakiejś rodzinie. Shukla znalazł angielsko-hinduski pensjonat w dzielnicy West Kensington i umieścił mnie tam. Właścicielka była wdową,

powiedziałem jej o moim przyrzeczeniu. Starsza pani obiecała, że się mną zaopiekuje – zamieszkałem więc w jej domu.

Tu również cierpiałem głód. Napisałem do domu, by mi przysłano słodycze oraz inną żywność, ale na razie nic jeszcze nie dostałem. Nic mi nie smakowało. Gospodyni codziennie zadawała mi pytanie, czy jedzenie mi smakuje, ale cóż miała począć? Byłem jak przedtem nieśmiały i nie miałem odwagi poprosić o więcej niż to, co stawiano przede mną. Właścicielka miała dwie córki. Upierały się, bym zjadł jeszcze jedną lub dwie kromki chleba… Czy mogły wiedzieć, że cały bochenek z trudem zaspokoiłby wtedy mój apetyt?…

Zacząłem sobie jednak jakoś dawać radę. Nie rozpocząłem jeszcze systematycznych studiów, natomiast dzięki Shukli przyzwyczaiłem się czytać codzienne pisma. W Indiach nigdy nie czytałem gazet. Tu nabrałem ogromnego upodobania do nich i czytywałem je regularnie. Moją lekturę stanowiły „Daily News", „The Daily Telegraph" i „The Pall Mall Gazette". Zabierało mi to dziennie prawie godzinę.

Następnie zacząłem spacerować po Londynie. Właściwie chodziłem, poszukując jakiejś restauracji dla wegetarian. Moja gospodyni mówiła mi, że podobno w centralnych dzielnicach jest parę takich jadłodajni. Gotów byłem zrobić dziennie dziesięć lub dwanaście mil, byle znaleźć taką tanią restauracyjkę i najeść się, ile się tylko dało. Nie udawało mi się jednak jej odnaleźć, aż wreszcie podczas jednej z takich wędrówek trafiłem na wegetariańską restaurację na Farringdon Street.

Widok tej jadłodajni ucieszył mnie jak dziecko, które wreszcie dostało coś, czego bardzo pragnęło. Zanim wszedłem, zobaczyłem parę książek wystawionych w oknie na sprzedaż. Pomiędzy nimi znalazłem broszurę Salta pod tytułem *Obrona wegetarianizmu*. Kupiłem ją za szylinga i wszedłem do restauracji. Był to pierwszy posiłek od czasu mojego przybycia do Anglii, który zjadłem z niekłamaną przyjemnością. Jednak Bóg przyszedł mi z pomocą.

Przeczytałem broszurę Salta od deski do deski: zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Właściwie mogę powiedzieć, że dopiero po jej przeczytaniu stałem się wegetarianinem z przekonania. Błogosławiłem dzień, w którym złożyłem wobec mojej matki swe uroczyste ślubowanie. Dotychczas powstrzymywałem się od spożywania mięsa w imię poszukiwania prawdy i również dlatego, że złożyłem przyrzeczenie, aczkolwiek jednocześnie pragnąłem, by każdy hindus jadł mięso. Czekałem, aż nadejdzie chwila, w której będę zwolniony z mojego ślubowania, sam zacznę je spożywać i innych nakłonię do tego samego. Teraz mój wybór padł na dobrowolne wyrzeczenie się spożywania mięsa. Szerzenie tej idei stało się jednym z naczelnych zadań mego życia.

XV. UDAJĘ ANGIELSKIEGO DŻENTELMENA

Moja wiara w wegetarianizm rosła we mnie z dnia na dzień. Broszura Salta ogromnie podnieciła mój zapał do studiów nad zagadnieniem odżywiania się. Kupowałem wszelkie dostępne mi książki z tej dziedziny i studiowałem je. Jedna z nich, *Etyka diety*, napisana przez Howarda Williamsa, była właściwie biograficzną historią literatury, opisującą sposoby odżywiania się przez ludzkość, począwszy od najdawniejszych czasów aż po obecne.

Autor usiłował udowodnić, iż wszyscy filozofowie i prorocy od Pitagorasa i Jezusa aż do żyjących dziś byli wegetarianami. Książka Anny Kingsford *Racjonalne odżywianie* była również zajmująca. To, co napisał doktor Allinson o zdrowiu i higienie, też bardzo mi się przydało. Był on zwolennikiem leczniczego systemu odżywiania, opartego na regulowaniu diety przepisywanej pacjentom. Będąc sam wegetarianinem, doktor Allinson zalecał chorym przestrzeganie surowej, wyłącznie wegetariańskiej diety.

Rezultatem całej tej lektury było to, że moje doświadczenia w zakresie odżywiania się zajęły bardzo ważne miejsce w moim życiu. Głównym celem, jaki im przyświecał, było zachowanie zdrowia, a dopiero później górę wzięły względy religijne.

Tymczasem mój przyjaciel nie przestawał się o mnie martwić. Obawiał się, że jeżeli będę nadal trwał w swoim postanowieniu nieprzyjmowania mięsnych posiłków, nie tylko osłabnę fizycznie, ale w ogóle stanę się niedołęgą i nigdy nie będę czuł się dobrze w Anglii. Kiedy więc się dowiedział, że interesuję się książkami z zakresu wegetarianizmu, zaczął wyrażać obawy, że te studia do reszty zamącą mi umysł, a zaniedbując swe właściwe studia i marnując życie na tego rodzaju doświadczenia, mogę dostać tak zwanego bzika.

Właśnie wtedy podjął ostatnią próbę „nawrócenia" mnie i w tym celu zaprosił mnie do teatru. Przed przedstawieniem mieliśmy razem zjeść obiad w restauracji na Holborn Street, uchodzącej za pierwszorzędną. Od czasu, kiedy jadłem w restauracji hotelu Victoria, był to pierwszy równie elegancki lokal, w którym się znalazłem. Co prawda ów pobyt w Victorii nie należał do zbyt udanych, bo cały czas żywiłem się własnymi zapasami. Mój przyjaciel najwidoczniej liczył na to, że nieśmiałość powstrzyma mnie od zadawania pytań w tak wytwornej restauracji. Istotnie, towarzystwo przy stole było bardzo liczne, mój przyjaciel i ja zajęliśmy miejsca tuż obok.

Pierwszym daniem była zupa. Zastanawiałem się, z czego jest przyrządzona, nie miałem jednak odwagi o to zapytać mego przyjaciela. Zwróciłem się więc do kelnera. Mój przyjaciel spostrzegł to i dość szorstko zapytał, o co mi chodzi. Ociągając się, powiedziałem, że chciałem zapytać kelnera, czy jest to zupa jarzynowa.

– Jesteś zbyt nietaktowny, by przebywać w dobrym towarzystwie! – zawołał w uniesieniu. – Jeżeli nie potrafisz się zachować jak należy, lepiej zrobisz, jeżeli stąd pójdziesz; zjedz gdzie indziej i zaczekaj na mnie na ulicy!

Byłem bardzo zadowolony z tego i wyszedłem. Gdzieś w pobliżu znajdowała się wegetariańska restauracyjka, lecz niestety była zamknięta. Musiałem więc obejść się tego wieczoru bez jedzenia. Dotrzymałem jednak towarzystwa memu przyjacielowi, który ani słówkiem nie wspomniał o wywołanej przez niego scenie. Ja ze swej strony również nie miałem mu nic do powiedzenia.

Było to ostatnie nieporozumienie pomiędzy nami, które zresztą bynajmniej nie zaważyło na naszej przyjaźni. Zdawałem sobie sprawę, że mój przyjaciel powoduje się przyjaznymi uczuciami dla mnie, a szacunek, jaki żywiłem dla niego, z pewnością był większy od rozbieżności istniejących pomiędzy nami zarówno w słowach, jak i w postępowaniu.

Postanowiłem jednak przekonać go, że może być spokojny o mnie i że już nigdy nie zrobię nic nietaktownego, natomiast nie porzucając mojego upodobania do wegetariańskiego pożywienia, potrafię zdobyć ogładę niezbędną do przebywania w dobrym towarzystwie. W tym celu podjąłem niemal niemożliwe do zrealizowania wysiłki zostania angielskim dżentelmenem.

Uszyte w Bombaju ubranie, które miałem na sobie, nie nadawało się do noszenia wśród Anglików, sprawiłem więc sobie nowe w sklepach przeznaczonych dla wojskowych. Kupiłem również cylinder za dziewiętnaście szylingów, co w owych czasach było nie byle jaką sumą. Uważałem to jednak za niewystarczające i wydałem aż dziesięć funtów na garnitur wieczorowy zamówiony na Bond Street, a więc w centrum eleganckiego życia londyńskiego. Otrzymałem również od mego poczciwego brata podwójną złotą dewizkę. Noszenie gotowych krawatów było sprzeczne z pojęciem elegancji, toteż nauczyłem się sam je wiązać. Kiedy byłem w Indiach, lustro było luksusem, a przeglądałem się w nim jedynie wtedy, gdy zjawiał się nasz domowy fryzjer, by mnie ogolić. Tymczasem tutaj traciłem co najmniej dziesięć minut dziennie, wiążąc krawat lub czesząc się przed lustrem. Nie miałem miękkich włosów i musiałem codziennie staczać z nimi uporczywą walkę, szczotkując je i układając w odpowiedni sposób.

Ilekroć wkładałem lub zdejmowałem cylinder, moja ręka automatycznie sięgała do głowy, by poprawić włosy, nie mówiąc już o innych „cywilizowanych" przyzwyczajeniach, których nabywałem, przebywając w tak zwanym wyborowym towarzystwie.

Nie zadowalając się tym wszystkim, zwróciłem uwagę na inne szczegóły, które miały uczynić ze mnie angielskiego dżentelmena. Powiedziano mi, że w tym celu należy pobierać lekcje tańca, języka francuskiego oraz krasomówstwa. Francuski był nie tylko językiem sąsiedniego kraju, lecz również, tak zwaną lingua franca na kontynencie, po którym zamierzałem odbyć podróż. Tańca postanowiłem się nauczyć na specjalnych lekcjach, płacąc trzy funty za kurs. W ciągu trzech tygodni miałem około sześciu lekcji, jednak nauczenie się czegoś przypominającego rytmiczne ruchy przekraczało moje możliwości. Nie potrafiłem uchwycić ani rytmu, ani tempa. Cóż więc miałem robić?

Pustelnik z bajki trzymał kota, żeby odstraszyć myszy; potem kupił krowę, żeby kot miał mleko, potem wynajął człowieka, żeby pilnował krowy, i tak dalej… Moje ambicje wzrastały podobnie jak rodzina pustelnika. Sądziłem, że powinienem nauczyć się grać na skrzypcach, by przyzwyczaić ucho do muzyki Zachodu. Wpakowałem trzy funty w kupno skrzypiec i nieco więcej w opłacanie lekcji. U trzeciego nauczyciela miałem pobierać lekcje krasomówstwa, za co mu z góry zapłaciłem jedną gwineę. Nauczyciel polecił mi jako podręcznik książkę Bella pod tytułem *Podstawy sztuki krasomówczej*. Kupiłem ją i rozpocząłem swe studia od mowy wygłoszonej przez Pitta. Ale wtedy właśnie się ocknąłem.

– Przecież nie zamierzam spędzić całego życia w Anglii! – powiedziałem sobie. – Co mi przyjdzie z tej nauki krasomówstwa? Czy umiejętność tańczenia potrafi uczynić ze mnie dżentelmena? Gry na skrzypcach można się nauczyć również w Indiach. Przyjechałem, aby studiować prawo, i powinienem iść w tym kierunku. Muszę się postarać o to, aby mnie przyjęto na wydział prawniczy. Oczywiście, jeżeli uda się zostać dżentelmenem, tym lepiej. W przeciwnym razie raczej należy zrezygnować z wszelkich ambicji.

Podobne myśli błąkały mi się po głowie i dałem im wyraz w liście, który napisałem do mego nauczyciela sztuki krasomówczej, przepraszając go jednocześnie za rezygnację z dalszych lekcji. Pobrałem zaledwie dwie lub trzy. Podobnej treści list wystosowałem do nauczyciela tańców, a do nauczycielki, która mi udzielała lekcji gry na skrzypcach, poszedłem sam, prosząc ją, by sprzedała moje skrzypce za każdą proponowaną sumę. Była dość przyjaźnie do mnie usposobiona, więc opowiedziałem jej, jak doszedłem do przeświadczenia, iż obrałem

fałszywą drogę w poszukiwaniu swego ideału. Owa nauczycielka dodała mi wtedy wiele otuchy i zachęcała do wytrwania na drodze całkowitej zmiany dotychczasowego kierunku.

Ten okres zaślepienia trwał prawie trzy miesiące. Skrupulatność w ubieraniu się pozostała mi na wiele lat. Od tego czasu zabrałem się poważnie do nauki.

XVI. ZMIANY

Niech się jednak nikomu nic zdaje, że moje zamiary nauczenia się tańca i temu podobne sprawy były dowodem jakiejś lekkomyślności w moim życiu. Czytelnik chyba zauważył, że byłem przy zdrowych zmysłach. W okresie tego zaślepienia bynajmniej nie byłem pozbawiony zmysłu samokrytycyzmu, zapisywałem każde parę wydanych pensów, a moje wydatki były ściśle wyliczone. Zapisywałem każdy najmniejszy wydatek, jak na przykład za przejazd autobusem albo za znaczki pocztowe, i codziennie przez pójściem spać robiłem bilans swoich dziennych wydatków. Zachowałem ten zwyczaj na wiele lat i wiem, jaki to dało rezultat: mając oto później do czynienia z funduszami społecznymi, sięgającymi nieraz setek tysięcy, potrafiłem tak oszczędnie nimi dysponować, że zamiast nieuniknionych w podobnych wypadkach niedoborów stale miewałem nadwyżkę, mimo rozlicznych transakcji, które prowadziłem. Niech każdy młodzieniec weźmie sobie jedną kartkę z mojej książki i uczyni swoim punktem honoru zapisywanie na niej każdej sumy, jaka wpływa do jego kieszeni lub zostaje przez niego wydana. Jestem pewien, że podobnie jak ja jedynie na tym zyska.

Kiedy się uważnie przyjrzałem swojemu trybowi życia, doszedłem do wniosku, że muszę zacząć żyć oszczędniej. Postanowiłem obciąć wydatki o połowę. Rachunki wykazały, że sporo wydaję na komunikację. Życie przy rodzinie wymagało regularnego płacenia cotygodniowych rachunków. Do stałych wydatków należało również zapraszanie od czasu do czasu członków tej rodziny na obiady lub urządzanie niewielkich przyjęć. Wszystko to pociągało spore wydatki na środki lokomocji, zwłaszcza gdy przyjacielem była kobieta, a zwyczaj wymagał, by mężczyzna za nią płacił. Obiady poza domem również pociągały oddzielne wydatki, ponieważ nie było zwyczaju odliczać od stałego tygodniowego rachunku kwoty za posiłki, których się nie spożyło. Zdawało mi się, że wszystkie te wydatki mogą być zaoszczędzone, tym bardziej że mylne pojęcie o moim stanie posiadania mocno nadwerężyło moje zasoby.

Zamiast więc mieszkać przy rodzinie, postanowiłem wynająć osobny pokój i przeprowadzać się z jednego miejsca na drugie, zależnie od tego, gdzie w owym czasie pracowałem. Wybierałem pokoje tak, bym mógł przebywać dzielącą przestrzeń w ciągu pół godziny, przez co oszczędzałem na komunikacji. Dotychczas, zawsze gdy miałem się udać gdziekolwiek, korzystałem z wehikułu i musiałem osobno znajdować czas na spacery. Nowy sposób łączył oszczędność z możliwością odbywania spacerów, zmuszał do przebywania dziennie od ośmiu do dziesięciu mil.

Temu przyzwyczajeniu odbywania długich pieszych przechadzek zawdzięczam utrzymanie się w dobrym stanie zdrowia podczas całego mego pobytu w Anglii oraz wyrobienie sobie mocnych mięśni.

Wynająłem więc dwa pokoiki: jeden był czymś w rodzaju saloniku, drugi – sypialnią. Był to drugi etap mego pobytu w Anglii. Wkrótce nadszedł trzeci.

Wszystkie te zmiany zmniejszyły o połowę moje wydatki. Powstawało natomiast inne pytanie: jak wykorzystać czas? Wiedziałem, że egzaminy prawnicze nie wymagają zbyt usilnych studiów, i dlatego nie bardzo się śpieszyłem. Moje słabe postępy w nauce angielskiego sprawiły mi sporo utrapienia. Mister Lely – później został Sir Frederickiem – powiedział: „Wpierw trzeba skończyć studia, a później zgłosisz się do mnie!". Słowa te wciąż dźwięczały mi w uszach.

Sądziłem, że powinienem nie tylko złożyć egzaminy, ale również uzyskać stopień naukowy. Zasięgnąłem informacji, jak wygląda sprawa wstąpienia na uniwersytet w Cambridge lub w Oksfordzie, poradziłem się przyjaciół i doszedłem do przekonania, że jeżeli się zdecyduję na kontynuowanie studiów w jednym z tych miast, podniesie to niewątpliwie koszty i przedłuży mój pobyt w Anglii bardziej, aniżeli przypuszczałem. Jeden z przyjaciół poradził mi, że jeżeli istotnie chcę mieć satysfakcję złożenia trudnych egzaminów, powinienem je złożyć w Londynie. Wymagało to znacznego nakładu pracy i posiadania większego zasobu wiadomości, bez poniesienia specjalnych kosztów.

Z radością przyjąłem tę radę. Przerażał mnie jedynie program. Łacina i nowoczesne języki były obowiązujące! Jak sobie dam radę z łaciną?

Mój przyjaciel nie przestawał jednak nalegać: „Łacina jest bardzo potrzebna adwokatom. Znajomość łaciny jest niezbędna do zrozumienia prawniczych książek. Jeden z egzaminów pisemnych z prawa rzymskiego odbywał się po łacinie. Poza tym znajomość łaciny ułatwia opanowanie języka angielskiego".

Wróciłem do domu i postanowiłem uczyć się łaciny, nie bacząc na wszystkie nastręczające się trudności. Naukę francuskiego już rozpocząłem. Myślałem,

że jako „język nowoczesny" wystarczy. Zapisałem się na prywatne kursy przygotowujące do egzaminów wstępnych, które odbywały się co pół roku. Miałem więc do dyspozycji tylko pięć miesięcy. Był to wysiłek niemal przerastający moje możliwości, jednak ten sam młodzieniec, który w swoim czasie pragnął zostać angielskim dżentelmenem, obecnie postanowił zamienić się w pilnego ucznia.

Ułożyłem sobie jak najbardziej szczegółowy rozkład dnia, co do minuty, wszakże ani moje zdolności, ani pamięć nie rokowały wielkich nadziei, iż uda mi się w tym terminie opanować łacinę i francuski, nie mówiąc już o innych wymaganych przedmiotach. Rezultat był taki, że musiałem całkowicie poświęcić się łacinie. Martwiło mnie to, ale nie upadłem na duchu. Nabrałem ochoty do łaciny, co się zaś tyczy nauki francuskiego, sądziłem, że przyda mi się przy następnym egzaminie, na razie zaś postanowiłem zmienić przedmiot w grupie nauk ścisłych. Chemia, którą wybrałem poprzednio, nie była dla mnie ciekawym przedmiotem, gdyż brakowało zajęć praktycznych, dzięki którym ten przedmiot mógł się stać niezmiernie interesujący. W Indiach był to jeden z obowiązujących przedmiotów i dlatego miałem zamiar wybrać go do egzaminu londyńskiego. Tym razem jednak wybrałem zamiast chemii – ciepło i światło. Powiedziano mi, że są to łatwiejsze przedmioty, o czym później sam się przekonałem.

Przygotowując się do egzaminów, postanowiłem jeszcze bardziej uprościć mój tryb życia. Czułem, że nie jest dostosowany do skromnych środków, dostarczanych przez moją rodzinę. Świadomość wysiłków, na jakie musi się zdobywać mój szlachetny brat, by mi przysyłać regularnie miesięczną pensję, sprawiała mi dużą przykrość. Widziałem, że przeważnie ci, którzy wydawali od ośmiu do piętnastu funtów miesięcznie, bez trudu otrzymywali stypendia szkolne.

Miałem też przykłady znacznie skromniejszego trybu życia, spotkałem się z wieloma niezamożnymi studentami, żyjącymi w gorszych ode mnie warunkach. Jeden z nich mieszkał w ubogiej kamienicy, płacąc dwa szylingi tygodniowo za pokój i żywiąc się kubkiem kakao i chlebem, które się dostawało za dwa pensy w popularnej mleczarni Lockharta. Nie miałem zamiaru z nim rywalizować, zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że zamiast dwóch pokojów wystarczy mi jeden i że mógłbym niektóre posiłki przyrządzać sobie sam w domu. W ten sposób oszczędziłbym od czterech do pięciu funtów miesięcznie. Znalazłem również książki na temat prostoty życia. Wyprowadziłem się z tamtych dwóch pokojów i wynająłem jeden, nabyłem piecyk i zacząłem sam przyrządzać w domu śniadania. Nie zabierało mi to więcej czasu niż dwadzieścia minut, gdyż do ugotowania miałem jedynie płatki owsiane i wodę na kakao. Obiad jadłem poza domem, a na

kolację – znów kakao i chleb w domu. Udawało mi się nie wydawać na dzienne utrzymanie więcej niż szylinga i trzy pensy.

Był to okres wytężonej nauki. Prosty tryb życia pozwalał mi oszczędzić moc czasu. W końcu zdałem egzaminy.

Niech jednak czytelnicy nie sądzą, że ten tryb życia miał cechy jakiejkolwiek posępności. Przeciwnie: zmiany, o których mówię, odpowiadały najzupełniej mojemu wewnętrznemu i zewnętrznemu życiu. Chodziło mi głównie o to, by żyć w zgodzie ze środkami, jakimi rozporządzała moja rodzina. Niewątpliwie moje życie bardziej odpowiadało zasadom prawdy, a bezgraniczna radość z tego powodu przepełniała moją duszę.

XVII. MOJE DOŚWIADCZENIA Z ODŻYWIANIEM

Kiedy wejrzałem głębiej w siebie, potrzeba dokonania w sobie zmian zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych zaczęła we mnie szybko dojrzewać. Od chwili kiedy poczyniłem oszczędności w wydatkach, a nawet i wcześniej, zabrałem się również do zmian w moim odżywianiu. Przekonałem się, że autorzy rozpraw o wegetarianizmie bardzo skrupulatnie badali całość zagadnienia, podchodząc do niego od strony religijnej, naukowej, praktycznej oraz lekarskiej. Jeśli chodzi o aspekt etyczny, doszli do przekonania, że przewaga człowieka nad słabszymi stworzeniami bynajmniej nie oznacza, iż winny one stać się ofiarami silniejszych, lecz przeciwnie, że obowiązkiem człowieka jest stawać w ich obronie oraz że powinno istnieć stałe udzielanie sobie wzajemnej pomocy, podobnie jak to jest pomiędzy ludźmi. Ponadto udowodnili, że człowiek nie je dla przyjemności, lecz dla utrzymania się przy życiu. Niektórzy z nich zgodnie twierdzili, udowadniając to własnym przykładem, że należy powstrzymywać się nie tylko od spożywania mięsa, lecz także jaj i mleka. Byli również tacy, którzy przytaczali naukowe dowody na to, iż budowa ludzkiego organizmu wskazuje, że człowiek powinien żywić się raczej roślinami i owocami, a nie gotowaną strawą, że jedynie matczyne mleko może mu służyć jako pokarm i że z chwilą, gdy mu wyrosną zęby, powinien jadać wyłącznie surowe pożywienie. Z lekarskiego zaś punktu widzenia uważali używanie wszelkich korzennych przypraw za niewskazane. Wreszcie, o ile chodzi o stanowisko praktyczne i względy oszczędnościowe, udowadniali, że wegetariańskie odżywianie jest najtańsze.

Wszystkie te rozważania wywierały na mnie duże wrażenie i zostałem stałym bywalcem różnych wegetariańskich restauracji. W Anglii istniało wówczas Stowarzyszenie Wegetarian, wydające własne pismo. Zaprenumerowałem je, zapisałem się do tego stowarzyszenia i wkrótce zostałem wybrany do jego zarządu. Tam zetknąłem się z ludźmi uważanymi za filary wegetarianizmu i podjąłem własne doświadczenia w dziedzinie odżywiania i diety wegetariańskiej.

Przestałem jadać słodycze i przyprawy przysyłane mi z domu. Moje myśli przybrały odmienny kierunek, straciłem upodobanie do wszelkich ostrych przypraw, a gotowany szpinak, który dawniej w Richmond wydawał mi się tak niesmaczny, teraz smakował mi jak najbardziej. Niejedno z moich doświadczeń nauczyło mnie, że siedliskiem smaku jest nie podniebienie, lecz umysł. Rzecz prosta, iż względy oszczędnościowe odgrywały wówczas dla mnie bardzo dużą rolę. Istniały w owych czasach pewne sfery uważające herbatę za szkodliwy napój i skłaniające się raczej do picia kakao. Wobec tego, że i ja podzielałem pogląd, iż należy przyjmować jedynie takie posiłki, które dają organizmowi siły, zaprzestałem całkowicie picia kawy oraz herbaty i pozostałem przy kakao.

W restauracji, do której chodziłem, były dwie sale. Jedna, odwiedzana przez zamożniejszych gości, rozporządzała pewną liczbą dań, które można było wybierać à la carte, przy czym obiad kosztował od jednego do dwóch szylingów, w drugiej wydawano obiady złożone z trzech dań i kromki chleba w cenie sześciu pensów. W owych czasach żyłem nad wyraz skromnie i zazwyczaj jadałem w tej drugiej.

Poczyniłem sporo innych pomniejszych prób, mając wciąż jedno na względzie. Otóż na przykład w pewnym okresie przestałem jadać stałe posiłki, żywiąc się jedynie chlebem lub tylko owocami, kiedy indziej jadałem wyłącznie sery, mleko i jaja. Ten ostatni eksperyment niewiele jest wart. Trwał niecałe dwa tygodnie. Ów reformator propagujący odżywianie się produktami niezawierającymi skrobi i wychwalający jaja, uważał, że jaja to nie mięso. Jego zdaniem było jasne, że nie krzywdzi się żadnej istoty żyjącej, jedząc jaja. To rozumowanie trafiało mi do przekonania i wbrew memu ślubowaniu zacząłem jadać jaja – bardzo szybko jednak zrozumiałem swój błąd. Nie powinienem był podkładać nowej interpretacji pod swoje przyrzeczenie, należało rozumieć je tak, jak je rozumiała moja matka, a przecież wiedziałem, że w jej pojęciu jaja również należały do zabronionych potraw. Z chwilą gdy zrozumiałem istotne znaczenie mojego ślubowania, przestałem spożywać jaja i zaniechałem podobnych eksperymentów.

Warto w tym miejscu wspomnieć o pewnych interesujących odmianach interpretacji tego zagadnienia. W Anglii spotkałem się z trzema określeniami, co jest mięsem. Zgodnie z pierwszym – za mięso jest uważany jedynie drób i mięso bydlęce. Zgadzający się z tym określeniem wegetarianie nie jedzą ani drobiu, ani bydlęcego mięsa, natomiast spożywają ryby i jaja.

Zgodnie z drugim określeniem za mięso uważa się mięso każdego żyjącego stworzenia, a więc jadanie ryb jest zabronione, a jaj – dozwolone. Trzecie określenie pod pojęcie mięsa podciąga mięso wszelkiego żyjącego stworzenia oraz wszystkie pochodzące od niego produkty, a więc i jaja, i mleko.

Gdybym przyjął pierwsze określenie, wolno by mi było jadać nie tylko jaja, lecz również ryby. Miałem jednak przeświadczenie, że obowiązywało mnie matczyne określenie, jeżeli więc chciałem pozostać mu wierny, musiałbym się wyrzec jaj. Tak też postąpiłem. Było to ciężkie zadanie, gdyż jak się okazało, większość dań nawet w wegetariańskich restauracjach zawierała jaja. Skutek był ten, że wtedy gdy nie byłem z góry pewien, musiałem specjalnie pytać o to, czy dana potrawa jest zrobiona z jaj czy też nie, gdyż większość wszelkich puddingów i ciast zawierała jaja.

Dochowanie wierności zobowiązaniom nastręczało wprawdzie dużo trudności, ale za to upraszczało mój sposób odżywiania. Byłem zmuszony wyrzec się kilku potraw, które mi bardzo smakowały. Były to jednak przemijające trudności, gdyż pilne przestrzeganie mego ślubowania było wynagrodzone przez zdrowszy, delikatniejszy i stały apetyt. Prawdziwa próba miała dopiero nastąpić i dotyczyła innego ślubowania, jakie złożyłem. Ale czy temu, kto się znajduje pod opieką Boga, może grozić jakieś niebezpieczeństwo? Sądzę, że warto w tym miejscu wypowiedzieć parę ogólnych uwag na temat interpretacji ślubowań i przyrzeczeń, gdyż zdarzało się, że owe różnice nieraz bywały źródłem walk, jakie toczyły się na całym świecie. Bez względu na to, jak jednoznaczne jest brzmienie złożonego przyrzeczenia, ludzie skłonni są tak długo analizować i przerabiać jego treść, aż zacznie ona odpowiadać ich własnym potrzebom.

To zjawisko da się zaobserwować we wszystkich warstwach społecznych – od najzamożniejszych do ubogich, od książąt aż do włościan. Egoizm oślepia ich, a posługując się wykrętnymi środkami, oszukują siebie i usiłują oszukać świat oraz Boga.

Naczelną regułą winno być stosowanie uczciwej interpretacji, jaką w swe przyrzeczenie włożyła strona je składająca. Inną regułę może stanowić przyjęcie interpretacji słabszej strony, tam gdzie zachodzi możliwość podwójnego

komentowania przyrzeczenia. Odrzucanie tych obydwóch reguł powoduje walkę i uczucie niesprawiedliwości, sprzeczne z dochowaniem wierności prawdzie.

Temu, kto dąży do prawdy, bez trudu winno przyjść trzymanie się wspomnianej wyżej niezłomnej reguły. Niepotrzebne mu są żadne uczone porady dla obrania tej lub innej interpretacji ślubowania. To, co zgodnie z ową niezłomną regułą moja matka rozumiała pod pojęciem „mięso", było dla mnie jedyną i odpowiadającą prawdzie interpretacją, nie zaś to, czego rzekomo miały mnie nauczyć moje bogate doświadczenia lub większy zakres posiadanej wiedzy.

Moje doświadczenia w dziedzinie odżywiania przeprowadzałem w Anglii ze stanowiska ekonomii i higieny. Religijny aspekt nie wchodził w grę aż do chwili, kiedy wyjechałem do Afryki Południowej, gdzie podjąłem bardzo uciążliwe eksperymenty, o których będzie mowa później. W każdym razie ziarno zostało posiane przede wszystkim w Anglii.

Gorliwość nowo nawróconego jest zawsze większa od tej, jaką żywią urodzeni w danej wierze. Wegetarianizm w owych czasach znalazł w Anglii nowych, podobnych do mnie wyznawców, gdyż, jak to widzieliśmy, przybyłem do tego kraju jako zdecydowany zwolennik mięsa i dopiero później w wyniku rozważań intelektualnych stałem się wegetarianinem.

Pełen więc gorliwości neofity wegetarianina postanowiłem założyć w mojej dzielnicy – Bayswater – klub wegetarian. Zaprosiłem zamieszkałego tam Sir Edwina Arnolda, by zechciał być wiceprzewodniczącym. Doktor Oldfield, redaktor pisma „The Vegetarian", miał być prezesem. Ja zostałem obrany sekretarzem.

Z początku klub prosperował zupełnie dobrze, ale po paru miesiącach zawiesił działalność. Stało się tak dlatego, że – zgodnie z moim zwyczajem przeprowadzania się raz po raz do innej dzielnicy – opuściłem Bayswater. Jednak ten, choć niedługo trwający i skromny, zakres zdobytych przeze mnie doświadczeń posłużył mi do pewnego stopnia jako trening przy późniejszym zakładaniu i prowadzeniu organizacji społecznych.

XVIII. NIEŚMIAŁOŚĆ JEST MOJĄ TARCZĄ

Zostałem wybrany członkiem komitetu wykonawczego Stowarzyszenia Wegetarian i uważałem za swój obowiązek być obecny na każdym zebraniu, aczkolwiek wciąż jeszcze brakło mi odwagi, by zabrać głos. Pewnego razu doktor Oldfield powiedział do mnie: „Prowadzi pan ze mną

rozumne rozmowy, ale dlaczego nigdy nie zabiera pan głosu na zebraniach naszego zarządu? Czyżby był pan kimś w rodzaju trutnia?".

Oceniałem wartość tego dowcipu. Pszczoły są zawsze bardzo zajęte, a truteń nigdy nic nie robi… Zazwyczaj siedziałem spokojnie na tych zebraniach, podczas gdy inni śpieszyli wyrazić swój pogląd. Nie znaczy to wcale, by czasem nie brała mnie pokusa zabrania głosu – niestety, nie byłem zbyt pewien, w jaki sposób należy wyrazić swą myśl. Odnosiłem wrażenie, że wszyscy inni członkowie zarządu są znacznie lepiej poinformowani ode mnie, poza tym zdarzało się, że gdy wreszcie zdecydowałem się zabrać głos, poruszano już nowy temat. Ta sytuacja trwała dość długo.

Tymczasem niekiedy dyskusja toczyła się na bardzo poważne tematy. Sądziłem, że nieobecność na zebraniu byłaby niewłaściwa, a jednocześnie czułem, że siedzenie i niezabieranie głosu może być uważane za dowód tchórzostwa.

Kiedyś rozgorzała dyskusja. Przewodniczącym stowarzyszenia był mister Hills, właściciel „Thames Iron Works". Był to purytanin. Wypada zaznaczyć, że istnienie stowarzyszenia było właściwie uzależnione od udzielanej przez niego pomocy finansowej. Wielu spośród członków zarządu było w większym lub mniejszym stopniu jego protegowanymi. Doktor Allinson, bardzo znany działacz na polu propagandy wegetarianizmu, był również jednym z członków zarządu. Jako gorący zwolennik nowego ruchu popierającego regulację urodzin, propagował tę ideę wśród klasy robotniczej. Mister Hills natomiast uważał te metody za podważające zasady moralne oraz sądził, że Stowarzyszenie Wegetarian winno się zajmować nie tylko reformą odżywiania, lecz również innymi reformami w dziedzinie etyki, antypurytańskie zaś poglądy doktora Allinsona nie mogą być tolerowane w tym stowarzyszeniu. Zgłoszony został nawet wniosek o usunięcie go.

Wspomniana sprawa żywo mnie interesowała. Uważałem poglądy doktora Allinsona dotyczące sztucznych metod regulacji urodzin za niebezpieczne i byłem zdania, że mister Hills, jako purytanin, był upoważniony do tego, by mu się przeciwstawić. Żywiłem ponadto głęboki szacunek dla mister Hillsa i jego hojności. Sądziłem jednak, że najbardziej niewłaściwe byłoby usunięcie kogoś ze stowarzyszenia za to, że nie zgadzał się, by poglądy purytanów na zagadnienie moralności miały stanowić jeden z celów istnienia Stowarzyszenia Wegetarian. Opinia mister Hillsa co do wykluczenia przeciwników purytanizmu ze stowarzyszenia była jego osobistą opinią i nie miała nic wspólnego z zasadami, na jakich stowarzyszenie zostało powołane do życia, a jakie polegały jedynie na propagowaniu wegetarianizmu, nie zaś innych zasad moralnych.

Osobiście byłem zdania, że każdy wegetarianin niezależnie od wyznawanych poglądów na inne sprawy może być członkiem stowarzyszenia.

W komitecie wykonawczym byli jeszcze inni członkowie podzielający moje stanowisko, jednak ja czułem się osobiście powołany do wyrażenia własnego zdania. Chodziło jedynie o to, jak to zrobić. Brakło mi odwagi, by zabrać głos, wobec tego postanowiłem zgłosić swoją opinię w tej sprawie na piśmie. Udałem się na zebranie z odpowiednim dokumentem w kieszeni.

O ile sobie przypominam, nie miałem nawet odwagi, by odczytać własne pismo i przewodniczący zlecił to komuś innemu.

Doktor Allinson przegrał swą sprawę. I oto w pierwszej tego rodzaju stoczonej przeze mnie bitwie znalazłem się po stronie tego, kto poniósł porażkę. Pocieszało mnie jedynie to, że sprawa, o którą walczyłem, była słuszna. O ile sobie przypominam, bezpośrednio po tym wydarzeniu złożyłem rezygnację z udziału w komitecie wykonawczym.

Podobną nieśmiałość zachowałem podczas całego mego pobytu w Anglii. Nawet gdy wypadało mi się znaleźć w jakimś niewielkim towarzystwie, obecność kilku osób już mnie paraliżowała.

Pewnego razu udałem się wraz z Mazmudarem do Ventnor[55], gdzie byliśmy gośćmi pewnej rodziny wegetarian. W tej samej miejscowości przebywał wtedy mister Howard Williams, autor dzieła *Etyka diety*. Spotkaliśmy się z nim, przy czym zaprosił nas do wygłoszenia przemówienia na wiecu poświęconym propagandzie wegetarianizmu. Upewniłem się z góry, że odczytanie mowy nie jest uważane za niewłaściwe. Wiedziałem, że wielu, chcąc zrozumiale i zwięźle wyrazić swą myśl, postępuje podobnie. Wygłoszenie zaimprowizowanej mowy było dla mnie czymś wręcz niemożliwym, wobec tego napisałem swoje przemówienie. Wstałem, by je odczytać, i nie byłem w stanie tego wykonać. Wzrok mi się zmącił, dygotałem na całym ciele, a przecież cała mowa mieściła się na jednej kartce papieru. Odczytał ją za mnie Mazmudar. Jego własne przemówienie było znakomite i zostało przyjęte oklaskami. Czułem się niezmiernie zawstydzony i zmartwiony moim upośledzeniem.

Ostatni wysiłek, jaki zrobiłem, aby wygłosić publiczne przemówienie w Anglii, miał miejsce w przededniu mego wyjazdu do domu. Ale i tym razem osiągnąłem tylko to, że się ośmieszyłem. Zaprosiłem moich przyjaciół wegetarian do restauracji na Holborn Street, o której wcześniej była mowa.

---

55 Ventnor – miejscowość kąpieliskowa na wyspie Wight.

– Wegetariański obiad można oczywiście dostać – mówiłem do siebie – w każdej wegetariańskiej restauracji. Czemu nie można by go otrzymać w zwykłej, nie wegetariańskiej? Umówiłem się więc z kierownikiem restauracji, że przygotuje dla nas ściśle wegetariański obiad. Wegetarianie powitali entuzjastycznie ten eksperyment. Każdy wystawny obiad ma sprawiać przyjemność, ale na Zachodzie doprowadzono to do perfekcji. Urządza się takie obiady z wielką pompą, z muzyką i przemówieniami. Skromny obiad, który ja wydałem, nie obszedł się też bez niektórych podobnych dodatków – oczywiście przede wszystkim bez przemówień.

Kiedy przyszła moja kolej, wstałem, by przemówić. Z niemałym nakładem pracy przygotowałem mowę składającą się z zaledwie paru zdań. Udało mi się jednak wypowiedzieć jedynie pierwsze. Czytałem kiedyś o Addisonie, że rozpoczynając swe pierwsze przemówienie w Izbie Gmin, trzykrotnie powtórzył: „Sądzę, że…" i nie mógł powiedzieć ani słowa więcej. Wtedy wstał pewien dowcipniś i powiedział: „Wprawdzie czcigodny dżentelmen trzykrotnie oświadczył, że «sądzi», ale niczego ponadto się nie dowiedzieliśmy".

Miałem zamiar wygłosić humorystyczne przemówienie, przytaczające tę właśnie anegdotkę. Cóż, kiedy ledwie zacząłem, zaraz utknąłem. Pamięć mnie kompletnie zawiodła i zamiast wygłosić śmieszną mowę, sam się ośmieszyłem.

„Dziękuję wam, szanowni dżentelmeni, za to, że uprzejmie przyjęliście moje zaproszenie" – powiedziałem, połykając słowa i usiadłem.

Dopiero podczas pobytu w Afryce Południowej udało mi się przezwyciężyć nieśmiałość, jednak nigdy nie potrafiłem całkowicie nad nią zapanować. Doznawałem niezmiernie przykrego uczucia, ilekroć musiałem być obecny na zebraniach nieznanych mi ludzi, i w miarę możności unikałem zabierania głosu. Nie sądzę, abym nawet dziś był w stanie brać udział w zebraniach, gdzie między przyjaciółmi mówi się o wszystkim i o niczym.

Muszę jednak powiedzieć, że poza pewnymi wypadkami, gdy istotnie naraziłem się na śmieszność, wrodzona nieśmiałość nie bardzo mi przeszkadzała. Przeciwnie – uważam, że nawet obracała się na moją korzyść. Powściągliwość w przemawianiu, sprawiająca mi kiedyś wiele przykrości, zamieniła się obecnie w przyjemność. Największą korzyścią, jaką z niej wyciągnąłem, było to, że nauczyła mnie oszczędnie obchodzić się ze słowami. Mogę dziś sam wystawić sobie świadectwo, iż rzadko kiedy zarówno z moich ust, jak i spod mojego pióra wydarło się jakieś słowo bez zastanowienia. Zaoszczędziło mi to dużo przykrości i wiele czasu. Doświadczenie nauczyło mnie, że milczenie jest jednym z elementów wewnętrznej dyscypliny człowieka, który ślubował wierność prawdzie.

Skłonność do przesady, do mimowolnego lub celowego zatajenia prawdy lub jej zniekształcenia, jest wrodzoną człowiekowi słabością, a milczenie jest niezbędne dla jej przezwyciężenia. Małomówny człowiek rzadko powie w swojej mowie coś pozbawionego sensu, gdyż waży w myśli każde słowo. Jakże wielu ludzi płonie z niecierpliwości, by przemawiać!

Nie ma takiego przewodniczącego na zebraniu, którego nie zarzucano by kartkami domagającymi się udzielenia głosu. Ilekroć takie zezwolenie zostanie udzielone, przemawiający zazwyczaj przekracza wyznaczony czas, prosi o przedłużenie lub też przemawia dalej bez uzyskania zezwolenia. Można śmiało powiedzieć, że całe to gadanie rzadko kiedy ma jakąkolwiek wartość – przeważnie jest to po prostu zmarnowany czas. W rzeczywistości więc moja nieśmiałość była dla mnie zarówno tarczą, jak i puklerzem. Pozwoliła mi się rozwinąć i pomogła w poznaniu prawdy.

XIX. RAK NIEPRAWOŚCI

Przed czterdziestu laty w Anglii było bardzo niewielu studentów Indusów. Z reguły brano ich za kawalerów, aczkolwiek niejeden z nich był już żonaty. Wychowankowie angielskich college'ów i uniwersytetów są przeważnie kawalerami, gdyż uważa się tutaj, że okres studiów nie da się pogodzić z życiem małżeńskim. W dawnych dobrych czasach my również byliśmy wierni tej zasadzie, studentów bowiem uważano powszechnie za *brahmaćari* (czyli za ludzi przestrzegających ślubów całkowitej powściągliwości).

Ale obecnie mamy „małżeństwa dziecięce", a więc coś zupełnie nieznanego w Anglii. Młodzież hinduska przebywająca tam wstydziła się przyznać, że już jest związana węzłami małżeńskimi. Był zresztą jeszcze jeden powód do nieprzyznawania się, a mianowicie ten, że gdyby o tym wiedziano, nawiązanie flirtu z młodą panną byłoby dla młodzieńca zamieszkałego przy angielskiej rodzinie wręcz niemożliwe. Flirty, o których mowa, były mniej lub bardziej niewinne. Niekiedy rodzina panny im sprzyjała. Uważano je nawet za coś nieuniknionego, gdyż ostatecznie każdy młody człowiek musi mieć jakąś bliską przyjaciółkę.

Zdarzało się, że młodzież indyjska po przybyciu do Anglii wdawała się w utrzymywanie stosunków, zupełnie naturalnych, gdy chodziło o młodzież angielską, ale których rezultaty były bardzo często dla naszych wręcz katastrofalne. Widziałem niejednokrotnie, jak nasza młodzież ulegała pokusie z powodów

towarzyskich i prowadziła tryb życia niczym niegrożący ich kolegom angielskim, natomiast bardzo niepożądany, gdy chodziło o nich samych.

Ja również uległem tej infekcji. Nie zawahałem się uchodzić za kawalera, mimo że byłem przecież żonaty i miałem syna. To udawanie nie przyniosło mi jednak szczęścia i jedynie mojej nieśmiałości i powściągliwości zawdzięczam, iż nie zabrnąłem za daleko. Nie byłem zbyt rozmowny, a żadna dziewczyna nie uważała, bym zasługiwał na wdawanie się ze mną w rozmowę lub pójście gdziekolwiek.

Zresztą moje tchórzostwo szło w parze z moją powściągliwością. W rodzinach jak ta, u której mieszkałem w Ventnor, było w zwyczaju, że córka gospodyni odbywała spacery z pensjonariuszami. Córka mojej gospodyni również zaprosiła mnie pewnego dnia na spacer po pięknych wzgórzach otaczających Ventnor. Potrafiłem maszerować dość szybko, ale moja towarzyszka chodziła jeszcze szybciej, pociągając mnie za sobą i podkpiwając ze mnie. Od czasu do czasu odpowiadałem na jej nieustający szczebiot nieśmiałym „tak" lub „nie", lub „o tak… tu jest bardzo pięknie!". Dziewczyna fruwała niczym ptak, a ja się zastanawiałem, kiedy nareszcie wrócimy do domu. Właśnie weszliśmy na szczyt wzgórza. Powstało pytanie, jak tu teraz zejść na dół? Owa dwudziestopięcioletnia panna, nie bacząc na swoje wysokie obcasiki, pomknęła w dół niczym strzała, natomiast ja ku memu wielkiemu wstydowi z największym trudem zsuwałem się na dół. Panna była już na dole i śmiejąc się i podrwiwając, proponowała, że wejdzie z powrotem na górę i zniesie mnie na dół. Jak mogłem być takim tchórzem! Dobyłem z siebie resztki sił i obsuwając się na czworakach, znalazłem się wreszcie u podnóża. Moja towarzyszka powitała mnie okrzykami „brawo!", kpiąc ze mnie, ile się tylko dało.

Nie zawsze jednak udawało mi się wyjść cało z podobnych opresji. Stwórcy podobało się uleczyć mnie z raka nieprawości, który mnie zaczął toczyć.

Otóż pewnego razu wyjechałem do Brighton, nadmorskiej miejscowości podobnej do Ventnor. Miało to miejsce przed moim pobytem w Ventnor. W skromnym pensjonacie poznałem wtedy pewną starszą już, dość zamożną wdowę. Był to pierwszy rok mego pobytu w Anglii. Nazwy potraw w menu były napisane w języku francuskim, którego nie znałem. Siedziałem przy jednym stole z ową starszą panią. Widząc, że jestem cudzoziemcem i nie mogę sobie dać rady, pośpieszyła mi niezwłocznie z pomocą.

– Widzę, że jest pan cudzoziemcem – powiedziała do mnie – i jest pan w kłopocie. Dlaczego nic pan nie zamawia?

Usiłowałem rozszyfrować menu i zapytać kelnera, z czego się składa to czy inne danie, kiedy owa poczciwa starsza pani ponownie się do mnie zwróciła. Podziękowałem jej, tłumacząc, że z powodu nieznajomości francuskiego mam trudności z odnalezieniem w spisie wegetariańskich potraw.

– Niech mi pan pozwoli przyjść mu z pomocą. Przetłumaczę panu spis dań i powiem, co pan może jeść… – Z wdzięcznością przyjąłem tę pomoc.

Taki był początek naszej znajomości, która szybko zmieniła się w prawdziwą przyjaźń i trwała podczas całego mojego pobytu w Anglii, a nawet i wiele lat później. Owa pani dała mi swój adres w Londynie i zaprosiła mnie do siebie w niedzielę na obiad. Poza tym, by zwalczyć moją nieśmiałość, zapraszała mnie również na inne przyjęcia, przedstawiając młodym pannom i zmuszając do prowadzenia konwersacji po angielsku.

Zwłaszcza jedna z tych młodych panien, mieszkająca razem z nią, prowadziła ze mną długie rozmowy i często pozostawiano nas zupełnie samych.

Z początku to wszystko wydawało mi się bardzo uciążliwe – nie umiałem ani nawiązać rozmowy, ani opowiadać żarcików. Jednak owa panna dodawała mi otuchy, zaczynałem więc się powoli oswajać, aż wreszcie z biegiem czasu z utęsknieniem oczekiwałem nadejścia niedzieli i prowadzenia rozmów z moją młodą przyjaciółką.

Starsza pani z uporem snuła swą sieć. Najwidoczniej była zainteresowana w tym, by te spotkania się odbywały. Możliwe, że miała jakieś własne plany dotyczące nas. Znalazłem się w kłopotliwym położeniu. Jak bardzo żałowałem, iż nie powiedziałem wcześniej tej zacnej kobiecie, że jestem żonaty! Nie myślałaby wtedy o zaręczynach pomiędzy nami. „Ale nigdy nie jest za późno – pomyślałem w duchu – na poprawę. Jeżeli wyznam jej prawdę, ocali mnie to przed gorszymi następstwami!"

Rozumując w ten sposób, postanowiłem napisać do niej list mniej więcej takiej treści:

Od czasu, kiedy miałem zaszczyt spotkać Panią w Brighton, doznałem od Pani wielu dowodów Jej przyjaźni. Zaopiekowała się Pani mną jak swoim synem. Jest Pani zapewne zdania, że powinienem się ożenić i w tym celu przedstawiła mnie Pani młodym pannom. Nie chcę, by sprawy zaszły za daleko, i dlatego wolę wyznać, że nie jestem godny przyjaźni, jaką mi Pani okazuje. Obowiązkiem moim było przyznanie się, od chwili kiedy zacząłem bywać w Pani domu, że jestem żonaty. Wiem, że studenci indyjscy przebywający w Anglii ukrywają ten fakt, i postąpiłem

podobnie jak oni. Teraz rozumiem, że nie wolno mi było postąpić w ten sposób. Muszę jednak dodać, że zostałem ożeniony, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, a obecnie jestem już ojcem syna. Jest mi niewypowiedzianie przykro, że tak długo trzymałem w tajemnicy przed Panią to wszystko. Szczęśliwy jestem, że Bóg natchnął mnie odwagą wyznania całej prawdy. Czy mi Pani wybaczy? Zapewniam Panią, że nie pozwoliłem sobie na nic niewłaściwego wobec owej młodej osoby, której zostałem przedstawiony. Umiałem zachować należne granice. Nie wiedząc, iż jestem żonaty, Pani oczywiście pragnęła, byśmy się zaręczyli. Muszę więc obecnie wyznać całą prawdę, nie chcąc, by sprawa mogła przyjąć inny obrót.

Jeżeli po otrzymaniu tego listu uzna Pani, że nie zasługuję dłużej na korzystanie z Jej gościnności, nie będę żywił o to żalu. Swą życzliwością i dobrocią zaskarbiła sobie Pani moją dozgonną wdzięczność. Jeżeli natomiast po tym wszystkim zechce mnie Pani nadal uważać za zasługującego na Jej gościnność, której, być może, nie jestem wart, będę niezmiernie szczęśliwy. Spodziewam się dalszych dowodów Pani życzliwości dla mnie.

Winien jestem w tym miejscu wyjaśnić czytelnikowi, że napisanie tego listu nie przyszło mi wtedy z łatwością. Układałem go i poprawiałem bardzo wiele razy, aż wreszcie zrzuciłem z siebie ciężar, który mnie przytłaczał.

Niemal natychmiast otrzymałem pocztą taką mniej więcej odpowiedź:

Otrzymałam Pański szczery list. Bardzo nas ucieszył i serdecznie się z niego uśmiałyśmy. Uchybienie prawdzie, które Pan sobie przypisuje, zostało wybaczone. W każdym razie dobrze, że nas Pan powiadomił o istotnym stanie rzeczy. Moje zaproszenia nie tracą swojej mocy i oczekujemy Pana w przyszłą niedzielę z niecierpliwością, by dowiedzieć się o pańskim wczesnym małżeństwie i aby trochę się ubawić pańskim kosztem. Nie mam potrzeby zapewniać Pana, iż nasza przyjaźń nie doznała najmniejszego uszczerbku z powodu tego incydentu.

W ten sposób sam uleczyłem się z grożącego mi raka nieprawości i później nigdy więcej nie zawahałem się, gdy zachodziła potrzeba, powiedzieć o tym, że jestem żonaty.

XX. ZAWIERAM ZNAJOMOŚĆ Z RELIGIAMI

Pod koniec drugiego roku mojego pobytu w Anglii zetknąłem się z dwoma teozofami, braćmi; obydwaj byli nieżonaci. Mówili mi o *Gicie*[56]. Studiowali przekład tej *Pieśni niebiańskiej (The Song Celestial)* dokonany przez Sir Edwina Arnolda i zapraszali do wspólnego czytania oryginału. Czułem się zawstydzony, gdyż nie czytałem tego wspaniałego poematu ani w sanskrycie, ani w języku gudźarati. Z ociąganiem wyznałem im, że nie czytałem *Gity*, będę jednak rad czynić to razem z nimi, oraz że pomimo mojej dość słabej znajomości sanskrytu mam nadzieję, iż potrafię zrozumieć oryginał i będę mógł im powiedzieć, czy tłumaczenie zdołało wyrazić zawarte w nim myśli.

Zacząłem więc studiować wraz z nimi *Gitę*. Głębokie wrażenie zrobiły na mnie te oto strofy z drugiego rozdziału:

Gdy się nad sensem tych spraw zadumać,
Rodzi się upodobanie do nich, a z niego – pożądanie.
Z pożądania – namiętność płomienna.
A z niej zuchwalstwo.
Później wszystko pamięć pochłonie zdradziecka,
Porywy szlachetne pogrzebie, myśl podkopie,
Aż wszystko: i człek, i myśl jego, i porywy na zawsze przepadną.

Dotychczas dźwięczą one w moich uszach. Księga ta nabrała dla mnie ogromnej wartości. Wrażenie, jakie na mnie wywarła, wciąż wzrastało i doprowadziło do tego, że uważam ją dziś za nieodzowną dla każdego, kto chce poznać Prawdę. Pomoc, jaką mi w ciężkich chwilach mego życia okazała, była bezcenna. Czytałem prawie wszystkie jej przekłady na angielski i uważam tłumaczenie Sir Edwina Arnolda za najlepsze. Jest zgodne z oryginałem i w czytaniu nie robi wrażenia przekładu. Wprawdzie czytałem ją wraz z moimi przyjaciółmi, nie roszczę sobie jednak pretensji do tego, bym ją wówczas dokładnie przestudiował. Dopiero po wielu latach ta księga stała się moją codzienną lekturą.

Owi bracia teozofowie polecili mi również, abym przeczytał *Światło nad Azją* Sir Edwina Arnolda, którego dotychczas znałem jedynie jako autora

56 Patrz przypis 18.

Pieśni niebiańskiej. Przeczytałem tę książkę z jeszcze większym zainteresowaniem aniżeli *Bhagawadgitę*. Raz zacząwszy ją czytać, nie mogłem się już od niej oderwać. Ci sami bracia zabrali mnie kiedyś ze sobą do loży utworzonej przez panią Bławacką[57] i przedstawili mnie jej oraz pani Besant[58]. Pani Besant przystąpiła właśnie do Towarzystwa Teozoficznego, a ja z ogromnym zainteresowaniem śledziłem spór toczący się wokół jej nawrócenia.

Przyjaciele doradzili mi, bym przystąpił do tego towarzystwa, jednak uprzejmie odmówiłem, mówiąc: „Mam tak skąpe wiadomości o mojej własnej religii, że nie chciałbym należeć do żadnego religijnego towarzystwa".

Przypominam sobie, że ulegając namowom owych braci, przeczytałem książkę Bławackiej *Klucz do teozofii*. Zachęciła mnie ona do studiowania książek o religii hinduskiej i pozwoliła mi obalić szerzone przez misjonarzy twierdzenia, jakoby hinduizm roił się od zabobonów.

Mniej więcej w tym samym czasie spotkałem w wegetariańskim pensjonacie pewnego gorliwego chrześcijanina z Manchesteru, który mówił mi wiele o chrześcijaństwie. Opowiedziałem mu o moich wspomnieniach z Radźkotu. Wysłuchał z przykrością i powiedział: „Jestem wegetarianinem. Nie piję. Niewątpliwie bardzo wielu chrześcijan spożywa mięso i pije mocne trunki, ale *Pismo Święte* nie zaleca ani jedzenia mięsa, ani picia mocnych trunków. Proszę, niech pan czyta *Biblię*".

Przyjąłem jego radę i dostałem od niego egzemplarz *Biblii*. Podejrzewałem go o to, że sam sprzedaje te książki. Kupiłem od niego wydanie zawierające mapy, komentarze oraz inne pomocnicze uzupełnienia. Zacząłem czytać, ale nie mogłem przebrnąć przez *Stary Testament*. Czytałem księgę *Genezis*, ale przy następnych rozdziałach stale ogarniała mnie senność. Przedzierałem się z niemałym trudem przez inne księgi, bez żadnego zainteresowania lub zrozumienia, robiąc to jedynie dlatego, by móc powiedzieć, że je czytałem. Zwłaszcza nie lubiłem *Księgi Liczb*.

Natomiast *Nowy Testament* zrobił na mnie wręcz odmienne wrażenie, zwłaszcza kazanie na Górze Oliwnej, które ogromnie trafiło mi do serca. Porównywałem je do *Gity*. Ponad wszelką miarę rozkoszowałem się tymi oto słowami: „A przeto mówię wam, nie sprzeciwiajcie się złu, a gdy cię kto uderzy w jeden

57 Helena Bławacka (1831–1891) – założycielka Towarzystwa Teozoficznego w Nowym Jorku w 1875 r. W 1886 r. utworzyła w Indiach (w Adayar koło Madrasu) ośrodek teozoficzny.

58 Annie Besant (1847–1933) – działaczka Towarzystwa Teozoficznego w Indiach. Odegrała aktywną rolę w ruchu narodowym Indii w latach 1916–1917.

policzek – nadstaw mu drugi, a gdy zabierze ci część twego odzienia – oddaj mu całą swą odzież".

W myślach porównywałem je do słów Szamala Bhatta[59], które mówiły: „Za wody kubek – jadłem hojnie go obdarz…" i tak dalej. W moim młodym umyśle usiłowałem połączyć naukę płynącą z *Gity* czy też ze *Światła nad Azją* z tą, którą głosiło kazanie na Górze Oliwnej. To wyrzeczenie było najwyższą formą religii, jaka kiedykolwiek do mnie przemówiła.

Lektura, o której wspominam, podsyciła we mnie potrzebę przestudiowania żywotów głosicieli innych religii. Jeden z przyjaciół polecił mi książkę Carlyle'a *Bohater i kult bohatera*. Przeczytałem rozdział, w którym jest mowa o bohaterze jako o proroku, dowiedziałem się z niego o wielkości, odwadze i surowym życiu proroka.

Nie mogłem się wtedy zagłębiać w studia nad innymi religiami, gdyż przygotowania do egzaminów pozostawiały mi niewiele czasu dla ubocznych zainteresowań. Zanotowałem jednak w pamięci, że powinienem przeczytać więcej książek o treści religijnej i muszę osobiście poznać wszystkie najważniejsze religie.

Czy mogłem oprzeć się chęci dowiedzenia się czegoś również o ateizmie? Każdemu Indusowi znane jest nazwisko Bradlaugh i jego *Ateizm*. Czytałem parę książek na ten temat, których tytuły wyleciały mi z pamięci. Nie wywarły na mnie żadnego wpływu, gdyż przebrnąłem już przez Saharę niewiary. Pani Besant, która się w owym czasie cieszyła dużą popularnością, nawróciła się z ateizmu na wiarę w Boga, a ta okoliczność również przyczyniła się do odrzucenia przeze mnie ateizmu. Przeczytałem jej książkę *Jak stałam się teozofką*.

W tym mniej więcej czasie umarł Bradlaugh. Został pochowany na cmentarzu w Woking. Byłem obecny na jego pogrzebie i sądzę, że każdy przebywający w owym czasie w Anglii Indus uczynił to samo. Nieliczni kapłani asystowali, by oddać mu ostatnie posługi.

Wracając z pogrzebu, musieliśmy czekać na dworcu na pociąg. Jeden z głównych przywódców ateistów zaczepił któregoś z kapłanów, zadając mu pytanie:

– I cóż, czy pan wierzy w istnienie Boga?

– Tak! – odpowiedział ów kapłan półgłosem.

– Zgadza się pan również z tym, że obwód kuli ziemskiej wynosi dwadzieścia osiem tysięcy mil, czy tak? – zapytywał dalej ateista z pewną siebie miną.

---

59 Szamal Bhatt (1640–1730) – wybitny poeta piszący w języku gudżarati.

– Oczywiście.

– Może więc zechce mi pan, czcigodny kapłanie, powiedzieć, jakie są rozmiary Boga, w którego pan wierzy, i gdzie on się znajduje?

– Wiem tylko tyle, że przebywa on w sercach nas obydwóch.

– Ależ proszę nie uważać mnie za dziecko! – odparł ateista z triumfującą miną.

Kapłan nie odrzekł mu ani słowa.

Ta rozmowa jeszcze bardziej wzmogła moją niechęć do ateizmu.

XXI. *NIRBAL KE BALA RAMA*[60]

Pomimo dość gruntownego poznania hinduizmu oraz innych istniejących na świecie religii powinienem był wiedzieć, że nie będzie to wystarczające do pomyślnego ocalenia się z prób, jakie mnie czekały w życiu. Nie ma się wtedy pojęcia, co człowieka ocali. Najmniej liczy się na posiadaną wiedzę. Jeżeli ktoś jest niewierzący, przypisze swoje pomyślne ocalenie tak zwanemu szczęściu, natomiast wierzący powie, że to Bóg go uratował. Jeżeli zechce, będzie twierdził, że to głównie wiara lub dyscyplina wewnętrzna przyczyniły się do jego ocalenia. Ale przecież w chwili gdy nadchodzi ów decydujący moment, człowiek nie wie, co go uratowało: jego hart wewnętrzny czy też coś innego?

A czy nie zdarzało się, że ten, co się pysznił posiadaną siłą wewnętrzną, widział ją sponiewieraną w prochu, a cała wiara, poparta osobistą praktyką, w chwili ciężkiej próby była jeno sieczką?

Dopiero podczas mojego pobytu w Anglii po raz pierwszy przekonałem się, jak błaha jest cała wiedza religijna. W jaki sposób udawało mi się wyjść cało dawniej, trudno mi powiedzieć; byłem wtedy jeszcze bardzo młody. Teraz miałem już dwadzieścia lat, zdobyłem pewne doświadczenie i jako małżonek, i jako ojciec.

O ile sobie przypominam, podczas ostatniego roku mojego pobytu w Anglii, czyli w 1890 roku, odbył się w Portsmouth Kongres Wegetarian, na który ja i jeden z moich przyjaciół Indusów zostaliśmy zaproszeni.

Portsmouth jest morskim portem o dość licznej ludności, składającej się przeważnie z ludzi związanych z morzem. Jest tam spora liczba domów zamieszkanych

60 *Nirbal ke bala Rama* – cytat z poematu indyjskiego poety Surdasa: „Rama jest siłą słabych".

przez kobiety o złym prowadzeniu się, które nie będąc właściwie prostytutkami, nie bardzo przestrzegają prawideł moralnych.

Wyznaczono nam kwaterę w jednym z takich domów. Nie ma potrzeby wspominać, że komitet organizacyjny konferencji nie był o tym poinformowany. Trudno bowiem było w takim mieście jak Portsmouth dowiedzieć się, które mieszkania nadają się dla chwilowych, jak my, przyjezdnych, a które nie są odpowiednie.

Wieczorem wróciliśmy z konferencji. Po obiedzie usiedliśmy, by zagrać robra, do którego przyłączyła się nasza gospodyni, jak to jest w zwyczaju w najlepszych angielskich pensjonatach. Zazwyczaj każdy gracz pozwala sobie w takich razach na jakieś niewinne żarciki, wkrótce jednak spostrzegłem, że zarówno mój towarzysz, jak i nasza gospodyni zaczynają opowiadać nieprzyzwoite dowcipy. Nie wiedziałem, że mój przyjaciel jest tak biegły w tej sztuce. Podkuszony przez nich również się w to wdałem. W chwili kiedy rzuciłem karty i rezygnując z dalszej gry, byłem już bliski przekroczenia granic, Wszechmocny przez usta mego przyjaciela przemówił do mnie słowami: „A cóż to za diabeł cię opętał, mój chłopcze? Opamiętaj się!".

Ogarnął mnie wstyd. Przyjąłem do serca to ostrzeżenie i w duszy poczułem wielką wdzięczność dla mego przyjaciela. Przypomniawszy sobie ślubowanie, jakie złożyłem matce, czym prędzej opuściłem salon. Dygocąc cały, z tłukącym się w piersiach sercem, pobiegłem do swego pokoju, jak gdybym uciekał przed pogonią.

Przypominam sobie dobrze to wydarzenie, kiedy po raz pierwszy obca kobieta, która nie była moją żoną, wzbudziła we mnie pożądanie. Spędziłem bezsenną noc, napastowany przez najróżniejsze myśli. Czy mam opuścić ten dom i uciec stąd? Gdzie jestem? Co mi groziło, gdybym nie zachował przytomności umysłu? Postanowiłem działać z największą rozwagą. Nie tylko opuścić ten dom, lecz nawet wyjechać z Portsmouth. Kongres miał potrwać jeszcze dwa dni i przypominam sobie, że następnego wieczoru wyjechałem z tego miasta, zostawiwszy swego towarzysza, który tam pozostał jeszcze przez pewien czas.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, na czym polega istota wiary w Boga i jak On w nas działa. Zaledwie mgliście zdawałem sobie sprawę z tego, że to On ocalił mnie w tym przypadku. We wszystkich zresztą chwilach, kiedy byłem wystawiony na próby, On mnie ratował.

Wiem, że słowa: „Bóg mnie ocalił" mają dziś dla mnie głębsze znaczenie, a przecież wciąż jeszcze czuję, że nie uchwyciłem dotąd właściwego ich sensu.

Jedynie bogaty zakres doświadczeń pomoże mi osiągnąć ich pełniejsze zrozumienie. Z wszystkich jednak prób, na jakie byłem wystawiony, niezależnie od tego, czy miały one związek z wewnętrznymi, duchowymi zagadnieniami, czy kiedy byłem adwokatem, czy wtedy gdy stałem na czele pewnych organizacji lub kiedy dotyczyły one polityki, zawsze ratował mnie Bóg.

Kiedy zawiodła wszelka nadzieja, opuszczali mnie pomocnicy i próżne były wszelkie słowa pociechy, pomoc przychodziła – sam nie wiem skąd.

Błagania, wiara i modlitwa bynajmniej nie są zabobonami, przeciwnie – są to czyny nawet bardziej realne aniżeli jedzenie, picie, siedzenie lub chodzenie. Nie ma w tym żadnej przesady, jeżeli się powie, że jedynie one są realne, a wszystko inne – nie.

Słowa nie są w stanie wypełnić tego rodzaju wiary lub modlitwy. Nie jest to hołd składany ustami – płynie on z serca. Gdy uda się nam dochować takiej czystości serca, że „nie ma w nim nic prócz miłości", gdy stany naszej duszy są nastrojone na właściwą melodię i niewidzialne stają się muzyką – wówczas modlitwa nie potrzebuje słów. Jest wtedy sama w sobie uniezależniona od jakiegokolwiek zmysłowego wysiłku.

Nie wątpię nawet przez chwilę, że modlitwa jest niezawodnym środkiem oczyszczenia serca od miotających nim namiętności, ale powinna jej towarzyszyć najdalej idąca pokora.

XXII. NARAJAN HEMĆANDRA

W tym czasie do Anglii przybył Narajan Hemćandra. Słyszałem o nim jako o pisarzu. Spotkaliśmy się w domu miss Manning, która była członkiem Indyjskiego Stowarzyszenia Narodowego.

Miss Manning wiedziała, że obcowanie z ludźmi w większym towarzystwie jest dla mnie czymś bardzo trudnym. Ilekroć bywałem u niej, zazwyczaj siedziałem, nie odzywając się ani słowem, chyba że ktoś się zwracał do mnie z zapytaniem. Miss Manning przedstawiła mnie Narajanowi Hemćandrze, który nie mówił po angielsku. Był dość dziwacznie ubrany: niezgrabne spodnie, wymiętoszony i brudny kapelusz, brązowa marynarka, jaką noszą parsowie, kołnierzyk bez krawata i wełniana czapeczka z chwościkiem. Poza tym miał długą brodę.

Był wątłej budowy i niewielkiego wzrostu. Jego okrągłą twarz szpeciły ślady po przebytej ospie, a nos nie był ani spiczasty, ani tępy. Bez przerwy tarmosił ręką brodę.

Tak dziwnie wyglądająca i dziwnie ubrana postać nie mogła nie odcinać się w dystyngowanym towarzystwie.

– Wiele o panu słyszałem – powiedziałem do niego. – Czytałem niektóre pańskie książki. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zechciał mnie odwiedzić.

Narajan Hemćandra miał głos raczej chrapliwy. Odpowiedział mi z uśmiechem:

– Chętnie. Gdzie pan mieszka?

– Przy Store Street.

– W takim razie jesteśmy sąsiadami. Chciałbym się nauczyć angielskiego. Pomoże mi pan?

– Będę szczęśliwy, mogąc przysłużyć się panu czymkolwiek. Dołożę wszelkich starań. Jeżeli pan sobie życzy, mogę przychodzić do pana.

– Ależ nie. To ja będę przychodził do pana. Przyniosę ze sobą podręcznik do tłumaczenia.

Ustaliliśmy godziny i wkrótce zawarliśmy bliską przyjaźń. Narajan Hemćandra nie znał żadnych zasad gramatyki. „Koń" był dla niego czasownikiem, a „biegać" – rzeczownikiem. Przypominam sobie sporo podobnych komicznych przykładów. Nie można mu było jednak zarzucić nieuctwa. Moje mizerne wiadomości z zakresu gramatyki nie mogły zrobić na nim wielkiego wrażenia. Nigdy zresztą nie uważał, by potrzebował się wstydzić z powodu braku znajomości gramatyki.

Z nonszalancją powiedział kiedyś do mnie: „Nigdy nie chodziłem, jak pan, do szkoły i nigdy nie odczuwałem braku znajomości gramatyki, gdy chciałem wyrazić swoją myśl. Czy pan zna język bengalski? Bo ja znam. Podróżowałem po tym kraju. To właśnie ja – mówił Narajan Hemćandra – udostępniłem ludziom znającym język gudźarati poznanie dzieł maharyszieg Dewendranatha Tagore. Zamierzam również przełożyć na gudźarati skarby literatury wielu innych narzeczy. Jak pan wie, nigdy nie tłumaczę dosłownie. Zadowalam się wyrażeniem ducha zawartego w tych utworach. Inni, lepiej znający język, potrafią w przyszłości zrobić więcej. W każdym razie jestem zadowolony z tego, co osiągnąłem, nie znając gramatyki. Władam językami marathi, hindi i bengali; teraz zaczynam poznawać angielski. Dążę do posiadania bogatego słownictwa. Ale czy pan sądzi, że moje ambicje kończą się na tym? O, nie! Chcę udać się do Francji i nauczyć się francuskiego. Mówiono mi, że istnieje bogata literatura w tym języku. Jeżeli będzie możliwe, pojadę również do Niemiec i poznam tam język niemiecki".

Narajan Hemćandra potrafił mówić bez końca. Pożerała go ambicja nauczenia się obcych języków i podróżowania.

– Wtedy zapewne będzie pan chciał pojechać również do Ameryki?

– Oczywiście. Jakżebym mógł wrócić do Indii, nie zwiedziwszy przedtem Nowego Świata.

– A skąd pan weźmie na to pieniądze?

– A czyż mnie są potrzebne pieniądze? Nie jestem żadnym elegantem, jak pan. Wystarczy mi najzupełniej minimalna ilość pożywienia i odzienia. Skromne dochody, jakie mam ze swoich książek, i to, co otrzymuję od przyjaciół, wystarczą mi najzupełniej. Zawsze podróżuję trzecią klasą. Udając się do Ameryki, również wezmę bilet na pokładzie.

Prostota Narajana Hemćandry była jego dominującą cechą, a w parze z nią szła szczerość. Nie było w nim śladu jakiejkolwiek dumy, jeżeli nie liczyć jego stosunku do siebie jako pisarza.

Spotykaliśmy się codziennie. Istniało sporo podobieństwa pomiędzy naszymi poglądami. Często wspólnie spożywaliśmy obiady. Był to czas, kiedy żyłem za siedemnaście szylingów tygodniowo i sam przygotowywałem posiłki. Czasami odwiedzałem go w jego mieszkaniu. Kiedy indziej on przychodził do mnie. Dania przyrządzałem według przepisów angielskiej kuchni, ale jemu smakowały jedynie potrawy ugotowane tak, jak się je przyrządza w Indiach. Nie mógł nic jeść bez groszku – *dhal*. Na przykład ugotowałem zupę z marchwi, a on nie przestawał ubolewać z powodu mojego braku smaku. Pewnego razu Narajan wynalazł gdzieś *mung* (rodzaj rośliny strączkowej), ugotował mi i przyniósł do domu. Jadłem z prawdziwą przyjemnością. Doszło do tego, że powstała pomiędzy nami regularna wymiana: ja zanosiłem do niego moje smakołyki, a on swoje do mnie.

Nazwisko kardynała Manninga było wtedy na ustach wszystkich. Dzięki interwencji Johna Burnsa i kardynała Manninga strajk robotników portowych został wcześniej zakończony. Powiedziałem Narajanowi Hemćandrze o hołdzie, jaki Disraeli złożył prawości kardynała.

– W takim razie muszę spotkać się z tym mędrcem – powiedział Narajan Hemćandra.

– Tak, to wielki człowiek, ale w jaki sposób spodziewa się pan doprowadzić do tego spotkania?

– W jaki sposób? Znam taki: pan napisze do niego w moim imieniu. Trzeba mu powiedzieć, że jestem pisarzem i że pragnę osobiście złożyć mu podziękowanie

za jego humanitarny uczynek, jednocześnie trzeba będzie dodać, że wezmę ze sobą pana jako tłumacza, ponieważ nie znam angielskiego.

Napisałem list tej treści, a po dwóch czy też trzech dniach nadeszła karta od kardynała, w której wyznaczył nam dzień spotkania.

Ubrałem się w wizytowe ubranie. Narajan Hemćandra został w swoim zwykłym stroju: w tych samych spodniach i marynarce. Próbowałem zażartować z tego, ale on wyśmiał mnie i powiedział:

– Wy, cywilizowani ludzie, wszyscy jesteście tchórzami. Wielcy ludzie nigdy nie zwracają uwagi na czyjś zewnętrzny wygląd. Cenią ludzkie serca.

Weszliśmy do rezydencji kardynała. Zaledwie zdążyliśmy usiąść, kiedy wszedł wysoki, chudy, starszy już dżentelmen i przywitał się z nami, podając rękę.

Narajan Hemćandra skierował do niego następujące słowa:

– Nie chcę zabierać panu dużo czasu. Słyszałem wiele o panu i czułem, że muszę zobaczyć go i podziękować za dobry uczynek, jaki pan zrobił dla strajkujących robotników. Jest moim zwyczajem odwiedzać mędrców tego świata i dlatego pozwoliłem sobie niepokoić pana.

Był to oczywiście mój przekład na angielski tego, co Narajan Hemćandra powiedział w języku gudźarati.

– Bardzo jestem rad z pańskich odwiedzin. Mam nadzieję, że pański pobyt w Anglii nie zawiedzie pana i że nawiąże pan stosunki z tutejszymi ludźmi. Błogosławieństwo Boże niechaj spocznie na was!

Wyrzekłszy te słowa, kardynał wstał i pożegnał nas.

Pewnego razu Narajan Hemćandra przyszedł do mojego mieszkania w koszuli i w *dhoti*[61]. Poczciwa gospodyni otworzyła drzwi, w przerażeniu przybiegła do mnie (była to moja nowa gospodyni, która jeszcze nie znała Narajana Hemćandry) i powiada:

– Jakiś obłąkaniec chce się z panem widzieć.

Podszedłem do drzwi i ku memu niezmiernemu zdziwieniu zastałem Narajana Hemćandrę. Byłem zaskoczony, natomiast na jego twarzy widniał właściwy mu uśmiech.

– Czy dzieci na ulicy nie biegły za panem?

– Owszem, biegły, ale to mi nie przeszkadzało, zresztą zachowywały się spokojnie.

---

61 *Dhoti* – pięciometrowy zwój muślinu, jedwabiu lub płótna wiązany wokół bioder, lędźwi, tak że luźna falbana zakrywa jedną nogę, pozostawiając drugą na pół osłoniętą.

Po paru miesiącach pobytu w Londynie Narajan Hemćandra wyjechał do Paryża. Zabrał się do nauki języka francuskiego oraz do tłumaczenia francuskich książek. Znałem francuski na tyle, by móc ocenić dokładność przekładów, które mi przysyłał do czytania. Nie były to przekłady w dosłownym znaczeniu tego słowa, lecz wyrażenie treści i sensu danych utworów.

W końcu Narajan Hemćandra postanowił zrealizować swój zamiar udania się do Ameryki. Z wielkim trudem udało mu się zdobyć bilet na pokładzie.

Gdy pewnego razu w Stanach Zjednoczonych wyszedł na ulicę w koszuli i *dhoti*, naraził się na wytoczenie mu sprawy za „strój obrażający moralność". O ile sobie dobrze przypominam, został uniewinniony.

XXIII. WSZECHŚWIATOWA WYSTAWA

W roku 1890 odbyła się w Paryżu wszechświatowa wystawa. Czytałem o szczegółowych przygotowaniach do niej i również bardzo pragnąłem zobaczyć Paryż. Pomyślałem więc, że najlepiej będzie połączyć te dwie rzeczy razem i udać się tam przy tej okazji. Szczególną atrakcją wystawy miała być wieża Eiffla, zbudowana z samego żelaza i sięgająca prawie tysiąca stóp wysokości. Było oczywiście wiele innych ciekawych rzeczy, ale największe zainteresowanie budziła owa wieża, zwłaszcza że zgodnie z powszechnym przekonaniem konstrukcja o takiej wysokości nie mogła się utrzymać.

Słyszałem również o tym, że w Paryżu są wegetariańskie restauracje. Wynająłem więc pokój i spędziłem tam siedem dni. Udało mi się zorganizować wszystko bardzo oszczędnie, zarówno samą podróż do Paryża, jak i zwiedzanie go. Przeważnie chodziłem pieszo, posługując się jedynie mapą miasta i przewodnikiem po wystawie. Wystarczało to, by znaleźć główne ulice i najciekawsze do obejrzenia miejsca.

Z całej wystawy w mojej pamięci nie zachowało się prawie nic, prócz tego, że była wspaniała i bardzo urozmaicona. Doskonale przypominam sobie wieżę Eiffla, gdyż dwa czy też trzy razy na nią wchodziłem. Na pierwszej platformie znajdowała się restauracja i dla samej przyjemności opowiedzenia, że jadłem obiad na takiej wysokości, wydałem siedem szylingów.

Stare kościoły Paryża wciąż jeszcze zachowały się w mojej pamięci. Nie da się zapomnieć wielkości i spokoju, jakie w nich panują. Wspaniała architektura Notre Dame i kunsztowne ozdoby wnętrza z ich przepięknymi rzeźbami muszą

na zawsze pozostać w pamięci. Zrozumiałem wtedy, że ci, którzy wydali miliony na budowę tak cudownych świątyń, nie mogli się powodować niczym innym jak tylko wielką miłością do Boga, płonącą w ich sercach.

Czytałem wiele o obyczajach i frywolności Paryża. Było tego sporo na każdej paryskiej ulicy, ale kościoły jak gdyby trzymały się na uboczu od tych scenek ulicznych. Kiedy człowiek wszedł do któregokolwiek z nich, wnet zapominał o rozgwarze i zgiełku, panujących na zewnątrz. Sposób zachowania zmieniał się niezwłocznie i z szacunkiem i powagą mijało się tych, co klęczeli przed wizerunkiem Najświętszej Panny. Coraz bardziej rosło we mnie przeświadczenie, że te modły odprawiane na klęczkach nie mogą być tylko zabobonem, a wierni zatopieni w modlitwie i klęczący przed posągiem Najświętszej Panny nie składają chyba hołdu samemu marmurowi. Płonął w nich ogień prawdziwej wiary i klękali nie przed kamieniem, lecz przed boskością, której był on symbolem. Odnosiłem wrażenie, że ci ludzie przyczyniali się raczej do powiększenia chwały Boga niż do jej pomniejszenia.

Muszę powiedzieć parę słów o wieży Eiffla. Nie wiem, jakim celom służy obecnie – wtedy słyszałem zarówno wiele zarzutów pod jej adresem, jak i pochwał. Przypominam sobie, że Tołstoj był jednym z tych, którzy potraktowali ją najbardziej lekceważąco. Tołstoj wyraził wtedy pogląd, iż wieża Eiffla jest raczej pomnikiem ludzkiego szaleństwa aniżeli mądrości. Jego zdaniem tytoń był najgorszą ze wszystkich trucizn, do tego stopnia, że człowiek, który się znalazł w mocy tego nałogu, jest zdolny do popełnienia zbrodni, o jakich pijakowi nawet się nie śniło. Alkohol pozbawia człowieka rozumu, natomiast tytoń zamracza jego umysł i czyni go zdolnym do budowania zamków na lodzie. Wieża Eiffla, według Tołstoja, była dziełem człowieka podlegającego takim właśnie wpływom.

Jeżeli chodzi o piękno, to niepodobna odnaleźć jego śladu w wieży Eiffla i w żadnym wypadku nie można powiedzieć, by wieża przyczyniła się do podniesienia wyglądu wystawy. Ludzie tłoczyli się, by ją obejrzeć, wchodzili na jej szczyt, gdyż była nowością i unikatem pod względem swych rozmiarów. Była zabawką wystawy.

Kiedy jesteśmy jeszcze dziećmi, pociągają nas wszelkiego rodzaju zabawki – wieża Eiffla potwierdzała jak najdobitniej, że wciąż jeszcze jesteśmy dziećmi, dla których świecidełka mają nieodparty urok.

Może temu właśnie celowi służyła?

XXIV. „NOMINACJA" – I CO DALEJ?

dkładałem dotychczas wszelkie wyjaśnienia dotyczące przyczyn, dla których przybyłem do Anglii, lub mówiąc inaczej – w jakim celu ubiegałem się o przyjęcie do adwokatury. Czas powiedzieć o tym, bodaj w krótkich słowach.

Istniały dwa warunki, które musiały być spełnione, zanim studiujący prawo otrzymywał oficjalną nominację na adwokata: trzeba było „odrobić dwanaście semestrów", co odpowiadało mniej więcej trzem latom studiów, no i zdać egzaminy.

„Odrobić semestry" było równoznaczne ze spożyciem w ciągu semestru co najmniej sześciu obiadów z ogólnej liczby dwudziestu czterech przypadających na każdy semestr. „Spożycie" nie oznaczało dosłownie uczestniczenia w jedzeniu obiadów, lecz znaczyło obecność o oznaczonych godzinach podczas organizowanych w tym celu spotkań. Rzecz oczywista, każdy przy takiej sposobności jadł i pił, tym bardziej że dobór win był wcale niezły.

„Obiad" kosztował od dwóch szylingów i sześciu pensów do trzech i sześciu, czyli dwie lub trzy rupie. Cena była uważana za umiarkowaną, tym bardziej że za samo wino w hotelowej restauracji płaciło się trzy szylingi.

Dla nas, w Indiach, jest raczej niespodzianką (nie zaliczamy się przecież do „cywilizowanych" narodów), że cena za trunki może przewyższać koszt posiłku. Kiedy się z tym po raz pierwszy zetknąłem, byłem po prostu zaskoczony i nie mogłem wyjść ze zdumienia, że ludzie wydają tyle pieniędzy na trunki. Później to zrozumiałem. Bardzo często niczego podczas takich obiadów nie brałem do ust, gdyż jedynymi daniami, które mogłem jeść, były – prócz chleba – gotowane kartofle lub kapusta. Z początku nie jadłem nawet tego, ale później, kiedy mi zaczęły smakować, nabrałem odwagi i zamawiałem inne dania.

Obiady podawane aplikantom były zazwyczaj znacznie lepsze od tych, które dostawali studenci. Pewien student – pars, który również był wegetarianinem, i ja domagaliśmy się w imieniu innych zwolenników wegetariańskiej kuchni takich samych wegetariańskich potraw, jakie podawano aplikantom. Nasze żądanie zostało uwzględnione i zaczęliśmy otrzymywać owoce oraz dania ze „stołu aplikantów".

Każdej grupie składającej się z czterech osób przysługiwały dwie butelki wina, wobec tego zaś, że ja go nie piłem, stale zwracano się do mnie, bym przyłączył się do „kwartetu", a wtedy trzy osoby opróżniały dwie butelki. Kiedy na

zakończenie każdego semestru organizowano tak zwane gala-wieczory, prócz porto i sherry, które podawano zazwyczaj, otrzymywaliśmy jeszcze szampana. Przy takich okazjach „zapotrzebowanie" na moją osobę było szczególnie duże.

Nie byłem wówczas w stanie zrozumieć – zresztą do dziś nie mogę tego pojąć – dlaczego takie wspólne obiady miały się przyczyniać do lepszego przygotowania studentów do zawodu adwokackiego. W dawnych czasach na tego rodzaju obiady uczęszczało zaledwie paru studentów i tym samym było znacznie więcej sposobności do wymiany zdań pomiędzy nimi a tymi, którzy już zostali przyjęci do adwokatury, i przy tej okazji wygłaszano również różne przemówienia. Tego rodzaju spotkania niewątpliwie przyczyniały się do lepszego poznawania świata, do zdobywania większej ogłady i oczywiście sprzyjały doskonaleniu kunsztu krasomówczego. W moich czasach było to już niemożliwe wobec tego, że „adwokaci" jadali osobno.

Cały ten system dawno stracił rację istnienia, mimo to został jednak utrzymany w konserwatywnej Anglii.

Program wykładów był łatwy, a wykładowcy nazywani byli żartobliwie „obiadowymi lektorami prawa". Każdy doskonale wiedział, że egzamin przeważnie nie miał żadnego znaczenia.

Za moich czasów było dwóch lektorów: jeden wykładał prawo rzymskie, a drugi – powszechne. Istniały skrypty specjalnie przeznaczone do egzaminów, każdy mógł je zabrać do domu, ale rzadko kto z nich korzystał.

Znałem wielu takich, którzy złożyli egzaminy z prawa rzymskiego w ciągu paru miesięcy, zrobiwszy zaledwie parę notatek, a prawo powszechne zdali po pobieżnym przeczytaniu skryptów, co im zajęło nie więcej niż dwa lub trzy miesiące. Egzaminy pisemne były łatwe, a egzaminujący bardzo wyrozumiali. Ci, którzy zdali egzaminy z prawa rzymskiego, stanowili od dziewięćdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent, a dobrych wyników przy egzaminach końcowych było około siedemdziesięciu pięciu procent. Obawy „obcięcia się" były nikłe, przy czym zdawało się egzaminy nie raz w roku, lecz cztery razy. Toteż nie było żadnych trudności.

Udało mi się złożyć je za jednym zamachem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że powinienem przeczytać wszystkie skrypty. Uważałem nieprzestudiowanie podręczników za oszustwo. Kosztowały mnie zresztą sporo pieniędzy. Postanowiłem przestudiować prawo rzymskie. Łacina, której się nauczyłem na kursach przygotowawczych w Londynie, bardzo mi się przydała, a ponadto studia te ogromnie mi pomogły w Afryce Południowej, gdzie prawo rzymskie

i holenderskie są podstawą powszechnie przyjętego prawa. Przestudiowanie Justyniana było mi również bardzo pomocne przy zaznajamianiu się z ustawami obowiązującymi w Afryce Południowej.

Przebrnięcie przez prawo powszechne stosowane na terenie Anglii zabrało mi dziewięć miesięcy usilnej pracy. Samo przestudiowanie *Kodeksu prawa powszechnego* Brooma, grubego, ale bardzo interesującego tomu, pochłonęło niemało czasu. *Sprawiedliwość* Snella była bardzo ciekawą, ale jednocześnie trudną książką. *Głośne procesy* White'a i Tudora (niektóre z nich stanowiły zakazaną lekturę) były niezwykle ciekawą i pouczającą książką. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem również *Prawo własności* Williamsa i Edwardsa, a także dzieło *Własność prywatna* Goodevesa. Williamsa czytało się jak powieść.

Książką, którą z niesłabnącym zainteresowaniem, jak to sobie dobrze przypominam, czytałem również po powrocie do Indii, było *Prawo indyjskie* Mayne'a. Ale to nie miejsce, by omawiać indyjskie książki z dziedziny prawa.

Dziesiątego czerwca 1891 roku zdałem więc egzaminy i zostałem mianowany adwokatem, dziesiątego czerwca wpisałem się na listę obrońców Sądu Najwyższego, a dwunastego odpłynąłem do domu.

Wprawdzie skończył się okres moich studiów, lecz bynajmniej nie skończyła się moja bezradność i moje obawy. Nie czułem się na siłach, by rozpocząć praktykę prawniczą.

Omówienie tego uczucia bezradności wymaga jednak osobnego rozdziału.

XXV. MOJA BEZRADNOŚĆ

Zostać adwokatem nie było trudno, trudniej było rozpocząć działalność praktyczną przed sądem. Przestudiowałem ustawy, ale nie nauczyłem się, jak należy stosować prawo w życiu. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem *Podstawy prawa*, ale nie wiedziałem, jak się nimi posługiwać w moim zawodzie. „Sic utere tuo ut alienum non laedas!" (Korzystaj z tego, co do ciebie należy, lecz czyń to bez szwanku dla innych) – oto jedna z tych maksym, ale ja gubiłem się w domysłach, by odgadnąć, jak należy praktycznie zastosować tę zasadę, mając na względzie jedynie korzyść własnego klienta.

Przestudiowałem wprawdzie wszystkie zasadnicze wskazówki związane z zastosowaniem tej maksymy, ale one bynajmniej nie wtajemniczyły mnie w to, jak należy się nią posługiwać w praktyce.

Ponadto nie nauczyłem się niczego, co miałoby jakikolwiek związek z prawem indyjskim. Nie miałem najmniejszego pojęcia o prawodawstwie hinduskim i mahometańskim. Nie wiedziałem nawet, jak zredagować skargę sądową, jednym słowem, czułem się kompletnie bezradny.

Słyszałem o Sir Pherozeszahu Mehcie jako o tym, który niczym lew krzyczy w sali sądowej podczas rozprawy. Czyżby nauczył się tego w Anglii? Nie było mowy o tym, bym mógł kiedykolwiek jako prawnik dorównać mu błyskotliwością, przeciwnie, miałem poważne obawy, czy jako obrońca zdołam bodaj zarobić na swoje utrzymanie.

Tego rodzaju wątpliwości i obawy dręczyły mnie, kiedy jeszcze studiowałem prawo. Zwierzyłem się ze swoich trudności któremuś z przyjaciół. Jeden z nich poradził mi, bym zasięgnął rady Dadabhai Naorodźiego[62]. Wspomniałem już o tym, że udając się do Anglii, byłem w posiadaniu listu polecającego do Dadabhai. Skorzystałem z niego bardzo późno. Uważałem, że nie wolno mi niepokoić tego poważnego człowieka prośbą o spotkanie. Ilekroć zapowiedziane było jego wystąpienie publiczne, starałem się być obecny, słuchałem jego przemówień, siedząc gdzieś w kącie sali, po czym szedłem do domu, mając oczy i uszy pełne tej niezwykłej postaci. Po to, by mieć bliższy kontakt ze studentami, Dadabhai Naorodźi powołał do życia specjalne stowarzyszenie. Nie opuściłem ani jednego zebrania, cieszyła mnie jego troska o studentów i szacunek, jaki mieli dla niego.

Po pewnym czasie zdobyłem się na odwagę i wręczyłem mu list polecający mnie jego opiece.

Dadabhai Naorodźi odpowiedział mi: „Może pan przyjść, kiedy pan zechce, i zasięgnąć mojej rady". Nigdy jednak nie skorzystałem z jego gotowości. Wciąż mi się zdawało, że nie należy mu się naprzykrzać, nie mając ważnej i pilnej sprawy do załatwienia. Nie mogłem się więc zdobyć, idąc za radą mego przyjaciela, by pójść do Dadabhai i opowiedzieć mu o trudnościach, z jakimi musiałem wtedy walczyć.

Nie pamiętam, czy to był ten sam przyjaciel, czy też inny, który mi poradził, abym zobaczył się z mister Frederickiem Pincuttem, który był członkiem partii konserwatywnej, ale jego życzliwość dla hinduskich studentów była

62 Dadabhai Naorodźi (1825–1917) – wybitny działacz polityczny Indii pod koniec XIX w. Założyciel i jeden z czołowych przywódców Indyjskiego Kongresu Narodowego. Nazywano go „ojcem Kongresu". Należał do skrzydła „umiarkowanych" i był zwolennikiem nadania Indiom samorządu.

bezinteresowna i szczera. Wielu studentów zasięgało jego rady, więc i ja też zwróciłem się z prośbą o wyznaczenie mi godziny i dnia, kiedy będę mógł być przyjęty przez niego, na co otrzymałem przychylną odpowiedź.

Nigdy nie zapomnę tego spotkania. Potraktował mnie jak przyjaciela. Wyśmiał mnie za mój pesymizm. „Czy panu się zdaje – powiedział do mnie – że każdy musi być zaraz Pherozeszahem Mehtą? Tacy prawnicy jak Pherozeszah i Badruddin trafiają się rzadko. Niech pan będzie przekonany, że wcale nie trzeba posiadać jakichś niezwykłych zdolności, by zostać przeciętnym adwokatem. Zwykła uczciwość i pracowitość najzupełniej wystarczą, by mógł pan zarobić na życie. Nie wszystkie sprawy sądowe są skomplikowane. Niech mnie pan poinformuje, jak daleko sięgają pańskie ogólne wiadomości".

Kiedy mu powiedziałem, jak szczupły jest zakres odbytych przeze mnie studiów, spostrzegłem, że był nieco zaskoczony. Ale to trwało tylko chwilę. Potem jego twarz rozjaśniła się przyjemnym uśmiechem i powiedział do mnie: „Rozumiem, na czym polegają pańskie kłopoty. Pańskie ogólne wykształcenie jest dość ubogie. Niewiele pan wie o świecie, a to jest nieodzownym warunkiem dla wakila (prawnika). Nie czytał pan nawet historii Indii. Prawnik musi znać naturę ludzką, musi umieć odczytać charakter człowieka z jego twarzy, a każdy Indus powinien znać dzieje swojego kraju. Nie ma to wprawdzie nic wspólnego z praktyką prawniczą, ale powinien pan je znać.

Widzę, że pan nie czytał nawet historii rewolty z 1857 roku, napisanej przez Kaye'a i Mallesona. Niech pan zaraz ją zdobędzie, a także przeczyta jeszcze inne dwie książki. Pomogą panu w zrozumieniu natury ludzkiej". – Były to książki Lavatora i Shemmelpennicka o fizjonomii.

Byłem niezmiernie wdzięczny temu czcigodnemu i przyjaźnie do mnie usposobionemu człowiekowi. W jego obecności pozbyłem się wszelkich obaw, ale gdy się znalazłem sam, ponownie zacząłem się martwić.

„Trzeba umieć odczytać charakter człowieka z jego twarzy"– to zdanie mnie nie opuszczało, kiedy po drodze do domu myślałem o tych dwóch książkach.

Następnego dnia nabyłem książkę Lavatora. Shemmelpennicka nie było w księgarni. Zacząłem czytać Lavatora i stwierdziłem, że jest trudniejszy od *Sprawiedliwości* Snella i znacznie mniej interesujący. Studiowałem specjalnie twarz Szekspira i w żaden sposób nie mogłem stwierdzić, by ktoś do niego podobny chodził ulicami Londynu.

Książka Lavatora nie wzbogaciła mojej wiedzy. Rady udzielone mi przez mister Pincutta nie przyniosły mi wiele bezpośredniego pożytku, ale jego życzliwość

dodała mi dużo otuchy. Zachowałem w pamięci jego uśmiechniętą twarz i uwierzyłem jego słowom, że bystrość umysłu, pamięć i talent Pherozeszaha Mehty nie były konieczne, by zostać cieszącym się powodzeniem adwokatem. Uczciwość i pracowitość były wystarczające. Wobec tego zaś, że tej ostatniej mi nie brakowało, czułem się do pewnego stopnia pokrzepiony na duchu.

Nie udało mi się przeczytać w Anglii książek Kaye'a i Mallesona, natomiast uczyniłem to w Afryce Południowej, ponieważ postanowiłem przy pierwszej okazji przestudiować oba dzieła.

Z tym oto wątłym zalążkiem nadziei zmieszanym z rozpaczą w duszy wylądowałem w Bombaju, opuszczając pokład parowca „Assam". Morze w porcie było burzliwe, na brzeg dostałem się na szalupie.

CZĘŚĆ II

I. RAJĆANDBHAI

Wspomniałem w ostatnim rozdziale, że morze w porcie Bombaju było wzburzone, co na Morzu Arabskim w czerwcu i w lipcu nie było czymś niezwykłym. Cały zresztą czas, od Adenu począwszy, było niespokojne. Prawie każdy pasażer cierpiał na chorobę morską – jedynie ja czułem się doskonale, stałem na pokładzie, przyglądając się rozhukanym bałwanom i rozkoszując się widokiem rozbijających się fal. Na śniadanie – nie licząc mnie – przychodziły co najwyżej dwie lub trzy osoby i jadły płatki owsiane z talerzy umocowanych w specjalnych wgłębieniach. Niekiedy same płatki, bez talerzy, trafiały do owych wgłębień.

Burza szalejąca na zewnątrz była dla mnie symbolem tej, która szalała we mnie. Ale podobnie jak ta pierwsza, również i ta druga nie wytrącała mnie z równowagi. Oczekiwały mnie pewne trudności ze strony mojej kasty. Powiedziałem już, że rozpoczynając swą pracę zawodową, doznawałem uczucia ogromnej bezradności. Ponadto – uważając siebie za reformatora, musiałem się poważnie zastanowić nad tym, w jaki sposób rozpocząć wprowadzanie reform. Napotkałem więcej trudności, aniżeli nawet mogłem przypuszczać.

Mój starszy brat przyszedł do portu, aby mnie przywitać. Znał już wcześniej doktora Mehtę i jego starszego brata, a wobec tego, że doktor Mehta koniecznie chciał, abym zamieszkał w jego domu, więc udaliśmy się do niego. Znajomość nawiązana w Anglii była kontynuowana w Indiach i przekształciła się z czasem w trwałą przyjaźń pomiędzy naszymi rodzinami.

Płonąłem z niecierpliwości, by czym prędzej zobaczyć matkę. Nie wiedziałem, że już jej nie ma wśród żyjących, że nigdy już nie przytuli mnie do swej piersi. Dopiero teraz zakomunikowano mi tę smutną wiadomość i natychmiast odprawiłem wszystkie przepisane przez rytuał żałobne ablucje.

Brat ukrył przede mną wiadomość o śmierci matki, która umarła podczas mego pobytu w Anglii. Chciał mi oszczędzić tak ciężkiego ciosu, kiedy się znajdowałem na obczyźnie. Niemniej ta wiadomość wywarła na mnie wstrząsające wrażenie. Nie chcę się jednak teraz nad tym rozwodzić. Żałoba, którą przeżywałem, była jeszcze większa niż po śmierci ojca. Większość nadziei, które żywiłem, legła w gruzach. Pamiętam jednak, że zapanowałem nad sobą i nie pozwoliłem, by nieokiełznana rozpacz wzięła nade mną górę. Potrafiłem nawet powstrzymać łzy i żyć dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Doktor Mehta przedstawił mnie wielu swoim znajomym, a jednym z nich był jego brat, Śri Rewaśankar Dźagdźiwan, z którym złączyła mnie później dozgonna przyjaźń.

Znajomością, o której muszę jednak osobno wspomnieć, była znajomość zawarta z poetą Rajćandem lub Radźćandrą, zięciem starszego brata doktora Mehty oraz współwłaścicielem firmy jubilerskiej prowadzonej pod nazwiskiem Rewaśankar Dźagdźiwan. Miał on wtedy nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale od pierwszego spotkania z nim odniosłem wrażenie, że jest to człowiek wykształcony i o prawym charakterze. Był również znany jako *śatawadhani* (człowiek posiadający zdolność zapamiętywania i jednoczesnego zajmowania się różnymi rzeczami); doktor Mehta zaproponował mi, abym wypróbował jego zdolności pamięciowe. Wyczerpałem cały posiadany przeze mnie zasób słów w różnych językach europejskich i zwróciłem się do poety, by powtórzył te słowa. Uczynił to z niezwykłą dokładnością i w tej samej kolejności, w jakiej mu je podałem. Zazdrościłem mu tego daru, ale oparłem się jego czarowi. Uległem mu jednak – jak się o tym przekonałem później – ze zgoła innych powodów. Żywiłem bezgraniczny szacunek dla jego głębokiej znajomości wszystkich świętych pism, dla jego charakteru bez skazy i płomiennej potrzeby doskonalenia się. Później się przekonałem, że stanowiło to jedyny cel jego życia.

Te oto strofy Muktanandy[63] nigdy nie schodziły z moich ust i pozostały na zawsze wyryte w mojej pamięci:

Jedynie wtedy poczuję się błogosławionym,
gdy w każdym z mych codziennych uczynków
Jego zdołam dojrzeć odbicie –
On jest bowiem tą nitką,
na której trzyma się życie Muktanandy.

Transakcje handlowe Rajćandbhai sięgały setek tysięcy. Był wielkim znawcą pereł i brylantów. Najbardziej zawikłana sprawa handlowa nie przedstawiała dla niego jakiejkolwiek trudności. Ale nie te sprawy stanowiły główny przedmiot zainteresowań w jego życiu. Skupiały się one przede wszystkim na gorącym pragnieniu poznania istoty Boga. Pomiędzy przedmiotami znajdującymi się na jego biurku można było zawsze znaleźć parę religijnych książek i jego pamiętnik.

63 Muktananda (1761–1824) – poeta, filozof piszący w języku gudźarati.

Człowiek, który natychmiast po ukończeniu konferencji, dotyczącej niekiedy bardzo poważnych transakcji handlowych, mógł zasiąść do zapisywania najbardziej subtelnych myśli z dziedziny zagadnień duchowych, nie mógł oczywiście być jedynie człowiekiem „interesu", lecz był prawdziwym poszukiwaczem prawdy.

Niejednokrotnie widziałem go, jak w trakcie załatwiania spraw handlowych naraz pogrążał się cały w pobożnych rozmyślaniach. Nigdy nie widziałem, by przestał nad sobą panować. Nie łączyły go ze mną żadne handlowe lub inne materialne stosunki, a jednak bliskie więzy, jakie istniały między nami, sprawiały mi wielką radość. Ja byłem tylko adwokatem bez praktyki, a przecież ilekroć go spotkałem, nawiązywał ze mną rozmowy na poważne religijne tematy. Pomimo iż stawiałem w owym czasie po omacku dopiero pierwsze kroki i nie mogę powiedzieć, by poważne religijne dyskusje szczególnie mnie wtedy interesowały, jednak rozmowa z nim niezwykle mnie pociągała. I chociaż od tamtych czasów poznałem niejednego przywódcę ruchu religijnego lub kaznodzieję oraz spotykałem ludzi stojących na czele różnych sekt, muszę powiedzieć, że nigdy żaden z nich nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak Rajćandbhai.

Jego słowa bezpośrednio trafiały do mnie. Jego umysł i powaga budziły we mnie szacunek dla niego, a w mojej duszy coraz głębiej zakorzeniało się przeświadczenie, że ten człowiek nigdy świadomie nie sprowadzi mnie na manowce i zawsze będzie mi powierzał swe najtajniejsze myśli. W chwilach duchowych wahań, jakie mnie nawiedzały, zawsze był mi ostoją.

A jednak mimo całego szacunku, jaki dla niego żywiłem, nie mogłem go umieścić w swym sercu jako swego *guru* (mistrza). Miejsce to pozostaje we mnie niezajęte, a ja wciąż jeszcze trwam w poszukiwaniach tego, który by je mógł zająć.

Wierzę w żyjącą wśród hindusów teorię związaną z *guru* i jej doniosłość, gdy chodzi o poznanie siebie samego. Wydaje mi się, że doktryna głosząca, iż osiągnięcie istotnej wiedzy bez pomocy g*uru* jest niemożliwe, zawiera w sobie wiele słuszności. Dalekiego od doskonałości nauczyciela można tolerować, gdy chodzi o sprawy świeckie, natomiast jest to nie do pomyślenia, gdy chodzi o sprawy duchowe. Jedynie prawdziwy *dźnani* (ten, który wie i widzi przyszłość) zasługuje na to, by zająć miejsce *guru*. W tych wypadkach musi się mieć do czynienia z nieustającym dążeniem do osiągnięcia doskonałości. *Guru* bywa jedynie ten, kto na to zasługuje, a dopiero nieustające dążenie do uzyskania stopnia doskonałości daje człowiekowi to prawo i jest dla niego nagrodą. Reszta pozostaje w rękach Boga.

Mimo iż – jak to zobaczymy dalej – nie byłem w stanie umieścić w mym sercu Rajćandbhai jako guru, w wielu przypadkach przychodził mi z pomocą jako mój przewodnik. Trzej współcześni wywarli głęboki wpływ na moje życie i na długo przykuli mnie do siebie.

Byli to: Rajćandbhai, z którym zetknąłem się bezpośrednio, Tołstoj – dzięki swej książce *Królestwo Boże jest w tobie samym* i Ruskin – przez swe wielkie dzieło *Unto This Last*.

Ale o tym wszystkim będzie mowa na właściwym miejscu.

II. JAK ROZPOCZĄŁEM ŻYCIE

Mój starszy brat żywił wielkie nadzieje, jeśli chodzi o moją osobę. Było w nim bardzo duże dążenie do zdobycia głośnego nazwiska i sławy. Był to człowiek o wielkim sercu, hojny aż do przesady. Ta cecha oraz właściwa mu prostota zjednywały mu wielu przyjaciół. Mój brat wciąż liczył na to, iż wkrótce i ja zacznę praktykować. Był przekonany, że zdobędę od razu ogromną klientelę, i w tej nadziei pozwolił, by moje wydatki domowe wzrosły niepomiernie. Robił poza tym wszystko, co się dało, by przygotować grunt pod moją przyszłą praktykę.

Burza rozpętana z powodu mojej podróży za granicę w łonie kasty, do której należałem, wciąż się jeszcze nie uspokoiła. Na tym tle dokonał się w niej rozłam: jedni byli za tym, by mnie niezwłocznie przyjąć z powrotem, podczas gdy drudzy trwali w postanowieniu nieprzyjmowania mnie. By się przypodobać tym ostatnim, mój brat przed udaniem się do Radźkotu zabrał mnie do Nasik[64], gdzie wykąpałem się w świętej rzece, a po przybyciu do Radźkotu wydał obiad dla naszej kasty.

To wszystko nie bardzo mi się podobało, ale miłość, jaką czułem dla mego brata, była bezgraniczna, byłem mu również bardzo oddany, toteż automatycznie spełniałem to, czego sobie życzył, i uważałem jego wolę za bezwzględny nakaz.

Trudności połączone z ponownym przyjęciem mnie do kasty zostały wreszcie przezwyciężone.

---

64 Nasik – miasto położone w odległości 150 km od Bombaju. Miejsce pielgrzymek, gdzie pielgrzymi kąpią się w rzece Godawari.

Nigdy nie starałem się o przyjęcie mnie tam, gdzie sobie tego nie życzyli. Nie czułem również żadnej urazy do któregokolwiek z przywódców tego klanu, z którego zostałem usunięty. Niektórzy z nich patrzyli na mnie z niechęcią, starałem się jednak w niczym nie urazić ich uczuć.

Uznawałem w całej pełni przysługujące kaście prawa usuwania przynależnych do niej członków. Zgodnie z istniejącymi przepisami żadnemu z moich krewnych – łącznie z teściem i teściową, a więc nawet mojej siostrze i szwagrowi – nie wolno było utrzymywać jakichkolwiek stosunków ze mną. Przepisy zabraniały podania mi w ich domu nawet wody do picia. Ci ludzie gotowi byli jednak w tajemnicy łamać te zakazy, ale spotykało się to z moim sprzeciwem, nie chciałem bowiem skrycie robić tego, czego nie robiłbym publicznie.

Rezultatem mego jak najbardziej skrupulatnego przestrzegania tych przepisów było to, że nigdy nie miałem żadnych przykrości ze strony kasty. Również ogromna większość kasty, która uważała mnie za wyklętego, obecnie stale okazywała mi swą życzliwość i wielkoduszność. Była mi nawet pomocna w pracy, nie licząc bynajmniej na to, bym cokolwiek dla niej uczynił.

Jestem przekonany, że wszystkie te dobre uczynki mam do zawdzięczenia mojej taktyce niesprzeciwiania się złu. Gdybym zabiegał o ponowne przyjęcie mnie do kasty, usiłował ją rozbić na poszczególne obozy lub zachował się prowokacyjnie wobec jej członków, ci z pewnością odwzajemniliby się w podobny sposób i zamiast szczęśliwie uniknąć burzy po przybyciu z Anglii, wpadłbym w sam wir rozagitowania, kto wie, czy nie uprawianego częściowo za moimi plecami.

Mój stosunek do żony wciąż jeszcze nie był taki, jakiego pragnąłem. Nawet mój pobyt w Anglii nie uleczył mnie z zazdrości. Byłem w dalszym ciągu drobiazgowy i zazdrosny o byle co, a wszystkie moje najbardziej utajone pragnienia pozostawały niezaspokojone. Oto na przykład powziąłem mocne postanowienie nauczenia jej czytania i pisania oraz dopomożenia w nauce. Cóż, kiedy na drodze do zrealizowania tych zamiarów stanęły moje zmysły i ta właśnie moja słabość charakteru najgorzej odbiła się na mojej żonie.

Pewnego razu posunąłem się do tego, że odesłałem ją do domu jej ojca, mając zamiar pozwolić jej wrócić dopiero wtedy, kiedy mi będzie całkiem uległa. Później przekonałem się, że było to jawne szaleństwo z mojej strony.

Zamierzałem również zreformować system wychowywania dzieci. Mój brat miał dzieci, a mój własny synek, którego zostawiłem w domu w chwili wyjazdu do Anglii, miał teraz cztery lata. Pragnąłem przyzwyczaić te maleństwa do ćwiczeń

fizycznych, zahartować je i ponadto przekazać im własne doświadczenia. Brat popierał moje zamiary i wprowadzał je w czyn z mniejszym lub większym powodzeniem. Ogromnie lubiłem towarzystwo dzieci, a przyzwyczajenie przebywania z nimi, bawienia się i żartowania pozostało mi do dziś. Zawsze byłem zdania, że powinien ze mnie być dobry nauczyciel dla dzieci.

Konieczność dokonania „reform" w dziedzinie odżywiania była oczywista. W domu spożywano herbatę i kawę. Mój brat sądził, że zaprowadzenie po moim powrocie „angielskiej" atmosfery w domu jest bardzo wskazane, i dlatego różne naczynia do gotowania i wszelkie inne przedmioty używane dotychczas jedynie w wyjątkowych okolicznościach znalazły się obecnie w codziennym użyciu.

Moje „reformy" położyły temu kres. Wprowadziłem jako potrawę płatki owsiane, a kakao zastąpiło kawę i herbatę. Właściwie mówiąc, było ono jedynie dodatkiem do kawy i herbaty. Noszono również skórzane obuwie, a ja uzupełniłem dalszą „europeizację", wprowadzając przyjęty na Zachodzie sposób ubierania się.

Wydatki rosły. Każdy dzień przynosił coś nowego. „Przywiązaliśmy białego słonia do drzwi"[65]. Ale nie wiedziałem, skąd wziąć potrzebne na to środki. Rozpoczęcie praktyki prawniczej w Radźkocie zakrawało na żart. Nie miałem nawet wiedzy doświadczonego doradcy sądowego, a chciałem, aby mi płacono dziesięć razy większe honoraria. Gdzież tu znaleźć naiwnego klienta, który zechciałby powierzyć mi prowadzenie swej sprawy? A nawet gdyby się taki znalazł, czyż do mojego braku wiedzy miałem dodać jeszcze zuchwalstwo i oszustwo, tym samym jeszcze bardziej powiększając dług zaciągnięty wobec świata?

Przyjaciele radzili, abym pojechał na pewien czas do Bombaju i nabył nieco doświadczenia, uczęszczając na sesje sądowe oraz studiując prawo indyjskie. Jednocześnie miałem rozpocząć starania o uzyskanie jakiejkolwiek praktyki adwokackiej. Posłuchałem tej rady i wyjechałem.

W Bombaju zacząłem prowadzenie domu od tego, że zaangażowałem kucharza, który równie mało znał się na tym co ja. Był to bramin. Nie traktowałem go jako służącego, ale jako członka rodziny. Ten człowiek nigdy się nie mył, zaledwie spryskiwał się wodą. Jego *dhoti* były zawsze brudne, podobnie jak zawój. Poza tym był kompletnym analfabetą. Ale czy mogłem sobie pozwolić na lepszego kucharza?

---

65 Przenośnie: robić coś kosztownego, lecz mało użytecznego lub ekstrawaganckiego.

– I cóż, Rawiśankar (tak się bowiem nazywał) – mówiłem do niego – nie umiesz co prawda gotować, ale zapewne znasz *sandhya*[66] oraz inne podobne rzeczy.

– *Sandhya*, mój panie? Naszą *sandhya* jest socha, a naszym codziennym obrządkiem – motyka! Taki ze mnie bramin! Muszę żyć na pańskim łaskawym chlebie, inaczej musiałbym wrócić do pracy na roli.

W ten sposób, chcąc nie chcąc, zostałem nauczycielem Rawiśankara. Czasu miałem aż nadto. Połowę pracy przy sporządzaniu posiłków wykonywałem sam i wprowadzałem do wegetariańskiej kuchni nabyte w Anglii doświadczenie. Kupiłem piecyk i zabraliśmy się razem z Rawiśankarem do prowadzenia gospodarstwa. Co do urozmaicenia dań nie miałem żadnych skrupułów, Rawiśankar również nie miał, bez trudu doszliśmy więc do porozumienia. Istniała natomiast inna przeszkoda: Rawiśankar ślubował, że nie będzie się mył, a zwłaszcza że jego nogi pozostaną brudne!

Nie mogłem jednak pozostać w Bombaju dłużej niż cztery lub pięć miesięcy, a to dlatego, że nic nie zarabiałem, a wydatki stale rosły.

W ten sposób rozpoczynałem samodzielne życie. Zawód adwokata niezbyt mi odpowiadał: za dużo w nim było cech na pokaz, a za mało prawdziwej wiedzy. Czułem na sobie miażdżący ciężar odpowiedzialności.

III. PIERWSZA SPRAWA

Podczas pobytu w Bombaju rozpocząłem studia nad prawem indyjskim i jednocześnie podjąłem dalsze doświadczenia z zakresu odżywiania, w czym towarzyszył mi mój przyjaciel Wirczand Gandhi. Mój brat ze swej strony czynił wszystko, co było w jego mocy, by znaleźć dla mnie jakąś sprawę do obrony w sądzie.

Studiowanie prawa indyjskiego było zajęciem dość nudnym. Nie mogłem sobie w żaden sposób poradzić z kodeksem cywilnym. Podobnie było z „Postępowaniem dowodowym". Wirczand Gandhi przygotowywał się do egzaminów na prokuratora i opowiadał mi mnóstwo najrozmaitszych dykteryjek o adwokatach i obrońcach sądowych. „Cały kunszt Pherozeszaha – mówił – polega na jego ogromnej znajomości prawa. Zna kodeks prawny na pamięć i pamięta

66 *Sandhya* – modlitwa poranna i wieczorna.

wszystkie casusy z trzydziestego drugiego rozdziału. Niezwykła zaś siła argumentacji Badruddina Tjabdźiego budzi w sędziach szacunek".

Opowiadania o tego rodzaju zaletach działały mi na nerwy.

„Zdarza się – dodawał – niejednokrotnie, że adwokat wegetuje w ciągu pięciu, a nawet i siedmiu lat. Dlatego właśnie wniosłem podanie o przyjęcie mnie do prokuratury. Będziesz mógł uważać się za szczęśliwca, jeżeli ci się uda wypłynąć o własnych siłach w ciągu trzech lat".

Wydatki powiększały się z miesiąca na miesiąc. Posiadać kancelarię adwokacką poza domem, przygotowując się do tego zawodu, było czymś, na co nie mogłem sobie pozwolić. Poza tym uniemożliwiało mi to poświęcenie całej uwagi studiom. Zacząłem nawet znajdować upodobanie w studiowaniu „Postępowania dowodowego" i z ogromnym zainteresowaniem czytałem dzieło Mayne'a *Prawo indyjskie*. Jednak wciąż brakło mi odwagi do podjęcia się prowadzenia sprawy w sądzie. Czułem się bezradny niczym młoda małżonka, która po raz pierwszy przestąpiła próg domu swego teścia!

Mniej więcej w tym czasie podjąłem się prowadzenia sprawy pewnego Indusa, Mannibaia. Była to tak zwana drobna sprawa.

Powiedziano mi: „Będzie pan musiał zapłacić coś niecoś pośrednikowi". Z oburzeniem odrzuciłem tę propozycję.

– Ależ nawet tak głośny obrońca w procesach kryminalnych jak Iks lub Ygrek, zarabiający od trzech do czterech tysięcy miesięcznie, płaci za pośrednictwo.

– Nie mam potrzeby naśladowania go! – odpowiedziałem. – Mnie najzupełniej wystarczy, jeżeli zarobię trzysta rupii miesięcznie. Mój ojciec również nie zarabiał więcej.

– Tamte czasy dawno minęły. Wydatki na utrzymanie wzrosły w Bombaju zastraszająco. Musisz spojrzeć na te sprawy z handlowego punktu widzenia.

Byłem jednak nieprzejednany. Nie zapłaciłem za pośrednictwo, a jednak dostałem do prowadzenia sprawę Mannibaia. Sprawa była bardzo łatwa. Wyznaczyłem jako honorarium trzydzieści rupii. Rozprawa sądowa mogła potrwać najwyżej jeden dzień.

Był to mój debiut przed sądem rozpatrującym pomniejsze sprawy. Zająłem miejsce obrońcy i miałem przystąpić do przesłuchania świadków strony skarżącej. Wstałem, ale w tej samej chwili serce uciekło mi w pięty. Zaczęło mi się kręcić w głowie, miałem wrażenie, że cała sala sądowa wiruje. Nie mogłem się zdobyć na zadanie bodaj jednego pytania. Sędzia uśmiechał się w duchu,

a inni obrońcy sądowi byli ogromnie rozbawieni tą sceną. Ja jednak nic nie widziałem. Usiadłem z powrotem na swoim miejscu i powiedziałem memu klientowi, że niestety nie mogę dalej prowadzić jego sprawy. Poradziłem mu, aby się zwrócił do mister Patela, ja zaś zwrócę mu otrzymane honorarium. Mister Patel zgodził się prowadzić sprawę za pięćdziesiąt jeden rupii. Dla niego oczywiście była dziecinną igraszką.

Szybko opuściłem gmach sądu i nawet nie wiem, czy mój klient wygrał, czy też przegrał. Paliło mnie uczucie wstydu i postanowiłem, że nie podejmę się prowadzenia żadnej sprawy, zanim nie zdobędę się na odwagę stawania przed sądem. Osiągnąłem to dopiero w Afryce Południowej. Nie było w tym zresztą żadnej mojej zasługi. Zmusiła mnie do tego konieczność, gdyż wątpię, by znalazł się klient o zdrowych zmysłach, który powierzyłby mi prowadzenie swej sprawy przed sądem, wiedząc, że dzięki mnie może ją jedynie przegrać.

Czekała mnie jednak w Bombaju jeszcze jedna przygoda. Trzeba było napisać podanie sądowe. Jakiemuś biedakowi muzułmaninowi skonfiskowano w Porbandarze ziemię. Zwrócił się do mnie jako do syna godnego swego ojca. Sprawa wydawała się trudna do obronienia, zgodziłem się jednak zredagować dla niego podanie, przy czym klient miał ponieść koszt wykaligrafowania go. Zredagowałem projekt podania i odczytałem przyjaciołom. Ci uznali go za dobry, co dodało mi pewności siebie, i przystąpiłem do napisania obszernego podania.

Moja kancelaria mogłaby znakomicie prosperować, gdybym wyłącznie pisywał podania, nie pobierając za to żadnej opłaty. Ale z czego bym żył? Zastanawiałem się nawet nad tym, czyby nie przyjąć posady nauczyciela. Moja znajomość angielskiego była zupełnie wystarczająca i chętnie udzielałbym lekcji tego języka chłopcom przygotowującym się w jakiejś szkole do egzaminów maturalnych. Mógłbym w ten sposób pokryć część swoich wydatków. Przypadkowo natrafiłem na takie ogłoszenie w piśmie: „Potrzebny nauczyciel języka angielskiego na jedną godzinę dziennie. Honorarium – siedemdziesiąt pięć rupii".

Ogłoszenie było umieszczone przez jedno z najlepszych liceów. Zgłosiłem swoją ofertę i zostałem wezwany na rozmowę. Udałem się tam ożywiony najlepszymi nadziejami. Kiedy jednak dyrektor liceum dowiedział się, że nie mam dyplomu, spotkałem się z uprzejmą, lecz odmowną odpowiedzią z jego strony.

– Zdałem jednak egzaminy w Londynie z łaciną jako drugim obowiązkowym językiem.

– To prawda, ale nie ma pan dyplomu.

Nie było na to żadnej rady. Załamałem ręce z rozpaczy. Mój brat również był bardzo zmartwiony. Doszliśmy wspólnie do przekonania, że nie ma sensu pozostawać dłużej w Bombaju. Miałem się przenieść do Radźkotu, gdzie mój brat, który sam był średniej miary obrońcą sądowym, mógł mi dać nieco pracy przy redagowaniu podań i skarg sądowych, a wobec tego, że prowadziłem już dom w Radźkocie, likwidując mieszkanie w Bombaju, mogłem uzyskać znaczne oszczędności. Ta propozycja mi odpowiadała. Po sześciu miesiącach pobytu w Bombaju zlikwidowałem swoje niewielkie gospodarstwo.

Mieszkając w Bombaju, przyzwyczaiłem się przychodzić codziennie na rozprawy w Sądzie Najwyższym, nie mogę jednak powiedzieć, abym tam wiele skorzystał. Za mało wiedziałem, by móc się czegoś nauczyć. Często nie byłem nawet w stanie śledzić przebiegu rozprawy i drzemałem. Inni również dotrzymywali mi pod tym względem towarzystwa, co do pewnego stopnia było dla mnie pociechą. Po pewnym czasie przestałem się jednak krępować i przyzwyczaiłem się uważać drzemkę w sali rozpraw Sądu Najwyższego za dowód wielkiej wytworności.

Jeżeli obecne pokolenie w Bombaju ma podobnych do mnie młodych adwokatów bez praktyki, to chciałbym udzielić im pewnej niewielkiej, ale pożytecznej porady, która może im się przydać w życiu. Otóż chodzi o rzecz następującą: pomimo że mieszkałem w Girgaum [67], prawie nigdy nie korzystałem z powozów ani komunikacji tramwajowej. Drogę do sądu z reguły odbywałem pieszo. Zabierało mi to około czterdziestu pięciu minut; oczywiście wracałem również w ten sam sposób. Przyzwyczaiłem się do znoszenia upałów, a piesze przechadzki do sądu i z sądu pozwoliły mi oszczędzić moc pieniędzy. Wielu spośród moich znajomych w Bombaju często zapadało na zdrowiu, natomiast jeżeli chodzi o mnie, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek tam chorował.

Nawet w późniejszym okresie, kiedy już zacząłem zarabiać, zachowałem to przyzwyczajenie odbywania piechotą drogi z kancelarii do domu i z powrotem. Muszę stwierdzić, że mi to zawsze wychodziło na dobre.

67 Girgaum – dzielnica Bombaju.

IV. PIERWSZY WSTRZĄS

Rozczarowany opuściłem Bombaj i udałem się do Radźkotu, gdzie otworzyłem własną kancelarię adwokacką. Powodziło mi się średnio: pisanie podań i skarg sądowych przynosiło mi przeciętnie około trzystu rupii miesięcznie. Miałem to do zawdzięczenia raczej poparciu innych aniżeli własnym umiejętnościom, gdyż wspólnik mego brata miał szeroko rozwiniętą praktykę prawniczą. Wszystkie sprawy mające, jego zdaniem, poważniejszy charakter odsyłał głośnym obrońcom, mnie zaś przypadło w udziale redagowanie podań sądowych dla biedniejszej klienteli.

Muszę się przyznać, że tym razem zmuszony byłem pójść na kompromis wobec mojej zasady niepłacenia za pośrednictwo, tak skrupulatnie przestrzeganej w Bombaju. Wytłumaczono mi, że zachodzi różnica pomiędzy haraczami płaconymi w Bombaju a opłatami tutaj. Otóż w Bombaju płaciło się pośrednikom, czyli „naganiaczom", natomiast tutaj opłaca się wakilów, adwokatów, którzy dostarczają spraw, ale, podobnie jak w Bombaju, wszyscy bez wyjątku adwokaci płacą tu procent od swych honorariów za tak zwane pośrednictwo.

Argumenty przytaczane przez mego brata miały dla mnie nieodpartą moc. „Przecież widzisz sam – mówił do mnie – że mam wspólnika, innego wakila. Nie miałbym nic przeciwko temu, aby przekazywać tobie wszystkie sprawy, z którymi potrafisz dać sobie radę, ale jeżeli będziesz odmawiał płacenia mojemu wspólnikowi za «pośrednictwo», przyczynisz się jedynie do przysporzenia mi trudności. Wobec tego, że ty i ja mamy wspólną kancelarię, twoje opłaty wpływają do naszej wspólnej kasy i automatycznie ja otrzymuję pewną ich część. Ale co zrobić z moim wspólnikiem? Przypuśćmy, że powierzy prowadzenie tej samej sprawy jakiemuś innemu adwokatowi – z pewnością otrzyma od niego za «pośrednictwo»".

Te słowa mnie przekonały i zdałem sobie sprawę, że jeżeli chcę mieć adwokacką praktykę, nie mogę się upierać przy stosowaniu zasady niepłacenia za „pośrednictwo".

Udawało mi się jakoś związać koniec z końcem i wtedy właśnie doznałem pierwszego w moim życiu wstrząsu.

Wiedziałem dobrze, co myśleć o urzędniku brytyjskim, ale nigdy dotychczas nie zetknąłem się z nim bezpośrednio.

Mój brat był sekretarzem i radcą prawnym zmarłego Ranasaheba w Porbandarze, zanim ten zasiadł na *gadi* (tronie). Właśnie oskarżano go o to, że

dawał złe rady w okresie, gdy zajmował to stanowisko. Sprawa oparła się o przedstawiciela rządu brytyjskiego, który był wrogo usposobiony wobec mego brata. Otóż okazało się, że podczas mojego pobytu w Anglii poznałem tego wysokiego urzędnika i mogę powiedzieć, że jego stosunek do mnie był zawsze życzliwy.

Mój brat sądził, że powinienem wykorzystać tę znajomość i postarać się, by przedstawiciel rządu brytyjskiego przełamał w sobie niechęć, jaką do niego żywił. Nie podzielałem tego poglądu. Sądziłem, że nie należy wykorzystywać przelotnej znajomości w Anglii. Jeżeli bowiem mój brat istotnie zawinił, cóż zdołam wskórać, zwracając się do niego? Jeżeli nie ponosi żadnej winy, powinien raczej złożyć, gdzie należy, odpowiednie podanie i wierząc w swą niewinność, czekać na rezultat.

Brat się ze mną nie zgadzał. ,,Nie znasz jeszcze obyczajów panujących w Katiawadzie – mówił – i nie wiesz, jak to bywa na świecie. Tutaj można coś wskórać jedynie przez protekcję. A więc mój własny brat nie poczuwa się do obowiązku wstawienia się za mną i nie chce powiedzieć paru słów urzędnikowi, którego zna!"

Nie mogłem mu odmówić i wbrew swojej woli poszedłem do tego urzędnika. Zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem się zwracać do niego i że czyniąc to, narażam swoją godność. Poprosiłem jednak o audiencję i uzyskałem ją. Przypomniałem mu naszą dawną znajomość, ale niezwłocznie zauważyłem, że Katiawad to nie Anglia. Wysoki urzędnik na urlopie nie jest tym samym człowiekiem co podczas wykonywania swych funkcji urzędowych. Przyznał się wprawdzie do tej znajomości, ale to przypomnienie najwyraźniej nie sprawiło mu przyjemności.

– Pan chyba nie przyszedł jedynie w tym celu, aby wykorzystać tę znajomość? – zdawała się mówić jego oschłość, a zresztą świadczyły o tym jawnie jego ściągnięte brwi.

Nie bacząc na to, przedstawiłem mu całą sprawę. Sahib zdradzał coraz większe zniecierpliwienie.

– Pański brat jest intrygantem. Nie życzę sobie słyszeć nic więcej o nim od pana. Nie mam czasu. Jeżeli pański brat ma mi coś do powiedzenia, niech się zwróci drogą służbową.

Ta odpowiedź powinna mi była wystarczyć – zasłużyłem na nią – ale egoizm zaślepia człowieka. Mówiłem dalej. Naraz sahib wstał i powiedział:

– Zechce pan opuścić mój gabinet!

Na co ja z kolei odrzekłem:

– Ależ niech mnie pan zechce wysłuchać!

Rozgniewało go to jeszcze bardziej. Wezwał swojego ordynansa i polecił mu, aby mi wskazał drzwi. Nie wiedziałem, jak mam postąpić, gdy ordynans wszedł do gabinetu, położył ręce na moich ramionach i wyprowadził mnie z pokoju.

Sahib i jego ordynans odeszli, a ja trzęsąc się z gniewu i oburzenia, niezwłocznie napisałem do niego list tej treści: „Obraził mnie pan i użył wobec mnie przemocy, posługując się ordynansem. Jeżeli pan mnie nie przeprosi, wytoczę przeciwko panu sprawę sądową". Odpowiedź przysłana niebawem przez służącego brzmiała:

„Zachował się pan wobec mnie ordynarnie. Prosiłem pana, aby opuścił mój gabinet, czego nie chciał pan uczynić. Nie pozostawało mi nic innego, jak polecić memu ordynansowi, by pokazał panu drzwi. Nawet później, gdy wezwał pana do opuszczenia mego gabinetu, nie usłuchał go pan. Musiał więc użyć przemocy, by pana wyprowadzić. Może pan postąpić, jak się panu podoba".

Przygnębiony do ostateczności, z tą odpowiedzią w kieszeni, wróciłem do domu i opowiedziałem bratu o całym zajściu. Był bardzo zmartwiony i nie wiedział, jak mnie pocieszyć. Zasięgnął porady przyjaciela – obrońcy sądowego, gdyż ja nie wiedziałem, jaka jest procedura przy wytaczaniu sprawy przeciwko sahibowi.

Przypadek sprawił, że w tym samym czasie bawił w Radźkocie Sir Pherozeszah Mehta, który przybył tu z Bombaju, by bronić przed miejscowym sądem jakiejś sprawy. Ale czy mógł młody jak ja adwokat zdobyć się na tyle odwagi, by prosić go o spotkanie? Posłałem mu przez wakila, który go sprowadził, wszystkie dokumenty w tej sprawie, prosząc najpokorniej o udzielenie mi rady.

„Powiedz Gandhiemu – brzmiała jego odpowiedź – że podobne sprawy są na porządku dziennym u wielu adwokatów i obrońców sądowych. Wrócił dopiero co z Anglii i jest w gorącej wodzie kąpany. Widocznie jeszcze nie zna brytyjskich wysokich urzędników. Jeżeli chce zarobić tutaj na swoje utrzymanie i mieć spokojne życie, niech lepiej podrze swoją skargę, a doznaną obelgę schowa do kieszeni. Nic bowiem nie wskóra, wytaczając sprawę przeciwko sahibowi i raczej doprowadzi się do ruiny. Proszę mu powiedzieć, że musi się jeszcze wielu rzeczy nauczyć w życiu".

Tego rodzaju rada była dla mnie równie gorzka jak trucizna – musiałem ją jednak przełknąć. Co prawda schowałem doznaną obelgę do kieszeni, ale jednocześnie

wyciągnąłem z niej pewną nauczkę dla siebie. „Nigdy więcej – obiecałem sobie – nie znajdę się w podobnej sytuacji, nigdy nie będę usiłował wykorzystać swoich znajomości dla podobnego celu".

Pozostałem całe życie wierny temu postanowieniu. Doznany wstrząs gruntownie zmienił kierunek mojego życia.

V. PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Nie ulega wątpliwości, że postąpiłem źle, udając się do tego urzędnika, jednak jego zniecierpliwienie i niepohamowany wybuch gniewu były niewspółmierne z błędem, który popełniłem. Nie zasłużyłem na to, by mnie wyrzucił z gabinetu. Nie zabrałem mu więcej niż pięć minut, ale on po prostu nie chciał mnie dłużej słuchać. Mógł przecież uprzejmie mi powiedzieć, abym sobie poszedł, ale władza, którą piastował, uderzyła mu do głowy. Później dowiedziałem się, że cierpliwość nie należała do zalet tego wysokiego urzędnika. Jego zwyczajem było ordynarne traktowanie petentów. Najdrobniejsze uchybienie wyprowadzało tego sahiba z równowagi.

Obecnie większość mojej pracy miała się odbywać na terenie sądu znajdującego się pod jego nadzorem. Pogodzenie się z nim było ponad moje siły, nie miałem zresztą najmniejszego zamiaru ubiegać się o jego względy. Przeciwnie – grożąc mu kiedyś wytoczeniem sprawy, nie chciałem puścić tego wydarzenia w niepamięć.

Tymczasem zacząłem gromadzić wiadomości o zakulisowych sprawach związanych z polityką tego kraju.

Katiawad był połączeniem niewielkich państewek i oczywiście roiło się w nim od różnych działaczy politycznych. Drobne intrygi pomiędzy poszczególnymi państewkami, a także intrygi wyższych urzędników rywalizujących ze sobą o władzę były na porządku dziennym. Książęta byli zawsze na łasce innych i zawsze gotowi do słuchania pochlebców. Trzeba było zabiegać nawet o względy ordynansa sahiba, *szirastedar* zaś brytyjskiego wielkorządcy niekiedy więcej znaczył aniżeli jego rozkazodawca, a to dlatego, że był jego oczami, uszami i tłumaczem. Jego wola była równoznaczna z prawem, a jego dochody zawsze uważano za większe od dochodów sahiba. Możliwe, iż było w tym nieco przesady, faktem jest jednak, że tryb życia takiego gorliwego sługi z pewnością przewyższał wysokość otrzymywanej przezeń pensji.

Uważałem tę atmosferę za zatrutą i nie przestawałem się zastanawiać, w jaki sposób uchronić się przed jej zgubnymi wpływami.

Byłem wciąż ogromnie przygnębiony i mój brat widział to wyraźnie. Obydwaj zdawaliśmy sobie sprawę, że gdybym mógł znaleźć jakąś pracę, uwolniłbym się od tego otoczenia przesiąkniętego intrygami. Ale bez protekcji otrzymanie wyższego stanowiska lub nominacja na sędziego były nie do pomyślenia. Prócz tego mój zatarg z sahibem stał na przeszkodzie do zdobycia praktyki adwokackiej.

Porbandar podlegał administracji brytyjskiej, a w zakres mojej pracy wchodziło zapewnienie większej władzy dla księcia. Musiałem również widywać administratora w sprawie wysokich *vighoti* (czynszów gruntowych) pobieranych od klanu Mer[68]. Urzędnik, o którym mowa, mimo iż był Indusem, przewyższał moim zdaniem sahiba, o ile chodzi o arogancję. Był to człowiek zdolny, ale chłopi niewiele zyskali na jego zdolności. Udało mi się wprawdzie zdobyć nieco większy zakres władzy dla *rana* (księcia), ale niewiele wskórałem, gdy chodzi o członków klanu Mer. Oburzało mnie, że ich sprawa nie została nawet wnikliwie rozpatrzona.

Byłem więc częściowo zniechęcony, jeśli chodzi o powierzoną mi misję. Doszedłem do przekonania, że nie znajdę sprawiedliwości dla moich klientów i że nie potrafię im jej zapewnić. Mogłem najwyżej odwołać się do politycznego przedstawiciela rządu brytyjskiego lub do gubernatora, który zapewne oddaliłby powództwo, oświadczając: „Nie mamy zamiaru wtrącać się do tych spraw".

Gdyby przynajmniej istniały jakieś przepisy lub prawa wydawania tego rodzaju orzeczeń; cóż, kiedy wola sahiba w tych wypadkach znaczyła tyleż, co prawo.

Byłem bliski rozpaczy.

W tym samym czasie pewna firma kupiecka z Porbandaru zwróciła się do mojego brata z następującą ofertą: „Mamy filię naszej firmy w Afryce Południowej. Jest to poważne przedsiębiorstwo i prowadzimy w tamtejszym sądzie poważną sprawę, w której chodzi o powództwo na sumę czterdziestu tysięcy funtów szterlingów. Sprawa ciągnie się długo. Zaangażowaliśmy najlepszych radców prawnych i adwokatów. Jeżeli zechciałby Pan wysłać tam swego brata, mogłoby to być dla nas bardzo pożyteczne, jak również dla niego. Potrafiłby lepiej od nas udzielić naszemu prawnikowi wszelkich instrukcji. Jednocześnie miałby sposobność poznania nowej części świata i nawiązałby nowe znajomości".

68 Mer – klan w rejonie Radźputany i Gudźaratu.

Mój brat przedstawił mi tę ofertę. Nie mogłem się jednak zorientować, czy w danym wypadku chodzi o instrukcje dla zarządu firmy, czy też o obronę przed sądem. W każdym razie propozycja była bardzo ponętna.

Brat przedstawił mnie nieżyjącemu już dziś szethowi Abdulli Karimowi Dżaweriemu, wspólnikowi firmy Dada Abdulla and Co., o którą w tym przypadku chodziło.

„To nie będzie zbyt trudne zadanie – zapewniał mnie *szeth*. – Mamy bardzo wpływowych przyjaciół Europejczyków, których pan pozna. Może pan nam być pomocny w naszym biurze. Większość korespondencji prowadzi się w języku angielskim i również pod tym względem liczymy na pańską pomoc. Będziemy uważali pana za naszego gościa, nie będzie pan ponosił żadnych kosztów pobytu".

– Jak długo będę panom potrzebny? – zapytałem – i jakie otrzymam honorarium?

– Nie dłużej niż rok. Płacimy za przejazd w obie strony pierwszą klasą i ryczałt w wysokości stu pięciu funtów szterlingów.

Jak na honorarium dla adwokata było to bardzo mało i raczej mogło stanowić pensję dla urzędnika tej firmy, ale moim gorącym pragnieniem było za wszelką cenę opuścić Indie. W grę wchodziła również pokusa zwiedzenia obcego kraju i zdobycie nowych doświadczeń życiowych.

Mogłem przekazać bratu sto pięć funtów na częściowe pokrycie kosztów utrzymania mego domu.

Przyjąłem bez targów propozycję i zacząłem się przygotowywać do wyjazdu do Afryki Południowej.

VI. PRZYBYCIE DO NATALU

Wyjeżdżając do Afryki Południowej, bynajmniej nie odczuwałem bólu rozłąki, jaki mną targał, kiedy udawałem się do Anglii. Moja matka nie żyła, zdobyłem nieco wiedzy o świecie i podróżach, a wyjazdy z Radźkotu do Bombaju przestały być dla mnie czymś niezwykłym.

Tym razem dotkliwy ból sprawiało mi rozstanie z żoną. Od czasu powrotu z Anglii na świat przyszło jeszcze jedno dziecko, a nasza miłość, choć nie można powiedzieć, by się całkowicie uwolniła z pęt zmysłowości, stawała się jednak coraz czystsza. Żyliśmy bardzo krótko razem od chwili mego przyjazdu z Europy.

Byłem teraz nauczycielem mojej żony, która bez wielkiego wprawdzie zainteresowania, ale pomagała mi w przeprowadzaniu pewnych reform, toteż mocniej odczuwaliśmy potrzebę przebywania razem, choćby po to, by w dalszym ciągu „reformować" nasze życie. Pokusa zwiedzenia Afryki Południowej łagodziła jednak ból rozstania.

„Spotkamy się przecież za rok!" – powiedziałem, chcąc ją jakoś pocieszyć, i wyjechałem z Radźkotu do Bombaju.

Miałem tu za pośrednictwem przedstawiciela firmy Dada Abdulla and Co. otrzymać kartę okrętową, ale na statku nie było już ani jednej wolnej kabiny, a gdybym nie odpłynął teraz, byłbym skazany na dłuższe oczekiwanie w Bombaju, aż się nadarzy następna sposobność udania się do Afryki.

– Robiliśmy wszystko, co tylko było w naszej mocy – mówił do mnie ów przedstawiciel firmy – aby otrzymać dla pana miejsce w pierwszej klasie, ale na próżno. Chyba że zdecydowałby się pan odbyć podróż jako pasażer pokładowy. Można będzie jednak tak to zorganizować, aby mógł pan otrzymywać posiłki w salonie.

Tak wyglądała ta moja podróż pierwszą klasą. Czyż było do pomyślenia, by adwokat podróżował na pokładzie? Odmówiłem więc, podejrzewając owego przedstawiciela o skąpstwo i nie mogąc uwierzyć, by istotnie w pierwszej klasie nie było ani jednego wolnego miejsca. Za zgodą owego przedstawiciela firmy udałem się sam na pokład statku i spotkałem się z pierwszym oficerem. Odpowiedział mi szczerze:

– Zazwyczaj nie mamy wielkiego natłoku, ale wobec tego, że gubernator generalny Mozambiku odbywa podróż na naszym statku, rzeczywiście wszystkie miejsca są zajęte.

– Czy nie udałoby się wcisnąć mnie gdzieś? – zapytałem. Oficer przyjrzał mi się od stóp do głowy, uśmiechnął się i odrzekł:

– Jest tylko jeden sposób na to. W mojej kabinie znajduje się jedno dodatkowe posłanie, które zazwyczaj nie jest dostępne dla pasażerów. Gotów jestem jednak oddać je do pańskiej dyspozycji…

Podziękowałem mu serdecznie i poleciłem przedstawicielowi firmy nabycie dla mnie biletu. W kwietniu 1893 roku pełen zapału wyruszyłem do Afryki Południowej na poszukiwanie szczęścia.

Pierwszym portem, do którego zawinęliśmy po trzynastu dniach podróży, był Lamu. W tym czasie pomiędzy kapitanem a mną nawiązała się serdeczna przyjaźń. Był on wielkim miłośnikiem gry w szachy, wobec tego jednak, że był

dopiero nowicjuszem w tej sztuce i wolał raczej mieć za partnera początkującego gracza, zaprosił mnie do gry.

Dużo słyszałem o tej grze, ale sam nigdy jej nie uprawiałem. Gracze powiadają, że jest to gra nastręczająca wiele sposobności do wykazania inteligencji. Kapitan zgodził się nauczyć mnie grać w szachy, a nawet uznał, że jestem pojętnym uczniem, gdyż mam bezgraniczny zapas cierpliwości. Przegrywałem każdą partię, a to jeszcze bardziej zachęcało kapitana do udzielania mi dalszych lekcji. Gra w szachy podobała mi się, nie kontynuowałem jej jednak nigdy poza tym statkiem, a moja umiejętność polegała jedynie na znajomości ruchów.

Nasz statek pozostał na kotwicy w Lamu około trzech czy też czterech godzin, wysiadłem więc na brzeg, by obejrzeć port. Kapitan również udał się na ląd, uprzedzając mnie, że port to miejsce bardzo zdradliwe i że muszę na czas wrócić.

Była to niewielka miejscowość. Udałem się do urzędu pocztowego, gdzie z radością stwierdziłem, że urzędnikami są Indusi. Wdałem się z nimi w rozmowę. Widziałem również Afrykanów, od których usiłowałem się dowiedzieć o ich trybie życia, co mnie ogromnie ciekawiło. Zabrało to nieco czasu.

Wraz ze mną na lądzie znalazło się kilku pokładowych pasażerów, których poprzednio poznałem, a którzy wyszli na brzeg, chcąc przyrządzić dla siebie jakiś posiłek i spożyć go w spokoju. Spotkałem ich w chwili, gdy przygotowywali się do powrotu na statek, wsiedliśmy więc wszyscy do jednej szalupy. Była to chwila największego przypływu morza w porcie, a nasza szalupa była już przeciążona. Niezwykle silny prąd prawie uniemożliwiał podpłynięcie łodzią pod sam statek i zwisającą z niego drabinę. Ledwie się zbliżyliśmy, gdy wezbrane wody odrzucały nas od niej. W tej samej chwili rozległ się pierwszy sygnał okrętowej syreny, zapowiadający rychłe odpłynięcie statku. Byłem bardzo zdenerwowany. Kapitan obserwował ze swego mostku kapitańskiego nasze daremne wysiłki. Wydał rozkaz, by statek opóźnił swe odpłynięcie o pięć minut. Obok naszej przeładowanej łodzi wnet znalazła się inna łódka, którą mój przyjaciel wynajął za dziesięć rupii. Przesiadłem się do niej. Drabina już była na pokładzie. Wciągnięto mnie jednak za pomocą liny i statek niezwłocznie ruszył w dalszą drogę. Pozostali pasażerowie nie zdążyli wsiąść. Wtedy dopiero zrozumiałem przestrogę kapitana.

Następnym portem po Lamu była Mombasa, a następnie Zanzibar. Tu zatrzymaliśmy się na dłużej – od ośmiu do dziesięciu dni – po czym przesiadłem się na inny statek.

Kapitan polubił mnie, niestety, jego sympatia dla mnie przybrała niepożądany obrót. Pewnego razu zaprosił mnie i swego przyjaciela Anglika na niewielką – jak mówił – „wyprawę". Wsiedliśmy wszyscy do jednej szalupy i udaliśmy się na brzeg. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co kapitan miał na myśli, mówiąc o „wyprawie". Zapewne nie przypuszczał, że jestem takim ignorantem w tych sprawach.

Jakiś ,,naganiacz" zaprowadził nas do dzielnicy zamieszkanej przez Murzynki. Każdego z nas wprowadzono do oddzielnego pokoju. Stałem pośrodku, oniemiały ze wstydu. Bóg raczy wiedzieć, co sobie ta biedna kobiecina pomyślała wtedy o mnie. Kiedy kapitan zawołał mnie, wyszedłem z pokoju, nie powiedziawszy ani słowa. Spostrzegł, że nie uległem pokusie. Z początku czułem się ogromnie zawstydzony, a wobec tego, że nie byłem zdolny inaczej myśleć o tej całej historii, jak tylko z obrzydzeniem, uczucie wstydu przeminęło i dziękowałem Bogu, że widok tej kobiety mnie nie skusił. Czułem wstręt do własnej słabości i pogardzałem sobą za to, że nie miałem dość odwagi, by sprzeciwić się wejściu do tamtego pokoju.

Była to w moim życiu trzecia tego typu próba, której zostałem poddany. Niejednego z młodzieńców, którzy zachowali niewinność, popchnęło do grzechu fałszywe poczucie wstydu. Wcale nie uważam za swoją zasługę, że wyszedłem stamtąd niezbrukany. Zasługą byłoby, gdybym odmówił wejścia do tego pokoju. Winieniem zachować dozgonną wdzięczność Wszechmogącemu za to, że mnie ocalił. To wydarzenie wzmogło moją wiarę w Boga i – do pewnego stopnia – nauczyło mnie, jak należy wyzbywać się fałszywie pojętego wstydu.

Wobec tego, że nasz postój w porcie miał potrwać cały tydzień, wynająłem pokój w mieście i przyjrzałem się wielu różnym rzeczom, włócząc się po okolicznych miejscowościach. Jedynie Malabar może dać jakieś wyobrażenie o wspaniałej roślinności Zanzibaru. Byłem zdumiony wielkością drzew i rozmiarami rosnących tam owoców.

Następnie zawinęliśmy do Mozambiku, a stamtąd popłynęliśmy do Natalu w kierunku zatoki Maya.

VII. NIEKTÓRE Z MOICH DOŚWIADCZEŃ

Głównym portem Natalu jest Durban, znany również jako Port Natal. *Szeth* Abdulla przybył, by mnie powitać. Kiedy statek przybił do brzegu i przyglądałem się ludziom wchodzącym na pokład, by powitać swych przyjaciół, stwierdziłem, że nie otacza się tu zbytnim szacunkiem Indusów. Nie mogłem również nie zauważyć pewnego snobizmu w manierach ludzi, którzy należeli do kręgu znajomych szetha Abdulli. Zrobiło to na mnie przykre wrażenie, ale widocznie *szeth* Abdulla był do tego przyzwyczajony. Niektórzy przyglądali mi się z odcieniem ciekawości. Mój strój odróżniał mnie od innych Indusów. Byłem ubrany w długi aż do ziemi surdut, na głowie miałem turban przypominający *pugree* noszone w Bengalu.

Zawieziono mnie do budynku, w którym znajdowały się biura firmy, i ulokowano w specjalnie dla mnie przygotowanym pokoju, sąsiadującym z apartamentem szetha Abdulli.

On nie rozumiał mnie, ja nie mogłem zrozumieć jego. Kiedy przeczytał list napisany przez swego brata i przywieziony przeze mnie, zdziwił się jeszcze bardziej. Odniósł wrażenie, że brat przysłał mu co najmniej białego słonia. Mój sposób ubierania się oraz odżywiania zaskoczył go, jako dość kosztowny i podobny do europejskiego. Na razie nie było żadnej pracy, którą można byłoby mi powierzyć. Sprawa sądowa została przekazana do Transwalu. Nie miało sensu posyłać mnie zaraz aż tam. Nie wiadomo było również, jak dalece można polegać na mojej znajomości zawodu i uczciwości. *Szeth* Abdulla nie siedziałby przecież w Pretorii, by mnie kontrolować. Obrońcy strony przeciwnej znajdowali się w Pretorii i właściciel firmy nie był pewien, czy nie zdołają oni wywrzeć pewnego nacisku na mnie, by sobie mnie zjednać. Wreszcie pomyślał: jeżeli nie powierzy mi się żadnej pracy mającej związek z zapowiedzianą rozprawą, jaką inną można by mnie obarczyć? Każdy jego urzędnik potrafił ją wykonać znacznie lepiej ode mnie. A poza tym – urzędnika, jeżeli zrobił coś nie tak jak należy, można było pociągnąć do odpowiedzialności, a co zrobić ze mną, gdy mnie się to przytrafi? Jednym słowem – nie wiadomo było, co począć ze mną na wypadek, gdybym nie otrzymał żadnego zajęcia związanego z przyszłym procesem.

Szeth Abdulla był właściwie analfabetą, ale z wielkim doświadczeniem życiowym. Miał niezwykle bystry umysł i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Znał na tyle dobrze język angielski (którego się nauczył wyłącznie drogą praktyki), by móc prowadzić rozmowy; był on mu ponadto bardzo pomocny

w pertraktacjach z dyrektorami banków, z europejskimi kupcami lub gdy zachodziła potrzeba zeznawania w sprawach sądowych. Indusi darzyli go wielkim szacunkiem, jego firma była jedną z największych, a w każdym razie największą spośród firm należących do Indusów. Przy tych wszystkich zaletach miał jednak pewną dużą wadę: był bardzo podejrzliwy.

Szczycił się tym, że jest wyznawcą islamu, i lubił prowadzić rozmowy na temat filozofii mahometańskiej. Mimo iż nie znał języka arabskiego, posiadane przez niego ogólne wiadomości z zakresu *Świętego Koranu* i literatury związanej z islamem były dość szerokie. Zawsze miał pod ręką pełno różnych cytatów i przykładów ilustrujących jego myśli. Znajomość z nim pozwoliła mi nabyć sporo praktycznych wiadomości z zakresu islamu. Kiedy zżyliśmy się nieco bliżej, prowadziliśmy zazwyczaj długie rozmowy na tematy religijne.

Na drugi lub trzeci dzień po moim przyjeździe *szeth* Abdulla zaprowadził mnie do sądu w Durbanie. Przedstawił kilku osobom i wskazał miejsce w pobliżu swego głównego obrońcy. Urzędnik sądowy nie spuszczał ze mnie oka i wreszcie zażądał, abym zdjął z głowy turban. Odmówiłem i musiałem opuścić salę rozpraw.

A więc i tu również czekała mnie niejedna walka do stoczenia.

Szeth Abdulla wytłumaczył mi, dlaczego od niektórych Indusów żąda się, by zdejmowali turbany. „Ci, którzy mają na sobie strój muzułmański – mówił – mogą pozostać w turbanach na głowie, natomiast każdy inny Indus jest obowiązany zdjąć turban. Taki jest przepis".

Muszę wdać się w szczegóły, by uczynić to niezwykłe rozróżnienie bardziej zrozumiałym. W ciągu zaledwie dwóch czy trzech dni pobytu tutaj zdążyłem zauważyć, że pomiędzy miejscowymi Indusami istnieje podział na różne grupy. Jedną stanowili kupcy muzułmanie, chętnie nazywający siebie „Arabami", drugą urzędnicy hindusi, a następną urzędnicy parsowie. Urzędnicy hindusi czasami przystępowali do „Arabów". Urzędnicy parsowie niekiedy przybierali nazwę „Persów". Otóż wspomniane trzy grupy utrzymywały ze sobą pewne stosunki, jednak najliczniejsza była grupa robotników rolnych lub kontraktowych pochodzących z Tamilnadu, Telingany oraz Indii Północnych.

Robotnicy kontraktowi przybywali do Natalu na podstawie podpisanego przez nich pięcioletniego kontraktu. Nazywało się ich *girmitiya* od słowa *girmit*, które było zniekształceniem angielskiego wyrazu „agreement".

Pozostałe trzy grupy łączyły z nimi jedynie stosunki handlowe. Anglicy nazywali ich *coolies*, czyli „kulisami", a wobec tego, że przeważna część przebywających

tu Indusów należała do klasy robotniczej, Anglicy nadali wszystkim Indusom przydomek „kulisów" lub *sami*.

Sami jest właściwie rodzajem przyrostka w języku tamilskim, spotykanym przy wielu nazwiskach Indusów pochodzących z Tamilu. Pochodzi od sanskryckiego *swami,* co oznacza „pan". Kiedy więc jakiś Indus czuł się urażony, że mówiono do niego *sami,* a jednocześnie rozporządzał dostateczną dozą dowcipu, odpowiadał, niejako odwzajemniając się: „Mówisz do mnie *sami*, ale zapominasz, że to słowo oznacza «pan», a przecież nie jestem twoim panem".

Niektórych Anglików taka odpowiedź bawiła, inni wpadali w gniew, obrzucali wyzwiskami, a nawet zdarzało się, że potrafili zbić za to Indusa, gdyż dla Anglika wyraz *sami* był dowodem pogardy, a wyjaśnienie, że to słowo oznaczało zgoła coś innego, było przez niego uważane za obelgę.

Toteż znano mnie jako „adwokata kulisa". Kupców nazywano „kupcami kulisami". Pierwotne znaczenie wyrazu *coolie* zatarło się i to słowo zaczęło być powszechnie używane jako nazwa dla wszystkich Indusów. Kupcy muzułmanie obrażali się na tę nazwę, mówiąc: „nie jestem «kulisem» – jestem Arabem", albo po prostu upierali się przy tym, że są tylko „kupcami". Wtedy Anglik, jeżeli był grzeczny, uprzejmie przepraszał.

Przy takim stanie rzeczy noszenie turbanu nabierało szczególnego znaczenia. Poddanie się rozkazowi zdejmowania turbanu było równoznaczne z połknięciem najgorszej obelgi. Sądziłem więc, że lepiej będzie, jeżeli rozstanę się z turbanem i zacznę nosić angielski kapelusz, który uchroni mnie przed obelgą i przykrymi incydentami.

Ale s*zeth* Abdulla nie zgodził się z tym. Powiedział wtedy: „Jeśli postąpi pan w ten sposób, wywoła to najgorsze wrażenie. Będzie uważane za potępienie tych, którzy obstają przy noszeniu turbanów, a poza tym jest panu bardzo do twarzy w hinduskim turbanie. Nosząc angielski kapelusz, będzie pan uchodził za kelnera".

Ta rada nie była pozbawiona praktycznego rozsądku i może nawet patriotyzmu. Nie świadczyła jednak o szerokości poglądów. Była rozsądna – to było oczywiste – i przy noszeniu turbanu nie upierałby się jedynie ten, kto nie byłby patriotą, natomiast uszczypliwa aluzja do kelnera świadczyła raczej o pewnej ciasnocie poglądów.

Wśród wspomnianych już indyjskich robotników kontraktowych można było odróżnić trzy grupy: hindusów, muzułmanów i chrześcijan. Ci ostatni byli dziećmi robotników kontraktowych nawróconych na chrześcijaństwo.

Ich liczba nawet w 1893 roku była dość znaczna. Ubierali się podobnie jak Anglicy i większość z nich zarabiała na życie, pracując jako kelnerzy w hotelach. Uszczypliwa uwaga szetha Abdulli na temat kapelusza dotyczyła właśnie ich, gdyż praca w hotelu w charakterze kelnera była uważana za coś uwłaczającego. Ten przesąd zachował się aż dzisiaj u wielu ludzi.

Ogólnie biorąc, rada szetha Abdulli spodobała mi się. Napisałem do prasy o tym wydarzeniu, broniąc prawa noszenia turbanu w sali sądowej.

Cała ta sprawa wywołała ożywioną dyskusję na łamach pism, które potraktowały mnie jako „niepożądanego gościa". W ten sposób to wydarzenie stało się zgoła nieprzewidzianym zawiadomieniem o moim przybyciu do Afryki Południowej zaledwie parę dni po tym, gdy tu wylądowałem. Jedni zgadzali się z moim poglądem, inni natomiast surowo ganili mnie za zuchwalstwo.

Nie przestawałem nosić turbanu aż do końca mego pobytu w Afryce Południowej. O tym, dlaczego i kiedy porzuciłem wszelkie przybranie głowy w Afryce, dowiemy się później.

VIII. W DRODZE DO PRETORII

Wkrótce nawiązałem kontakty z Indusami chrześcijanami zamieszkałymi w Durbanie. Tłumacz sądowy, mister Paul, był katolikiem. Poznałem go, jak również nieżyjącego już Subhana Godfreya, który był wtedy nauczycielem przy misji protestanckiej, a także ojca Jamesa Godfreya, który jako członek południowoafrykańskiej delegacji odwiedził Indie w 1924 roku. W tym samym mniej więcej czasie spotkałem się z nieżyjącymi już parsem Rustomdźim i Adamdźim Mijakanem.

Wszyscy wyżej wymienieni, którzy nigdy poza sprawami handlowymi nie utrzymywali dotąd wzajemnych stosunków, zostali – jak o tym później będzie mowa – bliskimi przyjaciółmi.

Podczas gdy ja powiększałem coraz bardziej krąg swoich znajomych, do firmy nadszedł list od radcy prawnego, powiadamiający o potrzebie poczynienia przygotowań do niedalekiej rozprawy sądowej oraz o tym, że pożądane byłoby osobiste przybycie szetha Abdulli do Pretorii lub przysłanie jego przedstawiciela.

Szeth Abdulla dał mi do przeczytania list i zapytał, czy zgodziłbym się wyjechać do Pretorii.

– Mogę dać odpowiedź dopiero po otrzymaniu dokładnych informacji dotyczących tego powództwa – odrzekłem. – W tej chwili zupełnie się nie orientuję w tym, co miałbym tam do zrobienia.

Szeth Abdulla polecił swoim urzędnikom, by mi wyjaśnili, na czym polega powództwo.

Zacząłem je studiować. Rozumiałem, że muszę zaznajomić się z tym zagadnieniem od A do Z. W ciągu paru dni, które miałem do dyspozycji w Zanzibarze, byłem w miejscowym sądzie, by się przyjrzeć, jak się odbywa przewód sądowy.

Trafiłem na chwilę, kiedy adwokat pars przesłuchiwał świadka i zadawał mu szereg pytań związanych z wpisywaniem do ksiąg handlowych pozycji: „winien" i „należy się". Dla mnie wszystko to było „chińszczyzną". Nie uczyłem się prowadzenia ksiąg handlowych ani kiedy byłem jeszcze w szkole, ani podczas mego pobytu w Anglii, tymczasem powództwo sądowe, dla którego głównie przybyłem do Afryki Południowej, było przeważnie związane z rachunkowością. Zrozumieć to wszystko i wytłumaczyć mógł jedynie ten, kto się znał na księgowości. Ów urzędnik mówił bez przerwy o „debetach" i „kredytach", a ja czułem się coraz bardziej onieśmielony. Nie miałem pojęcia, co oznacza: „P-note". Szukałem w słowniku, ale nie znalazłem, wreszcie przyznałem się do mojej ignorancji i dowiedziałem się od niego, że „P-note" oznacza weksel.

Kupiłem podręcznik księgowości i zabrałem się do studiowania. Dodało mi to nieco pewności siebie, aż wreszcie zrozumiałem, na czym polega całe powództwo. Spotkałem się wtedy z szethem Abdullą, który co prawda też nie znał się na księgowości, ale miał taką praktyczną wiedzę, że potrafił bardzo szybko rozwiązywać najbardziej zawiłe sprawy związane z prowadzeniem ksiąg handlowych. Powiedziałem mu, że jestem już dostatecznie przygotowany, by móc wyjechać do Pretorii.

– Kiedy zamierza pan wyjechać? – zapytał *szeth*.

– Wtedy, kiedy będzie pan sobie tego życzył – odpowiedziałem.

– W takim razie napiszę do naszego radcy prawnego, aby przygotował dla pana mieszkanie. Wyślę również list do moich znajomych kupców, ale nie radziłbym panu zamieszkać u nich. Strona przeciwna ma w Pretorii znaczne wpływy. Niechby się udało komukolwiek z nich przechwycić naszą prywatną korespondencję, a mogłoby to wywołać duże poruszenie. Im bardziej będzie pan ich unikał, tym lepiej.

– Zamieszkam tam, gdzie mi wskaże radca prawny, albo znajdę jakieś zupełnie niekrępujące mieszkanie. Proszę, niech pan będzie spokojny; żywa dusza nie będzie wiedziała o tym, co powinno pozostać tylko między nami. Natomiast mam zamiar zawrzeć znajomości z przeciwną stroną, chciałbym się nawet z nimi zaprzyjaźnić. Postaram się w miarę możliwości załatwić całą sprawę polubownie poza sądem. Ostatecznie przecież *szeth* Tjeb jest pańskim krewnym.

Szeth Tjeb Hadźi Khan Muhammad był istotnie bliskim krewnym szetha Abdulli.

Zauważyłem, że wspomniana przeze mnie możliwość polubownego załatwienia powództwa do pewnego stopnia zaskoczyła szetha. Bawiłem w Durbanie już od sześciu czy też siedmiu dni, poznaliśmy się wzajemnie i zrozumieli. Przestałem już być dla niego „białym słoniem". Wtedy Abdulla zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Tak… Rozumiem… Oczywiście, to byłoby najlepsze wyjście: załatwić sprawę poza sądem. Ale my jesteśmy spokrewnieni i za dobrze się znamy. *Szeth* Tjeb nie jest człowiekiem, który by się tak łatwo zgodził na jej polubowne załatwienie. Przy najmniejszym osłabieniu czujności z naszej strony gotów jest wyżyłować nas, ile się tylko da, i w końcu doprowadzić do ruiny. Niech się więc pan dobrze zastanowi, zanim zacznie robić jakieś kroki w tym kierunku.

– Niech pan będzie spokojny o to – odparłem. – Nie zamierzam bynajmniej rozmawiać z szethem Tjebem lub z kimkolwiek innym na temat powództwa. Chcę mu jedynie podsunąć projekt dojścia do porozumienia i zaoszczędzenia w ten sposób kosztów niepotrzebnego procesowania się.

Siódmego czy ósmego dnia od chwili mego przybycia opuściłem Durban. Miałem zamówione miejsce w wagonie pierwszej klasy. Za pościel płaciło się dodatkowo pięć szylingów. *Szeth* Abdulla nalegał, abym za nią zapłacił, ale powodowany uporem, dumą, a może i chęcią oszczędzenia pięciu szylingów – odmówiłem. *Szeth* Abdulla ostrzegał mnie:

– Musi się pan liczyć z tym, że to nie są Indie. Tu panują inne obyczaje, a poza tym mamy, chwalić Pana Boga, dosyć pieniędzy i nie potrzebujemy robić takich oszczędności. Proszę, niech pan sobie nie odmawia tego, co panu może być potrzebne.

Podziękowałem mu i poprosiłem, aby był o mnie spokojny.

Pociąg przybył do Maritzburga, stolicy Natalu, około dziewiątej wieczorem. Na tej właśnie stacji zazwyczaj proponowano skorzystanie z pościeli. Do mego przedziału wszedł konduktor i zapytał, czy życzę sobie, by mi przyniesiono pościel.

– Nie! – odpowiedziałem. – Mam własną.

Konduktor odszedł, ale po chwili do przedziału wszedł inny pasażer i zaczął mi się bacznie przyglądać. Widział, że jestem „kolorowy". Najwidoczniej moje sąsiedztwo mu nie odpowiadało. Wyszedł z przedziału, by wkrótce wrócić w towarzystwie jednego czy dwóch urzędników kolejowych. Zachowywali się spokojnie, gdy naraz zjawił się jeszcze jeden urzędnik kolejowy i zwrócił się do mnie słowami:

– Wyjdź stąd, przesiądź się do bagażowego wagonu!

– Ależ ja mam bilet pierwszej klasy! – odpowiedziałem.

– To nie ma znaczenia – odparł tamten – powiadam, że masz się przesiąść do bagażowego wagonu!

– A ja powiadam, że od Durbanu mam prawo jechać w tym właśnie przedziale i nie mam zamiaru rezygnować z tego prawa!

– Nie będziesz jechał w tym przedziale! – obstawał przy swoim urzędnik. – Masz natychmiast go opuścić, inaczej zawołam policjanta, który cię stąd wyrzuci.

– Możesz to zrobić, ale dobrowolnie stąd nie wyjdę.

Wkrótce zjawił się policjant. Wziął mnie za rękę i wypchnął z przedziału. Wyrzucono z niego również mój bagaż. Odmówiłem udania się do innego wagonu. Po chwili pociąg ruszył w dalszą drogę. Poszedłem do poczekalni na dworcu, zabierając ze sobą ręczną walizkę i zostawiając bagaż tam, gdzie go rzucono. Władze kolejowe się nim zaopiekowały.

Była to zima, a w górzystych prowincjach Afryki Południowej zazwyczaj o tej porze panują dotkliwe mrozy. Maritzburg był położony dość wysoko i mróz był duży. Mój płaszcz znajdował się wśród bagażu, nie miałem jednak odwagi zapytać o niego w obawie, że znów zostanę zelżony – siedziałem więc i dygotałem z zimna. Poczekalnia nie była oświetlona. Około północy przyszedł jakiś pasażer, najwidoczniej miał chęć wdać się ze mną w rozmowę. Nie miałem jednak najmniejszej ochoty do tego.

Zacząłem się zastanawiać nad tym, jak mam postąpić: walczyć o swoje prawa czy też raczej wrócić do Indii, a może udać się w dalszą podróż do Pretorii, nie robiąc sobie nic z doznanych obelg? A może powinienem wrócić do Indii dopiero po procesie? Doszedłem do wniosku, że byłoby tchórzostwem z mojej strony, gdybym wrócił do Indii przed wywiązaniem się z obowiązków, które mi powierzono. Przykrości, jakie na mnie spadły, były czymś ubocznym i świadczyły jedynie o ciężkiej chorobie przesądów rasowych.

Moim obowiązkiem – myślałem – jest starać w miarę swoich sił wyrwać korzenie tej choroby i ponosić przykre konsekwencje, jakie pociąga za sobą uzdrawianie z niej świata.

Trzeba się temu przeciwstawić i jedynie zastanowić nad zakresem, jaki powinna objąć walka o zwalczanie tego przesądu.

Postanowiłem w końcu, że następnym pociągiem udam się w dalszą podróż do Pretorii. Następnego ranka wysłałem długi telegram do dyrekcji kolei, a także niezwłocznie powiadomiłem o wszystkim szetha Abdullę, który z kolei natychmiast sam się spotkał z naczelnym dyrektorem zarządu kolejami. Dyrektor próbował usprawiedliwić postępek urzędników kolejowych i oświadczył, że już wydał polecenie zawiadowcy stacji, by ten zapewnił mi bezpieczne przybycie do Pretorii.

Szeth Abdulla niezwłocznie wysłał telegramy do hinduskich kupców w Maritzburgu oraz do swych przyjaciół zamieszkałych w innych miastach, wzywając ich, by wyjechali mi na spotkanie i otoczyli mnie opieką.

Owi kupcy istotnie przybyli na dworzec kolejowy, by spotkać się ze mną, i pocieszali mnie, opowiadając o własnych doznanych przykrościach. Dawali mi przy tym do zrozumienia, że to, co mnie spotkało, bynajmniej nie jest czymś nieoczekiwanym. Opowiadali mi również o tym, że Indusi podróżujący pierwszą lub drugą klasą są stale narażeni na szykany ze strony urzędników kolejowych i „białych" pasażerów. Cały dzień spędziłem na wysłuchiwaniu pełnych niedoli opowieści.

Wieczorem nadjechał pociąg, w którym znajdowało się już zarezerwowane dla mnie miejsce. Tym razem nabyłem bilet na użycie pościeli, czego nie chciałem zrobić od razu w Durbanie.

Ruszyłem w dalszą drogę w kierunku Charlestown.

IX. DALSZE CIĘŻKIE PRZEJŚCIA

Pociąg przybył do Charlestown nad ranem. W owych czasach pomiędzy Charlestown a Johannesburgiem nie było jeszcze połączenia kolejowego, jeździło się konnym omnibusem, który na noc zatrzymywał się w Standerton. Miałem już z góry wykupiony bilet, który nie stracił ważności z powodu przerwania podróży w Maritzburgu na jeden dzień, a poza tym *szeth* Abdulla wysłał odpowiednie telegraficzne powiadomienie do biura konnych omnibusów pocztowych w Charlestown.

Jednakże urzędnik tego biura tylko czyhał na okazję, aby się wykręcić z tego zobowiązania, i kiedy zobaczył, że jestem obcokrajowcem, oświadczył mi: „Ten bilet jest nieważny!". Spotkał się jednak z należytą odprawą z mojej strony. Ukrytą przyczyną jego postępowania nie była chęć jakiegoś pobocznego zarobku, lecz coś innego. Jako pasażerowi należało mi się miejsce wewnątrz pojazdu, ale wobec tego, że byłem uważany za „kulisa", „przewodnik", czyli „biały", który opiekował się omnibusem, uznał, że nie powinienem zajmować miejsca obok „białych" podróżnych. Były również miejsca na zewnątrz pojazdu, a jedno z nich było zazwyczaj zajęte przez owego „przewodnika". Tym razem usiadł on wewnątrz omnibusu, a mnie oddał swoje miejsce. Wiedziałem, że jest to jawna niesprawiedliwość i obelga, ale doszedłem do wniosku, że lepiej nie zwracać na to uwagi. Miejsca wewnątrz pojazdu w żadnym wypadku bym nie zdobył, a gdybym zaczął protestować, omnibus odjechałby beze mnie. Oznaczałoby to stratę jeszcze jednego dnia, a Bóg raczy wiedzieć, jak by te sprawy wyglądały nazajutrz. Dygocąc cały z oburzenia, musiałem wreszcie zająć miejsce obok woźnicy.

Około trzeciej omnibus przybył do Pardekoph, a „przewodnik" wyraził chęć zajęcia swego stałego miejsca, gdyż zachciało mu się palić i odetchnąć świeżym powietrzem. Wziął od woźnicy kawał brudnej rogoży, położył ją na stopniu pojazdu i zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Ty, *sami*, usiądziesz tutaj, bo ja chcę siedzieć przy woźnicy!

Ta nowa obelga była już dla mnie nie do zniesienia. Przestraszony i drżący odparłem:

– Przecież sam wskazałeś mi to miejsce, chociaż moje było wewnątrz. Przełknąłem tę obelgę. Teraz chcesz siedzieć na zewnątrz i palić, a mnie każesz leżeć u twoich nóg. Nie zgadzam się na to i usiądę wewnątrz pojazdu!

Z trudem przebrnąłem przez te zdania wypowiedziane po angielsku, a tymczasem ów „przewodnik" wysiadł i zaczął mnie okładać pięściami po głowie. Chwycił mnie za rękę i usiłował ściągnąć na ziemię. Uczepiłem się z całej siły mosiężnych kratek i postanowiłem nie schodzić, choćbym się miał narazić na złamanie kości w stawie.

Pasażerowie byli świadkami tego, jak ten człowiek lżył mnie, tarmosił i okładał pięściami. Nie broniłem się nawet. Tamten był silny, a ja słaby. Wreszcie któryś z pasażerów zdjęty litością zawołał:

– Człowieku, zostaw go w spokoju! Nie bij go! Nie zrobił nic złego, a racja jest po jego stronie. Jeżeli nie może zostać, gdzie jest, niech usiądzie przy nas!

– Nic mu nie będzie! – odpowiedział „przewodnik".

Zbiło go to jednak z tropu i przestał mnie tarmosić. Puścił moją rękę, zaklął jeszcze parę razy, kazał służącemu Hotentotowi, który siedział po drugiej stronie pojazdu, usiąść na stopniu, a sam zajął zwolnione miejsce.

Pasażerowie pozajmowali swoje miejsca, „przewodnik" zagwizdał i omnibus ruszył w dalszą drogę. Serce gwałtownie kołatało mi w piersiach, zastanawiałem się nad tym, czy uda mi się wreszcie dotrzeć żywym do końcowego punktu podróży. „Przewodnik" raz po raz obrzucał mnie gniewnym spojrzeniem, groził palcem i mruczał pod nosem: „Niech no tylko przyjedziemy do Standerton, już ja cię nauczę!". Siedziałem, nic nie mówiąc, i prosiłem Boga, by mi przyszedł z pomocą.

Zapadał zmrok, kiedy przybyliśmy do Standerton, i odetchnąłem z ulgą, ujrzawszy tam paru Indusów. Zaledwie zdążyłem zejść na ziemię, kiedy zbliżyli się do mnie, mówiąc jak najprzyjaźniej: „Przyszliśmy, by pana przywitać i zaprowadzić do sklepu szetha Isy. Otrzymaliśmy telegram od Dady Abdulli". Bardzo mnie to uradowało, udaliśmy się więc wszyscy do sklepu szetha Isy Hadźiego Sumara. *Szeth* i jego urzędnicy otoczyli mnie. Opowiedziałem im o wszystkich moich przejściach. Zmartwiło ich to bardzo, przy czym oni też usiłowali mnie pocieszyć, opowiadając o własnych, równie bolesnych doświadczeniach.

Postanowiłem powiadomić o całym tym zajściu dyrekcję komunikacji omnibusowej. Wystosowałem więc do niej list, w którym przedstawiłem wszystkie szczegóły tego wydarzenia, zwracając specjalną uwagę na pogróżki, jakie ów „przewodnik" skierował pod moim adresem. Prosiłem również, aby zechciano mi zapewnić miejsce razem z innymi pasażerami wewnątrz pojazdu, który następnego ranka miał się udać w dalszą drogę. Przedstawiciel dyrekcji odpowiedział mi tymi słowami:

Ze Standerton odjeżdża większy pojazd, z inną obsługą; „przewodnika", na którego złożył pan skargę, jutro nie będzie, a miejsce dla pana jest zarezerwowane razem z innymi pasażerami.

Ta odpowiedź uspokoiła mnie nieco. Nie miałem, rzecz prosta, zamiaru pociągać do odpowiedzialności człowieka, który mnie znieważył, i tym samym cała sprawa została unieważniona.

Z rana urzędnicy szetha Isy odprowadzili mnie do omnibusu. Otrzymałem dobre miejsce i tej samej nocy pomyślnie przybyłem do Johannesburga.

Standerton jest małą mieściną, a Johannesburg dużym miastem. *Szeth* Abdulla wysłał telegram również do Johannesburga, poza tym dał mi adres miejscowej firmy,

której właścicielem był Muhammad Kasam Kamruddin. Z firmy został specjalnie wysłany jakiś człowiek, który miał czekać na mnie na przystanku omnibusu, ale ani ja nie widziałem jego, ani on nie poznał mnie. Postanowiłem udać się do hotelu. Miałem zanotowane nazwy kilku miejscowych hoteli. Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieźć do hotelu Grand National. Zwróciłem się do dyrektora z prośbą o pokój. Dyrektor przyjrzał mi się i po chwili – bardzo zresztą uprzejmie – odpowiedział: „Niestety, bardzo żałuję, ale nie mamy wolnych pokojów" – po czym pożegnał mnie.

Wobec tego poleciłem dorożkarzowi, by mnie zawiózł do sklepu Muhammada Kasama Kamruddina. Zastałem tam szetha Abdullę Ganiego, który już czekał na mnie i bardzo serdecznie mnie powitał. Uśmiał się szczerze z przygody, która mnie spotkała w hotelu.

– Czyżby pan przypuszczał, że może się znaleźć dla pana pokój w hotelu? – zapytał.

– Czemu nie?

– Po paru dniach pobytu tutaj dowie się pan sam o przyczynie. Jedynie my potrafimy żyć w tym kraju, gdyż chcąc się dorobić majątku, zgadzamy się przełykać wszystkie obelgi, jakie nas tu spotykają!

Następnie *szeth* Abdulla Gani opowiedział mi niejedną historię o ciężkich przeżyciach, na jakie narażeni są Indusi w Afryce Południowej.

Będzie jeszcze mowa o nim na dalszych stronicach.

Oto co mi wtedy powiedział:

– To nie jest kraj dla takich ludzi jak pan. Jutro ma pan się udać do Pretorii i będzie pan zmuszony podróżować trzecią klasą. Warunki w Transwalu są znacznie gorsze aniżeli w Natalu. Nigdy nie sprzedaje się biletów pierwszej i drugiej klasy Indusom.

– Czy nie potrafiliście nic zrobić dla obalenia tych zwyczajów?

– Owszem, posyłaliśmy nawet delegację w tej sprawie, ale muszę wyznać, że nasi rodacy sami nie chcą jeździć pierwszą lub drugą klasą.

Posłałem po książkę z przepisami kolejowymi i zabrałem się do studiowania ich. Była w nich pewna ukryta furtka. Język, jakim się posługiwano w dawnym Transwalu przy redagowaniu wszelkich ustaw, był daleki od dokładności, a cóż dopiero mówić o tym, który został użyty w kolejowych przepisach.

Powiedziałem tedy:

– Chcę pojechać pierwszą klasą, ale jeżeli to nie jest możliwe, wolę wynająć dorożkę. Do Pretorii jest wszystkiego trzydzieści siedem mil.

Szeth Abdul Gani zwrócił mi uwagę na koszty i stratę czasu, jakie to za sobą pociągnie, zgodził się jednak ze mną, że mogę domagać się odbycia tej podróży pierwszą klasą.

Wysłałem odpowiednio zredagowany list do naczelnika stacji kolejowej, zaznaczając, iż jestem adwokatem i że zawsze podróżuję pierwszą klasą. Dodałem w nim, że muszę możliwie najprędzej przybyć do Pretorii, a wobec tego, że nie pozostaje mi wiele czasu na oczekiwanie odpowiedzi, odbiorę ją osobiście na dworcu i liczę na to, że otrzymam bilet pierwszej klasy.

Pisząc, iż po odpowiedź zgłoszę się osobiście, użyłem pewnego fortelu. Wiedziałem z góry, że naczelnik stacji z pewnością da odmowną pisemną odpowiedź, opierając się na własnym wyobrażeniu, jak może wyglądać indyjski adwokat-kulis. Tymczasem osobiście zjawiłbym się u niego w nienagannym angielskim ubraniu, rozmawiałbym z nim po angielsku, usiłując go przekonać, że powinien mi sprzedać bilet pierwszej klasy.

Udałem się więc na dworzec kolejowy ubrany w płaszcz i krawat, położyłem na okienku przy kasie złotą monetę i zażądałem sprzedania mi biletu pierwszej klasy.

– Czy to pan napisał do mnie list? – zapytał kasjer.

– Tak. Byłbym panu bardzo wdzięczny za sprzedanie mi biletu. Muszę jeszcze dziś być w Pretorii.

Kasjer uśmiechnął się i zapewne tknięty litością powiedział:

– Nie jestem Transwalczykiem, jestem Holendrem. Rozumiem pana bardzo dobrze i szczerze panu współczuję. Sprzedam panu bilet, o który pan prosi, ale pod jednym warunkiem: jeżeli któryś z urzędników kolejowych zażąda od pana, aby się pan przesiadł do trzeciej klasy, nie wciągnie mnie pan do tej sprawy, to znaczy, że nie zechce pan wytoczyć sprawy przeciwko dyrekcji kolejowej. Życzę panu szczęśliwej podróży. Widzę, że jest pan dżentelmenem.

Mówiąc to, wręczył mi bilet. Podziękowałem mu i złożyłem potrzebne zapewnienie.

Szeth Abdulla Gani przyszedł na dworzec, by mnie odprowadzić. Był ogromnie zaskoczony obrotem tej sprawy, ale jednocześnie ostrzegł mnie, mówiąc:

– Byłbym bardzo zadowolony, gdyby pan bez przeszkód przybył do Pretorii. Obawiam się jednak, że konduktor nie pozwoli panu zostać w pierwszej klasie, a zresztą, nawet gdyby pozwolił, inni pasażerowie nie zgodzą się na to.

Zająłem miejsce w przedziale pierwszej klasy. Pociąg ruszył. W Germiston zjawił się konduktor, by skontrolować bilety. Był bardzo niezadowolony, że

mnie tu zastał, i palcem wskazał, bym się udał do trzeciej klasy. Pokazałem mu swój bilet pierwszej klasy.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział – marsz do trzeciej klasy!

W przedziale znajdował się tylko jeden pasażer Anglik. Surowo ofuknął konduktora, mówiąc:

– Dlaczego niepokoi pan tego dżentelmena. Przecież pan widzi, że ma bilet pierwszej klasy. Nie mam nic przeciwko temu, żeby jechał razem ze mną. – Po czym zwracając się do mnie, dodał: – Niech pan sobie z tego nic nie robi i zostanie na swoim miejscu.

Konduktor odburknął:

– Jeżeli pan chce podróżować razem z „kulisem", proszę bardzo… Nic mnie to nie obchodzi… – i odszedł.

Około godziny ósmej wieczorem pociąg przybył do Pretorii.

X. PIERWSZY DZIEŃ W PRETORII

Liczyłem na to, że na dworcu w Pretorii będzie mnie ktoś oczekiwał w imieniu pełnomocnika Dady Abdulli. Wiedziałem, że nikt z Indusów nie przybędzie na moje spotkanie, gdyż z góry zapowiedziałem, że nie zamieszkam w żadnym miejscowym domu indyjskim. Jednakże ów pełnomocnik nie przysłał nikogo. Później zrozumiałem, że wobec mego przyjazdu w niedzielę nie mógł nikogo przysłać bez narażenia się na przykrości. Byłem nieco stropiony, nie wiedziałem, dokąd się udać, i obawiałem się, że żaden hotel nie zechce mnie przyjąć.

Dworzec kolejowy w Pretorii w 1893 roku był zupełnie niepodobny do tego, czym był w 1914 roku. Oświetlenie było bardzo skąpe, a podróżnych niewielu. Chciałem zaczekać, aż się wszyscy pasażerowie rozejdą, a odbierający bilety urzędnik będzie wolny. Zwróciłbym się wtedy do niego z prośbą, by mi wskazał adres jakiegoś niewielkiego hotelu lub innego miejsca, gdzie mógłbym przenocować, w przeciwnym bowiem razie musiałbym spędzić noc na dworcu. Muszę się przyznać, że bałem się zwrócić do niego nawet w takiej błahej sprawie, by i tym razem nie spotkać się z obelgami.

Wszyscy pasażerowie opuścili już dworzec. Wręczyłem urzędnikowi bilet i zwróciłem się do niego z moją prośbą. Odpowiedział mi uprzejmie, ale widziałem, że niewiele może mi pomóc. W tej samej chwili do rozmowy wtrącił się jakiś amerykański Murzyn stojący w pobliżu.

– Widzę, że jest pan tutaj zupełnie obcy i nie ma żadnych znajomych. Niech pan idzie ze mną, zaprowadzę pana do niewielkiego hoteliku, właściciel jest Amerykaninem, to mój dobry znajomy. Myślę, że pana przyjmie do siebie.

Ta oferta wzbudzała co prawda we mnie pewne wątpliwości, podziękowałem mu jednak i chętnie ją przyjąłem. Murzyn zaprowadził mnie do Family Hotel Johnstona, odwołał na stronę właściciela, porozmawiał z nim i w końcu ten zgodził się wynająć mi pokój na jedną noc pod warunkiem, że posiłki będę jadł w swoim pokoju.

– Zapewniam pana – powiedział – że nie uznaję żadnych przesądów rasowych, ale moi goście są prawie wyłącznie Europejczykami i jeżeli pozwoliłbym panu jadać w ogólnej jadalni, mogliby się poczuć urażeni.

– Dziękuję panu za samo udzielenie mi noclegu na jedną noc. Jestem już do pewnego stopnia obeznany z panującymi tutaj obyczajami i rozumiem pańską trudną sytuację. Nie mam nic przeciwko temu, aby przyniesiono mi obiad do pokoju. Mam nadzieję, że jutro uda mi się znaleźć jakieś inne mieszkanie.

Zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie siedząc samotnie, czekałem na przyniesienie mi jedzenia. W hotelu nie było wielu gości i sądziłem, że kelner powinien wkrótce nadejść. Zamiast niego przyszedł mister Johnston i zwrócił się do mnie następującymi słowami:

– Zrobiło mi się wstyd, że zażądałem, aby pan jadł w swoim pokoju, więc zwróciłem się do moich gości i zapytałem ich, czy mają coś przeciwko temu, aby pan zjadł obiad we wspólnej sali jadalnej. Odpowiedzieli mi, że nic przeciwko temu nie mają i że może pan tu mieszkać, jak długo pan zechce. Niech więc pan będzie łaskaw udać się do sali jadalnej i niech pan tu mieszka, jak długo będzie chciał.

Podziękowałem mu jeszcze raz, poszedłem do jadalni i z dużą przyjemnością zjadłem tam obiad.

Następnego dnia udałem się do obrońcy firmy, mister A.W. Bakera. *Szeth* Abdulla opowiadał mi o nim i dlatego serdeczne przyjęcie, jakiego doznałem u niego, wcale mnie nie zdziwiło. Przyjął mnie nad wyraz ciepło i wypytywał o różne sprawy. Opowiedziałem mu coś niecoś o sobie, na co usłyszałem:

– Właściwie mówiąc, nie mamy tu dla pana żadnego zajęcia jako dla adwokata, gdyż już zaangażowaliśmy najlepszych obrońców. Powództwo jest długie i skomplikowane, będę więc mógł korzystać z pańskiej współpracy jedynie w zakresie zbierania potrzebnych informacji. Ułatwi mi to utrzymanie kontaktu z moim klientem, a wszystkie informacje, jakie będą mi od niego

potrzebne, będę teraz otrzymywał za pańskim pośrednictwem. Nie wątpię, że to będzie korzystne. Pokoju dla pana jeszcze nie znalazłem. Sądziłem, że najlepiej będzie załatwić to po zobaczeniu się z panem. Panuje tu ogromne uprzedzenie do „kolorowych" ludzi i dlatego znalezienie dla pana pokoju nie będzie łatwe. Znam jednak pewną ubogą kobietę, żonę piekarza, i mam nadzieję, że zechce pana ulokować u siebie, aby w ten sposób zarobić trochę pieniędzy. Proszę, niech pan pozwoli, pójdziemy do niej.

Mister Baker zaprowadził mnie do domu tej kobiety, porozmawiał z nią na osobności i zgodziła się ona przyjąć mnie jako swego lokatora i pensjonariusza za trzydzieści pięć szylingów tygodniowo.

Mister Baker, poza tym że był wybitnym prawnikiem, był również natchnionym kaznodzieją. Żyje jeszcze i obecnie całkowicie poświęcił się działalności misjonarskiej, porzucając swą praktykę adwokacką. Jest zamożnym człowiekiem i stale ze mną koresponduje. W swoich listach zawsze porusza ten sam temat, a mianowicie podkreśla wielkość chrześcijaństwa pod różnymi względami oraz twierdzi, że znalezienie wiecznego zbawienia jest nieosiągalne, jeżeli się nie uzna Chrystusa za jedynego Syna Bożego i Zbawcę ludzkości.

Już podczas mojego pierwszego spotkania z mister Bakerem mówiłem mu o swoich religijnych poglądach. Powiedziałem mu wtedy:

– Urodziłem się jako hindus, a jednak niewiele wiem o hinduizmie, nawet znacznie mniej aniżeli o innych religiach. Właściwie mówiąc, nie wiem, kim jestem, w co wierzę i w co powinienem wierzyć. Moim zamiarem jest poświęcić się gruntownym studiom nad moją religią i – o ile to będzie możliwe – również nad innymi religiami.

Mister Baker z wielką radością przyjął to do wiadomości i oświadczył mi:

– Jestem jednym z kierowników Naczelnej Rady Misjonarzy w Afryce Południowej. Własnym kosztem zbudowałem kościół i regularnie wygłaszam w nim kazania. Jestem wolny od wszelkich uprzedzeń rasowych. Z moimi współpracownikami spotykam się codziennie o godzinie pierwszej na parę minut dla odmówienia wspólnej modlitwy o zesłanie pokoju i światła Bożego na ziemię. Będę bardzo rad, jeżeli zechce pan przyłączyć się do nas. Przedstawię pana moim współpracownikom, którzy również będą bardzo radzi poznać pana. Mam nadzieję, że pan polubi ich towarzystwo. Pozwolę sobie poza tym wręczyć panu kilka książek o treści religijnej, aczkolwiek księgą, która stoi ponad wszelkimi innymi, jest oczywiście *Pismo Święte* – polecam je panu szczególnie gorąco.

Podziękowałem mu i zapewniłem, że postaram się możliwie najregularniej przychodzić na codzienne modlitwy

– A więc oczekuję pana tutaj jutro o pierwszej po południu. Razem pójdziemy na modlitwę – dodał mister Baker i pożegnał mnie.

Pozostało mi więc niewiele czasu do namysłu. Wróciłem do hoteliku mister Johnstona, zapłaciłem rachunek i przeprowadziłem się do nowego mieszkania, gdzie zjadłem obiad. Moja gospodyni była bardzo poczciwą kobietą. Specjalnie dla mnie gotowała wegetariańskie potrawy. W krótkim czasie poczułem się tam jak we własnym, rodzinnym domu.

Następnie udałem się do przyjaciela, do którego dostałem polecający list od Dady Abdulli. Dowiedziałem się od niego o ciężkich cierpieniach, jakie zmuszeni są znosić Indusi zamieszkali w Afryce Południowej.

Ów przyjaciel nalegał, abym z nim zamieszkał. Podziękowałem mu i oznajmiłem, że się już na razie urządziłem, wobec czego zobowiązał mnie, bym w razie jakiejkolwiek potrzeby zwrócił się do niego.

Na dworze zapadł zmrok. Wróciłem do domu, zjadłem kolację i poszedłem do swego pokoju, gdzie położyłem się i pogrążyłem w rozmyślaniach.

Nie było dla mnie żadnej pilnej pracy. Powiadomiłem o tym szetha Abdullę. Usiłowałem dociec, co miało oznaczać zainteresowanie mister Bakera moją osobą? Co zyskam na tym, że będę przestawał w towarzystwie jego przyjaciół? Jak daleko mam się posunąć w poznawaniu religii chrześcijańskiej? W jaki sposób zdobyć literaturę dotyczącą hinduizmu? I wreszcie: czy potrafię zrozumieć właściwy sens chrystianizmu, nie mając gruntownej wiedzy o mojej własnej religii?

Doszedłem do jednego wniosku: mogę poświęcić czas na obiektywne poznawanie wszystkiego, co spotkam w życiu, mogę również uczestniczyć w zebraniach owej grupy ludzi pod przewodnictwem mister Bakera, kierując się tym, co mi powie Bóg, ale nie powinienem się zagłębiać w poznawanie innej religii, zanim nie zrozumiem do końca mojej własnej.

Zatopiony w tych myślach zasnąłem.

XI. SPOTKANIA Z CHRZEŚCIJANAMI

Następnego dnia o godzinie pierwszej po południu udałem się do mister Bakera na wspólną modlitwę. Zostałem tam przedstawiony miss Harris, miss Gabb, mister Coatesowi oraz innym osobom. Wszyscy uklękli dla zmówienia modlitwy, ja również to uczyniłem. Modlitwy zawierały prośby do Boga, przy czym każdy prosił o to, czego najbardziej pragnął. Treścią modlitw odprawianych codziennie była ponadto prośba do Najwyższego, by pozwolił dniu dzisiejszemu upłynąć w spokoju oraz by otworzył drzwi wiodące do Jego serca.

W mojej intencji odprawiono specjalną modlitwę: „Wskaż, o Panie, właściwą ścieżkę nowemu bratu, który przybył do nas. Ześlij nań, o Panie, pokój, który nam dałeś. Oby Zbawiciel, który nas zbawił, zechciał również zbawić i jego. W imieniu Jezusa, Pana Naszego, prosimy Cię o to, Boże Wszechmogący".

Nie było żadnego wspólnego śpiewania psalmów lub muzyki, które zazwyczaj towarzyszą podobnym zebraniom. Po modłach w intencji, wyznaczonej specjalnie na każdy dzień, rozeszliśmy się, a ponieważ była to już pora obiadowa, każdy podążył do siebie do domu. Odprawienie modlitwy nie zajęło więcej niż pięć minut. Miss Harris i miss Gabb były starszymi pannami, a mister Coates kwakrem. Obie panie mieszkały razem i zaprosiły mnie na herbatę w każdą niedzielę po południu.

Kiedy spotykaliśmy się w niedzielę, zazwyczaj zdawałem mister Coatesowi relację z czynności religijnych, które odprawiałem w ciągu tygodnia, a oprócz tego rozmawialiśmy o książkach, które czytałem, i o wrażeniu, jakie na mnie robiły. Panie opowiadały mi o swoich pobożnych rozmyślaniach oraz o spokoju wewnętrznym, który odnalazły. Mister Coates był szczerym i głęboko wierzącym młodym człowiekiem. Odbywaliśmy wspólne spacery i za jego pośrednictwem poznałem innych jego przyjaciół, również chrześcijan.

Gdy poznaliśmy się bliżej, zaczął mnie obdarzać różnymi książkami, według własnego wyboru, i wkrótce było ich pełno na mojej półce. Po prostu zarzucał mnie nimi. Czytałem je wszystkie pełen ufności, a po ich przestudiowaniu prowadziłem z nim długie dyskusje.

W ciągu 1893 roku przeczytałem sporą liczbę tych książek. Nie pamiętam tytułów wszystkich, ale były między nimi*: Komentarze* doktora Parkera z City Temple, *Many Infaillible Proofs* (*Niezbite dowody*) Pearsona oraz *Analogia* Butlera.

Część tych książek była dla mnie wręcz niezrozumiała. Pewne rozdziały podobały mi się, natomiast inne wcale. *Niezbite dowody* zawierały wiele argumentów na potwierdzenie religii, tak jak ją podaje *Pismo Święte* i jak ją rozumie autor. Książka ta nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. *Komentarze* Parkera stanowiły bodziec moralny, ale nie mogły służyć jakąkolwiek pomocą człowiekowi, który nie podzielał wiary w niezłomność dogmatów religii chrześcijańskiej. Książka Butlera zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie, była jednak dość trudna i musiałem ją czytać cztery, a nawet pięć razy, by wreszcie odpowiednio ją zrozumieć. Odniosłem wrażenie, że została napisana w celu sprowadzenia ludzi niewierzących na drogę wiary. Argumenty na potwierdzenie istnienia Boga w niej przytoczone były dla mnie zbyteczne, gdyż dawno wyszedłem z okresu, kiedy byłem ateistą, a te, które twierdziły, że jedynie Chrystus jest wcieleniem Boga i pośrednikiem pomiędzy Nim a ludźmi, nie przemawiały do mnie.

Ale mister Coates nie był człowiekiem, który by się łatwo zechciał przyznać do poniesionej porażki. Miał dla mnie dużo uczucia. Zobaczył kiedyś zawieszony na mojej szyi naszyjnik wisznuicki z kamiennych paciorków *tulasi*. Sądził, że jest on oznaką jakiegoś zabobonu, i zmartwiło go to.

– To nie uchodzi, żeby pan wierzył w podobne zabobony. Niech pan mi pozwoli zniszczyć ten naszyjnik.

– O, nie! To jest święty podarunek mojej matki.

– Ale pan chyba nie wierzy w niego?

– Nie wiem, jakie ma tajemne znaczenie. Nie sądzę, bym się narażał na niebezpieczeństwo, gdybym przestał go nosić, ale trudno mi bez dostatecznej przyczyny zdjąć naszyjnik, który włożyła mi na szyję matka, kochając mnie i wierząc, że mi przyniesie szczęście. Jeżeli z czasem sam ulegnie zniszczeniu i spadnie, nie będę pragnął nowego, ale tego naszyjnika nie wolno zniszczyć!

Mister Coates nie umiał należycie ocenić moich argumentów, gdyż nie uznawał mojej religii. Jego dążeniem było wydobycie mnie z otchłani niewiedzy. Czynił wszystko, by mnie przekonać, że niezależnie od tego, ile prawdy jest w innych religiach, zbawienie mojej duszy jest nie do osiągnięcia, jeżeli nie przejdę na chrześcijaństwo, które jako jedyne reprezentuje prawdę, oraz że tylko wstawiennictwo Chrystusa zdoła zmyć ze mnie wszystkie grzechy. Natomiast wszystkie moje dobre uczynki są bezcelowe.

Mister Coates zapoznał mnie z różnymi książkami, a także przedstawiał mnie licznym znajomym, których uważał za wiernych wyznawców Chrystusa.

Jedną z nowo poznanych była rodzina należąca do sekty chrześcijańskiej noszącej nazwę „Bracia z Plymouth”[69].

Niektóre z tych nowo zawartych znajomości były bardzo interesujące. Wydawało mi się, że większość tych ludzi żyje w obawie przed Bogiem. W czasie utrzymywania kontaktu z tą właśnie rodziną jeden z członków owej sekty Braci z Plymouth posłużył się wobec mnie pewnego rodzaju argumentem, na który nie byłem przygotowany.

– Pan nie jest zdolny – mówił do mnie – zrozumieć całego piękna naszej religii. Z tego, co pan mówi, wynika, że spędził pan na zastanawianiu się nad uchybieniami, jakie pan popełnił, całe swoje życie, usiłując je naprawić lub odpokutować za swe przewinienia. Ale czy tego rodzaju nieustające praktyki są w stanie zapewnić panu zbawienie? Nigdy nie uzyska pan spokoju! Pańskim zdaniem wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale niech się pan przyjrzy doskonałości naszej wiary. Wszystkie nasze próby, aby się stać lepszymi i odkupić nasze winy, są daremne. A jednak musimy być zbawieni. W jakiż więc sposób możemy udźwignąć brzemię ciążącego na nas grzechu? Jedynie obarczając nim Chrystusa. On bowiem jest jedynym wolnym od grzechu Synem Bożym. Jego słowa zapewnią tym, którzy w Niego uwierzyli, wieczny żywot i na tym właśnie polega bezgraniczna łaska Boża. A wobec tego, że wierzymy, iż Chrystus jest Odkupicielem naszych grzechów, te, które sami popełniamy, nie spadają już na nas. Musimy grzeszyć. Żyć bezgrzesznie w tym świecie jest czymś niemożliwym. Dlatego właśnie Chrystus cierpiał i odpokutował za grzechy całej ludzkości. Jedynie my, którzyśmy uwierzyli w bezmiar Jego ofiary, możemy osiągnąć wieczysty spokój. Niech się pan zastanowi, ile rozterek czeka pana w życiu i jak wielką obietnicę osiągnięcia spokoju przynosimy.

Ale i ten argument mnie nie przekonał.

Odpowiedziałem pełen pokory:

– Jeżeli na tym polega siła chrześcijaństwa uznawanego przez wszystkich wierzących, nie mogę się na nie zgodzić. Nie dążę do uwolnienia się od następstw mego grzechu. Pragnę być uwolniony od samego grzechu, lub raczej nawet od samej myśli o nim. Zanim nie osiągnę tego celu, muszę się zgodzić na to, że nie zaznam spokoju.

Na co ów „Brat z Plymouth” odrzekł:

---

69 Bracia z Plymouth – sekta założona około 1830 r. pod auspicjami ojca J.N. Darby’ego. Istnieje w Anglii, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych.

– Zapewniam pana, że jego wysiłki są daremne. Niech pan się jeszcze raz zastanowi nad tym, co powiedziałem.

Ów brat usiłował czynami potwierdzić słuszność swych słów. Celowo popełniał różne uchybienia, aby mi udowodnić, że świadomość dopuszczenia się grzechu bynajmniej nie zakłócała mu spokoju.

Wiedziałem jednak jeszcze przed poznaniem tych ludzi, że nie wszyscy chrześcijanie wierzą w taką teorię odkupienia. O ile chodzi o samego mister Coatesa, to żył on w wiecznym strachu przed Bogiem. Serce miał czyste i wierzył w możliwość samooczyszczenia się. Owe dwie panie podzielały jego wiarę.

Pewne książki, które trafiły do moich rąk, były niezmiernie pobożne i chociaż ostatnia rozmowa ze mną bardzo zaniepokoiła mister Coatesa, potrafiłem go zapewnić, że nieco wypaczona wiara Braci z Plymouth nie zdoła wzbudzić we mnie uprzedzenia do nauki Chrystusa.

Trapiące mnie wątpliwości leżały gdzie indziej. Były one związane z *Biblią* i jej powszechnie przyjętą interpretacją.

XII. W POSZUKIWANIU KONTAKTÓW Z INDUSAMI

Zanim opiszę moje dalsze znajomości wśród chrześcijan, muszę wspomnieć o innych doświadczeniach związanych z tym samym okresem. *Szeth* Tjeb Hadźi Khan Muhammad cieszył się w Pretorii taką samą opinią, jaką w Natalu miał Dada Abdulla. Nie było takiego wydarzenia w życiu publicznym, w którym nie brałby udziału. Poznałem go w pierwszym tygodniu mego pobytu w Pretorii i powiedziałem mu, że mam zamiar nawiązać kontakt z każdym przebywającym tu Indusem. Wyraziłem również życzenie dokładnego poznania warunków, w jakich tu żyją Indusi, i prosiłem go o pomoc w zamierzonej przeze mnie pracy, co *szeth* Tjeb przyrzekł mi z całą gotowością.

Pierwsze, co postanowiłem zrobić, to zwołać wszystkich zamieszkałych w Pretorii Indusów na zebranie, na którym chciałem im przedstawić pełny obraz warunków, w których zmuszeni są żyć w Transwalu.

Zebranie odbyło się w domu szetha Hadźiego Muhammada Dżusaba, do którego miałem list polecający. Na zebranie przybyli przeważnie kupcy muzułmańscy, chociaż nie brakło również hindusów, aczkolwiek ludność hinduska była w Pretorii bardzo nieliczna.

Można powiedzieć, że mowa, którą wygłosiłem na tym zebraniu, była pierwszym publicznym przemówieniem w moim życiu. Przybyłem na zebranie z najdokładniej przygotowanym tematem, który dotyczył uczciwości w handlu. Nieraz słyszałem z ust kupców, że uczciwość w handlu jest czymś wręcz niemożliwym. Nie podzielałem tego poglądu ani wtedy, ani obecnie. Zresztą jeszcze i dziś mam znajomych kupców, którzy upierają się przy tym twierdzeniu. Powiadają, że handel jest to zagadnienie praktyczne, a uczciwość – religijne, przy czym ściśle rozróżniają jedno pojęcie od drugiego. Dalej ci ludzie twierdzą, że w handlu nie można dotrzymywać wierności prawdzie i że jeżeli któryś z kupców mówi prawdę, to tylko wtedy, gdy ona mu się na coś przyda. W swoim przemówieniu ostro przeciwstawiłem się temu poglądowi i starałem się wzbudzić w kupcach poczucie wzmożonego obowiązku.

Obowiązek uczciwości spoczywający na nich był tym większy, że znajdowali się w obcym kraju, a według postępowania nielicznych tu Indusów wydawano sąd o milionach ich rodaków.

Zauważyłem, że Indusi, w porównaniu z żyjącymi dokoła nich Anglikami, mieszkają w niehigienicznych warunkach, i powiedziałem im o tym. Kładłem duży nacisk na to, że należy zapomnieć o podziale na hindusów, muzułmanów, parsów, chrześcijan, na mieszkańców Gudźaratu, Madrasu, Pendźabu, Sindu, Koczi, Suratu i tak dalej.

Zgłosiłem wniosek stworzenia stowarzyszenia, które zwróciłoby się do miejscowych władz z oficjalnym protestem przeciw dyskryminacji, z jaką się spotykają przybyli z Indii osadnicy, i zapowiedziałem gotowość poświęcenia tej sprawie wszystkich moich sił i czasu.

Widziałem, że moje słowa wywarły znaczne wrażenie na uczestnikach zebrania.

Po przemówieniu odbyła się dyskusja. Niektórzy ofiarowali się dostarczyć mi potrzebne dane. Dodało mi to otuchy. Stwierdziłem, że tylko nieliczni słuchacze znali angielski, a wiedząc, że znajomość tego języka może być bardzo potrzebna na miejscu, radziłem tym, którym czas na to pozwalał, by się zabrali do nauki angielskiego. Zapewniłem ich, iż można się nauczyć tego języka nawet w dojrzałym wieku, i przytoczyłem szereg nazwisk ludzi, którym się to całkowicie powiodło. Ponadto zobowiązałem się do udzielania lekcji całej grupie, jeżeli się taka utworzy, lub indywidualnie poszczególnym chętnym nauczenia się angielskiego.

Grupy nie udało się stworzyć, ale trzej młodzieńcy wyrazili chęć rozpoczęcia nauki pod warunkiem, że będę przychodził do nich na lekcje. Dwaj byli

muzułmanami, przy czym jeden był golarzem, a drugi urzędnikiem, trzeci natomiast był hindusem i właścicielem niewielkiego sklepiku.

Zgodziłem się uczyć ich wszystkich. Nie miałem żadnych obaw, jeśli chodzi o moje zdolności pedagogiczne. To raczej moi uczniowie czuli się niekiedy zmęczeni, nie ja. Zdarzało się niejednokrotnie, że gdy przyszedłem do nich, byli zajęci pracą i nie mieli czasu na lekcję.

Nie traciłem jednak cierpliwości i chociaż żadnemu nie zależało na gruntownym poznaniu języka, dwóm z nich udało się w ciągu ośmiu miesięcy zrobić dość duże postępy. Nauczyli się prowadzić rachunki i pisać zwykłe listy handlowe. Ambicją fryzjera było opanowanie angielskiego w bodaj takim stopniu, by mógł się porozumieć z klientami. W rezultacie tych studiów dwaj moi uczniowie osiągnęli wcale przyzwoite zarobki.

Byłem zadowolony z wyników zebrania. Postanowiłem – o ile sobie przypominam – urządzać podobne co tydzień lub może co miesiąc. Odbywały się one w mniej lub bardziej regularnych odstępach i przy tej okazji zazwyczaj toczyła się swobodna wymiana myśli.

Rezultat był taki, że nie było obecnie w Pretorii Indusa, którego bym nie znał, podobnie jak warunków, w jakich żył. To z kolei doprowadziło do tego, że poznałem brytyjskiego przedstawiciela konsularnego w Pretorii, mister Jacobusa de Weta. Był to człowiek mający dużo współczucia dla Indusów, ale niestety rozporządzał bardzo małymi wpływami. W każdym razie skłonny był okazywać nam pomoc w miarę swych możliwości oraz prosił, bym się do niego zwracał, ilekroć będę potrzebował jego pomocy.

Skomunikowałem się z władzami kolejowymi i oświadczyłem im, że nawet opierając się o ich własne przepisy nic nie usprawiedliwia uciążliwych warunków, w jakich Indusi muszą odbywać podróże. W odpowiedzi otrzymałem list, z którego wynikało, że schludnie ubranym Indusom będą sprzedawane bilety do pierwszej i drugiej klasy. Było to jeszcze dość dalekie od należytego zadośćuczynienia naszym żądaniom, gdyż całkowicie pozostawiało uznaniu zawiadowcy stacji określenie, kto jest „schludnie ubrany", a kto nie.

Przedstawiciel brytyjski pokazał mi niektóre dokumenty mające związek ze sprawą miejscowych Indusów. *Szeth* Tjeb również wręczył mi podobne papiery. Dowiedziałem się z nich, w jak okrutny sposób byli szczuci Indusi w Wolnym Państwie Orańskim.

Streszczając się, muszę stwierdzić, że pobyt w Pretorii umożliwił mi gruntowne studia nad społecznymi, gospodarczymi i politycznymi warunkami,

w jakich wypadło żyć Indusom w Transwalu i Wolnym Państwie Orańskim. Nie wiedziałem wtedy, że te studia oddadzą mi w przyszłości nieocenioną przysługę, sądziłem bowiem, że z końcem roku, a może nawet i wcześniej, powrócę do domu, jeśli rozprawa sądowa zakończy się przed upływem roku.

Ale Bóg postanowił inaczej.

XIII. CO TO ZNACZY BYĆ „KULISEM"?

Nie jest to odpowiednie miejsce dla szczegółowego omówienia sytuacji, w jakiej się znajdują Indusi mieszkający w Transwalu i Wolnym Państwie Orańskim. Pozwolę sobie tym, którzy chcą dokładnie poznać to zagadnienie, poradzić, by zechcieli sięgnąć do mojej książki *Dzieje satjagrahy w Afryce Południowej*. Wymaga to jednak paru słów wyjaśnienia.

W Wolnym Państwie Orańskim Indusi na podstawie specjalnej ustawy wydanej w 1886 roku (a może nawet wcześniej) byli pozbawieni wszystkich praw. Jeżeli postanowili jednak zamieszkać tam, mogli pracować jedynie w hotelach jako kelnerzy lub wykonywać równie służalcze prace. Kupców wysiedlono i wypłacono im jakieś śmieszne odszkodowanie. Co prawda, składali oni wszelkiego rodzaju zażalenia i petycje, ale nadaremnie.

W 1885 roku również w Transwalu zostały wydane bardzo surowe zarządzenia, a w 1886 złagodzono je nieco, wprowadzając poprawkę, która przewidywała, że każdy Indus powinien za wjazd do Transwalu wnieść opłatę w wysokości trzech funtów szterlingów. Nie wolno im było nabywać ziemi poza terenami specjalnie wyznaczonymi dla nich, a w praktyce nie mogli nawet zostać jej prawnymi właścicielami. Prawo głosowania nie przysługiwało im. Wszystko to działo się w imię praw wydanych dla ludów azjatyckich, do których zaliczono wszystkie narody kolorowe. Zgodnie z literą tego prawa nie wolno było Indusowi chodzić powszechnie używanymi chodnikami, nie wolno było bez zezwolenia wychodzić z domu po dziewiątej wieczorem. Stosowanie tego ostatniego zarządzenia – jeśli chodzi o Indusów – było bardzo względne. Uchodzący za „Arabów" nie podlegali mu, ale jedynie w drodze łaski. Wyłączenie spod tego prawa zależało tylko od widzimisię władz policyjnych.

Miałem sposobność doświadczyć na sobie mocy obydwóch tych zarządzeń. Często wychodziłem wieczorem z mister Coatesem na spacery i zdarzało się, że wracaliśmy do domu przed godziną dziesiątą. Co będzie, jeżeli policja mnie

aresztuje? Mister Coates był bardziej zaniepokojony taką ewentualnością aniżeli ja. Przysługiwało mu prawo wydawania przepustek dla swych służących Murzynów, ale jakże mógł mnie wypisać podobną? Jedynie pracodawca mógł udzielać takiego zezwolenia swojej służbie. Gdybym nawet chciał posiadać taki papierek, a mister Coates byłby skłonny mi go wypisać, nie mógłby tego zrobić, gdyż byłoby to zwykłym oszustwem.

Mister Coates czy też któryś z jego znajomych zaprowadził mnie do prokuratora generalnego, doktora Krausego. Okazało się, że obydwaj jesteśmy z tego samego kolegium adwokackiego. Doktor Krause był oburzony, kiedy dowiedział się, że muszę mieć przepustkę zezwalającą na opuszczanie domu po godzinie dziewiątej wieczorem, i wyraził mi swoje serdeczne współczucie. Zamiast wspomnianej przepustki wręczył mi list upoważniający mnie do przebywania poza domem, kiedy tylko zechcę, przy czym władze policyjne nie miały prawa mi tego zabronić. Ilekroć wychodziłem, zawsze miałem przy sobie ten list. Przypadek raczej sprawił, że nigdy nie zaszła potrzeba okazania go.

Doktor Krause zaprosił mnie do siebie i można powiedzieć, że zostaliśmy przyjaciółmi. Przychodziłem do niego od czasu do czasu i to on przedstawił mnie swemu bardzo znanemu bratu, który był prokuratorem w Johannesburgu. Podczas wojny anglo-burskiej stanął przed sądem polowym, oskarżony o udział w zamordowaniu angielskiego oficera, i został skazany na siedem lat więzienia. Rada adwokacka wykluczyła go ze swego grona. Po zakończeniu działań wojennych został zwolniony z więzienia, z honorem przyjęto go z powrotem do adwokatury w Transwalu i pozwolono zajmować się praktyką. Te znajomości okazały się w mojej późniejszej działalności publicznej bardzo pożyteczne i w dużym stopniu ułatwiły mi pracę.

Moje usiłowania o wprowadzenie zmiany przepisów dotyczących używania dróg publicznych miały poważne następstwa. Zazwyczaj udawałem się na spacery, idąc ulicą Prezydenta, prowadzącą za miasto. Dom prezydenta Krugera znajdował się na tej ulicy. Był to skromny, nierzucający się w oczy budynek, bez ogrodu, niczym nieróżniący się od innych domów w sąsiedztwie. Domy większości milionerów w Pretorii były znacznie bardziej pretensjonalne i otoczone ogrodami. Skromność prezydenta Krugera była przysłowiowa. Jedynie obecność warty policyjnej przed domem świadczyła o tym, że dom należy do jakiejś urzędowej osoby. Niemal zawsze szedłem chodnikiem dla przechodniów i bez jakichkolwiek zastrzeżeń przechodziłem obok posterunku. Ale wartownicy zmieniali się od czasu do czasu.

Pewnego razu jeden z nich, bez żadnego uprzedzenia i nie wzywając mnie do zejścia z drogi, zepchnął mnie z niej i rzucił na jezdnię. Byłem zaskoczony. Nie zdążyłem zapytać go, czemu postąpił w taki sposób, kiedy mister Coates, który przypadkiem przejeżdżał konno przez tę ulicę, podniósł mnie, mówiąc:

– Gandhi, widziałem wszystko, co tu zaszło. Chętnie złożę zeznania w sądzie jako świadek, jeżeli zechce pan zaskarżyć tego człowieka. Jest mi niewymownie przykro, że został pan potraktowany z taką brutalnością.

– Niech się pan uspokoi – odrzekłem. – Ten biedny człowiek nie ponosi żadnej winy. Dla niego wszyscy „kolorowi" są jednacy. Niewątpliwie traktuje Murzynów tak samo jak mnie. Raz na zawsze postanowiłem nie zwracać się do sądu w wypadku, kiedy mnie osobiście spotka jakaś przykrość. Nie mam więc zamiaru wystąpić przeciwko niemu na drogę sądową.

– To jest zupełnie podobne do pana – odpowiedział mi mister Coates – ale niech się pan jeszcze raz nad tym zastanowi. Musimy dać nauczkę tym ludziom!

Mister Coates zwrócił się następnie do policjanta i zbeształ go. Niewiele zrozumiałem z tego, co mu powiedział. Rozmowa odbywała się po holendersku, gdyż policjant był Burem. Przepraszał mnie później, co zresztą nie było potrzebne, bo już mu wybaczyłem.

Nigdy więcej nie chodziłem tą ulicą. Na miejsce tamtego człowieka mogli przyjść inni, którzy nic nie wiedzieli o tym zajściu i mogli postąpić tak samo. Po cóż miałem się niepotrzebnie narażać na nowe zepchnięcie mnie z chodnika? Wolałem wybrać inną drogę do przechadzek.

To wydarzenie przyczyniło się do pogłębienia uczuć, jakie żywiłem dla Indusów osiadłych w tym kraju. Po odbyciu rozmowy z brytyjskim przedstawicielem konsularnym na temat tych przepisów, rozważałem z nimi celowość wytoczenia „pokazowego procesu" w tej sprawie.

Dokładnie zaznajomiłem się z niezmiernie ciężkimi warunkami, w jakich żyli osiadli tu Indusi, przy czym nie tylko czytałem i wysłuchiwałem wielu relacji na ten temat, lecz również doświadczyłem tego wszystkiego na własnej skórze.

Przekonałem się wtedy, że Afryka Południowa nie jest krajem, w którym Indus obdarzony poczuciem własnej godności mógłby mieszkać, a pytanie, co należy uczynić, by poprawić ten stan rzeczy, coraz bardziej zaprzątało moje myśli.

Jednak na razie najważniejszym moim obowiązkiem było dopilnować powództwa Dady Abdulli.

XIV. PRZYGOTOWANIA DO PROCESU

Roczny pobyt w Pretorii przysporzył mi bardzo wielu cennych doświadczeń. Tu właśnie miałem sposobność nabycia wiadomości w zakresie pracy społecznej i przyzwyczajenia się do niej. Tu również moje uczucia religijne nabrały żywotnej siły, tu bliżej poznałem zawód adwokata. Nauczyłem się rzeczy, które młody adwokat poznaje zazwyczaj w kancelarii starszego od siebie prawnika – i tu wreszcie zdobyłem pewną wiarę w siebie i nabrałem przekonania, że wybranie przeze mnie zawodu adwokata nie było jednak pomyłką. Dopiero tu dowiedziałem się, na czym polega tajemnica powodzenia adwokata.

Sprawa wytoczona przez Dadę Abdullę była poważna, chodziło o powództwo opiewające na czterdzieści tysięcy funtów szterlingów. Powstało ono na tle transakcji handlowych i roiło się w nim od zawiłości związanych z księgowością. Jedna część powództwa opierała się na wekslach, a druga na specyficznym wykonaniu przyrzeczenia o złożeniu innych weksli. Obrona polegała na udowodnieniu, że weksle zostały wyłudzone, tak że pretensje nie są dostatecznie uzasadnione. Ta niezwykle zawikłana sprawa miała mnóstwo kruczków faktycznych i prawniczych. Obie strony zaangażowały najlepszych obrońców i radców prawnych. Miałem znakomitą sposobność przyjrzenia się ich pracy. Przygotowanie materiału dla adwokata ze strony wnoszącej powództwo oraz dobór faktów potwierdzających słuszność roszczeń powierzono mnie. Było więc dla mnie niezmiernie pouczające przyjrzenie się temu, jak adwokat jedne z przygotowanych przeze mnie danych przyjmował, a drugie odrzucał, a także jaki użytek robili radcy prawni z akt przygotowanych przez niego.

Zrozumiałem wtedy, że już same prace przygotowawcze do procesu wzbogacają moją wiedzę prawniczą i bardzo mi się w przyszłości przydadzą.

Byłem niezmiernie zainteresowany tym procesem i po prostu cały w nim utonąłem. Przestudiowałem wszystkie dokumenty mające związek z dokonanymi operacjami handlowymi. Mój klient był człowiekiem sprytnym i obdarzał mnie całkowitym zaufaniem, a to w dużym stopniu ułatwiało mi pracę. Dosyć dobrze poznałem sposób prowadzenia ksiąg handlowych. Zrobiłem duże postępy jako tłumacz dzięki temu, że musiałem tłumaczyć dość obszerną korespondencję, prowadzoną przeważnie w języku gudźarati.

I chociaż, jak wspomniałem wcześniej, sprawy religijne i praca społeczna bardzo mnie w owym czasie interesowały i poświęcałem im sporo czasu, jednak

to nie one absorbowały mnie najbardziej. Moją główną uwagę pochłaniały przygotowania do procesu. Studiowanie prawa i wertowanie dawniejszych spraw sądowych, jeśli zachodziła tego potrzeba, zajmowało mi najwięcej czasu. W rezultacie osiągnąłem taką znajomość wszelkich dowodów rzeczowych związanych z procesem, jaką z pewnością nie rozporządzały obie procesujące się strony, tym bardziej że w moich rękach znalazły się dokumenty obu stron.

Przypomniałem sobie radę udzieloną mi dawniej przez nieżyjącego już mister Pincutta, że istotę prawa w trzech czwartych stanowią dowody rzeczowe. Ta zasada została następnie w całej rozciągłości potwierdzona przez słynnego w Afryce Południowej prawnika, mister Leonarda. W niektórych sprawach, które prowadziłem, widziałem, że mimo iż sprawiedliwość była po stronie mego klienta, jednak prawo zdawało się przeciwko niemu. W rozterce zwróciłem się o pomoc do mister Leonarda. On również odniósł wrażenie, że dowody rzeczowe w danej sprawie były bardzo przekonujące.

Powiedział wtedy do mnie:

– Gandhi, życie nauczyło mnie jednej rzeczy, a mianowicie: jeżeli uważnie potraktujemy dowody rzeczowe jakiejś sprawy, prawo samo potrafi się nimi zająć. Należy jak najgłębiej wniknąć w stan faktyczny sprawy!

Mówiąc to, poradził mi, abym się zajął dalszym przestudiowaniem sprawy, o którą chodziło, i po pewnym czasie ponownie do niego przyszedł.

Po nowym i dokładnym przyjrzeniu się stanowi faktycznemu tej sprawy ujrzałem ją w całkowicie odmiennym świetle. Udało mi się wniknąć w samo sedno pewnego od dawna wlokącego się w Afryce Południowej procesu. Byłem niezmiernie uradowany, udałem się powtórnie do mister Leonarda i opowiedziałem mu o wszystkim.

– Bardzo słusznie! – rzekł. – Powinniśmy wygrać tę sprawę. Musimy się jedynie liczyć z tym, jaki będzie skład sędziów.

Kiedy przygotowywałem się do procesu Dady Abdulli, niezupełnie zdawałem sobie sprawę z ogromnej doniosłości, jaką mają dowody rzeczowe. Dowody oznaczają prawdę, a z chwilą kiedy ją wykryjemy, prawo bezwzględnie winno nam przyjść z pomocą.

Wiedziałem, że dowody rzeczowe, jakie załączył Dada Abdulla, bardzo mocno przemawiają na jego korzyść, co oznaczało, że prawo bezwzględnie powinno stanąć po naszej stronie, jednocześnie rozumiałem, że wszelkie przewlekanie sprawy na skutek naszego uporu musi doprowadzić do ruiny finansowej zarówno skarżącego, jak i oskarżonego, którzy byli spokrewnieni i pochodzili z jednego miasta.

Nikt nie mógł przewidzieć, jak długo będzie się ciągnął ten proces. Gdyby się dopuściło do rozprawy sądowej, mogłaby się ona ciągnąć w nieskończoność bez korzyści dla którejkolwiek ze stron. Każda z nich w gruncie rzeczy dążyła – o ile to było możliwe – do najszybszego zakończenia sprawy.

Zwróciłem się do szetha Tjeba, porozmawiałem z nim i poradziłem, aby się zgodził na arbitraż i zasięgnął opinii swych radców prawnych. Wyraziłem również pogląd, że jeżeli obie strony wybiorą arbitra cieszącego się obopólnym zaufaniem, cały zatarg może się szybko skończyć.

Honoraria adwokatów rosły tak szybko, że już to jedno wystarczyło, by zrujnować klientów, bądź co bądź poważnych kupców. Proces zabierał im tyle czasu, że nie mieli go już na inną pracę. Tymczasem obustronna niechęć coraz bardziej przybierała na sile. To wszystko obrzydziło mi doszczętnie zawód adwokata. Radcy prawni obu stron wysilali się, by interpretować literę prawa na własną korzyść. Po raz pierwszy miałem też możność przekonać się, że strona wygrywająca nigdy nie jest w stanie ściągnąć przyznanych jej należności.

Ustawa regulująca wysokość honorariów wprawdzie ustaliła wysokość kosztów przypadającą na każdą z procesujących się stron, jednak właściwe rozliczenia pomiędzy obrońcą a klientem wynosiły znacznie więcej. Nie mogłem tego znieść. Czułem, że moim obowiązkiem jest pogodzić obie strony i doprowadzić do porozumienia. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, by nakłonić je do kompromisu. Wreszcie *szeth* Tjeb wyraził swą zgodę. Wybrano arbitra, sprawa została mu przedstawiona i Dada Abdulla wygrał.

Ten wynik nie zadowolił mnie jednak. Mój klient liczył na to, że zdoła natychmiast wyegzekwować całą przyznaną mu kwotę, ale dla szetha Tjeba spłacenie całego odszkodowania było jawnym niepodobieństwem, a niepisane wprawdzie, ale obowiązujące zamieszkałych w Afryce Południowej kupców z Porbandaru prawo głosiło, że śmierć jest lepsza od bankructwa.

Szeth Tjeb nie był w stanie zwrócić od razu całej żądanej od niego sumy, wynoszącej około trzydziestu siedmiu tysięcy funtów szterlingów, ani ponieść dodatkowych kosztów. Zgadzał się wprawdzie zapłacić wszystko co do grosza, ale nie życzył sobie, by go ogłoszono bankrutem. Pozostawała tylko jedna droga: Dada Abdulla powinien się zgodzić na to, że *szeth* Tjeb będzie spłacać swój dług w umiarkowanych ratach. Dada Abdulla zgodził się wreszcie i rozłożył spłacenie należności na dość długi okres. Łatwiej mi było doprowadzić do zgody na arbitraż aniżeli do porozumienia w sprawie spłacania owych rat.

Obie strony były jednak zadowolone z osiągniętego wyniku i urosły w opinii publicznej. Moja radość nie miała granic. Nauczyłem się prawdziwego stosowania prawa, a także odnajdywania w człowieku jego dobrych właściwości i trafiania do jego serca. Zrozumiałem wtedy, że najistotniejszym powołaniem adwokata jest pogodzenie zwaśnionych stron.

Ta lekcja zapadła mi tak głęboko w serce, że podczas mojej dwudziestoletniej adwokackiej praktyki większą część czasu spędziłem na doprowadzaniu wielu spraw do polubownego rozstrzygnięcia.

Nic na tym nie straciłem – ani pieniędzy, a już najmniej ucierpiało na tym moje sumienie.

XV. FERMENT RELIGIJNY

zas, bym wrócił do moich przeżyć w środowisku przyjaciół chrześcijan. Mister Baker zaczął się niepokoić moją przyszłością. Zaprosił mnie do Wellingtonu na zjazd. Protestanci organizują co parę lat tego rodzaju zjazdy, mające na celu podniesienie ducha religijnego, lub mówiąc innymi słowami – „samooczyszczenie". Można by je określić również jako rodzaj religijnego „odnowienia" lub „odrodzenia". Zjazd w Wellingtonie był właśnie czymś w tym rodzaju.

Przewodniczącym był słynny miejscowy pastor Andrew Murray. Mister Baker był przeświadczony, że nastrój uniesienia religijnego, jaki będzie panował na tym zjeździe, a także entuzjazm i powaga jego uczestników niewątpliwie odniosą ten skutek, że nawrócę się na chrześcijaństwo.

Największą jednak nadzieję pokładał w skuteczności modlitwy. Był głęboko przekonany, że Bóg musi wysłuchać modlitwy skierowanej do Niego z całą żarliwością. Na potwierdzenie tego przytaczał przykłady ludzi w rodzaju George'a Mullera z Bristolu, którego najbardziej doczesne potrzeby były zaspokajane dzięki żarliwej modlitwie. Słuchałem jego opowieści o skuteczności modlitwy z uwagą i bez żadnego uprzedzenia, zapewniając, że gdybym czuł wewnętrzną potrzebę przyjęcia chrześcijaństwa, nic nie zdołałoby mnie od tego powstrzymać. Złożyłem to zapewnienie bez cienia wątpliwości, gdyż na długo przedtem nauczyłem się słuchać mego wewnętrznego głosu. Byłem mu zawsze posłuszny. Postąpić wbrew niemu byłoby dla mnie rzeczą niezmiernie trudną i bolesną.

Udaliśmy się więc razem do Wellingtonu na ten zjazd. Mister Bakerowi nie przyszło łatwo przekonać innych, że człowiek „kolorowy", jakim ja byłem, jest jego przyjacielem. Był z mojego powodu niejednokrotnie narażony na różne trudności. Musieliśmy zrobić przerwę w podróży, gdyż zarówno mister Baker, jak i jego towarzysze nie podróżowali w sobotę.

Po długich targach dyrektor miejscowego hotelu zgodził się wreszcie dać mi pokój, natomiast kategorycznie sprzeciwił się temu, bym korzystał ze wspólnej sali jadalnej. Ale mister Baker nie był człowiekiem skłonnym do ustępstw. Bronił praw gości zamieszkujących w hotelu; widziałem jednak, że napotyka duże trudności.

Po przybyciu do Wellingtonu zamieszkałem razem z mister Bakerem. Mimo najgorętszych wysiłków z jego strony, by ukryć przede mną przykrości, na jakie był z mojego powodu narażony, nie uszły one mojej uwagi.

Był to zjazd bardzo pobożnych wyznawców religii Chrystusowej. Ich głęboka wiara budziła we mnie zachwyt. Poznałem pastora Murraya. Widziałem, że wielu spośród obecnych odmawiało modlitwy w mojej intencji. Niektóre psalmy bardzo mi się podobały, wydawały mi się wspaniałe.

Zjazd trwał trzy dni. Zrozumiałem i wysoko oceniłem pobożność biorących w nim udział. Nie znalazłem jednak powodu, dla którego miałbym zmienić własną wiarę, własną religię. Nie mogłem uwierzyć w to, że pójdę do nieba lub uzyskam zbawienie jedynie dlatego, że zostałem chrześcijaninem. Kiedy szczerze powiedziałem o tym niektórym, uważającym się za dobrych chrześcijan, byli oburzeni – ale cóż mogłem na to poradzić?

Nękające mnie wątpliwości leżały głębiej. Nie byłem w stanie uwierzyć, że Jezus jest jedynym wcieleniem Boga i że tylko ci, którzy wierzą w Niego, dostąpią łaski wiecznego żywota. Jeżeli Bóg mógł mieć synów, wszyscy bylibyśmy jego synami. Jeżeli Jezus był równy Bogu, lub sam był Nim, wtedy wszyscy ludzie musieliby być podobni do Boga, lub sami byliby Jemu podobni. Mój umysł nie mógł dosłownie uwierzyć w to, że Jezus przez swą śmierć i przelaną krew odkupił wszystkie grzechy tego świata. Możliwe, iż ta przenośnia zawierała w sobie część prawdy.

Następnie religia chrześcijańska głosiła, że jedynie człowiek jest obdarzony duszą, inne zaś stworzenia, dla których śmierć oznacza całkowite wygaśnięcie, miały być jej pozbawione. Ja osobiście wierzyłem w coś przeciwnego. Uznawałem Jezusa jako męczennika, jako wcielenie ofiary i obdarzonego boskością Nauczyciela, ale nie mogłem widzieć w Nim najdoskonalszego człowieka, jaki

kiedykolwiek został zrodzony na świecie. Jego śmierć na krzyżu posłużyła jako ogromnej wagi przykład dla ludzkości, nie było w niej jednak żadnych tajemniczych lub cudownych cech, które przemówiłyby do mojego serca.

Pełne pobożności żywoty chrześcijan nie dawały mi nic takiego, czego nie czerpałbym z pobożnych żywotów ludzi wyznających inną wiarę. Widziałem bowiem w nich tę samą potrzebę doskonalenia swego życia, jaką dostrzegałem wśród chrześcijan. *Z* filozoficznego stanowiska zasady chrześcijaństwa nie zawierały w sobie nic niezwykłego, natomiast jeśli chodzi o zdolność do ponoszenia ofiar, wydawało mi się, że hindusi stanowczo wyprzedzali chrześcijan. Nie mogłem więc uważać chrześcijaństwa za najdoskonalszą lub największą ze wszystkich religii.

Wdawałem się w tego rodzaju rozważania z moimi przyjaciółmi chrześcijanami, ilekroć nadarzała się sposobność, jednak ich odpowiedzi nigdy mnie nie zadowalały.

Muszę wszakże wyznać, że choć nie mogłem uznać nauki Chrystusa za najdoskonalszą lub za największą z istniejących religii, to jednocześnie wcale nie uważałem, by hinduizm miał te zalety. Widziałem wyraźnie jego słabe strony. Skoro hinduizm dopuszczał istnienie „niedotykalnych", oznaczało to, że jest w nim coś zgniłego.

Nie byłem również w stanie zrozumieć racji istnienia tylu sekt oraz kast. A cóż chciano powiedzieć, mówiąc o *Wedach*[70] jako o Słowie inspirowanym przez Boga? Jeżeli istotnie mądrość zawarta w *Wedach* była natchnieniem Boga, to czemu nie mogło być tak samo *z Biblią* lub z *Koranem*?

Gdy moi przyjaciele chrześcijanie wszelkimi sposobami usiłowali mnie nawrócić na swoją religię, to samo czynili przyjaźnie do mnie usposobieni wyznawcy islamu.

Szeth Abdulla postanowił namówić mnie do studiowania islamu i oczywiście zawsze miał w pogotowiu parę słów dla wychwalania piękna nauki Mahometa.

W swoim liście do Rajćandbhai powiadomiłem go o wszystkich trudnościach, jakie napotkałem. Utrzymywałem również korespondencję z innymi wybitnymi osobistościami w hinduskich sferach religijnych i dostawałem od nich odpowiedzi na moje listy. List od Rajćandbhai uspokoił mnie do pewnego stopnia. Nawoływał mnie do cierpliwości i podjęcia poważniejszych studiów nad hinduizmem.

---

70 *Wedy* – zbiór świętych pieśni i pism dotyczących religii i tradycji Indii.

Oto jedna z jego myśli wyrażonych na ten temat: *Zastanawiając się bezstronnie nad tym zagadnieniem, doszedłem do przekonania, że żadna inna religia nie zawiera tak subtelnych i głębokich myśli jak hinduizm, ponadto żadna nie ma równie szerokiego poglądu na istotę duszy ludzkiej i tyleż miłosierdzia co hinduizm*.

Nabyłem przekład *Koranu* dokonany przez Sale'a i zacząłem go studiować. Udało mi się również zdobyć inne książki na temat islamu. Komunikowałem się z moimi przyjaciółmi chrześcijanami mieszkającymi w Anglii. Jeden z nich przedstawił mnie listownie Edwardowi Maitlandowi, z którym nawiązałem korespondencję. Przysłał mi swoją książkę napisaną razem z Anną Kingsford, *The Perfect Way (Droga do doskonałości)*. Odrzucała ona chrześcijaństwo w jego obecnym stanie. Otrzymałem jeszcze inną książkę: *Nowa interpretacja Biblii*. Obie te książki bardzo mi się podobały. Przemawiały w pewnym stopniu na rzecz hinduizmu. Największe jednak wrażenie zrobiła na mnie książka Tołstoja *Królestwo Boga jest wewnątrz ciebie*. Byłem pod jej nieustannym urokiem. W porównaniu z niezależnością myśli, głębią moralną i prawością, jakie były zawarte w tej książce, wszystkie inne ofiarowane mi przez mister Coatesa wydały mi się blade i małowartościowe.

Studia, o których tu mówię, zaprowadziły mnie na drogę, której nie mogli przewidzieć moi chrześcijańscy przyjaciele. Moja korespondencja z Edwardem Maitlandem wciąż trwała, a wymiana listów z Rajćandbhai ciągnęła się aż do jego śmierci. Czytałem niektóre z książek, które mi przysłał. Były tam: *Mumuksu, Prakaran ze ścieżki jogi Waśisthy, Maniratnamald, Sadarshana, Samuccaya, Panchikaran, Haribhadry Suri i inne.*

Mimo iż obrałem drogę, która odbiegała od intencji moich przyjaciół chrześcijan, zachowałem jednak dla nich dozgonną wdzięczność za rozbudzenie we mnie zainteresowań religijnych. Na zawsze zachowam w pamięci wspomnienie o naszej znajomości.

Lata nadchodzące przyniosły mi jeszcze więcej równie drogich kontaktów jak te, o których pisałem wyżej.

XVI. CZŁOWIEK STRZELA – PAN BÓG KULE NOSI

Wobec tego, że powództwo zostało wygrane, dalszy mój pobyt w Pretorii stracił wszelki sens. Wróciłem więc do Durbanu i zacząłem się przygotowywać do powrotu do domu. *Szeth* Abdulla chciał w jakiś sposób uczcić mój wyjazd i wydał na moją cześć przyjęcie w Sydenham.

Zostałem zaproszony na cały dzień do tej miejscowości. Przerzucając niektóre pisma, przypadkowo znalazłem, gdzieś na końcu kolumny, notatkę pod tytułem „Prawo głosowania dla Indusów", w której była mowa o zgłoszonej do Izby Ustawodawczej ustawie pozbawiającej Indusów prawa wybierania przedstawicieli do parlamentu w Natalu. Nic nie wiedziałem o istnieniu takiego projektu, również inni obecni goście o tym nie wiedzieli.

Zwróciłem się w tej sprawie z zapytaniem do szetha Abdulli. Odpowiedział mi:

– Nie znamy się na tych sprawach. Jedyne, co rozumiemy, to nasz handel. Jak panu wiadomo, wszystkie nasze handlowe interesy zostały wyrugowane z Wolnego Państwa Orańskiego. Robiliśmy rozmaite starania w tej sprawie, ale okazały się daremne. Będąc analfabetami, jesteśmy w gruncie rzeczy bezsilni. Jeżeli bierzemy gazetę do ręki, to jedynie po to, aby się dowiedzieć, jaki jest kurs na giełdzie, lub o czymś podobnym. Czy możemy się znać na ustawodawstwie? Naszym okiem i uchem są miejscowi adwokaci, Europejczycy!

– Ależ – odpowiedziałem mu – macie bardzo wielu młodych, tu urodzonych i wykształconych Indusów. Czy nie mogą wam przyjść z pomocą?

– Oni? – zawołał zaskoczony *szeth* Abdulla. – Nie dbają o to, aby przyjść do nas i powiedzieć nam prawdę, a nam również nie zależy na utrzymywaniu z nimi stosunków. Są chrześcijanami, a białe duchowieństwo, które jest na usługach rządu, robi z nimi, co chce.

Otworzyło mi to oczy na całą sytuację. Czułem, że ci ludzie powinni być razem z nami. A więc na tym miało polegać nawrócenie ich na chrześcijaństwo? Czyżby stając się wyznawcami Chrystusa, przestawali być Indusami?

Byłem jednak w trakcie przygotowań do powrotu do domu i zastanawiałem się nad tym, czy mam dać wyraz myślom, które mi wtedy chodziły po głowie.

Powiedziałem po prostu szethowi Abdulli:

– Jeżeli ta ustawa zostanie uchwalona, czeka nas w tym kraju nad wyraz ciężka przyszłość. Jest to pierwszy gwóźdź do naszej trumny. Godzi to bezpośrednio w naszą godność narodową.

– Możliwe – odparł *szeth* Abdulla. – Powiem panu, jak powstała ta cała sprawa pozbawienia Indusów prawa głosu. Z początku nic o tym nie wiedzieliśmy, ale mister Escombe, jeden z naszych najlepszych adwokatów, którego pan poznał, wytłumaczył nam, o co chodzi.

Oto co się stało: mister Escombe jest bardzo bojowym działaczem politycznym. Pomiędzy nim a naczelnym inżynierem portowym zapanowały dość nieprzyjazne stosunki, więc adwokat obawiał się, że inżynier przeciągnie na swoją stronę głosy i odniesie nad nim zwycięstwo podczas wyborów. Mister Escombe powiadomił nas o wytworzonej sytuacji, a wtedy my wszyscy zarejestrowaliśmy się jako uprawnieni do udziału w głosowaniu i głosowaliśmy na niego. Teraz pan rozumie, że prawo głosowania nie ma dla nas tego znaczenia, jakie mu pan przypisuje. Rozumiemy jednak, o co panu chodzi. Jaka jest wobec tego pańska rada?

Inni goście z zainteresowaniem przysłuchiwali się tej rozmowie. Jeden z nich powiedział:

– Czy mam panu powiedzieć, jak należy postąpić? Pan powinien odłożyć swój wyjazd, pozostać tu jeszcze przez jeden miesiąc, a my rozpoczniemy akcję zgodnie *z* pańskimi wskazówkami.

Wszyscy pozostali zawołali chórem:

– Tak! Słusznie! Szecie Abdullo, musisz zatrzymać Gandhibhai!

Szeth był przebiegłym człowiekiem i odpowiedział tymi słowy:

– Nie mam prawa zatrzymać teraz Gandhiego. Wy możecie to zrobić skuteczniej ode mnie. Przyznaję wam całkowitą słuszność. Postarajmy się wszyscy razem przekonać Gandhiego, by pozostał z nami. Nie zapominajcie jednak, że jest on adwokatem. Kto mu zapłaci honorarium?

To napomknienie o pieniądzach sprawiło mi przykrość, wobec tego przerwałem mu, mówiąc:

– Szecie Abdullo! W tym przypadku nie ma mowy o żadnym honorarium. Nie pobiera się pieniędzy za pracę społeczną. Mogę tu zostać, ale tylko po to, aby wam służyć. Jak panu wiadomo, nie znam wszystkich pańskich przyjaciół tu obecnych, ale jeżeli pan wierzy, że zechcą współpracować ze mną, gotów jestem pozostać tu na okres jeszcze jednego miesiąca. Chodzi jednak o jedno. Za pracę, której się podejmuję, nie potrzebujecie mi nic płacić, ale nie możemy rozpocząć całej tej zamierzonej akcji bez pewnych potrzebnych na początku funduszów. Zajdzie potrzeba wysłania telegramu lub wydrukowania jakichś broszur, trzeba będzie czasami gdzieś wyjechać albo zasięgnąć porady miejscowych prawników,

a wobec tego, że nie znam lokalnego ustawodawstwa, trzeba będzie kupić jakąś prawniczą książkę – wszystko to wymaga pieniędzy. Ponadto jest rzeczą oczywistą, że jeden człowiek nie podoła wszystkiemu. Wielu innych będzie musiało przyjść mu z pomocą.

Chór głosów odpowiedział:

– Allach jest wielki i miłosierny! Pieniądze się znajdą, a ludzi jest tylu, ilu tylko będziesz potrzebował. Zgódź się zostać, a wszystko będzie jak należy!

Pożegnalne przyjęcie zamieniło się w posiedzenie organizacyjnego komitetu. Zaproponowałem szybkie zakończenie obiadu i udanie się do domów. W myślach opracowałem cały przebieg kampanii. Zapisałem sobie nazwiska figurujące na liście uprawnionych do udziału w głosowaniu i postanowiłem zostać tu jeszcze przez jeden miesiąc.

Tak oto z woli Boga położone zostały fundamenty dla mojej dalszej działalności w Afryce Południowej. Ziarno walki o godność narodową zostało posiane.

XVII. OSIEDLAM SIĘ W NATALU

Szeth Hadźi Muhammad Hadźi Dada uważany był w 1893 roku za najwybitniejszego przywódcę ludności indyjskiej zamieszkałej w Natalu. Pod względem finansowym *szeth* Abdulla Hadźi Adam odgrywał czołową rolę, jednak zarówno on, jak i inni Indusi w sprawach publicznych przyznawali pierwsze miejsce szethowi Hadźiemu Muhammadowi.

Pod jego przewodnictwem odbyło się też wyżej opisane zebranie w domu szetha Abdulli, na którym uchwalono podjęcie kampanii przeciw ustawie o pozbawieniu Indusów prawa głosu.

Zaczęli się zgłaszać ochotnicy. Na specjalnie zwołany wiec zaproszono wszystkich urodzonych w Natalu Indusów, przeważnie młodzież nawróconą na wiarę chrześcijańską. Na wiecu obecni byli: mister Paul, tłumacz sądowy z Durbanu, oraz mister Subhan Godfrey, dyrektor szkoły misyjnej – to oni postarali się o to, by na zebranie przybyła spora liczba młodzieży nawróconej na chrześcijaństwo. Wszyscy zapisali się do nas w charakterze ochotników.

Wielu spośród miejscowych kupców również zgłosiło nam swój udział. Oto nazwiska wybitniejszych z nich: *szeth* Dawud Muhammad, Muhammad Kasam Kamruddin, Adamdźi Mijakhan, A. Kolandawellu Pillai, C. Laćhiram, Rangasami Padiaći i Amod Dźiwa. Pars Rustomdźi był oczywiście również

między nimi. Spośród urzędników znaleźli się: Manekdźi, Dźoszi, Narsinahram oraz inni zatrudnieni w firmie Dada Abdulla and Co., a także z różnych większych przedsiębiorstw. Każdy z nich był mile zdziwiony, kiedy się znalazł obok innych biorących czynny udział w pracy społecznej. Zaproszenie do wzięcia w niej udziału było czymś zupełnie nowym w ich życiu. W obliczu klęski, jaka miała spaść na całą miejscową społeczność, w niepamięć poszły wszystkie różnice dzielące wysoko postawionych od maluczkich, prostaków od arystokratów, sługę od jego pana, a także to, co dzieliło hindusów, muzułmanów, parsów, chrześcijan, mieszkańców Gudźaratu, Madrasu, Sindu i tak dalej. Byliśmy wszyscy dziećmi jednej ojczyzny i jej służyliśmy.

Uchwała przeszła czy też miała być właśnie uchwalona w drugim czytaniu. W przemówieniach wygłoszonych przy tej okazji podkreślano z naciskiem, że brak jakiejkolwiek reakcji ze strony Indusów z powodu tej uchwały, tak rażąco ograniczającej ich prawa obywatelskie, jest najlepszym dowodem ich politycznej niedojrzałości i tego, że nie zasługują na posiadanie praw wyborczych.

Przedstawiłem na wiecu całą tę sytuację. Pierwsze, co zrobiliśmy, to wysłanie telegramu do przewodniczącego parlamentu, w którym prosiliśmy go o odroczenie dalszej debaty nad tą ustawą. Podobny telegram został wysłany do premiera, Sir Johna Robinsona, następnie do mister Escombe'a, jako przyjaciela Dady Abdulli. Przewodniczący niezwłocznie odpowiedział, że dyskusja nad wspomnianą uchwałą zostanie odroczona o dwa dni. Ta wiadomość niezmiernie uradowała nasze serca.

Trzeba było zredagować petycję, która miała być wręczona Izbie Ustawodawczej. Miały być sporządzone trzy kopie, a ponadto jedna dla prasy. Proponowaliśmy zebranie możliwie największej liczby podpisów pod petycją, a to wszystko miało być zrobione w ciągu jednej nocy. Ochotnicy władający angielskim oraz innymi językami pracowali przez całą noc. Pewien starszy już człowiek, mister Arthur, znany ze swego ładnego pisma, przygotował oryginał. Kopie zostały napisane pod dyktando przez innych. Otrzymaliśmy w ten sposób jednocześnie pięć kopii.

Kupcy, ochotnicy, udali się na zbieranie podpisów bądź własnymi powozami, bądź wynajętymi. Wszystko zostało bardzo szybko zakończone i petycję wysłano. Czasopisma ogłosiły ją z przychylnymi komentarzami, co niezawodnie również zrobiło dobre wrażenie w Izbie, gdzie rozgorzała ożywiona dyskusja. Zwolennicy ustawy stanęli w jej obronie – trzeba przyznać niezbyt przekonująco – przeciwstawiając się argumentom zawartym w petycji.

Mimo wszystko – ustawa została uchwalona.

Wszyscy wiedzieliśmy, że sprawa jest z góry przesądzona, jednak rozpętana dyskusja wniosła nowe życie do społeczności indyjskiej, przekonała ją, że panujące w niej nastroje są jednomyślne i niezłomne i że powinna tak samo walczyć o swe prawa polityczne, jak walczy o prawo prowadzenia handlu.

Ministrem do spraw kolonii był w owym czasie lord Ripon. Postanowiliśmy zwrócić się do niego z ogromną petycją. Było to skomplikowane zadanie i nie mogło być wykonane w ciągu jednego dnia. Znów zgłosili się ochotnicy do zrealizowania tego przedsięwzięcia i wszyscy wzięli w nim udział.

Podjąłem się dość trudnego zadania zredagowania tekstu owej petycji. Przestudiowałem całą dostępną mi literaturę w tej sprawie. Moje argumenty dotyczyły samej zasady i jej stosowania. Udowadniałem, że powinniśmy mieć to prawo w Natalu, podobnie jak mamy je w Indiach. Twierdziłem, że zachowanie tego prawa jest jak najbardziej wskazane, zwłaszcza że ludność hinduska mogąca z niego korzystać jest bardzo nieliczna.

W ciągu dwóch tygodni zebraliśmy dziesięć tysięcy podpisów. Uzyskanie tak dużej liczby podpisów nie było łatwe, zważywszy że większość osób biorących udział w tej akcji była z nią całkowicie nieobeznana. Należało dobierać do niej ludzi szczególnie odpowiednich, zwłaszcza że chodziło nie tylko o podpis, ale też o dokładne zrozumienie treści całej petycji. Trzeba było dotrzeć do najodleglejszych wiosek. Akcja mogła być przeprowadzona szybko jedynie pod warunkiem, że biorący w niej udział wezmą ją sobie gorąco do serca. Tak się też stało. Każdy z zapałem wykonywał powierzoną mu pracę.

Kiedy piszę te słowa, stają w mojej pamięci jak żywe postacie szetha Dawuda Muhammada, Rustomdźiego, Adamdźiego Mijakhana. Oni właśnie zdobyli największą liczbę podpisów. *Szeth* Dawud przez cały dzień jeździł swym powozem; trzeba przy tym dodać, że była to praca całkowicie bezinteresowna, gdyż żaden z biorących w niej udział nie zażądał nawet zwrotu poniesionych kosztów. Dom Dady Abdulli służył jednocześnie jako zajazd i miejsce urzędowania. Znaczna część moich przyjaciół posiadających wykształcenie i pomagających mi w pracy, a także wielu innych przyniosło ze sobą pożywienie. Każdy ze śpieszących z pomocą musiał ponieść dość znaczne wydatki.

Wreszcie petycja została wręczona. W celu puszczenia jej w obieg i szerokiego rozpowszechnienia wydrukowano tysiąc odbitek. Treść petycji po raz pierwszy zaznajamiała Indusów z sytuacją panującą w Natalu. Wysłałem odbitki do czasopism i osobiście mi znanych publicystów.

Gazeta „The Times of India" we wstępnym artykule, poświęconym sprawie petycji, zdecydowanie stanęła po stronie postulatów wysuniętych przez Indusów. Wysłano odbitki petycji także do czasopism i dziennikarzy w Anglii, reprezentujących różne partie. Londyński „Times" również podtrzymał nasze żądania i zaczęliśmy wierzyć, że uchwała zostanie obalona.

Nie mogłem w takiej sytuacji opuścić Natalu. Moi indyjscy przyjaciele otoczyli mnie zwartym kołem i namawiali, bym tu pozostał na stałe. Powiedziałem im, jakie to nastręcza trudności. Postanowiłem nie korzystać z funduszów publicznych, rozumiałem również, że muszę prowadzić samodzielne gospodarstwo domowe. Byłem zdania, że powinienem wybrać ładny dom w dobrej dzielnicy. Wydawało mi się też, że nie mógłbym przysporzyć szacunku swojej społeczności, gdybym nie żył na stopie właściwej adwokatom. Musiałbym mieć na to co najmniej trzysta funtów rocznie.

Doszedłem wreszcie do wniosku, że mógłbym tu pozostać jedynie w tym przypadku, gdyby członkowie miejscowej gminy indyjskiej zagwarantowali mi takie właśnie minimum zarobków z praktyki prawniczej, i zakomunikowałem im mój pogląd.

– Jesteśmy gotowi płacić taką sumę za pracę społeczną wykonywaną przez was i bez trudu możemy ją zebrać. Niezależnie od tego możecie pobierać honoraria za prywatną praktykę adwokacką.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie mogę otrzymywać zapłaty za moją działalność społeczną. Ta praca wcale nie wymaga prawniczych wiadomości, przeciwnie – będzie polegała na tym, że to ja was wszystkich będę zmuszał do pracy. Czy mógłbym brać od was za to pieniądze? Ponadto niejednokrotnie będę musiał się zwracać do was o dostarczenie mi funduszów na naszą akcję. Gdybym więc był utrzymywany przez was, a oprócz tego zwracał się do was po spore kwoty na bieżące wydatki, po niedługim czasie znaleźlibyśmy się wszyscy w nieprzyjemnej sytuacji. Muszę bowiem was uprzedzić, że będę się domagał od społeczności asygnowania więcej aniżeli trzystu funtów rocznie na cele związane z naszą działalnością.

– Ależ poznaliśmy was, Gandhi, dostatecznie dobrze i wiemy, że nie zażądacie od nas niczego, co by nie było niezbędne. Skoro pragniemy, abyście tu z nami zostali, czemu nie mielibyśmy znaleźć na ten cel odpowiednich funduszy?

– Te słowa są podyktowane przez waszą przyjaźń i obecny zapał. Skąd możemy mieć pewność, że będą one trwały wiecznie? Jako wasz przyjaciel i sługa

niejednokrotnie będę miał wam do powiedzenia surowe słowa. Kto wie, czy wówczas uda mi się zachować wasze przyjazne uczucia? Jest moją niezłomną zasadą, że za działalność społeczną nie wolno mi pobierać żadnego wynagrodzenia, prócz tego jest dla mnie wystarczającym zaszczytem, że obdarzacie mnie zaufaniem, przekazując mi tego rodzaju funkcje. Nie jestem „białym" adwokatem. Nie mam pewności, czy trybunał zechce mnie wysłuchać, nie wiem również, czy zdołam stanąć na wysokości zadania jako adwokat. Z tego wszystkiego wynika więc, że płacąc mi honoraria, narażacie się na pewne ryzyko. Wasz zamiar opłacania mnie traktuję jako nagrodę za moją pracę społeczną.

Rezultat tej dyskusji był taki, że około dwudziestu miejscowych kupców opłaciło za rok z góry honoraria za porady prawnicze, jakich im w przyszłości udzielę. Prócz tego Dada Abdulla kupił dla mnie niezbędne umeblowanie za dodatkowe honorarium, które miał zamiar wręczyć mi przy moim wyjeździe. A więc osiedliłem się w Natalu.

XVIII. „NIE DLA KOLOROWYCH"

Symbolem wymiaru sprawiedliwości jest waga trzymana w ręce przez rzekomo bezstronną, ślepą, lecz arcymądrą niewiastę. Los miał jakoby umyślnie uczynić ją niewidomą, by nie mogła wydawać sądu na podstawie zewnętrznego wyglądu oskarżonego, lecz według jego wartości duchowych.

Natomiast Stowarzyszenie Prawników w Natalu uparło się, by przekonać Sąd Najwyższy, iż należy postępować wbrew tej zasadzie i zadać kłam symbolowi, o którym mowa.

Złożyłem do Sądu Najwyższego podanie o dopuszczenie mnie do występowania w charakterze obrońcy. Miałem już zezwolenie wydane mi w tej samej sprawie przez Sąd Okręgowy w Bombaju. Mój dyplom otrzymany w Anglii musiałem złożyć w Bombaju po wpisaniu mnie na listę adwokatów. Obecnie wymagano załączenia dwóch świadectw moralności, a ja sądząc, iż będą one miały większe znaczenie, jeżeli zostaną wydane przez Europejczyków, postarałem się otrzymać je od dwóch bardzo znanych europejskich kupców, którym zostałem przedstawiony przez szetha Abdullę. Podanie o tak zwaną aplikanturę miało być wniesione za pośrednictwem któregoś z miejscowych adwokatów, a zgodnie z tutejszym zwyczajem składał je prokurator generalny, nie pobierając za to żadnej opłaty.

Mister Escombe, który, jak wspomnieliśmy wyżej, pełnił funkcję radcy prawnego firmy Dada Abdulla and Co., był też prokuratorem generalnym. Spotkałem się z nim. Chętnie się zgodził przedstawić sądowi moje podanie.

Stowarzyszenie Prawników wyraziło z tego powodu wielkie zdumienie i odpowiedziało odmownie na moją prośbę o „aplikanturę". Jednym z powodów odmowy było to, że do mego podania nie został załączony oryginał angielskiego dyplomu. Wszakże główną przyczyną, zgodnie z ustalonymi tu przepisami dotyczącymi dopuszczenia adwokatów do ławy obrońców, było coś innego: mianowicie to, że możliwość dopuszczenia „kolorowego" w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Natal zawdzięczał swój rozwój gospodarczy przedsiębiorstwom znajdującym się w rękach Europejczyków, a z tego wynikała konieczność utrzymywania przewagi Europejczyków w miejscowej palestrze. Gdyby raz dopuszczono „kolorowego" adwokata, mogliby oni z biegiem czasu zdobyć przewagę nad Europejczykami, a wtedy mur broniący ich przywilejów runąłby.

Stowarzyszenie Prawników poleciło bardzo znanemu prawnikowi umotywować odmowę przyjęcia mnie w poczet miejscowych obrońców sądowych. Ponieważ prawnik ten był związany z firmą Dada Abdulla and Co., posłał mi przez szetha Abdullę wiadomość, bym się z nim zobaczył. Rozmawiał ze mną nad wyraz szczerze, wypytywał o moją rodzinę i wreszcie – oto co mi powiedział:

– Nie mam absolutnie nic przeciwko panu. Obawiałem się jedynie, czy nie jest pan jednym z owych poszukiwaczy przygód, od jakich roi się tu w koloniach. To, że do pańskiego podania nie był dołączony oryginał dyplomu, umocniło mnie w moich podejrzeniach. Mieliśmy już do czynienia z ludźmi, którzy posługiwali się nienależącymi do nich dyplomami. Załączone przez pana poświadczenia kupców Europejczyków są dla mnie bezwartościowe. Cóż oni mogą wiedzieć o panu? Jak daleko sięgają posiadane przez nich informacje o panu?

– Ależ dla każdego – odpowiedziałem – jestem tu obcy. Nawet *szeth* Abdulla dopiero tu mnie poznał.

– Powiedział pan, że on pochodzi z tej samej miejscowości co pan. Skoro, jak pan powiada, pański ojciec był premierem w tamtym księstwie, *szeth* Abdulla powinien chyba znać pańską rodzinę. Jeżeli pan przedstawi zaświadczenie napisane i złożone przez niego pod przysięgą, nie będę stawiał żadnych przeszkód w przyjęciu pana. Z prawdziwą przyjemnością oświadczę wtedy Trybunałowi, że nie widzę żadnych podstaw do odrzucenia pańskiego podania.

Cała ta rozmowa doprowadzała mnie do wściekłości, ale musiałem zapanować nad sobą. „Gdybym załączył oświadczenie Dady Abdulli – rozmyślałem w duchu – odrzucono by moje podanie, żądając przedłożenia zaświadczeń Europejczyków. A poza tym, co wspólnego ma dopuszczenie mnie do ławy obrońców z moim pochodzeniem i moimi przodkami? Czy nawet najskromniejsze i najuboższe pochodzenie może przemawiać na moją niekorzyść?"

Pohamowałem się jednak i odpowiedziałem:

– Aczkolwiek nie uznaję, by Trybunał miał prawo żądać przedstawienia mu wszystkich szczegółów, o których pan wspomniał, gotów jestem jednak przedłożyć żądane oświadczenie.

Szeth Abdulla niezwłocznie wypisał mi oświadczenie, o jakie chodziło, i zostało ono przesłane prawnikowi Stowarzyszenia Prawników, który uznał je za wystarczające. Ale Stowarzyszenie nie podzieliło jego zdania i przeciwstawiło się mojej kandydaturze przed Sądem Najwyższym, który uchylił ten sprzeciw, nie zapytawszy nawet o wyjaśnienie mister Escombe'a.

Oto co mi powiedział prezes Sądu Najwyższego:

– Zastrzeżenia, iż ubiegający się o dopuszczenie go do ławy obrońców nie złożył oryginału swego dyplomu, są nieistotne. Gdyby mu udowodniono, że złożył fałszywe oświadczenie, wtedy odpowiadałby za to sądownie, a jego nazwisko zostałoby skreślone z listy adwokatów. Prawo nie czyni żadnej różnicy pomiędzy «białymi» a «kolorowymi». Sąd nie jest przeto mocen sprzeciwić się temu, by mister Gandhi został wpisany na listę miejscowych adwokatów. Zgadzamy się na przyjęcie pana. Zechce pan złożyć przysięgę adwokacką.

Wstałem i wobec urzędnika sprawującego tę funkcję złożyłem przysięgę.

Po złożeniu przeze mnie przysięgi prezes Sądu Najwyższego zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Mister Gandhi, zechce pan zdjąć z głowy swój turban. Musi się pan stosować do przepisów obowiązujących w naszym sądzie i przywdziać strój przyjęty u nas dla obrońców sądowych.

Zrozumiałem, że nie wolno mi się oprzeć temu żądaniu. Turban, przy którego noszeniu upierałem się wobec Sądu Okręgowego, należało zdjąć na żądanie Sądu Najwyższego. Należało zresztą tak postąpić nie tylko dlatego, że wszelki sprzeciw z mojej strony byłby nieuzasadniony. Pragnąłem zachować siły do stoczenia poważniejszych bitew. Czy miało sens zużywać swe siły i zdolności na walkę o turban? Trzeba je było zachować dla poważniejszych spraw.

Szeth Abdulla, a także inni przyjaciele nie byli zadowoleni z mojej ustępliwości (a może był to dowód słabości z mojej strony?). Byli zdania, że należało bronić prawa noszenia turbanu podczas pełnienia swych czynności w sądzie. Usiłowałem ich przekonać, powołując się na przysłowie: „Gdy jesteś w Rzymie – czyń jak Rzymianie!". Dalej mówiłem: „Gdyby w Indiach angielski urzędnik lub sędzia kazał mi zdjąć turban, miałbym całkowitą słuszność, odmawiając wykonania jego rozkazu, ale jako przyjętemu dopiero co do ławy obrońców nie przystoi mi nie stosować się do obyczaju przyjętego w sądach Natalu".

Starałem się złagodzić zastrzeżenia moich przyjaciół takimi i podobnymi argumentami, nie sądzę jednak, bym zdołał osiągnąć ten cel, na wszystko bowiem można patrzeć z różnej strony, zależnie od okoliczności.

Jednak poszukiwanie prawdy w ciągu całego mego życia nauczyło mnie cenić wysoką wartość kompromisu. W późniejszym okresie mego życia zrozumiałem, że duch pojednawczy, duch kompromisu jest podstawową częścią satjagrahy. Niejednokrotnie narażał mnie na niebezpieczeństwa i ściągał na mnie niechęć przyjaciół, ale prawda jest twarda jak diament i delikatna jak kwitnący kwiat.

Sprzeciw, z jakim się spotkałem ze strony Stowarzyszenia Prawników, zrobił mi jeszcze raz reklamę w Afryce Południowej. Większość lokalnych gazet potępiła stanowisko moich oponentów i oskarżyła Stowarzyszenie Prawników o zazdrość.

Ta reklama ułatwiła mi do pewnego stopnia przyszłą pracę.

XIX. KONGRES INDYJSKI W NATALU

Praktyka adwokacka była dla mnie sprawą drugorzędną i taką pozostała przez całe życie. Aby usprawiedliwić swój pobyt w Natalu, musiałem wszystkie siły poświęcić pracy społecznej. Sam fakt rozpowszechnienia petycji omawiającej sprawę pozbawienia Indusów praw wyborczych nie był wystarczający, by mogła ona zrobić wrażenie na ministrze kolonii. Potrzebna była jeszcze uporczywa agitacja. Sądziłem, że w tym celu należy powołać do życia stałą organizację. Po naradzeniu się z szethem Abdullą oraz innymi przyjaciółmi postanowiliśmy utworzyć stałą organizację polityczną.

Miałem dużo kłopotu z wynalezieniem nazwy dla niej. Powinna była się różnić od istniejących już poszczególnych partii. Nazwa „Kongres" miała przykry

posmak ze względu na to, że posługiwała się nią angielska partia konserwatywna, a przecież w tym przypadku wyraz „kongres" istotnie odpowiadał naszym intencjom i pragnąłem uczynić tę nazwę popularną w Natalu. Wahania, gdy chodziło o użycie tej nazwy, uważałem za dowód tchórzostwa z mojej strony. Starając się więc najdokładniej wyjaśnić, na czym polegają moje zastrzeżenia, uznałem, że nowo powstająca organizacja powinna nosić nazwę: „Kongres Indyjski w Natalu" (Natal Indian Congress). Dwudziestego drugiego maja powstała organizacja nosząca taką właśnie nazwę.

Obszerne apartamenty Dady Abdulli były tego dnia wypełnione po brzegi. Nazwa „Kongres" została entuzjastycznie zaaprobowana przez wszystkich obecnych. Statut był mało skomplikowany, a liczba zgłoszeń ogromna. Rzeczywistym członkiem organizacji mógł zostać jedynie ten, kto zgłaszał pięć szylingów jako składkę miesięczną. Ludziom zamożnym oświadczono, że mogą zgłaszać wysokość składek według uznania. *Szeth* Abdulla rozpoczął listę, deklarując dwa funty szterlingi miesięcznie. Dwaj inni moi przyjaciele wpisali taką samą sumę. Byłem zdania, że również ja sam nie powinienem skąpić dla mojej organizacji, i wpisałem jeden funt jako składkę miesięczną. Nie była to dla mnie drobna sumka, sądziłem jednak, że nie mogę dać mniej. Bóg przyszedł mi z pomocą. Zebraliśmy sporą liczbę przyszłych członków, którzy zadeklarowali jeden funt jako miesięczną składkę. Liczba tych, którzy zobowiązali się płacić po dziesięć szylingów, była jeszcze większa. Niezależnie od tego zgłoszono sporo dotacji, które zostały przyjęte z wdzięcznością.

Doświadczenie wykazało, że w przyszłości trzeba było przynaglać do płacenia składek. Odwoływanie się do członków zamieszkałych poza Durbanem było utrudnione, a zapał, z jakim się miało do czynienia w pierwszej chwili, wkrótce ostygł. Nawet miejscowych członków trzeba było często upominać, by płacili zadeklarowane składki.

Obowiązek ściągania składek członkowskich spoczywał na mnie, gdyż to ja pełniłem funkcję sekretarza organizacji. Wkrótce wytworzyła się sytuacja tego rodzaju, że zatrudniony w sekretariacie urzędnik był cały dzień zajęty wyłącznie zbieraniem składek. To zajęcie ogromnie go wyczerpywało i po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że jeżeli chcemy, by sytuacja się poprawiła, trzeba będzie przejść na system rocznych składek, zamiast miesięcznych, przy czym obowiązkowo ściąganych z góry. Zwołałem zebranie naszego Kongresu. Wszyscy się zgodzili z propozycją pobierania rocznych składek i ustalenia ich wysokości co najmniej na trzy funty szterlingi. W ten sposób zbieranie składek członkowskich zostało znacznie ułatwione.

Od pierwszej chwili trzymałem się zasady nieoperowania pożyczonymi pieniędzmi, gdy chodziło o sprawy natury społecznej. Można polegać na obietnicach ludzi w wielu sprawach, ale nie wtedy, gdy w grę wchodzą pieniądze. Bardzo rzadko spotykałem ludzi skorych do uiszczenia zadeklarowanych sum, a Indusi mieszkający w Natalu nie stanowili pod tym względem wyjątku. Licząc się z tym, nigdy nie podejmowałem żadnej akcji, zanim nie miałem funduszów na jej zrealizowanie, a Kongres nigdy dzięki temu nie miał długów.

Moi współpracownicy składali dowody niezwykłego zapału, gdy chodziło o zjednywanie nowych członków. Ten rodzaj pracy pociągał ich najbardziej, a jednocześnie wzbogacał ich doświadczenie. Liczne rzesze naszych rodaków z ochotą śpieszyły, wpłacając od razu roczne składki. Praca w odległych wioskach położonych w głębi kraju napotykała pewne trudności. Ci ludzie nie rozumieli, na czym polega działalność społeczna, jednak raz po raz zapraszano nas do odwiedzania dość daleko znajdujących się miejscowości, a tamtejsi co poważniejsi kupcy ofiarowywali nam gościnę.

W jednym tylko przypadku podczas takiego objazdu wytworzyła się dość trudna sytuacja. Spodziewaliśmy się, że podejmujący nas gospodarz zadeklaruje sześć funtów rocznej składki, natomiast on nie chciał dać więcej niż trzy funty. Gdybyśmy przyjęli od niego taką sumę, inni poszliby za jego przykładem i rezultat całej akcji byłby chybiony. Była już późna godzina w nocy, byliśmy też wszyscy głodni. Ale czy można było zasiąść do wieczerzy, nie osiągnąwszy przedtem zamierzonego celu? Wszystkie nasze perswazje nie odnosiły skutku. Gospodarz był niewzruszony. Inni kupcy miejscowi stali na tym samym co on stanowisku. Siedzieliśmy więc całą noc, deliberując na ten temat, i żadna ze stron nie chciała ustąpić. Większość moich współpracowników wrzała z oburzenia, musieli jednak zapanować nad swoimi nerwami. Nareszcie, kiedy już zaczęło świtać, gospodarz skapitulował, wpłacił sześć funtów i zaczął nas gościnnie podejmować.

To wydarzenie miało miejsce w Tongaat, ale wiadomość o nim rozeszła się aż po Stanger na północnym wybrzeżu i Charlestown, leżący w głębi kraju. Przyczyniło się to niezawodnie do przyśpieszenia prowadzonej przez nas zbiórki.

Gromadzenie funduszów nie było jednak jedyną funkcją, którą mieliśmy do spełnienia. Od dawna trzymałem się zasady nieprzechowywania u siebie większej ilości pieniędzy od tej, która mi była w danej chwili potrzebna.

Zebrania odbywały się raz na miesiąc lub, w razie potrzeby, raz na tydzień. Na początku odczytywano protokół poprzedniego zebrania, a następnie

poddawano dyskusji szereg rozmaitych spraw. Uczestnicy tych zebrań przeważnie nie mieli żadnego doświadczenia, gdy chodzi o branie udziału w publicznej dyskusji lub zwięzłe przemawianie na ściśle określone tematy. Ludzie ociągali się z zabieraniem głosu. Wytłumaczyłem im, na czym polega ogólnie przyjęta procedura zebrań publicznych, i każdy starał się jej przestrzegać. Ponadto każdy z uczestników zdawał sobie sprawę, że takie zebrania mają dla niego znaczenie wychowawcze, i wielu spośród nich, kompletnie pozbawionych jakiejkolwiek wprawy w zabieraniu głosu publicznie, nauczyło się przemawiać i roztrząsać najróżniejsze sprawy o charakterze społecznym i politycznym.

Wiedząc, że w pracy społecznej nawet niewielkie wydatki wymagają skrupulatnego prowadzenia księgowości, postanowiłem z początku nie wydawać drukowanych pokwitowań. Miałem w biurze powielacz, na którym sporządzałem potrzebne mi kopie kwitów i raportów księgowych. Zacząłem się posługiwać drukiem dopiero wtedy, kiedy w kasie Kongresu było pełno pieniędzy, a liczba jego członków i zakres pracy znacznie się powiększyły. Stosowanie tego rodzaju oszczędności uważam za bardzo ważne dla każdej organizacji, wiem jednak, że nie zawsze się tak czyni. To jest właśnie przyczyną, dla której wdaję się na tym miejscu we wszystkie szczegóły towarzyszące powstawaniu zrazu niedużej, lecz stale rosnącej organizacji.

Naszym członkom nigdy nie zależało na otrzymywaniu pokwitowań za wpłacane składki, natomiast my zawsze obstawaliśmy przy ich wydawaniu. Zapisywano każdy wpłacony piastr i pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że księgi handlowe Kongresu Indyjskiego w Natalu za rok 1894 przechowały się w całości aż do dzisiaj. Skrupulatnie prowadzona księgowość jest nieodzownym warunkiem sprawnego funkcjonowania każdej organizacji; bez niej bowiem można się z łatwością narazić na złą opinię, natomiast prawidłowo prowadzone księgi handlowe zapewniają przestrzeganie nieposzlakowanej uczciwości w tej dziedzinie.

Inną stroną działalności Kongresu była służba na rzecz wykształconych Indusów urodzonych w kolonii. Pod auspicjami Kongresu powstało Stowarzyszenie Kulturalne Indusów Urodzonych w Kolonii, a jego członkami była wykształcona młodzież indyjska. Płacili oni jakąś symboliczną składkę członkowską. Stowarzyszenie służyło jako forum dla omówienia potrzeb i problemów młodzieży, sprzyjało jej duchowemu rozwojowi, ułatwiało nawiązywanie stosunków z miejscowymi kupcami Indusami i przygotowywało młodzież do przyszłej pracy na rzecz społeczności. Jednocześnie Stowarzyszenie odgrywało

rolę klubu dyskusyjnego, którego członkowie zbierali się systematycznie, dyskutowali, wygłaszali referaty i tak dalej. Przy Stowarzyszeniu powstała również niewielka biblioteka.

Trzecim rodzajem działalności uprawianej przez Kongres była propaganda. Polegała ona głównie na informowaniu Anglików zamieszkałych w Afryce Południowej i w Anglii oraz ludności w Indiach o istotnym stanie rzeczy w Natalu. W tym celu napisałem dwie broszury. Pierwsza nosiła tytuł *Apel do każdego Brytyjczyka zamieszkałego w Afryce Południowej* i zawierała popartą faktami relację o warunkach, w jakich żyją Indusi w Natalu. Druga – *Apel w sprawie pozbawienia Indusów prawa wyborczego*, była zwięźle opisaną historią pozbawienia Indusów tego prawa, z przytoczeniem wielu faktów i liczb.

Poświęciłem dość dużo czasu na napisanie ich oraz zebranie niezbędnego materiału, ale poniesiony trud się opłacił, gdyż obydwie broszury cieszyły się dużym zainteresowaniem.

W wyniku wszystkich tu opisanych czynności udało mi się znaleźć dla Indusów licznych przyjaciół w Afryce Południowej i zdobyć szczere uznanie we wszystkich ugrupowaniach politycznych na terenie samych Indii. Jednocześnie przed Indusami zamieszkałymi w Afryce Południowej otwierał się wyraźnie określony kierunek przyszłej walki.

XX. BALASUNDARAM

Gorące i prawe pragnienia serca zawsze się spełniają. Niejednokrotnie byłem świadkiem, jak się ta zasada sprawdzała. Najgorętszym pragnieniem mego serca było służyć ludziom biednym – i oto los zawsze rzucał mnie pomiędzy nich, a ja sam upodobniłem się do nich.

Pomimo iż do członków naszego Kongresu należeli i urodzeni w koloniach Indusi, i wszelkiego rodzaju drobni urzędnicy, poza ramami organizacji wciąż jeszcze pozostawali niewykwalifikowani wyrobnicy i robotnicy kontraktowi. Kongres nie był jeszcze ich organizacją. Nie stać ich było na płacenie składek, na figurowanie na liście członków.

Kongres mógł ich sobie zjednać, tylko służąc im. Odpowiednia sposobność nadarzyła się akurat w takiej chwili, kiedy ani Kongres, ani ja nie byliśmy na to przygotowani. Ja zaledwie od trzech czy czterech miesięcy wdrażałem się w swoje czynności, Kongres – jako organizacja – stawiał dopiero pierwsze

kroki, kiedy pewnego dnia, dygocąc i płacząc, stanął przede mną Indus rodem z Tamilu, w podartym odzieniu, z turbanem w ręku, z dwoma wybitymi przednimi zębami, cały zbroczony krwią. To pracodawca pobił go tak niemiłosiernie. Jeden z moich urzędników, który również pochodził z Tamilu, wytłumaczył mi to wszystko.

Balasundaram – tak się bowiem nazywał ten człowiek – był kontraktowym robotnikiem u pewnego powszechnie znanego Europejczyka, rezydującego w Durbanie. Ów pracodawca rozgniewał się, stracił panowanie nad sobą, dotkliwie pobił Balasundarama, wybijając mu przy tym dwa zęby.

Posłałem nieszczęsnego i zbitego do lekarza. W owym czasie w Durbanie byli jedynie biali lekarze. Chciałem mieć zaświadczenie lekarskie orzekające o charakterze obrażeń, jakim uległ Balasundaram. Po otrzymaniu pisemnego orzeczenia udałem się wraz z poszkodowanym do miejscowego urzędu administracyjnego i wręczyłem jednemu z urzędników świadectwo lekarskie. Urzędnik przeczytał je i dając wyraz swemu oburzeniu, oświadczył, że pociągnie owego pracodawcę do odpowiedzialności.

Bynajmniej nie zależało mi na ukaraniu go, chciałem jedynie uzyskać unieważnienie kontraktu. Znałem przepisy dotyczące pracy kontraktowej. Gdy zwykły pracownik porzucał miejsce pracy bez podania przyczyny, pracodawcy przysługiwało prawo pociągnięcia go do odpowiedzialności przed sądem cywilnym. Sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, gdy chodziło o kontraktowego robotnika. Podlegał on sądowi do spraw kryminalnych i mógł być skazany na karę więzienia.

Oto dlaczego Sir William Hunter nazwał system pracy kontraktowej systemem przypominającym niewolnictwo. Kontraktowy robotnik był niczym niewolnik własnością swego chlebodawcy. Istniały dwie możliwości zwolnienia Balasundarama: unieważnienie kontraktu lub przydzielenie mu innego miejsca pracy przez protektora kontraktowych robotników, albo też zmuszenie pracodawcy, by sam zwolnił Balasundarama.

Porozumiałem się osobiście z owym „białym" i oświadczyłem mu: „Nie mam zamiaru pociągnąć pana do odpowiedzialności sądowej i uzyskać wyrok skazujący. Pan sobie zapewne zdaje sprawę, że pan ciężko pobił tego człowieka. Zadowolę się, gdy przekaże pan kontrakt innej osobie".

Moja propozycja została przyjęta. Zwróciłem się więc do protektora kontraktowych robotników, który również się zgodził, pod warunkiem że ja sam znajdę nowego pracodawcę dla Balasundarama.

Udałem się więc na poszukiwania; musiał to być Europejczyk, wobec tego, że Indusom nie wolno było korzystać z pracy kontraktowych. Znałem wtedy zaledwie kilku Europejczyków. Odwiedziłem jednego z nich. Chętnie przystał na przyjęcie do pracy mego protegowanego, za co wyraziłem mu swą wdzięczność. Urzędnik, w którego rękach znalazła się ta sprawa, przekonał pracodawcę Balasundarama i kontrakt został przekazany komuś innemu.

Cała ta historia z Balasundaramem stała się wiadoma niemal każdemu kontraktowemu robotnikowi. Zaczęli mnie uważać za swego przyjaciela, co mi sprawiło wielką radość. Przez moje biuro przewinął się niekończący się sznur kontraktowych, a ja dzięki temu miałem możność jak najbardziej z bliska poznać troski i radości ich życia.

Echa sprawy Balasundarama doszły nawet do Madrasu[71]. Robotnicy przybyli jako kontraktowi do Natalu z różnych okolic tej prowincji dowiadywali się o tym wydarzeniu od swoich ziomków. Samo wydarzenie nie było czymś niezwykłym, natomiast fakt, że w Natalu znalazł się ktoś, kto stanął publicznie w ich obronie, niezmiernie ich uradował, napełniając serca tych srodze upośledzonych ludzi nadzieją na poprawę losu.

Powiedziałem, że Balasundaram wszedł do mego biura, trzymając w ręce turban. W jego postawie było coś szczególnie wzruszającego, a jednocześnie świadczącego o pokorze. Opisałem na poprzednich stronicach tej książki, jak zażądano ode mnie, bym zdjął z głowy turban. Stało się tu powszechnie przyjętym zwyczajem, że każdy kontraktowy, a nawet każdy świeżo przybyły do tego kraju Indus musiał zdejmować swój turban lub każde inne przybranie głowy, ilekroć przekraczał próg domu zamieszkiwanego przez Europejczyka. Powitalny gest składany obiema rękami nie wystarczał. Balasundaram sądził, że powinien się podobnie zachować także wobec mnie. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek w moim życiu.

Czułem się upokorzony i zwróciłem się do niego z prośbą, by owinął głowę. Zrobił to, ale dopiero po pewnym wahaniu. Nie mogłem nie zauważyć zadowolenia, jakie odmalowało się na jego twarzy.

Nigdy nie potrafiłem znaleźć wytłumaczenia na to, jak człowiek może zaspokoić swą ambicję, poniżając bliźniego.

71 Madras – obecnie Chennai.

XXI. TRZYFUNTOWY PODATEK

Zdarzenie z Balasundaramem przyczyniło się do tego, że nawiązałem bliższe stosunki z Indusami na kontraktach, co zmusiło mnie do poważniejszego przestudiowania warunków, w jakich oni żyli, i podjęcia kampanii przeciwko ustawie nakładającej na nich szczególnie wygórowany podatek.

W tym samym 1894 roku rząd Natalu zamierzał obłożyć kontraktowych robotników hinduskich podatkiem wynoszącym dwadzieścia pięć funtów szterlingów rocznie. Wprawiło mnie to w zdumienie. Przedstawiłem tę sprawę naszemu Kongresowi, który postanowił niezwłocznie rozpocząć akcję protestacyjną.

Muszę jednak przedtem w krótkich słowach wyjaśnić, skąd się wziął ten podatek.

Około 1860 roku osiadli w Natalu Europejczycy doszli do przekonania, że plantacje trzciny cukrowej można by poprowadzić na znacznie szerszą skalę, gdyby nie brak siły roboczej. Bez sprowadzenia z innych krajów rąk do pracy rozwój plantacji i produkcji cukru był nie do pomyślenia, zwłaszcza że tubylcy – Zulusi – nie nadawali się do tego rodzaju pracy. Rząd Natalu nawiązał pertraktacje z rządem w Indiach i zapewnił sobie prawo werbunku Indusów do wspomnianych robót.

Zwerbowani Indusi musieli podpisać kontrakty na pięcioletni okres pracy w Natalu, a po jego upływie pozostawiano im możność osiedlania się na stałe, przy czym przysługiwać im miały wszystkie prawa płynące z posiadania ziemi na własność.

Przyznano im te przywileje raczej ze względu na „białych", którzy dążyli do rozwoju uprawy rolnej. Chodziło po prostu o zatrzymanie Indusów na miejscu po wygaśnięciu ich kontraktów.

Ale praca Indusów przyniosła więcej, aniżeli się po niej spodziewano. Dzięki nim rozwinęło się w dużym zakresie warzywnictwo, wprowadzono do uprawy szereg nieznanych dotychczas indyjskich jarzyn, a uprawa miejscowych stała się znacznie tańsza. Importowali również mango. Przy tym ich inicjatywa nie ograniczyła się do rolnictwa. Zabrali się do handlu. Zaczęli nabywać tereny pod budowę domów i po pewnym czasie ze zwykłych robotników rolnych zamienili się we właścicieli ziemi i nieruchomości. Za nimi przybyli z Indii poważniejsi kupcy, osiedlili się tutaj i rozpoczęli ożywiony handel.

Nieżyjący już *szeth* Abubakar Amod był właśnie jednym z nich i wkrótce stał się właścicielem poważnej firmy handlowej.

„Biali" kupcy poczuli się zagrożeni. Z początku chętnie witali indyjskich robotników, nie przypuszczając, aby ci mogli przejawiać jakiekolwiek zdolności do handlu. Tolerowali ich jako niezależnych rolników, ale w żadnym razie nie chcieli się zgodzić na ich współzawodnictwo w handlu.

Ten właśnie wzgląd przyczynił się do posiania ziarna niezgody; zresztą było wiele innych powodów narastania antagonizmów, jak na przykład nasz całkowicie odmienny tryb życia, prostoduszność w obcowaniu z ludźmi, kontentowanie się niewielkimi zarobkami, zaniedbania w dziedzinie higieny, opieszałość w przestrzeganiu czystości i schludności zamieszkiwanych przez nas miejsc, a także utrzymania domów i mieszkań w należytym stanie. Wszystko to wraz z różnicą wyznawanej przez nas religii przyczyniało się do powiększania już istniejących rozbieżności.

Ten oto antagonizm znalazł swój wyraz między innymi w owej uchwale pozbawiającej Indusów prawa wyborczego i w uchwale o opodatkowaniu kontraktowych robotników. Niezależnie od prawnych restrykcji rozpoczął się okres wszelkiego rodzaju szykan.

Pierwszą propozycją, której się uczepiono, była niezwłoczna i przymusowa repatriacja indyjskich robotników, tak by nawet termin upływu ich kontraktów wypadł w ich ojczyźnie – ale rząd Indii nie chciał się na to zgodzić. Wtedy wysunięto następujące propozycje: kontraktowi robotnicy powrócą do Indii natychmiast po wygaśnięciu terminu umowy; co dwa lata muszą podpisywać nową umowę, na którą za każdym razem będzie udzielane nowe zezwolenie; w razie odmowy powrotu do Indii lub wznowienia kontraktu obowiązani są do płacenia podatku w wysokości dwudziestu pięciu funtów szterlingów rocznie.

Do Indii wysłano delegację złożoną z Sir Henry'ego Binnsa i mister Masona dla uzyskania zgody rządu na wymienione propozycje. Wicekrólem Indii był wtedy lord Elgin. Nie zgodził się na podatek dwudziestopięciofuntowy, natomiast zaproponował ściąganie trzech funtów rocznie od osoby. Zarówno wtedy, jak i teraz byłem zdania, że było to dużym błędem ze strony wicekróla. Zgadzając się na te warunki, nie miał on na względzie interesów Indii, a obrona interesów Europejczyków zamieszkałych w Natalu w żadnym wypadku nie należała do jego obowiązków.

W ciągu trzech lub czterech lat każdy kontraktowy robotnik Indus wraz ze swoją żoną oraz synem powyżej szesnastu lat i córką od lat dwunastu podlegał wymienionemu opodatkowaniu. Ściąganie rocznego podatku w wysokości dwunastu funtów od rodziny złożonej z czterech osób, podczas gdy miesięczny

zarobek głowy rodziny nigdy nie przekraczał czternastu szylingów miesięcznie, było nieznanym dotąd na świecie okrucieństwem i wyzyskiem.

Zorganizowaliśmy ostrą kampanię na rzecz obalenia tego podatku. Gdyby Kongres nie zabrał głosu w tej sprawie, można było się spodziewać, że wicekról zaakceptuje nawet dwudziestopięciofuntowy podatek. Zmniejszenie go z dwudziestu pięciu funtów do trzech prawdopodobnie zawdzięczano jedynie interwencji naszego Kongresu. Być może jednak jestem w błędzie, gdyż istnieje możliwość, że rząd Jego Królewskiej Mości w Indiach od początku nie zgadzał się na dwudziestopięciofuntowy podatek i sam zredukowałby go do trzech funtów, niezależnie od naszej opozycji.

W każdym razie ze strony rządu w Indiach był to krok niewłaściwy, gdyż wicekról, jako ten, któremu powierzono opiekę nad interesami Indusów, nie powinien był się zgodzić na tak nieludzkie opodatkowanie.

Kongres również nie uważał tej redukcji podatku za poważne osiągnięcie. Pozostał bowiem trudny do przekreślenia żal, że Kongres nie potrafił całkowicie obronić robotników kontraktowych. Dążenia do zniesienia tego podatku nigdy nie zaniechano, ale trzeba było aż dwudziestu lat, by można było to przeprowadzić.

Do skutecznej realizacji całej kampanii przyczyniło się stanowisko nie tylko zamieszkałych w Natalu Indusów, lecz również wszystkich naszych rodaków osiadłych na terenie Afryki Południowej.

Zerwanie umowy przez nieżyjącego już mister Gokhale'a zostało wykorzystane jako sposobność do podjęcia decydującej kampanii, w której kontraktowi wzięli bardzo czynny udział, a niektórzy nawet przypłacili to życiem, gdyż znaleźli się z tego powodu pod kulami. Jednocześnie przeszło dziesięć tysięcy Indusów zostało aresztowanych i wtrąconych do więzienia.

Ale prawda zatriumfowała. Wyrazem tej prawdy były cierpienia, na jakie wystawili się Indusi. A przecież nie osiągnęłoby się tego triumfu, gdyby nie ożywiająca bojowników niezłomna wiara w słuszność podjętej walki, ich wytrwałość i niesłabnący wysiłek.

Gdyby miejscowe społeczeństwo indyjskie i Kongres zaniechały wówczas walki, przestały prowadzić swą kampanię i poddały się wymiarowi tego podatku, jako zarządzeniu nie do zwalczenia, ów znienawidzony haracz byłby ściągany od kontraktowych aż po dzień dzisiejszy, ku wiecznej hańbie zarówno zamieszkałych w Afryce Południowej, jak i wszystkich Indusów.

XXII. STUDIA PORÓWNAWCZE NAD RELIGIAMI

Powodem, dla którego całkowicie pogrążyłem się w pracy na rzecz naszego Kongresu, było w gruncie rzeczy moje gorące pragnienie samodoskonalenia. Z chwilą kiedy uprzytomniłem sobie, że najlepszą drogą wiodącą do poznania Boga jest służenie innym, uznałem tę zasadę za obowiązującą mnie religię. Służenie innym było dla mnie równoznaczne z pracą dla Indii, nie potrzebowałem się do niej zmuszać – byłem do niej stworzony.

Przybyłem do Afryki Południowej w celach podróżniczych, by uchronić się przed intrygami, których było pełno w Katiawadzie, i by znaleźć środki utrzymania, ale – jak już powiedziałem – znalazłem się na drodze do poszukiwania Boga i poznania siebie samego.

Moi przyjaciele chrześcijanie wyczuli we mnie pragnienie zdobycia wiedzy, które było nienasycone, i nawet w tych przypadkach, kiedy pragnąłem zachować pewną bezstronność, nie chcieli mnie zostawić w spokoju.

W Durbanie odszukał mnie mister Spencer Walton, stojący na czele misji południowoafrykańskiej. Stałem się z czasem niemal członkiem jego rodziny. Ta znajomość powstała na tle kontaktów, jakie nawiązałem z chrześcijanami w Pretorii.

Mister Walton miał dość swoisty sposób postępowania ze mną. Co prawda, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek usiłował nawrócić mnie na chrześcijaństwo, natomiast otworzył przede mną swoje życie niczym książkę i pozwolił mi je obserwować w najdrobniejszych szczegółach. Pani Walton była niezwykle miłą i utalentowaną osobą. Pożycie tego małżeństwa bardzo mi odpowiadało. Znaliśmy dobrze zasadnicze różnice, jakie zachodziły pomiędzy nami, i żadne dyskusje nie były w stanie ich usunąć. Jednak niekiedy nawet różnice poglądów mogą sprzyjać wzajemnemu zrozumieniu, pod warunkiem przestrzegania wzajemnej tolerancji, wyrozumiałości i zgodności z prawdą.

Lubiłem skromność, jaka cechowała zarówno męża, jak i żonę, ich wytrwałość oraz zamiłowanie do pracy. Spotykaliśmy się bardzo często.

Ta przyjaźń podtrzymywała we mnie zainteresowanie zagadnieniami religijnymi. Trudno mi było jednak znaleźć tyle wolnego czasu, ile go miałem w Pretorii, by poświęcić się studiom nad sprawami religijnymi, ale nawet ta skąpa liczba godzin, które udawało mi się znaleźć, była wykorzystywana z pożytkiem.

Utrzymywałem nadal korespondencję na te tematy. Rajćandbhai był moim przewodnikiem. Jeden z przyjaciół przysłał mi książkę Narmadaśankara[72] *Dharmavicara*. Przedmowa do niej bardzo mi była pomocna. Słyszałem o cygańskim życiu, jakie wiódł ten poeta, a opisana w przedmowie ewolucja, jaka zaszła w jego poglądach dzięki studiom religijnym, zrobiła na mnie duże wrażenie. Książka podobała mi się coraz bardziej, czytałem ją od deski do deski. Z równie dużym zainteresowaniem przeczytałem książkę napisaną przez Maxa Müllera *Indie – czego mogą nas nauczyć?*, a także ogłoszony przez Towarzystwo Teozoficzne przekład *Upaniszad*[73].

Cała ta lektura przyczyniła się do pogłębienia mojego poglądu na hinduizm, a świadomość piękna zawartego w nim rosła we mnie coraz bardziej. Muszę jednak zaznaczyć, że nie budziło to we mnie żadnych uprzedzeń do innych religii. Przeczytałem *Życie Mahometa i jego spadkobierców* Washingtona Irvinga i panegiryk Carlyle'a na cześć Proroka. Obie te książki w dużym stopniu podniosły mój szacunek dla Mahometa. Przeczytałem również *Tako rzecze Zaratustra*.

W ten sposób udało mi się zdobyć szerszy zakres wiedzy o różnych religiach. Te studia przyczyniły się również do podsycenia we mnie potrzeby poznawania siebie i przyzwyczaiły do tego, że zacząłem stosować w życiu to, co mi odpowiadało w przeczytanych książkach.

Wtedy w miarę tego, co zdołałem zrozumieć z lektury hinduskich książek, zacząłem również uprawiać niektóre praktyki jogów. Nie bardzo mi się to udawało i postanowiłem kontynuować je przy pomocy znawców po powrocie do Indii. Nigdy nie udało mi się jednak zrealizować tego postanowienia.

Bardzo intensywnie studiowałem w tym czasie dzieła Tołstoja. *Krótkie kazania* i *Co mamy robić?*, podobnie jak inne jego książki, wywarły na mnie wielkie wrażenie. Zacząłem coraz lepiej rozumieć nieograniczone możliwości, jakie kryje w sobie miłość dla całego świata, miłość uniwersalna.

Mniej więcej w tym samym czasie zetknąłem się z inną chrześcijańską rodziną. Ulegając ich namowom, zacząłem chodzić każdej niedzieli do kościoła weslejanów[74] Byłem również w te dni zapraszany na obiady do tej rodziny. Kościół nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, a kazania wydały mi się mało ciekawe. Parafianie też nie robili na mnie wrażenia ludzi szczególnie religijnych,

---

72 Narmadaśankar (1833–1886) – pisarz piszący w języku gudźarati.

73 *Upaniszady* – starożytne filozoficzne księgi hinduskie poświęcone problemom bytu, celu życia, istoty Boga i innym.

74 Weslejanie – sekta metodystów angielskich, stworzona przez Johna Wesleya.

wyglądali raczej na dbających o zewnętrzne pozory i chodzących do kościoła dla rozrywki i zadośćuczynienia ogólnie przyjętym zwyczajom. Muszę się przyznać, że kiedyś niechcący zdrzemnąłem się podczas nabożeństwa. Byłem ogromnie zmieszany, ale jeden z sąsiadów, któremu przytrafiło się to samo, zapewnił mnie, że nie powinienem się tego wstydzić. Czułem, że nie potrafię się przemóc, i wkrótce przestałem przychodzić do kościoła metodystów.

Moje stosunki z ową rodziną, którą zazwyczaj odwiedzałem każdej niedzieli, uległy nagłemu zerwaniu. Można właściwie powiedzieć, że poproszono mnie, abym zaniechał owych wizyt. Oto co się stało. Pani domu była wprawdzie dobrą i szczerą kobietą, ale jej poglądy były dość ograniczone. Stale prowadziliśmy rozmowy na tematy religijne. Byłem właśnie w trakcie powtórnego rozczytywania się w książce Arnolda *Światło nad Azją*. Kiedyś zaczęliśmy porównywać życie Chrystusa z życiem Buddy.

– Proszę się przyjrzeć miłosierdziu, jakie Gautama nosił w swym sercu! – powiedziałem. – Nie dotyczyło ono wyłącznie ludzi, lecz każdego żyjącego stworzenia. Czyż może nie wezbrać miłością serce ludzkie, gdy się pomyśli, z jaką radością dźwigał na swych plecach jagniątko? Podobnej miłości do każdego żyjącego stworzenia nie odnajdujemy w życiu Chrystusa.

To porównanie sprawiło widoczną przykrość owej dobrej kobiecie. Rozumiałem jej uczucia. Przerwałem rozmowę, zmieniając temat, po czym przeszliśmy do jadalni. Pięcioletni synek tej pani, istny cherubinek, był z nami przy stole. Czuję się najszczęśliwszy wśród dzieci, a ten malec od dawna należał do moich ulubieńców. Powiedziałem coś uszczypliwego na temat mięsa, które miał na swoim talerzu, i wychwalałem jabłko, do którego spożycia miałem zamiar się zabrać. Chłopaczek odsunął swój talerz i przyłączył się do moich pochwał na cześć jabłka.

Jakże inaczej zareagowała na to jego matka: po prostu była przerażona. Było to ostrzeżenie dla mnie. I tym razem zaraz zmieniłem temat rozmowy. Kiedy następnego tygodnia przyszedłem jak zwykle w odwiedziny, odczuwałem jakiś wewnętrzny lęk. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, że powinienem przerwać swoje wizyty. Po prostu nie zastanowiłem się nad tym, ale pani domu sama przyszła mi z pomocą.

– Drogi przyjacielu, mister Gandhi – powiedziała do mnie – proszę mi nie wziąć za złe, że czuję się zmuszona zwrócić pańską uwagę na to, że pańskie odwiedziny nie wychodzą na dobre mojemu synkowi. Nie chce teraz jeść mięsa, dopomina się o owoce, pamiętając dobrze pańskie słowa. Nie mogę się na to zgodzić. Jeżeli dziecko przestanie jeść mięso, zacznie słabnąć, a może nawet

zacznie zapadać na zdrowiu. Nie przeżyłabym tego. Zechce więc pan prowadzić podobne rozmowy wyłącznie z dorosłymi osobami. Ich skutki dla dzieci są z całą pewnością niedobre!

– Bardzo panią przepraszam – odparłem. – Rozumiem uczucia pani jako matki – ja również mam dzieci. Możemy znaleźć prostszy sposób na położenie kresu tej przykrej sytuacji. Na pani synku robi większe wrażenie to, jakich potraw unikam, a jakie jadam, aniżeli to, co do niego mówię. Najlepiej więc będzie, jeśli przestanę tu bywać. Jestem pewien, że to nie odbije się na naszej przyjaźni.

– Dziękuję panu! – odpowiedziała z wyrazem widocznej ulgi na twarzy.

XXIII. PROWADZĘ WŁASNE GOSPODARSTWO

Prowadzenie własnego gospodarstwa nie było czymś nowym dla mnie, jednak zagospodarowanie się w Natalu było niepodobne do tego, z czym miałem do czynienia w Bombaju lub w Londynie. Tym razem większość wydatków pochłonęło zachowanie prestiżu. Byłem bowiem zdania, że muszę prowadzić dom odpowiadający mojemu stanowisku, jakie zajmowałem jako adwokat Indus praktykujący w Natalu i jako przedstawiciel Kongresu.

Wynająłem więc niewielki, ale ładny domek w wytwornej dzielnicy miasta. Wnętrze domu było odpowiednio umeblowane. Moje pożywienie było proste, ale wobec tego, że zwykłem zapraszać do siebie swoich przyjaciół Anglików oraz współpracujących ze mną Indusów, rachunki za prowadzenie domu były zazwyczaj dość znaczne.

W każdym domowym gospodarstwie najważniejsze jest posiadanie dobrego służącego. Niestety, nigdy nie udało mi się trafić na takiego. Miałem przyjaciela, który mi jednocześnie dotrzymywał towarzystwa i pomagał w pracy, oraz kucharza, który z czasem również stał się prawie członkiem naszej rodziny. Razem ze mną mieszkał jeden z urzędników z mego biura, który był mi pomocny w prowadzeniu gospodarstwa. Mam wrażenie, że to wszystko szło nie najgorzej, chociaż spotkało mnie niejedno gorzkie doświadczenie.

Mój towarzysz był bardzo rozumnym i, jak sądziłem, bardzo mi oddanym człowiekiem. Rozczarowałem się jednak. Był zazdrosny o mieszkającego razem ze mną urzędnika z mego biura i omotał mnie intrygami tak sprytnie, że zacząłem podejrzliwie przyglądać się temu urzędnikowi. Był to człowiek w gorącej wodzie kąpany, niezwłocznie zorientował się, że podejrzewam go o coś, i opuścił

zarówno mój dom, jak i biuro. Było mi niezmiernie przykro. Robiłem sobie wyrzuty, że byłem niesprawiedliwy wobec niego, i sumienie nie dawało mi spokoju.

W tym samym czasie kucharz poprosił o parę dni urlopu, a może z innej przyczyny nie przyszedł do pracy. Trzeba było na czas jego nieobecności zaangażować innego. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że to skończony nicpoń. Na razie był dla mnie jakby zesłany z nieba. Po zaledwie dwóch czy też trzech dniach pobytu u mnie wykrył, że nie wszystko w moim domu idzie jak należy, i uważał za stosowne mnie przestrzec. Uchodziłem powszechnie za człowieka łatwowiernego, lecz sprawiedliwego. Dla niego jednak to odkrycie było czymś wręcz oburzającym. Zazwyczaj wracałem codziennie z biura o pierwszej na obiad. Pewnego dnia, gdzieś około południa, mój kucharz przybiegł do biura i powiada do mnie:

– Niech pan zaraz wraca do domu… Czeka tam pana niespodzianka!

– O co chodzi? – zapytałem. – Proszę mi powiedzieć, co się stało… Przecież nie mogę wyjść godzinę wcześniej z biura, żeby zobaczyć, co się stało…

– Będzie pan żałował… To wszystko, co mogę powiedzieć.

To naleganie dało mi wiele do myślenia. Poszedłem do domu w towarzystwie urzędnika. Kucharz pośpieszał przed nami i gdy przekroczyłem próg domu, zaprowadził mnie na piętro, wskazał pokój zamieszkiwany przez mojego towarzysza, mówiąc:

– Niech pan otworzy te drzwi… i sam zobaczy…

Zapukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Zacząłem walić tak mocno, że aż się ściany zatrzęsły. Wreszcie otworzono drzwi. Zobaczyłem w pokoju prostytutkę. Kazałem jej natychmiast opuścić dom i nie ważyć się tu powrócić.

Do mego towarzysza powiedziałem:

– Od tej chwili nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Zawiodłem się na panu i sam wystawiłem siebie na durnia. Oto jak pan potrafił wykorzystać zaufanie pokładane w panu.

Zamiast usprawiedliwiać się, ten człowiek zaczął grozić, że mnie zadenuncjuje.

– Nie mam nic do ukrycia – odparłem. – Może mnie pan zadenuncjować, ale przede wszystkim proszę natychmiast opuścić mój dom.

Rozgniewało go to jeszcze bardziej. Nie wiedziałem, co począć, i zwróciłem się do mego urzędnika, który pozostał na dole:

– Proszę natychmiast pójść do szefa policji i powiadomić go w moim imieniu, że osoba zamieszkująca tutaj zachowała się w sposób niewłaściwy. Nie życzę sobie, by pozostawała dłużej w moim domu, ale ona nie chce go opuścić. Będę bardzo wdzięczny, jeżeli zechce przysłać policjanta dla okazania mi pomocy.

Winowajca zrozumiał najwidoczniej, że to nie są żarty. Poczucie winy odebrało mu z początku rozum. Zaczął mnie teraz przepraszać, błagając, bym zaniechał wezwania policji, przy czym przyrzekł niezwłocznie opuścić mój dom, co zresztą istotnie zrobił.

To wydarzenie przyszło w moim życiu w samą porę jako ostrzeżenie. Dopiero teraz wyraźnie zobaczyłem, jak bezczelnie byłem oszukiwany przez tego człowieka, będącego uosobieniem zła. Udzielając mu gościny w moim domu, nie przypuszczałem, że się to tak fatalnie skończy. Wiedziałem co prawda, że jest to człowiek obdarzony niezbyt dobrym charakterem, wierzyłem jednak w jego przywiązanie do mnie. Czyniąc wszystko, by mu przyjść z pomocą, sam znalazłem się na krawędzi katastrofy. Zlekceważyłem ostrzeżenia przyjaciół, moja łatwowierność kompletnie mnie oślepiła.

Jeśli chodzi o kucharza, to ulegając dawniej wpływom mego towarzysza, nigdy mu nie dowierzałem. Nie byłem w stanie prowadzić życia w osamotnieniu, poświęcałem mu niepotrzebnie dużo czasu, on natomiast potrafił zamydlić mi oczy i oszukiwać.

Ale jak dawniej, tak i tym razem Opatrzność przyszła mi z pomocą. Moje zamiary były czyste, ocalałem pomimo błędów, jakie popełniłem, a to wydarzenie było mi nauczką na całe przyszłe życie.

Ów kucharz był doprawdy jakimś wysłańcem niebios. Nie umiał gotować i jako kucharz nie mógłby pracować w moim domu, ale to on otworzył mi oczy. Jak się później dowiedziałem, nie był to pierwszy wypadek, kiedy do mego domu sprowadzano tę kobietę. Była ona tu już nieraz, ale nikt poza owym kucharzem nie zdobył się na odwagę powiadomienia mnie o tym. Wszyscy bowiem wiedzieli, jak ślepym zaufaniem obdarzałem mego towarzysza. Najwidoczniej ten kucharz został zesłany do mnie umyślnie po to, by mi wyświadczyć tak wielką przysługę. Niejednokrotnie prosił, bym go zwolnił, po czym dodawał:

– Nie mogę pozostać w pańskim domu. Nie mogę patrzeć na to, jak łatwo jest pana oszukać. To nie jest odpowiednie miejsce dla mnie!

Pozwoliłem mu odejść.

Znacznie później dowiedziałem się, że człowiekiem, który mnie źle usposobił przeciwko mojemu urzędnikowi, był właśnie ów mój towarzysz. Usiłowałem naprawić niesprawiedliwość, jaką mu wyrządziłem. W ciągu całego mojego życia nie przestałem żałować, że mi się nie udało tego uczynić. A zresztą, jakkolwiek by się chciało naprawić swój błąd, wina pozostaje winą.

XXIV. DO DOMU

Minęły trzy lata, odkąd przyjechałem do Afryki Południowej. Poznałem tutejszych ludzi i oni mnie poznali. W 1896 roku poprosiłem, by mi pozwolono pojechać na sześć miesięcy do domu, gdyż wiedziałem, że zanosi się na dłuższy pobyt w tym kraju. Zdobyłem tutaj dość dobrą praktykę adwokacką i zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem tu ludziom potrzebny. Powziąłem więc decyzję wyjazdu do domu, zabrania ze sobą żony oraz dzieci, powrócenia i osiedlenia się tutaj. Wydawało mi się również, że jeżeli pojadę na pewien czas do domu, potrafię rozwinąć tam pewną akcję społeczną, poruszę opinię publiczną i zainteresuję tą sprawą Indusów przebywających w Afryce Południowej. Zagadnienie trzyfuntowego podatku wciąż jeszcze było otwartą raną – bez skasowania go nie mogło być mowy o uspokojeniu.

Powstawało jednak pytanie: kto podczas mojej nieobecności zajmie się pracą w Kongresie i Stowarzyszeniu Kulturalnym? Miałem na myśli dwie osoby: Adamdźiego Mijakhana i parsa Rustomdźiego. Nie brak było teraz działaczy ze sfery ludzi trudniących się handlem, przede wszystkim jednak spośród tych, którzy mogliby regularnie sprawować powierzone im funkcje w sekretariacie organizacji i cieszyliby się poważaniem ogółu. W pierwszym rzędzie jednak w grę wchodzili ci dwaj.

Praca sekretarza wymagała znajomości języka angielskiego. Poleciłem Kongresowi obranie nieżyjącego już obecnie Adamdźiego Mijakhana, który też został mianowany sekretarzem naszej organizacji.

Przyszłość wykazała, że wybór był nad wyraz szczęśliwy. Adamdźi Mijakhan swą wytrwałością, uprzejmością i wyrozumiałością potrafił sobie zaskarbić powszechne uznanie i przekonał wszystkich, że po to, by wzorowo pełnić obowiązki sekretarza, wcale nie potrzeba być adwokatem i mieć wyższe angielskie wykształcenie.

W połowie 1896 roku odpłynąłem na „Pongoli", zmierzającej do Kalkuty.

Na statku było niewielu pasażerów. Wśród nich znajdowali się dwaj angielscy wyżsi urzędnicy, z którymi zawarłem bliższą znajomość. Z jednym z nich zazwyczaj grywałem godzinę dziennie w szachy. Lekarz okrętowy pożyczył mi podręcznik do nauki języka tamilskiego, którego zacząłem się pilnie uczyć. Doświadczenie nabyte podczas pobytu w Natalu mówiło mi, że koniecznie muszę poznać język urdu, nawiązać kontakty z Indusami wyznającymi islam, z mieszkańcami prowincji Tamil oraz z Indusami z Madrasu.

Ulegając życzeniu Anglika, z którym się zaprzyjaźniłem, a który również chciał poznać język urdu, odnalazłem pomiędzy tak zwanymi pokładowymi pasażerami pewnego Indusa, uczonego w piśmie i znającego urdu. Zaczęliśmy się uczyć i zrobiliśmy duże postępy.

Urzędnik miał znacznie lepszą pamięć ode mnie. Nigdy nie zapomniał żadnego wyrazu, choćby go widział tylko raz, natomiast mnie nieraz z trudnością przychodziło odcyfrowanie słów napisanych w języku urdu. Usiłowałem włożyć w tę naukę więcej wytrwałości, ale nie udawało mi się go prześcignąć.

Jeśli chodzi o naukę języka tamilskiego, postępy, jakie robiłem, były dość dobre. Nie miałem pod ręką nikogo, kto by mi pomógł, ale mój podręcznik był doskonały i nie odczuwałem specjalnej potrzeby korzystania z czyjejś pomocy.

Liczyłem na to, że będę mógł kontynuować studia nad tymi językami po przybyciu do Indii, niestety okazało się to niemożliwe. Większość moich studiów, począwszy od 1893 roku, przeprowadziłem w więzieniu. Również ucząc się w celi, zrobiłem znaczne postępy w nauce języków urdu i tamilskiego, przy czym tamilskiego uczyłem się w więzieniu południowoafrykańskim, a urdu – w więziennej celi w Jerawda.

Nigdy jednak nie potrafiłem mówić językiem tamilskim, a te szczupłe wiadomości, które zdobyłem, ulotniły się z mojej pamięci z powodu braku praktyki.

Brak znajomości tamilskiego i telugu dawał mi się stale we znaki. Życzliwe uczucia, jakimi mnie obdarzali w Afryce Południowej Drawidowie, na zawsze pozostały w mojej pamięci. Ilekroć spotykam się z przyjacielem z Tamilu lub Telugu, przypominam sobie dowody prawości, wytrwałości i poświęcenia, jakie wielu ich rodaków złożyło na ziemi afrykańskiej. Przeważnie wszyscy byli analfabetami, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. To o nich toczyła się walka w Afryce Południowej, a ci, co brali w niej udział, również byli analfabetami. Walczono o prawa biedoty i owa biedota stanowiła przeważającą część bojowników. Nieznajomość języka, jakim się posługiwali, nie przeszkodziła, bym zjednał sobie serca tych prostych, lecz jakże zacnych ziomków.

Posługiwali się przeważnie łamanym językiem hindi i kaleczoną angielszczyzną, porozumienie się z nimi nie stanowiło więc dla nas żadnej trudności. Pragnąłem jednak jeszcze bardziej zaskarbić sobie ich serca przez opanowanie tych obu języków: tamilskiego i telugu.

Jak już zaznaczyłem, udało mi się zrobić pewne postępy w nauce tamilskiego, natomiast gdy chodzi o telugu, którego chciałem się nauczyć, będąc w Indiach, moje wiadomości ograniczyły się do poznania alfabetu. Obawiam

się, że nigdy już nie nauczę się tych narzeczy, i liczę na to, że to raczej Drawidowie nauczą się mówić językiem hindi. Ci spośród nich, którzy nie mieszkali w Afryce Południowej i nie potrafią porozumieć się po angielsku, posługują się językiem hindi lub hindustani. Jedynie ci, którzy już władają angielskim, nie zdradzają ochoty nauczenia się rodzimego języka, jak gdyby znajomość angielskiego mogła przeszkadzać nauczeniu się innych języków.

Odbiegłem jednak od tematu. Proszę mi pozwolić opowiedzieć do końca o tym, jak odbyłem swą podróż. Muszę również przedstawić moim czytelnikom kapitana statku „Pongola", z którym się zaprzyjaźniłem. Kapitan należał do sekty Braci z Plymouth. Więcej rozmawialiśmy na tematy religijne aniżeli mające coś wspólnego z morzem. Kapitan odróżniał pojęcie moralności od pojęcia wiary. Nauka płynąca z *Biblii* była dla niego dziecinną zabawą, jej piękno wyrażało się w prostocie. Był zdania, że niechby wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci gorąco uwierzyli w Chrystusa i poniesioną przez Niego ofiarę, a wszystkie grzechy zostaną im z pewnością darowane.

Dzięki niemu w mojej pamięci odżyło wspomnienie Braci z Plymouth, których poznałem w Pretorii. Kapitan nie uznawał religii, która narzucała ograniczenia natury moralnej. Moje upodobanie do wegetariańskiego odżywiania się było stałym tematem naszych sporów. Dlaczego – zapytywał mnie – nie jadam mięsa, na przykład wołowiny? Przecież Bóg stworzył wszystkie zwierzęta niższego gatunku po to, by człowiek miał z nich użytek, tak samo jak królestwo jarzyn.

Tego rodzaju dyskusje w sposób niezawodny doprowadzały do sporów na tematy religijne. Nie potrafiliśmy się przekonać wzajemnie. Ja mocno trwałem przy swoim poglądzie, że religia i moralność są identycznymi pojęciami. Kapitan zaś był przekonany, że racja jest po jego stronie.

Po dwudziestu czterech dniach ta nad wyraz przyjemna podróż dobiegła końca i podziwiając piękno Hughli[75], wylądowałem w Kalkucie. Tego samego dnia wsiadłem do pociągu zmierzającego do Bombaju.

XXV. W INDIACH

W drodze do Bombaju pociąg zatrzymał się czterdzieści pięć minut w Allahabadzie. Postanowiłem skorzystać z tej przerwy w podróży i przejechać się po mieście. Miałem również zamiar kupić w aptece

75 Hughli – odnoga Gangesu, na jej brzegu leży Kalkuta.

pewne lekarstwo. Aptekarz był na wpół śpiący i wydanie mi lekarstwa zajęło mnóstwo czasu. Rezultat był ten, że kiedy przybyłem na dworzec, pociąg już ruszał. Zawiadowca stacji był tak uprzejmy, że opóźnił odejście pociągu o minutę, widząc jednak, że nie nadchodzę, polecił wynieść mój bagaż z pociągu i złożyć go w bezpiecznym miejscu.

Wynająłem pokój w Kelner's Hotel, postanowiłem pozostać tu, a przy okazji zrobić coś niecoś dla Kongresu.

Słyszałem dość dużo o czasopiśmie „The Pioneer" („Pionier") wydawanym w Allahabadzie i wiedziałem, że reprezentuje ono poglądy niesympatyzujące z dążeniami Indusów. Zdaje się, że redaktorem tego pisma był wtedy mister Chesney Jr. Chciałem sobie zapewnić pomoc ze strony każdego stronnictwa i napisałem do mister Chesneya list, w którym opowiedziałem o tym, jak spóźniłem się na pociąg, i wobec tego, że zamierzałem wyjechać dopiero nazajutrz, prosiłem o możność spotkania się z nim.

Mister Chesney niezwłocznie wyznaczył mi godzinę spotkania, co sprawiło mi dużą przyjemność, zwłaszcza że zechciał mnie później cierpliwie wysłuchać. Obiecał wydrukować w swoim piśmie wszystko, cokolwiek napiszę, dając mi jednak do zrozumienia, że nie będzie mógł popierać naszych żądań, gdyż jest obowiązany dawać wyraz poglądom odpowiadającym interesom Ministerstwa do spraw Kolonii.

– Wystarczy – powiedziałem mu – jeśli zechce pan zapoznać się z tą sprawą i otworzyć łamy swego pisma dla przedyskutowania jej. Nie proszę ani nie pretenduję do niczego więcej, jak tylko do sprawiedliwego traktowania nas.

Resztę dnia spędziłem na zwiedzaniu miasta, zachwycając się wspaniałym widokiem połączenia się wód trzech rzek, słynną Triveni[76], oraz snując plany dotyczące mojej przyszłej pracy.

To nieoczekiwane spotkanie z redaktorem „Pioneera" doprowadziło do szeregu incydentów, które skończyły się później próbą linczu w Natalu.

Udałem się wprost do Radźkotu, nie zatrzymując się w Bombaju, i zabrałem się do pisania broszury, w której przedstawiałem sytuację w Afryce Południowej. Napisanie i ogłoszenie drukiem tej broszury zabrało około miesiąca. Miała ona zieloną okładkę i w przyszłości była znana jako „Zielona broszura".

W słowach celowo umiarkowanych opisałem w niej warunki, w jakich żyją Indusi w Afryce Południowej. Użyłem znacznie bardziej powściągliwego tonu

76 Triveni – dopływ Gangesu i Jamuny.

od tego, którym były napisane dwie poprzednie broszury. Wiedziałem bowiem, że niekiedy z oddali niektóre wydarzenia robią wrażenie większych, aniżeli są w rzeczywistości.

Wydrukowano dziesięć tysięcy egzemplarzy i rozesłano je do wszystkich pism i czołowych działaczy wszystkich partii w Indiach. „The Pioneer" pierwszy, w artykule wstępnym, odnotował jej ukazanie. Streszczenie artykułu zostało przesłane przez agencję Reutera do Anglii, a jego wyjątki przesłało londyńskie biuro tej agencji do Natalu. Depesza liczyła zaledwie trzy wiersze druku. Była to właściwie miniatura, ale bardzo przesadna w tonie, zaledwie częściowo dająca wyobrażenie o sytuacji Indusów zamieszkałych w Natalu, przy czym użyto słów, którymi ja się nie posługiwałem. Zobaczymy później, jaki to wywołało efekt w Natalu. Tymczasem jednak każde pismo o poważniejszym znaczeniu obszernie komentowało poruszone przeze mnie zagadnienie.

Rozesłanie tej broszury pocztą wcale nie było łatwą sprawą. Gdybym musiał płacić za opakowanie i tak dalej, koszty przesyłki znacznie by wzrosły. Wybrałem jednak dużo łatwiejszą drogę. Zwołałem dzieci zamieszkałe w sąsiedztwie i zwróciłem się do nich z apelem, by poświęciły mi trzy godziny pracy w rannych godzinach, gdy nie miały lekcji w szkole. Dzieci chętnie na to przystały.

Obiecałem, że im pięknie podziękuję, a oprócz tego obdarzę je znaczkami pocztowymi, które uzbierałem. Dzieci niezwłocznie przystąpiły do pracy. Był to mój pierwszy eksperyment użycia małych dzieci jako ochotników. Dwoje spośród tych małych przyjaciół współpracuje ze mną aż do dzisiaj.

W Bombaju wybuchła wtedy epidemia dżumy, powstała panika. Istniały obawy, że choroba może się przedostać do Radźkotu. Sądziłem, że mogę w jakiś sposób być użyteczny wydziałowi zdrowia i ofiarowałem rządowi swoje usługi. Zostały przyjęte i przydzielono mnie do komisji, której powierzono zajęcie się tą sprawą.

Kładłem specjalny nacisk na konieczność utrzymywania czystości w ubikacjach i nasz komitet miał się zająć przeprowadzeniem odpowiedniej inspekcji na każdej ulicy. Uboga ludność nie sprzeciwiała się tej kontroli, a nawet poprawiała warunki sanitarne zgodnie z udzielanymi wskazówkami, kiedy jednak udaliśmy się do domów położonych w górnej, zamożnej dzielnicy miasta, niektórzy z właścicieli nie pozwolili nam wejść do środka, nie mówiąc już o tym, że nie mieli zamiaru usłuchać naszych rad.

Przekonaliśmy się, że ubikacje w domach ludzi zamożnych były przeważnie bardziej zanieczyszczone. Były to ciemne i cuchnące komórki, pełne nieczystości

i robactwa. Proponowane przez nas ulepszenia były niezmiernie proste: kubły do nieczystości, skasowanie ścianek pomiędzy przybudówkami dla udostępnienia światła, powietrza i ułatwienia sprzątania.

Otóż właśnie wyższe sfery miejscowej ludności wysuwały mnóstwo zastrzeżeń przeciwko tym „innowacjom" i sanitarne warunki przeważnie nie ulegały tam poprawie.

Do zadań komisji należała również inspekcja dzielnicy zamieszkanej przez pariasów. Zaledwie jeden z członków tej komisji wyraził gotowość towarzyszenia mi. Pozostali ociągali się wyraźnie z dokonaniem inspekcji tej dzielnicy, a zwłaszcza rewizji sanitarnych urządzeń. Mnie natomiast zwiedzenie tych dzielnic sprawiło nad wyraz miłą niespodziankę. Były to pierwsze w moim życiu odwiedziny dzielnicy zamieszkanej przez „niedotykalnych". Mężczyźni i kobiety mieszkający tam byli zaskoczeni, ujrzawszy nas. Zwróciłem się do nich z prośbą, by pozwolili nam przeprowadzić inspekcję ubikacji, z których korzystają.

– Ubikacje? U nas? – zawołali z najwyższym zdumieniem. – Załatwiamy nasze potrzeby na wolnym powietrzu! Ubikacje są dla „ważnych" osób!

– W takim razie pozwólcie nam obejrzeć wasze mieszkania.

– Zapraszamy was najchętniej! Prosimy obejrzeć wszystkie zakamarki, ale to nie są mieszkania, to są wykopane w ziemi nory!

Udałem się wraz z nimi i z przyjemnością stwierdziłem, że wnętrza ich domostw były równie schludne jak wszystko, co było na zewnątrz nich. Wejścia były zamiecione, podłogi ubite krowim nawozem i utrzymane w czystości, a nieliczne garnki i kociołki były wyszorowane i aż błyszczały. Można było nie obawiać się wybuchu epidemii w zamieszkiwanej przez nich dzielnicy.

W owej „lepszej" dzielnicy miasta natrafiliśmy na ubikację, którą muszę jednak opisać nieco bardziej szczegółowo. W każdej mieszkalnej izbie znajdował się rodzaj rynny, która służyła jednocześnie do wody i uryny, co sprawiało, że cały dom cuchnął. W jednym z domów znajdowała się izba sypialna z nadbudową oraz rynną zastępującą ubikację, której wylot leżał na parterze. W całym mieszkaniu panował niemożliwy do zniesienia smród. Nie sposób sobie wyobrazić, jak mieszkańcy tego domu mogli w nim spać.

Członkowie komisji zwiedzili również świątynię poświęconą Wisznu. Kapłan tej świątyni pozostawał w przyjaznych stosunkach z moją rodziną. Pozwolił nam na obejrzenie wszystkiego i zgodził się na proponowane przez nas ulepszenia. W gmachu świątyni znajdowały się zakamarki, do których on sam nigdy nie zaglądał, jak na przykład śmietnik, do którego wrzucano odpadki pożywienia

i zwalano je pod murem. Było to ulubione miejsce wron i kotów. Ubikacje były oczywiście bardzo zanieczyszczone.

Nie pozostałem dostatecznie długo w Radźkocie, aby się przekonać, ile z proponowanych przez nas ulepszeń zostało wprowadzonych w życie przez owego kapłana.

Byłem szczerze zmartwiony, widząc, w jakim brudzie utrzymywane jest miejsce przeznaczone do odprawiania modłów. Należało się raczej spodziewać, że miejsce uważane za święte będzie lśniło czystością. Autorzy *Smryti*[77], jak już wtedy wiedziałem, podkreślali przede wszystkim czystość wewnętrzną i zewnętrzną.

XXVI. DWIE NAMIĘTNOŚCI

Nie jestem pewien, czy znałem drugiego człowieka mającego tak lojalny stosunek do brytyjskiej konstytucji, jak to miało miejsce u mnie. Teraz uprzytamniam sobie, że u podłoża tej lojalności znajdowało się moje umiłowanie prawdy. Nie potrzebowałem zresztą pobudzać w sobie tej lojalności.

Na każdym publicznym zebraniu w Natalu, na którym byłem obecny, zazwyczaj śpiewano brytyjski hymn narodowy. Czułem, że powinienem również brać w tym udział. Co prawda byłem świadom wszystkich niedoskonałości związanych z brytyjskim panowaniem, sądziłem jednak, że ogólnie biorąc, jest ono do przyjęcia. Wierzyłem wtedy, że panowanie brytyjskie jest w gruncie rzeczy dobrodziejstwem dla tych, których obejmuje.

Przesądy rasowe, których świadkiem byłem w Afryce Południowej, były – moim zdaniem – sprzeczne z brytyjskimi tradycjami i wierzyłem, że są przejściowe i lokalne. Rywalizowałem z Anglikami w ich wierności dla tronu. Z godnym podziwu uporem nauczyłem się melodii ich hymnu i przy każdej sposobności przyłączałem się do intonowania go. Również przy każdej okazji, oczywiście całkiem poważnie i nieostentacyjnie, dawałem wyraz mojej lojalności wobec Wielkiej Brytanii.

Muszę jednak stwierdzić, że nigdy nie usiłowałem wykorzystać tej lojalności ani nie ubiegałem się na tej podstawie o jakiekolwiek względy. Była dla

77 *Smryti* – święte księgi hinduizmu zawierające m.in. zasady społeczne i religijne.

mnie czymś w rodzaju moralnego zobowiązania i wypełniając je, nie liczyłem na żadną nagrodę.

Kiedy przybyłem do Indii, przygotowania do obchodu uroczystości „diamentowego jubileuszu" panowania królowej Wiktorii były w pełnym toku. Zaproszono mnie do uczestniczenia w komitecie, który w tym celu został utworzony w Radźkocie. Przyjąłem to zaproszenie, aczkolwiek obawiałem się, że wszystkie proponowane obchody będą raczej miały charakter widowiskowy. Dostrzegłem w nich sporo blagi i sprawiło mi to znaczną przykrość. Zacząłem się zastanawiać, czy powinienem pozostać w tym komitecie, ale w końcu postanowiłem zadowolić się jedynie pracą, którą mi powierzono.

Jednym z przewidzianych punktów programu było sadzenie drzewek. Wiedziałem, że bardzo wiele osób robi to wyłącznie po to, by się popisać lub pozyskać względy oficjalnych czynników. Usiłowałem je przekonać, że sadzenie drzewek bynajmniej nie jest przymusowe, lecz jest tylko dość luźną propozycją.

Należy to robić z powagą albo wcale. Odniosłem wrażenie, że moje poglądy zostały przez tych ludzi po prostu wyśmiane. Przypominam sobie, że z całą należną powagą zasadziłem przydzielone mi drzewko, podlewałem je pieczołowicie i pielęgnowałem.

Nauczyłem hymnu narodowego również dzieci w mojej rodzinie. Pamiętam, że nauczyłem go też wychowanków miejscowej szkoły pedagogicznej, nie przypominam sobie jednak, czy było to z okazji jubileuszu, czy też koronacji Edwarda VII jako króla Indii.

Tekst hymnu zaczął w późniejszych czasach działać na mnie drażniąco. Kiedy pojęcie ahimsy – czyli niesprzeciwiania się złu – dojrzało we mnie, zacząłem baczniej kontrolować zarówno swoje myśli, jak i słowa.

Oto jedna ze zwrotek tego hymnu:

Poraź nieprzyjacioły nasze
I spraw, by padli!
Pomieszaj ich szyki
I wniwecz obróć zdradzieckie knowania!

Powyższe słowa szczególnie dotkliwie raniły moje poczucie ahimsy. Podzieliłem się mymi myślami z doktorem Boothem, który zgodził się ze mną, że wyznawcy ahimsy nie przystoi śpiewać tych słów.

Na jakiej bowiem podstawie twierdzi się, że knowania „wrogów" są „zdradzieckie"? Czy tylko dlatego nie mają racji, że są wrogami? Jedynie Bóg wymierza sprawiedliwość.

Doktor Booth całkowicie podzielał moje zastrzeżenia i na użytek swojej gminy skomponował nowy hymn. Ale o doktorze Booth będzie jeszcze mowa później.

Zamiłowanie do pielęgnowania chorych ludzi było we mnie równie głęboko zakorzenione jak potrzeba lojalności. Lubiłem otaczać opieką zarówno przyjaciół, jak i ludzi obcych.

Kiedy byłem w Radźkocie pochłonięty pracą nad broszurą o stosunkach panujących w Afryce Południowej, nadarzyła mi się sposobność złożenia przelotnej wizyty w Bombaju. Miałem zamiar poinformować opinię publiczną w większych miastach o istniejącej tam sytuacji, urządzając publiczne wiece, a Bombaj był właśnie pierwszym miastem, które zostało przeze mnie obrane w tym celu.

Przede wszystkim spotkałem się z sędzią Ranadem[78], który wysłuchał mnie uważnie i poradził, bym się zwrócił do Sir Pherozeszaha Mehty. Sędzia Badruddin Tjabdźi, którego spotkałem później, dał mi tę samą radę.

– Sędzia Ranade i ja nie możemy być panu bardzo pomocni w tej sprawie – powiedział mi Badruddin Tjabdźi. – Zna pan nasze stanowisko. Nie wolno nam brać czynnego udziału w sprawach publicznych, ale wszystkie nasze uczucia są po pańskiej stronie. Tym, kto istotnie może panu pomóc, jest Sir Pherozeszah Mehta.

Niewątpliwie bardzo pragnąłem spotkać się z Sir Pherozeszahem Mehtą, a fakt, że dwóch starszych ludzi radziło mi postąpić zgodnie z jego radą, świadczył, jak wielki wpływ wywierał on na opinię publiczną.

Wreszcie nastąpił moment spotkania. Spodziewałem się, że zrobi ono na mnie ogromne wrażenie, wiedziałem, że mam się spotkać z człowiekiem, którego powszechnie nazywa się „Lwem Bombaju" lub „Niekoronowanym królem państwa". Okazało się jednak, że ten król nie wzbudził we mnie żadnej grozy. Przywitał mnie, jak kochający ojciec wita swego dorosłego syna. Nasze spotkanie odbyło się w jego gabinecie. Był otoczony przyjaciółmi i swoimi zwolennikami.

78 Mahadeo Govind Ranade (1842–1901) – urodzony w rodzinie braminów pochodzących z prowincji Bombaj znany prawnik, reformator i autor wielu prac. Był jednym z założycieli Kongresu Indusów w Natalu.

W ich liczbie znajdowali się mister D.E. Wacza[79] i mister Cama, którym zostałem przedstawiony. Słyszałem już przedtem o mister Waczy. Uważano go powszechnie za prawą rękę Sir Pherozeszaha, a Wirczand Gandhi opowiadał mi o nim jako o wybitnym statystyku.

– Gandhi – powiedział do mnie Wacza – musimy się jeszcze spotkać.

Wszystkie te ceremonie przedstawiania mnie obecnym zajęły nie więcej niż dwie minuty. Sir Pherozeszah uważnie mnie wysłuchał. Powiedziałem mu, że widziałem sędziów Ranadego i Tjabdźiego.

– Widzę – rzekł Sir Pherozeszah – że trzeba będzie przyjść wam z pomocą. Polecę zwołać u mnie zebranie.

Mówiąc to, zwrócił się do mister Munsziego, swego sekretarza, i polecił mu ustalić datę tego zebrania. Data została ustalona. Sir Pherozeszah pożegnał się ze mną, prosząc, abym przyszedł do niego w przededniu wyznaczonej konferencji. Przebieg rozmowy rozwiał moje obawy, wróciłem do domu zachwycony.

Podczas mego pobytu w Bombaju spotkałem się z mężem mojej siostry, który tu mieszkał i właśnie był niezdrów. Był to człowiek niezbyt zamożny, a jego żona nie umiała otoczyć go należytą opieką. Choroba była poważna, zaproponowałem więc przewiezienie go do Radźkotu. Chory się zgodził – wróciłem do domu wraz z siostrą i jej mężem. Choroba, wbrew naszym przewidywaniom, przeciągała się. Umieściłem chorego w moim pokoju i czuwałem przy nim dniem i nocą.

Część nocy musiałem spędzać bezsennie i niekiedy podczas tych nocnych dyżurów pracowałem nad niektórymi zagadnieniami związanymi ze sprawami południowoafrykańskimi. W końcu chory umarł, a dla mnie wielką pociechą było to, że mogłem go otaczać opieką do ostatnich dni jego życia.

Moje zamiłowanie do pielęgnowania chorych zamieniło się stopniowo w jakąś nieodzowność. Niekiedy cierpiały na tym moje własne zajęcia, a kiedyś przytrafiło się, że do czuwania przy chorym wciągnąłem nie tylko własną żonę, lecz nawet wszystkich domowników.

Pełnienie takich obowiązków ma sens jedynie wtedy, gdy jest potrzebą duszy. Jeżeli się je wykonuje tylko na pokaz lub z obawy przed sądem opinii publicznej, wtedy jest ono ciężarem i przytłacza. Obowiązek spełniany bez wewnętrznego zadowolenia nie przynosi korzyści ani temu, kto go wypełnia, ani

79 Dinshaw Edulji Vaccha (1844–1936) – znany polityk indyjski.

osobie, wobec której jest spełniany. Wszystkie doznawane w życiu radości bledną wobec tej jednej: gdy z sercem pełnym wewnętrznego zadowolenia można się komuś przysłużyć.

XXVII. WIEC W BOMBAJU

ego samego dnia, kiedy umarł mąż mojej siostry, miałem się udać do Bombaju na wielkie zgromadzenie publiczne, które tam zostało zwołane. Nie miałem nawet czasu, by się jak należy zastanowić nad przemówieniem, które miałem tam wygłosić.

Byłem bardzo wyczerpany po wielu dniach i nocach ciągłego czuwania przy łóżku chorego. Byłem ponadto zachrypnięty. Nie bacząc na to, przyjechałem do Bombaju, polecając się opiece Boskiej. Nie przyszło mi nawet do głowy, że powinienem napisać mowę.

Zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od Sir Pherozeszaha zameldowałem się o piątej po południu w jego biurze, w przededniu wiecu.

– Czy przemówienie jest już gotowe? – zapytał mnie Sir Pherozeszah.

– Nie – odpowiedziałem, trzęsąc się ze strachu. – Mam zamiar wygłosić improwizowane przemówienie.

– W Bombaju jest to niemożliwe. Akustyka jest bardzo zła i jeżeli chcemy mieć jakąś korzyść z tego wiecu, mowa musi być napisana i przepisana najpóźniej do jutrzejszego wieczora. Mam nadzieję, że może to być wykonane na czas.

Te słowa bardzo mnie zdenerwowały, ale odpowiedziałem, że dołożę wszelkich starań.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, kiedy mój sekretarz ma przyjść po rękopis?

– Dziś o jedenastej! – odpowiedziałem.

Kiedy przybyłem następnego dnia na wiec, zrozumiałem, jak mądra była rada udzielona mi przez Sir Pherozeszaha. Wiec odbywał się w auli Instytutu Sir Cowasdźi Dżahangira. Mówiono mi, że ilekroć zapowiedziane było wystąpienie Sir Pherozeszaha, aula zazwyczaj była przepełniona do ostatniego miejsca, zwłaszcza przez studentów, którzy przychodzili specjalnie, by go posłuchać. Był to pierwszy tego rodzaju wiec, na którym miałem przemawiać. Zdawałem sobie sprawę, że mam za słaby głos i tylko nieliczni będą w stanie mnie usłyszeć. Dygocąc cały, zacząłem swoje przemówienie.

Sir Pherozeszah dodawał mi wciąż animuszu, zachęcając, bym mówił coraz głośniej, ja natomiast czułem, że mój głos coraz bardziej słabnie. Z pomocą pośpieszył mi mój stary przyjaciel Keszawrao Deszpande[80]. Wręczyłem mu tekst przemówienia, gdyż uważałem, że ma on odpowiedniejszy głos, ale audytorium nie chciało go słuchać. Cała aula rozbrzmiewała od okrzyków: „Wacza! Wacza!".

Wreszcie mister Wacza wstał i zaczął odczytywać moje przemówienie. Rezultat był nadzwyczajny. Słuchacze uspokoili się, wysłuchali przemówienia do końca, podkreślając je w odpowiednich miejscach oklaskami lub wołaniem: „Hańba!". Byłem uradowany.

Moje przemówienie podobało się Sir Pherozeszahowi, co dopełniło miary mojego szczęścia.

Dzięki temu wiecowi zjednałem sobie czynną przyjaźń Deszpandego oraz pewnego przyjaciela parsa, którego nazwiska nie mogę niestety wymienić, gdyż jest on dziś wysokim urzędnikiem państwowym. Obydwaj wyrazili chęć towarzyszenia mi w podróży do Afryki Południowej. Mister C.M. Cursetdźi, który był wtedy sędzią w Trybunale dla spraw mniejszej wagi, namówił swego przyjaciela parsa do zaniechania tego zamiaru, gdyż właśnie zamierzał go ożenić. Mając więc do wyboru: ożenić się lub wyjechać do Afryki, wybrał to pierwsze.

Ale pars Rustomdźi okupił swoje wiarołomstwo, podobnie jak wiele parsanek, które usiłując zmazać winę kobiety będącej przyczyną tego wiarołomstwa, ofiarowywało mi swe usługi przy tkaniu *khadi*[81]. Jeżeli chodzi o mnie, chętnie wybaczyłem temu małżeństwu.

Deszpande nie miał wprawdzie zamiarów matrymonialnych, ale nie mógł udać się w podróż. Czyni dziś sam dostatecznie wiele, by odkupić niedotrzymanie swego przyrzeczenia.

W drodze powrotnej do Afryki spotkałem w Zanzibarze jednego z członków rodziny Tjabdźich. On również obiecał, że przyjedzie, by mi pomóc, nigdy jednak tego nie uczynił.

Mister Abbas Tjabdźi odpokutował za złamanie obietnicy. W ten sposób żadna z moich trzech prób sprowadzenia do Afryki Południowej prawników się nie powiodła.

Przy tej sposobności chcę przypomnieć osobę mister Pestondźiego Padszaha. Utrzymywałem z nim od czasu mego pobytu w Anglii przyjazne stosunki.

---

80 Deshpande – znany od stuleci klan południowoindyjski, z którego wywodzi się wiele znanych postaci historycznych i współczesnych.

81 *Khadi* – samodziałowa tkanina.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w pewnej wegetariańskiej restauracyjce. Słyszałem o jego bracie Bardźordźim Padszahu, uchodzącym za człowieka nieco pomylonego. Nigdy się z nim nie spotkałem, ale przyjaciele mówili mi, że jest to człowiek dość ekscentryczny. Oto na przykład, litując się nad końmi, nie chciał jeździć konnymi tramwajami, a pomimo że posiadał fenomenalną pamięć, nie chciał odbywać wyższych studiów. Jednym słowem, zachował całkowitą niezależność umysłu i aczkolwiek był parsem, pozostał wegetarianiniem.

Pestondźi nie uchodził wprawdzie za człowieka tego typu co jego brat, ale nawet w Londynie był znany z wszechstronnego wykształcenia. Cechą, która nas łączyła, był wegetarianizm, nie zaś stopień posiadanego wykształcenia, gdyż pod względem wiadomości stałem znacznie niżej od niego.

Spotkałem go ponownie w Bombaju. Był głównym notariuszem i został zaproszony do współpracy nad *Wielkim słownikiem języka gudżarati*. Nie było takiego znajomego, którego nie prosiłbym wtedy, by zechciał mi pomóc w pracy na terenie Afryki Południowej. Pestondźi Padszah nie tylko mi wtedy odmówił, lecz nawet radził, bym nie wracał do Afryki.

– Nie jestem w stanie przyjść panu z pomocą – mówił – a muszę powiedzieć, że nawet nie radziłbym tam wrócić. Czyż to mało jest pracy we własnym kraju? Niech pan spojrzy: oto nic nie robi się dla naszego języka. Muszę sam wynajdywać słowa oznaczające naukowe pojęcia, ale to dopiero cząstka całej pracy. Niech pan się zastanowi nad ubóstwem tego kraju. Niewątpliwie nasi rodacy w Afryce Południowej są w ciężkiej sytuacji, ale wcale nie życzyłbym sobie, aby człowiek pańskiego pokroju miał się poświęcać podobnej pracy. Niechby się nam udało uzyskać autonomię we własnym kraju, a pomoc dla nich, w Afryce, przyjdzie sama. Wiem, że pana nie przekonam, ale nie chcę, by ktokolwiek z ludzi takich jak pan miał dzielić swoje losy z panem.

Podobne rady mi nie odpowiadały, ale wzrósł mój szacunek dla mister Pestondźiego Padszaha. Jego miłość dla kraju i rodzimej mowy robiła na mnie duże wrażenie. Wydarzenie, o którym wspomniałem, zbliżyło nas jeszcze bardziej. Rozumiałem jego stanowisko, ale – o ile chodzi o mnie – nie tylko nie zaniechałem działalności w Afryce Południowej, lecz nawet umocniłem się jeszcze bardziej w moim postanowieniu. Prawdziwy patriota musi znać każdą dziedzinę pracy dla dobra swojej ojczyzny. Dla mnie tekst *Gity* brzmiał wyraźnie i podniośle:

Bo przecież lepiej, gdy się podejmiesz
Pracę wykonać, choćby cię zawód spotkał,

Niźli to spełniać, co ci się niegodnym wydaje.
Lepiej bowiem umrzeć – czyniąc, co należy,
Niźli innych dróg szukając, błąkać się bez końca.

XXVIII. PUNA I MADRAS

Sir Pherozeszah ułatwił mi zadanie. Udałem się więc z Bombaju do Puny. Tam istniały dwa stronnictwa. Potrzebna mi była pomoc ze strony ludzi o różnych poglądach. Przede wszystkim spotkałem się z Lokamanją Tilakiem[82].

Oto co mi powiedział:

– Ma pan słuszność, starając się o współpracę ze wszystkimi stronnictwami. Nie może być żadnej różnicy poglądów, gdy chodzi o sprawę południowoafrykańską, ale przewodniczącym na pańskim zebraniu musi być człowiek bezpartyjny. Niech pan się spotka z profesorem Bhandarkarem[83]. Nie bierze on udziału w żadnych wystąpieniach publicznych, możliwe jednak, że ta sprawa go zainteresuje. Proszę się z nim zobaczyć i powiadomić mnie, jakie jest jego zdanie. Chcę panu przyjść z pomocą w najszerszym zakresie. Może pan, rzecz prosta, przyjść do mnie, kiedy pan zechce – jestem do pańskiej dyspozycji.

Było to moje pierwsze spotkanie z Lokamanją. Wtedy zrozumiałem, na czym polega tajemnica jego wyjątkowej popularności.

Następnie spotkałem się z Gokhalem[84] na terenie Fergusson College. Przywitał mnie niezmiernie serdecznie i swoim obejściem od razu pozyskał moje serce. Z nim również spotkałem się po raz pierwszy, jednak odniosłem wrażenie, jak gdybyśmy odnowili starą przyjaźń.

---

82 Bal Cangadhar Tilak (1856–1920) – nazwany Lokamanją, urodził się w rodzinie braminów w prowincji Bombaj. Był w okresie przed pierwszą wojną światową przywódcą lewicy w Kongresie, występującej przeciwko panowaniu brytyjskiemu. Bardzo popularny, zwłaszcza wśród Marathów. Dwukrotnie karany więzieniem.

83 Ramakryszna Bhandarkar (1837–1925) – sławny znawca sanskrytu, jeden z najwybitniejszych filologów i historyków Indii.

84 Gopal Kryshna Gokhale (1866–1915) – pochodził z prowincji Bombaj. Piastował poważne stanowiska urzędowe w brytyjskiej administracji w Indiach, był jednym z założycieli Kongresu. W 1905 r. został jego przewodniczącym. Należał do „umiarkowanych" w Kongresie i był raczej zwolennikiem współpracy z rządem.

Sir Pherozeszah był dla mnie niczym Himalaje, a Lokamanja – niczym ocean, natomiast Gokhale był jak Ganges. Działał na ludzi niczym orzeźwiająca kąpiel w świętej rzece. Himalaje są nie do zdobycia, oceanu nie da się tak łatwo przebyć, a dobry Ganges chętnie przyjmuje wszystkich na swe rozlewne łono.

Cóż to była za rozkosz obcować z nim. Gokhale poddał mnie skrupulatnemu egzaminowi, jak nauczyciel ucznia pragnącego dostać się do szkoły. Wskazał mi osoby, z którymi powinienem nawiązać bliższe stosunki, i powiedział, jak to zrobić. Chciał również rzucić okiem na przygotowaną przeze mnie mowę. Oprowadził mnie po całej swojej szkole, zapewniając, że jest zawsze do mojej dyspozycji, i wreszcie prosił, bym go powiadomił o wyniku spotkania z doktorem Bhandarkarem. Wyszedłem od niego uszczęśliwiony. Miejsce, jakie w moim sercu zajmował i do dzisiaj zajmuje Gokhale, było zgoła wyjątkowe.

Doktor Bhandarkar przyjął mnie z ojcowską serdecznością. Kiedy przyszedłem do niego, było południe. Tę właśnie godzinę wyznaczył mi ten niezmordowany uczony. Moja niezłomna decyzja zwrócenia się do jakiejś bezpartyjnej osobistości, by zechciała objąć przewodnictwo na mającym się odbyć zebraniu, spotkała się z jego całkowitą aprobatą, co zresztą znalazło wyraz w spontanicznym okrzyku: „Ależ tak, właśnie tak!".

Po wysłuchaniu mnie doktor Bhandarkar zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Każdy, kogo pan o to zapyta, odpowie, że nie biorę czynnego udziału w polityce – ale panu nie mogę odmówić. Sprawa, której pan broni, i pańskie metody przemawiają do mnie tak silnie i wydają mi się tak wspaniałe, że nie mogę odmówić wzięcia udziału w tym zebraniu. Dobrze pan zrobił, zasięgnąwszy rady Tilaka i Gokhalego. Proszę im zakomunikować, że sprawi mi największą przyjemność przewodniczenie na zebraniu, które odbędzie się pod auspicjami obu *sabha* (izb parlamentu). Niech pan nie uzależnia daty zebrania od mojej osoby, jestem do pańskiej dyspozycji w każdej chwili, która będzie panu odpowiadała.

Mówiąc to, pożegnał mnie, załączając swoje najlepsze życzenia.

Bez żadnego zwlekania ta oto grupa ludzi w Punie, wykształconych i gotowych do współpracy, zorganizowała w nierzucającym się w oczy miejscu publiczne zebranie, po którym wyjechałem pełen nadziei w powodzenie mojej misji.

Następnie udałem się do Madrasu. Tam spotkałem się z nieopisanym entuzjazmem. Opowieść o tym, co spotkało Balasundarama, wywarła głębokie wrażenie na uczestnikach wiecu. Moja mowa została wydrukowana i – według mnie – była nieco przydługa. Zebrani wysłuchali jej jednak z dużą uwagą, a kiedy wiec

dobiegł końca, rzucono się do kupowania „Zielonej broszury". Poleciłem przygotować drugie, poprawione wydanie w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Wprawdzie sprzedawano je niczym bułki, jednak przekonałem się, że nakład niepotrzebnie był tak duży. Powodowany nadmiernym entuzjazmem przerachowałem się. Moje przemówienie było skierowane do ludzi mówiących po angielsku, a w Madrasie nie znalazłoby się takich więcej niż tysiąc.

Największą pomoc okazał mi nieżyjący już G. Parameśwaram Pillay, redaktor pisma „The Madras Standard". Gruntownie przestudiował całą sprawę, często zapraszał mnie do swojej redakcji i udzielał pożytecznych wskazówek.

G. Subrahmaniam z „The Hindu" oraz doktor Subrahmaniam okazywali mi również wiele życzliwości, a G. Parameśwaram Pillay oddał do mojej dyspozycji szpalty swego pisma „The Madras Standard", z czego chętnie skorzystałem.

Wiec, o ile sobie przypominam, odbył się w Pachayappa's Hall[85]. Przewodniczył doktor Subrahmaniam.

Serdeczność, jaką mi okazywali nowo poznani przyjaciele, oraz ich entuzjazm dla naszej sprawy były tak wielkie, że mimo iż musiałem się z nimi porozumiewać po angielsku, miałem uczucie, że jestem w swoim domu, wśród swoich.

Nie ma bowiem przeszkód, których nie byłaby w stanie obalić miłość!

XXIX. WRACAĆ NATYCHMIAST!

Z Madrasu pojechałem do Kalkuty[86], gdzie spotkało mnie mnóstwo przykrości. Nie znałem tam nikogo. Wynająłem pokój w Great Eastern Hotel. Poznałem tam mister Ellerthorpe'a, przedstawiciela londyńskiego pisma „The Daily Telegraph". Zaprosił mnie do Bengal Club, gdzie mieszkał, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że Indus nie może przestąpić progu sali jadalnej w jego klubie. Stwierdziwszy, iż napotyka trudności, zaprosił mnie do swego pokoju, wyrażając przy tym ubolewanie z powodu przesądów, jakie żywią jego rodacy, oraz przepraszając, że nie może mnie zaprowadzić do klubowego salonu.

85 Budynek senatu w Madrasie.

86 Kalkuta – obecnie Kolkata.

W Kalkucie spotkałem się również z Surendranathem Banerdźim[87], „Bożyszczem Bengalu". Kiedy się znalazłem w jego towarzystwie, był otoczony gromadą przyjaciół. Powiedział wtedy do mnie:

– Obawiam się, że pańska działalność nie wzbudzi tutaj wielkiego zainteresowania. Jak panu zapewne wiadomo, odczuwamy tu sporo trudności. Ale niech pan spróbuje. Musi pan sobie zjednać względy maharadżów. Należałoby również spotkać się z przedstawicielami Towarzystwa Brytyjsko-Indyjskiego, poza tym powinien się pan zobaczyć z radźą Pjarimohanem Mukardźim i maharadźą Tagore. Obydwaj wyznają liberalne poglądy i biorą dość żywy udział w pracy społecznej.

Spotkałem się z wyżej wymienionymi osobami, ale bez powodzenia. Obydwaj przyjęli mnie dość oschle i powiedzieli, że zwołanie publicznego zebrania w Kalkucie bynajmniej nie jest łatwe i jeżeli chce się coś osiągnąć, należy zwrócić się do Surendranatha Banerdźiego, który decyduje w tych sprawach.

Rozumiałem, że moje zadanie staje się coraz trudniejsze. Zwróciłem się do redakcji pisma „The Amrita Bazar Patrika". Jegomość, którego tam spotkałem, wziął mnie za „Żyda Wiecznego Tułacza". W redakcji „The Bangabasi" poszło niewiele lepiej. Redaktor kazał mi czekać na siebie całą godzinę. Co prawda miał sporo interesantów, ale nawet gdyby miał więcej czasu do dyspozycji, zapewne zaledwie obdarzyłby mnie swoim przelotnym spojrzeniem.

Kiedy po długim wyczekiwaniu usiłowałem mu wreszcie przedstawić sprawę, o którą mi chodziło, powiedział do mnie te oto słowa: „Czy pan nie widzi, że mam ręce pełne roboty? Takich jak pan interesantów jest bez liku. Niech pan sobie lepiej idzie. Nie mam ochoty wysłuchiwać tego, co pan mówi".

Przez chwilę czułem się obrażony, ale bardzo szybko zrozumiałem położenie, w jakim się znajdował redaktor. Słyszałem o wielkiej popularności jego pisma ,,The Bangabasi". Sam widziałem, jak wielu napływało interesantów. Byli to sami znajomi redaktora. Pismo poruszało moc różnych tematów nadających się do dyskusji, a sprawy związane z Afryką Południową były wtedy bardzo mało znane.

Aczkolwiek krzywda, jaka spotyka niekiedy człowieka, jest dla niego czymś niezwykle ważnym, jednak w oczach redaktora jest to tylko jeszcze jeden

87 Surendranath Banerdźi (1848–1925) – wsławił się w latach 70. Dostał się do administracji cywilnej, a gdy został z niej usunięty, wniósł skargę do królowej i wygrał sprawę. Wkrótce potem został znów usunięty z indyjskiej służby cywilnej i rzucił się w wir działalności politycznej. Był jednym z pionierów ruchu narodowego.

pokrzywdzony i nic więcej. I cóż ma w takich przypadkach począć redaktor pisma? Interesantowi się zdaje, że redaktor jest wszechpotężny. Natomiast on sam dobrze wie, że jego potęga rzadko przekracza progi jego redakcji.

Nie czułem się jednak zniechęcony i postanowiłem zobaczyć się z redaktorami innych pism. Spotkałem się, jak zwykle robiłem, również z anglo-indyjskimi redaktorami. „The Statesman" i „The Englishman" oceniły znaczenie przedstawionego im zagadnienia. Udzieliłem obu pismom dłuższych wywiadów, które zostały w całości opublikowane.

Mister Saunders, redaktor „The Englishman", całkowicie stanął po mojej stronie, oddając mi do dyspozycji swoją redakcję i pismo. Zgodził się nawet, bym dokonywał według własnego uznania zmian w artykułach wstępnych, napisanych przez niego na interesujący mnie temat, przy czym przed wydrukowaniem przysyłał mi odbitki. Nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że nawiązały się między nami niezmiernie przyjazne stosunki. Przyrzekł udzielić mi wszelkiej, na jaką tylko będzie go stać, pomocy i najskrupulatniej dotrzymał danego słowa. Prowadził ze mną ożywioną korespondencję aż do czasu, kiedy poważnie zachorował.

W ciągu mego życia miałem szczęście mieć kilka takich przyjaźni, które zrodziły się zgoła nieoczekiwanie.

Mister Saunders szczególnie sobie upodobał we mnie brak wszelkiej przesady i moje umiłowanie prawdy. Zanim zaczął mnie darzyć swoją przyjaźnią, poddał mnie niemal krzyżowej próbie i wyczuł, że nie szczędziłem ani chęci, ani wysiłków, by możliwie najobiektywniej przedstawić mu całą sytuację, jaka wytworzyła się w Afryce Południowej, a która dotyczyła również „białych". Mister Saunders zrozumiał to i należycie ocenił.

Doświadczenie nauczyło mnie, że znacznie szybciej udaje się osiągnąć sprawiedliwość, gdy sprawiedliwie potraktujemy stronę przeciwną. Nieoczekiwana pomoc okazana mi przez mister Saundersa zachęciła mnie do zastanowienia się nad tym, czy zorganizowanie przeze mnie publicznego wiecu w Kalkucie może się udać.

Akurat wtedy otrzymałem z Durbanu depeszę następującej treści: „W styczniu wznowienie obrad parlamentu. Wracać natychmiast".

Napisałem list do prasy, w którym wytłumaczyłem powód swego nagłego wyjazdu z Kalkuty, i udałem się do Bombaju. Przed wyjazdem wysłałem telegram do agenta firmy Dada Abdulla and Co. w Bombaju, by mi załatwił możliwie najszybszy powrót do Afryki Południowej.

Dada Abdulla niedawno nabył statek „Courland" i nalegał, bym odbył podróż na jego statku, ofiarując mnie i mojej rodzinie bezpłatny przejazd.

Z wdzięcznością przyjąłem tę ofertę i na początku grudnia udałem się po raz drugi do Afryki, tym razem z żoną, dwoma synami i jedynym synem mojej owdowiałej siostry. W tym samym czasie do Durbanu odpływał inny statek, „Naderi". Jego właścicielem była również firma Dada Abdulla and Co.

Ogólna liczba pasażerów na obydwu statkach dochodziła do ośmiuset. Połowa z nich udawała się do Transwalu.

CZĘŚĆ III

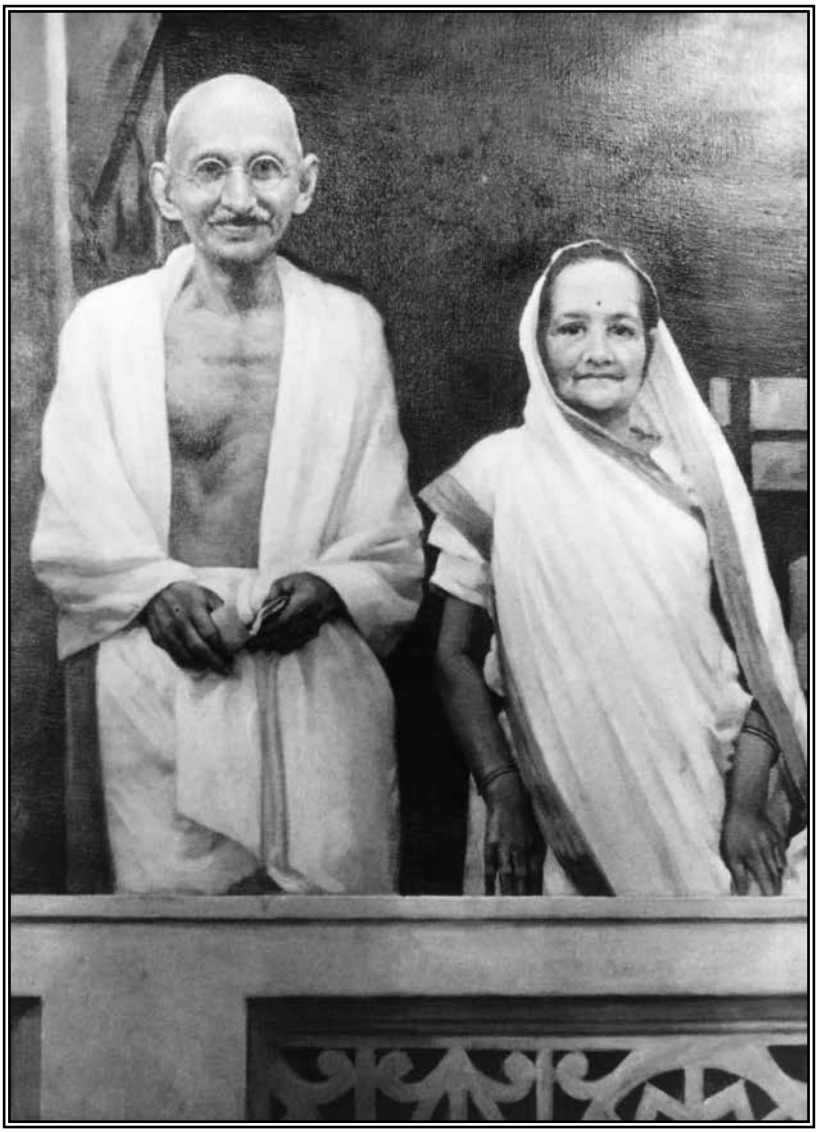

Była to moja pierwsza podróż z żoną i dziećmi. W toku niniejszej opowieści niejednokrotnie wspominałem o tym, że wśród dziecięcych małżeństw zawieranych w średnich warstwach społeczeństwa indyjskiego małżonek zazwyczaj miał jakieś wykształcenie, podczas gdy żony przeważnie były analfabetkami. Dzieliła ich przeto ogromna przepaść i mąż często był nauczycielem swojej żony. Podobnie i ja musiałem myśleć o każdym szczególe odzienia mojej żony i dzieci, o posiłkach dla nich i wreszcie o tym, jak powinni się zachowywać w nowym dla nich otoczeniu. Niektóre ze wspomnień związanych z tamtymi dniami, gdy się na nie dziś spojrzy, są bardzo zabawne.

Dla żony hindusa bezwzględne posłuszeństwo wobec małżonka jest niemal religią. Hinduski małżonek uważa siebie za pana i władcę swojej żony, która winna okazywać mu na każdym kroku swą uległość.

W czasach kiedy pisałem te słowa, sądziłem, że po to, by wyglądać jak cywilizowani ludzie, powinniśmy, w miarę możliwości, upodabniać się zarówno sposobem ubierania się, jak i zwyczajami do Europejczyków. Byłem bowiem zdania, że tylko tą drogą możemy zdobyć jakieś wpływy, a bez nich byliśmy pozbawieni możliwości działania na rzecz naszej wspólnej sprawy.

Wreszcie ustaliłem też, jak ma się ubierać moja żona i moje dzieci. Czy mogłem pragnąć, by poznano, że należą do kasty *bania* i pochodzą z Katiawadu? Parsowie uważani byli za najbardziej cywilizowanych pomiędzy Indusami, jeżeli więc przyjęcie całkowicie europejskiego sposobu ubierania się okazało się niewykonalne, postanowiliśmy przyswoić sobie przynajmniej strój noszony przez parsów.

Zgodnie z tym moja żona nosiła sari[88], a chłopcy byli ubrani w płaszcze, jakie noszą parsowie, i spodnie. Oczywiście nikt nie mógł chodzić boso i bez pończoch. Upłynęło dość dużo czasu, zanim moja żona i dzieci przyzwyczaiły się do tego. Obuwie gniotło stopy, a pończochy przesiąkały potem. Palce u nóg często były obolałe. Na wszystkie ich zastrzeżenia zawsze miałem gotową odpowiedź. Odnosiłem jednak wrażenie, że w tym przypadku działał raczej mój autorytet, nie zaś argumenty. Nie pozostawało im nic innego, jak zgodzić się na narzucaną przeze mnie zmianę odzienia. W tym samym duchu, a może nawet z większym nieco oporem, przyjęte zostały moje zalecenia posługiwania się

88 Sari – strój kobiecy, pięciometrowy pas bawełny lub jedwabiu, drapowany wokół ciała.

nożem i widelcem. Kiedy jednak mój zapał przyswajania sobie oznak cywilizacji przeminął, zaniechano również używania noża i widelca.

Powrót do dawnego stylu życia był dla mnie, po długoletnim przyzwyczajeniu się do europejskiego, może nawet nieco uciążliwy. Muszę jednak dziś przyznać, że czuliśmy się wolniejsi i lżej nam było na sercu po pozbyciu się całego tego blichtru „cywilizacji".

Tym samym statkiem co my płynęli niektórzy nasi krewniacy i znajomi. Spotykałem się często zarówno z nimi, jak i z innymi pokładowymi pasażerami, gdyż statek należał do mego przyjaciela i wolno mi było chodzić, gdzie chciałem.

Wobec tego, że statek płynął wprost do Natalu, nie zatrzymując się po drodze w żadnym porcie, cała nasza podróż trwała zaledwie osiemnaście dni. Niejako ostrzeżeniem przed prawdziwą burzą oczekującą nas na lądzie był straszliwy sztorm, w który wpadliśmy, znajdując się zaledwie o cztery dni podróży przed wylądowaniem w Natalu.

Grudzień na południowej półkuli jest miesiącem monsunów oraz burz morskich większych i mniejszych, które są częstym zjawiskiem w tym okresie na południowych morzach. Burza, która nas złapała, była jednak tak gwałtowna i trwała tak długo, że pasażerów ogarnęła panika. Były to niezapomniane chwile; wszyscy byli zrównani w obliczu niebezpieczeństwa. Wszyscy zapomnieli o dzielących ich różnicach i skierowali swe myśli ku Opatrzności: zarówno wyznawcy Mahometa, jak i Buddy, czy też chrześcijanie – jednym słowem, wszyscy. Niektórzy wznosili głośne modły. Kapitan przyłączył się do modlitwy pasażerów, zapewniając, że burza jest co prawda niebezpieczna, ale przeżył już niejedną gorszą od tej, przy czym tłumaczył, że dobrze zbudowany statek potrafi się oprzeć każdej burzy.

Ale pasażerowie byli niespokojni. Co chwilę słyszeli jakieś trzaski i odgłosy rzekomo zapowiadające zatonięcie statku. Statek istotnie tak się kołysał i przechylał, że zdawało się, iż za chwilę się wywróci. Oczywiście nikt nie pozostawał na pokładzie. „Niech się dzieje wola Boża!" – oto słowa, które każdy miał na ustach.

O ile sobie przypominam, trwało to około dwudziestu czterech godzin. Wreszcie niebo się przejaśniło, ukazało się słońce, kapitan oznajmił, że jest po burzy. Twarze ludzkie rozjaśniło szczęście, a wraz ze zniknięciem niebezpieczeństwa imię Boga zniknęło z ich ust. Objadanie się, pijaństwo, śpiewy i żarty były znów na porządku dziennym. Znikła obawa śmierci, a poważne

pienia modlitewne zastąpiła *maya*[89]. Śpiewano wprawdzie jak zwykle *namaz*[90] i kantyczki, ale brak im już było tej co dawniej podniosłości.

Ta burza zbliżyła mnie bardzo do pasażerów. Nie odczuwałem wielkiego lęku przed nią, gdyż przeżyłem już parę burz na morzu. Na ogół dobrze znoszę podróż morską i nigdy nie choruję. Mogłem więc bez przeszkód krążyć pomiędzy pasażerami, podnosząc ich na duchu, dodając otuchy i przynosząc im od kapitana cogodzinne raporty.

Więzy przyjaźni, które wtedy nawiązałem, bardzo mi się, jak to później zobaczymy, przydały.

Statek zarzucił kotwicę w Durbanie osiemnastego lub dziewiętnastego grudnia. Drugi statek, „Naderi", nadpłynął tego samego dnia. Ale prawdziwa burza miała wybuchnąć dopiero później.

II. BURZA

Jak wspomniałem, obydwa statki zawinęły około osiemnastego grudnia do portu w Durbanie. Żadnemu jednak pasażerowi przybywającemu do portu południowoafrykańskiego nie wolno było wyjść na ląd, zanim komisja lekarska go nie zbadała. Jeżeli na statku znajdował się bodaj jeden pasażer chorujący na chorobę zakaźną, statek zostawał poddany kwarantannie. Wobec tego zaś, że w chwili kiedy opuszczaliśmy Bombaj, panowała tam epidemia dżumy, istniała obawa, że będziemy musieli przejść przez krótką kwarantannę. Przed rozpoczęciem badania lekarskiego statek wywiesza żółtą banderę, która zostaje opuszczona dopiero po stwierdzeniu przez lekarza, że na pokładzie nie ma chorych. Krewnym i znajomym pasażerów wolno wejść na statek dopiero po opuszczeniu żółtej bandery.

Zgodnie z tymi przepisami „Courland" również wywiesił żółtą banderę na czas przybycia lekarza i dokonywania przez niego inspekcji. Lekarz stwierdził, iż statek winien być poddany pięciodniowej kwarantannie, gdyż okres inkubacji zarazków dżumy trwa najwyżej dwadzieścia trzy dni. Z tego wynikało, że musimy przebyć kwarantannę, aż minie dwudziesty trzeci dzień od chwili opuszczenia przez nas Bombaju, gdzie panowała epidemia. Ale jak się

89 *Maya* – określenie używane w filozofii hinduskiej, oznaczające „ułudę", „złudzenia".

90 *Namaz* – modlitwa przepisana przez Koran.

okazało nakaz poddania nas kwarantannie był spowodowany nie tylko względami sanitarnymi.

„Biała" ludność Durbanu rozwinęła gorączkową agitację na rzecz naszego powrotu do Indii i to ona właśnie spowodowała wydanie tego nakazu.

Firma Dada Abdulla and Co. dostarczała nam codziennie wiadomości o sytuacji w mieście. Codziennie też odbywały się masowe wiece „białych", na których padały wszelkiego rodzaju pogróżki, niekiedy skierowane również przeciwko linii okrętowej Dada Abdulla and Co. „Biali" gotowi byli nawet zapłacić odszkodowanie tej firmie, pod warunkiem że obydwa przybyłe statki zostaną odesłane z powrotem.

Ale Dada Abdulla and Co. nie należeli do ludzi, którzy ulękliby się pogróżek. *Szeth* Abdulla Karim Hadźi Adam był wtedy wspólnikiem i dyrektorem firmy. Był zdecydowany przybić do brzegu i gdziekolwiek wysadzić pasażerów na ląd. Codziennie przysyłał mi szczegółowe listy.

Na szczęście nieżyjący już Mansukhlal Naazar był wtedy w Durbanie, dokąd przybył, aby spotkać się ze mną. Był to człowiek zdolny, odważny i stojący na czele indyjskiej gminy. Jej adwokat, mister Laughton, również był odważny. Surowo potępiał postępowanie białych osadników i udzielał porad naszej gminie nie tylko jako opłacany przez nią adwokat, lecz również jako nasz prawdziwy przyjaciel.

W ten oto sposób Durban stał się widownią niezwykłego pojedynku. Z jednej strony gromada ubogich Indusów oraz ich nieliczni angielscy przyjaciele, z drugiej – liczne szeregi „białych", doskonale uzbrojonych, wykształconych i zamożnych, mających ponadto za sobą poparcie państwa, gdyż rząd Natalu otwarcie im pomagał.

Mister Harry Escombe, który był wtedy jednym z najbardziej wpływowych członków gabinetu, brał jawny udział w ich wiecach.

Istotnym więc powodem kwarantanny było usiłowanie zmuszenia pasażerów do powrotu do Indii przez zastraszenie bądź ich samych, bądź też właścicieli linii okrętowej. W ostatnich dniach pogróżki kierowano również pod naszym adresem: „Jeżeli nie wrócicie do domu, powrzucamy was do morza, ale gdybyście wrócili, gotowi jesteśmy nawet zwrócić wam pieniądze wydane na podróż".

Nieustannie krążyłem pomiędzy pasażerami, podtrzymując ich na duchu. Wysyłałem również do pasażerów na statku „Naderi" listy dodające im otuchy. Wszyscy zachowywali się spokojnie i odważnie.

Zorganizowaliśmy na statku różne gry, aby rozerwać podróżnych. W dniu Bożego Narodzenia kapitan wydał obiad dla pasażerów pierwszej klasy. Moja rodzina i ja byliśmy głównymi gośćmi. W mowie wygłoszonej po obiedzie mówiłem o zachodniej cywilizacji. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest to odpowiedni moment poważnego przemówienia, ale nie mogłem się powstrzymać. Brałem wprawdzie udział w powszechnej zabawie, sercem byłem jednak w bitwie, która się toczyła w Durbanie. To przeciwko mnie była wymierzona. Pod moim adresem kierowano dwa oskarżenia:

1) że podczas mego pobytu w Indiach pozwoliłem sobie na nieuzasadnione potępienie „białych" zamieszkałych w Natalu,

2) że mając na celu „zalanie" Natalu osiedleńcami Indusami, umyślnie sprowadziłem dwa statki z imigrantami.

Zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ponoszę. Wiedziałem, że Dada Abdulla and Co. narażają się z mojego powodu na znaczne ryzyko, że życiu pasażerów grozi niebezpieczeństwo i że zabierając ze sobą swą rodzinę, ją również na nie naraziłem.

Ale nie poczuwałem się do jakiejkolwiek winy. Nie namawiałem nikogo do wyjazdu do Natalu, nie znałem nawet, poza kilkoma swoimi krewnymi, innych pasażerów, zanim nie znaleźli się na statku. Nieznane mi było bodaj jedno z setek nazwisk podróżnych płynących na nim. Podczas mojego pobytu w Indiach nie powiedziałem ani słówka o „białych" mieszkających w Natalu. Na poparcie zaś tego, co powiedziałem, miałem jak najbardziej poważne dowody.

Prawdą jest natomiast, że ubolewałem nad cywilizacją, której wytworem są „biali" osiedleni w Natalu, reprezentujący i szczycący się nią. Tę właśnie cywilizację miałem cały czas na myśli i o niej mówiłem w przemówieniu wygłoszonym w tym szczupłym gronie.

Kapitan oraz inni moi przyjaciele raczyli wysłuchać mnie z uwagą i odebrali moje przemówienie w tym samym duchu, w jakim je wygłosiłem. Nie jest mi wiadome, by ono w jakimkolwiek sensie miało wywrzeć wpływ na dalszy bieg ich życia, natomiast później odbyłem długie rozmowy z kapitanem i innymi oficerami na statku na temat zachodniej cywilizacji. Mówiłem o tym, że cywilizacja Zachodu, w przeciwieństwie do wschodniej, jest przeważnie oparta na sile. Moi słuchacze odwoływali się do wyznawanej przeze mnie wiary, a jeden z nich – o ile sobie przypominam, był to kapitan – powiedział do mnie:

– Wyobraźmy sobie, że „biali" zechcą wprowadzić w czyn swoje pogróżki – jak zamierza pan dochować wiary swojej zasadzie „niesprzeciwiania się złu"?

Na co odpowiedziałem:

– Mam nadzieję, że Bóg obdarzy mnie odwagą i rozsądkiem, bym mógł im wybaczyć, a także powstrzyma mnie od pociągnięcia ich do odpowiedzialności prawnej. Nie żywię do nich urazy. Ubolewam jedynie nad ich ciemnotą i zacofaniem. Wiem, że ci ludzie są przekonani o słuszności tego, co teraz czynią. Nie mam żadnego powodu gniewać się na nich.

Zapytujący mnie uśmiechali się, możliwe, że niedowierzająco.

Tymczasem dni wlokły się nieprawdopodobnie. Niepodobna było przewidzieć, kiedy może się skończyć okres kwarantanny. Oficer, w którego kompetencji znajdowały się te sprawy, powiedział, że obecnie przeszły one do innych instancji i że natychmiast po otrzymaniu odpowiednich instrukcji od rządu udzieli pozwolenia na lądowanie.

W końcu wystosowano ultimatum do pasażerów i do mnie. Zaproponowano nam, abyśmy usłuchali, „jeżeli nam życie miłe". W odpowiedzi na to ultimatum zarówno wszyscy pasażerowie, jak i ja obstawaliśmy przy przysługującym nam prawie lądowania w porcie Natal i podkreślaliśmy nasze nieugięte postanowienie wykonania tego, nie bacząc na wszelkie grożące nam niebezpieczeństwa.

Kiedy dwudziesty trzeci dzień dobiegał końca, obydwa statki otrzymały zezwolenie zawinięcia do portu i pozwolono pasażerom zejść na ląd.

III. PRÓBA

Statki zawinęły do doków, a pasażerowie zaczęli schodzić na brzeg. Mister Escombe nadesłał list do kapitana statku, w którym powiadamiał, że wobec ogromnego wzburzenia, jakie panuje wśród „białych" z powodu mnie i mojej rodziny, byłoby wskazane, abyśmy wylądowali o zmroku, kiedy naczelny komendant portu, mister Tatam, będzie mógł eskortować nas do domu.

Kapitan przekazał mi wiadomość i wyraził zgodę na tę propozycję, ale zdążyło minąć zaledwie pół godziny, kiedy do kapitana przybył mister Laughton, mówiąc: „Chciałbym zabrać ze sobą mister Gandhiego, jeżeli on nie ma nic przeciwko temu. Jako radca prawny linii okrętowej oświadczam panu, że nie miał pan obowiązku przekazywać wiadomości, jaką pan otrzymał od mister Escombe'a".

Następnie mister Laughton przyszedł do mnie i powiedział coś w tym rodzaju:

– Jeżeli się pan nie obawia, radziłbym, aby pańska żona wraz *z* dziećmi pojechała do domu Rustomdźiego, a my udamy się tam pieszo. Nie jestem bynajmniej zdania, że powinien pan, niczym złoczyńca, o zmroku przekradać się do miasta. Nie sądzę również, aby istniała obawa, że ktokolwiek może panu zrobić coś złego. Wszędzie panuje spokój. „Biali" się porozchodzili. W każdym razie uważam, że nie powinien pan po kryjomu przybywać do miasta.

Zgodziłem się z nim najzupełniej. Moja żona z dziećmi bezpiecznie przyjechały do domu Rustomdźiego. Natomiast ja za zgodą kapitana zszedłem na ląd z mister Laughtonem. Dom Rustomdźiego znajdował się w odległości około dwóch mil od portu. Wkrótce potem, kiedy znaleźliśmy się na brzegu, kilku wyrostków poznało mnie i zaczęło wołać „Gandhi! Gandhi!". Z pół tuzina dorosłych nadbiegło niebawem i przyłączyło się do ich okrzyków. Mister Laughton w obawie, że tłum może się powiększyć, przywołał rikszę. Nigdy nie lubiłem korzystać z rikszy. Wtedy po raz pierwszy byłem do tego zmuszony. Ale gromada młodzików nie chciała mi pozwolić wsiąść do pojazdu. Chłopak rikszarz wystraszył się okropnie i umknął czym prędzej.

Ruszyliśmy przed siebie, a tymczasem tłum rósł coraz bardziej, tak że z trudem mogliśmy się posuwać dalej. Przede wszystkim otoczono mister Laughtona i odłączono go ode mnie. Następnie tłum zaczął mnie obrzucać kamieniami, odłamkami cegieł i zgniłymi jajami. Ktoś zerwał mi z głowy turban, a inni zaczęli mnie bić i popychać. Byłem bliski omdlenia, chwyciłem się sztachet koło jakiegoś domu i przystanąłem, by złapać nieco powietrza – ale to było wręcz niemożliwe. Tłum coraz bardziej nacierał na mnie, okładając mnie pięściami. Przypadek sprawił, że w tej samej chwili ulicą przechodziła żona naczelnika miejscowej policji, która mnie znała. Ta dzielna kobieta podbiegła natychmiast do mnie, otworzyła parasol, mimo że wtedy wcale nie było słońca, i stanęła pomiędzy mną a tłumem. Umitygowało to nieco rozjuszony tłum, który nie mógł mi zadać uderzenia, nie narażając na szwank broniącej mnie mistress Alexander.

W tym samym czasie niektórzy spośród młodzieży indyjskiej, będącej świadkami całego zajścia, pobiegli do najbliższego urzędu policyjnego. Naczelnik policji, mister Alexander, niezwłocznie przysłał oddział policji, który otoczył mnie i eskortował, aż bezpiecznie dotarłem do domu. Pomoc przybyła w samą porę. Komisariat znajdował się po drodze i kiedy tam doszedłem, naczelny komendant policji zaproponował, bym się tam chwilowo schronił. Odmówiłem jednak, wyrażając mu przy tym swą wdzięczność.

– Ci ludzie z pewnością uspokoją się, gdy sobie uprzytomnią błąd, jaki popełnili – powiedziałem do niego. – Mam zaufanie do ich poczucia przyzwoitości.

Pod eskortą policji przybyłem bez przeszkód do domu mister Rustomdźiego. Miałem na ciele pełno siniaków i tylko w jednym miejscu byłem skaleczony. Doktor Dadibardźior, nasz lekarz okrętowy, który się znalazł na miejscu, od razu okazał mi potrzebną pomoc.

Wewnątrz domu panował spokój, natomiast na zewnątrz był on otoczony przez „białych". Zbliżała się noc. Tłum wył: „Musimy dostać Gandhiego!". Szybko orientujący się komendant policji wnet znalazł się na miejscu, usiłując zapanować nad tłumem. Nie groził mu, lecz go rozśmieszał. Ale i on żywił pewne obawy, gdyż przysłał mi kartkę tej treści: „Jeżeli chce pan uchronić dom swego przyjaciela przed zdemolowaniem, a także ocalić swą rodzinę, radziłbym opuścić ten dom w przebraniu".

I oto jednego dnia zetknąłem się z dwoma wręcz rozbieżnymi stanowiskami. Kiedy zagrażające memu życiu niebezpieczeństwo było zaledwie przypuszczalne, mister Laughton zaproponował mi, bym otwarcie stawił mu czoło. Przyjąłem tę radę. Natomiast kiedy niebezpieczeństwo było jak najbardziej oczywiste, inny życzliwy mi człowiek radził mi coś wręcz przeciwnego – i również się zgodziłem. Kto wie, czemu to zrobiłem? Czy dlatego, że zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa zagrażającego memu życiu, czy nie chciałem narażać domu mego przyjaciela na zdemolowanie, czy wreszcie dlatego, że życie mojej żony i dzieci znalazło się w niebezpieczeństwie? Któż mógłby z całą pewnością stwierdzić, kiedy miałem rację: czy wtedy, gdy odważnie stawiłem czoło niebezpieczeństwu, czy też gdy w przebraniu uciekłem przed nim?

Nie jest łatwo wydać słuszny sąd o wydarzeniach, które już przeminęły. Jednakże jest rzeczą pożyteczną rozumieć je i – w miarę możliwości – wyciągnąć z nich wnioski na przyszłość. Niemniej jednak trudno jest orzec, jak dany człowiek postąpi w ściśle określonych okolicznościach. Widzimy jednocześnie, że nie można wydawać sądu o człowieku na podstawie jego postępków, zwłaszcza jeśli nie posiada się dostatecznych danych.

Tak czy inaczej, przygotowania, przedsięwzięte dla wymknięcia się sprawiły, że zapomniałem o doznanych obrażeniach. Zgodnie z radą głównego komendanta policji ubrałem się w mundur policjanta Indusa, głowę obwiązałem chustką z Madrasu, która miała mi zastąpić hełm.

Towarzyszyli mi dwaj detektywi, przy czym jeden był przebrany za hinduskiego kupca i miał twarz pomalowaną na ciemny kolor, by wyglądać jak Indus.

Nie pamiętam, jak był przebrany drugi agent. Przez boczną ścieżkę przedostaliśmy się do sąsiedniego sklepu i przeciskając się pomiędzy wypełnionymi workami poukładanymi w magazynie, wydostaliśmy się furtką wiodącą do sklepu i torując sobie drogę poprzez zgromadzony przed nim tłum, dotarliśmy aż do powozu, który czekał na mnie u wylotu ulicy. Odjechaliśmy tym powozem do tego samego budynku policyjnego, gdzie na krótko przedtem mister Alexander radził mi się schronić. Tym razem przyjąłem jego zaproszenie, a policyjnym agentom podziękowałem za opiekę, którą mnie otoczyli.

W tym samym czasie, kiedy ja ratowałem się ucieczką, mister Alexander powstrzymywał tłum, zabawiając go śpiewaniem piosenki:

Powiesimy starego Gandhiego
Na kwaśnej jabłoni!

Kiedy go powiadomiono, że szczęśliwie dotarłem do budynku policyjnego, oznajmił zgromadzonemu tłumowi, co następuje:

– A więc posłuchajcie! Wasza niedoszła ofiara umknęła pomyślnie przez sąsiadujący z domem sklep. Najlepiej zrobicie, jeżeli pójdziecie teraz wszyscy do domu!

Jedni śmiali się, drudzy złościli, a jeszcze inni nie chcieli uwierzyć w to, co usłyszeli.

– W takim razie – powiedział do nich naczelny komendant policji – skoro mi nie wierzycie, wybierzcie dwóch delegatów, którym pozwolę wejść do domu. Jeżeli znajdą Gandhiego – wydam go wam chętnie, ale jeśli go tam nie ma, musicie się rozejść. Jestem pewien, że nie macie zamiaru zdemolować domu mister Rustomdźiego ani nie wyrządzicie krzywdy żonie i dzieciom Gandhiego!

Tłum wysłał swoich delegatów, aby przeszukali dom. Wrócili wkrótce z niepomyślną wiadomością, tłum w końcu się rozproszył, podziwiając spryt naczelnego komendanta, z jakim potrafił opanować całą sytuację. Tylko nieliczni awanturowali się i złorzeczyli.

Nieżyjący już lord Chamberlain, który w owych czasach był ministrem brytyjskim do spraw kolonii, nadesłał depeszę do rządu Natalu, domagając się pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej moich prześladowców. Mister Escombe wezwał mnie do siebie, wyraził ubolewanie z powodu obrażeń, jakich doznałem, i przy tej sposobności powiedział mi:

– Niech mi pan wierzy, że najmniejsze obrażenie, na jakie był pan narażony, sprawia mi ogromną przykrość. Miał pan prawo pójść za radą mister Laughtona i stawić czoło niebezpieczeństwu, jestem jednak przekonany, że gdyby pan raczej posłuchał mojej rady, wszystkie te nad wyraz przykre wydarzenia nie miałyby miejsca. Jeżeli potrafi pan ustalić napastników, gotów jestem ich aresztować i pociągnąć do odpowiedzialności. Mister Chamberlain również życzy sobie, abym tak postąpił.

Oto co odpowiedziałem na te słowa:

– Nie mam zamiaru pociągać kogokolwiek do odpowiedzialności. Możliwe, że potrafiłbym poznać jednego lub dwóch spośród nich, ale jaki pożytek z tego, że zostaną ukarani? A poza tym winę ponoszą nie tylko moi napastnicy. Wmówiono im, jakobym miał wysunąć nieuzasadnione zarzuty przeciwko „białym" mieszkającym w Natalu i oszkalował ich. Jeżeli uwierzyli w to, nic dziwnego, że byli doprowadzeni do wściekłości. Wina spada na przywódców i – pozwoli pan, że mu to oświadczę – na pana również. Mógł pan przecież właściwie usposobić opinię publiczną, ale pan także uwierzył Reuterowi i zapewniał, że prawdopodobnie pozwoliłem sobie na przesadne słowa. Nie mam zamiaru sadzać kogokolwiek na ławie oskarżonych. Jestem przekonany, że kiedy ci ludzie dowiedzą się prawdy, sami pożałują tego, co zrobili.

– Czy nie zechciałby pan złożyć tego oświadczenia na piśmie? – zapytał mnie mister Escombe. – Muszę dać telegraficzną odpowiedź ministrowi w tej sprawie. Nie chciałbym, aby pan składał jakiekolwiek oświadczenia w pośpiechu. Jeżeli pan sobie życzy, może pan przed udzieleniem ostatecznej odpowiedzi zasięgnąć rady mister Laughtona oraz innych pańskich przyjaciół. Muszę jednak stwierdzić, że rezygnując z przysługującego panu prawa pociągnięcia winnych do odpowiedzialności, ułatwia mi pan w dużym stopniu zadanie przywrócenia spokoju, jednocześnie zyskując bardzo wiele w oczach opinii publicznej.

– Dziękuję panu. Nie mam potrzeby zasięgania niczyjej rady. Powziąłem decyzję, zanim przyszedłem tutaj. W moim przekonaniu nie powinienem pociągać do odpowiedzialności napastników. Gotów jestem złożyć to panu na piśmie.

Następnie złożyłem mu odpowiednie oświadczenie.

IV. USPOKOJENIE PO BURZY

Nie opuściłem jeszcze gmachu urzędu policyjnego, kiedy po upływie dwóch dni zostałem wezwany do mister Escombe'a. Przysłano nawet dwóch policjantów dla zapewnienia mi bezpieczeństwa, ale wszystkie te środki ostrożności okazały się zbędne.

Tego samego dnia, kiedy zeszliśmy na brzeg, tuż po opuszczeniu żółtej bandery, przybył do mnie przedstawiciel pisma „The Natal Advertiser", by przeprowadzić ze mną wywiad prasowy. Zadawał mi moc różnych pytań, a ja odpowiadając mu, zadawałem kłam wszystkim oskarżeniom, jakie wysunięto przeciwko mnie.

Sir Pherozeszahowi Mehcie mam do zawdzięczenia, że wszystkie przemówienia, jakie wygłosiłem w Indiach, były uprzednio napisane. Kopie każdego z nich oraz innych moich prac znajdowały się w moim posiadaniu. Wręczyłem dziennikarzowi wszystkie te materiały, by udowodnić, że nie powiedziałem w Indiach nic takiego, czego bym już przedtem nie powiedział w znacznie ostrzejszej formie w Afryce Południowej. Przekonałem go również, że nie brałem żadnego udziału w sprowadzeniu do Afryki pasażerów z „Courland" i „Naderi". Wielu z nich od dawna mieszkało tutaj, a przeważająca część podróżnych daleka była od myśli pozostania w Natalu i pragnęła przedostać się do Transwalu. W owych bowiem czasach Transwal dawał poszukiwaczom zmian losu znacznie lepsze widoki wzbogacenia się i większa część Indusów wolała się tam osiedlać.

Mój wywiad prasowy i odmowa pociągnięcia do odpowiedzialności napastników wywarły tak duże wrażenie, że Europejczycy zamieszkali w Durbanie zaczęli się wstydzić swego postępowania. Prasa oświadczyła, że nie ponoszę żadnej winy, i surowo potępiła zachowanie tłumu. Tak więc ta próba linczu okazała się w końcu błogosławieństwem dla mnie, a tym samym dla sprawy, której broniłem. Podniosło to niezmiernie autorytet Indusów w Afryce Południowej i ułatwiło moją działalność.

Po trzech czy też czterech dniach powróciłem do domu, w którym znów zamieszkałem. Całe wydarzenie przyczyniło się również do zwiększenia mojej praktyki adwokackiej.

Lecz o ile wspomniane wydarzenie podniosło prestiż naszej społeczności, o tyle również przyczyniło się do rozniecenia uprzedzeń wymierzonych przeciwko nam. Z chwilą kiedy się okazało, że Indus potrafi po męsku stanąć do walki, niezwłocznie zaczęto się w tym dopatrywać ukrytego niebezpieczeństwa.

Do Izby Ustawodawczej Natalu wpłynęły dwa projekty uchwał. Jedna z nich była wymierzona przeciwko kupcom Indusom, druga przewidywała znaczne obostrzenie imigracji indyjskiej. Na szczęście kampania podjęta w swoim czasie przeciwko pozbawieniu Indusów należnych im praw wyborczych doprowadziła do uchwały, która głosiła, że żadne zarządzenie skierowane przeciwko Indusom nie może uzyskać sankcji prawnych, gdyż prawo nie uznaje żadnych różnic pomiędzy rasą białą a narodami „kolorowymi".

Wprawdzie brzmienie uchwały przewidywało jej zastosowanie do wszystkich, ale jej niewątpliwym celem było narzucenie ludności indyjskiej zamieszkałej w Natalu dalszych ograniczeń. Zgłoszenie tych wniosków w znacznym stopniu zwiększyło zakres mojej działalności, a także przyczyniło się do podniesienia poczucia obowiązku w członkach naszej gminy. Tekst wniosków został przełożony na język hindi i opatrzony obszernym komentarzem po to, aby społeczeństwo zdawało sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji. Odwołaliśmy się do ministra kolonii, jednak ten odmówił interwencji i uchwały nabrały mocy prawa.

Działalność społeczna pochłaniała obecnie niemal cały mój czas. Mansukhlal Naazar, który – jak wspomniałem – przybył już do Durbanu, zamieszkał wraz ze mną, a wobec tego, że on również cały swój czas poświęcał pracy społecznej, była to do pewnego stopnia duża ulga dla mnie.

Szeth Adamdźi Mijakhan podczas mojej nieobecności pełnił swe obowiązki z dużym powodzeniem. Dzięki niemu liczba członków znacznie wzrosła, a fundusz, którym rozporządzał Kongres Indyjski w Natalu, wynosił już około tysiąca funtów szterlingów. Wykorzystałem poruszenie wywołane przez uchwalenie wspomnianych ustaw, a także owe demonstracje przeciwko przybyłym pasażerom dla wzmożenia rekrutacji członków oraz naszych funduszów, które obecnie doszły do sumy pięciu tysięcy funtów.

Celem moim było zapewnić Kongresowi posiadanie stałego funduszu, który umożliwiłby nabycie na własność jakiejś nieruchomości, a następnie pozwolił na kontynuowanie działalności za pieniądze otrzymywane z czynszu pobieranego za wynajem tej nieruchomości.

Była to moja pierwsza próba kierowania organizacją publiczną. Przedstawiłem swoje propozycje współpracownikom, którzy je z uznaniem zaakceptowali. Nieruchomość, którą nabyliśmy, została wynajęta, a otrzymany czynsz całkowicie wystarczał na pokrycie bieżących wydatków Kongresu. Pieczę nad majątkiem sprawowała dobrze zorganizowana komisja kuratorów, istniejąca do

dzisiaj, jednak na tym tle wynikało wiele wewnętrznych sporów, co doprowadziło w końcu do tego, że czynsz jest obecnie deponowany w sądzie.

Ta przykra sytuacja powstała po moim wyjeździe z Afryki Południowej, wszakże moja koncepcja polegająca na posiadaniu stałego funduszu do dyspozycji organizacji publicznych uległa zrewidowaniu na długo przedtem, zanim powstały wspomniane rozbieżności.

Obecnie po nabyciu bogatego doświadczenia w kierowaniu licznymi organizacjami, na których czele stałem, nabrałem przekonania, że oparcie ich istnienia na stałych funduszach jest raczej niepożądane, a to dlatego, że samo posiadanie takiego stałego funduszu kryje w sobie zarodki moralnego rozkładu tej instytucji. Organizacja społeczna winna być instytucją kierowaną zgodnie z opinią społeczną i za pomocą funduszów społecznych. Jeżeli tego rodzaju instytucja traci aprobatę publiczną, koniec jej jest nieunikniony. Otóż organizacje opierające swe istnienie na stałych funduszach często przestają się liczyć z opinią publiczną i niejednokrotnie postępują wbrew niej.

W naszym kraju mieliśmy tego przykłady na każdym kroku. Niektóre z religijnych stowarzyszeń przestały składać sprawozdania rachunkowe. Kuratorzy zamienili się we właścicieli i nie ponosili przed nikim żadnej odpowiedzialności. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ideałem istnienia dla instytucji publicznych jest życie z dnia na dzień. Instytucja, która nie potrafi zdobyć poparcia społeczeństwa, nie ma racji bytu.

Dotacje, jakie każdego roku otrzymuje tego rodzaju organizacja, są świadectwem jej popularności, a także uczciwości jej kierownictwa i sądzę, że każda organizacja powinna poddać się podobnej próbie. Chciałbym jednak być dobrze zrozumiany. Moje uwagi nie dotyczą takich instytucji, które z natury rzeczy nie mogą być kierowane bez posiadania stałych podstaw materialnych. Chcę przez to powiedzieć, że bieżące wydatki powinny być pokrywane przez dobrowolne subskrypcje otrzymywane z roku na rok.

Wyrażone wyżej poglądy znalazły potwierdzenie podczas dni satjagrahy w Afryce Południowej. Ta wspaniała kampania trwająca przeszło sześć lat była przeprowadzona bez pomocy stałych funduszów, aczkolwiek wymagała wiele pieniędzy. Przypominam sobie, że nieraz nie wiedziałem, co zrobię jutro, gdy nie wpłyną żadne wpłaty.

Nie chcę jednak wyprzedzać wypadków. Czytelnik sam wyciągnie wnioski z dalszego ciągu niniejszej opowieści.

V. WYCHOWANIE DZIECI

Kiedy w styczniu 1897 roku wylądowałem w Durbanie, miałem ze sobą troje dzieci: dziesięcioletniego syna mojej siostry i dwóch własnych synów, dziewięcio- i pięcioletniego. Gdzie miałem ich wychowywać?

Mogłem ich posłać do szkoły dla europejskich dzieci, ale jedynie w drodze łaski i wyjątku. Żadnemu innemu indyjskiemu dziecku nie wolno było uczęszczać do niej. Istniały wprawdzie dla nich szkoły założone przez misjonarzy chrześcijańskich, ale nie miałem zamiaru posyłać do nich moich dzieci, gdyż system nauki praktykowany tam nie podobał mi się. Poza tym językiem wykładowym byłby wyłącznie angielski lub uproszczone języki tamilski albo hindi. Ale i to dałoby się przeprowadzić, choć z niemałymi trudnościami. Musiałem więc brać pod uwagę różne zastrzeżenia, a na razie sam usiłowałem udzielać im lekcji. Były jednak nieregularne, nie mogłem również znaleźć odpowiedniego nauczyciela wykładającego w języku gudźarati.

Byłem w rozterce. Umieściłem w pismach ogłoszenie o poszukiwaniu angielskiego nauczyciela, który mógłby udzielać lekcji dzieciom pod moim kierunkiem. Niektóre podstawowe przedmioty mogły być wykładane dzieciom przez tego nauczyciela, jeśli zaś chodzi o resztę, musiały się zadowolić nieregularnymi lekcjami udzielanymi przeze mnie. Zaangażowałem więc angielską guwernantkę, płacąc jej siedem funtów tygodniowo. Ten stan rzeczy trwał pewien czas, nie byłem jednak zadowolony. Chłopcy nauczyli się nieco języka gudźarati dzięki rozmowom ze mną i obcowaniu z matką, której macierzystym językiem był gudźarati. Nie miałem ochoty odsyłać ich do Indii, gdyż w moim przekonaniu nawet małe dzieci powinny pozostawać przy swoich rodzicach. Wychowanie, jakie wpaja się dzieciom w dobrze prowadzonym domu rodzinnym, jest nie do osiągnięcia w żadnym domu wychowawczym. Dlatego też zatrzymałem dzieci przy sobie. Siostrzeńca i mego starszego syna posyłałem w Indiach w ciągu paru miesięcy do miejscowej szkoły, ale wkrótce zaniechałem tego. Mój starszy syn po osiągnięciu dojrzałości, sporo lat później, opuścił mój dom i udał się do Indii, by uczęszczać do wyższego zakładu naukowego w Ahmedabadzie. Odnosiłem wrażenie, że mój siostrzeniec był zadowolony z tego, co mu mogłem dać. Niestety, umarł we wczesnej młodości po krótkiej chorobie. Trzej inni synowie nigdy nie uczęszczali do wyższych zakładów naukowych, pobierając jednak systematyczną naukę w zaimprowizowanej szkole, którą założyłem w Afryce Południowej dla dzieci rodziców należących do ruchu *satjagrahi*[91].

91 S*atjagrahi* – ci, którzy praktykują satjagrahę.

Wszystkie te eksperymenty się nie sprawdziły. Nie mogłem poświęcić dzieciom tyle czasu, ile pragnąłem. Niemożność udzielenia im należytej opieki oraz inne trudne do usunięcia powody sprawiły, że nie mogłem zapewnić im tego z zakresu humanistyki, czego bym sobie życzył, i moi synowie nieraz robili mi z tego powodu wyrzuty. Mimo iż zdobyli stopnie magisterskie, brak systematycznego wykształcenia nieraz dawał im się we znaki.

Niemniej jestem zdania, że gdybym w swoim czasie nalegał na posyłanie synów do gimnazjum, pozbawiłbym ich tego „treningu", który można zdobyć jedynie w szkole doświadczenia albo przez ciągłe przebywanie z rodzicami. Żyłbym w ciągłej obawie, od której jestem dziś całkowicie uwolniony, że niewłaściwe wykształcenie, jakie rozłączeni ze mną synowie otrzymaliby w Anglii lub w Afryce Południowej, nigdy nie wpoiłoby im tej prostoty w życiu codziennym i potrzeby służenia innym, jakie moi synowie wykazują w swoim obecnym życiu, a niewłaściwy tryb życia, jaki prowadziliby, mógłby stanowić ogromną przeszkodę w mojej działalności społecznej.

A jednak, pomimo iż nie mogłem im zapewnić ogólnego wykształcenia, czego gorąco pragnąłem zarówno ze względu na nich, jak i na siebie, spoglądając w tej chwili poza siebie, sądzę, że zrobiłem wszystko, co było moim obowiązkiem. Bynajmniej nie żałuję, że nie posyłałem synów do wyższych zakładów naukowych. Stale odnosiłem wrażenie, że pewne niepożądane cechy, jakie dziś odnajduję w starszym synu, są odbiciem mojego własnego niezdyscyplinowanego i nieuporządkowanego życia we wczesnym okresie. Patrzę na te czasy jako na okres mojego niedowarzonego rozwoju i braku dyscypliny wewnętrznej. Podobny okres przechodził również mój starszy syn i oczywiście nie chciał się zgodzić z tym, że to, co on robi, całkowicie odpowiada okresowi mojej niedojrzałości i braku doświadczenia. Przeciwnie: uważał, że był to najpiękniejszy okres w moim życiu, a wszystkie zmiany, jakie w nim później zaszły, były wynikiem pomyłek i źle pokierowanego wykształcenia.

Takiego właśnie był zdania i szczerze mówiąc, nie wiem, czy nie miał racji, twierdząc, że moje wczesne lata były okresem przebudzenia, a późniejsze, owe lata zaszłych we mnie radykalnych zmian, były latami rozczarowań i egoizmu.

Moi przyjaciele niejednokrotnie zadawali mi pytania: Co złego byłoby w tym, gdybym dał moim dzieciom wyższe wykształcenie? Jakim prawem podcinałem im skrzydła? Dlaczego stanąłem im na drodze do zdobycia wyższych stopni naukowych i obrania kariery życiowej według własnego uznania?

Nie sądzę, by dało się dużo odpowiedzieć na te pytania. Spotkałem się w życiu z wieloma ludźmi, którzy poświęcili się studiom naukowym. Usiłowałem sam lub za cudzym pośrednictwem narzucić własne metody wychowawcze innym dzieciom i widziałem, jakie były tego wyniki. Wśród moich znajomych jest spora liczba młodych ludzi, którzy są obecnie w tym samym wieku co moi synowie. Nie sądzę, by któryś z nich stał wyżej od moich synów albo że moi synowie mogliby się od nich czegoś nauczyć.

Dopiero przyszłość pokaże, jaki będzie ostateczny rezultat moich poszukiwań i eksperymentów. Piszę o tym dlatego, aby ten, kto będzie studiował dzieje cywilizacji, mógł sobie uświadomić różnice pomiędzy systematycznym domowym wykształceniem a wykształceniem otrzymywanym w szkole, a w ten sposób mógł ocenić wpływ, jaki wywierają na dzieci zmiany wprowadzane do ich życia przez rodziców.

Niniejszy rozdział ma na celu pokazać, jak daleko mogą doprowadzić ludzi dążących do poznania prawdy ich poszukiwania przedsięwzięte w tym kierunku, a także unaocznić bojownikom o wolność, jak bezmiernych poświęceń domaga się od nich surowa bogini Swobody.

Gdybym był pozbawiony poczucia godności własnej i zadowolił się tym, że dałem moim dzieciom wykształcenie nieosiągalne dla innych, pozbawiłbym je poglądowej lekcji tego, co jest wolnością i godnością własną, a czego nauczyłem swe dzieci kosztem ogólnego wykształcenia. A jeżeli mamy dokonywać wyboru pomiędzy wolnością a wiedzą, któż nie przyzna, że wolność jest po tysiąckroć bardziej upragniona od wszelkiej wiedzy?

Młodzież, do której się zwróciłem w 1920 roku, by wyszła z twierdz niewoli, czyli szkół i uniwersytetów, do których uczęszczała, i której powiedziałem, że lepiej jest pozostać analfabetą lub w imię wolności tłuc kamienie na drodze, aniżeli w kajdanach niewolników otrzymywać najbardziej humanistyczne wykształcenie, ta młodzież zapewne potrafi obecnie odnaleźć źródło, z którego płynęły wtedy moje rady.

VI. W DUCHU SŁUŻBY DLA INNYCH

Moje sprawy zawodowe rozwijały się wprawdzie pomyślnie, ale były dalekie od zaspokojenia moich dążeń. Zagadnienie dalszego uproszczenia mego życia i uczynienia czegoś konkretnego na rzecz rodaków absorbowało nieustannie wszystkie moje myśli, kiedy pewnego dnia do drzwi mego domu zapukał trędowaty.

Nie miałem serca odprawić go, ofiarując mu jedynie nieco żywności, zatrzymałem go więc w swoim domu, opatrzyłem rany i otoczyłem opieką. Nie mogłem sobie jednak pozwolić (zabrakło mi na to woli), by dać mu stałą gościnę. Odesłałem go do utrzymywanego przez rząd szpitala dla kontraktowych robotników.

Czułem się jednak cały czas nieswojo. Tęskniłem do jakiegoś stałego charytatywnego zajęcia. Na czele misji pod wezwaniem świętego Aidana stał doktor Booth. Był to człowiek niezmiernie uczynny i bezpłatnie leczył swoich pacjentów. Dzięki ofiarności parsa Rustomdźiego udało się stworzyć niewielki dobroczynny szpitalik pozostający pod kierownictwem doktora Bootha. Bardzo pragnąłem być pielęgniarzem w tym szpitalu. Rozdanie lekarstw zajęłoby najwyżej jedną lub dwie godziny dziennie. Postanowiłem znaleźć przy moich zajęciach w biurze potrzebny czas, by móc pracować w szpitalnym ambulatorium.

Moje stałe zajęcie polegało przeważnie na pracy w domu, na sporządzaniu aktów posiadania własności i uczestniczeniu w sądach rozjemczych. Od czasu do czasu miewałem sprawy w sądzie, ale większość z nich nie była zbyt skomplikowana i mister Khan, który wraz ze mną przybył do Afryki Południowej i zamieszkał w moim domu, prowadził je podczas mojej nieobecności. W ten sposób udało mi się znaleźć czas, by pracować w owym małym szpitaliku. Zabierało to około dwóch rannych godzin każdego dnia, włączając w to czas potrzebny do przebycia drogi do szpitala i z powrotem. To zajęcie przyniosło mi dużo wewnętrznego spokoju. Polegało na wypisywaniu kart choroby, przedstawianiu ich lekarzowi i rozdawaniu lekarstw. Pozwoliło mi pozostawać w bezpośrednim kontakcie z chorymi Indusami, często kontraktowymi robotnikami, przybyłymi z Tamilu, Telugu lub północnych Indii. Nabyte doświadczenia bardzo mi się przydały, kiedy podczas wojny z Burami zgłosiłem się do pracy pielęgniarskiej przy chorych i rannych żołnierzach.

Wychowywanie dzieci nie przestawało być dla mnie sprawą palącą. Moja rodzina powiększyła się o dwóch synów, urodzonych w Afryce Południowej, a praca w szpitalu była mi bardzo pomocna przy rozwiązywaniu niejednego zagadnienia związanego z racjonalnym pielęgnowaniem dzieci.

Niezależność umysłu, którą byłem obdarzony, była stale wystawiana na próbę. Żona i ja postanowiliśmy odwołać się podczas porodu do pomocy najlepszych lekarzy, ale jak należało postąpić, jeżeli w decydującej chwili nie można będzie znaleźć ani lekarza, ani pielęgniarki? Pielęgniarką w tym przypadku powinna być indyjska kobieta, a jakże tu znaleźć w Afryce Południowej wykwalifikowaną pielęgniarkę Induskę.

Podobne zadanie byłoby dość trudne w Indiach, a cóż dopiero tutaj? Musiałem więc nauczyć się rzeczy niezbędnych przy okazaniu pomocy rodzącej kobiecie. Przestudiowałem książkę doktora Tribhuwandasa *Ma-ne Shikhaman*, czyli *Porady dla matek*, i zgodnie z zawartymi w niej wskazówkami wyniańczyłem obu moich synów, zahartowałem ich, korzystając z uprzednio nabytego doświadczenia.

Moje usługi pielęgniarskie (za każdym razem trwały około dwóch miesięcy) polegały głównie na pomocy, jaką okazywałem żonie, gdyż opieka nad niemowlętami należała wyłącznie do mnie. Przyjście na świat naszego ostatniego dziecka wystawiło mnie na niezwykle ciężką próbę. Poród przyszedł nieoczekiwanie. Lekarza nie można było nigdzie znaleźć i sporo czasu upłynęło, zanim udało mi się sprowadzić położną. Ale gdyby nawet była od razu na miejscu, nie potrafiłaby dać sobie rady. Musiałem sam odegrać rolę akuszera. Teraz dopiero okazało się, jak bardzo pomogło mi przestudiowanie podręcznika doktora Tribhuwandasa. Ani na chwilę nie straciłem panowania nad nerwami.

Sądzę, że aby móc racjonalnie wychować dzieci, rodzice powinni mieć ogólne wiadomości o tym, jak należy się obchodzić z niemowlętami i opiekować nimi.

Raz po raz stwierdzałem, że wiele pożytku przyniosły mi skrupulatne studia nad tym zagadnieniem. Gdybym nie poznał go dokładnie i nie potrafił umiejętnie zastosować zdobytych wiadomości, moje dzieci z pewnością nie cieszyłyby się tak kwitnącym zdrowiem, jak to ma miejsce obecnie. Panuje przesąd, że dziecko nie jest w stanie niczego się nauczyć w ciągu pierwszych pięciu lat swego życia. Przeciwnie: jest rzeczą niezbitą, że dziecko w późniejszych latach nigdy nie nauczy się tego, czego się nie zdołało nauczyć w ciągu pierwszych pięciu lat swego życia. Przyszły charakter dziecka kształtuje się od chwili jego poczęcia. Fizyczny i duchowy stan rodziców w chwili poczęcia dziecka odbija się później na noworodku. W okresie ciąży humory, pragnienia i usposobienie matki odbijają się na przyszłym życiu dziecka tak samo jak jej tryb życia. Po przyjściu na świat dziecko naśladuje swoich rodziców i w ciągu wielu lat dalszy jego rozwój jest całkowicie uzależniony od nich.

Małżeństwo, które zdaje sobie z tego sprawę, nie będzie utrzymywało stosunków płciowych tylko w celu zaspokojenia swej pożądliwości, lecz jedynie wtedy, gdy zapragnie ich następstw. Moim zdaniem twierdzenie, jakoby akt płciowy był czynnością samorzutną, podobnie jak sen lub zaspokajanie głodu, jest szczytem ignorancji.

Istnienie świata jest uzależnione od aktu rozmnażania się, a wobec tego, że świat jest domeną, którą rządzi Bóg, i stanowi odbicie Jego sławy, akt rozmnażania winien podlegać kontroli mającej na celu rozwój życia na ziemi. Człowiek, który to rozumie, za wszelką cenę będzie dążył do panowania nad swoimi zmysłami i uzbroi się w wiedzę, która jest niezbędna dla fizycznego, umysłowego i duchowego rozkwitu jego potomstwa, a owoce tej wiedzy przekaże przyszłości dla jej pożytku.

VII. *BRAHMAĆARJA* — I

Zbliżamy się do tego miejsca opisywanych przeze mnie dziejów, kiedy zacząłem poważnie myśleć o złożeniu ślubowania *brahmaćarja* (celibatu).

Od chwili mego małżeństwa ideałem, który mi przyświecał, była monogamia, a wierność, jakiej dochowałem żonie, stanowiła część mego umiłowania prawdy. Wszakże dopiero podczas mego pobytu w Afryce Południowej uprzytomniłem sobie całą wartość przestrzegania brahmaćarji, w połączeniu z czcią należną mej żonie. Trudno mi dokładnie określić, jakie okoliczności lub która książka nadała mym myślom ten właśnie kierunek, przypominam sobie jednak, że dominującym czynnikiem był w tym przypadku wpływ Rajćandbhai, o którym już pisałem.

Dokładnie przypominam sobie rozmowę, jaką z nim odbyłem. Przy pewnej sposobności w niezmiernie pochlebnych słowach mówiłem mu o oddaniu pani Gladstone dla jej małżonka. Czytałem gdzieś, że pani Gladstone obstawała przy tym, że sama będzie przyrządzała herbatę dla swego męża, nawet w Izbie Gmin, i że ten zwyczaj stał się niemal regułą w życiu tego znakomitego małżeństwa, znanego z prowadzenia regularnego i systematycznego trybu życia.

Opowiadałem o tym poecie, bardzo przy okazji wychwalając miłość w małżeństwie.

– Które z nich dwojga bardziej zasługuje na pochwałę? – zapytał Rajćandbhai. – Miłość pani Gladstone, jako małżonki, dla swego męża, czy też jej oddanie Gladstone'owi, niezależnie od tego, co ich łączyło? Wyobraźmy sobie, że byłaby jego siostrą lub wierną służącą, okazującą mu podobne oddanie. Co powiedziałby pan w tym przypadku? Czyż nie znamy przykładów podobnie wiernych i oddanych sióstr lub służących? Albo przypuśćmy, że znajdzie

pan taką samą kochającą i oddaną istotę wśród mężczyzn, czy będzie się panu podobała w tym samym stopniu co pani Gladstone? Niechże się pan dobrze zastanowi nad poglądem wyrażonym przeze mnie.

Rajćandbhai sam był żonaty. Odniosłem wrażenie, że choć w danej chwili jego słowa brzmiały nieco szorstko, jednak zapadły mi głęboko w duszę. Czułem, że oddanie służącego jest po tysiąckroć bardziej wartościowe aniżeli żony dla męża. W poświęceniu żony dla męża trudno było doszukać się czegoś nadzwyczajnego wobec więzów, jakie ich łączyły. W tym przypadku oddanie czy poświęcenie były czymś naturalnym, natomiast trzeba było szczególnego wysiłku, by wytworzyć podobny stosunek pomiędzy panem a jego sługą. Pogląd poety na tę sprawę zaczął stopniowo brać we mnie górę.

– Jaki więc – zapytywałem siebie – powinien być mój stosunek do własnej żony? Czy moja wierność polega tylko na tym, że żona jest jedynym obiektem zaspokajania moich zmysłów? Dopóki byłem niewolnikiem swojej pożądliwości, sama wierność nie przedstawiała żadnej wartości. Chcąc być sprawiedliwym wobec mojej żony, muszę powiedzieć, że nigdy nie występowała w roli kusicielki. Zapewne dlatego tak łatwo przyszło mi złożyć ślubowanie brahmaćarji. Wystarczyło, bym tego pragnął. Na przeszkodzie stała jedynie moja słaba wola albo zmysłowość.

Nawet później, gdy moje sumienie oczyściło się pod tym względem, zbłądziłem dwukrotnie. Zbłądziłem dlatego, że przyczyna, która mnie do tego skłoniła, nie była najwyższej natury. Głównie zależało mi na tym, by nie mieć więcej dzieci. Podczas mojego pobytu w Anglii czytałem coś o środkach zapobiegających ciąży. Wspomniałem już w rozdziale, gdzie była mowa o wegetarianizmie, o głoszonej przez doktora Allinsona propagandzie regulacji urodzin. Jeżeli nawet ulegałem chwilowo tej propagandzie, to przeciwstawianie się mister Hillsa tym metodom i jego argumenty, iż należy raczej działać za pomocą impulsów wewnętrznych, a nie środków zewnętrznych, jednym słowem, posługując się opanowaniem czy też samokontrolą, wywarły na mnie w owym czasie znacznie większe wrażenie, aniżeliby się tego można było spodziewać. Uprzytamniając sobie, że nie pragnę mieć więcej dzieci, zacząłem stosować ową metodę kontroli nad sobą samym. Wykonanie tego postanowienia było połączone z ogromnymi trudnościami. Zaczęliśmy sypiać w oddzielnych łóżkach. Postanowiłem kłaść się do łóżka dopiero wtedy, gdy czułem się kompletnie wyczerpany całodzienną pracą.

Wszystkie te wysiłki nie były jednak zbyt skuteczne i kiedy dziś spoglądam wstecz, patrząc na ubiegłe lata, muszę sobie uprzytomnić, że ostateczne

postanowienie przyszło właściwie jako wspólny wynik tych niepomyślnych usiłowań.

To ostateczne postanowienie zapadło dopiero w 1906 roku. Kampania znana pod nazwą Satjagraha jeszcze się nie rozpoczęła. Nie miałem pojęcia, że się zbliża. Praktykowałem w Johannesburgu, kiedy wkrótce po ukończonej wojnie z Burami wybuchła w Natalu rebelia Zulusów. Sądziłem, że powinienem ofiarować przy tej sposobności swoje usługi rządowi Natalu. Moja oferta, jak się o tym dowiemy z innego rozdziału, została przyjęta.

Praca, którą wykonywałem, popchnęła mnie w kierunku rozmyślań nad samokontrolą i prowadziłem na ten temat obszerne dyskusje z moimi współpracownikami.

Doszedłem do przekonania, że płodzenie dzieci i konsekwentna opieka, jaką winno się je otaczać, nie dadzą się pogodzić z pracą społeczną. Byłem zmuszony do prowadzenia gospodarstwa domowego w Johannesburgu po to, by móc wykonywać swoje czynności podczas owej „rebelii".

W ciągu jednego miesiąca po zgłoszeniu moich usług musiałem zlikwidować dom, który z taką pieczołowitością umeblowałem. Żonę i dzieci zabrałem do miasta Phoenix i stanąłem na czele indyjskiego oddziału sanitarnego przydzielonego do sił zbrojnych Natalu.

Podczas uciążliwych przemarszów, które niejednokrotnie musieliśmy odbywać, w mojej głowie rozbłysła naraz następująca myśl: jeżeli istotnie pragnę poświęcić się pracy na rzecz ogółu, nie powinienem mieć więcej dzieci, muszę się wyrzec wszelkiego bogactwa i zacząć prowadzić życie *vanaprastha*, czyli człowieka, który zerwał z obowiązkiem utrzymywania własnego domu.

Praca podczas „rebelii" nie zabrała mi więcej niż sześć tygodni, ale ten krótki okres okazał się jednym z najważniejszych w moim życiu.

Coraz wyraźniej widziałem, jak wielkie znaczenie mają złożone ślubowania. Zrozumiałem wtedy, że ślubowanie nie zamyka drzwi wiodących do prawdziwej wolności, lecz przeciwnie – szeroko je otwiera. Dotychczas moim wysiłkom w tym kierunku nie towarzyszyło powodzenie, a przyczyną było to, że nie miałem dostatecznie silnej woli, że nie wierzyłem we własne siły i zbyt mało wiary pokładałem w łasce Najwyższego – toteż myśli moje błąkały się po burzliwym morzu zwątpienia. Zdałem sobie wówczas sprawę, że ociągając się ze złożeniem ślubowania, człowiek sam wystawia siebie na pokusę i że ślubowanie jest drogą wiodącą od całkowitego folgowania popędom do istotnie monogamicznego małżeństwa.

Mówiąc: „Mam zaufanie do swych usiłowań i nie chcę krępować siebie żadnym ślubowaniem…", dajemy świadectwo własnej słabości i zdradzamy chęć czynienia tego, czego powinno się unikać.

Na czym więc polega trudność powzięcia ostatecznej decyzji? Oto na przykład: postanawiam uciec przed żmiją, która – jak o tym dobrze wiem – chce mnie ukąsić, ale nie robię najmniejszego wysiłku, by uniknąć niebezpieczeństwa. Wiem przy tym, że im mniejszy będzie mój wysiłek, tym pewniejsza czeka mnie śmierć. Zmniejszenie wysiłku jest więc jednocześnie dowodem tego, iż przestałem rozumieć tak oczywisty fakt, że przecież owa żmija dąży do tego, by mnie pozbawić życia. Ponadto ta okoliczność, że potrafię na razie zdobyć się jedynie na wysiłek, oznacza, że jeszcze nie uświadomiłem sobie w dostatecznym stopniu, jak konieczne jest w tym przypadku przejście do zdecydowanego działania.

Ale wyobraźmy sobie, że moje poglądy ulegną w przyszłości zmianie – czyż mogę wobec tego związywać się jakimiś ślubowaniami?

Tego rodzaju wątpliwości niejednokrotnie odstraszają nas, ale świadczą one o tym, że nie dość jasno zdajemy sobie sprawę, czego winniśmy się wyrzec.

Oto dlaczego Niszkulanand śpiewał:

„Wyrzeczenie bez odrazy nie jest trwałe".

Gdy przeminie pożądanie, złożenie ślubowania o wyrzeczeniu staje się naturalnym i nieuniknionym jego następstwem.

VIII. *BRAHMAĆARJA* – II

Po wielu rozmowach i dojrzałym rozważeniu złożyłem ślubowanie w 1906 roku. Nie dzieliłem się aż do tego czasu moimi myślami z żoną, zasięgnąłem jednak jej rady w chwili składania ślubowania. Żona moja nie miała żadnych zastrzeżeń, natomiast powzięcie ostatecznej decyzji przychodziło mi z wielkim trudem. Nie miałem w sobie dostatecznej siły. Jak mogłem zapanować nad namiętnościami? Wyrzeczenie się wszelkich stosunków cielesnych z własną żoną wydawało mi się niezmiernie dziwaczne. Zdecydowałem się wreszcie na to, wierząc, że Bóg przyjdzie mi z pomocą.

Kiedy dziś spojrzę wstecz na dwadzieścia minionych lat od złożenia owych ślubów, odczuwam w sercu radość i zdumienie.

Począwszy od 1901 roku, z większym lub mniejszym powodzeniem usiłowałem stosować metodę panowania nad swoimi zmysłami, ale nigdy przed

1906 rokiem nie zaznałem takiego uczucia wyzwolenia i radości, jakie mnie przepełniało po złożeniu ślubowania. Dawniej pokusa mogła w każdej chwili wziąć górę nade mną, obecnie moje ślubowanie było niezawodną tarczą przeciwko niej. Z każdym dniem coraz dobitniej odczuwałem moc, jaka się kryła w brahmaćarji.

Złożyłem ślubowanie podczas pobytu w Phoenix. Zaraz po uwolnieniu się od pracy w oddziale sanitarnym udałem się do Phoenix, skąd miałem wrócić do Johannesburga. Mniej więcej po miesiącu od chwili powrotu powstała Satjagraha. Jak gdyby całkowicie bezwiednie dla mnie samego złożenie ślubowania *brahmaćarja* przygotowało mnie do podjęcia tej kampanii.

Ruch Satjagraha nie powstał na podstawie z góry opracowanego planu. Narodził się spontanicznie, bez udziału mojej woli. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wszystko, co czyniłem przedtem, prowadziło nieuchronnie do tego celu. Znacznie zredukowałem pokaźne wydatki związane z prowadzeniem domu w Johannesburgu i udałem się do Phoenix, by złożyć ślubowanie.

Uświadomienie sobie, że ścisłe przestrzeganie brahmaćarji jest równoznaczne z osiągnięciem stopnia bramina, bynajmniej nie objawiło mi się dzięki studiom nad śastrami. Rosło ono we mnie stopniowo wraz ze zdobywanym doświadczeniem. Dopiero znacznie później przeczytałem teksty z śastr związane z tym tematem. Każdy dzień po ślubowaniu uprzytomniał mi jak najdobitniej, że *brahmaćarja* zawiera w sobie zarówno zbawienie dla ciała, jak dla myśli i duszy, gdyż *brahmaćarja* przestała już być okresem uciążliwej pokuty, a była raczej źródłem pociechy i radości. Każdy dzień odsłaniał mi nowe piękno, jakie w niej tkwiło.

I chociaż było to źródłem mojej coraz większej radości, niech nikt nie sądzi, że przychodziło mi z łatwością. Jeszcze dziś, kiedy mam już z górą pięćdziesiąt sześć lat, zdaję sobie sprawę, jak trudna to sprawa. Z każdym dniem coraz bardziej uświadamiam sobie, że było to czymś w rodzaju stawiania kroków na krawędzi miecza, i rozumiem, jak bardzo jest potrzebna ani na chwilę niesłabnąca czujność.

Podstawowym warunkiem dotrzymania ślubowania jest trzymanie na wodzy podniebienia. Stwierdziłem, że całkowite panowanie nad zaspokajaniem potrzeb podniebienia ułatwia dotrzymanie wierności ślubowaniu, i dlatego kontynuowałem swoje doświadczenia w zakresie odżywiania nie tylko ze stanowiska wegetarianina, lecz i *brahmaćari*. Na podstawie tych doświadczeń przyszedłem do przekonania, że posiłki *brahmaćari* powinny być ograniczone

co do ilości, proste, pozbawione przypraw korzennych i w miarę możliwości spożywane w surowym stanie.

Sześć lat tych eksperymentów nauczyło mnie, że idealnym pożywieniem *brahmaćari* są świeże owoce i orzechy. Uczucie wyzwolenia się z mocy pożądań cielesnych, jakie mnie ogarnęło w okresie odżywiania się w ten sposób, przeminęło z chwilą, kiedy zmieniłem tę dietę. Dotrzymywanie wierności brahmaćarji nie wymagało żadnego wysiłku z mojej strony, kiedy mieszkałem w Afryce Południowej i odżywiałem się wyłącznie owocami i orzechami. Natomiast z chwilą gdy zacząłem pić mleko, znów potrzebny był znaczny wysiłek. Opowiem na właściwym miejscu o tym, jak przeszedłem z odżywiania się owocami na mleczną dietę. Zaznaczę jedynie, iż nie miałem najmniejszych wątpliwości, że mleczna dieta czyni dochowanie wierności ślubowaniu znacznie trudniejszym. Nie należy jednak wyciągać z tego twierdzenia wniosku, że każdy *brahmaćari* powinien zrezygnować z mleka. Oddziaływanie różnych rodzajów pożywienia na brahmaćarję może być stwierdzone dopiero po licznych doświadczeniach. Musiałem przeto znaleźć jakieś pożywienie składające się z owoców, mogące zastąpić mleko, jednakowo pożywne i sprzyjające racjonalnemu rozwojowi mięśni.

Lekarze, *wajdia*[92] i *hakim*, nie potrafili mi udzielić żadnej pożytecznej rady w tych sprawach. Dlatego, chociaż wiem, że mleko jest częściowo bodźcem, nie mogę na razie nikomu doradzić, aby z niego zrezygnował.

Jako pomoc z zewnątrz dla przestrzegania brahmaćarji post jest równie niezbędny jak umiejętny wybór pożywienia i jego ograniczenie. Siła oddziaływania zmysłów jest tak ogromna, że panowanie nad nimi jest możliwe jedynie w tym przypadku, jeżeli się je obwaruje przeszkodami zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. Wiadomo, że potęga zmysłów słabnie przy braku lub ograniczaniu pożywienia, i dlatego nie wątpię, iż całkowite powstrzymanie się od przyjmowania posiłków może być bardzo pomocne, jeśli chodzi o kontrolę nad zmysłami. Post nie ma jednak znaczenia dla tych, którzy przypuszczając, że wystarczy samo mechaniczne powstrzymanie się od pożywienia, pozbawiają wprawdzie swe ciało posiłków, ale w myślach rozkoszują się wszelkimi ucztami, marząc cały czas o tym, co będą jedli lub pili po przeminięciu okresu postu. Tego rodzaju post nie pomaga im ani w zapanowaniu nad potrzebami podniebienia, ani w okiełznaniu pożądliwości. Post może być pożyteczny jedynie wtedy, gdy

92 *Wajdia* – lekarze stosujący medycynę hinduską.

wyrzeczenie ze strony umysłu idzie w parze z wyrzeczeniem ciała, czyli gdy w umyśle rodzi się wstręt do tego, czego się odmawia ciału.

Umysł ludzki ma pewne „korzenie", które zapuszcza zmysłowość. Dlatego też sam fakt postu ma ograniczone działanie, kiedy człowiek przestrzegający go jest wciąż pożerany przez nurtujące go namiętności.

Należy jednak podkreślić, że całkowite pozbycie się pożądliwości seksualnej jest wręcz niemożliwe bez praktykowania postu, który jest nieodzowny przy brahmaćarji.

Wielu dążących do osiągnięcia brahmaćarji spotyka niepowodzenie dlatego, że dając swobodę innym swym namiętnościom, chcieliby żyć jak ci, którzy nie są *brahmaćari*. Ich usiłowania dałoby się porównać do postępowania tych, którzy wystawiają się na dotkliwe zimno podczas upalnych letnich miesięcy. Z łatwością można przeprowadzić linię podziału pomiędzy życiem *brahmaćari* a tego, który nim nie jest. Podobieństwo pomiędzy nimi jest jedynie złudne, natomiast różnice winny być oczywiste jak światło dzienne.

Obaj mają oczy i patrzą, ale podczas gdy *brahmaćari* posługuje się nimi, by spozierać na dzieła sławiące Boga, ten drugi widzi dokoła siebie jeno samą frywolność. Obaj mają uszy, by słyszeć, lecz podczas gdy jeden słyszy tylko same słowa głoszone ku chwale Boga, drugi cieszy się odgłosami rozpusty. Obaj niejednokrotnie czuwają do późnych godzin, ale podczas gdy jeden poświęca je modłom, ów drugi trwoni nocne godziny na rozpasanych hulankach. Obydwaj odżywiają swe ciało, lecz jeden po to jedynie, by świątynię bożą w dobrym zachować stanie, podczas gdy ów drugi ze świętego naczynia czyni cuchnący śmietnik. Każdy z nich żyje niczym przeciwległe bieguny, różnica pomiędzy nimi rośnie i w miarę upływu czasu się nie zmniejsza.

Brahmaćarja oznacza kontrolę nad zmysłami zarówno w myślach, w słowie, jak i w czynach. Z każdym dniem coraz bardziej odczuwałem potrzebę rozszerzania zakresu ograniczeń, o których była mowa wyżej. Nie ma granic dla wyrzeczeń, podobnie jak ich nie ma, gdy chodzi o brahmaćarję. Niepodobna jednak osiągnąć brahmaćarji, posługując się jedynie ograniczonym zakresem usiłowań. Dla wielu musi to pozostać na zawsze nieosiągalnym ideałem. Człowiek dążący do tego zawsze będzie sobie zdawał sprawę ze swej niedoskonałości, będzie się starał odnaleźć i wyplenić zaczajone w najtajniejszych zakamarkach jego serca resztki namiętności, po to by się ich pozbyć.

Dopóki myśl nie znajduje się pod całkowitą kontrolą woli, pełne osiągnięcie brahmaćarji jest niemożliwe. Myśl błąkająca się bezwiednie jest, właściwie

mówiąc, schorzeniem myśli, a opór stawiany przez myśl oznacza przeciwstawianie się rozumowi, co niekiedy jest trudniejsze od opierania się szalejącym wichrom.

Jednakże istnienie Boga umożliwia zapanowanie nad myślami. Niech nikt nie sądzi, że jest to niemożliwe dlatego, że jest tak trudne. To najwyższy cel, jaki można osiągnąć, i nie ma nic dziwnego w tym, że dla jego osiągnięcia jest niezbędny największy wysiłek.

Ale dopiero po powrocie do Indii przekonałem się, że podobna *brahmaćarja* jest dla człowieka niemożliwa do osiągnięcia bez maksymalnego wysiłku z jego strony. Aż do tego czasu łudziłem się, że samo odżywianie się owocami pozwoli mi wyplenić z siebie wszelkie nawyki zmysłowe, przy czym schlebiałem sobie, że nie pozostaje mi już nic więcej do zrobienia.

Nie chcę jednak wybiegać przed rozdział, w którym będzie mowa o moich wewnętrznych walkach. Niech mi wolno będzie na razie zapewnić tych, którzy dążąc do poznania Boga, pragną wstąpić na drogę, że nie powinni poddawać się rozpaczy, jeżeli wiara, jaką pokładają w Bogu, dorównuje ich ufności we własne siły.

„Podniety zmysłowe trzymają się z dala od wstrzemięźliwej duszy i tracą swój posmak. Ginie on również, gdy pozna się wielkość Wszechmocnego”[93].

Przeto Imię Jego i Jego Łaska są ostatnią ostoją dla tego, kto dąży do *moksza*.

Tę prawdę poznałem dopiero po powrocie do Indii.

IX. ŻYCIE W PROSTOCIE

Rozpocząłem życie w wygodach i dostatku, ale ten eksperyment nie był długotrwały. Co prawda z wielką starannością umeblowałem swój dom, nie udało mu się jednak w czymkolwiek mną zawładnąć. Zacząłem redukować wydatki dopiero wtedy, gdy postanowiłem zerwać z dotychczasowym trybem życia. Rachunki za pranie były dość wygórowane, a pomijając to, że pralnia nie była zbyt punktualna, dwa lub nawet trzy tuziny koszul i kołnierzy mi nie wystarczały.

Kołnierzyki trzeba było zmieniać codziennie, a koszule co najmniej co drugi dzień. Pociągało to za sobą podwójny wydatek, który uważałem za zbyteczny.

93 *Bhagawadgita,* księga 2, rozdz. 59.

Nabyłem więc wszystko, co było potrzebne do prania w domu, by zaoszczędzić nieco pieniędzy. Kupiłem również podręcznik „racjonalnego prania", przestudiowałem tę gałąź sztuki i nauczyłem jej moją żonę. Przysporzyło mi to pracy, ale jej nowość sprawiała mi nawet przyjemność.

Nigdy nie zapomnę, jak uprałem sobie pierwszy kołnierzyk. Zużyłem więcej krochmalu, aniżeli należało, żelazko nie było dostatecznie gorące, a z obawy, by nie przepalić kołnierzyka, nie wyprasowałem go dokładnie. Rezultat był taki, że chociaż kołnierzyk nie był całkiem sztywny, krochmal stale się z niego obsypywał. Udałem się do sądu w takim kołnierzyku, budząc wesołość wśród kolegów adwokatów, ale nawet w owych czasach nie dbałem o to, że mogę wydać się komuś śmieszny.

– Ha! – odpowiedziałem im – to dopiero pierwszy raz sam wyprałem kołnierzyk, dlatego sypie się z niego krochmal. Ale niewiele sobie z tego robię, tym bardziej że udało mi się was tak bardzo rozbawić.

– Przecież nie brak tu różnych pralni – wtrącił któryś z moich znajomych.

– Pralnie drogo kosztują – odrzekłem. – Wypranie kołnierzyka kosztuje prawie tyle, co sam kołnierzyk, a poza tym jest się zawsze zależnym od pralni. Wolę sam prać swoje rzeczy.

Nie udało mi się jednak przekonać przyjaciół o tym, ile zadowolenia sprawia mi samoobsługiwanie się. Z czasem zostałem tak doświadczonym specjalistą od prania bielizny, że dorównywałem w tym pralni, a wyprane przeze mnie kołnierzyki były tak samo sztywne i połyskujące jak inne.

Kiedy Gokhale przyjechał do Afryki Południowej, miał na sobie zawój, który dostał w podarunku od Mahadeo Gowindy Ranadego. Przechowywał go z największą pieczołowitością i używał jedynie w uroczystych okolicznościach. Jedną z nich był bankiet wydany na jego cześć przez Indusów zamieszkałych w Johannesburgu. Zawój był pognieciony i wymagał wyprasowania. Było niemożliwe oddać go do pralni i na czas otrzymać z powrotem. Zaofiarowałem swoje usługi.

– Mogę mieć zaufanie do was jako do adwokata, ale nie jako do specjalisty od prania! – powiedział Gokhale. – Co będzie, jeżeli zawój ulegnie zniszczeniu? Czy wiecie, Gandhi, jaką on ma dla mnie wartość?

Przy tej okazji, nie ukrywając swojej dumy, Gokhale opowiedział historię tego podarunku. Nie przestawałem nalegać, by powierzył mi tę czynność, zapewniając, że wykonam ją jak należy, aż wreszcie Gokhale pozwolił mi wyprasować zawój, a ja zasłużyłem na słowa uznania z jego strony. Od tej pory

niewiele mi zależało na tym, czy moja praca w tym zakresie znalazła również odpowiednią ocenę u innych.

Podobnie jak uwolniłem się od zależności od pralni, wyzbyłem się usług fryzjera i golarza. Każdy człowiek udający się do Anglii uczy się tam, jak należy się samemu golić, ale o ile mi wiadomo, żaden nie posiadł sztuki strzyżenia się. Musiałem się nauczyć również i tego. Pewnego razu poszedłem w Pretorii do angielskiego fryzjera, który z bardzo wyniosłą miną odmówił ostrzyżenia mnie. Niewątpliwie uraziło mnie to, ale natychmiast kupiłem nożyce do strzyżenia i sam ostrzygłem się przed lustrem. Udało mi się z większym lub mniejszym powodzeniem ostrzyc się z przodu, jeżeli zaś chodzi o tył głowy – sknociłem kompletnie. Moi przyjaciele w sądzie zareagowali na to wybuchem śmiechu.

– Gandhi! Co się przytrafiło twoim włosom? Szczury je wyskubały?

– Nie, „biały" fryzjer nie chciał dotknąć mojej czarnej czupryny – odpowiedziałem. – Musiałem więc sam się ostrzyc, bodaj byle jak.

Ta odpowiedź nie zaskoczyła moich przyjaciół. Fryzjer nie ponosił żadnej winy za odmowę ostrzyżenia mnie. Obsługując „kolorowego", narażał się na utratę klientów. Przecież i my nie pozwalamy naszym fryzjerom obsługiwać naszych braci pariasów, ludzi, których nie wolno dotknąć! Otrzymałem za to należną zapłatę w Afryce Południowej, przy tym nie raz, lecz wielokrotnie, a świadomość tego, że spotkała mnie zasłużona kara za nasze własne przewiny, mitygowała moje wybuchy gniewu.

W następnych rozdziałach opiszę, jaki ostateczny wyraz znalazło moje dążenie do korzystania wyłącznie z własnej pracy i uproszczenia swego życia.

Ziarno zostało dawno posiane, trzeba było długo podlewać jego korzonki, pielęgnować je, czekać, aż zakiełkuje i wyda owoce. Wszystko to przyszło w samą porę.

X. WOJNA Z BURAMI

Muszę pominąć wiele innych rzeczy, które mi się przytrafiły pomiędzy 1897 a 1899 rokiem, i przejść wprost do wojny z Burami.

Kiedy wojna została proklamowana, całe moje osobiste współczucie było po stronie Burów, sądziłem jednak, że nie wolno mi w podobnych wypadkach powodować się wyłącznie osobistymi przekonaniami. W mojej książce opisującej dzieje satjagrahy w Afryce Południowej szczegółowo omówiłem

toczącą się we mnie wewnętrzną walkę, nie chcę się więc powtarzać. Ciekawych zapraszam do przeczytania tych kartek. Wystarczy wyznać na tym miejscu, że lojalność w stosunku do rządów Wielkiej Brytanii popchnęła mnie do wzięcia udziału w tej wojnie po stronie Anglików.

Byłem zdania, że skoro domagam się przyznania mi praw przysługujących brytyjskiemu obywatelowi, moim obywatelskim obowiązkiem jest wziąć udział w obronie Imperium Brytyjskiego. Zdawało mi się wtedy, że Indie mogą uzyskać całkowitą niezawisłość jedynie przy pomocy i za pośrednictwem Wielkiej Brytanii. Zebrałem więc, ilu się tylko dało, moich towarzyszy i z największą trudnością udało się dopiąć tego, że ich dobrowolne zgłoszenie się do pracy w oddziałach sanitarnych zostało uwzględnione.

Przeciętnemu Brytyjczykowi wydaje się, że Indus jest tchórzliwy, że nie jest zdolny do wystawiania swego życia na ryzyko lub zainteresowania się czymś, co wykracza poza najbliższe mu sprawy.

Wielu spośród moich angielskich przyjaciół starało się ostudzić moje zapały, związane z moimi planami, ale doktor Booth popierał je najgoręcej. Przechodziliśmy u niego przeszkolenie, zdobyliśmy niezbędne świadectwa stwierdzające naszą umiejętność niesienia pomocy rannym i chorym. Mister Laughton i nieżyjący już mister Escombe również z entuzjazmem poparli mój plan, wobec tego złożyliśmy podania o skierowanie nas na front. Rząd z podziękowaniem przyjął naszą gotowość niesienia pomocy, oświadczył jednak, że na razie nasze usługi nie są potrzebne.

Ta odmowna odpowiedź mnie jednak nie zaspokoiła. Za pośrednictwem doktora Bootha zwróciłem się do biskupa Natalu. W naszym oddziale było sporo Indusów chrześcijan. Biskup był zachwycony moim projektem i obiecał, że nasze usługi zostaną przyjęte.

Czas również pracował na naszą korzyść. Burowie złożyli dowody większej odwagi, waleczności i uporu, aniżeli się tego spodziewano, a w końcu nasza pomoc okazała się potrzebna.

Nasz oddział liczył tysiąc sto uczestników, w tym około czterdziestu pełniło wyższe funkcje. Było w nim trzystu ochotników wolnych Indusów, resztę stanowili robotnicy kontraktowi. Doktor Booth również był z nami. Oddział doskonale wypełniał powierzane mu zadania. Pomimo iż pracowaliśmy poza linią ognia i korzystaliśmy z patronatu Czerwonego Krzyża, w krytycznych chwilach wzywano naszej pomocy tuż przy linii frontu. Bynajmniej nie stroniliśmy od tego. Władze wojskowe nie życzyły sobie, abyśmy się znajdowali w zasięgu ognia.

Jednak sytuacja uległa zmianie po porażce pod Spion Kop[94], a generał Buller nadesłał zawiadomienie, z którego wynikało, że aczkolwiek zgodnie z umową nie należało wystawiać naszego oddziału na niebezpieczeństwo, jednak rząd byłby nam bardzo wdzięczny, gdybyśmy zechcieli z narażeniem własnego życia podjąć się ewakuacji rannych z pola bitwy. Nie zawahaliśmy się nawet na chwilę i podczas całej akcji pod Spion Kop pracowaliśmy na samej linii frontu.

W ciągu tych kilku dni pokonywaliśmy pieszo od dwudziestu do dwudziestu pięciu mil dziennie z rannymi na noszach. Spotkał nas zaszczyt wyniesienia z pola bitwy takich żołnierzy jak generał Woodgate.

Po sześciotygodniowej służbie nasz oddział został rozwiązany. Po niepowodzeniach pod Spion Kop i Vaalkranz głównodowodzący brytyjską armią zrezygnował z usiłowań zdobycia szturmem Ladysmith oraz innych miejscowości i zastosował taktykę bardziej powolną, oczekując przybycia posiłków z Anglii oraz Indii.

Nasza skromna praca spotkała się wtedy z dużym uznaniem, a prestiż Indusów znacznie wzrósł. Pisma ogłaszały hymny pochwalne, w których powtarzał się refren: Wszyscy jesteśmy synami jednego Imperium!

Generał Buller z uznaniem podnosił w rozkazie do swego korpusu pracę naszego oddziału, a stojący na jego czele zostali odznaczeni medalem wojennym.

Społeczność indyjska organizowała się coraz lepiej. Nawiązałem bliższe stosunki z Indusami na kontraktach. Dokonywał się wśród nich proces coraz to większego uświadomienia i wreszcie ci ludzie uprzytomnili sobie, że hindusi, muzułmanie, chrześcijanie, Tamilowie, mieszkańcy Gudźaratu czy też Sindhu – wszyscy są Indusami i dziećmi jednej i tej samej matki – ojczyzny.

Każdy spodziewał się, że od tej chwili wszystkie ograniczenia, którym podlegali Indusi, zostaną uchylone. Miało się wrażenie, że na razie stosunek „białych" uległ wyraźnej zmianie. Znajomości nawiązane z „białymi" podczas wojny były nacechowane serdecznością. Poznaliśmy tysiące angielskich żołnierzy. Byli bardzo przyjaźnie usposobieni do nas i dziękowali nam za usługi, które im oddawaliśmy.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia pewnego niezmiernie miłego wspomnienia, które świadczy o tym, jak w chwili ciężkiej próby do głosu dochodzą w człowieku jego najlepsze cechy.

---

94 Spion Kop – bitwa stoczona 24 stycznia 1900 r.

Maszerowaliśmy w kierunku Chievely Camp, gdzie porucznik Roberts, syn lorda Robertsa, został śmiertelnie zraniony. Naszemu oddziałowi przypadł w udziale zaszczyt wyniesienia rannego z pola bitwy. Dzień był bardzo upalny. Każdego męczyło pragnienie. Znaleźliśmy po drodze niewielki strumyk, przy którym można było je zaspokoić. Ale kto miał się napić pierwszy? Zaproponowaliśmy, że nasza kolej przyjdzie po żołnierzach angielskich, ale ci nie chcieli pić pierwsi i domagali się, abyśmy to uczynili przed nimi. Byłem świadkiem parę minut trwającej rywalizacji: jedna strona oddawała pierwszeństwo drugiej.

XI. REFORMA SANITARNA I POMOC PODCZAS GŁODU

Nigdy nie mogłem pogodzić się z tym, by należąc do jakiejś społeczności, pozostawać w niej całkowicie bezczynny. Byłem zdecydowanym przeciwnikiem ukrywania słabości swego środowiska, pobłażania mu i walki o jego prawa bez uprzedniego oczyszczenia go z wad. Dlatego właśnie od czasu zamieszkania w Natalu czyniłem wszystko, by unaocznić naszej społeczności te wszystkie zarzuty, jakie nie bez słuszności mu stawiano.

Niejednokrotnie wysuwano przeciwko nam zarzut, że Indusi prowadzą niechlujny tryb życia, że nie potrafią utrzymywać domostw i najbliższego otoczenia w należytej czystości. Wprawdzie czołowi przedstawiciele naszej społeczności już zaczęli doprowadzać do porządku swoje domy, ale powszechna inspekcja sanitarna podjęta została dopiero wtedy, gdy spodziewano się nieuniknionego wybuchu epidemii w Durbanie. Postanowiono dokonać jej po szeregu narad i uzyskaniu zgody ojców miasta, którzy życzyli sobie naszego współdziałania. Współpraca z nami ułatwiała im zadanie, a jednocześnie była pomocna dla nas.

Wiadomo bowiem, że ilekroć gdzieś wybucha epidemia, władze z reguły „tracą głowę", wydają przesadne zarządzenia i zachowują się w taki sposób, że swoimi surowymi środkami działania wywołują powszechne niezadowolenie. Naszej społeczności udało się uniknąć tego wszystkiego dzięki dobrowolnie podjętym krokom. Przy tej okazji przeżyłem sporo gorzkich chwil. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na pomoc naszej gminy, gdy chodzi o wykonywanie obowiązków, i że łatwiej jest skłonić ją do walki o należne jej prawa.

W jednym miejscu spotkały mnie obelgi, gdzie indziej ugrzeczniona obojętność. Widocznie zmuszenie ludzi, by sami przestrzegali czystości, było

niemożliwe do osiągnięcia. O tym, by mieli jeszcze znaleźć potrzebne na ten cel pieniądze, nie można było nawet marzyć.

Doświadczenie nabyte przy tej sposobności nauczyło mnie lepiej niż wszystkie poprzednie, że trzeba rozporządzać bezgraniczną cierpliwością, chcąc przyzwyczaić ludzi do wykonywania jakichś czynności. To jedynie reformatorowi zależy na dokonywaniu reformy, nie zaś społeczeństwu. Od niego reformator w najlepszym razie może oczekiwać sprzeciwu, odrazy, a nawet grożącego śmiercią prześladowania. Zresztą dlaczego społeczeństwo nie miałoby uważać za wsteczne tego, co dla reformatora jest droższe ponad samo życie?

Niemniej przeto wynik tej akcji był taki, że ludność indyjska zrozumiała konieczność utrzymywania swoich domostw i przylegających do nich terenów w czystości. Zaskarbiłem sobie jednocześnie uznanie u władz, które przekonały się, że chociaż zawzięcie walczyłem o uchylenie zarządzeń krzywdzących Indusów i domagałem się przywrócenia im należnych praw, jednak nie mniej energicznie i uporczywie żądałem od swych rodaków schludności i czystości.

Pozostawało jeszcze jedno zadanie do spełnienia, a mianowicie rozbudzenie w przesiedleńcach indyjskich poczucia obowiązku względem kraju macierzystego. Indie były ubogie, przesiedleńcy indyjscy udawali się do Afryki Południowej w pogoni za dostatkiem, a ich obowiązkiem winno było być przeznaczenie bodaj części zarobków na rzecz rodaków w chwilach, gdy spadały na nich przeciwieństwa losu.

Tak właśnie postępowali w 1898 i 1899 roku miejscowi przesiedleńcy indyjscy w latach straszliwej klęski głodu w Indiach. Poważnie zasilili wówczas fundusze przeznaczone na walkę z głodem, przy czym w 1899 ta pomoc była znacznie wydatniejsza aniżeli w 1897 roku. Zwróciliśmy się również do Anglików o składanie ofiar pieniężnych na ten cel i trzeba przyznać, że nie poskąpili nam swej pomocy. Nawet kontraktowi robotnicy indyjscy uczestniczyli w tej akcji, a zapoczątkowany w okresie klęsk głodowych system powszechnych zbiórek utrzymał się w późniejszym czasie i jest mi wiadome, że Indusi zamieszkali w Afryce Południowej nigdy nie ociągali się z przesyłaniem pokaźnych kwot do Indii, gdy ich ojczyznę nawiedziła tego rodzaju powszechna klęska.

Praca na rzecz Indusów zamieszkałych w Afryce Południowej otwierała przede mną coraz to nowe drogi wiodące do poznania Prawdy. Prawda bowiem jest jak rozłożyste drzewo, które tym więcej rodzi owoców, im troskliwiej się je pielęgnuje i żywi. Im głębiej sięga się w poszukiwaniach Prawdy, tym drogocenniejsze odnajduje się ukryte w niej diamenty i tym szerszy otwiera się przed tym, kto do niej dąży, zakres służenia innym.

XII. POWRÓT DO INDII

Po zwolnieniu się od obowiązków, jakie nakładała na mnie wojna, doszedłem do przekonania, że terenem dalszej mojej pracy powinny być Indie, nie zaś Afryka Południowa. Nie znaczy to bynajmniej, że nie było już nic więcej do zrobienia w Afryce, obawiałem się raczej tego, by moje główne zajęcie nie ograniczyło się do zwykłego „zbijania majątku".

Przyjaciele pozostali w kraju również przynaglali mnie do powrotu, zresztą sam zdawałem sobie sprawę z tego, że mogę być znacznie bardziej pożyteczny w Indiach. Do pracy na miejscu, w Afryce Południowej byli: Khan i Mansukhlal Naazar. Zwróciłem się więc do ludzi, z którymi wspólnie pracowałem, by mnie zwolniono od dalszego pełnienia obowiązków. Po przezwyciężeniu wielu trudności moja prośba została uwzględniona pod warunkiem, że powinienem być gotów do powrotu, jeżeli po upływie roku okaże się, że jestem tu potrzebny.

Uważałem, że jest to dość uciążliwy warunek, ale miłość, jaka mnie łączyła z miejscowym społeczeństwem indyjskim, kazała mi na niego przystać.

Wszechmogący uwiązał mnie
Na nitce miłości z bawełny utkanej
I oto jestem Jego niewolnikiem,
Śpiewała Mirabai[95].

Dla mnie również owa „z bawełny utkana nić miłości" wiążąca mnie z naszą indyjską społecznością była zbyt mocna, bym ją mógł zerwać. Głos ludu jest głosem Boga, a w tym przypadku głos moich przyjaciół był aż nadto realny, bym go mógł odrzucić. Zgodziłem się więc na postawiony warunek i otrzymałem ich zezwolenie na wyjazd.

W owym czasie najbliższe więzy łączyły mnie jedynie z Natalem. Zamieszkali tu Indusi otaczali mnie bezgraniczną miłością. W niemal każdej miejscowości organizowano pożegnalne zebrania, na których wręczano mi bardzo kosztowne upominki.

Zanim powróciłem do Indii w 1899 roku, obdarzono mnie już różnymi podarunkami, tym razem jednak pożegnanie przechodziło wszelkie pojęcie.

95 Mirabai – poetka z XVI w., pochodząca z Radżputany.

Wśród wręczanych mi darów znajdowały się przedmioty ze złota i srebra, były też bardzo kosztowne, jak na przykład pierścień z brylantem.

Czy miałem prawo przyjmować podobne podarunki? A przyjmując je, czy mogłem przekonać siebie samego, że bezinteresownie pracuję na rzecz moich ziomków? Wszystkie te dary prócz paru, które otrzymałem bezpośrednio od klientów, były rodzajem nagrody za moją pracę społeczną, a przecież nie wolno mi było odróżniać klientów od współpracowników, bo moi klienci byli mi również pomocni, gdy chodzi o pracę na rzecz ogółu.

Jednym z darów był złoty naszyjnik wartości pięćdziesięciu gwinei, przeznaczony dla mojej żony. Ale nawet ten podarunek był złożony w związku z moją pracą społeczną i dlatego nie można go było oddzielić od pozostałych.

Tego wieczoru, kiedy dostałem szczególnie dużo podarków, spędziłem bezsenną noc. Chodziłem tam i z powrotem po pokoju ogromnie wzburzony i nie mogłem znaleźć wyjścia z tej sytuacji: z jednej strony trudno było się zrzec podarunków, których wartość sięgała setek funtów szterlingów, z drugiej – jeszcze trudniej było je zachować. A nawet gdybym mógł je zachować, co powiedziałyby na to moje dzieci? A moja żona? Wychowywałem ich w duchu służenia innym i uważania tej służby za jedyną nagrodę.

Nie posiadałem w domu żadnych kosztownych ozdób. Doprowadziliśmy tryb naszego życia do ogromnej prostoty. Jakże mogliśmy sobie pozwolić na posiadanie złotych zegarków albo na noszenie złotych łańcuchów i pierścieni z brylantami? Zwłaszcza że w owym czasie publicznie potępiałem ludzi opętanych żądzą gromadzenia kosztowności. Cóż więc należało zrobić z tymi, które teraz spadły na nas?

Doszedłem do wniosku, że nie powinienem zachować tych przedmiotów na własny użytek. Napisałem pismo, które miało na celu utworzenie nad tymi kosztownościami, ofiarowanymi przeze mnie naszej społeczności, czegoś w rodzaju kuratorium, w skład którego wchodził pars Rustomdźi oraz inni kuratorzy. Z rana odbyłem naradę z żoną i dziećmi i wreszcie pozbyłem się tego uciążliwego daru.

Wiedziałem, że będę miał pewne trudności z wyperswadowaniem tego wszystkiego żonie oraz że nie napotkam żadnych, gdy chodzi o moje dzieci. Postanowiłem więc, że one będą moimi adwokatami.

Dzieci zgodziły się na moją propozycję i powiedziały:

– Te kosztowne prezenty nie są nam potrzebne. Musimy je zwrócić naszej gminie, a gdyby nam były kiedykolwiek potrzebne, to je sobie sami kupimy!

Byłem zachwycony.

– Więc postaracie się sami przekonać matkę? – zapytałem.

– Ależ oczywiście. To do nas należy. Matka wcale nie chce nosić tych kosztowności, będzie chciała je zachować dla nas, a skoro my nie będziemy chcieli ich mieć, dlaczego nie miałaby się z nimi rozstać?

Łatwiej było to powiedzieć, aniżeli wprowadzić w czyn.

– Bardzo możliwe, że tobie one są niepotrzebne – odpowiedziała moja żona – i naszym dzieciom również. Aby ci się przypodobać, tańczą, jak im zagrasz. Rozumiem, że możesz sobie nie życzyć, abym nosiła te klejnoty, a co na to powiedzą nasze przyszłe synowe? Z pewnością będą chciały je mieć. A zresztą, kto wie, co będzie jutro? Nie zgodzę się na oddanie podarunków, które nam wręczono z takimi dowodami miłości!

Dalej przyszła cała powódź wszelakich argumentów, popartych na samym końcu łzami. Ale dzieci były niewzruszone – ja również.

Możliwie najłagodniej wtrąciłem:

– Minie jeszcze sporo czasu, zanim nasi synowie się ożenią. Nie chcemy przecież, by wstępowali w związki małżeńskie za młodych lat. Kiedy podrosną, sami będą dbali o siebie. Jestem pewien, że znajdziemy dla naszych synów narzeczone, które nie będą łase na wszelkie klejnoty. A wreszcie, nie widzę potrzeby obdarowywania ich kosztownościami, skoro ja jeszcze żyję. Zwrócisz się do mnie, kiedy ci będą potrzebne!

– Mam się zwrócić do ciebie? Zanadto dobrze ciebie znam! Pozbawiłeś mnie moich kosztowności i nie chcesz mi teraz zostawić tych. Nie mogę sobie wyobrazić, abyś ty ofiarował klejnoty przyszłym żonom swoich synów! I to właśnie ty, który chcesz zrobić z moich chłopców *sadhu* (świętych)? Nie! Nie oddam tych kosztowności! Chciałabym również wiedzieć, jakim prawem rozporządzasz moim naszyjnikiem?

– Odpowiedz mi, proszę – odrzekłem – czy ten naszyjnik został ci ofiarowany za twoje zasługi czy też za moje?

– Zgadzam się z tym, ale twoje zasługi są również i moimi zasługami. Kto dniem i nocą harował i pracował dla ciebie? Czy to nie jest zasługą? Zwaliłeś wszystkie obowiązki na mnie, kazałeś mi płakać gorzkimi łzami, a ja pracowałam jak niewolnica.

Kosztowności miały być złożone w depozycie, ale niektóre pozostały w domu. Byłem jednak zdecydowany je zwrócić. Wreszcie udało mi się uzyskać zgodę żony. Wszystkie podarunki otrzymane w 1896 i 1901 roku zostały

zwrócone. Utworzono rodzaj kuratorium, kosztowności zdeponowano w banku, z tym że zgodnie z moim uznaniem i zgodą kuratorów mogły być użytkowane na cele naszej społeczności.

Niejednokrotnie się zdarzało, że kiedy potrzebne mi były fundusze dla celów publicznych, musiałem się zwracać po nie do kuratorium i uzyskiwałem potrzebną kwotę, nie naruszając pieniędzy znajdujących się w rozporządzeniu kuratorów. Fundusz zakładowy istnieje do dzisiaj, pomimo iż w razie potrzeby sięgano do niego, przy czym warto zaznaczyć, że się systematycznie powiększał.

Nigdy nie żałowałem tego kroku, a z biegiem czasu moja żona również uznała go za słuszny. Uchronił nas on przed licznymi pokusami.

Stanowczo jestem zdania, że działacz społeczny nie powinien przyjmować żadnych kosztownych upominków.

XIII. ZNÓW W INDIACH

Awięc odpłynąłem do domu. Jednym z portów, w którym nasz statek zatrzymał się po drodze na dłużej, był Mauritius, wobec czego wysiadłem na ląd i dość dobrze przyjrzałem się panującym tam stosunkom.

Na jedną noc byłem gościem Sir Charlesa Bruce'a, gubernatora tej kolonii, który mnie u siebie podejmował.

Po przybyciu do Indii pewien czas spędziłem, jeżdżąc po całym kraju. Był to rok 1901, kiedy zjazd Indyjskiego Kongresu Narodowego miał miejsce w Kalkucie, a przewodniczył mu mister (później Sir) Dinshaw Wacza. Oczywiście i ja byłem tam obecny. Było to moje pierwsze zetknięcie się z Kongresem.

Podróż do Bombaju odbyłem tym samym pociągiem co Sir Pherozeszah Mehta, gdyż chciałem z nim porozmawiać na temat warunków panujących w Afryce Południowej. Znałem królewski tryb życia, jaki on prowadził. Sir Pherozeszah miał zamówiony dla siebie oddzielny wagon – salonkę. Polecono mi skorzystać ze sposobności i porozmawiać z nim, odbywając w tej właśnie salonce pewien odcinek podróży.

Udałem się więc na umówionej z góry stacji do tego wagonu i zameldowałem swoje przybycie. Wraz z Sir Pherozeszahem znajdował się tam mister Wacza i późniejszy Sir Czimanlal Setalvad. Rozmowa toczyła się na tematy polityczne.

Gdy tylko Sir Pherozeszah mnie zobaczył, natychmiast zwrócił się do mnie słowami:

– Gandhi, mam wrażenie, że nic nie da się dla was zrobić. Możemy, oczywiście, uchwalić rezolucję, jaką chcecie mieć, ale czy nam przysługują jakiekolwiek prawa w naszym własnym kraju? Wydaje mi się, że dopóki nie przejmiemy władzy, trudno domagać się poprawy naszego losu w koloniach.

Byłem tym niezmiernie zaskoczony. Mister Setalvad zdawał się podzielać ten pogląd, a mister Wacza spojrzał bardzo znacząco.

Usiłowałem bronić swojej sprawy wobec Sir Pherozeszaha, ale nie mogło być nawet mowy o tym, by ktoś taki jak ja mógł odnieść zwycięstwo nad niekoronowanym królem Bombaju. Zadowoliłem się tym, że wolno mi było zgłosić własną rezolucję.

– Zechce pan oczywiście pokazać mi przedtem tę rezolucję – powiedział mister Wacza, chcąc mnie podtrzymać na duchu. Podziękowałem mu i opuściłem wagon na najbliższej stacji.

Przybyliśmy do Kalkuty. Przewodniczącego z wielkimi honorami odwieziono do głównej kwatery Kongresu. Zapytałem któregoś z młodzieńców pełniących służbę ochotniczą, dokąd mam się udać. Ten zaprowadził mnie do Ripon College, gdzie ulokowano niektórych delegatów. Szczęście mi sprzyjało. Zostałem umieszczony w tym samym bloku co Lokamanja. Przypominam sobie, że przybył o dzień później.

Lokamanja, jak zwykle, nie ominął sposobności urządzenia darbaru[96]. Gdybym był malarzem, namalowałbym go, jak siedzi na swoim łóżku; tak żywo pozostała mi w pamięci cała ta scena. Z ogromnej liczby osób, które przyjmował, dziś przypominam sobie jedynie jedną, a mianowicie nieżyjącego już Babu Motilala Ghose'a, redaktora pisma „Amrita Bazar Patrika". Niepodobna zapomnieć ich wybuchów śmiechu i wymiany zdań na temat błędów rasy panującej.

Warto przyjrzeć się temu, co się działo w kwaterze Kongresu. Roiło się tam od służby ochotniczej, ale gdy zapytano któregoś z nich o coś, ten odsyłał do drugiego, ów drugi do trzeciego i tak dalej. Jeśli zaś chodzi o delegatów, nie było ich ani tu, ani gdzie indziej.

Zaprzyjaźniłem się z niektórymi „ochotnikami". Opowiedziałem im coś niecoś o Afryce Południowej i widziałem, że ogarnia ich uczucie wstydu. Usiłowałem im wytłumaczyć, na czym polega tajemnica służenia innym. Miałem wrażenie, że mnie zrozumieli, ale te sprawy nie dojrzewają tak szybko jak grzyby

96 *Darbar* – z perskiego: dwór, uroczyste zebranie dworskie, przyjęcie. W księstwach indyjskich także rada wykonawcza.

po deszczu. Przede wszystkim jest potrzebna wola, a następnie – doświadczenie. Tym młodym chłopcom o dobrych sercach zapewne nie brakło dobrej woli, cóż kiedy nie mieli najmniejszego doświadczenia.

Kongres zbierał się co roku na okres trzech dni, a następnie zapadał w drzemkę. Czego więc można było się nauczyć podczas tych trzech „pokazowych" dni urządzanych raz do roku? Delegaci byli nie lepsi od owych ochotników, a ich przygotowanie do działalności publicznej wcale nie było większe. Poza tym nie chcieli sami nic robić. „Ochotniku, zrób to!" – oto stałe rozkazy, jakie wydawali.

Nawet tu musiałem się blisko zetknąć z zagadnieniem „niedotykalnych". Kuchnie Tamilów znajdowały się dość daleko od innych, gdyż dla delegatów z Tamilu sam widok innych ludzi spożywających posiłki był czymś, co ich rzekomo mogło skalać! Trzeba więc było zainstalować dla nich specjalne kuchnie za ogrodzeniem z wikliny oddzielającym tereny należące do college'u. Było tam pełno gryzącego dymu. Wszystko mieściło się razem: kuchnia, sala jadalna, umywalnie. Dla mnie było to czymś w rodzaju parodii warnadharmy[97].

Jeżeli pomiędzy delegatami – myślałem w duchu – jest tyle dzielących ich różnic, które sprawiają, że jedni dla drugich są „niedotykalnymi" istotami, to można sobie wyobrazić, jak te sprawy wyglądały u ich wyborców. Na samą myśl o tym z mojej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

Warunki sanitarne przechodziły wszelkie pojęcie. Wszędzie stały kałuże wody. Było zaledwie kilka ustępów, a na samo wspomnienie smrodu, jaki bił stamtąd, robi mi się niedobrze. Pokazałem to wszystko wolontariuszom, ci zaś odpowiedzieli mi po prostu: „To do nas nie należy, to robota asenizatorów!". Zażądałem przyniesienia mi miotły. Mój rozmówca spojrzał na mnie ze zdumieniem. Zdobyłem wreszcie jakąś miotłę i oczyściłem latrynę. Była jednak tylko do mego użytku. Zapotrzebowanie było ogromne, a ustępów było mało, trzeba więc było czyścić je dość często, co jednak było ponad moje siły. Musiałem więc ograniczyć się do tego, że przynajmniej oczyściłem wszystko dokoła siebie. Inni niewiele sobie robili ze smrodu i brudu.

Ale to nie było wszystko. Niektórzy z delegatów nie wahali się robić użytku z ganeczków otaczających ich pokoje dla zaspokajania w ciągu nocy swych potrzeb naturalnych. Pokazałem to z rana ochotnikom, ale żaden z nich nie zdradzał

97 *Warnadharma* – obowiązki nakładane na cztery warstwy podstawowe społeczeństwa hinduskiego.

chęci oczyszczenia tych miejsc, a ja nie mogłem znaleźć ani jednego, który by zechciał podzielić ze mną zaszczyt doprowadzenia ganeczków do porządku.

Warunki wprawdzie uległy z biegiem czasu znacznej poprawie, ale i dziś niektórzy bezmyślni delegaci mało sobie robią z tego, że kwatera Kongresu zamienia się w coś wręcz obrzydliwego, a ochotnicy nie zawsze są skorzy do sprzątania.

Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli posiedzenia kongresowe potrwają dłużej, panujące tu warunki mogą sprzyjać jedynie wybuchowi epidemii.

XIV. URZĘDNIK I OPIEKUN

Za dwa dni miały się rozpocząć obrady Kongresu. Postanowiłem zaproponować swe usługi biuru Kongresu, mając na celu zdobycie doświadczenia w tych sprawach. Kiedy więc po przybyciu do Kalkuty skończyłem codzienne ablucje, udałem się do organizacyjnego biura Kongresu.

Sekretarzami byli Babu Bhupendranath Basu i Ghosal. Zwróciłem się do Bhupenbabu, ofiarując swoje usługi. Przyjrzał mi się i rzekł:

– Nie mam żadnej pracy dla was. Udajcie się do Ghosalbabu, możliwe, że on będzie mógł wam coś zaproponować.

Poszedłem więc do niego. Ghosalbabu również przyjrzał mi się i powiedział z uśmiechem:

– Mogę wam, młody człowieku, zaproponować jedynie biurową pracę. Czy zgodzilibyście się?

– Ależ naturalnie. Jestem tu po to, by robić wszystko, do czego byłbym zdolny.

– To słuszny pogląd, młodzieńcze! – Po czym zwracając się do otaczających go wolontariuszy, powiedział: – Słyszycie, co ten młody człowiek mówi?

Następnie znów zwrócił się do mnie, mówiąc:

– A więc dobrze. Oto sterta listów do przejrzenia. Bierz krzesło i zabieraj się do roboty. Jak widzisz, młodzieńcze, setki ludzi przychodzą tu do mnie. Co mam wpierw robić? Rozmawiać z nimi czy odpowiadać na tę powódź listów? Nie mam żadnego urzędnika, któremu mógłbym powierzyć podobną pracę. Wiele z tych listów jest bez znaczenia, ale należy je przejrzeć. Proszę wybrać te, które przedstawiają jakąś wartość, i zreferować te, na które trzeba odpowiedzieć.

Byłem niezmiernie uradowany zaufaniem, jakim mnie obdarzono.

Powierzając mi tę pracę, Ghosal nic o mnie nie wiedział, dopiero później zasięgnął informacji co do mojej osoby.

Uważałem, że powierzona mi praca nie przedstawia żadnych trudności: trzeba było po prostu posegregować tę nagromadzoną korespondencję. Zrobiłem to bardzo szybko, z czego Ghosal był bardzo zadowolony. Był dość gadatliwym człowiekiem, potrafił mówić całymi godzinami. Kiedy się dowiedział, kim jestem, było mu przykro, że obarczył mnie jakąś nic nieznaczącą, urzędniczą pracą. Starałem się go uspokoić:

– Proszę, niech pan sobie nic z tego nie robi… Czymże jestem w porównaniu z panem? Pan osiwiał w pracy dla Kongresu i jest moim przełożonym, natomiast ja jestem jeszcze młodzikiem, który nie posiada żadnego doświadczenia. Jestem panu niezmiernie wdzięczny za to, że mi pan powierzył tę pracę. Chciałem coś zrobić dla Kongresu, dzięki panu mam rzadką sposobność wejrzenia w szczegóły.

– Prawdę powiedziawszy – rzekł Ghosal – w tym właśnie kryje się istotny sens. Niestety, nasza młodzież nie zdaje sobie z tego sprawy. To prawda, że znam te problemy od chwili narodzin Kongresu i miałbym prawo podzielić z mister Humem zasługę powołania do życia naszego Kongresu.

Nawiązaliśmy ze sobą przyjazne stosunki i Ghosal koniecznie chciał, abym jadał obiady razem z nim.

Ghosal przyzwyczaił się do tego, że guziki przy koszuli zapinał mu służący. Chętnie podjąłem się ochotniczego pełnienia tych obowiązków i bardzo je polubiłem, zawsze bowiem żywiłem wiele szacunku dla ludzi starszych. Kiedy Ghosal dowiedział się o tym, nie miał nic przeciw temu, bym mu oddawał drobne przysługi. Właściwie był nawet bardzo z tego zadowolony.

Zwracając się do mnie z prośbą, bym zapiął mu koszulę, zwykł mówić:

– Widzisz, mój drogi, sekretarz Kongresu nie ma czasu nawet na zapięcie koszuli… Zawsze ma coś innego do roboty!

Naiwność Ghosala bawiła mnie, nie budząc zresztą żadnej niechęci do wykonywania podobnych czynności. Pożytek, jaki z tego odniosłem, był ogromny.

Po paru dniach byłem dokładnie obznajmiony z pracą Kongresu. Spotykałem się z większością przywódców i miałem możność przyjrzenia się czynnościom głównych organizatorów, jak Gokhale i Surendranath. Zauważyłem również, ile czasu traci się niepotrzebnie. Z przykrością musiałem też skonstatować, jak dominującą rolę odgrywa język angielski w naszych sprawach. Niewiele robiono sobie z oszczędzania energii. Niekiedy zadanie, jakie mogła wykonać

jedna osoba, spełniało paru ludzi, a do poważnej roboty często nie można było znaleźć nikogo.

Pomimo iż dość krytycznym wzrokiem oceniałem te właśnie sprawy, starałem się być pobłażliwy i ostatecznie dochodziłem do wniosku, że w danych okolicznościach trudno było zdobyć się na coś lepszego. Te myśli chroniły mnie od niedoceniania pracy, jaką wykonywałem.

XV. NA KONGRESIE

areszcie jestem na Kongresie. Olbrzymia hala, szeregi ochotników stojących na baczność, na podium honorowi członkowie i władze Kongresu – oszołomiły mnie. Nie wiedziałem, gdzie wśród tego licznego zgromadzenia znajdzie się miejsce dla mnie.

Przemówienie przewodniczącego stanowiło osobną książkę. Nie było mowy o tym, by ktoś był w stanie przeczytać ją od początku do końca. Odczytano z niej zaledwie parę ustępów.

Następnie przystąpiono do wyboru komisji, która miała się zająć redagowaniem rezolucji. Gokhale wciągnął mnie do tej komisji.

Sir Pherozeszah wprawdzie zgodził się na zgłoszenie przeze mnie wniosku, byłem jednak ciekaw, kto zechce go przedstawić komisji i kiedy to nastąpi. Każdej rezolucji towarzyszyły długie przemówienia, prawie wszystkie po angielsku, a ponadto każda rezolucja miała poparcie któregoś ze znanych przywódców. Moja brzmiała w tym chórze niczym słabiutka piszczałka wśród bicia w stare, wypróbowane bębny, a kiedy zapadła noc, moje serce zaczęło kołatać coraz mocniej.

Uchwały zostawione na sam koniec były, o ile sobie przypominam, omawiane z piorunującą szybkością. Każdy chciał już iść do domu. Była jedenasta w nocy. Nie miałem odwagi, by zabrać głos. Spotkałem się z Gokhalem, który już znał treść zgłoszonej przeze mnie rezolucji. Przysunąłem swoje krzesło bliżej niego i szepnąłem:

– Bardzo pana proszę, niech pan coś zrobi dla mnie!

Na co Gokhale odpowiedział mi:

– Nie zapomniałem o pańskim wniosku, widzi pan jednak, jak szybko przechodzi się tutaj nad nimi. Obiecuję panu, że nie zgodzę się, by go zbagatelizowano.

– A więc wszystkie sprawy zostały załatwione? – zapytał Sir Pherozeszah Mehta.

– Nie, pozostaje jeszcze wniosek w sprawie Afryki Południowej. Gandhi od dawna czeka na jego omówienie – zawołał Gokhale.

– Zna pan treść tego wniosku? – zapytał Sir Pherozeszah.

– Oczywiście.

– Czy uważa go pan za słuszny?

– Jest dobry.

– W takim razie niech Gandhi go odczyta.

Drżącym głosem odczytałem projekt mojej rezolucji. Gokhale ją podtrzymał.

– Przyjęta jednogłośnie! – zawołał ktoś.

– Gandhi, daję panu pięć minut na wygłoszenie przemówienia – oświadczył mister Wacza.

Cała ta procedura nie bardzo mi odpowiadała. Nikt nie zadał sobie trudu wniknięcia w sens zgłoszonego wniosku, wszyscy śpieszyli się do domu, a jedynie dlatego, że Gokhale znał ten wniosek, uważano, że nie ma już potrzeby dyskutowania lub zastanawiania się nad nim.

Ranek zastał mnie z głową pełną kłopotów, jakich mi przysparzało wygłoszenie przemówienia w obronie własnego wniosku. Co można powiedzieć w ciągu pięciu minut? Byłem bardzo dobrze przygotowany, ale wszystkie słowa mi pouciekały. Postanowiłem, że nie będę czytał swego przemówienia, lecz wygłoszę je *ex tempore*. Jednak umiejętność przemawiania nabyta w Afryce Południowej niemal mnie opuściła w danej chwili.

Kiedy przyszła kolej na mnie, mister Wacza wywołał moje nazwisko. Wstałem. Czułem, że kręci mi się w głowie. Jakoś odczytałem treść proponowanej przeze mnie rezolucji. Ktoś przedtem ogłosił w druku i kolportował wśród obecnych poemat napisany na cześć tych, którzy emigrują do obcych krajów. Odczytałem ten wiersz, dołączając go do opisu cierpień, na jakie są wystawieni Indusi osiadli w Afryce Południowej. W tej samej chwili mister Wacza zadzwonił. Byłem pewien, że wyznaczony mi czas jeszcze nie upłynął. Nie wiedziałem, że dzwoni się, aby przestrzec mówcę, że pozostały mu tylko dwie minuty. Byłem świadkiem, jak inni mówcy przemawiali pół godziny, a nawet czterdzieści pięć minut, i dzwonek ich nie ostrzegał. Czułem się urażony i usiadłem zaraz potem, gdy rozległ się dzwonek. W swojej naiwności sądziłem, że ów wiersz zawiera odpowiedź na stanowisko zajęte przez Sir Pherozeszaha.

Nie było mowy o tym, by wniosek mógł być odrzucony.

W owych czasach pomiędzy gośćmi na Kongresie a delegatami zachodziła niewielka różnica. Każdy podnosił rękę i wszystkie wnioski uzyskiwały jednomyślność. Mój wniosek przeszedł w podobny sposób i przez to stracił dla mnie wszelkie znaczenie, a przecież sam fakt, że został uchwalony przez Kongres, powinien był napełnić moje serce radością, gdyż aprobata Kongresu, oznaczająca opinię całego kraju, mogłaby zadowolić każdego.

XVI. PRZYJĘCIE U LORDA CURZONA

Kongres się skończył, wobec tego jednak, że miałem wyznaczone spotkanie w Izbie Handlowej w sprawach związanych z moim pobytem w Afryce Południowej, zostałem w Kalkucie jeszcze cały miesiąc. Tym razem zamiast zamieszkać w hotelu, postarałem się o wprowadzenie mnie do India Clubu i otrzymanie tam pokoju. Wśród jego członków było wielu znanych Indusów, pragnąłem więc nawiązać z nimi stosunki i zainteresować ich stanem rzeczy w Afryce Południowej.

Gokhale bywał częstym gościem w tym klubie, gdzie grywał w bilard, a kiedy się dowiedział, że zostałem w Kalkucie, zaprosił mnie, bym u niego zamieszkał. Podziękowałem mu za zaproszenie, nie sądziłem jednak, by mi ono odpowiadało. Gokhale czekał dzień czy też dwa i wreszcie sam przybył, by mnie zabrać do siebie. Widząc, że się ociągam, powiedział do mnie:

– Gandhi, jeżeli chce pan zostać tutaj, musi pan wiedzieć, że nie można prowadzić tak odosobnionego trybu życia. Musi pan utrzymywać stosunki z możliwie najszerszym kręgiem osób. Chcę, aby pan pracował dla Kongresu.

Zanim przystąpię do opisania historii mojego zamieszkania u Gokhalego, chcę opowiedzieć o pewnym incydencie, jaki się wydarzył w India Club.

Lord Curzon urządzał wtedy uroczyste przyjęcie, *darbar.* Niektórzy zaproszeni radźowie i maharadźowie byli członkami klubu. Spotykałem ich tam wystrojonych w wykwintne *dhoti* z Bengalu, jedwabne koszule i zawoje. W dniu darbaru wkładali spodnie odpowiednie dla *khansam* (kelnerów) i wysokie, połyskujące buty. Z przykrością patrzyłem na to i zapytałem jednego z nich o powód takiej zmiany ubioru.

– My jedni wiemy, jak nieszczęsna jest nasza sytuacja. My jedni wiemy, jakie obelgi spadają na nas za to, że posiadamy majątki i tytuły – odpowiedział mi.

– Ale cóż mają oznaczać te kelnerskie turbany i te błyszczące buty? – zapytałem.

– A czy pan dostrzega jakąś różnicę pomiędzy tymi, którzy noszą te turbany, a nami? – odrzekł mi, dodając po chwili: – To są nasze symbole lokajstwa, jesteśmy służącymi lorda Curzona. Gdybym nie był obecny na przyjęciu, musiałbym ponieść przykre konsekwencje. Gdybym zjawił się w moim zwykłym odzieniu, byłoby to uważane za obrazę. Czy panu się zdaje, że będę miał tam sposobność rozmawiania z lordem Curzonem? Skądże znowu!

Serdecznie było mi żal tego szczerze mówiącego przyjaciela.

Przypomina mi to inne uroczyste przyjęcie. Miało ono miejsce, kiedy lord Hardinge zakładał fundamenty pod przyszły indyjski uniwersytet. Na tej uroczystości obecni byli – rzecz oczywista – różni radźowie i maharadźowie, a ponieważ pandit Malawijadźi przysłał mi specjalne zaproszenie, więc i ja również byłem obecny na niej.

Rozpacz mnie po prostu brała, gdy patrzyłem na maharadźów przystrojonych, niczym kobiety, w jedwabne pidżamy i aczkany (surduty), naszyjniki z pereł, bransolety, w turbanach przybranych sznurami z pereł i diamentów, ze zwisającymi u boku mieczami o złotych rękojeściach.

Uprzytomniłem sobie, że nie są to bynajmniej oznaki ich władzy, lecz przeciwnie – poddaństwa. Sądziłem, że z własnej woli wkładają na siebie wszystkie te kosztowności, powiedziano mi jednak, że radżowie są obowiązani ubierać się w te klejnoty przy takich okazjach. Dowiedziałem się również, że niektórzy z nich wyraźnie nie lubią nosić owych kosztowności i że poza darbarami nigdy ich nie wkładają na siebie.

Nie wiem, jak dalece ścisłe są posiadane przeze mnie wiadomości, ale niezależnie od tego, czy radźowie noszą je przy innych okazjach, czy też nie, wydaje mi się dość upokarzające obwieszanie się na przyjęcie u wicekróla klejnotami, które noszą jedynie pewnego typu kobiety.

Jakże wielkiej daniny grzechu i błędów wymaga od człowieka bogactwo, władza i przestrzeganie jej powagi.

XVII. MIESIĄC Z GOKHALEM – I

Gokhale od pierwszego dnia, kiedy zamieszkałem u niego, uczynił wszystko, bym się czuł jak we własnym domu. Traktował mnie jak młodszego brata, starał się poznać wszystkie moje potrzeby i je zaspokoić. Na szczęście były bardzo nieliczne, a wobec tego, że byłem wierny zasadzie

niekorzystania z cudzych usług, nie sprawiałem wiele kłopotu. Moje przyzwyczajenie „samoobsługi", przestrzeganie czystości, a także moja wytrwałość i systematyczny tryb życia robiły na nim dość duże wrażenie i Gokhale często wyrażał swój podziw dla mnie.

Nie miał przede mną żadnych tajemnic. Przedstawił mnie wielu wybitnym osobom, które zwracały się do niego. Jedną z nich, która szczególnie wryła mi się w pamięć, był doktor (obecnie Sir) P.C. Ray. Był naszym najbliższym sąsiadem i często nas odwiedzał.

Oto jak Gokhale przedstawił mi doktor Raya:

– To jest profesor Ray, którego miesięczna pensja wynosi osiemset rupii, z których dla siebie zatrzymuje czterdzieści, a resztę przeznacza na cele społeczne. Nie ożenił się dotychczas i powiada, że nigdy tego nie zrobi.

Nie dostrzegam wielkiej różnicy pomiędzy tym, jak dziś wygląda doktor Ray, a jakim był dawniej. Ubiera się tak samo skromnie, z tą jedynie różnicą, że dzisiejsze *khadi* wtedy zastępowała bawełniana, fabryczna tkanina. Nie mogłem po prostu dość się nasłuchać, kiedy Gokhale i doktor Ray rozpoczynali swe gawędy dotyczące bądź jakichś zagadnień natury społecznej, bądź spraw o znaczeniu wychowawczym. Niekiedy te rozmowy bywały bolesne, gdyż zawierały ostrą krytykę działaczy społecznych. Rezultat był ten, że niektórzy z uważanych przedtem przeze mnie za niezłomnych bojowników okazywali się marnymi kreaturami.

Patrzeć na Gokhalego, kiedy pracował, było zarówno przyjemnością, jak doskonałą szkołą. Ten człowiek nigdy nie marnował ani jednej chwili. Wszystkie prywatne stosunki i przyjaźnie, jakie utrzymywał, miały na celu dobro publiczne. Wszystkie rozmowy dotyczyły wyłącznie spraw związanych z zagadnieniami mającymi na względzie dobro kraju i były pozbawione śladu obłudy lub nieszczerości. Ubóstwo i poddaństwo Indii stanowiły nieprzemijający i poważny przedmiot jego troski. Różni ludzie usiłowali wzbudzić w nim zainteresowanie do rozmaitych spraw, ale Gokhale miał na to jedną i tę samą odpowiedź:

– Możecie się sami zająć tymi sprawami. Pozwólcie, że będę robił swoje. Moim dążeniem jest zdobycie wolności dla mojego kraju. Kiedy ją uzyskam, pomyślimy o innych sprawach. Obecnie to jedno zagadnienie jest wystarczające, bym mu poświęcił cały swój czas i swoją energię.

Na każdym kroku można było wyczuć, jak wielką cześć żywił dla Ranadego. Autorytet Ranadego był decydujący w każdej sprawie, a Gokhale raz po raz powoływał się na niego.

Na czas mojego pobytu u Gokhalego przypadła uroczyście obchodzona przez niego rocznica (nie pamiętam już) urodzin czy też śmierci Ranadego. Poza mną był jeszcze jego przyjaciel – profesor Kathavate oraz pewien zastępca sędziego. Gokhale zaprosił nas do udziału w uroczystym obchodzie, podczas którego wygłosił przemówienie, dzieląc się z nami swymi wspomnieniami o Ranadem. Gokhale porównał Ranadego z Telangiem i Mandlikiem, podnosząc wielkie zalety stylu Telanga i wielkość Mandlika jako reformatora. Przytoczył przy tym pewien przykład świadczący o dbałości Mandlika o interesy klientów. Oto pewnego razu spóźniwszy się na pociąg, Mandlik wynajął specjalny pociąg, by zdążyć na rozprawę do sądu, gdzie miał bronić swego klienta.

Jednak Ranade górował nad nimi wszystkimi wskutek wielostronności swego geniuszu. Był nie tylko znakomitym sędzią, lecz również wielkim historykiem, ekonomistą i reformatorem. Pomimo iż piastował godność sędziego, nie zawahał się wziąć udziału w naszym Kongresie, a wszyscy mieli tak wielkie zaufanie do trafności jego sądu, że bez wahania zgadzali się na proponowane przez niego rozstrzygnięcia.

Gokhale nie posiadał się z radości, opisując nam wszystkie cechy rozumu i serca, jakimi był obdarzony jego mistrz.

Gokhale miał na swoje usługi konny pojazd. Nie znałem okoliczności, które go zmuszały do posługiwania się nim, i dlatego kiedyś pozwoliłem sobie wyrazić zastrzeżenia, mówiąc:

– Czy nie może się pan posługiwać tramwajem, udając się z jednego miejsca na drugie? A może to nie licuje z godnością przywódcy stronnictwa?

Z lekka urażony Gokhale odpowiedział:

– A więc i pan również nie jest w stanie mnie zrozumieć! Nie wydaję honorarium otrzymywanego od Kongresu na swoje potrzeby. Zazdroszczę panu tego, że może pan bez skrupułów korzystać z tramwaju, niestety dla mnie jest to niemożliwe. Gdyby pan był ofiarą tak wielkiej popularności jak ja, zrozumiałby pan, jak trudną – jeżeli nie wręcz niemożliwą – rzeczą byłoby dla pana korzystanie z tramwaju. Nie ma powodu, by sądzić, że wszystko, co robią przywódcy, jest podyktowane jedynie względami ich własnej wygody. Bardzo lubię pański prosty tryb życia. Sam żyję możliwie najskromniej, ale niektórych wydatków człowiek taki jak ja nie może uniknąć.

W ten oto sposób Gokhale z powodzeniem przekreślił jedno z moich zastrzeżeń, pozostało jednak jeszcze jedno, na które nie mógł udzielić odpowiedzi, która by mnie zadowoliła.

– A dlaczego pan nigdy nie zażywa pieszych przechadzek? Nie ma nic dziwnego w tym, że pan stale niedomaga. Czyż praca społeczna nie pozostawia panu ani chwili na uprawianie ćwiczeń fizycznych?

– Czy widział pan kiedykolwiek, bym miał czas na odbywanie spacerów? – odpowiedział mi Gokhale.

Żywiłem tak wielki szacunek dla Gokhalego, że nigdy nie wdawałem się z nim w spór i chociaż jego odpowiedź bynajmniej mnie nie zadowoliła, nic mu na to nie odrzekłem.

Zawsze byłem zdania (przy którym zresztą pozostałem do dziś), że choćby się miało Bóg wie ile pracy, powinno się zawsze znaleźć odrobinę czasu na trochę ćwiczeń fizycznych, podobnie jak się znajduje czas na przyjmowanie posiłków.

Pozwalam sobie wyrazić swój skromny pogląd, że wszelkie fizyczne ćwiczenia nie tylko nie zmniejszają zdolności do pracy umysłowej, lecz przeciwnie – wzmagają je.

XVIII. MIESIĄC Z GOKHALEM – II

Nie mogę powiedzieć, abym w okresie, kiedy mieszkałem w domu Gokhalego, był wielkim domatorem. Powiedziałem moim przyjaciołom Indusom chrześcijanom zamieszkałym w Afryce Południowej, że podczas pobytu w Indiach chcę nawiązać kontakt z miejscowymi Indusami chrześcijanami i bliżej poznać warunki, w których żyją. Słyszałem o Babu Kaliczaranie Banerdźim i miałem dla niego uczucie głębokiego szacunku. Brał on wybitny udział w pracach Kongresu i nie żywiłem wobec niego nawet cienia niechęci, jaką odczuwałem wobec tych przeciętnych Indusów chrześcijan, którzy nie brali udziału w Kongresie i nie utrzymywali żadnych stosunków z Indusami buddystami lub muzułmanami.

Powiedziałem Gokhalemu, że myślę o tym, by się spotkać z Banerdźim. Na co Gokhale odpowiedział:

– Co panu z tego przyjdzie? Jest to bardzo dobry człowiek, obawiam się jednak, że nie potrafi pana zadowolić. Znam go bardzo dobrze. Jeżeli mimo to pan tego chce, może się pan z nim spotkać bez trudu.

Zwróciłem się do Kaliczarana Banerdźiego, zapytując, czy mógłbym się z nim zobaczyć. Otrzymałem odpowiedź wyrażającą zgodę. Kiedy przybyłem do jego domu, dowiedziałem się, że jego żona jest umierająca. Dom, w którym

mieszkał, był skromny. Na Kongresie widziałem go ubranego w marynarkę i spodnie, teraz zaś z przyjemnością stwierdziłem, że miał na sobie *dhoti*, jakie noszą w Bengalu, oraz koszulę. Bardzo mi się podobał jego skromny strój, chociaż sam byłem na wzór parsów ubrany w surdut i spodnie.

Bez zbytecznych wstępów opowiedziałem mu o trudnościach, z którymi się borykam, na co zadał mi pytanie:

– Czy wierzysz w istnienie grzechu pierworodnego?

– Wierzę – odpowiedziałem.

– Hinduizm nie daje rozgrzeszenia, natomiast chrześcijaństwo – tak. – Po czym dodał: – Ceną grzechu jest śmierć, a *Biblia* powiada, że jedyną drogą uwolnienia się od niego jest poddanie się Chrystusowi.

Nadaremnie powoływałem się na *bhaktimarga* (droga ofiary) zgodnie z nauką *Bhagawadgity.* Podziękowałem mu za jego dobroć i chociaż Kaliczaran Banerdźi nie przekonał mnie, skorzystałem z tego spotkania.

W tym czasie często wałęsałem się po ulicach Kalkuty. Spotkałem się z sędzią Mitterem oraz z Sir Gurudasem Banerdźim, na którego pomocy w sprawach związanych z Afryką Południową bardzo mi zależało. Poznałem wtedy również radżę Pjarimohana Mukardźiego.

Kaliczaran Banerdźi opowiadał mi o świątyni Kali, którą bardzo chciałem zobaczyć, tym bardziej że czytałem o niej w książkach. Poszedłem więc tam któregoś dnia.

Dom sędziego Mittera znajdował się w tej samej miejscowości i tego samego dnia, kiedy go odwiedziłem, udałem się do świątyni. Po drodze zobaczyłem duże stado kóz, które pędzono, by złożyć z nich ofiarę bogini Kali. Po obu stronach drogi wiodącej do świątyni usadowiły się szeregi żebraków. Nie brak było również żebrzących mnichów. Już wtedy byłem bardzo przeciwny dawaniu jałmużny żebrakom obdarzonym zdrowiem. Gromada żebraków podążała za mną. Jeden z nich siedział na ganku. Zatrzymał mnie i domagając się jałmużny, zapytał:

– Dokąd idziesz, młodzieńcze? – odpowiedziałem mu. Wtedy ów żebrak zwrócił się do mnie z prośbą, bym usiadł przy nim, co uczyniłem, po czym zapytałem go:

– Czy sądzisz, że składanie takiej ofiary ma coś wspólnego z religią?

– Któż by uważał zabijanie zwierząt za religię? – odrzekł.

– W takim razie, czemu nie przeciwdziałasz temu?

– To nie należy do mnie. Moją rzeczą jest sławić Boga.

– A czy nie możesz znaleźć innego miejsca, gdzie mógłbyś to czynić?

– Każde miejsce jest jednakowo dobre dla mnie. Ludzie są jak gromada kóz, pójdą, dokąd ich poprowadzi idący na czele. To nie należy do nas, *sadhu*! (świętych).

Nie prowadziliśmy dalej tej rozmowy, lecz udaliśmy się do świątyni. Natknęliśmy się tam na strumienie krwi. Nie mogłem tego znieść. Byłem wzburzony i nigdy nie zapomniałem tego widoku.

Tego samego wieczoru byłem zaproszony na przyjęcie u moich przyjaciół bengalskich. Z jednym z nich rozmawiałem na temat tak okrutnych obrządków religijnych, na co mi odpowiedział:

– Kozy nic nie czują. Okrzyki i bicie w bębny zabijają w nich uczucie bólu.

Nie chciałem się z tym pogodzić i powiedziałem mu, że gdyby kozy umiały mówić – ich słowa brzmiałyby inaczej. Czułem, że ten okrutny obyczaj musi być zaniechany. Myślałem o dziejach Buddy, zdawałem sobie jednak sprawę, że to zadanie przerasta moje siły.

Jestem i dziś tego samego zdania co wtedy. Sądzę, że życie koźlątka posiada nie mniejszą wartość niż życie człowieka. Jestem przeciwny temu, by dla zapewnienia zdrowia ludzkiemu ciału miało się pozbawiać życia koźlę. Uważałem ponadto, że im bezradniejsze jest jakieś stworzenie, tym bardziej winno być ono chronione przed okrucieństwem człowieka. Ale ktoś, kto sam nie wybrał dla siebie tej właśnie drogi służenia każdemu żywemu stworzeniu, nie jest zdolny się nimi zaopiekować.

Zanim więc zdołam uchronić owe biedne koźlątka przed oczekującym je nieszczęsnym losem, winienem sam przejść przez okres oczyszczenia się z własnych win i sam ponieść ofiarę.

Treścią moich nieustających modłów jest pragnienie, by narodził się jakiś wielki umysł – mężczyzna czy też kobieta – obdarzony miłosierdziem i zdolny do wybawienia nas od ohydnego grzechu, ocalenia niewinnych stworzeń i oczyszczenia zbrukanej krwią świątyni.

Jak to się dzieje, że światła, rozumna, zdolna do poświęceń i wrażliwa ludność Bengalu toleruje podobną rzeź?

krutna ofiara składana Kali w imię religii wzmogła we mnie pragnienie bliższego przyjrzenia się życiu w Bengalu. Sporo słyszałem i czytałem o Brahmo Samadź[98]. Wiedziałem coś niecoś o życiu Pratapa Czandry Mazumdara.

Byłem obecny na paru wiecach, na których on przemawiał. Poznałem życie Keszawa Czandry Sena[99], przestudiowałem je z ogromnym zainteresowaniem i zrozumiałem różnicę, jaka zachodzi pomiędzy Sadrahan Brahmo Samadż a Adi Brahmo Samadź[100]. Spotkałem się z panditem Sziwanatem Szastrim i wraz z profesorem Kathavate udałem się, by zobaczyć się z Maharszim Devendranathem Tagore. Wobec tego jednak, że zabroniono mu wtedy prowadzenia wszelkich rozmów, nie mogłem się z nim spotkać. Byliśmy wszakże zaproszeni do uczestniczenia w uroczystości na cześć stowarzyszenia Brahmo Samadź urządzanej w jego siedzibie i mieliśmy sposobność usłyszenia pięknej muzyki bengalskiej. Od tego czasu stałem się wielkim jej miłośnikiem.

Po dostatecznym zapoznaniu się z Brahmo Samadź należało poznać również swamiego Wiwekanandę[101]. Z ogromnym zapałem udaliśmy się do Belur Math, odbywając znaczną część drogi pieszo. Podobało mi się odosobnione położenie Math. Byłem bardzo zmartwiony, dowiedziawszy się, że *swami* przebywa obecnie w swoim domu w Kalkucie i jest chory. Nie mogłem więc zobaczyć się z nim.

Odnalazłem miejsce, w którym mieszkała siostra Nivedita[102], i odwiedziłem ją w rezydencji przy Chowringhee[103]. Byłem olśniony otaczającym ją przepychem i w naszej rozmowie niewiele mówiliśmy o sprawach związanych z publicznymi zebraniami.

---

98 Brahmo Samadź – „Towarzystwo Brahmy" – stowarzyszenie i sekta założona w Bengalu w 1828 r. przez Ram Mohana Roya. Opierało się na zasadzie wiary w jedność Boga.

99 Keszaw Czandra Sen – przystąpił w 1857 r. do Brahmo Samadź. Przyczynił się do wzrostu tej organizacji przez intensywną propagandę na rzecz reform społecznych. W związku z tym popadł w konflikt ze starą grupą Brahmo Samadź (tzw. Adi), co doprowadziło do rozłamu.

100 Adi Brahmo Samadź – ortodoksyjny („stary") odłam Brahmo Samadź.

101 Wiwekananda (1863–1902) – znany filozof indyjski, pochodzący z Bengalu. Dążył do zreformowania religii i poglądu na świat w hinduizmie. Był płomiennym mówcą. Umarł, mając 39 lat.

102 Nivedita – uczennica Wiwekanandy.

103 Chowringhee – elegancka aleja w Kalkucie.

Opowiedziałem o tym Gokhalemu. Rzekł mi na to, że bynajmniej go nie dziwi, iż pomiędzy mną a tak „nieziemską" osobą jak ona nie sposób było nawiązać żadnego kontaktu.

Spotkałem się z nią powtórnie u mister Pestondźiego Padszacha. Przyszedłem w chwili, kiedy rozmawiała ze swą starą matką, i wystąpiłem w roli tłumacza pomiędzy nimi. Pomimo że nie udało mi się dojść z nią do porozumienia, nie mogłem nie zauważyć i nie podziwiać jej bezgranicznego uwielbienia, jakie żywiła dla hinduizmu. Znacznie później poznałem ją bliżej z jej książek.

Moje dzienne zajęcia były podzielone pomiędzy składanie wizyt czołowym osobistościom w Kalkucie w związku z moją działalnością w Afryce Południowej a zwiedzanie i poznawanie wszelkich miejscowych instytucji, zarówno religijnych, jak i publicznych. Pewnego razu wygłosiłem przemówienie na zebraniu, któremu przewodniczył doktor Mullick, i opowiedziałem zebranym o pracy hinduskiego oddziału sanitarnego podczas wojny z Burami. Przy tej sposobności bardzo mi się przysłużyły moje stosunki z „The Englishman". Mister Saunders był wtedy chory, ale był mi równie pomocny jak w 1896 roku. Moje przemówienie podobało się Gokhalemu i był bardzo rad, gdy usłyszał, że doktor Ray wyraża się o nim podobnie.

Mieszkanie w domu Gokhalego ogromnie mi ułatwiało działalność w Kalkucie, pozwoliło nawiązać bliski kontakt z wybitniejszymi miejscowymi rodzinami i było początkiem moich bardzo bliskich w późniejszych latach stosunków z Bengalem.

Muszę niestety przeskoczyć przez niektóre dość ciekawe wspomnienia związane z tym okresem. Chcę tylko napomknąć przelotnie o moim krótkim pobycie w Birmie[104] i o tamtejszych zakonnikach (*foongi*). Na wpół letargiczny żywot, który wiedli, przygnębił mnie. Widziałem Złotą Pagodę[105]. Natomiast nie podobał mi się widok niezliczonych małych świeczek płonących w świątyni oraz szczurów uwijających się dokoła ołtarza, co mi przypomniało przygodę w Morvi swamiego Dajanandy[106].

Swoboda, z jakiej korzystały kobiety w Birmie, oraz ich energia budziły we mnie nie mniejszy podziw od przygnębienia doznego na widok niedołęstwa tamtejszych mężczyzn.

---

104 Birma, obecnie Myanmar.

105 Złota Pagoda – jedna z najsławniejszych i najczęściej odwiedzanych świątyń buddyjskich.

106 Dajanand Sarasvati (1824–1883) – reformator hinduski działający w II połowie XIX w. Założyciel reformacyjnego wyznania hinduskiego – Arja Samadż, opierającego się na *Wedach*.

Podczas mojego krótkiego pobytu przekonałem się, że podobnie jak Bombaj to nie Indie, tak Rangun[107] nie reprezentuje Birmy, i podobnie jak my w Indiach jesteśmy zaledwie pośrednikami angielskich kupców, tak w Birmie do spółki z angielskimi kupcami usiłujemy zrobić z Birmańczyków pośredników służących naszym interesom.

Po powrocie z Birmy rozstałem się z Gokhalem. Pożegnanie było smutne, ale moja praca w Bengalu, a raczej w Kalkucie dobiegła końca i nie miałem potrzeby pozostać tu dłużej.

Przed wyruszeniem w powrotną drogę powziąłem zamiar odbycia okrężnej podróży pociągiem, w wagonie trzeciej klasy, przemierzając całe Indie, by poznać wszystkie udręki, na jakie są narażeni podróżujący w ten sposób. Powiedziałem o tym Gokhalemu. Z początku wyśmiał mój pomysł, kiedy mu jednak wytłumaczyłem, czemu zamierzam się przyjrzeć z bliska, z uznaniem go zaaprobował.

Przede wszystkim chciałem się udać do Benaresu, aby złożyć wyrazy szacunku pani Besant, która wtedy chorowała.

Trzeba się było odpowiednio wyekwipować dla odbycia podróży trzecią klasą. Gokhale dał mi blaszane pudełko, wypełnione cukierkami i plackami (*puri*). Kupiłem sobie za dwanaście ann płócienny worek i długi płaszcz, utkany z wełny wyrabianej w Cchaya[108]. W worku mieścił się płaszcz, *dhoti*, ręcznik i koszula. Miałem ponadto koc, którym się przykrywałem, i spory dzbanek do wody. Wyekwipowany w ten sposób, wyruszyłem w podróż.

Gokhale i doktor Ray przyszli na dworzec, by mnie pożegnać. Prosiłem ich, aby nie zadawali sobie tyle trudu, ale upierali się przy swoim.

– Nie przyszedłbym, gdyby pan jechał pierwszą klasą, ale w tym wypadku musiałem! – odparł mi Gokhale.

Nikt nie przeszkodził Gokhalemu wyjść na peron. Miał na sobie jedwabny turban, marynarkę i *dhoti*. Doktor Ray był w swoim bengalskim ubraniu. Kolejarz odbierający bilety przy wejściu zatrzymał go, ale Gokhale powiedział, że jest to jego przyjaciel, i pozwolono mu wejść. Odprowadzany ich najlepszymi życzeniami rozpocząłem swą podróż.

---

107 Obecnie Yangon.

108 Cchaya – miejscowość w księstwie Porbandar, słynąca z wełnianych tkanin.

XX. W BENARESIE[109]

rasa podróży wiodła z Kalkuty do Radźkotu, ja zaś miałem zamiar zatrzymać się po drodze w Benaresie, Agrze, Dżajpurze i w Palanpurze. Nie miałem dość czasu, by odwiedzić inne miejscowości. W każdym z tych miast pozostawałem nie dłużej niż jeden dzień, mieszkając w przytułkach lub u kapłanów, niczym zwykły pielgrzym. Jedynie w Palanpurze było inaczej. O ile sobie przypominam, nie wydałem w ciągu całej podróży więcej niż trzydzieści jeden rupii, łącznie z kosztem biletu kolejowego.

Jeżdżąc trzecią klasą, przeważnie posługiwałem się zwykłymi pociągami, a nie pośpiesznymi, przede wszystkim dlatego, że były mniej przepełnione, a poza tym cena biletów była znacznie niższa. Przedziały w trzeciej klasie były wtedy tak samo zaśmiecone, a ustępy brudne, jak są jeszcze dziś. Niewiele od tamtych czasów się zmieniło na lepsze, a wygody dla pasażerów pierwszej klasy i podróżujących trzecią są zdecydowanie niewspółmierne z różnicą, jaka zachodzi pomiędzy ceną biletów każdej z tych klas. Pasażerów trzeciej klasy traktuje się niczym barany, a wygody pozostawione do ich dyspozycji stoją na takim właśnie poziomie.

W Europie stale jeździłem trzecią klasą; tylko raz pierwszą. Chodziło mi o to, aby się przyjrzeć temu, jak tam jest, ale różnica pomiędzy trzecią a pierwszą klasą nie wydała mi się zbyt wielka.

W Afryce Południowej trzecią klasą jeżdżą przeważnie Murzyni, a mimo to jest ona tam znacznie lepsza niż u nas. Na niektórych odcinkach w Afryce Południowej kursują wagony trzeciej klasy przystosowane do spania oraz z wyścielanymi siedzeniami. Ponadto sprzedaż biletów jest unormowana, co pozwala uniknąć tłoku w wagonach, czego się tutaj bynajmniej nie przestrzega. Całkowita obojętność władz kolejowych, o ile chodzi o stworzenie znośnych warunków podróżowania w trzeciej klasie, wraz z brudem i niechlujstwem samych pasażerów sprawiają, że korzystanie u nas z trzeciej klasy jest wystawianiem lubiącego czystość podróżnika na ciężką próbę.

Do przykrych miejscowych zwyczajów należy rzucanie na podłogę w wagonach wszelkich śmieci, palenie tytoniu wszędzie i o każdej porze dnia, żucie liści betelu i tytoniu, co zmienia cały wagon w jedną wielką spluwaczkę. Poza tym: krzyki, wrzaski, posługiwanie się ordynarną mową i całkowite nieliczenie się z wygodami i potrzebami współpasażerów.

109 Benares, obecnie Waranasi.

Stwierdziłem niewielką różnicę pomiędzy warunkami, w jakich podróżowałem trzecią klasą gdzieś około 1902 roku, a tymi, jakie znalazłem w tej samej trzeciej klasie, jeżdżąc pomiędzy 1915 a 1919 rokiem.

Jedyną drogę do naprawienia tego potwornego stanu rzeczy widzę w tym, że z jednej strony wykształceni ludzie zaczną podróżować trzecią klasą i wpłyną uzdrawiająco na obyczaje panujące wśród ludu, z drugiej – że nie przestanie się molestować władz kolejowych, wysyłając pod ich adresem zażalenia, ilekroć zajdzie potrzeba, i nie będzie się dawać łapówek dla uzyskania wygód wyłącznie dla siebie, wreszcie że nie będzie się tolerowało żadnego łamania istniejących przepisów, niezależnie od tego, kto by się tego wykroczenia dopuszczał.

Jestem przekonany, że postępując w ten sposób, wpłynęłoby się w znacznym stopniu na poprawę sytuacji.

Poważna choroba, jaką przebyłem w latach 1918–1919, zmusiła mnie niestety do zaniechania podróżowania trzecią klasą, co było dla mnie powodem nieustającego zmartwienia, a nawet i zażenowania, tym bardziej że moja choroba wypadła akurat w tym okresie, kiedy kampania na rzecz usunięcia przykrości, na które byli narażani podróżujący trzecią klasą, była w pełni.

Niedola kolejowych i okrętowych pasażerów trzeciej klasy, którą potęgowały jak najgorsze obyczaje samych podróżnych, niesłuszne ułatwienia przyznawane przez rząd kupcom zagranicznym i szereg innych, bardzo licznych powodów zasługują w zupełności na to, by bodaj jeden lub dwaj energiczni działacze poświęcili temu zagadnieniu cały swój czas.

Zostawiam jednak na razie sprawę pasażerów trzeciej klasy i wracam do Benaresu. Przybyłem do tego miasta nad ranem. Postanowiłem zatrzymać się u pandita (kapłana). Gdy tylko wysiadłem z pociągu, otoczyli mnie liczni bramini. Wybrałem jednego, który był schludniejszy od innych i miał lepszy wygląd. Okazało się, że dobrze trafiłem. Na podwórzu jego domostwa znajdowała się obora, ja zaś zostałem ulokowany na pięterku. Nie chciałem przyjąć żadnego posiłku, zanim, zgodnie z prastarym obyczajem, nie zanurzę się w wodach Gangesu. Mój gospodarz poczynił pewne przygotowania w tym kierunku. Powiedziałem mu z góry, że nie będę mógł mu dać więcej niż jedną rupię i cztery anny jako dakszinę (zapłatę) za odprawienie tego obrządku i że powinien się z tym liczyć, czyniąc swe przygotowania.

Pandit chętnie się zgodził. „To obojętne – rzekł – czy pielgrzym jest bogaty czy biedny – wszystko musi być odprawione według obyczaju. Wysokość zapłaty, jaką otrzymujemy, zależy wyłącznie od dobrej woli i możliwości pątnika".

Muszę przyznać, że w moim przypadku wszystko było zrobione zgodnie z obyczajem. Modły (*puja*) skończyły się około południa, a potem udałem się do świątyni Kaśi Wiśwanat, by pogrążyć się w kontemplacji.

To, co tam zobaczyłem, sprawiło mi ogromną przykrość.

Rozpoczynając swą adwokacką praktykę w 1891 roku w Bombaju, miałem sposobność być obecny na odczycie w Prarthana Samadż Hall, którego tematem była pielgrzymka do Kaśi. Byłem więc z góry przygotowany na pewne rozczarowania, jednak to, co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje oczekiwania.

Do świątyni prowadziła wąska i śliska łączka. Ani mowy o spokoju. Dokoła roje much. Wrzaski straganiarzy oraz pielgrzymów były nie do zniesienia. Tam, gdzie należało spodziewać się raczej zadumy i kontemplacji, ich brak był tym bardziej rażący. Trzeba było w sobie samym odnaleźć potrzebny nastrój. Obserwowałem mniszki, które były tak dalece pogrążone w medytacji, że po prostu nie zdawały sobie sprawy z tego, co się dokoła nich odbywa. Nie było to jednak w żadnym wypadku zasługą kapłanów, których pieczy została powierzona świątynia. Do obowiązku kapłanów bowiem powinno należeć stworzenie i utrzymanie dokoła świątyni niczym niezamąconego, łagodnego i uroczystego nastroju zarówno w znaczeniu fizycznym, jak i duchowym. Zamiast tego zastałem targowisko, gdzie przebiegli handlarze sprzedawali słodycze i najnowsze zabawki.

Kiedy zbliżyłem się do świątyni, przy samym wejściu powitał mnie odór, bijący ze sterty gnijących kwiatów. Podłoga była wyłożona pięknymi marmurowymi płytami, wyszczerbionymi w wielu miejscach przez szczególnie gorliwych wiernych, którym obce było pojęcie piękna. Te wgłębienia obłożone rupiami z powodzeniem spełniały rolę zbiorników wszelkiego śmiecia.

Zbliżyłem się do posągu Dźnana Wapi (Skarbnicy Wiedzy). Sądziłem, że odnajdę tu Boga, lecz się zawiodłem. A może sam nie byłem w odpowiednim nastroju. Dokoła ołtarza Dźnana Wapi również pełno brudu. Nie miałem zamiaru uiszczenia jakiejkolwiek daksziny (daniny) i wręczyłem jedynie drobną monetę. Pandit sprawujący tu swe czynności rozgniewał się i odrzucił precz pieniążek. Ciskał pod moim adresem przekleństwa, dodając:

– Za tę obelgę pójdziesz wprost do piekła!

Nie zrobiło to jednak na mnie żadnego wrażenia.

– Pandicie – rzekłem – jakikolwiek los mnie czeka, nie upoważnia to nikogo z twojej sfery, aby się posługiwał podobnym językiem. Jeżeli chcesz, możesz wziąć tę monetę, w przeciwnym razie nie dostaniesz nic!

– Idź stąd precz! – odrzekł mi. – Nie zależy mi na twoim pieniążku!

Tym słowom towarzyszyła nowa porcja wyzwisk. Podniosłem pieniążek, ogromnie zadowolony, że bramin stracił, a ja zyskałem. Ale pandit nie był człowiekiem skorym do pogodzenia się ze stratą.

Przywołał mnie z powrotem i powiedział:

– A więc dobrze! Zostaw tu swój pieniążek. Wolę postąpić inaczej niż ty. Obawiam się, że możesz źle wyjść na tym, gdy odmówię przyjęcia od ciebie pieniążka…

Bez słowa oddałem mu monetę i westchnąwszy z żalem, odszedłem.

Od tego czasu dwukrotnie byłem w świątyni Kaśi Wiśwanat, miało to jednak miejsce już po przyznaniu mi godności mahatmy i nie mogło wtedy być mowy o wyżej opisanych doświadczeniach, jakich doznałem w tej świątyni.

Ludzie pragnący dostąpić łaski przez zetknięcie się ze mną nie pozwalali, bym ja sam doznał tej łaski w świątyni przez odprawienie modłów.

Śluby składane przez tych, których obdarzono godnością mahatmy, są znane jedynie im samym. Co się zaś tyczy brudu i hałasów – pozostały te same co dawniej. Jeżeli ktokolwiek wątpi w bezgraniczne miłosierdzie Boga, niech spojrzy na te uświęcone miejsca. Jakże wiele obłudy i czynów sprzecznych z pojęciem religii, a popełnianych w Jego świętym imieniu musi tolerować Książę Joginów.

Dawno temu głosił już: „Cokolwiek człowiek posieje, winno być zżęte!". Prawo karmy jest nieubłagane i nie sposób się przed nim uchylić. Nie ma przeto potrzeby odwoływania się do wstawiennictwa Bożego. On bowiem ustanowił prawa, a gdy tego dokonał – usunął się.

Po tych odwiedzinach świątyni czekałem na spotkanie z panią Besant. Wiedziałem, że już przyszła do zdrowia, i posłałem jej wiadomość o sobie. Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast. Wobec tego, że pragnąłem jedynie złożyć jej wyrazy szacunku, powiedziałem:

– Wiem, że stan zdrowia pani nie jest jeszcze zadowalający. Chciałem tylko złożyć wyrazy mego szacunku. Jestem niezmiernie wdzięczny, że zechciała pani mnie przyjąć. Nie chcę trudzić pani ani chwilę dłużej swoją osobą.

Po czym niezwłocznie się pożegnałem.

XXI. CZY OSIEDLIĆ SIĘ W BOMBAJU?

Gokhale bardzo pragnął, abym zamieszkał w Bombaju, rozpoczął tam praktykę adwokacką i pomagał mu w jego pracy społecznej. W owych czasach praca społeczna oznaczała pracę dla Kongresu, a najważniejszym działem w prowadzonej przez niego instytucji były sprawy administracyjne.

Rady Gokhalego odpowiadały mi, nie byłem jedynie pewien, czy jako adwokat będę się cieszył powodzeniem. W pamięci pozostały mi niezbyt przyjemne wspomnienia niepowodzeń, jakie mnie dawniej spotykały, a posługiwanie się pochlebstwem dla uzyskania praktyki było mi wręcz nienawistne.

Dlatego też postanowiłem, że z początku zacznę swą praktykę obrońcy w Radźkocie. Kewalram Mawdźi Dave, stary i bardzo mi życzliwy przyjaciel, ten sam, który kiedyś namówił mnie, bym wyjechał do Anglii, był tam również i od razu dał mi trzy sprawy do prowadzenia. Dwie z nich stanowiły odwołania do przedstawiciela rządu brytyjskiego w Katiawadzie, jedna zaś była samodzielnym procesem w Dżamnagarze. Raczej ta ostatnia miała poważniejsze znaczenie.

W odpowiedzi na moje słowa, iż nie bardzo wierzę w swoje zdolności w tym zawodzie, Kewalram Dave zawołał: „Nie powinno cię obchodzić, czy wygrasz, czy przegrasz! Masz po prostu się postarać, by możliwie najlepiej wywiązać się z zadania, a ja ci przyjdę z pomocą".

Adwokatem strony przeciwnej był nieżyjący dziś Samarth. Byłem dość dobrze przygotowany – nie chodziło jednak o to, że dobrze znałem prawo obowiązujące w Indiach. Najważniejsze było, że Kewalram Dave udzielił mi bardzo dokładnych wskazówek. Zanim udałem się do Afryki Południowej, jeden z przyjaciół mówił mi, że Sir Pherozeszah Mehta ma całą wiedzę o prawie dowodowym w ,,swoim małym palcu" i że na tym polega sekret jego powodzenia. Zapisałem to sobie dobrze w pamięci i podczas podróży pilnie studiowałem indyjskie prawo dowodowe z odpowiednimi komentarzami. Bardzo pomocne było mi również doświadczenie nabyte dzięki mojej działalności prawniczej w Afryce Południowej.

Wygrałem proces i zdobyłem nieco zaufania. Nie obawiałem się odwołań, które zresztą również wypadły pomyślnie dla mnie. Wszystko to napełniło mnie nadzieją, że może przynajmniej w Bombaju dopisze mi szczęście.

Zanim jednak opiszę okoliczności, w których powziąłem decyzję osiedlenia się w Bombaju, chcę opowiedzieć o nieuczynności i ignorancji przedstawicieli angielskiego rządu. Sąd Okręgowy stale przenosił się z miejsca na miejsce, przy

czym zarówno obrońcy sądowi, jak i ich klienci byli zmuszeni jeździć za sądem. Obrońcy liczyli sobie podwójne honoraria, a klienci ponosili znacznie większe koszty. Sędzia niewiele sobie robił z wynikających z tego niewygód.

Odwoławcza rozprawa, o której jest mowa, miała się odbyć w Werawalu, gdzie szalała epidemia dżumy. O ile sobie przypominam, w tej miejscowości, liczącej około pięciu tysięcy ludności, zdarzało się aż pięćdziesiąt przypadków zachorowań dziennie. Miasto było właściwie wyludnione i zatrzymałem się w opuszczonym przytułku (*dharmaśala*), położonym w niewielkiej odległości od miasta. Ale gdzie mieli zamieszkać klienci? Jeżeli byli ubodzy, nie pozostawało im nic innego, jak zdać się na łaskę bożą.

Pewien mój przyjaciel, który również prowadził parę spraw przed sądem odwoławczym, zatelegrafował do mnie, prosząc, bym w związku z epidemią panującą w Werawalu zażądał przeniesienia sesji do innej miejscowości.

Gdy wręczałem odpowiednie podanie, sahib zapytał mnie:

– Boi się pan?

Odpowiedziałem mu:

– W tym wypadku nie chodzi o mnie. Sądzę, że potrafiłbym się uchronić, ale co mają począć klienci?

– Dżuma jest w Indiach stałym zjawiskiem – odparł sahib. – Nie ma potrzeby obawiać się jej. Klimat w Werawalu jest bardzo przyjemny. (Ten sahib mieszkał daleko za miastem w komfortowym namiocie rozbitym na brzegu morza). Ludność powinna się przyzwyczaić do mieszkania na wolnym powietrzu…

Nie miało sensu przeciwstawiać się tego rodzaju rozumowaniu.

Sahib zwrócił się do swego sekretarza, mówiąc:

– Proszę zanotować to, o co prosi mister Gandhi, i powiadomić mnie, czy to jest rzeczywiście połączone z tyloma niewygodami dla obrońców i klientów.

Sahib zgodnie ze swym sumieniem chciał postąpić tak, jak uważał za najwłaściwsze. Ale skąd ten człowiek mógł wiedzieć o wszystkich niedolach, jakie były udziałem narodu tego biednego kraju. Jak mógł zrozumieć wszystkie jego potrzeby, obyczaje, niechęci i upodobania? Jak wreszcie ktoś nawykły do przeliczania wszystkiego na złote suwereny mógł naraz zacząć oceniać to, co się dokoła niego działo, miarą mizernych miedziaków?

Podobnie jak niemożliwe jest, by słoń, nawet przy najlepszych chęciach, rozumował jak mrówka, tak dla Anglika myśleć lub postępować jak Indus jest czymś wręcz nie do pomyślenia.

Trzeba się jednak trzymać raz obranego wątku opowieści.

Pomimo powodzenia, jakie mnie spotkało, kiedy się zastanawiałem nad tym, czy nie należałoby zostać przez pewien czas w Radźkocie, przyszedł do mnie pewnego dnia Kewalram Dave i powiedział:

– Gandhi, nie możemy się zgodzić, abyś tu wegetował, musisz się osiedlić w Bombaju.

– Ale kto znajdzie tam odpowiednią pracę dla mnie? – zapytałem go. – Czyżby pan chciał wziąć na siebie związane z tym wydatki?

– Owszem, chcę! – odrzekł. – Sprowadzimy kiedyś ciebie do nas jako znakomitego adwokata z Bombaju, a na razie będziemy stąd posyłali ci prace związane z redagowaniem powództw. To w dużym stopniu zależy od nas – lokalnych obrońców sądowych – zrobić kogoś znanym adwokatem albo nie. W Dżamnagarze i Werawalu pokazałeś, co potrafisz, i nie mam najmniejszych obaw co do tego. Twoim powołaniem są sprawy natury społecznej i nie chcemy, abyś się zagrzebał w Katiawadzie. Zechciej więc powiedzieć mi, kiedy chciałbyś się przenieść do Bombaju.

– Oczekuję przekazu z Natalu. Mogę wyjechać zaraz po otrzymaniu go.

Pieniądze nadeszły mniej więcej po dwóch tygodniach. Wyjechałem do Bombaju. Wynająłem lokal na kancelarię w domu czynszowym Payne, Gilbert i Sayani. Wyglądało na to, że osiedlam się tu na stałe.

XXII. WIARA WYSTAWIONA NA PRÓBĘ

Pomimo że wynająłem kancelarię w dzielnicy Fort, a dom mieszkalny w Girgaum, Opatrzność najwidoczniej nie chciała, abym się tam osiedlił. Zaledwie zdążyłem się przeprowadzić do nowego domu, kiedy mój drugi syn, Manilal, który przed paru laty przebył ciężką ospę, zachorował na tyfus połączony z zapaleniem płuc i majaczeniami w nocy. Wezwano lekarza, który oświadczył, że lekarstwa niewiele pomogą, natomiast jajka i bulion z kury mogą być bardzo korzystne dla chorego.

Manilal miał wtedy zaledwie dziesięć lat. Nie mogło być mowy o zasięganiu jego zdania, a wobec tego, że ja pełniłem przy nim czynności pielęgniarki, decyzja zależała ode mnie. Lekarzem był pewien bardzo dobry pars. Powiedziałem mu, że wszyscy jesteśmy wegetarianami i że żadnego z dwóch zalecanych przez doktora posiłków nie mogę dawać synowi. Może zechciałby przepisać coś innego?

– Życie pańskiego syna jest w niebezpieczeństwie – powiedział mi ów dobry doktor. – Możemy mu dawać mleko rozcieńczone wodą, ale to nie będzie dość pożywne. Jak panu wiadomo, jestem wzywany do wielu indyjskich rodzin, które nigdy nie wysuwają zastrzeżeń do moich zaleceń. Sądzę, że i pan nie powinien być zbyt surowy dla swego syna.

– Wszystko, co pan powiedział, jest bezwzględnie słuszne – odrzekłem. – Jako doktor nie może pan postąpić inaczej, ale ja jako ojciec ponoszę wielką odpowiedzialność. Gdyby chłopiec był bardziej dorosły, z pewnością zastosowałbym się do jego życzeń, w tym jednak przypadku muszę myśleć za niego i powziąć odpowiednią decyzję. W moim przekonaniu dopiero w podobnych warunkach wiara człowieka zostaje poddana właściwej próbie. Nie jestem pewien, czy to jest słuszne, czy też nie, ale zgodnie z moimi religijnymi poglądami człowiek nie powinien jadać mięsa, jajek i tym podobnej żywności. Powinny jednak istnieć jakieś granice korzystania z pewnych rodzajów żywności, gdy chodzi o utrzymanie się przy życiu. Niekiedy wzbraniamy się przed popełnianiem różnych czynów, płacąc za to swoim życiem. Religia, tak jak ją rozumiem, nie pozwala na spożywanie mięsa i jaj nie tylko mnie, ale i moim najbliższym nawet w takich przypadkach jak ten, z którym mamy obecnie do czynienia. Biorę więc na siebie ryzyko, o jakim pan wspomniał. Proszę pana tylko o jedno: wobec tego, że nie mogę się obejść bez pańskiej fachowej pomocy, proponuję wypróbować pewne znane mi hydropatyczne zabiegi. Nie potrafię jednak zbadać pulsu ani płuc. Zechce więc pan, panie doktorze, od czasu do czasu łaskawie wstąpić do nas, zbadać chłopca, powiadamiać mnie, w jakim znajduje się stanie. Będę panu niezmiernie za to wdzięczny.

Poczciwy doktor zrozumiał trudną sytuację, w której się znalazłem, i przyjął moją propozycję. Mimo iż mój syn, Manilal, nie mógł sam decydować o tych sprawach, opowiedziałem mu o rozmowie z doktorem i zapytałem go, co o tym sądzi.

– Wypróbuj, ojcze, leczenie wodą – odpowiedział mój syn. – Nie chcę ani jaj, ani bulionu z kury.

Ta odpowiedź ogromnie mnie ucieszyła, mimo iż zdawałem sobie sprawę, że gdybym mu dał jedno lub drugie, zapewne by mi nie odmówił.

Znałem metodę leczenia Kuhnego i zastosowałem ją. Wiedziałem również, że w tych wypadkach pożyteczne bywa przestrzeganie postu. Zacząłem stosować zalecane przez Kuhnego kąpiele, tak zwane nasiadówki, nie trzymając w nich Manilala dłużej niż trzy minuty, przy czym odżywiałem go trzy dni

sokiem pomarańczowym rozcieńczonym wodą. Wysoka temperatura utrzymywała się jednak, dochodząc do czterdziestu stopni. Chory w nocy majaczył. Zacząłem się niepokoić. Co powiedzą o mnie inni ludzie? Co pomyśli mój starszy brat? Czy nie można było wezwać innego lekarza? Dlaczego nie sprowadziło się doktora medycyny ajurwedyjskiej? Jakim prawem rodzice narzucają swoim dzieciom własne upodobania?

Tego rodzaju myśli nie dawały mi spokoju. Przeżywałem ogromne rozterki. Bogu z pewnością będzie się podobało, że zastosowałem wobec mego syna taką samą metodę leczenia, jaką wypróbowałem na sobie. Wierzyłem w wodolecznictwo i nie bardzo ufałem lekom. Lekarze nie byli w stanie zapewnić szybkiego powrotu do zdrowia, najwyżej mogli eksperymentować. Nić życia spoczywała w rękach Boga. Dlaczego nie miałem Mu zaufać i działając w Jego imieniu, postępować tak, jak uważałem za najlepsze?

Byłem w rozterce. Zapadła noc. Leżałem w łóżku obok chorego syna. Postanowiłem zrobić mu okłady z mokrych prześcieradeł. Wstałem, zwilżyłem je, wycisnąłem wodę i obłożyłem nimi Manilala, pozostawiając nietkniętą jedynie głowę, po czym nakryłem go dwoma kocami. Na głowę położyłem okład z wilgotnego ręcznika. Całe ciało chłopca rozgrzało się jak rozpalone żelazo i było suche jak pergamin. Nie było ani śladu pocenia się.

Byłem u kresu sił, zostawiłem chłopca pod opieką matki i wyszedłem na przechadzkę do Ćaupati, by się orzeźwić. Było około godziny dziesiątej. Na ulicach nieliczni przechodnie. Zatopiony w myślach, ledwo ich spostrzegłem. „O, Wszechmogący, w tej godzinie próby cała moja nadzieja spoczywa w Tobie!" – powtarzałem raz po raz w myślach.

Usta moje szeptały *Ramanamę*. Niebawem z bijącym sercem wróciłem do domu. Zaledwie zdążyłem przestąpić próg pokoju, kiedy Manilal zapytał mnie:

– Wróciłeś już, ojczulku?

– Tak, ukochany.

– Odwiń mnie, proszę. Płonę cały.

– Czy się spociłeś?

– Jestem cały mokry… Odwiń mnie…

Dotknąłem jego czoła, było pokryte kroplami potu. Gorączka spadła. Wzniosłem dziękczynne modły do Boga.

– Manilal, twoja gorączka ustępuje. Musisz się jeszcze trochę spocić, wtedy cię odwinę.

– Nie… Wyjmij mnie z tego pieca. Jeżeli będziesz chciał, zawiniesz mnie kiedy indziej.

Z trudem, zabawiając go, udało mi się utrzymać Manilala jeszcze parę minut w tych okładach. Pot ściekał mu z czoła. Odwinąłem go i wytarłem całe ciało do sucha.

Ojciec i syn razem usnęli w tym samym łóżku. Każdy z nas spał jak kłoda.

Następnego ranka Manilal miał znacznie mniejszą gorączkę. W ciągu czterdziestu dni odżywiałem go rozcieńczonym mlekiem i owocowymi sokami. Wszystkie obawy mnie opuściły. Ciągle utrzymywała się uporczywa gorączka, ale chory cały czas pozostawał pod czujną opieką.

Dziś Manilal jest najzdrowszym ze wszystkich moich synów. Czy jego powrót do zdrowia należy zawdzięczać jedynie łasce bożej, czy też również wodoleczniczej metodzie lub surowej diecie i dobrej opiece? Któż to może wiedzieć?

Niech każdy rozsądzi zgodnie z tym, co mu dyktuje jego wiara. Jeżeli chodzi o mnie, jestem pewien, że to Bóg ocalił mój honor. To przeświadczenie żyje we mnie niezmiennie do dzisiaj.

XXIII. ZNÓW DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Manilal przyszedł całkowicie do zdrowia, ale ja przekonałem się, że dom w Girgaum nie nadaje się do zamieszkiwania: był wilgotny, a światło miało skąpy dostęp do niego. Po naradzie ze śri Rewaśankarem Dźagdźiwanem postanowiłem wynająć na przedmieściu Bombaju jakąś odpowiednią willę. Obszedłem całą miejscowość Bandra i Santa Cruz. Rzeźnia znajdująca się w Bandrze stanęła na przeszkodzie, by nasz wybór padł na tę miejscowość. Ghatkopar i okolice były położone zbyt daleko od morza. Wreszcie trafiliśmy na bardzo ładny bungalow w Santa Cruz, który wynajęliśmy jako mieszkanie najlepsze pod względem sanitarnym.

Kupiłem sobie sezonowy bilet pierwszej klasy z Santa Cruz do Churchgate i pamiętam, że niejednokrotnie czułem się bardzo dumny z tego, że jestem jedynym pasażerem pierwszej klasy w moim przedziale. Często udawałem się pieszo do Bandry, aby stamtąd pojechać pośpiesznym pociągiem wprost do Churchgate.

Powodziło mi się w moim zawodzie lepiej, aniżeli przypuszczałem. Moi klienci z Afryki Południowej często powierzali mi pewne prace, co całkowicie wystarczało na moje utrzymanie.

Nie udało mi się jeszcze zapewnić sobie jakiegoś zajęcia w Sądzie Najwyższym, czekałem jednak na rozpoczęcie tak zwanej sesji, która miała się wkrótce odbyć, aczkolwiek zawsze brakło mi odwagi, by ubiegać się o wzięcie w niej udziału.

Przypominam sobie, że Dźamiatram Nanabhai odgrywał na niej wybitną rolę. Podobnie jak innym młodym adwokatom zależało mi głównie na tym, aby przysłuchiwać się rozprawom toczącym się przed Sądem Najwyższym. Ze wstydem jednak muszę przyznać, że większą przyjemność sprawiał mi usypiający wiaterek idący od morza aniżeli to, że powiększa się zakres moich prawniczych wiadomości. Zauważyłem, że nie tylko ja rozkoszowałem się tą przyjemnością. Widocznie należało to do dobrego tonu i nie było potrzeby się tego wstydzić.

Niezależnie od tego zacząłem korzystać z biblioteki znajdującej się przy Sądzie Najwyższym i nawiązałem wiele nowych znajomości, przy czym zdałem sobie sprawę, że trzeba było od dawna zacząć się starać o zdobycie jakiejś pracy przy Sądzie Najwyższym.

Wytworzyła się sytuacja tego rodzaju, że podczas gdy ja zacząłem czuć się coraz pewniej w swoim prawniczym zawodzie, Gokhale, który mnie ciągle miał na oku, robił na własną rękę różne plany związane z moją osobą. Wpadał do mojej kancelarii dwa lub trzy razy tygodniowo, często w towarzystwie swych przyjaciół, którym chciał mnie przedstawić, wtajemniczając mnie jednocześnie w swoje metody pracy.

Należy jednak stwierdzić, że Opatrzność nigdy nie pozwoliła żadnemu z moich planów się urzeczywistnić i zawsze kierowała nimi według własnej woli.

Oto w tym samym czasie, kiedy się zdawało, że zgodnie z moimi zamiarami osiedlam się tutaj na stałe, otrzymałem naraz z Afryki Południowej nieoczekiwaną depeszę tej treści: „Oczekujemy przyjazdu Chamberlaina. Prosimy niezwłocznie wrócić".

Przypomniałem sobie moje przyrzeczenie i wysłałem telegram, w którym donosiłem, że natychmiast po nadesłaniu mi niezbędnych pieniędzy gotów jestem udać się w podróż powrotną. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko, zwinąłem swoją kancelarię i wyruszyłem w drogę do Afryki Południowej.

Sądziłem, że oczekujące mnie tam prace potrwają około roku, zatrzymałem więc willę, zostawiwszy w niej żonę i dzieci.

Byłem wtedy zdania, że przedsiębiorcza młodzież, z trudem mogąca się wybić we własnym kraju, powinna emigrować. Zabrałem ze sobą czterech czy też pięciu takich młodzieńców, a jednym z nich był Maganlal Gandhi.

Rodzina Gandhich była bardzo rozległa. Chciałem zabrać wszystkich, którzy pragnęliby porzucić stare ścieżki i szukać przygody na szerokim świecie. Mojemu ojcu udało się w swoim czasie znaleźć dla kilku takich młodzieńców rządowe posady, ja natomiast wolałem oszczędzić im tych rozkoszy i ani nie potrafiłem, ani nie miałem ochoty zapewniać im stanowisk. Przeciwnie: chciałem, by sami torowali sobie drogę w życiu.

W miarę jak coraz bardziej dojrzewały we mnie te ideały, usiłowałem przekonać owych młodych ludzi, by je uznali za słuszne, przy czym spotkała mnie największa radość: mogłem pokierować życiem Maganlala Gandhiego. Ale o tym będzie mowa dalej.

Rozstanie z żoną i dziećmi, opuszczenie miejsca zamieszkania, do którego się już przyzwyczaiłem, i podróż „w nieznane" – wszystko to sprawiało mi chwilowo sporo bólu, ale przywykłem już do nieustabilizowanego życia.

Sądzę, że popełniamy błąd, żądając od życia, by płynęło ustalonym, pewnym korytem, bo wszak wszystko na tym świecie jest niepewne prócz Boga – symbolu wieczystej Prawdy. Wszystko bowiem, co się dokonuje i co widzimy dokoła nas, jest niestałe i przemijające.

Istnieje jednak Istota Wyższa, ukryta, lecz stanowiąca nieprzemijającą Ostoję.

Błogosławiony, komu udało się pochwycić bodaj błysk Jej wejrzenia i uczepić Jej rydwanu.

Poszukiwanie tej właśnie Prawdy jest *summum bonum* w życiu.

Przybyłem do Durbanu w samą porę. Robota już na mnie czekała. Ustalona została data, kiedy delegacja miała się udać na powitanie ministra Chamberlaina. Polecono mi zredagować memoriał, który miał mu być wręczony, i towarzyszyć delegacji.

CZĘŚĆ IV

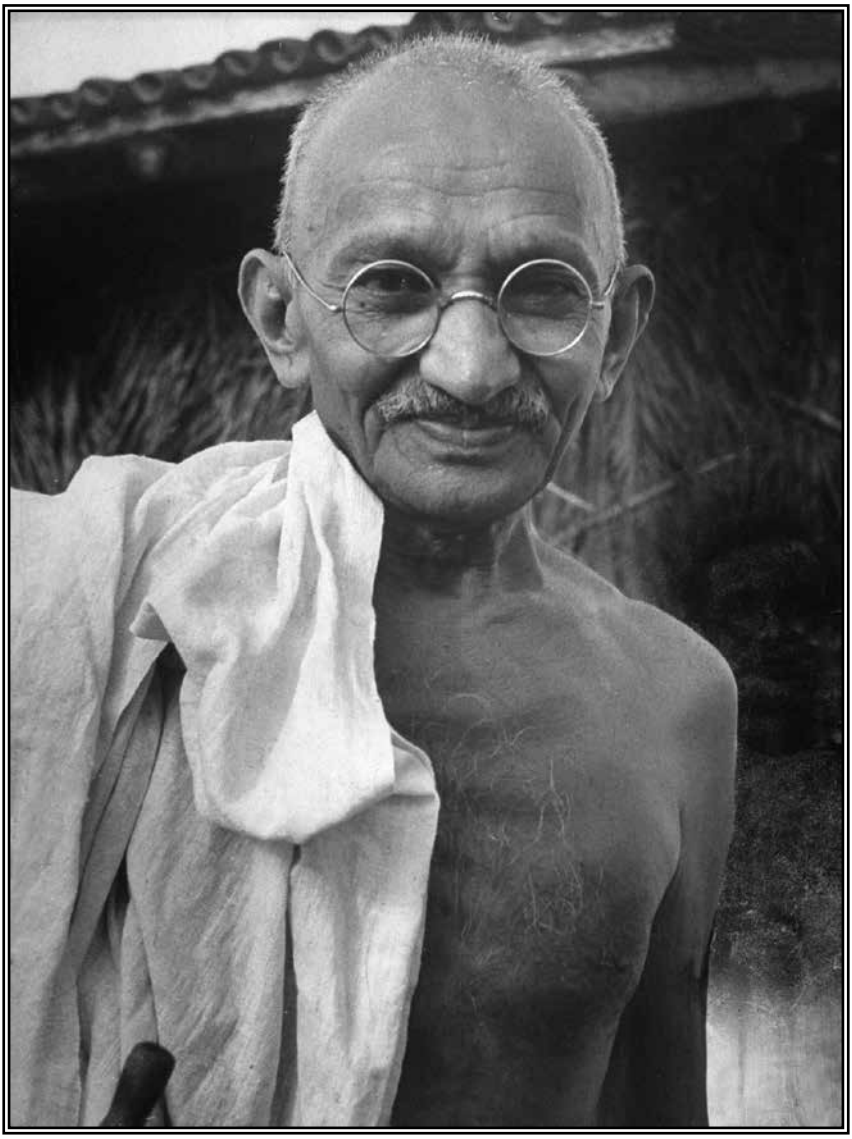

I. „STRACONE ZACHODY MIŁOŚCI"

Mister Chamberlain przybywał po to, by otrzymać od Afryki Południowej dar w wysokości trzydziestu pięciu milionów funtów i podbić serca zarówno Anglików, jak i Burów. Toteż nic dziwnego, że delegację indyjską przyjął bardzo ozięble.

– Jak panom wiadomo – powiedział do nas – rząd Imperium Brytyjskiego w nieznacznym stopniu utrzymuje kontrolę nad koloniami posiadającymi własne rządy. Żale ludności hinduskiej wydają się szczere. Uczynię, co będzie w mojej mocy, ale i wy ze swojej strony musicie się postarać o pozyskanie względów Europejczyków, skoro chcecie z nimi współżyć.

Tego rodzaju odpowiedź zmroziła członków delegacji – ja również byłem niezmiernie rozczarowany. Otworzyła nam wszystkim oczy, zrozumieliśmy, że musimy rozpocząć naszą działalność od początku. Wyjaśniłem moim towarzyszom całą sytuację.

W gruncie rzeczy odpowiedzi mister Chamberlaina nie można było nic zarzucić. Prawdą jest natomiast, że nie ukrywał on istotnego stanu rzeczy i w delikatnej bądź co bądź formie dał nam do zrozumienia, że prawo rządzenia opiera się na prawie miecza. Ale myśmy nie mieli żadnego miecza. My rozporządzaliśmy jedynie nerwami i ciałem, na które spadały ciosy miecza.

Mister Chamberlain poświęcił bardzo niewiele czasu na zwiedzenie tych ziem. Wprawdzie odległość od Śrinagaru do przylądka Komoryn wynosiła tysiąc dziewięćset mil, a od Durbanu do Capetown nie mniej niż tysiąc sto mil, ale mister Chamberlain przebył tę ogromną przestrzeń z szybkością huraganu.

Z Natalu pośpiesznie podążył do Transwalu. Polecono mi opracować i przedstawić mister Chamberlainowi sprawę miejscowej ludności indyjskiej. Ale co należało przedsięwziąć, by móc udać się do Pretorii? Nie byliśmy w stanie sami uzyskać koniecznych ułatwień, które umożliwiłyby mi przybycie na czas do Transwalu. Wojna spustoszyła ten kraj, niepodobna było tam znaleźć ani żywności, ani odzienia. Każdy mieszkaniec Transwalu musiał otrzymać zezwolenie na powrót. Europejczykom nie stawiano przeszkód, natomiast Indusi napotykali mnóstwo trudności.

Podczas wojny wielu oficerów i żołnierzy przybyło do Afryki Południowej z Indii i Cejlonu[110] i powszechnie sądzono, że obowiązkiem rządu brytyjskiego

110 Cejlon, obecnie Sri Lanka.

będzie umożliwić im osiedlenie się w tym kraju na stałe. W tym celu władze delegowały specjalnych urzędników, a ci, obdarzeni bogatym doświadczeniem, wkrótce stanęli na wysokości zadania. Dzięki zapobiegliwości niektórych spośród nich stworzony został specjalny departament. Tam dopiero ujawniły się w całej pełni ich zdolności. Powstał oddzielny wydział do spraw murzyńskich. Dlaczegóż by nie miał istnieć taki sam dla mieszkańców Azji? Argument był jak najbardziej przekonujący. Kiedy przybyłem do Transwalu, wydział ten był już otwarty i stopniowo wysuwał coraz dalej swe macki. Urzędnicy wydający zezwolenia na powrót uchodźców chętnie wypisywaliby je wszystkim, ale co mieli począć, gdy chodziło o mieszkańców Azji? Czy mogli to robić bez porozumienia z nowo powstałym do tych spraw departamentem? Z drugiej natomiast strony, gdyby owe zezwolenia miały być wydawane jedynie na polecenie tego departamentu, podważyłoby to zarówno odpowiedzialność, jak i autorytet urzędników ogólnego departamentu imigracyjnego.

Na tym tle powstał pomiędzy nimi zatarg. Faktem jest, że nowy departament wykonywaną pracą starał się usprawiedliwić swoje istnienie, a jego urzędnicy chcieli po prostu zarabiać pieniądze. Gdyby się okazało, że nie ma dla nich żadnej pracy, uznano by istnienie wydziału za zbyteczne i zlikwidowano by go. Rezultat był więc ten, że owi urzędnicy sami musieli wynajdywać dla siebie jakąś pracę.

Indusi w swoich sprawach obowiązani byli zwracać się właśnie do tego wydziału. Odpowiedzi raczono udzielać dopiero po upływie paru dni, a wobec tego, że liczba pragnących powrócić do Transwalu była dość znaczna, powstała cała armia wszelkiego rodzaju pośredników i wtajemniczonych, którzy do spółki z urzędnikami obdzierali ze skóry nieszczęsnych Indusów.

Powiedziano mi, że nie ma mowy o otrzymaniu zezwolenia na wyjazd bez dania łapówki, a w niektórych przypadkach, niezależnie od protekcji, jaką miał petent, zmuszano go do płacenia do stu funtów łapówki.

Wiedziałem więc, że tą drogą nic nie wskóram. Udałem się przeto do mego starego przyjaciela, naczelnego komendanta policji w Durbanie, i zwróciłem się do niego z następującą prośbą:

– Proszę, niech mnie pan zechce przedstawić urzędnikowi wydającemu zezwolenia na wyjazd do Transwalu, abym mógł je otrzymać. Jak panu wiadomo, mieszkałem w swoim czasie w Transwalu.

Komendant natychmiast się ubrał, wyszedł wraz ze mną i ułatwił mi otrzymanie zezwolenia na wyjazd. Za godzinę odchodził mój pociąg. Bagaż miałem

już przygotowany, podziękowałem więc komendantowi Alexandrowi i wyruszyłem w podróż do Pretorii.

Zdawałem sobie jasno sprawę z czekających mnie trudności. Po przybyciu do Pretorii zredagowałem odpowiedni memoriał. Nie przypominam sobie, aby Indusi w Durbanie prosili o uprzednie zarejestrowanie nazwisk ich przedstawicieli, ale nowy wydział funkcjonował na miejscu i zwróciłem się do niego z prośbą, by zechciał to uczynić. Tymczasem Indusi zamieszkali w Pretorii dowiedzieli się, że urzędnicy mają zamiar mnie wydalić.

Trzeba jednak osobnego rozdziału, by opisać ten smutny, acz niepozbawiony humoru incydent.

II. SAMOWŁADCY Z AZJI

Urzędnicy stojący na czele nowego departamentu nie bardzo się orientowali, w jaki sposób przedostałem się do Transwalu. Usiłowali dowiedzieć się tego od Indusów, którzy przychodzili do nich, ale ci nie mieli żadnych konkretnych wiadomości. Wtedy owym urzędnikom wpadło na myśl, że kto wie, czy nie zdołałem przedostać się tutaj bez odpowiedniego zezwolenia, wykorzystując jedynie swoje dawne znajomości. Gdyby się to okazało prawdą, można było mnie nawet aresztować.

Jest zjawiskiem powszechnie znanym, że po ukończeniu działań wojennych rządowi zostają przyznane specjalne prawa. Podobnie było i w Afryce Południowej. Rząd wydał zarządzenia mające na celu przestrzeganie zawartego układu pokojowego, z których wynikało, że każdy przybywający do Transwalu bez zezwolenia podlega aresztowi lub karze więzienia. Wprawdzie rozważano aresztowanie mnie pod tym pretekstem, jednak nikt nie miał odwagi zwrócić się do mnie z żądaniem, bym okazał zezwolenie.

Urzędnicy zatelegrafowali do Durbanu i byli bardzo zawiedzeni, kiedy się dowiedzieli, że je otrzymałem. Ale nie byli to ludzie, którzy by się dali tak szybko zbić z tropu. Udało mi się wprawdzie przybyć do Transwalu, ale oni mogli z powodzeniem nie dopuścić do mojego spotkania z ministrem Chamberlainem.

Zwrócono się więc do miejscowej gminy, by podała nazwiska osób mających stanowić delegację ludności. Rzecz prosta, należało się również i tu liczyć z pewnymi restrykcjami stosowanymi wobec kolorowych, jednak nie przypuszczałem, aby miejscowi urzędnicy mieli się kierować tak haniebnymi pobudkami,

z jakimi się zazwyczaj spotykałem w Indiach. W Afryce Południowej urzędy publiczne były zorganizowane dla dobra miejscowego społeczeństwa i za swą działalność ponosiły odpowiedzialność przed opinią publiczną. Dlatego też pełniący tu służbę urzędnicy zachowywali się z pewną kurtuazją i umiarkowaniem, a tak zwana „kolorowa" ludność w większym lub mniejszym stopniu z tego korzystała.

Wraz z przybyciem do tego kraju urzędników z Azji zawitało tu samowładztwo i zwyczaje, którymi samowładcy tam nasiąkli. W Afryce Południowej istniał rząd w pewnym stopniu odpowiedzialny przed społeczeństwem za swoje czyny, była jakaś demokracja, podczas gdy zwyczaje przyniesione tu z Azji były najwyraźniej samowładcze. W Azji nie istniał bowiem rząd odpowiedzialny przed społeczeństwem, rządziło obce mocarstwo.

Europejczycy zamieszkujący w Afryce Południowej przybyli tu jako emigranci. Zostali obywatelami południowoafrykańskimi i sprawowali kontrolę nad czynnościami urzędników zatrudnionych w urzędach państwowych. Ale oto na scenie zjawili się autokraci z Azji i ludność indyjska znalazła się między młotem a kowadłem.

Doznałem na własnej skórze próbki tej autokracji. Wezwano mnie do stawienia się u pewnego urzędnika, rodem z Cejlonu, pełniącego funkcje naczelnika departamentu do spraw ludności przybywającej do Transwalu. Muszę dodać parę słów wyjaśnienia, aby nie podejrzewano mnie o to, że przesadzam, używając w tym przypadku słowa „wezwano mnie". Nie otrzymałem żadnego pisemnego wezwania. Przywódcy miejscowych Indusów dość często odwiedzają w sprawach służbowych owych przybyłych z Azji urzędników. W liczbie tych działaczy indyjskich znajdował się również nieżyjący już *szeth* Tjeb Hadźi Khanmahomed. Naczelnik departamentu zapytał go, kim jestem i w jakim celu tu przyjechałem.

– Jest to nasz doradca – odpowiedział *szeth* Tjeb – i przybył tu na nasze wezwanie.

– W takim razie, po co my tu jesteśmy? Czy nie dość bronimy waszych interesów? Cóż może wiedzieć Gandhi o tutejszych warunkach życia? – zadawał mu ów autokrata jedno pytanie po drugim.

Szeth Tjeb odpowiedział, jak umiał najlepiej:

– Oczywiście, po to tu jesteście, ale Gandhi to nasz człowiek. Zna nasz język i rozumie nas. Wy jesteście tylko urzędnikami…

Sahib polecił szethowi Tjebowi, by mnie przyprowadził do niego. Przyszedłem więc do owego „dygnitarza" wraz z szethem i innymi Indusami. Nikogo z nas nie proszono, byśmy usiedli – wszyscy staliśmy.

– Co pana sprowadza do nas? – zapytał dygnitarz, zwracając się do mnie.

– Przybyłem tu wezwany przez moich rodaków, by służyć im swoją radą – odpowiedziałem.

– A czy panu nie jest wiadome, że nie ma pan prawa przyjeżdżać tutaj? Zezwolenie, jakie pan otrzymał, zostało panu wydane przez pomyłkę… Nie możemy pana uważać za zamieszkałego tutaj Indusa. Musi pan wrócić do domu. Nie może pan tu również czekać na przybycie ministra Chamberlaina. Do obrony interesów miejscowej ludności indyjskiej został utworzony specjalny departament azjatycki. Może pan odejść…

To mówiąc, pożegnał mnie, nie dając mi nawet możności odpowiedzenia. Towarzyszących mi Indusów zatrzymał jeszcze, zbeształ ich i poradził, aby mnie czym prędzej wyprawili w powrotną drogę. Moi przyjaciele wrócili ogromnie zmartwieni. Znaleźliśmy się w zgoła nieprzewidzianej sytuacji.

III. PRZEŁKNIĘTA OBELGA

Bardzo cierpiałem z powodu doznanej obelgi, wobec tego jednak, że w przeszłości musiałem przełknąć niejedną, przyzwyczaiłem się już nieco do tego. Postanowiłem przejść nad tą ostatnią do porządku dziennego i przedsięwziąć pewne kroki, jakie mi dyktowała obiektywna ocena sytuacji.

Byliśmy w posiadaniu listu kierownika departamentu azjatyckiego, w którym było powiedziane, że wobec tego, iż już widziałem się z ministrem Chamberlainem w Durbanie, uznano za wskazane skreślenie mojego nazwiska z listy delegacji, która miała go tu powitać.

Ten list wytrącił z równowagi ludzi, z którymi współpracowałem. Została wysunięta propozycja, byśmy zaniechali wysłania jakiejkolwiek delegacji. Zwróciłem wtedy uwagę na niezmiernie przykrą sytuację, w której mogłoby się wskutek tego znaleźć całe miejscowe społeczeństwo indyjskie.

– Jeżeli nie przedstawicie ministrowi Chamberlainowi swojej sprawy – tłumaczyłem im – będzie wyglądało na to, że w ogóle nie macie mu nic do powiedzenia. Ostatecznie wasza petycja ma być wręczona na piśmie i jest już przygotowana. Nie chodzi przecież o to, czy zostanie odczytana przeze mnie, czy też przez kogoś innego. Minister Chamberlain nie będzie się wdawał z nami w dyskusje. Obawiam się, że będziemy niestety musieli przełknąć tę obelgę…

Zaledwie skończyłem mówić, kiedy *szeth* Tjeb zawołał:

– Czy obelga, jaka spotkała pana, nie jest obelgą dla całego naszego społeczeństwa? Czy możemy zapomnieć o tym, że pan reprezentuje nas wszystkich?

– To wszystko jest prawdą – odrzekłem – ale niestety, nawet całe nasze społeczeństwo musi przełknąć podobną obelgę. Czy widzicie jakieś inne wyjście?

– Niech się dzieje, co chce, nie widzę powodu, abyśmy mieli połykać nowe obelgi! Nic gorszego nie może nas już spotkać. Co mamy do stracenia? – odparł *szeth* Tjeb.

Była to dumna odpowiedź, ale jaki był z niej pożytek? Zdawałem sobie sprawę z ograniczonych możliwości naszej gminy. Uspokoiłem przyjaciół i poradziłem im, aby na moje miejsce obrali mister George'a Godfreya, indyjskiego adwokata.

Na czele delegacji stanął więc mister Godfrey. Minister Chamberlain poruszył w swojej odpowiedzi sprawę skreślenia mojej osoby: – Czy zamiast wysłuchiwać raz po raz tych samych delegatów, nie lepiej jest mieć do czynienia z kimś nowym? – mówił Chamberlain, usiłując w ten sposób załagodzić zadany nam cios.

Wszystko to nie załatwiało jednak całego zagadnienia i przysporzyło sporo pracy zarówno gminie, jak i mnie osobiście. Musieliśmy zaczynać od początku.

– Gandhi, to z waszej inicjatywy nasza gmina pośpieszyła z pomocą podczas wojny i oto jakie są rezultaty – szydzili niektórzy. Ale nie odnosiło to żadnego skutku.

– Nie żałuję bynajmniej udzielanych gminie rad – odpowiedziałem. – Spełniliśmy jedynie nasz obowiązek. Nie oczekujmy żadnej nagrody za naszą pracę, jestem bowiem przekonany, że każdy dobry uczynek w rezultacie przynosi dobre owoce. Zapomnijmy o przeszłości i zajmijmy się obowiązkami, które na nas czekają.

Pozostali przyjaciele przyznali mi rację.

Następnie dodałem:

– Prawdę mówiąc, praca, dla której mnie wezwaliście, jest właściwie już skończona. Sądzę jednak, że nie powinienem jeszcze opuszczać Transwalu, nawet jeżeli mi pozwolicie wrócić do domu. Zamiast kierować, jak dotychczas, naszymi sprawami z Natalu, muszę to obecnie robić tu, na miejscu. Nie mogę myśleć o wcześniejszym powrocie do Indii niż za rok, a na razie muszę postarać się o wpisanie mnie na listę adwokatów mających prawo stawać przed Sądem Najwyższym w Transwalu. Mam nadzieję, że damy sobie radę z nowo

utworzonym departamentem. Jeżeli tego nie zrobimy, naszej ludności grozi wysiedlenie z tego kraju, nie mówiąc już o tym, że będzie po prostu obrabowana. Codziennie będą nas spotykały nowe obelgi. To, że minister Chamberlain odmówił przyjęcia mnie i jego urzędnik mnie obraził, jest niczym w porównaniu z upokorzeniem całego naszego społeczeństwa. Trudno sobie wyobrazić, na jak okropne życie bylibyśmy narażeni w przyszłości.

Puściłem więc w ruch wszystkie sprężyny, porozumiałem się z Indusami zamieszkałymi w Pretorii oraz w Johanneshurgu i ostatecznie postanowiłem zainstalować swą kancelarię adwokacką w Johannesburgu.

Nie miałem pewności, czy zostanę wpisany na listę obrońców przy Sądzie Najwyższym w Transwalu. Jednak Izba Adwokacka nie sprzeciwiła się i Sąd wydał zezwolenie. Znalezienie w odpowiedniej dzielnicy lokalu kancelarię nie było łatwe dla adwokata Indusa. Nawiązałem jednak bliskie stosunki z mister Ritchem, jednym z miejscowych kupców. Dzięki pośrednictwu pewnego znanego mu agenta mieszkaniowego udało mi się znaleźć w sądowej dzielnicy miasta odpowiednie pomieszczenie dla swojej kancelarii, gdzie rozpocząłem pracę zawodową.

IV. OŻYWCZY DUCH POŚWIĘCENIA

Zanim opowiem o walce, jaką osiedleńcy indyjscy w Transwalu toczyli o zdobycie należnych im praw, oraz o ich perypetiach z departamentem azjatyckim, muszę powrócić do niektórych specyficznych cech właściwych memu życiu.

Dotychczas istniało we mnie sprzeczne pragnienie: nad potrzebą ponoszenia ofiar kosztem własnego życia brała czasem górę troska o zapewnienie sobie przyszłości. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy założyłem w Bombaju swoją kancelarię adwokacką, zgłosił się do mnie pewien amerykański agent ubezpieczeniowy, skądinąd przyjemny i bardzo wymowny człowiek. Jak gdybyśmy się znali od dawna, zaczął ze mną dyskutować o mojej przyszłości.

– W Ameryce każdy człowiek na pańskim stanowisku jest ubezpieczony na życie. Czy i pan nie powinien się ubezpieczyć? Koleje życia ludzkiego są niepewne. My w Ameryce traktujemy sprawę ubezpieczenia jako powinność niemal religijną. Może mi się uda namówić pana do podpisania niewielkiej polisy?

Dotychczas bardzo ozięble traktowałem wszystkich agentów ubezpieczeniowych, z jakimi się stykałem w Afryce Południowej i w Indiach, sądziłem bowiem, że ubezpieczenie życia jest wyrazem strachu i niewiary w Boga. Tym razem jednak uległem pokusie w osobie amerykańskiego agenta.

Kiedy przedstawił mi swoje argumenty, przed oczyma stanął mi obraz mojej żony i dzieci.

„Człowieku! – powiedziałem do siebie. – Przecież to ty sprzedałeś większość kosztowności należących do twojej żony! Jeżeli cię spotka jakieś nieszczęście, cały ciężar utrzymania twojej żony i dzieci spadnie na twego biednego brata, który z taką szlachetnością spełniał wobec ciebie rolę twego ojca… Co ty byś na to powiedział?"

Te oraz temu podobne argumenty sprawiły, że podpisałem polisę ubezpieczającą mnie na dziesięć tysięcy rupii. Kiedy jednak mój tryb życia w Afryce Południowej uległ zmianie, zmienił się również mój pogląd na tę sprawę. Wszystko, co czyniłem wówczas, w tych chwilach prób, podejmowane było w imię Boga i służenia Jemu. Nie wiedziałem wtedy, jak długo pozostanę w Afryce Południowej. Obawiałem się, że może nigdy już nie będę mógł powrócić do Indii, postanowiłem więc sprowadzić żonę i dzieci i zarabiać tyle, aby utrzymać ich wszystkich.

Po powzięciu tego planu zacząłem żałować, że podpisałem polisę, i wstyd mi było, że dałem się złapać w sieci agenta. Rozumowałem wtedy w ten oto sposób: „Jeżeli mój brat jest istotnie w takiej sytuacji, w jakiej był mój ojciec, w takim razie – gdyby zaszła ta ewentualność – nie będzie uważał obowiązku utrzymania mojej żony za nadmierny ciężar. Skąd zresztą mogę mieć pewność, że śmierć zabierze mnie przed innymi? Prawdziwym opiekunem mojej rodziny nie jestem ani ja, ani nie byłby nim mój brat, lecz Wszechmogący. Ubezpieczając swoje życie, pozbawiłem moją żonę i dzieci wiary w ich własne siły. Dlaczego sądzę, że oni sami nie potrafią dbać o siebie? A jaki jest w takich razach los ogromnej liczby ubogich rodzin na świecie? Dlaczego miałbym nie zaliczać mojej do takich właśnie rodzin?"

Mnóstwo podobnych myśli błąkało mi się po głowie, nie byłem jednak zdolny do natychmiastowego przeciwstawienia się im. Pamiętam jedynie, że ostatnią ratę ubezpieczeniową zapłaciłem w Afryce Południowej.

Rozmaite inne okoliczności sprzyjały ponadto kierunkowi, jaki przybrały wtedy moje myśli. Podczas pierwszego pobytu w Afryce Południowej pozostawałem pod dużym wpływem – w znaczeniu religijnym – nauki chrześcijańskiej.

Tym razem wpływ ten umocnił się jeszcze bardziej dzięki obcowaniu z teozofami. Mister Ritch był teozofem i przez niego nawiązałem stosunki z Towarzystwem Teozoficznym w Johannesburgu. Nigdy zresztą nie zostałem jego członkiem z powodu rozbieżności, jakie zachodziły pomiędzy nami, ale utrzymywałem bliski kontakt niemal ze wszystkimi teozofami. Każdego dnia prowadziliśmy dyskusje na tematy religijne, odbywały się wspólne czytania książek poruszających tematy teozoficzne, a zdarzało się niekiedy, że nawet zabierałem głos na ich zebraniach.

Naczelnym zadaniem teozofii jest krzewienie i utrwalanie idei braterstwa. Prowadziliśmy poważne dyskusje na ten temat, a ja niejednokrotnie krytykowałem członków tego towarzystwa za ich postępowanie, rażąco sprzeczne z głoszonymi przez nich ideałami. Ta praktyka odbiła się i na mnie, przyczyniając się do tego, że spojrzałem w głąb siebie samego.

V. REZULTATY WEJRZENIA W SIEBIE

Kiedy w 1893 roku nawiązałem bliskie stosunki z mymi przyjaciółmi chrześcijanami, byłem raczej nowicjuszem. Próbowano mnie nawrócić i skłonić do przyjęcia wiary w posłannictwo Chrystusa, ja natomiast byłem wtedy skromnym, pełnym szacunku słuchaczem o chłonnym umyśle. W tym samym czasie starałem się w miarę możliwości poznać hinduizm, jak również inne religie.

W 1903 roku sytuacja była nieco odmienna. Moi przyjaciele teozofowie niezawodnie pragnęli mnie zjednać dla swego stowarzyszenia, głównie jednak chodziło im o to, by wykorzystać mnie w jakimś sensie jako Indusa. W literaturze teozoficznej można odnaleźć liczne wpływy hinduizmu i moi przyjaciele sądzili, że będę mógł być im pod tym względem pomocny. Tłumaczyłem im, że moje studia nad sanskrytem były niewiele warte, że nie studiowałem świętych pism hinduizmu w oryginale i że moja znajomość przekładów również nie może uchodzić za dostateczną.

Wierząc jednak w *samskara* (przyrodzone cechy z okresu poprzedniego bytowania) oraz w *punarjanma* (reinkarnację), zapewniali mnie, że niewątpliwie mogę im okazać pewną pomoc. Czułem się dość nieswojo – niczym Guliwer wśród liliputów.

Z niektórymi z nich zabrałem się do studiowania *Radżajogi* swamiego Wiwekanandy, a z innymi – *Radżajogi* M.N. Dvivediego. Z jednym z moich przyjaciół musiałem odczytywać *Jogasutry* Patandżalego, a z innymi *Bhagawadgitę.*

Utworzyliśmy coś w rodzaju „Klubu Badaczy", w którym odbywaliśmy regularne posiedzenia. Ja osobiście wierzyłem w naukę *Gity*, która miała dla mnie niewysłowiony urok. Teraz zrozumiałem potrzebę jeszcze głębszego jej studiowania. Miałem jeden czy też dwa przekłady i za ich pomocą usiłowałem odczytać sanskrycki oryginał.

Postanowiłem każdego dnia nauczyć się na pamięć jednego lub dwóch wersetów. W tym celu wykorzystałem czas moich codziennych rannych ablucji. Cała operacja zabierała mi trzydzieści pięć minut, w tym piętnaście minut na czyszczenie zębów i dwadzieścia na kąpiel. Tę pierwszą czynność wykonywałem na zachodnią modłę. Zawieszałem na ścianie kartki papieru, na których były wypisane wersety z *Gity*, i raz po raz rzucałem na nie okiem, by przyjść z pomocą swej pamięci. Tyle czasu akurat wystarczyło, by zapamiętać dzienną porcję i powtórzyć to, czego się już nauczyłem. Przypominam sobie, że w ten sposób utrwaliłem w pamięci trzynaście rozdziałów.

Musiałem jednak zrezygnować z kontynuowania nauki *Gity*, aby poświęcić się innej pracy: powstanie i rozwój Satjagrahy pochłonęły cały mój czas – co trwa do chwili obecnej.

Jedynie moi przyjaciele mogą powiedzieć, jaki efekt wywarły na nich studia nad *Gitą*, o ile zaś chodzi o mnie, stwierdzam, że księgi *Gity* stały się dla mnie niezawodnym przewodnikiem. Były czymś w rodzaju słownika, którym się posługiwałem codziennie. Podobnie jak kiedyś sięgałem po słownik angielski, kiedy nie rozumiałem jakiegoś angielskiego wyrazu, tak teraz w tym „podręczniku" odnajdywałem gotową odpowiedź na wszystkie nękające mnie zwątpienia i próby, na które byłem wystawiony.

Takie słowa, jak na przykład *aparigraha* (wyzbycie się posiadania) i *samabhava* (równość) wstrząsnęły mną. Jak należało wytworzyć w sobie i utrwalić owo pojęcie równości? Jaką postawę należało zająć wobec miotających obelgi, niegodnych i sprzedajnych urzędników lub też tych, z którymi jeszcze wczoraj współpracowałem, a którzy dziś przeciwstawiali mi się z całą bezmyślnością? Jak postępować z tymi, którzy zawsze byli dobrzy i życzliwi?

Czy człowiek może wyzbyć się wszystkiego, co było jego własnością? Czy samo posiadanie ciała nie jest wystarczające? Czy żona i dzieci nie stanowią części posiadania? Czy powinienem zniszczyć wszystkie posiadane przeze mnie szafy z książkami? Czy miałem się wyrzec wszystkiego i pójść za Nim?

Odpowiedź była prosta: Nie będę mógł pójść za Nim, dopóki nie wyzbędę się wszystkiego, co posiadam. Znajomość prawa angielskiego przyszła mi tym razem z pomocą.

Przypomniałem sobie rozważania Snella na temat zasad równości. W świetle nauki *Gity* jaśniej zrozumiałem zastosowanie słowa „kurator". Mój szacunek dla prawodawstwa wzrósł – znalazłem je w religii. Zrozumiałem, iż nauka *Gity,* mówiąca o wyzbyciu się posiadania, oznacza, że ci, którzy pragną osiągnąć zbawienie, winni postępować jak owi „kuratorzy", którym wprawdzie powierzono pieczę nad wielkimi majątkami, ale którzy nawet na chwilę nie mogą się uważać za ich posiadaczy.

I wtedy stało się dla mnie ponad wszelką miarę oczywiste, że wyzbycie się posiadania i równość wymagają zmiany, która winna się dokonać w sercu, i oznacza zmianę całego postępowania.

Napisałem wtedy do Rewaśankarbhai, by unieważnił polisę ubezpieczeniową, odebrał, co jeszcze da się odebrać, lub też uznał wpłacone już składki za przepadłe, gdyż doszedłem do przekonania, że Bóg, który stworzył mą żonę i moje dzieci, podobnie jak i mnie samego, roztoczy nad nimi opiekę.

Do mego brata, który mi zastępował ojca, napisałem, tłumacząc, że oddaję mu teraz wszystko, cokolwiek udało mi się dotychczas zaoszczędzić, jednak niech się niczego więcej nie spodziewa w przyszłości ode mnie, gdyż jeśli nawet będę miał jakieś oszczędności, obrócę je na rzecz naszej gminy.

Nie udało mi się przekonać mego brata do tego wszystkiego. W surowych słowach dał mi do zrozumienia, jakie obowiązki ciążą na mnie w stosunku do niego. Nie powinienem – mówił – usiłować być mądrzejszy od naszego ojca. Moim obowiązkiem jest utrzymywać rodzinę, podobnie jak on to czynił.

Starałem się wytłumaczyć mu, że robię właśnie to samo co ojciec. Jeżeli zechce nieco szerzej potraktować to, co nazywamy „rodziną", przekona się, że to, co czynię, jest rozumne. Brat zrezygnował z dalszej rozmowy ze mną i – właściwie mówiąc – zerwał ze mną wszelkie stosunki. Byłem tym ogromnie zmartwiony, ale mój ból byłby jeszcze większy, gdybym zaniechał tego, co uważałem za swój obowiązek. Wybrałem więc mniejsze zło. Nie wpłynęło to jednak w żadnym stopniu na moje uczucie i oddanie dla niego, pozostało ono równie wielkie i nieskalane jak dawniej.

To wielka miłość, jaką darzył mnie mój brat, była powodem tej nieszczęsnej sytuacji. Bratu chodziło bowiem nie tyle o pieniądze, co o mój należyty stosunek do rodziny. U schyłku życia potrafił jednak zrozumieć moje stanowisko. Niemal na łożu śmierci uprzytomnił sobie, że krok, który uczyniłem, był słuszny. Napisał wtedy do mnie wzruszający list, w którym przepraszał mnie, jeśli w ogóle ojciec może przepraszać syna. Polecał swoich synów mojej opiece, pragnął, bym ich wychował według mego uznania, i chciał mnie jak najszybciej zobaczyć. Przysłał

mi depeszę, w której donosił, że gotów byłby przyjechać do Afryki Południowej, na co mu odpowiedziałem, że może to zrobić. Niestety, stało się inaczej. Umarł, zanim wybrał się w podróż. Również jego życzenia dotyczące synów się nie ziściły. Jego synowie zostali wychowani zgodnie z dawnymi obyczajami i nie potrafili zmienić trybu swego życia. Ja nie byłem w stanie sprowadzić ich do siebie. Nie było więc w tym ich winy.

Któż zdoła orzec, do czego zdolna jest jego natura? Któż zdoła wyzbyć się cech, z którymi przyszedł na świat? Jakże nierozumną jest rzeczą liczyć na to, że twoje dzieci lub ci, którzy pozostawali pod twoją opieką, wkroczą na tę samą drogę rozwoju co ty!

Ten przykład dobitnie wskazuje, jak ogromną odpowiedzialność ponoszą rodzice.

VI. OFIARA NA RZECZ WEGETARIANIZMU

W miarę tego jak moje ideały poświęcenia i osiągnięcia jak największej prostoty zaczęły się realizować, a świadomość religijna coraz wyraźniej występowała w moim codziennym życiu, rosło we mnie również przywiązanie do wegetarianizmu jako do swego rodzaju posłannictwa.

Znałem tylko jedną drogę działalności misjonarskiej, a mianowicie: posługiwanie się własnym przykładem i prowadzenie rozmów z tymi, którzy weszli na drogę poszukiwania Prawdy.

W Johannesburgu znajdowała się restauracja wegetariańska, prowadzona przez pewnego Niemca, wielkiego zwolennika wodolecznictwa metodą Kuhnego. Odwiedzałem tę restaurację i starałem się przyjść jej właścicielowi z pomocą, sprowadzając tam moich angielskich przyjaciół. Wiedziałem jednak, że nie potrwa to długo, gdyż przedsiębiorstwo było stale w finansowych tarapatach. Pomagałem mu, ile się tylko dało, włożyłem w nie nawet trochę pieniędzy, ale w końcu restauracja została zamknięta.

Teozofowie – w większym lub mniejszym stopniu – byli przeważnie wegetarianami i pewna dość przedsiębiorcza pani, należąca do tego towarzystwa, wystąpiła z inicjatywą założenia wegetariańskiej restauracji, ale już na dużą skalę. Była wielką miłośniczką sztuki, a przy tym kobietą dość ekscentryczną i absolutnie nieznającą się na rachunkach. Miała szeroki krąg przyjaciół. Zaczęła raczej skromnie, później jednak postanowiła rozszerzyć przedsiębiorstwo,

przenieść się do obszernego lokalu i wtedy zwróciła się do mnie z prośbą, bym jej dopomógł. Nic nie wiedziałem wtedy o jej stanie finansowym, miałem jednak pewne podstawy, by sądzić, że jest raczej zadowalający. Poza tym mogłem przyjść jej z pomocą. Moi klienci deponowali u mnie dość znaczne sumy pieniężne. Otrzymawszy zgodę jednego z nich, udzieliłem z jego depozytu pożyczki w wysokości tysiąca funtów. Ów klient był człowiekiem o niezwykle dobrym sercu i obdarzał mnie całkowitym zaufaniem. Kiedyś przywędrował do Afryki Południowej jako kontraktowy robotnik rolny.

Powiedział mi wtedy:

– Jeżeli pan chce, może jej pan dać pieniądze. Ja się na tych rzeczach nie znam. Wystarczy, że znam pana!

Ten człowiek nazywał się Badri. Później odegrał wybitną rolę w akcjach Satjagrahy i w związku z tym został uwięziony.

Udzieliłem więc owej pani pożyczki, uważając, że jego zgoda w tym wypadku jest wystarczająca.

Po upływie dwóch czy trzech miesięcy dowiedziałem się, że pożyczona przeze mnie suma nie zostanie mi zwrócona. Nie stać mnie było na poniesienie podobnej straty. Było aż nadto wiele innych celów, na które można by przeznaczyć te pieniądze.

Pożyczka, o której jest mowa, nigdy nie została mi zwrócona. Ale czy mogłem pozwolić, by ucierpiał Badri, obdarzający mnie zaufaniem? Jemu wystarczyło, że znał mnie. Postanowiłem więc postąpić tak, by nie poniósł żadnej straty. Pewien zaprzyjaźniony ze mną klient, któremu opowiedziałem o tej „transakcji", zbeształ mnie – zresztą z wielka łagodnością – za lekkomyślność.

– *Bhai* – powiedział do mnie (na szczęście nie byłem jeszcze wtedy mahatmą ani nawet *bapu* – „ojcem"; przyjaciele zwracali się do mnie, dodając do mego nazwiska „bhai", co oznacza „bracie") – nie powinieneś tego robić! Jesteś nam tak bardzo potrzebny. Nie zgodzimy się, byś miał z własnej kieszeni zwrócić tę stratę. Wiemy, że nie chciałeś narazić na nią Badriego i dlatego wolisz zapłacić z własnych pieniędzy. Jeżeli jednak będziesz nadal używał pieniędzy swoich klientów do przeprowadzania swych planów, biedaków czeka ruina, a ty też możesz wkrótce zostać żebrakiem. Jesteś jednak pełnomocnikiem naszych spraw i powinieneś wiedzieć, że gdybyś został nędzarzem, cała nasza akcja polityczna stanie!

Rad jestem, że mogę stwierdzić, iż ten przyjaciel jeszcze żyje. Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu bardziej prawego niż on człowieka, zarówno tu, w Afryce Południowej, jak i gdzie indziej. Jest mi wiadome, że rzuciwszy kiedyś na pewnych

ludzi podejrzenia i przekonawszy się, że są one bezpodstawne, prosił ich o przebaczenie i darowanie mu winy.

Przekonałem się, że miał słuszność, przestrzegając mnie. Mimo iż wyrównałem stratę poniesioną przez Badriego, zrozumiałem, że nie wolno mi w przyszłości narażać się na podobne straty i zaciągać długów, czego zresztą nigdy dotychczas nie robiłem i do czego miałem nieprzeparty wstręt. Zrozumiałem również, że nawet największy zapał reformatora nie upoważnia go do przekroczenia pewnych granic. Uprzytomniłem sobie ponadto, że wdając się w tę transakcję i pożyczając pieniądze, postąpiłem wbrew kardynalnej zasadzie zawartej w nauce *Gity*, która powiada, że człowiek nie powinien uzależniać swego postępowania od korzyści, jakie ono może mu przynieść. Popełniony przeze mnie błąd był dla mnie sygnałem ostrzegawczym.

Ofiara, którą złożyłem na ołtarzu wegetarianizmu, nie była ani z góry zamierzona, ani oczekiwana. Zrodziła ją konieczność.

VII. LECZENIE WODĄ I ZIEMIĄ

W tym samym czasie gdy wzrastała prostota mego życia, rosła we mnie zdecydowana niechęć do wszelkiego rodzaju lekarstw. Kiedy prowadziłem kancelarię adwokacką w Durbanie, chorowałem przez pewien czas na ogólną niemoc i reumatyczne zapalenie stawów. Doktor P.I. Mehta, który mnie odwiedzał, przepisał mi kurację, po której całkowicie powróciłem do zdrowia. Nie przypominam sobie, bym od tego czasu aż do chwili powrotu do Indii kiedykolwiek poważniej zapadł na zdrowiu.

Jednak podczas pobytu w Johannesburgu dolegała mi nieraz obstrukcja i miałem częste bóle głowy. Kurowałem się sam, używając od czasu do czasu środków przeczyszczających i przestrzegając ścisłej diety. Nie mogłem mimo to uważać się za całkiem zdrowego i nieraz zastanawiałem się nad tym, kiedy przestanę być niewolnikiem wszystkich tych przeczyszczających lekarstw.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy cierpiałem na zapalenie stawów, przeczytałem o powstaniu w Manchesterze stowarzyszenia pod wezwaniem: „Nie jadamy śniadań!". Założyciele tego stowarzyszenia twierdzili, że Anglicy jedzą zbyt często i za dużo, że ich wydatki na lekarzy dlatego są tak znaczne, iż jadają oni aż do północy i że jeżeli chcą, by ten stan rzeczy uległ poprawie, powinni zrezygnować przynajmniej z jedzenia śniadań.

Aczkolwiek nie można było tego wszystkiego powiedzieć o mnie, doszedłem jednak do przekonania, że częściowo dotyczy to również mojej osoby. Zazwyczaj miewałem dziennie trzy dość obfite posiłki, nie licząc popołudniowej herbaty. Lubiłem dobrze zjeść i – na ile mi pozwalała wegetariańska i pozbawiona korzennych przypraw dieta – z przyjemnością jadałem wszelkie smakołyki. Rzadko kiedy wstawałem wcześniej niż o szóstej lub siódmej rano i wmówiłem sobie, że likwidując ranne posiłki, pozbędę się bólów głowy. Postanowiłem spróbować. W ciągu pierwszych paru dni przychodziło mi to z trudem, za to bóle głowy znikły całkowicie. Wywnioskowałem z tego, że najwidoczniej jadałem więcej, aniżeli tego potrzebował mój organizm.

Zaprzestanie jadania śniadań nie uwolniło mnie jednak od obstrukcji. Zastosowałem tak zwane nasiadówki według systemu Kuhnego, które mi wprawdzie przyniosły pewną ulgę, ale mnie nie wyleczyły.

W tym samym czasie Niemiec będący właścicielem wegetariańskiej restauracji – a może inny mój znajomy (już nie pamiętam) – dał mi do przeczytania *Powrót do natury* Justa. W tej właśnie książce przeczytałem o leczeniu ziemią. Autor zalecał również świeże owoce oraz orzechy, jako najbardziej wskazane pożywienie dla człowieka. Nie od razu przeszedłem na wyłącznie owocową dietę, natomiast z miejsca przystąpiłem do wypróbowania leczenia ziemią i osiągnąłem niezwykłe wyniki.

Leczenie polegało na okładaniu brzucha czystą ziemią, zwilżoną zimną wodą, roztartą na cienkim płótnie. Stosowałem to przed udaniem się na spoczynek, przy czym zdejmowałem okład w ciągu nocy lub z rana po obudzeniu się. Kuracja okazała się jak najbardziej skuteczna. Od tego czasu wielokrotnie do niej wracałem, a także miałem sposobność wypróbowania jej na moich znajomych i nigdy tego nie żałowałem.

W Indiach nie udało mi się jednak zastosować tej metody leczenia z tym samym powodzeniem. Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie osiedlałem się na dłużej w jednej miejscowości i nie miałem czasu na kontynuowanie moich doświadczeń. Wierzę jednak nadal, tak samo niezbicie jak dawniej, w skuteczność leczenia ziemią i wodą. Jeszcze i teraz, ilekroć nadarzy się sposobność, sam poddaję się takiemu leczeniu i polecam je swym znajomym.

Pomimo iż dwukrotnie w moim życiu ciężko chorowałem, sądzę, że człowiek nie ma potrzeby uciekać się do wszelakiego rodzaju leków. W dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na tysiąc można się wyleczyć odpowiednią dietą, leczeniem ziemią i wodą, a także podobnymi domowymi

zabiegami. Człowiek, który przy najlżejszym zasłabnięciu wzywa lekarza lub korzysta z usług wajdiów albo hakimów, łyka różne leki spreparowane z roślin lub minerałów, nie tylko sam skraca swe życie, ale staje się niewolnikiem swego ciała, zamiast być jego panem, wreszcie traci panowanie nad sobą i przestaje być człowiekiem. Niech nikt nie bagatelizuje przytoczonych tu spostrzeżeń tylko dlatego, że zostały one spisane przez człowieka chorego i leżącego w łóżku.

Znam doskonale przyczyny mojej choroby i wiem, że wyłącznie ja sam ponoszę za nie odpowiedzialność. Jeżeli potrafiłem cierpliwie ją znosić, to właśnie dlatego, że zdawałem sobie sprawę z istoty moich dolegliwości. Właściwie mówiąc, jestem wdzięczny Opatrzności za naukę, jaką wyciągnąłem z mojej choroby, oraz za to, że potrafiłem się oprzeć chęci zażywania rozmaitych leków. Wiem, że ten upór nieraz gniewa opiekujących się moim zdrowiem lekarzy, ale oni okazują mi wiele życzliwości i nie rezygnują z leczenia mnie.

Wciąż odbiegam od tematu. Zanim jednak przystąpię do dalszego ciągu opowieści, muszę zwrócić się do czytelników z kilkoma słowami przestrogi. Ci, którzy na podstawie tego rozdziału zechcą nabyć książkę Justa, nie powinni uważać wszystkiego, co jest w niej napisane, za bezwzględnie słuszne. Pisarz zazwyczaj ukazuje każde zdarzenie tylko z jednej strony, podczas gdy można je prezentować co najmniej z siedmiu różnych punktów widzenia, które mogą być, biorąc każdy oddzielnie, całkiem słuszne, ale nie w tym samym czasie i nie w tych samych okolicznościach. A poza tym: wiele książek pisze się jedynie po to, by znaleźć nabywców, zdobyć nazwisko i sławę.

Niechże więc ci, którzy biorą do rąk tego rodzaju książki, czynią to z rozwagą i zechcą przyjąć radę doświadczonego człowieka, zanim przystąpią do robienia własnych eksperymentów. Niech studiują te książki uważnie i dobrze je przetrawią, zanim zaczną działać zgodnie z ich zaleceniami.

VIII. OSTRZEŻENIE

Obawiam się, że będę musiał również w tym rozdziale omawiać poruszoną wyżej dygresję.

Obok doświadczeń z leczeniem ziemią przeprowadzałem też kurację za pomocą racjonalnego odżywiania. Sądzę, że warto w tym miejscu dać wyraz niektórym moim spostrzeżeniom dotyczącym spraw dietetycznych, chociaż nieraz będę jeszcze powracał do tych spraw.

Nie mam jednak zamiaru – ani teraz, ani później – wdawać się w szczegółowy opis obserwacji, jakie poczyniłem w tym zakresie, gdyż zrobiłem to już w serii artykułów napisanych w języku gudźarati, które ukazały się przed laty w piśmie „Indian Opinion", a następnie zostały wydane jako książka, znana angielskim czytelnikom pod tytułem *Przewodnik zdrowia*.

Wśród licznych napisanych przeze mnie książeczek ta właśnie cieszyła się największą poczytnością zarówno na Zachodzie, jak na Wschodzie, czego – przyznam się szczerze – nie jestem w stanie zrozumieć. Została napisana dla czytelników „Indian Opinion". Jest mi jednak wiadomo, że ta broszura wywarła poważny wpływ na życie wielu ludzi – na Zachodzie i na Wschodzie – którzy nigdy nawet nie widzieli tego pisma, natomiast prowadzili ze mną korespondencję na ten temat.

Uważam, że należy obecnie powiedzieć parę słów o tej broszurze, bo chociaż nie zmieniłem zawartych w niej poglądów, to jednak gdy chodzi o pewne praktyczne i teraz przeze mnie stosowane zabiegi, uległy one radykalnym zmianom, o czym czytelnicy tej książeczki nie wiedzą, a co, moim zdaniem, powinienem im powiedzieć.

Przy pisaniu tej broszury, podobnie jak przy innych, przyświecały mi wyższe cele, co zresztą stanowiło zawsze główną pobudkę wszystkich moich poczynań, i dlatego jestem ogromnie zmartwiony, nie mając dziś możności wprowadzenia w życie niektórych teorii głoszonych przeze mnie w tej książeczce.

Jestem jak najmocniej przekonany, że człowiek nie powinien pić mleka, poza matczynym, którym się karmi jako niemowlę. Za pożywienie powinny mu służyć wysuszone na słońcu owoce i orzechy. Owoce, jak na przykład winogrona, orzechy i migdały, są w stanie zapewnić dostateczne pożywienie zarówno tkankom, jak i nerwom. O powściągliwość seksualną znacznie łatwiej temu, kto się odżywia w taki właśnie sposób. Ja i moi współpracownicy sami przekonaliśmy się, ile słuszności mieści się w indyjskim przysłowiu, które powiada, że człowiek staje się tym, co je. Pogląd ten został przeze mnie bardzo skrupulatnie wyrażony w książeczce, o której jest mowa.

Niestety, podczas mego pobytu w Indiach okoliczności zmusiły mnie, bym w praktyce sam zaprzeczył teoriom, które głosiłem. Byłem właśnie pochłonięty akcją werbunkową w Khedzie, kiedy błąd popełniony przeze mnie w mojej diecie powalił mnie z nóg. Byłem bliski śmierci. Daremnie usiłowałem podreperować swój nadwerężony organizm, obywając się bez mleka. Zwróciłem się do znanych mi lekarzy, wajdiów, i naukowców z prośbą, by mi polecili jakąś

namiastkę mleka. Niektórzy proponowali płyn wyciśnięty z rośliny *mung*, inni oliwę z *mowhra*[111], jeszcze inni migdałowe mleko. Idąc kolejno za każdą z tych rad, doszczętnie zrujnowałem zdrowie, ale nic mi to nie pomagało: leżałem powalony ciężką niemocą.

Wajdia cytował mi wersety z Ćaraki[112], aby mnie przekonać, że zastrzeżenia religijne, o ile chodzi o dietę, nie mają zastosowania w lecznictwie, a więc nie powinienem liczyć na to, że mi pomogą wyzdrowieć bez żywienia się mlekiem. Czyż ci, którzy bez żadnych wahań radzili mi odżywiać się mięsnym bulionem i pić koniak, mogli być pomocni, gdy chodziło o nieprzyjmowanie mlecznych pokarmów?

Zgodnie z moim ślubowaniem nie wolno mi było używać krowiego ani bawolego mleka. Ślubowanie obejmowało wszelkie rodzaje mleka, ale wobec tego, że składając je, miałem na myśli jedynie mleko matki-krowy lub matki-bawolicy i nie miałem ochoty umierać, wmówiłem sobie, że nie powinienem brać tego ślubowania zbyt dosłownie, i zdecydowałem się pić mleko kozie. Zdawałem sobie jednak najdokładniej sprawę z tego, że godząc się na kozie mleko, łamię złożone przyrzeczenie.

Byłem wtedy całkowicie pochłonięty ideą podjęcia kampanii przeciwko tak zwanej Ustawie Rowlatta i w imię tego celu pragnąłem utrzymać się przy życiu. Skutek był ten, że jedna z najcięższych prób, jakim się poddawałem dobrowolnie w mym życiu, została przekreślona. Wiem dobrze, że istnieje pogląd, jakoby dusza nie miała nic wspólnego z tym, co się je i pije, i że nie chodzi o to, co człowiek wchłania w siebie z zewnątrz, lecz o to, co daje z siebie, ze swojej wewnętrznej istoty.

Niewątpliwie jest w tym cząstka słuszności. Zamiast jednak zastanawiać się nad nią, pozwolę sobie wyrazić moje niezłomne przekonanie, że dla człowieka poszukującego w życiu Prawdy, pragnącego żyć w bojaźni bożej i dążącego do poznania istoty boskości, powściągliwość, zarówno gdy chodzi o ilość, jak i jakość pożywienia, jest tak samo ważna jak powściągliwość w myślach i słowach.

W tym jednak przypadku, gdy mnie zawiodła moja teoria, winien jestem nie tylko powiadomić o tym, lecz surowo ostrzec tych, którzy by chcieli postąpić zgodnie z nią. Chciałbym również zwrócić uwagę tych, którzy, chcąc dochować

111 *Mowhra* – owoce tego drzewa tworzą orzeszki, z których wytłacza się oliwę.

112 Ćaraka – jeden z najwybitniejszych autorów klasycznej medycyny indyjskiej. Żył prawdopodobnie w II w. n.e. Jego dzieło napisane jest wierszem.

wierności głoszonej przeze mnie zasadzie, postanowili powstrzymać się od spożywania mleka, by nie upierali się przy tym, zanim nie przekonają się o dobrych skutkach tej abstynencji lub nie zasięgną rady doświadczonego lekarza.

Moje ostatnie doświadczenia przekonały mnie, że dla ludzi o wadliwym systemie trawienia lub skazanych na przebywanie w łóżku nie ma lżejszej i bardziej pożywnej diety od mlecznej.

Byłbym niezmiernie wdzięczny przypadkowym czytelnikom tego rozdziału, którzy zdobyli osobiste – nie przez lekturę – doświadczenia, by zechcieli mnie powiadomić, która z jarzyn potrafi zastąpić mleko i jest tak samo lekkostrawna i pożywna.

IX. POTYCZKI Z WŁADZAMI

Wróćmy jednak do departamentu azjatyckiego. Johannesburg był fortecą urzędników do spraw azjatyckich. Na podstawie osobistych obserwacji stwierdziłem, że ci „dygnitarze" nie tylko nie bronili interesów Indusów, Chińczyków czy innych osiedleńców z Azji, lecz wręcz przeciwnie – krzywdzili ich.

Niemal codziennie otrzymywałem zażalenia w rodzaju: „Ci, którym przysługuje prawo wjazdu, nie otrzymują go, podczas gdy nieposiadający go przedostają się kontrabandą, płacąc po sto funtów łapówki. Jeżeli pan nie znajdzie lekarstwa na to, któż inny zdoła to uczynić?".

Całkowicie podzielałem to przekonanie. Jeżeli nie uda mi się zaradzić tej krzywdzie, cały mój pobyt w Transwalu okaże się daremny.

Zacząłem więc gromadzić dowody i kiedy uzbierało się ich dość sporo, udałem się do naczelnika miejscowej policji. Odniosłem wrażenie, że trafiłem na właściwego człowieka. Nie zbagatelizował tej sprawy, wysłuchał mnie uważnie i zażądał, abym mu przedstawił wszystkie zebrane przeze mnie dowody. Sam zbadał wiarygodność zeznań świadków, uznał, że zasługują na zaufanie, wiedział jednak równie dobrze jak ja, że w Afryce Południowej trudno będzie znaleźć „białego" sędziego, który by zechciał skazać „białego" za krzywdę wyrządzoną „kolorowemu".

– Spróbujmy jednak – powiedział. – Uważam za skandal, aby podobni przestępcy mieli pozostawać na wolności tylko dlatego, że sąd boi się ich skazać. Wydam nakaz aresztowania ich i zapewniam pana, że nie puszczę im tego płazem.

Zapewnienia były dla mnie zbyteczne.

Moje podejrzenia dotyczyły sporej liczby urzędników, ale niezaprzeczalne dowody winy udało mi się zebrać jedynie przeciwko dwóm. Ich wina nie ulegała najmniejszej wątpliwości.

Nie udało mi się zachować moich poczynań w ścisłej tajemnicy. Wielu wiedziało o tym, że prawie codziennie bywam u naczelnika miejscowej policji. Owi dwaj urzędnicy, przeciwko którym wydane zostały nakazy aresztowania, posługiwali się mniej lub bardziej uzdolnionymi szpiegami, którzy zazwyczaj myszkowali w pobliżu mojej kancelarii i donosili im o każdym moim kroku.

Muszę jednak stwierdzić, że obydwaj urzędnicy mieli tak złą opinię, iż nie mogli mieć wielu szpiegów. Gdyby jednak Indusi i Chińczycy nie przyszli mi z pomocą, tamci nigdy nie zostaliby aresztowani. Jeden z nich zbiegł. Naczelnik policji uzyskał nakaz wydania go, po czym ów urzędnik został aresztowany i wydany władzom w Transwalu. Obydwaj stanęli przed sądem i aczkolwiek dowody ich winy były bardzo przekonujące, a ponadto sąd wiedział, że jeden z nich usiłował zbiec, uznano ich jednak za niewinnych i uwolniono od kary.

Byłem z tego powodu szczerze zmartwiony, podobnie zresztą jak naczelnik policji. Wyrok sądowy mnie oburzył. Rozum buntował się przeciwko podobnemu prostytuowaniu prawa w obliczu tak jawnej zbrodni.

Wina obydwu urzędników była jednak zbyt oczywista i rząd mimo uniewinniającego wyroku nie mógł pozostawić ich na dawnych stanowiskach. Obydwaj zostali z nich usunięci, departament azjatycki został częściowo oczyszczony, a gmina indyjska poczuła się nieco pewniej.

Całe to wydarzenie w dużym stopniu przyczyniło się do podniesienia mego autorytetu i zwiększenia praktyki adwokackiej. Spora – choć nie cała – suma pieniędzy, wynosząca setki funtów, stanowiąca majątek gminy, a przeznaczona na comiesięczne płacenie łapówek, została w ten sposób zaoszczędzona. Wszystkiego nie mogliśmy jednak uratować, gdyż nieuczciwości urzędników nie udało się wyplenić, na razie osiągnęło się tyle, że uczciwy człowiek mógł zachować swą uczciwość.

Muszę wyznać, że chociaż obaj urzędnicy, o których mowa, byli złymi ludźmi, osobiście nie miałem nic przeciwko nim. Oni wiedzieli o tym i kiedy w potrzebie zwrócili się do mnie, pomogłem im. Tak się złożyło, że mogli zostać zatrudnieni w zarządzie miejskim Johannesburga pod warunkiem, że nie sprzeciwię się temu. Ich przyjaciel zwrócił się do mnie w tej sprawie. Powiedziałem, że nie sprzeciwiam się, i obaj zostali zaangażowani.

Stanowisko, jakie zająłem, znalazło całkowite uznanie u czynników oficjalnych, z którymi utrzymywałem kontakt, i pomimo iż niejednokrotnie wypadało mi walczyć z kierowanym przez nich urzędem, a nawet posługiwać się dość ostrym językiem, ich stosunek do mnie był zawsze przyjazny. Nie miałem pewności, czy taki sposób postępowania jest przyrodzoną mi właściwością, i dopiero później uprzytomniłem sobie, że było to podstawowym elementem satjagrahy oraz jedną z cech ahimsy.

Człowiek i jego czyny – to dwie całkowicie odrębne sprawy. Niezależnie od tego, że dobry uczynek zasługuje na uznanie, a zły – na potępienie, sprawca każdego uczynku, bez względu na to, czy jest dobry, czy zły, zawsze zasługuje bądź na szacunek, bądź na litość, zależnie od tego, jak się cała sprawa przedstawia.

„Nienawiść swą skieruj przeciwko grzechowi, nie zaś grzesznikowi!" – powiada przysłowie, tak łatwe do zrozumienia, a przecież tak rzadko stosowane. Dlatego też tyle jest jadu nienawiści rozlanego na świecie.

Ahimsa jest podstawą, na której odbywa się poszukiwanie Prawdy. Każdy dzień przynosi mi potwierdzenie tego, że wszelkie poszukiwanie prawdy jest daremne, o ile nie opiera się na ahimsie. Można oczywiście negować system filozoficzny i zwalczać go, ale negacja i zwalczanie jego twórcy jest równoznaczne ze zwalczaniem siebie samego. Wszyscy bowiem dźwigamy jednakie brzemię, wszyscy jesteśmy dziećmi jednego i tego samego Stwórcy, a moce boskości zawarte w nas nie mają granic.

Zniewaga ludzkiej istoty jest zniewagą tych właśnie mocy, a krzywda jej zadana jest krzywdą wyrządzoną nie tylko jej, lecz całemu światu.

X. ZBOŻNE WSPOMNIENIE I POKUTA

Liczne wydarzenia w moim życiu sprawiły, że blisko stykałem się z ludźmi wyznającymi odmienne religie i należącymi do różnych środowisk. Wszystkie moje przeżycia świadczą o tym, że nie robiłem różnicy pomiędzy swoimi krewnymi a obcymi mi ludźmi, pomiędzy mymi ziomkami a cudzoziemcami, „białymi" a „kolorowymi", Indusami – wyznawcami różnych wiar. Było mi obojętne, czy byli muzułmanami, parsami, chrześcijanami czy żydami.

Powiedziałbym nawet, że moje serce było niezdolne do robienia jakiejkolwiek pomiędzy nimi różnicy. Nie poczytuję sobie tego bynajmniej za specjalną

zasługę, gdyż uważam tę tolerancję za przyrodzoną mi cechę. Stanowi ona raczej cząstkę moich wysiłków doskonalenia się w tym kierunku i jeżeli chodzi o przestrzeganie przeze mnie ahimsy (niesprzeciwianie się złu), brahmaćarji (celibat), aparigrahy (wyzbycie się własności) oraz innych podstawowych zasad, to muszę wyznać, że z całą świadomością wciąż kultywuję je w sobie.

Kiedy prowadziłem kancelarię w Durbanie, urzędnicy pracujący ze mną często mieszkali u mnie, a byli między nimi i wyznawcy hinduizmu, i chrześcijanie lub określając ich według prowincji, z których pochodzili: Gudźaratowie i Tamilowie. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek traktował ich inaczej aniżeli ludzi bliskich mi i drogich. Uważałem ich za członków swej rodziny i miewałem nawet przykre starcia z żoną, gdy sprzeciwiała się, bym ich w ten sposób traktował. Jeden z mych urzędników był chrześcijaninem, a jego rodzice – należeli do kasty *pańćama*[113].

Dom nasz był zbudowany na zachodnią modłę i pozbawiony ścieku dla brudnej wody. Natomiast w każdym pokoju znajdowały się nocniki. Nie pozwalając, by opróżniała je służba, robiliśmy to sami z żoną. Urzędnicy mieszkający z nami i czujący się jak we własnym domu sami sprzątali po sobie, jednak ów chrześcijanin od niedawna przebywał w naszym domu i sprzątanie w jego pokoju było naszym obowiązkiem. Żona wprawdzie uprzątała nocne naczynia po innych, ale wynoszenie ich po kimś, kto miał rodziców z kasty *pańćama*, było dla niej czymś ponad siły. Moja żona nie mogła znieść tego, bym ja sprzątał po nim, ani sama nie chciała tego robić.

Do dziś mam przed oczyma scenę, jak strofuje mnie z oczyma płonącymi od gniewu i kroplami potu ściekającymi po policzkach i jak schodzi na dół po drabinie z nocnikiem w ręce. Jednak ja byłem okrutnym mężem. Uważałem siebie za jej nauczyciela i mimo iż ją bezgranicznie kochałem, wyrządzałem jej moc przykrości. To, że wynosiła nocniki, bynajmniej nie było dla mnie wystarczające. Chciałem, by robiła to z ochotą. Kiedyś podniosłem na nią głos i krzyknąłem: „Nie mam zamiaru tolerować w moim domu podobnych nonsensów!".

Te słowa ugodziły ją niczym strzała. Krzyknęła mi w odpowiedzi: „W takim razie sam sprzątaj w swoim domu i pozwól, bym sobie stąd odeszła!". Straciłem panowanie nad sobą, wszystkie hamulce rozluźniły się we mnie. Chwyciłem ją za rękę, powlokłem bezradną żonę do furtki znajdującej się akurat naprzeciwko drabiny i otworzyłem ją na oścież z zamiarem wyrzucenia z domu. Łzy ciurkiem

113 *Pańćama* – piąty. Pochodzący z piątej kasty – „niedotykalnych".

spływały po jej policzkach. Głośno wołała: – Jak ci nie wstyd? Któż to widział, żeby się tak zapomnieć! Dokąd ja pójdę! Nie mam tu ani rodziców, ani krewnych, którzy by mnie przytulili! Zdaje ci się, że skoro jestem twoją żoną, możesz mnie szarpać i popychać! Uspokój się, na miłość boską, i zamknij tę furtkę! Niech ludzie nie widzą, co się tu u nas dzieje!

Udawałem, że niewiele sobie z tego robię, ale w rzeczywistości było mi ogromnie wstyd i zatrzasnąłem furtkę. Jeżeli moja żona nie mogła mnie opuścić, to tym bardziej ja nigdy nie byłbym w stanie tego uczynić. Niejednokrotnie wynikały pomiędzy nami różne sprzeczki, ale w końcu zawsze następowała zgoda, przy czym zwycięstwo stale było po stronie mojej żony, która miała niewyczerpane zasoby cierpliwości.

Dziś mogę już opowiedzieć bez skrępowania o tym wydarzeniu, które należy do okresu, z którego na szczęście wyszedłem obronną ręką. Nie jestem już owym zaślepionym i na śmierć zakochanym małżonkiem, jakim byłem dawniej, przestałem również być nauczycielem mojej żony. Kasturbai, jeżeli zechce, potrafi być dziś dla mnie tak samo mało uprzejma, jak ja byłem kiedyś dla niej. Łączy nas teraz wypróbowana przyjaźń, nie patrzymy już na siebie z dawną pożądliwością. Była mi oddaną pielęgniarką podczas choroby i otaczała mnie troskliwą opieką bez myśli o jakiejkolwiek nagrodzie, która ją może za to spotkać.

Wydarzenie to miało miejsce w 1898 roku, kiedy jeszcze nie ślubowałem zachowania powściągliwości. Był to czas, kiedy zamiast uważać żonę za towarzysza swego życia, dzielącego z mężem jego radości i smutki, traktowałem ją jako obiekt zaspokajania mężowskiej lubieżności.

W roku 1900 w moim postępowaniu zaszły radykalne zmiany, a w 1906 przybrały one już zupełnie zdecydowany charakter. Wystarczy powiedzieć, że w miarę jak zanikały we mnie cielesne potrzeby, moje domowe życie stawało się coraz spokojniejsze, milsze i szczęśliwsze.

Niech jednak nikt nie wyciąga z tych zbożnych wspomnień fałszywego wniosku, że stanowiliśmy idealne małżeństwo i w duszach naszych żywiliśmy jednakowe ideały.

Sądzę, że Kasturbai sama nie wie, czy w ogóle miała jakieś ideały niezależne od moich. Wygląda raczej na to, że wiele moich postępków nawet dziś jeszcze nie znajduje u niej uznania. Nigdy nie prowadziliśmy na ten temat rozmów, nie sądzę bowiem, by to było potrzebne.

Kasturbai nie otrzymała wykształcenia ani od swoich rodziców, ani ode mnie, choć było to moim obowiązkiem. Jest ona jednak w bardzo dużym stopniu

obdarzona wielką zaletą, właściwą w pewnej mierze wszystkim kobietom indyjskim, a polegającą na tym, że z własnej woli lub odruchowo, świadomie czy też bezwiednie, Kasturbai uważała się za szczęśliwą, mogąc kroczyć moimi śladami i nigdy nie stanęła w poprzek mojej drogi wiodącej do życia pełnego wyrzeczeń.

Pomimo znacznej intelektualnej różnicy pomiędzy nami, zawsze odnosiłem wrażenie, że nasze wspólne życie jest pełne zadowolenia, szczęścia i postępu.

XI. BLISKIE KONTAKTY Z EUROPEJCZYKAMI

Niniejszy rozdział zmusza mnie do wytłumaczenia czytelnikowi, w jaki sposób piszę z tygodnia na tydzień moją opowieść.

Kiedy zacząłem pisać, nie miałem przed sobą żadnego z góry określonego planu. Nie rozporządzałem ani pamiętnikiem, ani dokumentacją, na której mógłbym oprzeć dzieje moich doświadczeń i poszukiwań. Piszę, jak mi w trakcie pisania dyktuje Duch Boży. Nie twierdzę, bym miał absolutną pewność tego, jakoby wszystkim moim świadomym myślom i czynom miał przyświecać jedynie ów Duch Boży, kiedy się jednak bliżej przyjrzałem poważniejszym krokom poczynionym w ciągu mego życia, a także tym, które można by uważać za ostatnie, doszedłem do wniosku, że miałbym pewne podstawy, by twierdzić, iż wszystkie one były mi podyktowane z góry, a więc przez Opatrzność.

Nie ujrzałem oblicza Boga ani nie poznałem Jego istoty, uczyniłem jednak wszystko, by całą duszą uwierzyć w Niego, a że ta wiara była we mnie niewzruszona, więc sądzę, że jej wartość tyleż znaczy, co osobiście doznane doświadczenie. Wobec tego jednak, że porównując wiarę z osobistym doznaniem, mogę się narazić na zarzut, iż pomniejszam tym samym znaczenie wiary, sądzę, że właściwiej będzie, gdy powiem, że nigdy nie mogłem znaleźć w sobie słów, które potrafiłyby wyrazić głębię mojej wiary w Boga.

Może po tym wyjaśnieniu łatwiej będzie zrozumieć, dlaczego wierzę w to, że piszę tak, jak mi dyktuje Duch Boży. Kiedy rozpoczynałem poprzedni rozdział, dałem mu ten właśnie tytuł, jednak w trakcie pisania zdałem sobie sprawę, że zanim opowiem o moich kontaktach z Europejczykami, muszę napisać coś w rodzaju wstępu. Tak też zrobiłem i zmieniłem nagłówek.

Kiedy zabieram się teraz na nowo do tego rozdziału, staję w obliczu nowych problemów. O czym więc pisać, a co pominąć? Biorę przy tym pod uwagę,

że chcę pisać o moich angielskich przyjaciołach, i to w związku z bardzo poważnymi zagadnieniami. Jeżeli mam pominąć rzeczy ważne – ucierpi na tym prawda. A zresztą – to przecież nie tak łatwo od razu ocenić, co jest ważne, skoro czasami nie mam pewności, czy opisywanie wszystkich tych dziejów może mieć jakieś znaczenie.

Dziś lepiej niż kiedykolwiek rozumiem to, co czytałem dawno temu o wadach wszelkich autobiografii, oceniając je ze stanowiska historycznego. Zdaję sobie sprawę, że nie zapisuję tu wszystkiego, co się przechowało w mojej pamięci. Któż potrafi powiedzieć, co winienem – w interesie prawdy – tu podać, a co pominąć? Jak spojrzałby sąd na nieścisłości, które się wkradły przy opisie pewnych wydarzeń z mojego życia? Gdyby jakiś pedant zechciał poddać mnie krzyżowemu przesłuchaniu na temat już napisanych rozdziałów, prawdopodobnie potrafiłby rzucić na nie trochę więcej światła, natomiast gdybym miał do czynienia z wrogim mi i wścibskim sędzią śledczym, niezawodnie mógłby się on pochwalić, że udało mu się wykryć całą „małość wielu moich roszczeń".

Zastanawiam się, czy nie byłoby właściwsze zupełnie przerwać spisywanie tych rozdziałów? Dopóki jednak żaden głos wewnętrzny nie każe mi tego uczynić, będę pisał dalej. Muszę postępować zgodnie z mądrą maksymą, która powiada, że raz rozpoczęte dzieło musi być skończone – chyba że okazało się z etycznego stanowiska fałszywe.

Nie piszę tej autobiografii, by się przypodobać krytykom. Pisanie jest samo przez się jedną z dróg poszukiwania prawdy. Jedną z przyczyn, którą się powoduję, jest chęć sprawienia pewnej ulgi ludziom, którzy ze mną współpracowali, i dostarczenie im materiału do rozważań. Zacząłem przecież pisać, ulegając ich żądaniom. Wszystko to nie zostałoby zapewne nigdy napisane, gdyby Dżeramdas i *swami* Anand nie nalegali, bym postąpił zgodnie z ich radami.

Jeżeli zawiniłem, pisząc tę autobiografię, niech oni też poniosą część winy!

Wróćmy jednak do sprawy wymienionej w tytule tego rozdziału.

Podobnie jak miałem przyjaciół Indusów, którzy mieszkali w moim domu niczym członkowie mojej rodziny, tak samo miałem i przyjaciół Anglików zamieszkałych u mnie w Durbanie. Nie wszystkim, którzy ze mną mieszkali, odpowiadał mój tryb życia. Chciałem jednak mieć ich przy sobie. Nie mogę powiedzieć, bym w każdym przypadku postępował mądrze. Przeżyłem parę gorzkich rozczarowań, a dotyczyły one zarówno Indusów, jak i Europejczyków – i wcale tego nie żałuję. Nie bacząc na nie, a także mimo zmartwień i przykrości, jakie nieraz sprawiałem swoim przyjaciołom, nie zmieniłem mego postępowania,

a oni w dalszym ciągu okazywali mi swą życzliwość. Jednak ilekroć moje kontakty z cudzoziemcami sprawiały im przykrość, nigdy nie zawahałem się przypisać winy tym właśnie przyjaciołom.

Sądzę bowiem, że ci wierni, którzy widzą w innych tego samego Boga, jakiego sami noszą w sobie, muszą umieć obcować z innymi z odpowiednią tolerancją. Tę zdolność współżycia można osiągnąć nie tylko przez zwalczanie nieśmiałości, która bywa wynikiem nieprzewidzianych okoliczności, lecz także przez kultywowanie w sobie ducha poświęcenia, nie licząc przy tym na żadną nagrodę za to.

Pomimo iż mój dom był pełen ludzi, gdy wybuchła wojna z Burami, dałem w nim gościnę jeszcze dwóm Anglikom przybyłym z Johannesburga.

Obydwaj byli teozofami – jeden z nich nazywał się Kitchin; będziemy jeszcze mieli sposobność poznać go bliżej. Żona moja przelała niemało gorzkich łez z ich powodu. Niestety, nieraz z mojej winy była wystawiona na podobne przykrości.

Był to pierwszy przypadek, kiedy udzieliłem gościny w swoim domu angielskim przyjaciołom, traktując ich jak członków rodziny. Podczas pobytu w Anglii niejednokrotnie mieszkałem u Anglików, jednak zawsze starałem się przystosować do trybu życia moich gospodarzy, przy czym nie odbiegało to od ogólnie przyjętych zwyczajów mieszkańca w pensjonacie.

Tu sprawy przedstawiały się zgoła inaczej. Moi angielscy przyjaciele byli uważani za członków mojej rodziny i pod wieloma względami przystosowali się do trybu życia Indusów. Wprawdzie zewnętrzna forma życia była zachowana według wzorów Zachodu, jednak życie wewnętrzne toczyło się w moim domu przeważnie na modłę indyjską.

Przypominam sobie, że odczuwałem nawet pewne trudności w traktowaniu ich jako członków rodziny. Jestem wszakże pewien, że oni nie potrzebowali zdobywać się na jakikolwiek wysiłek, by czuć się pod moim dachem jak we własnym domu.

W Johannesburgu tego rodzaju kontakty rozwinęły się jeszcze bardziej aniżeli w Durbanie.

XII. KONTAKTY EUROPEJSKIE (DALSZY CIĄG)

Przez pewien czas miałem w swojej kancelarii w Johannesburgu aż czterech urzędników indyjskich, których uważałem raczej za swoich synów aniżeli za pracujących u mnie ludzi – ale i to nie wystarczało w mojej pracy. Musiałem mieć u siebie kogoś umiejącego pisać na maszynie, co spośród nas wszystkich umiałem trochę tylko ja. Usiłowałem nauczyć tej sztuki dwóch moich urzędników, nic z tego jednak nie wychodziło, gdyż żaden z nich nie władał dostatecznie angielskim, poza tym jednego z nich chciałem nauczyć księgowości. Nie mogłem również sprowadzić nikogo z Natalu, gdyż bez zezwolenia nikt nie mógł przybyć do Transwalu, a dla swej własnej wygody nie chciałem się zwracać o wyświadczenie mi tej przysługi do urzędnika wydającego zezwolenia.

Po prostu nie wiedziałem, co robić. Zaległości rosły tak szybko, że nie byłem już w stanie – pomimo wszelkich usiłowań z mojej strony – połączyć zawodowej pracy ze społeczną. Chętnie zaangażowałbym „białego" urzędnika, nie byłem jednak pewien, czy biały mężczyzna lub kobieta zechcą pracować u „kolorowego", jakim ja byłem dla nich. Postanowiłem jednak spróbować. Zwróciłem się do pewnego znajomego pośrednika z biura przepisywań na maszynie i prosiłem go o znalezienie dla mnie stenografa. Miał jakieś znajome dziewczęta wykwalifikowane w tym zawodzie i przyrzekł, że mi przyśle jedną z nich. Zwrócił się więc do pewnej Szkotki, miss Dick, która niedawno przybyła ze Szkocji. Nie miała nic przeciwko temu, aby uczciwą pracą zarabiać na życie, tym bardziej że znalazła się w biedzie. Ów pośrednik przysłał mi ją. Od pierwszej chwili wydała mi się sympatyczna.

– Nie ma pani nic przeciwko temu, by pracować u Indusa? – zapytałem ją.

– Absolutnie nic! – odpowiedziała z całą stanowczością.

– Na jakie uposażenie pani liczy?

– Czy siedemnaście funtów i dziesięć szylingów nie będzie za dużo?

– Nie, jeżeli potrafi pani wykonywać pracę, której od pani oczekuję. Kiedy mogłaby pani zacząć pracować?

– Bodaj zaraz, jeżeli pan sobie życzy.

Bardzo mi się to podobało i z miejsca zacząłem jej dyktować listy.

Nie upłynęło wiele czasu, a panna Dick była mi raczej córką lub siostrą aniżeli stenotypistką. Pracowała bez zarzutu. Często powierzałem jej tysiące funtów, ponadto miss Dick prowadziła księgi rachunkowe. Potrafiła nie tylko

zaskarbić sobie moje całkowite zaufanie, ale co więcej – zwierzała mi się ze swych myśli i uczuć. Posłuchała mojej rady, gdy chodziło o wybór przyszłego męża, i przypadł mi w udziale zaszczyt prowadzenia jej do ślubu. Została panią Macdonald i wkrótce musiała się rozstać ze mną, jednak nawet po zamążpójściu, ilekroć zmuszony okolicznościami zwracałem się do niej, nigdy mi nie odmawiała swojej pomocy.

Musiałem przyjąć na jej miejsce inną stałą stenotypistkę. Szczęście mi dopisało i dostałem ją. Była to miss Schlesin, którą przedstawił mi mister Kallenbach; czytelnicy dowiedzą się jeszcze o nim w toku dalszej opowieści.

Miss Schlesin jest obecnie nauczycielką w liceum w Transwalu, a kiedy przyszła do mnie, miała około siedemnastu lat. Zarówno mister Kallenbach, jak i ja byliśmy zdania, że miss Schlesin w swych uprzedzeniach posuwa się czasami zbyt daleko. Kiedy przyszła do mnie, chodziło jej raczej o zdobycie pewnego doświadczenia aniżeli o pełnienie funkcji stenotypistki. Wszelkie uprzedzenia rasowe były jej całkowicie obce, natomiast nic sobie nie robiła ani z czyjegoś wieku, ani doświadczenia, przez chwilę nie wahała się powiedzieć komuś prosto w oczy czegoś wręcz obraźliwego lub tego, co o kimś myślała. Jej wybuchowość niejednokrotnie sprawiała mi duże trudności, jednak szczerość i bezpośredniość jej temperamentu potrafiły natychmiast złagodzić te przykrości.

Często nie czytając, podpisywałem listy pisane przez nią na maszynie, uważałem bowiem, że jej angielski jest dużo lepszy od mojego, a ponadto miałem bezwzględne zaufanie do jej lojalności. Jej oddanie było bezgraniczne. W ciągu dłuższego okresu nie brała ode mnie więcej niż sześć funtów miesięcznej pensji i wzbraniała się przyjąć dziesięć, które jej zaproponowałem. Kiedy usiłowałem ją nakłonić do pobierania większej pensji, zbeształa mnie, mówiąc: „Nie przyszłam po to, by zarabiać u pana więcej pieniędzy. Jeżeli tu pracuję, to dlatego, że ta praca mi odpowiada, podobnie jak głoszone przez pana ideały!".

Pewnego razu otrzymała ode mnie czterdzieści funtów, uparła się jednak uważać je za pożyczkę i w ciągu roku spłaciła całą sumę. Była równie odważna, jak zdolna do poświęceń. Była jedną z niewielu kobiet, jakie znałem w swym życiu, obdarzonych kryształowym charakterem i odwagą, jakiej by się nie powstydził najwaleczniejszy wojownik.

Dziś miss Schlesin jest dojrzałą kobietą. Nie znam jej obecnych poglądów tak dobrze, jak je znałem, gdy jako młoda dziewczyna pracowała u mnie, zachowałem jednak na zawsze jak najlepsze wspomnienia o niej. Byłbym w niezgodzie z prawdą, gdybym zechciał cofnąć bodaj cokolwiek z tego, co o niej dawniej sądziłem.

Pracując dla dobra naszej sprawy, miss Schlesin nie znała ani dnia, ani godziny. Sama chodziła wśród ciemnej nocy i gniewała się, gdy ktokolwiek zaproponował, że ją odprowadzi. Tysiące odważnych Indusów gotowych było w każdej chwili stanąć w jej obronie.

Kiedy w okresie Satjagrahy niemal każdy z jej przywódców znajdował się w więzieniu, miss Schlesin sama stanęła na czele ruchu. Rozporządzała tysiącami funtów szterlingów, prowadziła olbrzymią korespondencję, w jej rękach spoczywało kierownictwo pisma „Indian Opinion" – a przecież jej energia nie osłabła nawet na chwilę.

Mógłbym bez końca pisać o miss Schlesin, chcę jednak zakończyć ten rozdział, przytaczając opinię o niej Gokhalego, który znał każdego z moich współpracowników. Wielu z nich cieszyło się jego uznaniem, czemu on sam chętnie nieraz dawał wyraz. Na pierwszym jednak miejscu pośród wszystkich, którzy z nami współpracowali, zarówno gdy chodzi o Indusów, jak i Europejczyków, Gokhale stawiał miss Schlesin.

„Rzadko spotykałem – mówił – tyle oddania, prawości i odwagi co u miss Schlesin. Wśród wszystkich pańskich współpracowników ją stawiam najwyżej!"

XIII. „INDIAN OPINION"

Zanim omówię inne bliskie stosunki łączące mnie z Europejczykami, muszę opowiedzieć o dwóch czy też trzech doniosłych wydarzeniach. O jednym opowiem zaraz: Otóż zaangażowanie miss Dick nie wystarczało dla zaspokojenia moich zapotrzebowań, musiałem mieć więcej rąk do pomocy. Wspomniałem w poprzednich rozdziałach o mister Ritchu, którego bardzo dobrze znałem. Był on dyrektorem w pewnym przedsiębiorstwie handlowym. Na moją propozycję opuszczenia tego stanowiska i rozpoczęcia współpracy ze mną, a tym samym przyjścia mi w ogromnym stopniu z pomocą, mister Ritch odpowiedział przychylnie.

W tym samym mniej więcej czasie Madandźit zwrócił się do mnie z propozycją wydawania pisma „Indian Opinion" i zapytywał mnie o radę. Wiedziałem, że był już przedtem wydawcą, przyjąłem więc jego propozycję. Pismo zaczęło wychodzić w 1904 roku, a jego pierwszym redaktorem został Mansukhlal Nazar. Cały ciężar pracy spadł jednak na mnie, gdyż prowadzenie pisma przeważnie spoczywało w moich rękach.

Nie wynikało to bynajmniej z tego, że Mansukhlal się nie nadawał. Rzecz polegała na tym, że uprawiając z powodzeniem zawód dziennikarza w Indiach, Mansukhlal nie miał odwagi poruszać skomplikowanych spraw południowoafrykańskich tak długo, jak ja tu byłem. Miał duże zaufanie do mojego zmysłu orientacyjnego i obarczył mnie obowiązkiem pisania wstępnych artykułów.

Najpierw pismo ukazywało się jako tygodnik i było drukowane w językach: gudźarati, hindi, tamilskim i po angielsku. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że wydawanie pisma w języku hindi i tamilskim jest całkowicie zbyteczne, nie odpowiadało bowiem tym celom, do których było przeznaczone. Przerwałem więc dalsze wydawanie w tych językach, pomimo iż spodziewałem się pewnego niezadowolenia, jakie ten krok może wywołać.

Z początku nie przypuszczałem, że może zajść potrzeba zainwestowania przeze mnie jakiegoś kapitału w to wydawnictwo, wkrótce jednak się przekonałem, że nie obejdzie się bez finansowej pomocy z mojej strony.

Zarówno Indusi, jak i Europejczycy wiedzieli, że aczkolwiek nie byłem oficjalnym redaktorem „Indian Opinion", w rzeczywistości jednak odpowiadałem za jego prowadzenie. Sprawa przedstawiałaby się zgoła inaczej, gdyby się to pismo nigdy nie ukazało, skoro jednak raz zaczęło wychodzić, zlikwidowanie go uważano by za porażkę i za coś wręcz niewłaściwego.

Zacząłem więc pakować w nie swoje pieniądze, aż utopiłem w nim wszystkie oszczędności. Przypominam sobie, że był taki czas, kiedy musiałem co miesiąc wydawać na nie siedemdziesiąt pięć funtów.

Po latach zdaję sobie sprawę z tego, że to pismo dobrze się przysłużyło naszej wspólnej sprawie. Nie miało zresztą nigdy charakteru przedsiębiorstwa handlowego i dokąd pozostawało pod moją kontrolą, zmiany, jakie w nim zachodziły, odpowiadały zmianom zachodzącym w moim życiu.

W owych czasach „Indian Opinion", podobnie jak „Young India" oraz obecny „Navajivan", były wiernym odzwierciedleniem mojego własnego życia. Tydzień po tygodniu przelewałem na jego szpalty mą duszę, tłumaczyłem podstawy i praktyczne zastosowanie satjagrahy, zgodnie z tym, jak rozumiałem tę akcję.

W ciągu dziesięciu lat, aż do 1914 roku, nie licząc przerw spowodowanych moim pobytem w więzieniu, w każdym niemal numerze „Indian Opinion" był artykuł napisany przeze mnie. Nie przypominam sobie, by bodaj jedno słowo w tych artykułach było napisane bez głębszego zastanowienia albo też nosiło cechy przesady lub płynęło z chęci przypodobania się. Dla mnie pismo było

placówką, na której uczyłem się sztuki panowania nad sobą, a dla moich przyjaciół było źródłem, które pomagało im utrzymać łączność z moimi myślami.

Krytycy znajdowali w tym piśmie bardzo mało powodów do atakowania go. W rzeczywistości bowiem ton panujący w „Indian Opinion" narzucał powściągliwość piórom krytyków.

Bez „Indian Opinion" akcja Satjagraha byłaby zapewne nie do pomyślenia. Czytelnicy czekali na to pismo, wiedząc, że znajdą w nim i wiarygodną relację o przebiegu Satjagrahy, i odpowiadający prawdzie opis warunków, w jakich żyją Indusi w Afryce Południowej.

Mnie osobiście to pismo przysłużyło się również jako środek, za pomocą którego poznałem naturę ludzką we wszystkich jej odmianach i odcieniach, zawsze bowiem dążyłem do wytworzenia bliskich i uczciwych stosunków pomiędzy redaktorem a jego czytelnikami. Byłem zasypywany listami, w których czytelnicy na oścież otwierali przede mną swe serca. Listy bywały przyjazne, krytykujące lub zgorzkniałe, zależnie od nastroju piszącego. Studiowanie tych listów, przetrawianie ich i udzielanie na nie odpowiedzi było dla mnie znakomitą szkołą. Miałem wrażenie, że nasze społeczeństwo dzieli się ze mną swymi myślami za pośrednictwem tej korespondencji.

Pozwoliło mi to również uświadomić sobie całą odpowiedzialność ciążącą na dziennikarzu, a wpływ na nasze społeczeństwo, jaki tą drogą zdobyłem, przyczynił się do rozwoju przyszłej akcji i nadał jej cechy godności i niezłomności.

Już w pierwszym miesiącu ukazywania się „Indian Opinion" uświadomiłem sobie, że jedynym zadaniem dziennikarstwa jest służenie celom społecznym. Prasa jest potężną siłą, ale podobnie jak niepowstrzymane potoki wody mogą zatopić całe połacie ziemi i zniszczyć plony, tak samo niepowściągliwe pióro może spowodować zgubne skutki. Jeżeli kontrola przychodzi z zewnątrz, bywa niekiedy bardziej niebezpieczna aniżeli sama potrzeba kontroli. Natomiast może być pożyteczna jedynie wtedy, gdy wykonywana jest od wewnątrz.

Jak niewiele pism na świecie wytrzymałoby pomyślnie tę próbę, jeżeli zgodzimy się, że przytoczone wyżej rozumowanie jest słuszne!… Któż jednak jest w stanie zapobiec wydawaniu tych pism, które są zgoła zbyteczne i nie przynoszą żadnej korzyści? I kto ma w tych sprawach być sędzią?

To, co przynosi pożytek, i to, co jest bezużyteczne, podobnie jak zło i dobro, kroczą zazwyczaj tuż obok siebie. To człowiek sam winien dokonać między nimi wyboru.

XIV. „REZERWATY" DLA KULISÓW CZY GETTA?

Niektóre spośród warstw naszego społeczeństwa, oddające nam duże społeczne usługi, a uważane przez Indusów za „niedotykalne", zostały zmuszone do zamieszkiwania w specjalnie wyznaczonych odległych dzielnicach miast lub osiedli zwanych w języku gudźarati *dhedvado*[114]. Nazwa ta z czasem nabrała specyficznego i ujemnego znaczenia.

Zresztą również i w chrześcijańskiej Europie w swoim czasie wydzielono specjalne dzielnice, w których wolno było mieszkać Żydom, uważanym za „nieczystych". Te dzielnice otrzymały wymowną nazwę: getto.

Podobnie dziś mamy w Afryce Południowej takich samych „nieczystych" lub też ludzi, których „nie należy dotykać".

Przyjrzyjmy się, jak dalece ofiara poniesiona przez Andrewsa oraz magiczna różdżka śastr zdołały nas pod tym względem zrehabilitować.

Starożytni Żydzi uważali siebie za naród wybrany przez Boga spośród wszystkich innych; na potomków tego narodu spadły jednakże zgoła nieprzewidziane i niesprawiedliwe prześladowania. Zupełnie tak samo Indusi uważali siebie za Aryjczyków, czy też przynależnych do cywilizowanej rasy, natomiast część swego własnego narodu, związanego z nimi najściślejszymi więzami krwi, traktują jako „nieczystych" lub „niedotykalnych". Rezultat jest ten, że nie tylko Indusów zamieszkałych w Afryce Południowej, lecz również muzułmanów i parsów spotkał podobny niezasłużony i niesprawiedliwy los, ponieważ mieszkają w tym samym kraju i mają skórę tego samego koloru co ich bracia hindusi.

Po przeczytaniu tych słów czytelnik łatwiej zrozumie właściwy sens słowa „rezerwat", które umieściłem w tytule tego rozdziału. W Afryce Południowej zdobyliśmy mało zaszczytny przydomek „kulisów". W Indiach ten wyraz oznacza „tragarza" lub najemnego robotnika, natomiast w Afryce Południowej nabrał on wręcz obelżywego znaczenia. Znaczy to samo co dla nas „parias" lub „niedotykalny", „nieczysty", a dzielnice przeznaczone na miejsce zamieszkiwania dla „kulisów" znane są jako „rezerwaty dla kulisów".

Johannesburg ma jedno takie osiedle, ale w przeciwieństwie do innych, gdzie Indusi mają prawa najemców, tu nabyli swoje działki na podstawie dzierżawy opiewającej na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Ludność tych osiedli mieszkała w ogromnej ciasnocie, ponieważ mimo jej przyrostu obszar rezerwatu nie

114 *Dhedvado* – człowiek z niskiej kasty.

ulegał zwiększeniu. Poza oczyszczaniem od czasu do czasu ustępów w tym „rezerwacie", zarząd miejski nie troszczył się ani o poprawę warunków sanitarnych, ani o budowę dróg czy też oświetlenie tych okolic.

Trudno było się zresztą spodziewać, że zarząd miejski zechce uczynić coś dla higieny, skoro go nie wzruszał los ludzi zamieszkujących te „rezerwaty". Sama zaś ludność niewiele wiedziała o obowiązujących przepisach sanitarnych; przestrzeganie ich było obowiązkiem władz miejskich, które nic w tym kierunku nie robiły.

Gdyby ludzie, którzy tu przybyli, byli Robinsonami Crusoe, byłaby to zupełnie inna historia. Ale czy ktoś na świecie słyszał o choćby jednej kolonii emigrantów Robinsonów Crusoe? Ludzie emigrują przeważnie w poszukiwaniu dobrobytu lub możności uprawiania handlu, ale większość Indusów, którzy przywędrowali do Afryki Południowej, to byli ubodzy rolnicy, ignoranci, których należało otoczyć wszelką możliwą opieką.

Liczba przybyłych wraz z nimi kupców Indusów lub ludzi wykształconych była nad wyraz szczupła.

Karygodne zaniedbania ze strony zarządu miejskiego oraz ignorancja osiedleńców indyjskich przyczyniły się do tego, że cały „rezerwat" znalazł się w przerażających warunkach sanitarnych. Zarząd miejski, nie czyniąc nic dla poprawy tych warunków, wykorzystał ten stan (którego sam był sprawcą) jako pretekst do zlikwidowania „rezerwatu". W tym celu uzyskał od miejscowych władz upoważnienie do wywłaszczenia osiedleńców.

W takim oto stanie znajdowały się te sprawy, kiedy się przeniosłem do Johannesburga.

Osiedleńcom, którzy byli prawnymi właścicielami działek, należało się – rzecz prosta – odszkodowanie. Dla rozpatrzenia sprawy należności za wywłaszczoną ziemię utworzono specjalny trybunał. Jeżeli dzierżawca nie chciał przyjąć ofiarowanego mu przez zarząd miejski odszkodowania, przysługiwało mu prawo odwołania się do owego trybunału, a w przypadku gdy przyznane przezeń odszkodowanie przewyższało sumę proponowaną przez zarząd miejski, ten ostatni ponosił koszt wyrównania odszkodowania.

Większość dzierżawców zwróciła się do mnie, powierzając mi obronę swych praw. Nie miałem zamiaru zarabiać na prowadzeniu tych spraw i dlatego powiedziałem owym dzierżawcom, że gdy wygram, zadowolę się kosztami przyznanymi przez sąd oraz honorarium w wysokości dziesięciu funtów za każde powództwo, niezależnie od wyniku. Powiedziałem im również, że mam zamiar przekazać

połowę pieniędzy z tych honorariów na budowę szpitala lub podobnej instytucji przeznaczonej dla ubogiej ludności. Ten projekt ogromnie się wszystkim podobał.

Z siedemdziesięciu powództw sądowych tylko jedno zostało przegrane. Dzięki temu ogólna suma honorariów była dość poważna. Ale mieliśmy nasze pismo „Indian Opinion", z wiecznymi potrzebami, które – jak to sobie przypominam – pochłonęły już około tysiąca sześciuset funtów szterlingów. Musiałem się ciężko napracować, prowadząc wszystkie te sprawy. Byłem wiecznie nagabywany przez moich klientów. Większość z nich należała do kontraktowych robotników rolnych i pochodziła z południowych Indii.

Dla obrony dość swoistych roszczeń utworzyli oni własne stowarzyszenie, odrębne od tego, które mieli indyjscy kupcy i handlowcy. Niektórzy spośród nich byli ludźmi o otwartym sercu, liberalnych poglądach i szlachetnych charakterach.

Na ich czele stali: Dźairamsingh, jako przewodniczący, oraz Badri, który – właściwie mówiąc – pełnił również te same funkcje. Niestety, żaden z nich już nie żyje. Byli mi niezmiernie pomocni w mojej pracy. Badri nawiązał bardzo bliskie stosunki ze mną i odegrał wybitną rolę w akcji Satjagraha. Za ich pośrednictwem oraz innych przyjaciół utrzymywałem bliski kontakt z licznymi osiedleńcami przybyłymi tu z północnych i południowych Indii. Stałem się bardziej ich bratem aniżeli radcą prawnym i dzieliłem z nimi wszystkie troski i niedole zarówno prywatne, jak i natury publicznej.

Może warto w tym miejscu zaznaczyć, jakim mianem zwykli nazywać mnie miejscowi Indusi… *szeth* Abdulla nie chciał zwracać się do mnie po nazwisku: Gandhi. Na szczęście nikt nigdy nie obraził mnie, nazywając lub traktując mnie jako „sahiba". *Szeth* Abdulla wpadł na piękny pomysł nazywania mnie „bhai", co oznacza – „bracie". Inni poszli za jego przykładem i aż do chwili kiedy opuszczałem Afrykę Południową zwracano się do mnie: bhai!…

Było coś niezmiernie wzruszającego w posługiwaniu się tym słowem przez byłych kontraktowych robotników rodem z Indii.

XV. DŻUMA – I

Indusów wysiedlono z „rezerwatu" dopiero wtedy, gdy zarząd miejski zapewnił sobie prawa własności. Należało więc znaleźć odpowiednie pomieszczenia dla dotychczasowych mieszkańców przed przystąpieniem do ich przesiedlenia. Wobec tego zaś, że zarząd miejski nie mógł tak

łatwo tego uczynić, Indusi byli zmuszeni mieszkać w tym samym zapowietrzonym ,,rezerwacie", przy czym warunki w nim pogarszały się coraz bardziej. Mieszkańcy „rezerwatu", przestając być jego właścicielami, zamieniali się w lokatorów, którym zarząd miejski jedynie wynajmował domostwa, co w rezultacie doprowadziło do tego, że warunki sanitarne były jeszcze gorsze niż uprzednio. Jako właściciele musieli oni w obawie przed odpowiedzialnością prawną przestrzegać pewnych zarządzeń sanitarnych, natomiast zarząd miejski obecnie podobnych obaw nie żywił. Liczba najemców rosła, a z nią brud i rozgardiasz.

W tym samym czasie, kiedy Indusi srodze cierpieli z powodu tego stanu rzeczy, nagle wybuchła epidemia tak zwanej dżumy płucnej, jeszcze straszliwszej i groźniejszej od dżumy gruczołowej.

Na szczęście rozsadnikiem epidemii nie był „rezerwat", lecz jedna z kopalni złota położona w sąsiedztwie Johannesburga.

Większość robotników w tej kopalni stanowili Murzyni, a za przestrzeganie przepisów higienicznych ponosili wyłączną odpowiedzialność ich biali pracodawcy. Było tam również kilkudziesięciu Indusów, których praca była częściowo związana z kopalniami. Dwudziestu trzech spośród nich naraz zachorowało i powróciło wieczorem do swych domostw położonych w „rezerwacie" ze wszystkimi objawami dżumy.

Madandźit, który werbował prenumeratorów dla „Indian Opinion" i zbierał należność za prenumeratę, przypadkowo znalazł się w tym momencie w owym „rezerwacie". Był to człowiek nieznający uczucia strachu. Serce ścisnęło mu się z bólu, gdy ujrzał ofiary tej plagi. Niezwłocznie wysłał do mnie napisaną ołówkiem kartkę tej treści: „Nieoczekiwanie wybuchła tu epidemia dżumy. Proszę przybyć niezwłocznie i wydać niezbędne zarządzenia, w przeciwnym razie czekają nas groźne następstwa. Proszę o natychmiastowe przybycie!".

Madandźit, nie zastanawiając się długo, zerwał zamki w niezamieszkanym domu i ulokował w nim wszystkich chorych. Ja natychmiast przyjechałem rowerem na miejsce i pisemnie powiadomiłem jednego z miejskich urzędników o okolicznościach, w których zajęliśmy wymieniony dom.

Doktor William Godfrey, który praktykował wtedy w Johannesburgu, przybył do nas zaraz po otrzymaniu wiadomości o wybuchu epidemii i pełnił jednocześnie funkcje pielęgniarza i doktora. Nie byliśmy jednak w stanie w trójkę podołać pracy, jaka nas czekała przy dwudziestu trzech chorych.

Na podstawie osobistego doświadczenia wierzę, że gdy człowiek zachowa prawość serca, los w nieszczęściu daje mu do dyspozycji ludzi oraz środki, które mu pomagają zwalczyć niepowodzenia.

Miałem w owym czasie w swojej kancelarii czterech urzędników Indusów: jeden nazywał się Kaljandas, drugi – Maneklal, trzeci – Gunwantrai Desai, nazwiska czwartego, niestety, nie potrafię sobie przypomnieć.

Kaljandasa powierzył mojej opiece jego ojciec. Nie spotkałem w ciągu całego mego pobytu w Afryce Południowej człowieka bardziej miłego i skorego do usług niż ów Kaljandas. Na szczęście nie był wtedy jeszcze żonaty i dlatego nie zawahałem się obarczyć go zarówno obowiązkiem, jak i ryzykiem, które bądź co bądź było dość duże. Maneklala zdobyłem sobie w Johannesburgu. On również – o ile sobie przypominam – nie był jeszcze żonaty. Postanowiłem poświęcić wszystkich czterech – obojętnie jak ich nazwę: urzędnikami, współpracownikami czy moimi synami. Nie było potrzeby pytać Kaljandasa o zgodę. Inni także niezwłocznie wyrazili swą gotowość, gdy się do nich zwróciłem.

– Tam, gdzie się pan znajdzie, tam i my będziemy! – brzmiała ich krótka i szlachetna odpowiedź.

Mister Ritch miał liczną rodzinę. On również nie zawahał się, aczkolwiek uprzedziłem go o grożącym niebezpieczeństwie. Nie miałem jednak serca wystawiać go na nie i mister Ritch wykonywał powierzone mu czynności poza obrębem zagrożonej strefy.

Była to straszliwa noc – noc czuwania i pielęgnowania chorych. Niejednokrotnie przedtem zdarzało mi się spełniać różne posługi przy chorych, nigdy jednak przy chorych na dżumę. Odwaga, jaką okazał doktor Godfrey, udzieliła się i nam. Właściwie mówiąc, przy chorych nie było zbyt wiele roboty. Trzeba było dawać im lekarstwa, spełniać ich życzenia, utrzymywać w czystości ich samych oraz ich łóżka, a także podtrzymywać ich na duchu. Oto wszystko.

Niezmordowany zapał i odwaga, z jaką pracowali ci młodzieńcy, napełniały mnie bezgraniczną radością. Ostatecznie można było zrozumieć odwagę doktora Godfreya lub tak doświadczonego człowieka, jakim był Madandźit – ale hart tej młodzieży!

O ile mnie pamięć nie myli, w ciągu tej nocy udało się nam utrzymać przy życiu wszystkich naszych chorych.

To całe wydarzenie, niezależnie od ogromnego patosu, jaki się w nim zawiera, jest dla mnie tak niezmiernie interesujące i ma tak wielką wartość z powodów religijnych, że muszę mu poświęcić co najmniej jeszcze dwa następne rozdziały.

XVI. DŻUMA — II

Przedstawiciel zarządu miejskiego wyraził mi swą wdzięczność za umieszczenie chorych w wolnym domu i zaopiekowanie się nimi. Przyznał się szczerze, że zarząd miejski nie rozporządzał dostatecznymi środkami, by móc niezwłocznie rozpocząć akcję, przyrzekł mi jednak udzielić wszelkiej pomocy, na jaką ich będzie stać. Dzięki obudzonemu poczuciu obowiązku zarząd miejski nie zwlekał już z podjęciem niezbędnych środków w celu przeciwdziałania klęsce.

Następnego dnia zarząd miejski oddał do mojej dyspozycji obszerne pomieszczenie, które służyło dotąd za magazyny, i zaproponował, by chorych tam przeniesiono; pomieszczenie to nie zostało jednak należycie wyprzątane. Budynek był zaniedbany i brudny. Sami doprowadziliśmy go do porządku, a za pośrednictwem ofiarnych Indusów zebraliśmy parę łóżek oraz sporo innych niezbędnych przedmiotów i zainstalowaliśmy tu prowizoryczny szpital. Zarząd miejski przysłał nam pielęgniarkę, która zjawiła się, przynosząc koniak i lekarstwa. Doktor Godfrey ani na chwilę nie przerywał swej pracy.

Pielęgniarka była miłą kobietą i troskliwie doglądała chorych, jednak nie pozwalaliśmy jej zbliżać się do nich, w obawie, by się nie zaraziła. Zgodnie z instrukcją lekarza należało dość często podawać chorym niewielkie dozy koniaku. Pielęgniarka radziła nam również, byśmy w celach zapobiegawczych pili koniak, podobnie jak to robiła sama, ale żaden z nas nie chciał go tknąć. Nie wierzyłem zresztą w jego zbawienne działanie również, gdy chodziło o chorych. Uzyskałem zgodę doktora Godfreya i po odseparowaniu trzech pacjentów, którzy też nie chcieli przyjmować koniaku, zastosowałem kurację ziemną, okładając ich głowy i piersi zwilżoną ziemią. Dwaj zostali uratowani, a dwudziestu chorych przeniesionych do magazynu zmarło.

Tymczasem zarząd miejski najśpieszniej przedsięwziął szereg innych kroków. W odległości siedmiu mil od Johannesburga znajdował się niewielki lazaret dla zakaźnie chorych. Obydwaj pozostali przy życiu chorzy zostali przeniesieni do namiotów położonych przy lazarecie, przy czym wydano zarządzenie, by każdy nowy chory na dżumę był tu właśnie kierowany.

W ten sposób zostaliśmy zwolnieni z naszych obowiązków. Po upływie paru dni dowiedzieliśmy się, że nasza pielęgniarka zachorowała i wkrótce potem umarła. Trudno wytłumaczyć, dlaczego tylko dwóch spośród chorych pozostało przy życiu i dlaczego my sami nie zachorowaliśmy – w każdym razie ta

okoliczność jeszcze bardziej umocniła we mnie wiarę w skuteczność leczenia ziemią i kazała zwątpić w lecznicze właściwości koniaku.

Zdaję sobie sprawę, że ani moja wiara, ani moje wątpliwości nie mają poważnych podstaw, pozostaję jednak pod wrażeniem, jakie wtedy odniosłem, i dlatego uważałem za stosowne wspomnieć tutaj o tym.

Zaraz po wybuchu epidemii wystosowałem ostry list do prasy, czyniąc zarząd miejski odpowiedzialnym za zaniedbania, których był winien po objęciu w posiadanie „rezerwatu", a tym samym – za wybuch epidemii na jego terenie. List został opublikowany przez mister Henry'ego Polaka i w pewnym stopniu przyczynił się do zadzierzgnięcia więzów przyjaźni z nieżyjącym już obecnie pastorem Josephem Dokiem.

W poprzednim rozdziale wspomniałem już o tym, że zwykłem jadać w pewnej wegetariańskiej restauracji. Tam właśnie poznałem mister Alberta Westa. Spotykaliśmy się co wieczór i zazwyczaj po posiłku spacerowaliśmy razem. Mister West był wspólnikiem niewielkiej drukarni. Przeczytał w prasie mój list, gdy wybuchła epidemia, i nie widząc mnie w restauracji, zaniepokoił się.

Ja i moi współpracownicy od chwili wybuchu epidemii zredukowaliśmy nasze pożywienie, gdyż z reguły podczas każdej epidemii ograniczałem do minimum ilość przyjmowanych posiłków. Przestałem jadać kolacje, a obiad kończyłem zazwyczaj, zanim nadeszli inni goście. Znałem właściciela restauracji bardzo dobrze, więc powiadomiłem go, że będąc zajęty pielęgnowaniem chorych na dżumę, chcę w miarę możności uniknąć spotykania się z przyjaciółmi.

Mister West, nie mogąc od dwóch dni spotkać mnie w restauracji, zapukał pewnego ranka do moich drzwi w chwili, kiedy przygotowywałem się do odbycia rannej przechadzki. Kiedy mu otworzyłem drzwi, powiedział:

– Nie widziałem pana w restauracji i byłem w obawie, czy się panu nie przytrafiło coś złego. Postanowiłem więc odwiedzić pana tego ranka i dowiedzieć się, czy jest pan w domu. Jestem do pańskiej dyspozycji, gotów pomóc w pielęgnowaniu chorych. Pan wie, że jestem samotny.

Podziękowałem mu i nie zastanawiając się, odpowiedziałem:

– Nie jest mi pan potrzebny do pielęgnowania chorych. Jeżeli nie będzie nowych zachorowań, za dzień lub dwa będziemy wolni. Jest jednak pewna sprawa…

– Słucham, jaka?

– Czy mógłby się pan podjąć drukowania „Indian Opinion" w Durbanie? Mister Madandźit będzie raczej zajęty tutaj i potrzebny mi jest ktoś w Durbanie. Gdyby się pan zgodził, byłaby to wielka ulga dla mnie…

– Pan wie, że jestem tutaj współwłaścicielem drukarni. Prawdopodobnie będę mógł wyjechać, ale ostateczną odpowiedź dam panu dopiero wieczorem. Porozmawiamy o tym jeszcze podczas wieczornego spaceru.

Byłem niezmiernie uradowany. Odbyliśmy rozmowę na ten temat. Mister West zgodził się wyjechać. Sprawy wynagrodzenia nie brał w rachubę, gdyż nie chodziło mu o pieniądze. Ustaliliśmy jednak jako honorarium dziesięć funtów miesięcznie i część dochodów, jeżeli takie będą.

Następnego dnia mister West wyjechał wieczornym pociągiem do Durbanu, powierzając mi zainkasowanie należnych mu pieniędzy.

Od tego czasu, aż do chwili kiedy opuściłem brzegi Afryki Południowej, mister West dzielił ze mną wszystkie moje troski i radości.

Mister West pochodził z chłopskiej rodziny zamieszkałej w Louth (Lincolnshire). Miał podstawowe wykształcenie zdobyte w szkole powszechnej, nauczył się jednak wiele dzięki swym życiowym doświadczeniom i zdobył dużo wiadomości jako samouk. Uważałem go zawsze za wzór prawego, trzeźwego, religijnego i niezmiernie ludzkiego Anglika.

W następnych rozdziałach opowiem więcej o nim samym i o jego rodzinie.

XVII. „REZERWAT" W PŁOMIENIACH

Pomimo iż ja i moi współpracownicy byliśmy zwolnieni od obowiązku opiekowania się chorymi, pozostawało jeszcze do załatwienia sporo różnych spraw związanych z epidemią dżumy.

Wspominałem już o zaniedbaniach ze strony zarządu miejskiego, o ile chodzi o tereny zamieszkiwane przez Indusów. Tam jednak, gdzie chodziło o zdrowie „białych" mieszkańców, zarząd miejski okazywał ogromną zapobiegliwość. Moc pieniędzy wydano na zabezpieczenie ich stanu zdrowia, teraz zaś pieniądze płynęły jak woda na akcję zwalczania zarazy. Mimo wielu grzechów popełnianych wobec Indusów, o które oskarżałem zarząd miejski, nie mogłem nie chwalić jego troskliwości o białą ludność i pomagałem mu w tym zbożnym dziele w miarę moich zdolności. Odniosłem wrażenie, że gdybym się powstrzymał od współpracy z zarządem miejskim, spełnianie spoczywających na nim obowiązków przyszłoby mu z większą trudnością i kto wie, czy nie zawahałby się użyć przeciw nam siły zbrojnej, co pogorszyłoby jeszcze bardziej całą sytuację.

Udało się jednak zapobiec temu wszystkiemu. Władze miejskie były zadowolone z zachowania Indusów i praca zmierzająca do stłumienia zarazy była w dużym stopniu ułatwiona. Użyłem całego swego wpływu, aby przekonać moich ziomków o potrzebie podporządkowania się zarządzeniom władz miejskich, i nie przypominam sobie, by ktokolwiek usiłował postąpić wbrew moim zaleceniom.

Cały teren „rezerwatu" był pilnie strzeżony, wkraczanie doń lub opuszczanie go bez specjalnego zezwolenia było wręcz niemożliwe. Ja i moi współpracownicy posiadaliśmy przepustki umożliwiające nam wolny wstęp. Wreszcie zapadło postanowienie wysiedlenia całej ludności i ulokowania jej na okres trzech dni w namiotach na wolnym powietrzu, w odległości mniej więcej trzynastu mil od Johannesburga; cały rezerwat miał zostać spalony. Przesiedlenie ludności, zaopatrzenie jej w żywność i umieszczenie w namiotach wymagało pewnego czasu, zaszła więc potrzeba doraźnego otoczenia osiedla strażą.

Ludzi ogarnął bezgraniczny strach, wszakże moja stała obecność podtrzymywała ich na duchu. Wielu spośród biedaków zakopywało swoje ubogie oszczędności w ziemi. Trzeba było je wykopywać. Banku na miejscu nie było, zresztą ci ludzie nie wiedzieli, że coś podobnego istnieje, i oto ja zostałem ich bankierem. Potok pieniędzy począł napływać do mojej kancelarii. W podobnie krytycznej sytuacji było rzeczą niemożliwą, bym pobierał jakąkolwiek zapłatę za swą pracę. Musiałem więc sobie radzić, jak się dało. Byłem w dobrych stosunkach z dyrektorem banku, który załatwiał dla mnie różne transakcje. Powiedziałem mu, że chciałbym zdeponować u niego oszczędności tych biedaków. Banki nie odmawiały przyjmowania depozytów w miedzianych i srebrnych monetach, zachodziła jedynie obawa, że urzędnicy bankowi nie zechcą dotykać pieniędzy pochodzących z terenów objętych epidemią. Dyrektor banku starał się wszelkimi sposobami przyjść mi z pomocą. Postanowiono więc poddać dezynfekcji pieniądze, zanim zostaną przekazane do banku.

Jeżeli sobie dobrze przypominam, zdeponowano tą drogą w banku prawie sześćdziesiąt tysięcy funtów. Poradziłem tym, którzy posiadali większe sumy pieniędzy, by je zdeponowali w banku na stałe, na co się zgodzili, a rezultat był ten, że niektórzy spośród nich na przyszłość przyzwyczaili się wpłacać swoje pieniądze do banku.

Mieszkańcy „rezerwatu" zostali przewiezieni specjalnymi pociągami do miejscowości Klipspruit Farm w pobliżu Johannesburga, gdzie zarząd miejski zaopatrzył ich z funduszów publicznych w żywność. Miasteczko z namiotów

robiło wrażenie wojennego obozowiska. Nieprzyzwyczajeni do takiego życia mieszkańcy byli bliscy rozpaczy, stawali zdumieni na każdym kroku, jednak nie mieli powodu do uskarżania się na jakiekolwiek niewygody.

Zazwyczaj przyjeżdżałem do nich codziennie na rowerze. Po dwudziestu czterech godzinach zamieszkiwania w obozowisku ci ludzie zapomnieli o wszystkich swoich nieszczęściach i ich życie potoczyło się jak najpomyślniej. W którąkolwiek stronę poszedłem, wszędzie spotykałem zadowolonych i wesoło śpiewających ludzi. Trzytygodniowy pobyt na świeżym powietrzu wpłynął najwyraźniej dodatnio na ich stan zdrowia.

O ile sobie przypominam, „rezerwat" został spalony następnego dnia po jego ewakuacji. Zarząd miejski nie miał zamiaru uratowania czegokolwiek z płomieni. W tym samym czasie i dla tych samych powodów władze miejskie kazały spalić wszystkie drewniane szopy znajdujące się na rynku, ponosząc przy tym około dziesięciu tysięcy funtów straty.

Przyczyną sięgnięcia do tak radykalnego środka było znalezienie na rynku kilku zdechłych szczurów.

Zarząd miasta poniósł wprawdzie dotkliwe straty, zdołał jednak skutecznie powstrzymać dalsze szerzenie się zarazy, a mieszkańcy mogli wreszcie odetchnąć swobodnie.

XVIII. CZAROWNY UROK KSIĄŻKI

Dżuma sprawiła, że moje wpływy wśród ubogiej ludności indyjskiej znacznie wzrosły, a jednocześnie rozszerzył się zakres prowadzonych przeze mnie spraw, a z nim i moja odpowiedzialność. Niektóre z nowych kontaktów nawiązanych z Europejczykami zacieśniły się tak bardzo, że w dużym stopniu podniosły moje moralne zobowiązania wobec nich.

Podobnie jak poznałem mister Westa, również w restauracji wegetariańskiej zawarłem znajomość z mister Polakiem. Pewnego wieczoru jakiś młody człowiek, który jadł przy sąsiednim stoliku, przysłał mi swą kartę wizytową, w której wyrażał chęć porozmawiania ze mną. Zaprosiłem go do swojego stołu, z czego po chwili skorzystał.

– Jestem zastępcą redaktora pisma „The Critic" – oświadczył mi. – Kiedy przeczytałem pański list w prasie w sprawie epidemii, zapragnąłem poznać pana. Ogromnie się cieszę, że nadarzyła się taka sposobność.

Szczerość mister Polaka mnie ujęła. Tego samego wieczoru zawarliśmy bliższą znajomość. Okazało się, że mamy jednakowe poglądy na wiele zasadniczych zagadnień. Mój nowy znajomy znajdował upodobanie w prowadzeniu jak najprostszego trybu życia, miał ponadto cudowną właściwość stosowania w życiu praktycznym wszystkiego, co odpowiadało jego intelektowi. Niektóre ze zmian, jakie dokonały się w jego życiu, były równie raptowne, jak radykalne.

Wydawanie „Indian Opinion" stawało się z dnia na dzień coraz bardziej kosztowne. Pierwszy meldunek otrzymany od mister Westa był po prostu alarmujący. Oto co pisał: „Nie sądzę, by można było liczyć na dochód, którego pan się spodziewał. Obawiam się, że mogą być nawet straty. Księgowość wadliwie prowadzona. Jest poważne zadłużenie, ale niepodobna się w tym połapać. Wszystko to wymaga gruntownego zbadania. Nie ma jednak powodu do obaw. Postaram się w miarę moich sił doprowadzić wszystko do porządku. Zostaję tu niezależnie od tego, czy będą dochody, czy też nie".

Mister West po stwierdzeniu, że nie ma co liczyć na jakiś dochód, mógł wyjechać i nie miałbym żadnych podstaw, by wziąć mu to za złe. Właściwie mówiąc, mógł nawet rościć do mnie pretensje, gdyż przedstawiłem mu całą sprawę jako korzystną, nie mając do tego żadnych podstaw. Nie usłyszałem jednak od niego ani jednego słówka wymówki z tego powodu. Mam jednak wrażenie, że od tej chwili mister West zaczął mnie uważać za nieco łatwowiernego człowieka. Tymczasem ja po prostu oparłem się na opinii Madandźita, nie zadawszy sobie trudu zbadania sytuacji, i oświadczyłem mister Westowi, że może liczyć na pewien dochód.

Doskonale sobie teraz uświadamiam, że człowiek poświęcający się pracy społecznej nie powinien wydawać żadnych orzeczeń, zanim nie przekona się o ich słuszności. Przede wszystkim zaś wszelkie zapewnienia należy składać jak najostrożniej. Zapewnianie kogoś o czymś, co nie może być najdokładniej sprawdzone, jest po prostu mijaniem się z prawdą. Z przykrością muszę wyznać, że choć dobrze to rozumiem, nie potrafiłem przemóc swojej łatwowierności, która wynikała z tego, że ambicja popychała mnie do podejmowania się pracy przerastającej moje siły.

Ta fałszywa ambicja była niejednokrotnie powodem wielu przykrości, które częściej spadały na moich współpracowników aniżeli na mnie.

Po otrzymaniu listu od mister Westa wyjechałem do Natalu. Wtajemniczyłem mister Polaka we wszystkie szczegóły. Przyszedł na dworzec, aby mnie odprowadzić, i wręczył mi książkę do czytania w podróży, przy czym zaznaczył,

że zapewne będzie mi się podobała. Była to książka Ruskina zatytułowana *Unto This Last*. Nie sposób było się od niej oderwać. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Podróż z Johannesburga do Durbanu trwała dwadzieścia cztery godziny. Pociąg przybył na miejsce wieczorem, nie mogłem jednak zasnąć tej nocy i postanowiłem radykalnie zmienić swoje życie zgodnie z ideałami zawartymi w tej książce.

Była to pierwsza książka Ruskina, jaką czytałem. W okresie studiów czytałem bardzo niewiele poza podręcznikami, a później, kiedy rzuciłem się w wir pracy społecznej, pozostawało mi mało czasu na czytanie. Nie mogę więc pochwalić się zbyt rozległym oczytaniem, nie sądzę jednak, abym z racji tych przymusowych okoliczności stracił tak wiele. Przeciwnie: szczupły zakres mojego oczytania pozwolił mi z tym większą uwagą zastanawiać się nad tym, co mi wpadało do ręki.

Książką, która radykalnie i praktycznie dokonała ogromnej zmiany w moim życiu, była właśnie ta napisana przez Ruskina.

Przetłumaczyłem ją później na język gudźarati, nadając jej tytuł *Sarvodaya* (czyli *Dobro ogółu*).

Wierzę, iż w tym wielkim dziele Ruskina odnalazłem odzwierciedlenie niektórych moich najgłębszych przekonań, i dlatego ono tak mocno podziałało na mnie i zmieniło całe moje życie. Poeta potrafi obudzić dobro drzemiące na dnie ludzkiego serca. Nie na każdego jednakże poeta wywiera jednakowy wpływ, nie każdy jest zdolny w jednakowym stopniu odbierać i przeżywać wartości dzieła.

Nauka płynąca z książki Ruskina da się ująć w te oto trzy zasady:

1. Szczęście jednostki jest zawarte w szczęściu ogółu.

2. Zawód adwokata ma tę samą wartość co zawód cyrulika, każdy bowiem ma prawo swą pracą zdobywać środki na utrzymanie.

3. Prawdziwą wartość ma jedynie życie człowieka pracy, wszystko jedno, czy to jest oracz, czy rzemieślnik.

Pierwszą z tych zasad znałem. Z drugiej mgliście zdawałem sobie sprawę. Trzecia nigdy mi nie przyszła na myśl. Dopiero dzieło Ruskina ukazało mi z całą wyrazistością, że druga i trzecia zawarte są w pierwszej.

Obudziłem się o świcie z mocnym postanowieniem wprowadzenia w czyn tych zasad.

XIX. OSADA PHOENIX

mówiłem całą tę sprawę z mister Westem, opowiedziałem mu o wrażeniu, jakie na mnie wywarło dzieło Ruskina, i zaproponowałem przeniesienie wydawnictwa „Indian Opinion" na farmę, gdzie każdy będzie musiał pracować, za co otrzyma – jednakowe dla wszystkich – wynagrodzenie wystarczające na życie, a w chwilach wolnych będzie współpracował przy wydawaniu pisma.

Mister West zgodził się z moją propozycją, przy czym ustaliliśmy, że miesięczny zarobek każdego pracownika będzie wynosił trzy funty, niezależnie od jego rasy lub narodowości.

Zachodziło jednak pytanie, czy dziesięciu – a może i więcej – spośród naszych współpracowników zechce zamieszkać na dość odległej farmie i zadowoli się tym mizernym wynagrodzeniem. Wystąpiliśmy więc z propozycją, aby ci, którym ten projekt nie odpowiada, pracowali na dawnych warunkach, usiłowali stopniowo zrozumieć przyświecające nam ideały i po pewnym czasie zostali członkami naszej osady.

Odbyłem w tym duchu rozmowy z ludźmi współpracującymi ze mną. Nie trafiło to do przekonania Madandźitowi, który uznał moją propozycję za szaleńczą, wyrażając przy tym pogląd, iż doprowadzi to do ruiny całego przedsiębiorstwa, w którym on osobiście pokładał tak wiele nadziei. Następnie Madandźit twierdził, że pracownicy zawiodą, że „Indian Opinion" przestanie się ukazywać i że trzeba będzie zamknąć drukarnię.

Wśród pracujących w drukarni znajdował się Ćhaganlal Gandhi, jeden z moich kuzynów. Zwróciłem się jednocześnie z tą samą propozycją do niego i do Westa. Mój kuzyn był żonaty, miał dzieci, ale od dziecięcych lat przywykł pracować pod moim kierunkiem. Wierzył mi bez zastrzeżeń. Bez najmniejszego sprzeciwu zgodził się na proponowane przeze mnie warunki i od tej chwili aż do teraz nigdy mnie nie opuszczał. Maszynista Gowindaswami również się zgodził. Pozostali wprawdzie nie zaakceptowali przedstawionego im projektu, ale zgodzili się udać tam, dokąd zostanie przeniesiona drukarnia.

Omówienie całej tej sprawy ze wszystkimi zajęło mi, o ile sobie przypominam, nie więcej niż dwa dni. Zaraz potem dałem do prasy ogłoszenie o poszukiwaniu przeze mnie niewielkiego terenu wraz z zabudowaniami, położonego niedaleko stacji kolejowej w pobliżu Durbanu. Wkrótce nadeszła oferta z miejscowości Phoenix.

Mister West i ja udaliśmy się, by obejrzeć posiadłość. W ciągu tygodnia nabyliśmy dwadzieścia akrów ziemi. Było tam niewielkie, bardzo ładne źródełko oraz kilka drzew pomarańczowych i mango. Do tego terenu przylegał inny, liczący osiemdziesiąt akrów, ze znaczną liczbą drzew owocowych i rozwalającym się domem mieszkalnym. Kupiliśmy to również, a ogólny koszt wyniósł tysiąc funtów.

Nieżyjący już Rustomdźi zawsze pomagał mi w podobnych przedsięwzięciach. Mój projekt mu się podobał. Oddał do mojej dyspozycji używane i nieco już zardzewiałe arkusze blachy z rozbiórki dużego składu oraz inne materiały budowlane. Rozpoczęliśmy pracę. Indusi – cieśle i murarze, którzy wraz ze mną pracowali podczas wojny z Burami, pomogli mi przy stawianiu szopy, w której miała się mieścić drukarnia. Cały budynek, liczący siedemdziesiąt pięć stóp długości i pięćdziesiąt szerokości, był gotów w ciągu niecałego miesiąca.

Mister West oraz inni z narażeniem życia pracowali razem z cieślami i murarzami. W całej tej niezamieszkiwanej i gęsto porosłej trawą miejscowości roiło się od żmij i życie tutaj było połączone z oczywistym niebezpieczeństwem. Z początku mieszkaliśmy w namiotach. W ciągu tygodnia zwieźliśmy cały nasz dobytek do Phoenix.

Nasza osada była położona o czternaście mil od Durbanu i o dwie i pół mili od stacji kolejowej Phoenix.

Tylko jedno wydanie „Indian Opinion" było drukowane gdzie indziej, a mianowicie w zakładach drukarskich „Mercury".

Powziąłem zamiar sprowadzenia do Phoenix wszystkich moich krewnych i znajomych, którzy w pogoni za dobrobytem przybyli tu wraz ze mną z Indii, a pracowali obecnie w różnych zawodach.

Każdy z nich przybył tu, szukając bogactw, i niełatwo było ich przekonać do drukarni – jednak niektórzy zgodzili się. Spośród nich wytrwał w niej tylko jeden: Maganlal Gandhi. Inni powrócili do swych poprzednich zajęć. Natomiast Maganlal Gandhi na zawsze porzucił swoje przedsiębiorstwo, by dzielić swój los ze mną, a dzięki swym zdolnościom, swemu poświęceniu i oddaniu zajął pierwsze miejsce wśród moich współpracowników, którzy wraz ze mną weszli na drogę poszukiwania prawdy. Był on, jako pracownik i samouk, jedyny w swoim rodzaju.

Osada Phoenix została założona w 1904 roku i tam właśnie, pomimo niezliczonych trudności, w dalszym ciągu jest wydawany nasz organ: „Indian Opinion".

Trudności, z którymi spotkaliśmy się na początku, zmiany, które zaszły, oraz żywione przez nas nadzieje i doznane rozczarowania wymagają jednak oddzielnego rozdziału.

XX. PIERWSZA NOC

Wydanie pierwszego numeru „Indian Opinion" w Phoenix nie było łatwe. Gdybym nie przedsięwziął środków ostrożności, pierwsze wydanie zostałoby opóźnione lub nie ukazałoby się. Projekt zainstalowania motoru, który uruchomiłby drukarnię, nie bardzo mi odpowiadał. Sądziłem, że ręczna prasa będzie bardziej odpowiadała ogólnemu charakterowi naszego przedsięwzięcia, gdzie wszystkie prace rolnicze miały być wykonywane ręcznie. Okazało się jednak, że jest to pomysł trudny do urzeczywistnienia, wobec czego zainstalowaliśmy spalinowy motor. Poradziłem jednak Westowi, iż należy mieć coś pod ręką na wypadek, gdyby motor przestał działać. Sprowadzono więc koło obrotowe, które można było poruszać ręcznie. Rozmiar gazety, odpowiadający codziennemu pismu, okazał się nieodpowiedni dla leżącej na uboczu miejscowości, jaką był Phoenix. Zmniejszyliśmy go do objętości zwykłego arkusza, po to, by w razie potrzeby można było drukować numery pisma za pomocą tak zwanej pedałówki.

W początkowym okresie w przededniu wyjścia numeru pracowaliśmy wszyscy do późnej nocy. Każdy, młody czy stary, pomagał przy składaniu arkuszy papieru. Kończyliśmy pracę zazwyczaj pomiędzy dziesiątą w nocy a północą, ale nocy przed ukazaniem się pierwszego numeru nigdy nie zapomnimy.

Arkusze papieru były przygotowane, gdy nagle motor przestał działać. Sprowadziliśmy z Durbanu mechanika, aby go zmontował i puścił w ruch. On i West robili, co mogli, by motor uruchomić – niestety, wszystko daremnie. Byliśmy wszyscy przerażeni. Zrozpaczony do ostateczności West przybiegł do mnie ze łzami w oczach i powiada:

– Motor nie chce ruszyć! Obawiam się, że nie będziemy mogli wydać pisma na czas!

– Nic na to nie poradzimy. Szkoda łez. Zrobimy wszystko, co jest w ludzkiej mocy. A może byśmy spróbowali uruchomić maszynę za pomocą ręcznego koła? – zapytałem, chcąc go jakoś pocieszyć.

– Nie mamy dość ludzi do tego! Nasi nie potrafią tego zrobić, to wymaga po czterech mężczyzn przy każdej korbie, a ludzie są już przemęczeni.

Prace budowlane nie były zakończone i cieśle pozostawali jeszcze z nami. Właśnie spali na podłodze drukarni.

Wskazując na nich, powiedziałem:

– Czy nie moglibyśmy skorzystać z ich pomocy? Mamy przed sobą całą noc. Nie pozostaje nam nic innego!

– Nie mam odwagi ich budzić – odparł West – a nasi ludzie są doprawdy zanadto zmęczeni.

– Spróbuję porozmawiać z nimi – zaproponowałem.

– Gdyby się zgodzili, dalibyśmy sobie radę…

Obudziłem cieśli i zwróciłem się do nich z prośbą, aby nam pomogli. Wcale nie potrzebowałem ich długo przekonywać.

Oto co mi powiedzieli:

– A po cóż tu jesteśmy, jeżeli nie możemy pomóc w nagłym wypadku? Wy odpocznijcie, a my popracujemy przy kole… Dla nas to żadna robota!

Tymczasem nasi ludzie też już byli gotowi stanąć do roboty.

West ucieszył się niezmiernie i kiedy przystąpiliśmy do pracy, zaczął nawet śpiewać psalmy. Ja pracowałem razem z cieślami, a reszta kolejno zastępowała nas aż do siódmej rano. Mieliśmy jednak wciąż sporo roboty. Zaproponowałem więc Westowi, by znów wezwał naszego mechanika, żeby spróbował jeszcze raz uruchomić motor, gdyż wtedy moglibyśmy skończyć na czas drukowanie numeru.

West obudził go i mechanik niezwłocznie udał się do pomieszczenia, w którym znajdował się motor. No i proszę! Wystarczyło, by go dotknął, a motor zaczął działać! Dokoła zagrzmiało od okrzyków radości.

– I cóż to było? Więc nasza całonocna praca była zupełnie niepotrzebna? Motor zaczął z rana funkcjonować, jak gdyby mu w ogóle nic nie brakowało? Czym to wytłumaczyć? – zapytywałem.

– Tego się nie da wytłumaczyć! – odpowiedział mi West czy też mechanik. – Czasami maszyna zachowuje się tak, jakby i ona potrzebowała odpoczynku, podobnie jak my.

Dla mnie uszkodzenie motoru było próbą, przez którą wszyscy musieliśmy przejść, to zaś, że motor zaczął znów pracować, było niejako nagrodą za nasz uczciwy i poważny wysiłek.

Numery pisma zostały rozesłane na czas, a każdy z nas czuł się doprawdy szczęśliwy.

Upór, z jakim zabraliśmy się do roboty od pierwszej chwili, zapewnił pismu regularne ukazywanie się i przyczynił się do wytworzenia w naszej osadzie Phoenix uczucia pewności siebie.

Nadszedł czas, kiedy świadomie zrezygnowaliśmy z posługiwania się motorem i pracowaliśmy jedynie za pomocą własnych rąk. Było to – moim zdaniem – odniesieniem wielkiego triumfu moralnego w Phoenix.

XXI. POLAK WPRZĘGA SIĘ DO PRACY

Nie przestawałem żałować, że mimo iż sam byłem założycielem „Osady Phoenix", nie dane mi było zostać tu dłużej. Moim zasadniczym zamiarem było stopniowo wycofać się z praktyki adwokackiej, zamieszkać w naszej osadzie, zarabiać na życie pracą własnych rąk i odnaleźć pełnię szczęścia w oddaniu wszystkich swych sił na rzecz rozkwitu Phoenix.

Niestety – stało się inaczej. Doświadczenie nauczyło mnie, że człowiek często tworzy plany, nie licząc się z wolą Boga i chociaż ostatecznym celem, do którego zmierza, jest poznanie Prawdy, to, że owe plany biorą w łeb, nie ma znaczenia, gdyż wynik bywa zazwyczaj korzystny, a niekiedy nawet lepszy, aniżeli się przypuszczało.

Nieoczekiwany obrót, jaki przybrały wydarzenia w Phoenix, był z pewnością pomyślny, aczkolwiek nie można powiedzieć, by przeszedł nasze pierwotne oczekiwania.

Po to, by każdemu z nas zapewnić środki utrzymania z pracy rąk własnych, podzieliliśmy ziemię dokoła drukarni na działki, z których każda miała trzy akry.

Jedna z nich przypadła mnie w udziale. Na każdej – choć niezbyt chętnie – pobudowaliśmy niewielkie domeczki z zardzewiałej blachy. Naszym pragnieniem było jednak postawienie lepianek pokrytych słomą lub niewielkich murowanych domeczków, takich, jakie miewają zwykli chłopi. Niestety, nie udało nam się tego zrealizować. Kosztowałoby to zbyt drogo, ich postawienie wymagało więcej czasu, a tymczasem każdemu z nas zależało na tym, by jak najszybciej zamieszkać w osadzie.

Naczelnym redaktorem wciąż był Mansukhlal Nazar. Nie zgodził się z nowo obraną przez nas zasadą wspólnego zamieszkiwania i pozostał w Durbanie, gdzie znajdowała się filia redakcji, i stamtąd redagował „Indian Opinion".

Wprawdzie płaciliśmy zecerom za składanie pisma, ale naszym celem było nauczyć każdego z członków naszej osady sztuki składania – najłatwiejszego, choć chyba najnudniejszego procesu drukarstwa. Ci, którzy nie znali jeszcze tej pracy, byli w trakcie uczenia się jej. Ja byłem jednym z ostatnich niedołęgów, natomiast Maganlal Gandhi prześcignął wszystkich. Mimo iż nigdy przedtem nie pracował w drukarni, stał się wzorowym zecerem i nie tylko osiągnął znaczną szybkość w pracy, lecz – ku memu największemu zdziwieniu – w krótkim czasie znakomicie orientował się we wszystkich innych dziedzinach związanych z drukarstwem.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że on sobie nie zdaje sprawy ze zdolności, jakie posiada.

Zaledwie zdążyliśmy się przeprowadzić do naszej osady, a nasze domki dopiero co zostały postawione, kiedy musiałem opuścić to świeżo uwite gniazdko i przenieść się do Johannesburga. Nie mogłem jednak pozwolić, by praca dokonywana tutaj była przez dłuższy czas pozostawiona bez należytego nadzoru.

Po powrocie do Johannesburga powiadomiłem Polaka o poważnych zmianach, jakie wprowadziłem. Nie posiadał się z radości, kiedy się dowiedział, ile korzyści zaczerpnąłem z książki, którą mi pożyczył.

– A czy nie byłoby możliwe, abym i ja mógł wziąć udział w waszym przedsięwzięciu?

– Ależ tak! Jeżeli pan chce, może pan zamieszkać w naszej osadzie.

– Gotów jestem to zrobić w każdej chwili, jeżeli mnie pan przyjmie.

Gotowość Polaka bardzo mnie ujęła. Wypowiedział na miesiąc z góry pracę w redakcji „The Critic" i w oznaczonym czasie przybył do Phoenix.

Jego towarzyski charakter zjednał mu wkrótce serca wszystkich mieszkańców osady i stał się on niejako członkiem naszej wspólnej rodziny. Prostota i szczerość były przyrodzonymi cechami jego charakteru, życie w Phoenix ani na chwilę nie wydało mu się uciążliwe lub zgoła dziwne. Brał w nim udział z taką samą naturalnością jak kaczka, która zmierza w stronę wody.

Niestety, nie mogłem go tu zatrzymać dłużej. Mister Rite postanowił doprowadzić do końca swoje prawnicze studia w Anglii, ja zaś nie mogłem wziąć na siebie wszystkich ciężarów związanych z prowadzeniem i redakcji, i kancelarii, dlatego zaproponowałem Polakowi, by rozpoczął pracę w mojej kancelarii jako adwokat.

Miałem nadzieję, że kiedyś i on, i ja wycofamy się z tego zawodu i zamieszkamy w Phoenix. Niestety – nigdy do tego nie doszło.

Mister Polak był obdarzony tak ufną naturą, że kiedy raz zawierzył przyjacielowi, wolał raczej zgadzać się z nim we wszystkim, aniżeli się sprzeczać. Napisał więc do mnie z Phoenix, iż chociaż bardzo polubił tamtejszy tryb życia, czuje się tam szczęśliwy i wierzy w piękny przyszły rozwój osady, gotów jest wyjechać stamtąd i zacząć pracować w charakterze adwokata w mojej kancelarii, jeśli uważam, że może to przyczynić się do szybszego zrealizowania naszych ideałów.

Z całego serca powitałem ten list. Mister Polak wyjechał z Phoenix, przybył do Johannesburga i zawarł ze mną kontrakt.

Mniej więcej w tym samym czasie pewien Szkot – teozof, którego przygotowywałem do złożenia egzaminów prawniczych na miejscowym uniwersytecie, również zawarł ze mną kontrakt i zaczął u mnie pracować w charakterze urzędnika, biorąc przykład z mister Polaka. Nazywał się McIntyre.

Perspektywa niedalekiego zrealizowania moich ideałów zaczęła mi przyświecać coraz mocniej, zdawało się jednak, że coraz silniej porywa mnie w odwrotnym kierunku płynący nurt i – gdyby Bóg nie sprawił inaczej – znalazłbym się w sieci, którą sam zastawiłem na siebie, a której na imię było: „życie w prostocie".

W paru dalszych rozdziałach opiszę, jak ja i moje ideały zostały ocalone w sposób zgoła nieprzewidziany i niespodziewany.

XXII. NAD KIM CZUWA BÓG

Straciłem już wszelką nadzieję powrotu w niedalekiej przyszłości do Indii. Mojej żonie przyrzekłem, że wrócę za rok. Tymczasem rok minął, a żadnych widoków na powrót nie było. Postanowiłem więc sprowadzić do siebie żonę i dzieci.

Mój trzeci syn, Ramdas, złamał rękę, bawiąc się z kapitanem statku płynącego do Afryki Południowej. Kapitan zajął się chłopcem, pielęgnował go, poza tym Ramdas cały czas pozostawał pod opieką okrętowego lekarza. Chłopiec wylądował z ręką na temblaku. Lekarz poradził, aby niezwłocznie po przyjeździe do domu zwrócić się do specjalisty. Był to właśnie ów okres, kiedy bezgranicznie wierzyłem w leczenie ziemią. Udało mi się nawet przekonać do tego niektórych moich klientów, którzy wierząc w moje „znachorskie" zdolności, spróbowali leczyć się ziemią i wodą.

Jak należało leczyć mego synka, który miał zaledwie osiem lat? Zapytałem go, czy mi pozwoli opatrzyć swą zranioną rączkę. Z uśmiechem na ustach Ramdas

powiedział, że tak. W tym wieku trudno wymagać od dziecka, by zdecydowało, co mu może przynieść korzyść, lecz chłopiec umiał odróżnić prawdziwy zabieg lekarski od znachorstwa. Widząc, że w domu zazwyczaj leczyłem wszystkich, z tym większym zaufaniem oddał się w moje ręce.

Trzęsąc się cały, odwinąłem bandaże, przemyłem ranę, przyłożyłem okład z ziemi i zabandażowałem rękę z powrotem. W ciągu miesiąca zmieniałem codziennie opatrunek, aż rana zagoiła się zupełnie. Obeszło się bez żadnych powikłań i rana zabliźniła się mniej więcej w tym samym czasie co przy stosowaniu normalnego leczenia, zalecanego przez okrętowego lekarza.

Zarówno ten przykład, jak i wiele innych umocniły we mnie wiarę w skuteczność domowych zabiegów i od tej pory byłem już bardziej pewny siebie. Rozszerzyłem zakres stosowania tego rodzaju leczenia, wypróbowując z większym lub mniejszym powodzeniem okłady z ziemi i wody oraz leczenie głodówką w wypadkach zranienia, wysokiej temperatury, rozstroju żołądkowego, żółtaczki lub przy innych dolegliwościach. Dziś nie mam już tej pewności siebie, jaką miałem w Afryce Południowej, bo doświadczenie wykazało, że niektóre zabiegi nie są pozbawione pewnego ryzyka.

Jeżeli przytaczam niektóre przykłady, to bynajmniej nie dlatego, aby pokazać, jak dalece pomyślne wyniki osiągnąłem w pewnych wypadkach. Jestem daleki od tego, by twierdzić, że zawsze towarzyszyło mi powodzenie. Nawet lekarz nie może pretendować do tego. Mnie chodzi jedynie o to, by udowodnić, że jeżeli ktoś chce wejść na drogę dokonywania nowych doświadczeń, winien przede wszystkim zacząć od siebie. Jest to najszybsza droga wiodąca do poznania Prawdy, a Bóg zawsze sprzyja temu, kto uczciwie do niej dąży.

Moje ryzyko przy nawiązywaniu bardzo bliskich stosunków z Europejczykami było nie mniejsze od tego, na które się narażałem, stosując wyżej wymienione sposoby leczenia naturalnymi środkami. Oczywiście, każde ryzyko miało inny charakter. W tym pierwszym przypadku nie sądziłem jednak, żeby było aż tak wielkie.

Zaprosiłem mister Polaka, by przyjechał do mnie i zamieszkał wraz ze mną. Zaczęliśmy żyć jak rodzeni bracia. Mister Polak był już od paru lat zaręczony z pewną panną, ale małżeństwo było wciąż odkładane do bardziej odpowiednich czasów. Odniosłem wrażenie, że mister Polak pragnie uzbierać nieco pieniędzy, zanim rozpocznie życie rodzinne. Znał Ruskina lepiej ode mnie, ale środowisko zachodnie, w którym żył, uniemożliwiało mu niezwłoczne wprowadzenie w czyn nauk płynących z dzieł Ruskina.

Usiłowałem go przekonać, mówiąc:

– Jeżeli w grę wchodzi uczucie, jak to jest w tym wypadku, nie ma się prawa dla względów materialnych odkładać wstąpienia w związek małżeński. Gdyby ubóstwo miało być przeszkodą, biedacy nigdy nie mogliby się ożenić. Mieszka pan teraz ze mną, żadne wydatki na utrzymanie domu nie wchodzą w rachubę. Jestem zdania, że powinien pan czym prędzej się ożenić!

Jak już zaznaczyłem w poprzednim rozdziale, nie miałem nigdy potrzeby dwa razy powtarzać czegokolwiek Polakowi. Moje argumenty przekonały go i natychmiast nawiązał korespondencję ze swoją przyszłą żoną, która bawiła wtedy w Anglii. Dziewczyna zgodziła się z radością i po paru miesiącach przyjechała do Johannesburga. Nie było mowy o jakichkolwiek wydatkach związanych ze ślubem, niepotrzebne było nawet żadne specjalne ubranie. Zbyteczne były również wszelkie obrządki religijne dla uprawomocnienia związku. Narzeczona była chrześcijanką, a mister Polak – żydem. Religią, która ich łączyła, było wysokie poczucie etyczne.

Chciałbym w związku z tym ślubem wspomnieć mimochodem o pewnym dość zabawnym zdarzeniu. Urząd cywilny w Transwalu, rejestrujący małżeństwa zawierane przez Europejczyków, nie ma prawa rejestrować małżeństw zawieranych pomiędzy Murzynami lub tak zwanymi kolorowymi. W tym wypadku ja występowałem w charakterze świadka. Nie chodziło o to, że trudno było znaleźć na świadka jakiegoś zaprzyjaźnionego Europejczyka – mister Polak po prostu nie chciał się pogodzić z takim postawieniem sprawy. Udaliśmy się więc w trójkę do urzędu. Urzędnik rejestrujący małżeństwa miał wątpliwości, czy strony zawierające małżeństwo w obecności takiego jak ja świadka można uważać za „białe", czy też nie. Zaproponował nam odroczenie rejestracji aż do chwili otrzymania niezbędnych wyjaśnień. Następny dzień był niedzielą, po której następował Nowy Rok, powszechnie obchodzony jako uroczyste święto. Odroczenie obrzędu dla tak błahego powodu było czymś, czego niepodobna było ścierpieć. Znałem osobiście dyrektora zarządu miejskiego, który był przełożonym urzędnika z wydziału rejestracji. Udałem się do niego wraz z młodą parą. To, co mu powiedziałem, bardzo go ubawiło, dał nam kartkę do owego urzędnika i małżeństwo zostało formalnie zarejestrowane.

Dotychczas znałem mniej lub bardziej Europejczyków, którzy mieszkali razem z nami, tym razem jednak do naszej rodziny miała wejść całkiem nam obca Angielka.

Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek wynikły jakieś konflikty pomiędzy nami a nowo poślubionym małżeństwem, a jeśli powstawały niekiedy zatargi pomiędzy moją żoną a panią Polak, to nie sądzę, by wykraczały poza ramy przewidziane w najbardziej jednolitych rodzinach. Muszę jednak zaznaczyć, że moja rodzina należała do najbardziej „zróżnicowanych" i wstęp do niej był otwarty dla wszelkiego rodzaju ludzi, o różnych temperamentach i różnym pochodzeniu.

Kiedy myślę o tym, wydaje mi się, że różnica, jaka zachodzi pomiędzy jednolitymi rodzinami a tak zwanymi zróżnicowanymi, jest raczej jakimś urojeniem. Stanowiliśmy wszyscy jedną rodzinę!

Wspomnę również w tym rozdziale o małżeństwie mister Westa. Moje stanowisko w owym czasie wobec brahmaćarji (czyli celibatu) nie było jeszcze całkowicie skrystalizowane i dlatego byłem zainteresowany w tym, by wszyscy moi przyjaciele, kawalerowie, pożenili się. Kiedy mister West w swoim czasie udał się do Louth, by odwiedzić rodziców, radziłem mu, by – o ile to będzie możliwe – wrócił z żoną.

Phoenix był naszym wspólnym domem, a wobec tego, że wszyscy mieliśmy zamiar zostać farmerami, małżeństwa oraz ich następstwa bynajmniej nas nie przerażały.

Mister West wrócił z panią West, piękną, młodą kobietą rodem z Leicester. Pochodziła z rodziny szewców, którzy byli zatrudnieni w fabryce obuwia w Leicester. Pani West sama również pracowała pewien czas w tej fabryce. Powiedziałem, że była piękna, gdyż jej piękno moralne zjednało całą moją sympatię dla niej. Bo czyż prawdziwe piękno nie polega w istocie na prawości serca? Wraz z panią West przyjechała jej teściowa. Ta stara kobieta jeszcze żyje. Zawstydziła nas wszystkich swą pracowitością i bujnym, radosnym usposobieniem.

Podobnie jak zachęcałem moich przyjaciół Europejczyków do wstępowania w związki małżeńskie, tak samo namawiałem moich przyjaciół Indusów, by sprowadzali tutaj swoje rodziny.

Phoenix z czasem stał się niewielką wioską, przybyło tu i zamieszkało około pół tuzina rodzin, które zaczęły się powiększać.

XXIII. RZUT OKA NA ŻYCIE RODZINNE

Była już mowa o tym, że ponieważ prowadzenie gospodarstwa domowego pociągało za sobą znaczne wydatki, już w Durbanie zostały podjęte kroki zmierzające do zredukowania potrzeb i uproszczenia trybu życia. Postępując zgodnie z nauką płynącą z dzieła Ruskina, uznałem, że wydatki związane z utrzymaniem domu w Johannesburgu powinny ulec jeszcze bardziej surowym ograniczeniom.

Wprowadziłem tyle, ile się tylko dało uproszczeń do domu zamieszkiwanego przez adwokata. Niepodobna było jednak obejść się bez najniezbędniejszego umeblowania. Zmiany dotyczyły w większym stopniu wewnętrznych cech życia aniżeli zewnętrznych. Nabierałem coraz większego upodobania do własnoręcznego wykonywania wszelkiej pracy fizycznej. Również moje dzieci zacząłem wychowywać w tym duchu.

Zamiast kupować chleb u piekarza, zaczęliśmy sami piec w domu pieczywo bez drożdży, według przepisów Kuhnego. Zwykła mielona w młynie mąka nie nadawała się do tego celu i doszliśmy do wniosku, że używanie ręcznie mielonej mąki będzie bardziej harmonizowało z prostotą, do której dążyliśmy, a poza tym będzie i zdrowsze, i tańsze. Kupiłem więc za siedem funtów ręczny młynek. Żelazne koło było zbyt ciężkie do obracania dla jednego człowieka, dwóch natomiast doskonale dawało sobie z tym radę. Zazwyczaj pracowali przy nim: Polak, ja i moje dzieci. Czasami pomagała nam również moja żona, chociaż godzina mielenia zbiegała się z rozpoczęciem wszelkich prac w kuchni. Pani Polak od chwili swego przybycia też nieraz przyłączała się do nas. Mielenie mąki okazało się bardzo pożytecznym ćwiczeniem fizycznym dla dzieci. Nie narzucano im tego nigdy, same chętnie przybiegały, by pomóc, i mogły przerwać, gdy poczuły się zmęczone. Nigdy nie zawiodłem się ani na moich dzieciach, ani na tych, o których będzie mowa później. To nie znaczy, że nie trafił się pomiędzy nimi jakiś niedołęga lub leniuch, ale większość dość chętnie wykonywała tę pracę. Nie przypominam sobie, by ktoś z młodzieży wykręcał się od niej lub skarżył się, że jest zmęczony.

Przyjęliśmy służącego do sprzątania domu. Mieszkał razem z nami i był traktowany jak członek rodziny, a dzieci zazwyczaj mu pomagały. Miejski czyściciel wywoził kubły z nieczystościami, ale my zamiast zwracać się do służącego, sami czyściliśmy domowe ustępy. Było to doskonałą szkołą dla dzieci. Rezultat był ten, że utrzymanie ustępów w czystości nie budziło w żadnym z mych synów wstrętu i nauczyło ich zasad higieny.

Podczas całego naszego pobytu w Johannesburgu prawie nikt nie chorował, a jeżeli się zdarzył jakiś wypadek zasłabnięcia, dzieci chętnie podejmowały się pielęgnowania chorego. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie odbiło się to na ich oczytaniu lub ogólnym wykształceniu. Nie zawahałem się jednak i wolałem raczej zrezygnować z tego na rzecz zasad, w których wychowywałem swoje dzieci.

Moi synowie mogli mieć podstawy, by żywić z tego powodu żal do mnie, i czasami nawet dawali temu wyraz. Przyznaję, że w pewnym stopniu ponoszę winę, gdyż nie tylko pragnąłem dać im ogólne wykształcenie, ale chciałem to nawet zrobić sam, niestety, zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

Wobec tego jednak, że nie zrobiłem nic, by moi synowie mogli pobierać prywatne lekcje, zaprowadziłem zwyczaj odbywania wspólnych spacerów, przy czym dzieci odprowadzały mnie codziennie do biura i z biura do domu, co razem wynosiło około pięciu mil. Po drodze starałem się je uczyć, prowadząc z nimi rozmowy na różne tematy, jeżeli nikt nam nie przeszkodził.

Wszystkie moje dzieci, z wyjątkiem najstarszego syna, Harilala, który pozostał w Indiach, żyły w Johannesburgu i były wychowywane w podobny sposób. Gdybym był w stanie poświęcić im każdego dnia bodaj jedną godzinę nauki, otrzymaliby – moim zdaniem – znakomite wykształcenie. Niestety, chociaż ubolewam nad tym tak samo jak oni, nie mogłem im tego zapewnić. Mój starszy syn nieraz dawał zarówno w prywatnej rozmowie, jak i na łamach prasy wyraz swemu wielkiemu żalowi z tego powodu, inni synowie wybaczyli mi wielkodusznie to uchybienie, uważając, że było ono nie do uniknięcia.

Nie mogę powiedzieć, abym był z tego powodu zrozpaczony, a jeżeli robiłem sobie jakieś wyrzuty, to jedynie dlatego, że jako ojciec nie stanąłem na wysokości zadania. Sądziłem jednak, że poświęciłem ogólne wykształcenie moich synów czemuś, co uważałem – być może niesłusznie – za pracę na rzecz ogółu.

Wiem, że uczyniłem wszystko, co uważałem za niezbędne, by ukształtować ich charakter. Moim zdaniem naczelnym obowiązkiem rodziców jest dbać o to właśnie. Jestem przekonany, że ilekroć, wbrew moim zamiarom, moi synowie odczuwali jakieś niedostatki, zdawali sobie sprawę z tego, że nie wynikały one z braku troskliwości z mojej strony, lecz z niedoskonałości obojga rodziców.

Dzieci w tym samym stopniu dziedziczą cechy charakteru swoich rodziców, co ich zewnętrzne rysy. Otoczenie odgrywa oczywiście ogromną rolę, ale pierwsze kroki, jakie dziecko stawia w życiu, są spadkiem otrzymanym po przodkach. Widziałem również dzieci, które z powodzeniem potrafiły przezwyciężyć

następstwa złego dziedzictwa. Jest to zasługą prawości, która stanowi nieodłączną cząstkę duszy człowieka.

Polak i ja bardzo często prowadziliśmy zacięte spory na temat tego, czy należy uczyć dzieci języka angielskiego, czy też nie. Zawsze byłem tego zdania, że rodzice Indusi wychowujący swoje dzieci tak, by myślały i mówiły od dzieciństwa po angielsku, tym samym zdradzają własne dzieci i własną ojczyznę. Pozbawiając je duchowego i społecznego spadku, jaki im daje przynależność do własnego narodu, odbierają im możność służenia własnemu krajowi. Wychodząc z tego założenia, nigdy nie mówiłem z moimi dziećmi inaczej jak w naszym ojczystym języku gudźarati.

Mister Polakowi nigdy się to nie podobało. Uważał, że działam na niekorzyść ich przyszłego życia. Z właściwym mu zapałem, a zresztą i z życzliwością twierdził, że jeżeli dzieci od wczesnych lat nauczą się języka znajdującego się w powszechnym użyciu, jakim jest język angielski, przyjdzie im z większą łatwością uzyskać przewagę nad innymi w życiu. Nie udało mu się jednak mnie przekonać. Nie przypominam sobie, czy to ja przekonałem go do słuszności mojego stanowiska, czy też on ustąpił wobec mojego zdecydowanego uporu.

Wszystko to działo się mniej więcej przed dwudziestu laty i w miarę zdobywania większego doświadczenia moje przekonania nabierały coraz większej mocy. I chociaż moi synowie cierpieli z powodu braków w zakresie ogólnego wykształcenia, znajomość języka macierzystego, którą zdobyli, w ogromnym stopniu przydała się zarówno im, jak i ich krajowi, już bodaj dlatego, że nie byli obcokrajowcami w swojej ojczyźnie, za jakich w przeciwnym wypadku mogliby uchodzić.

Każdy z nich, rzecz prosta, władał później obydwoma językami, pisząc i mówiąc swobodnie po angielsku, na co w dużym stopniu złożyło się ciągłe przebywanie w szerokim kręgu angielskich przyjaciół, a także to, że przecież mieszkali w kraju, gdzie angielski był w powszechnym użyciu.

XXIV. REBELIA ZULUSÓW

Pomimo iż zdawało mi się, że osiedliłem się na stałe w Johannesburgu, nie dane mi było jednak prowadzić zupełnie osiadłego życia. W chwili kiedy sądziłem, że wreszcie odetchnę spokojnie, przytrafiło się zgoła nieoczekiwane zdarzenie: oto pisma przyniosły wiadomość o wybuchu powstania Zulusów w Natalu. Nie żywię żadnych uprzedzeń w stosunku do Zulusów,

nie zrobili nigdy nic złego Indusom. Jeżeli miałem jakieś zastrzeżenia, to dotyczyły one samej celowości tej „rebelii".

Zdawało mi się wtedy, że Imperium Brytyjskie istnieje dla dobra całego świata. Szczere uczucie lojalności nie pozwalało mi nawet żywić jakichkolwiek nieprzyjaznych uczuć dla Imperium. Na moją decyzję nie wpłynęła więc sprawa tego, czy „rebelia" jest uzasadniona, czy też nie. Natal rozporządzał Ochotniczą Armią Obronną i przysługiwało mu prawo werbunku do niej. Przeczytałem, że armia ta została już zmobilizowana dla zdławienia „rebelii".

Uważałem się za obywatela Natalu, gdyż byłem związany bardzo blisko z tym krajem. Napisałem więc do gubernatora, wyrażając gotowość zorganizowania – jeżeli zajdzie potrzeba – Indyjskiego Oddziału Sanitarnego. Gubernator odpowiedział natychmiast, przyjmując moją ofertę.

Nie liczyłem na tak szybką reakcję. Na szczęście poczyniłem wszystkie niezbędne przygotowania jeszcze przed wysłaniem listu. W razie gdyby moja propozycja została przyjęta, postanowiłem zwinąć swoje mieszkanie w Johannesburgu. Mister Polak zamieszkałby w mniejszym domu, a moja żona z dziećmi przeniosłaby się do Phoenix. Wyraziła na to całkowitą zgodę. W ogóle nie przypominam sobie, by kiedykolwiek stanęła na przeszkodzie moim planom, gdy w grę wchodziły podobne sprawy. Natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi od gubernatora wymówiłem mieszkanie gospodarzowi domu z miesięcznym wyprzedzeniem. Część rzeczy odesłałem do Phoenix, a część zostawiłem Polakowi.

Wyjechałem do Durbanu i zwróciłem się z apelem do naszych ludzi. W tym wypadku niepotrzebna była większa liczba ochotników. Zorganizowałem oddział złożony z dwudziestu ludzi, z których, poza mną, czterech pochodziło z Gudźaratu. Pozostali byli kontraktowymi robotnikami, przybyłymi z południowych Indii, prócz jednego, który był „wolnym" z klanu Pathan[115].

Dla nadania memu stanowisku odpowiedniego znaczenia, a także dla ułatwienia mi pracy szef Służby Zdrowia – zgodnie z istniejącymi przepisami – nadał mi tymczasowy stopień starszego sierżanta, trzech zaś innych, przeze mnie wybranych, mianował zwykłymi sierżantami, a jednego – kapralem. Otrzymaliśmy od rządu umundurowanie. Nasz oddział znajdował się w służbie czynnej około sześciu tygodni.

---

115 Pathan – muzułmanin pochodzący z plemion afgańskich w prowincji Północno–Wschodniej Pogranicznej Indii. Stamtąd rekrutowano żołnierzy, m.in. do armii brytyjsko-indyjskiej.

Kiedy przybyliśmy na miejsce tak zwanej rebelii, przekonaliśmy się, że nic nie usprawiedliwia nadania tym wydarzeniom nazwy „buntu" lub „rebelii". Nie widać było nawet śladu jakiegokolwiek oporu. Powodem tego zamieszania, które niesłusznie otrzymało nazwę „rebelii", było to, że wódz plemienia Zulusów ogłosił, iż nie będzie więcej płacił podatków nałożonych na jego plemię, i uwięził sierżanta, który przybył, by ściągnąć ową daninę.

Wszystkie moje uczucia były po stronie Zulusów i byłem niezmiernie zadowolony, kiedy po przybyciu do głównej kwatery dowiedziałem się, że naszym zadaniem będzie otoczenie opieką rannych Zulusów. Lekarz wojskowy z radością powitał nas i oświadczył, że „biali" niechętnie pielęgnują rannych Zulusów, że ich rany ropieją i on sam nie jest już w stanie dać sobie rady. Uznał nasze przybycie za dar niebios dla tych niewinnych ludzi, zaopatrzył nas w bandaże i środki dezynfekcyjne oraz ulokował w zaimprowizowanym szpitalu. Zulusi byli również bardzo uradowani z naszego przybycia.

Biali żołnierze zaglądali przez kraty, które dzieliły nas od nich, i usiłowali namawiać nas, byśmy zaniechali opatrywania rannych. Kiedy nie chcieliśmy ich usłuchać, wpadali w nieopisany gniew i potok wyzwisk spadał na głowy nieszczęsnych Zulusów.

Stopniowo nawiązałem bliższe stosunki z tymi żołnierzami i wszelkie incydenty ustały.

Wśród oficerów pełniących funkcje dowódców znajdowali się pułkownicy Sparks i Wylie, którzy ostro występowali przeciwko mnie w 1896 roku. Byli zaskoczeni moim obecnym stanowiskiem, wezwali mnie do siebie i wyrazili swe uznanie. Zostałem przez nich przedstawiony generałowi Mackenziemu.

Niech czytelnicy nie sądzą jednak, że byli to zawodowi wojskowi. Pułkownik Wylie był znanym prawnikiem z Durbanu, pułkownik Sparks zaś popularnym w Durbanie właścicielem sklepu mięsnego, a generał Mackenzie znany był w Natalu jako właściciel farmy. Wszyscy zaciągnęli się jako ochotnicy, otrzymali wyszkolenie wojskowe i zdobyli niezbędne doświadczenie.

Ranni, których powierzono naszej opiece, nie odnieśli ran w bitwie. Część z nich wzięto do niewoli jako podejrzanych o udział w rebelii i na rozkaz generała zostali skazani na chłostę, co spowodowało bardzo bolesne okaleczenia. Rany pozostawione bez żadnej opieki lekarskiej zaczęły ropieć. Inni tubylcy zaprzyjaźnieni z Zulusami, chociaż otrzymali specjalne blaszane odznaki dla odróżnienia od „wroga", zostali postrzeleni przez żołnierzy jakoby przez pomyłkę.

Prócz tego do moich obowiązków należało przygotowywanie i rozdawanie lekarstw białym żołnierzom. Nie sprawiało mi to żadnych trudności, gdyż miałem już za sobą całoroczną pracę w szpitalu prowadzonym przez doktora Bootha. Dzięki tej pracy nawiązałem bliskie stosunki z licznymi Europejczykami.

Byliśmy przydzieleni do lotnej, szybko poruszającej się kolumny. Do jej zadań należało szybkie zjawianie się wszędzie, gdzie zachodziła potrzeba. Były to przeważnie oddziały kawalerii. Gdy nasze obozowisko ruszało, my pieszo podążaliśmy za nim z noszami na plecach. Dwukrotnie czy też trzykrotnie musieliśmy odbyć czterdziestomilowy przemarsz w ciągu jednego dnia. Gdziekolwiek nas posyłano, byłem rad, że możemy się przysłużyć, przenosząc na noszach do obozowiska owych przyjaźnie do Zulusów usposobionych tubylców, do których strzelano bez uprzedzenia, a których myśmy później otaczali opieką.

XXV. WEWNĘTRZNY NIEPOKÓJ

Tak zwana rebelia Zulusów była dla mnie kopalnią nowych przeżyć, a jednocześnie dała mi bardzo wiele tematów do rozmyślań. Wojna z Burami nie ukazała nawet części tych okropności wojennych, z jakimi miałem do czynienia podczas „rebelii" Zulusów. Nie była to wojna, lecz coś w rodzaju polowania na człowieka – jest to nie tylko moja opinia, lecz również zdanie wielu Anglików, z którymi miałem sposobność rozmawiać. Słyszeć każdego ranka echo salw wśród małych niewinnych wiosek, żyć w tej ciągłej kanonadzie było wystawieniem się na nie byle jaką próbę. Musiałem jednak pogodzić się z tym przykrym losem, zwłaszcza że zadanie mojego oddziału polegało wyłącznie na pielęgnowaniu rannych Zulusów. Wiedziałem również, że gdyby nie nasza pomoc, nikt by się nimi nie zaopiekował. Świadomość tego w dużym stopniu ułatwiała mi pracę.

Było jednak sporo innych rzeczy, które zmuszały do zastanowienia. Wszystko odbywało się na mało zaludnionych terenach kraju. Wśród gór i dolin wznosiły się rozrzucone szałasy (kraale) biednych Zulusów, prostych i – jak mówiono – dzikich ludzi. Nieraz gdy przebywałem samotnie te obszary, towarzysząc rannym lub też bez nich, ogarniały mnie niewesołe myśli.

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad podstawami brahmaćarji oraz ich zastosowaniem, a moje zapatrywania na te sprawy coraz bardziej się pogłębiały. Prowadziłem na ten temat rozmowy ze współpracownikami i chociaż

nie zdawałem sobie jeszcze wówczas sprawy z tego, jak niezbędne jest to dla całkowitego poznania siebie samego, jednak rozumiałem, że człowiek, który z całego serca pragnie służyć ludzkości, nie może się obejść bez dotrzymania wierności tym zasadom.

Nabierałem coraz mocniejszego przekonania, że powinienem szukać częstych sposobności do świadczenia takich usług, jak te właśnie, i że nie podołam temu zadaniu, jeżeli będę cieszył się życiem na łonie rodziny lub znajdował przyjemność w płodzeniu i wychowywaniu dzieci.

Jednym słowem, doszedłem do wniosku, że niepodobna żyć, ulegając pokusom ciała i jednocześnie słuchając rozkazów duszy. Oto na przykład obecnie nie powinienem był się wdawać w tę awanturę, wiedząc, że moja żona oczekuje potomka.

Bez dochowania wierności zasadom brahmaćarji trudno byłoby pogodzić służenie sprawom naszej gminy z poświęceniem się sprawom rodzinnym. Natomiast jeśli się przestrzega zasad brahmaćarji, daje się to całkowicie pogodzić. Rozumując w ten sposób, zaczynałem się nawet niecierpliwić, oczekując chwili, kiedy będę mógł złożyć ostateczne ślubowanie. Ta perspektywa napełniała mnie swego rodzaju bezmierną radością. Wyobraźnia zaczęła mi malować jakieś nieograniczone możliwości służenia innym i poświęcania się dla innych.

Byłem cały pochłonięty pracą wyczerpującą mnie fizycznie i umysłowo, kiedy nadeszła wiadomość, że „rebelia" Zulusów jest już właściwie zdławiona, a my wkrótce będziemy zwolnieni z pełnienia dotychczasowych obowiązków.

Następnego dnia czy też po dwóch dniach nadeszło zwolnienie, a po paru dniach wszyscy powróciliśmy do naszych domów. Wkrótce potem otrzymałem list od gubernatora, w którym wyrażał specjalne podziękowanie naszemu oddziałowi sanitarnemu za wykonaną przezeń pracę.

Po moim przybyciu do Phoenix niezwłocznie poruszyłem zagadnienie brahmaćarji w rozmowach z Ćhaganlalem, Maganlalem, Westem oraz innymi. Zasady podobały im się i każdy z nich uznawał potrzebę złożenia odpowiedniego ślubowania, aczkolwiek zdawał sobie sprawę z nasuwających się w związku z tym trudności. Jedni od razu i z zapałem przystąpili do przestrzegania tych zasad, drugim, jak mi wiadomo, udało się to również, ale po pewnym czasie.

Ja także postanowiłem wziąć na siebie to zobowiązanie i złożyć ślubowanie przestrzegania brahmaćarji w ciągu całego mojego życia.

Muszę się przyznać, że niezupełnie zdawałem sobie wtedy sprawę z ogromu i doniosłości zadania, którego się podejmowałem. Jeszcze dziś staję w obliczu

najbardziej oczywistych trudności. Powaga ślubowania, jakie złożyłem, coraz bardziej mnie przenika. Życie bez brahmaćarji wydaje mi się ubogie i raczej podobne do zwierzęcego. Zwierzę brutalne, zgodnie z naturą, nie wie, co to znaczy panowanie nad sobą. Człowiek natomiast jest człowiekiem, w miarę jak potrafi zapanować nad sobą i stara się to osiągnąć w praktyce. To, co z początku wydawało mi się w naszych religijnych księgach nieco przesadnym wychwalaniem brahmaćarji, obecnie z coraz większą wyrazistością ukazuje mi się każdego dnia jako coś bezwzględnie słusznego i opartego na własnym doświadczeniu.

Przekonałem się, że nauka brahmaćarji, zawierająca w sobie tyle niezwykłej mocy, bynajmniej nie jest czymś łatwym do osiągnięcia i z pewnością nie zależy jedynie od ciała. Wprawdzie zaczyna się od poskromienia żądz cielesnych, ale nie kończy się na tym. Kiedy się osiągnie stopień doskonałości, samo powstawanie nieczystych myśli staje się niemożliwe. Człowiek wierny zasadom brahmaćarji nawet w myślach nie zaspokaja swoich cielesnych pożądań, ale zanim zdoła osiągnąć ów stopień doskonałości, musi przebyć daleką drogę.

Dla mnie nawet przestrzeganie cielesnych rygorów stawianych przez brahmaćarję było czymś niezmiernie trudnym. Dziś mogę powiedzieć, że czuję się niemal bezpieczny, muszę jednak jeszcze zapanować nad moimi myślami, co uważam za niezbędny warunek. Nie znaczy to, by mi brakło woli lub bym nie czynił należytego w tym kierunku wysiłku, nie mogę jednak jeszcze rozwiązać pytania, gdzie rodzą się owe niepożądane myśli, które mnie niekiedy znienacka nawiedzają.

Święci oraz poszukiwacze Prawdy przekazali nam swoje doświadczenia, ale żaden z nich nie wskazał nam niezawodnego i uniwersalnego sposobu na osiągnięcie doskonałości. Doskonałość bowiem lub uwolnienie się od popełniania błędów mogą na nas spłynąć jedynie w drodze łaski i dlatego ci, którzy strawili całe życie na poszukiwaniu Boga, zostawili nam formuły religijne (mantra), jak na przykład *Ramanama*, uświęcone ich własnymi wyrzeczeniami i przepojone prawością, jaka ich cechowała.

Bez całkowitego zdania się na łaskę Wszechmogącego niepodobna osiągnąć panowania nad własnymi myślami. Taka oto nauka płynie ze wszystkich wielkich świętych ksiąg, ja zaś usiłuję na każdym kroku, zdążając do osiągnięcia doskonałości brahmaćarji, wprowadzać w czyn tę Prawdę.

Część tych dziejów, w których zawarły się i owe dążenia, i walki przeze mnie stoczone, zostanie opowiedziana w następnych rozdziałach. Pragnę zakończyć ten rozdział opowieścią o tym, co uczyniłem, by podołać podjętemu zadaniu.

W pierwszym, pełnym entuzjazmu porywie sądziłem, że dochowanie wierności tym naukom jest łatwe. Pierwszym krokiem, jaki uczyniłem na tej drodze, było to, że przestałem dzielić łoże z mą żoną i spałem oddzielnie.

Brahmaćarja, której mimo woli poddałem się, począwszy od 1900 roku, została przypieczętowana ślubowaniem, jakie złożyłem w połowie 1906 roku.

XXVI. NARODZINY SATJAGRAHY

Wydarzenia w Johannesburgu układały się w ten sposób, jak gdyby okres mojego „samooczyszczenia" miał poprzedzać narodziny akcji znanej pod nazwą Satjagraha. Dziś widzę, że wszystkie najważniejsze wydarzenia w moim życiu, które osiągnęły swój moment kulminacyjny w ślubowaniu brahmaćarji, niejako tajemnie przygotowywały mnie do tego celu. Sama zasada nosząca nazwę satjagraha powstała, zanim wynaleziono dla niej tę nazwę. Kiedy się zrodziła, nie potrafiłem nawet określić, czym jest właściwie.

W Gudźaracie dla określenia tego pojęcia posługujemy się angielskim terminem „bierny opór". Kiedy na pewnym zebraniu Europejczyków doszedłem do wniosku, że określenie „bierny opór" może być zrozumiane w zbyt ograniczonym sensie jako broń ludzi słabych, że może nosić cechy nienawiści lub że w ostatecznym wyniku mogłoby znaleźć swój wyraz nawet w aktach przemocy, poczułem się zmuszony zaoponować przeciwko takiemu określeniu przyświecającej nam zasady i wyjaśniłem istotny charakter ruchu, który ogarnął Indusów.

Było oczywiste, że Indusi sami muszą wynaleźć nowe słowo, które wyrażałoby sens podjętej przez nich walki. Nie mogłem w żaden sposób znaleźć jakiejś nowej nazwy i ogłosiłem za pośrednictwem „Indian Opinion" konkurs wyznaczający nagrodę za wymyślenie najbardziej trafnej nazwy. Wreszcie Maganlal Gandhi wymyślił nowe słowo: *sadagraha* (*sat* – prawda, *agraha* – niezłomność) i zdobył nagrodę. By jednak uczynić to słowo bardziej zrozumiałym, zmieniłem je na satjagraha, które od tej pory w języku gudźarati stało się synonimem naszej walki.

Dzieje tej walki są w pierwszym rzędzie przyczynkiem do historii tych lat mego życia, które spędziłem w Afryce Południowej, a zwłaszcza są związane z moimi poszukiwaniami na drodze poznania prawdy, jakie przeprowadziłem w tej części świata. Przeważną część tych dziejów napisałem w więzieniu w Yeravda i skończyłem po uwolnieniu mnie z niego.

Dzieje Satjagrahy zostały opublikowane w piśmie „Navajivan", a następnie ogłoszone w książkowym wydaniu. Valdżi Govindżi Desai przełożył je na angielski dla wydawnictwa „Current Thoughts" („Myśli Współczesne"). Obecnie sam zabiegam o zdobycie ich angielskiego przekładu wydanego wcześniej w formie książki, po to, by zaznajomić czytelników z moimi najważniejszymi doświadczeniami poczynionymi na terenie Afryki Południowej.

Tym, którzy dotychczas jeszcze nie mieli sposobności ich poznać, polecam przeczytanie moich dziejów związanych z Satjagraha w Afryce Południowej. Nie chcę powtarzać tego, co opisałem wcześniej, w następnych rozdziałach tej książki zajmę się jedynie kilkoma wydarzeniami z okresu mego pobytu w Afryce Południowej, o których dotąd nie wspominałem. Kiedy skończę z tym, natychmiast przystąpię do wyjaśnienia czytelnikowi, na czym polegały moje poszukiwania i doświadczenia poczynione w Południowej Afryce.

Niemniej jednak każdy, kto chce przyjrzeć się tym poszukiwaniom w ich chronologicznej ciągłości, powinien mieć przed sobą spisane dzieje ruchu Satjagraha w Afryce Południowej.

XXVII. NIECO WIĘCEJ PRÓB W DZIEDZINIE ODŻYWIANIA SIĘ

Moim gorącym pragnieniem było postępowanie zgodne z nakazami brahmaćarji zarówno w myślach, w słowach, jak i w czynach. Ponadto bardzo pragnąłem poświęcić możliwie najwięcej czasu naszej walce Satjagraha oraz żyjąc w czystości być godnym uczestniczenia w niej. Skłonny byłem dokonać dalszych zmian w moim życiu i – jeśli chodzi o sprawę odżywiania – gotów byłem poddać się jeszcze większym ograniczeniom.

Dawniej powodowałem się głównie względami natury higienicznej, jednak wszystkie moje nowe postanowienia wynikały raczej ze stanowiska religijnego. Post i powściągliwość w przyjmowaniu pożywienia odgrywały obecnie znacznie ważniejszą rolę w moim życiu. Namiętności u mężczyzny idą przeważnie w parze z dogadzaniem podniebieniu. Podobnie było ze mną. Musiałem przezwyciężyć niemało trudności, gdy usiłowałem trzymać w karbach zarówno moje namiętności cielesne, jak łakomstwo, i nawet dziś nie mogę powiedzieć, bym potrafił całkowicie panować nad nimi. Uważałem siebie zawsze za żarłoka, to zaś, co moi przyjaciele nazywali powściągliwością, nigdy nią dla mnie nie było. Gdyby mi się nie udało osiągnąć tej powściągliwości bodaj w tym stopniu,

w jakim ją osiągnąłem, byłbym się stoczył poniżej poziomu bydlęcia i dawno już zginął.

Czyniłem wszelkie wysiłki, by zapanować nad swoimi wadami, i choć kosztowało mnie to niemało trudu, jednak potrafiłem dzięki temu w ciągu wszystkich minionych lat utrzymać w zdrowiu swoje ciało i włożyć swój wkład we wspólnie dokonaną pracę.

Zdając sobie sprawę ze swojej słabości i znalazłszy się przypadkowo w środowisku, które podzielało moje poglądy, zacząłem się odżywiać wyłącznie owocami, pościć w dniu *ekadaśi*, przestrzegać Dżanmasztami i podobnych świąt.

Rozpocząłem od żywienia się owocami, jednak traktując tę sprawę ze stanowiska rygorów powściągliwości, nie widziałem większej różnicy pomiędzy dietą owocową a żywieniem się mącznymi potrawami.

Zauważyłem, że ustępstwa na rzecz łakomstwa są tak samo możliwe przy żywieniu się owocami, jak mącznymi potrawami, a kto wie, czy nie w jeszcze większym stopniu, jeżeli się ktoś zdążył do tego przyzwyczaić. Dlatego właśnie zacząłem przywiązywać większe znaczenie do przestrzegania postu lub przyjmowania tylko jednego posiłku w dni świąteczne. Jeżeli nadarzała się jakaś sposobność nałożenia na siebie pokuty lub czegoś w tym rodzaju, chętnie z niej korzystałem, by całkowicie powstrzymać się od przyjmowania posiłku.

Spostrzegłem jednak, że moje ciało wycieńcza się coraz bardziej, jedzenie sprawia mi coraz większą przyjemność, a mój apetyt jest coraz większy. Przyszło mi na myśl, że post może się stać równie potężnym środkiem do obudzenia potrzeb cielesnych, jak do ich przezwyciężenia. Wiele późniejszych doświadczeń, poczynionych zarówno przeze mnie, jak i przez innych, potwierdziło ten zdumiewający fakt.

Chciałem podnieść sprawność mego ciała i wyćwiczyć je, wobec tego jednak, że moim głównym celem było zdobyć się na ograniczenie przyjmowania posiłków i zapanować nad tym, czego się domagało moje podniebienie, wybrałem wpierw jeden rodzaj pożywienia, następnie drugi, redukując jednocześnie jego ilość. Jednak dawne upodobanie do jedzenia mnie nie opuszczało. Kiedy rezygnowałem z jednego pożywienia i sięgałem po inne – wydawało mi się ono jeszcze lepsze od poprzedniego.

Miałem paru przyjaciół, którzy razem ze mną robili tego rodzaju doświadczenia. Na ich czele stał Hermann Kallenbach. Wspominałem już o nim, pisząc o dziejach Satjagrahy w Afryce Południowej, i nie chcę powracać do tego tematu.

Mister Kallenbach zawsze był przy mnie, czy to wtedy, gdy pościłem, czy też kiedy wprowadzałem zmiany do swego odżywiania.

Kiedy walka o satjagrahę osiągnęła swój kulminacyjny moment, mieszkałem u niego. Prowadziliśmy rozmowy na temat zmian, jakim uległ nasz sposób odżywiania się – nowy rodzaj pożywienia sprawiał nam znacznie większą przyjemność aniżeli poprzedni. Rozmowy tego rodzaju były wtedy dość miłe i nie raziły mnie jako coś nieodpowiedniego. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że rozwodzenie się nad przyjemnością, jaką sprawia samo jedzenie, jest czymś wręcz niewłaściwym. Człowiek powinien jeść nie dla dogodzenia swemu podniebieniu, lecz po to, by utrzymać sprawność swego organizmu. Gdy wszystkie nasze zmysły pracują na korzyść ciała, a przez to samo na korzyść duszy, znikają specjalne upodobania i zaczynają funkcjonować w tym kierunku, jaki im wyznaczyła natura.

Żadna liczba doświadczeń nie jest wystarczająca, a żadna ofiara nie jest dość wielka, by osiągnąć podobne zharmonizowanie z naturą! Niestety, dominujące w dzisiejszej dobie nurty zmierzają we wręcz przeciwnym kierunku. Człowiek nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia, poświęcając mnóstwo innych istnień jedynie po to, by przystroić własną, przemijającą powłokę cielesną i przedłużyć jej żywot na parę bodaj przelotnych chwil, przy czym rezultat jest ten, że sami uśmiercamy siebie: zarówno nasze ciała, jak i dusze.

Chcąc wyleczyć jedną chorobę, wywołujemy setki innych, a dążąc do zmysłowych rozkoszy, tracimy w końcu nawet samą zdolność odczuwania jakiejkolwiek rozkoszy. Wszystko to odbywa się tuż przed naszymi oczyma, ale nie ma gorszych ślepców od tych, którzy patrząc, nie chcą widzieć.

Po poruszeniu tego zagadnienia i pokazaniu, jaką drogą przyszedłem do niego, zamierzam przystąpić do nieco bardziej szczegółowego omówienia tych właśnie doświadczeń z dziedziny dietetyki.

XXVIII. ODWAGA KASTURBAI

Trzy razy w ciągu swego życia moja żona ciężko zapadała na zdrowiu i tylko cudem zdołała uniknąć śmierci. Wyzdrowienie swoje zawdzięcza leczeniu domowymi środkami.

Kiedy po raz pierwszy zachorowała, akcja Satjagraha dopiero co powstawała, czy też może już istniała. Żona moja miewała częste krwotoki. Pewien

lekarz, z którym byłem zaprzyjaźniony, radził, by poddała się operacji, na którą po pewnym wahaniu się zgodziła. Była ogromnie wyczerpana, a lekarz miał dokonać operacji bez uśpienia chorej. Operacja się udała, jednak chora nacierpiała się strasznie. Kasturbai zniosła ogromne bóle po bohatersku. Lekarz i jego żona, pielęgniarka, byli pełni podziwu dla niej. Wszystko to miało miejsce w Durbanie. Lekarz pozwolił mi wrócić do Johannesburga i zapewnił mnie, że mogę być spokojny o zdrowie chorej. Po upływie paru dni otrzymałem jednak list zawiadamiający, że stan zdrowia Kasturbai się pogorszył, że jest zbyt osłabiona, by móc siedzieć w łóżku, i że nawet raz straciła przytomność. Lekarz wiedział, że nie wolno mu bez mego zezwolenia dać chorej wina lub mięsa. Zatelefonował więc do mnie do Johannesburga, zapytując, czy pozwalam, by chorą nakarmić mięsnym bulionem. Odpowiedziałem, że nie mogę udzielić swego pozwolenia, jednak jeżeli chora jest w stanie sama dać wyraz swoim życzeniom, należy ją o to zapytać, a ona może postąpić tak, jak zechce.

Na co lekarz odparł:

– Nie mam zamiaru zasięgać w tej sprawie rady chorej. Musi pan to sam uczynić. Jeżeli nie pozostawia mi pan swobody zapisywania diety według mego uznania, nie biorę na siebie odpowiedzialności za życie pańskiej żony.

Tego samego dnia pojechałem pociągiem do Durbanu i spotkałem się z lekarzem, który bez długich wstępów oznajmił mi, że zaraz po telefonicznej rozmowie ze mną dał mojej żonie do wypicia filiżankę bulionu.

– Doktorze – powiedziałem – uważam to za oszustwo…

– Nie może być mowy o jakimkolwiek oszustwie, kiedy się zapisuje choremu lekarstwo lub odpowiednią dietę. Zresztą my, lekarze, nie widzimy nic złego w tym, jeżeli mając na celu uratowanie naszego pacjenta, nawet oszukamy chorego lub jego krewnych – z całą stanowczością odrzekł lekarz.

Byłem ogromnie zmartwiony, lecz zapanowałem nad sobą. Lekarz był niezwykle dobrym człowiekiem i moim osobistym przyjacielem. On i jego żona zasłużyli na moją bezgraniczną wdzięczność, nie byłem jednak przygotowany na godzenie się z ich etyką lekarską.

– Doktorze, proszę mi powiedzieć, jakie są pańskie dalsze zamiary. Nigdy nie zgodzę się na karmienie mojej żony mięsem i bulionem, nawet gdyby w razie odmowy miała jej grozić śmierć, chyba że ona sama zgodziłaby się na to.

– Jest pan oczywiście w zgodzie ze swoją filozofią, pragnę jednak panu oświadczyć, że dopóki pańska żona pozostaje pod moją opieką, muszę mieć całkowitą swobodę dawania jej takich środków, jakie uważam za stosowne. Jeżeli

to panu nie odpowiada, z żalem będę zmuszony poprosić pana, by zechciał pan ją stąd zabrać. Nie chcę widzieć, jak będzie umierała pod moim dachem.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że powinienem ją natychmiast stąd zabrać?

– A czy mówiłem o tym, że ma ją pan stąd zabrać? Chcę mieć jedynie swobodę działania. Jeżeli mi ją pan pozostawi, zarówno ja, jak i moja żona zrobimy wszystko dla chorej, a pan może powrócić do domu bez żadnych obaw o jej dalsze losy. Jeżeli natomiast nie zechce pan zrozumieć tej najprostszej rzeczy, sam zmusi mnie pan do tego, że poproszę go o zabranie stąd jego żony.

O ile sobie przypominam, był wtedy ze mną jeden z synów. Całkowicie zgadzał się ze mną i twierdził, że nie powinno się karmić jego matki mięsnym bulionem. Następnie zapytałem o zdanie samą Kasturbai. Była doprawdy zbyt słaba, by można było zasięgać jej rady w podobnej sprawie. Uważałem to jednak za mój bolesny obowiązek. Opowiedziałem jej o rozmowie, jaka odbyła się pomiędzy mną a lekarzem. Oto co mi odpowiedziała z całą świadomością:

– Nie będę piła bulionu. To wielka rzecz przyjść na ten świat w postaci człowieka, ale wolę raczej umrzeć w twoich ramionach, aniżeli skalać swoje ciało tymi obrzydliwościami!

Zacząłem ją przekonywać. Mówiłem, że nic jej nie zmusza, by poszła za moimi wskazaniami. Przytaczałem przykłady z życia naszych przyjaciół Indusów i znajomych, którzy bez skrupułów pili wino i jedli mięso, uważając je za środki lecznicze. Ale moja żona uparcie trwała przy swoim. Wreszcie rzekła:

– Nie zgadzam się, proszę ciebie, zabierz mnie stąd natychmiast.

Jej decyzja napełniła mnie ogromną radością. Postanowiłem ją zabrać, aczkolwiek nie bez pewnego wzburzenia. Poinformowałem lekarza o decyzji mojej żony. Lekarz rozgniewany zawołał:

– Jak można być tak bezwzględnym człowiekiem! Czy nie wstydzi się pan zwracać do niej z podobnymi sprawami, kiedy jest taka chora? W takim razie oświadczam panu, że stan zdrowia chorej nie pozwala na to, by ją ruszać z miejsca. Najmniejsze poruszenie jest dla niej niebezpieczne. Nie zdziwi mnie, gdy umrze po drodze. Ale jeśli pan obstaje przy swoim, niech pan robi, jak się panu podoba. Jeżeli nie pozwala pan, by ją karmiono bulionem, nie biorę odpowiedzialności nawet za jeden dzień jej dalszego pobytu w moim domu!

Postanowiliśmy więc niezwłocznie opuścić ten dom. Padał drobny deszcz, dworzec kolejowy był dość odległy. Koleją mieliśmy do przebycia drogę od Durbanu do Phoenix, stamtąd zaś do naszej osady było około dwóch i pół mili.

Brałem na siebie ogromne ryzyko, ale cała moja ufność była w Bogu. Ruszyliśmy w drogę. Wysłałem uprzednio do Phoenix specjalnego gońca z wiadomością dla Westa, prosząc go, by oczekiwał nas na stacji kolejowej i zabrał ze sobą hamak, butelkę gorącego mleka oraz drugą z gorącą wodą, a także by przyprowadził z sobą sześciu mężczyzn, którzy przenieśliby Kasturbai w tym hamaku. Znalazłem rikszę, którą przewiozłem żonę na dworzec kolejowy, gdzie czekałem na pierwszy odchodzący pociąg.

Nie było potrzeby podtrzymywania Kasturbai na duchu – przeciwnie, to ona pocieszała mnie, mówiąc:

– Nic mi nie będzie… nie martw się!

Była na niej tylko sama skóra i kości, gdyż od paru dni prawie nic nie jadła. Peron był dość szeroki, ale wobec tego, że nie sposób było podjechać rikszą, trzeba było pieszo przejść pewną odległość dzielącą nas od pociągu. Wziąłem ją na ręce i wniosłem do przedziału. Ze stacji w Phoenix nieśliśmy ją w hamaku. Po drodze pod wpływem okładów z wody chora zaczęła powoli odzyskiwać siły.

Po upływie dwóch lub trzech dni od chwili naszego przyjazdu do Phoenix przyjechał do nas pewien *swami*[116]. Słyszał o stanowczej decyzji, z jaką odrzuciliśmy rady lekarza, i współczując nam, przyjechał, by okazać jakąś pomoc. O ile sobie przypominam, mój drugi i trzeci syn, Manilal i Ramdas, byli w domu, kiedy ów *swami* przyjechał. Cytując odpowiednie ustępy z *Manu*[117], *swami* twierdził, że ze stanowiska religijnego jedzenie mięsa nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Prowadzenie tej rozmowy w obecności mojej żony nie bardzo mi odpowiadało, chcąc jednak być uprzejmym dla niego, nie sprzeczałem się.

Znałem wersety z *Manusmryti* i przytaczanie ich dla przekonania mnie było zbyteczne. Wiedziałem również, że istnieje pewna sekta, która uważa owe wersety za nieautentyczne, ale nawet gdyby było inaczej, mój pogląd na żywienie się wyłącznie wegetariańskimi potrawami był niezależny od wszelkich religijnych tekstów, a wiara Kasturbai w wegetarianizm była niezłomna. Wprawdzie spisane teksty były dla niej księgą zamkniętą na siedem pieczęci, ale wiara praojców wystarczała jej w tym wypadku najzupełniej.

Dla dzieci przekonania ich ojca były świętością i dlatego słowa swamiego nie zrobiły na nich wielkiego wrażenia. W pewnej chwili jednak Kasturbai położyła kres całej tej rozmowie, mówiąc:

---

116 *Swami* – pan, mistrz duchowy, myśliciel.

117 *Manu* – *Manusmryti*.

– *Swamidźi*, cokolwiek byś powiedział, nie chcę powrócić do zdrowia, żywiąc się mięsnym bulionem. Proszę, nie kłopocz się więcej o mnie. Jeżeli chcesz, możesz rozmawiać o tych sprawach z moim mężem lub z moimi dziećmi. To, co ja postanowiłam, jest niezłomne.

XXIX. DOMOWA SATJAGRAHA

Moje pierwsze doświadczenia związane z życiem więziennym miały miejsce w 1908 roku. Stwierdziłem wtedy, że niektóre z przepisów obowiązujących więźniów nosiły taki charakter, jak gdyby skłaniały ich do dobrowolnego przestrzegania reguł brahmaćarji, czyli pomagały w narzuceniu sobie rygorów powściągliwości. Dotyczyło to na przykład przepisu, który zabraniał przyjmowania ostatniego dziennego posiłku po zachodzie słońca. Więźniowie Indusi lub Afrykanie nie mieli prawa do otrzymywania herbaty czy kawy. Wolno im było wprawdzie używać soli do gotowanych potraw, ale wszystkie inne przyprawy były im zabronione.

Kiedy zwróciłem się do lekarza więziennego, by kazał nam dać *curry powder*[118] lub pozwolił dodawać nieco więcej soli do przygotowywanych dla nas posiłków, usłyszałem w odpowiedzi: – Nie jesteście tu po to, aby zaspokajać zachcianki podniebienia. Z punktu widzenia potrzeb zdrowotnych przyprawy korzenne nie są potrzebne i jest obojętne, czy dodacie nieco soli przed ugotowaniem, czy po ugotowaniu waszych posiłków.

Te ograniczenia zostały w końcu zmienione, aczkolwiek nie przyszło to łatwo, jednak trzeba przyznać, że w dużej mierze sprzyjały zachowaniu powściągliwości. Narzucane z zewnątrz zakazy rzadko uwieńczone są powodzeniem, natomiast powzięte dobrowolnie – odnoszą zbawienny skutek. Toteż niezwłocznie po zwolnieniu mnie z więzienia sam zacząłem stosować obydwa te przepisy. W miarę możności przestałem pić herbatę i kończyłem ostatni posiłek przed zachodem słońca. Nie wymagało to już wielkiego wysiłku z mojej strony.

Następnie, co prawda dość przypadkowo, nadarzyła się pewna sposobność, która zmusiła mnie do całkowitego zaniechania używania soli, i w ciągu nieprzerwanych dziesięciu lat powstrzymywałem się od jej używania. W którejś książce poświęconej wegetariańskiej diecie przeczytałem, że sól bynajmniej nie

118 *Curry powder* – przyprawa korzenna powszechnie używana w Indiach.

stanowi niezbędnej dla człowieka przyprawy do jedzenia i że potrawy pozbawione soli są znacznie zdrowsze. Zredukowałem więc jej użycie, na czym zyskało moje ślubowanie *brahmaćarja.* Przeczytałem też gdzieś i sam się przekonałem, że ludzie słabego zdrowia powinni unikać strączkowych jarzyn, tymczasem bardzo je lubiłem.

Tak się złożyło, że Kasturbai po krótkotrwałej poprawie, jaka nastąpiła po operacji, znów zaczęła miewać krwotoki, a choroba zaczynała przybierać uporczywy charakter. Samo leczenie wodą nie skutkowało. Kasturbai nie bardzo wierzyła w moje sposoby leczenia, chociaż nie sprzeciwiała się im. Nie chciała również, by ktoś z zewnątrz przyszedł jej z pomocą. Kiedy więc zawiodły wszystkie zalecane przeze mnie leki, zacząłem ją namawiać, by zrezygnowała z używania soli i strączkowych jarzyn. Mimo wszelkich moich perswazji i powoływania się na różne autorytety Kasturbai nie chciała się zgodzić. Pod koniec rzuciła mi wyzwanie, mówiąc, że ja sam nie mógłbym zrezygnować z tych produktów, gdyby mi poradzono tak uczynić. Byłem zmartwiony i jednocześnie uradowany, gdyż przy tej sposobności mogłem jej okazać całą swą miłość. Powiedziałem wtedy do niej:

– Jesteś w błędzie. Gdybym był chory i lekarz poleciłby mi wyrzec się tej lub innej przyprawy, niewątpliwie uczyniłbym to. Ale w tym przypadku jest inaczej. Żaden lekarz mi tego nie przepisał, a jednak na cały rok wyrzekam się soli i strąków, niezależnie od tego, czy ty się na to zgadzasz czy nie.

Te słowa zrobiły na Kasturbai duże wrażenie i ogromnie zmartwiona zawołała:

– Wybacz mi, proszę! Znając ciebie, nie powinnam była tego robić. Obiecuję ci, że powstrzymam się od używania tych dwóch rzeczy, ale błagam cię, cofnij przysięgę. To jest dla mnie nie do zniesienia.

– To, że się powstrzymasz od tych rzeczy, będzie dla ciebie bardzo pożyteczne. Na chwilę nie wątpię, że będziesz się czuła znacznie lepiej bez nich. Co do mnie, nie mogę cofać ślubowania, które złożyłem z całą powagą. Będzie to z pożytkiem również dla mnie, bo każda powściągliwość, wszystko jedno, czego dotyczy, wychodzi człowiekowi na korzyść. Pozwól, że postąpię, jak będę uważał za właściwe. Dla mnie będzie to próba, a tobie doda siły do wytrwania w twoim postanowieniu.

Wreszcie Kasturbai mi ustąpiła.

– Jesteś uparty. Nie chcesz nikogo słuchać – odrzekła i westchnęła, dając upust łzom.

Umyślnie przytoczyłem to wydarzenie jako jeden z przykładów satjagrahy. Jest to jedno z najmilszych wspomnień mego życia.

Zaraz potem stan zdrowia Kasturbai zaczął się szybko poprawiać. Nie wiem, czy był to skutek diety bez soli i strączkowych jarzyn, czy też innych zmian, jakie zaszły w jej odżywianiu, a może pomyślny rezultat należy raczej przypisać surowemu przestrzeganiu przeze mnie innych zaleceń. Możliwe również, że całe to wydarzenie podniosło ją na duchu, chociaż trudno mi orzec, w jakim stopniu. W każdym razie Kasturbai zaczęła przychodzić do zdrowia, krwotoki ustały zupełnie, a opinia o mnie jako o znachorze umocniła się.

Jeżeli natomiast chodzi o mnie, jak najchętniej zgadzałem się na te wyrzeczenia. Nigdy nie miałem ochoty dotknąć produktów, których się wyrzekłem. Minął rok i oto stwierdziłem, że bardziej niż kiedykolwiek potrafię zapanować nad swoimi potrzebami. Eksperyment, który miałem za sobą, jeszcze silniej wzmógł we mnie upodobanie do nakładania hamulców na swoje popędy i przez dłuższy czas po moim powrocie do Indii nadal powstrzymywałem się od używania wspomnianych wyżej przypraw.

Raz tylko, w 1914 roku, podczas pobytu w Londynie, sięgnąłem do jednej i do drugiej, ale o tym, jak do tego doszło, opowiem w następnym rozdziale.

Wypróbowałem również na wielu moich współpracownikach w Afryce Południowej skuteczność diety pozbawionej soli i strączkowych jarzyn, a rezultaty były całkiem zadowalające.

Ze stanowiska lekarskiego opinia o tej diecie może być dwojaka, jeśli zaś chodzi o jej moralne znaczenie, to nie wątpię, iż każde wyrzeczenie działa korzystnie na duszę ludzką. Człowiek, który chce panować nad swymi zmysłami, odżywia się inaczej niż ten, kto rozkoszuje się do syta życiem, podobnie jak odmienny jest sposób ich życia. Ludzie dążący do osiągnięcia brahmaćarji często sami przyczyniają się do własnej klęski, obierając drogę wiodącą do życia pełnego uciech cielesnych.

XXX. DROGA KU POWŚCIĄGLIWOŚCI

W ostatnim rozdziale opisałem, jak choroba Kasturbai przyczyniła się do wprowadzenia pewnych zmian w moim sposobie odżywiania się. Nieco później dla dotrzymania wierności brahmaćarji wprowadziłem jeszcze więcej ograniczeń. Pierwszym było wyrzeczenie się mleka. Od Rajćandbhai dowiedziałem się po raz pierwszy, że mleko działa podniecająco na zmysły.

Książki na temat wegetariańskiego odżywiania umocniły mnie w tym przekonaniu, jednak do chwili kiedy złożyłem swe ślubowanie, nie mogłem się zdobyć na to, by się wyrzec mleka. Od dawna zdawałem sobie sprawę z tego, że mleko wcale nie jest niezbędne dla podtrzymania dobrej kondycji organizmu, jednak zrezygnowanie z niego nie było łatwe.

Kiedy mając na celu zapanowanie nad swoimi zmysłami, zacząłem coraz lepiej rozumieć konieczność wyrzeczenia się mleka, przypadkowo wpadła w moje ręce przywieziona z Kalkuty książka, w której były opisane straszliwe tortury zadawane krowom i bawołom przez ich hodowców. Wywarło to na mnie niezwykłe wrażenie i na ten temat prowadziłem liczne rozmowy *z* mister Kallenbachem.

Przedstawiłem już wprawdzie czytelnikom dzieje Satjagrahy w Afryce Południowej mister Kallenbacha i mówiłem o nim w poprzednim rozdziale, uważam jednak za konieczne opowiedzieć o nim w tym miejscu nieco obszerniej. Spotkaliśmy się przypadkowo. Mister Kallenbach był przyjacielem mister Khana, a kiedy ten odkrył w nim upodobanie do abstrakcyjnych zagadnień, przedstawił go mnie.

Gdy go poznałem, byłem co prawda zaskoczony jego skłonnością do komfortowego życia i ekstrawagancji, jednak już podczas następnego spotkania zadał mi wiele bardzo wnikliwych pytań związanych z zagadnieniami religijnymi.

Rozmowa potoczyła się na temat wyrzeczeń Gautamy Buddy.

Nasza znajomość wkrótce zamieniła się w bardzo bliską przyjaźń, tym bardziej że nasze poglądy zbiegały się, a on doszedł do przekonania, że musi dokonać w swoim życiu takiej zmiany, jaką ja przeprowadziłem w moim.

W tym czasie mister Kallenbach był kawalerem i poza czynszem za wynajmowany dom wydawał miesięcznie tysiąc dwieście rupii. Obecnie tak dalece ograniczył swe potrzeby, że do ich zaspokojenia wystarczyło mu sto dwadzieścia rupii miesięcznie.

Po zlikwidowaniu przeze mnie mojego gospodarstwa i pierwszym wyjściu z więzienia zamieszkaliśmy razem. Życie, jakie wiedliśmy, było dość ciężkie.

Wtedy to właśnie prowadziliśmy nasze dyskusje na temat mleka. Mister Kallenbach powiedział do mnie:

– Wciąż mówimy o zgubnych skutkach odżywiania się mlekiem. Dlaczego nie zrezygnujemy z niego? Możemy się bez niego obejść.

Byłem mile zaskoczony tą propozycją i gorąco ją poparłem. Przyrzekliśmy sobie wtedy nawzajem, że od tej chwili wyrzekamy się mleka. Miało to miejsce

w 1912 roku na farmie imienia Tołstoja. Jednak to wyrzeczenie nie zadowoliło mnie. Wkrótce postanowiłem żywić się jedynie owocami, i to najtańszymi. Naszą ambicją było prowadzić życie najuboższych ludzi.

Okazało się, że dieta owocowa jest również bardzo wygodna, można było się obejść bez jakiegokolwiek lub prawie jakiegokolwiek gotowania. Na nasze codzienne pożywienie składały się surowe orzechy, banany, daktyle, cytryny, a także oliwa z oliwek.

Muszę w tym miejscu zwrócić się z pewnym ostrzeżeniem pod adresem niektórych ludzi dążących do brahmaćarji. Aczkolwiek wyjaśniłem już, jak bliski związek zachodzi pomiędzy sposobem odżywiania się a brahmaćarją, nie ulega wątpliwości, że najważniejszą rolę odgrywają myśli lub stan umysłu. Zbrukanych myśli post nie zdoła oczyścić, a zmiany w pożywieniu nie wywierają na nie żadnego wpływu. Lubieżne myśli można wyplenić jedynie przez żarliwe poznawanie siebie samego, przez pokładanie nadziei w Bogu, w Jego łasce, jaka może na nas spłynąć. Wszakże pomiędzy myślami a ciałem istnieje bardzo bliski związek, a pożądliwa myśl zawsze tęskni do rozkoszy i zadowolenia zmysłów. By temu zapobiec, należy ograniczyć przyjmowanie pokarmów oraz uprawiać posty. Lubieżne myśli miast działać powściągająco na nasze zmysły, stają się ich niewolnikami i dlatego powinno się stale karmić swój organizm takim pożywieniem, które nie działa podniecająco, a prócz tego od czasu do czasu stosować post.

Ci, którzy lekceważą znaczenie powściągliwości w przyjmowaniu pożywienia lub nie wierzą w skuteczność postów, popełniają ten sam błąd co ci, którzy przywiązują do nich zbyt wielką wagę.

Moje doświadczenia przekonały mnie, że powściągliwość w odżywianiu się może być bardzo pomocna pragnącym opanować swe potrzeby cielesne. Bez tego bowiem nie da się wyplenić pożądliwości z ludzkiej myśli.

XXXI. POST

W tym samym czasie, kiedy zrezygnowałem z mleka oraz jarzyn strączkowych i przeprowadzałem doświadczenia z zachowaniem wyłącznie owocowej diety, sięgnąłem do postu, jako do jednego ze środków okiełznania swych potrzeb. Towarzyszył mi w tym mister Kallenbach. Byłem już przedtem przyzwyczajony do poszczenia od czasu do czasu, ale robiłem to

wyłącznie z pobudek zdrowotnych. O tym, że post jest niezbędny dla opanowania swych żądz, dowiedziałem się od mego przyjaciela.

Pochodząc z rodziny wisznuickiej i mając matkę, która składała wszelkiego rodzaju trudne ślubowania, jeszcze podczas mojego pobytu w Indiach przestrzegałem postu *ekadaśi* (jeden dzień w księżycowym miesiącu), a także innych postów, czyniłem to jednak naśladując matkę i raczej z chęci przypodobania się rodzicom.

Nie rozumiałem wtedy ani nie wierzyłem w skuteczność postu. Widząc jednak, że przyjaciel, o którym wspomniałem, przestrzega postu i że wychodzi mu to na korzyść, zacząłem go naśladować, w nadziei, że mi to pomoże w dotrzymaniu ślubowania brahmaćarji – i ściśle przestrzegałem postu *ekadaśi*. Hindusom – zgodnie z przepisami – wolno żywić się w dniach postu mlekiem i owocami, ale przecież dla mnie był to codzienny post.

Zacząłem więc zachowywać całkowity post, pozwalając sobie jedynie na parę łyków wody. Kiedy po raz pierwszy zastosowałem podobny eksperyment, zbiegły się ze sobą: hinduski miesiąc *śrawan*[119] i muzułmański – *ramadan*[120]. W rodzinie Gandhich obchodzono nie tylko ślubowania złożone Wisznu, lecz również i Śiwie, oraz uczęszczano do świątyń poświęconych zarówno jednemu, jak i drugiemu bogu.

Niektórzy członkowie rodziny w ciągu całego miesiąca *śrawan* przestrzegali *pradosa*, czyli pościli aż do zmierzchu. Postanowiłem postępować jak oni.

Wszystkie te doświadczenia były czynione przeze mnie podczas naszego pobytu na farmie imienia Tołstoja, gdzie ja i mister Kallenbach zamieszkaliśmy wraz z kilkoma rodzinami, uczestnikami Satjagrahy, oraz z młodzieżą i dziećmi. Zorganizowaliśmy tam szkołę dla tych dzieci, z których czworo lub pięcioro było dziećmi muzułmanów. Stale przychodziłem im z pomocą i zachęcałem do przestrzegania wszystkich przepisów zalecanych przez ich religię, a także dbałem o to, by dzieci odprawiały swe codzienne modły – *namaz*. Były tam też dzieci chrześcijan i parsów. Uważałem za swój obowiązek zachęcać je również do przestrzegania przewidzianych przez ich religie przepisów.

W ciągu tego miesiąca starałem się przekonać młodzież muzułmańską, że powinna przestrzegać postu *ramadan*. Sam postanowiłem obchodzić post *pradosa*, namawiając także młodych hindusów, parsów i chrześcijan, by przyłączyli

119 *Śrawan* – piąty miesiąc roku hinduskiego, odpowiednik lipca i sierpnia.

120 *Ramadan* – dziewiąty miesiąc u Arabów, poświęcony postowi.

się do mnie. Wyjaśniłem im, że nigdy nie zaszkodzi przyłączyć się do innych, gdy chodzi o jakieś wyrzeczenie się. Wielu z mieszkających na farmie chętnie przystało na to, a młodzi hindusi i parsowie wcale nie naśladowali we wszystkich szczegółach rytuału muzułmanów – nie było to bowiem potrzebne.

Młodzi muzułmanie powinni byli aż do zachodu słońca czekać z pierwszym posiłkiem, podczas gdy innych to nie obowiązywało, mogli więc dla swych przyjaciół muzułmanów przygotować wszelkie smakołyki i częstować ich nimi. Również hindusi oraz inna młodzież nie potrzebowali dotrzymywać towarzystwa swym muzułmańskim przyjaciołom, gdy ci następnego dnia przed wschodem słońca spożywali swój ostatni posiłek, a wszyscy, z wyjątkiem muzułmanów, mogli pozwolić sobie na nieco wody.

Rezultatem tych doświadczeń było to, że wszyscy nabraliśmy przekonania o wartości przestrzegania postu, a duch, który nas ożywiał, był po prostu wspaniały.

Wszyscy mieszkający na farmie imienia Tołstoja byli wegetarianami i muszę wyznać z dumą, że wynikało to z powszechnej gotowości liczenia się z moimi poglądami. Młodzieży muzułmańskiej niewątpliwie dawał się we znaki brak mięsa w okresie ramadanu, jednak żaden z nich nigdy nie dał poznać tego po sobie. Rozsmakowali się oni w jarskiej diecie, a młodzież hinduska często przyrządzała dla nich smakołyki, na jakie pozwalały skromne warunki życia na farmie.

Celowo szerzej omówiłem w połowie tego rozdziału sprawę postu, gdyż trudno by mi było poruszyć gdzie indziej te miłe skądinąd wspomnienia. Pośrednio dałem w nich własną charakterystykę, z której wynika, że zawsze lubiłem wciągać moich współpracowników do uczestniczenia w tym, co uważałem za dobre. Przestrzeganie postu było dla nich czymś zupełnie nieznanym, jednak dzięki postom *pradosa* i *ramadan* łatwiej mi przyszło ich przekonać, że poszcząc, można osiągnąć zdolność panowania nad swymi zmysłami.

Wszystko to sprawiło, że na farmie w sposób całkiem naturalny zapanowała atmosfera powściągliwości w odżywianiu się. Wszyscy mieszkańcy farmy przyłączyli się do nas, biorąc udział w całkowitych lub częściowych postach, co, w moim przekonaniu, mogło im wyjść jedynie na dobre.

Trudno mi jednak powiedzieć, w jakim stopniu te połowiczne wyrzeczenia płynęły z ich serc i były im pomocne na drodze do przezwyciężenia zmysłów. Jeżeli o mnie chodzi, jestem przekonany, że przyniosły mi one wielką korzyść zarówno fizyczną, jak i duchową. Zdaję sobie jednak sprawę, że przestrzeganie postów i podobnych rygorów niekoniecznie musi jednakowo oddziaływać na wszystkich.

Post może dopomóc w przezwyciężeniu namiętności tylko wtedy, gdy się do niego przystępuje z myślą o nałożeniu hamulców na swe popędy.

Niektórzy z moich przyjaciół twierdzą, że posty jedynie wzmogły w nich pożądliwość i potrzebę zaspokajania kaprysów ich podniebienia. Świadczy to o tym, że post jest bezskuteczny, jeżeli nie towarzyszy mu nieustające dążenie do utrzymywania się w karbach.

Warto w związku z tym, co zostało tu powiedziane, przytoczyć słynny wiersz z drugiego rozdziału *Bhagawadgity*:

Gdy człowiek pości, precz odchodzą
Jego zmysły. – Znikają pobudki jego pożądań
I sama jeno po nich zostaje tęsknota.
Lecz gdy danym mu jest ujrzeć Wszechmocnego,
Nawet owa tęsknota przepada.

Przestrzeganie postu oraz podobne rygory są więc zaledwie jednym ze środków opanowania swych żądz, lecz to jeszcze nie wszystko. Jeżeli bowiem postowi w znaczeniu fizycznym nie towarzyszy powściągliwość w myślach, wszystko kończy się obłudą i klęską.

XXXII. DYREKTOR SZKOŁY

Mam nadzieję, że czytelnik zechce zachować w pamięci, iż w tych rozdziałach opisuję różne sprawy, o których albo zupełnie nie wspomniałem na kartach dziejów Satjagrahy w Afryce Południowej, lub też uczyniłem to zaledwie pobieżnie. Jeżeli więc tak postąpi, z tym większą łatwością przyjdzie mu odnalezienie wspólnego wątku pomiędzy wspomnianymi rozdziałami.

W miarę rozwoju naszej farmy zaszła potrzeba poczynienia jakichś kroków dla zapewnienia nauki naszym chłopcom i dziewczętom, wśród których znajdowali się chłopcy hinduscy, muzułmańscy, dzieci mające rodziców parsów lub chrześcijan oraz parę dziewcząt – hindusek. Trudno było – a zresztą nie uważałem tego za konieczne – zaangażować dla nich specjalnego nauczyciela. Było to trudne dlatego, że niewielu można było znaleźć wykwalifikowanych nauczycieli Indusów, a gdyby się nawet taki znalazł, jest wątpliwe, czy zechciałby się udać

do miejscowości położonej o dwadzieścia jeden mil od Johannesburga i czy zgodziłby się na tak skromne wynagrodzenie.

Trzeba dodać, że nie opływaliśmy wtedy w dostatki. Nie sądziłem również, że należy sprowadzać nauczyciela spoza naszej farmy. Nie miałem też wielkiego zaufania do istniejących już metod nauczania i zastanawiałem się nad tym, jak na podstawie własnego doświadczenia i prób podejmowanych przez siebie znaleźć właściwą metodę.

Wiedziałem tylko tyle, że przy sprzyjających warunkach jedynie rodzice mogą zapewnić dzieciom właściwe wychowanie, że powinno się w minimalnym stopniu korzystać z pomocy z zewnątrz oraz że farma imienia Tołstoja stanowiła rodzinę, w której ja zajmowałem miejsce ojca. Dlatego też ja, w miarę możności, powinienem był ponosić odpowiedzialność za wychowanie naszej młodzieży.

Ten pomysł nie był jednak wolny od pewnych usterek. Nie wszystkie bowiem dzieci były wychowywane przy mnie od swego najwcześniejszego dzieciństwa, niektóre z nich wychowywały się w zgoła odmiennych warunkach i środowiskach i nie wszystkie wyznawały tę samą religię. Jakże więc mógłbym w tych okolicznościach postępować sprawiedliwie, podejmując się roli „ojca rodziny"?

Przywykłem przede wszystkim kierować się głosem serca lub chęcią kształtowania charakteru. Wobec tego zaś, że w moim najgłębszym przekonaniu do wszystkich dzieci należało zastosować jednakową metodę wewnętrznego szkolenia, niezależnie od ich wieku i środowiska, z którego pochodziły, postanowiłem spędzać wśród nich, niczym rodzony ojciec, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłem zdania, że kształtowanie charakteru jest najwłaściwszym podłożem dla ich wychowania, i nie wątpiłem, że jeżeli te podstawy zostaną w nich solidnie ugruntowane, dzieci same lub przy pomocy życzliwych im przyjaciół nauczą się innych rzeczy.

Uznając ponadto jak najbardziej potrzebę wpojenia dzieciom szeregu ogólnych wiadomości, zacząłem przy pomocy mister Kallenbacha i Pragdźiego Desai wykładać w niektórych klasach naszej szkoły. Nie lekceważyłem przy tym rozwoju fizycznego naszych uczniów, którzy w ciągu dnia odbywali codzienne ćwiczenia gimnastyczne. Na farmie nie mieliśmy żadnej służby i całą pracę, począwszy od gotowania posiłków aż do czyszczenia ustępów, wykonywaliśmy sami. Było również sporo drzew owocowych, które trzeba było pielęgnować, a praca w ogrodzie wymagała dość dużo zachodu, skoro się chciało utrzymać go w należytym porządku.

Mister Kallenbach był szczególnie zamiłowany w ogrodnictwie i miał nawet w tej dziedzinie dość duże doświadczenie, które zdobył, pracując we wzorowym ogrodzie należącym do rządu.

Każdy, młody czy stary, był obowiązany (jeżeli nie był zatrudniony w kuchni) poświęcić pewien czas na pracę w ogrodzie. Lwia część pracy przypadała jednak na dzieci: to one kopały w ogrodzie, karczowały drzewa i przenosiły kłody. Hartowało to je ogromnie, a że dzieci z przyjemnością wykonywały te prace, więc inne ćwiczenia fizyczne lub gry nie były potrzebne. Oczywiście zdarzało się, że niektóre z nich, a czasami nawet wszystkie, udawały chorobę lub usiłowały wykręcić się od roboty. Niekiedy patrzyłem przez palce na ich wybryki, ale często bywałem dla nich surowy.

Muszę przyznać, że dzieci nie bardzo lubiły, kiedy je surowo traktowałem, nie przypominam sobie jednak, by mi kiedykolwiek stawiały opór.

Ilekroć zdarzało się, że byłem dla nich surowy, starałem się je przekonać słowami, że nie należy lekceważyć pracy. Moje perswazje nie działały jednak zbyt długo: po chwili dzieci znów porzucały pracę i zaczynały się bawić.

Dawaliśmy sobie z nimi jakoś radę i pod względem fizycznym dzieci rozwijały się świetnie. Rzadko kiedy przytrafiało się, by ktoś na farmie zachorował; trzeba przyznać, że było to w dużym stopniu zasługą dobrego powietrza, dobrej wody i przestrzegania regularnego przyjmowania posiłków.

Parę słów o nauce rzemiosła. Zamiarem moim było nauczyć każdego spośród tej młodzieży jakiegoś rzemiosła, które mogłoby mu się przydać w przyszłości. W tym celu mister Kallenbach udał się do klasztoru trapistów i wrócił stamtąd, nauczywszy się szyć buty. Ja z kolei nauczyłem się od niego i byłem w stanie uczyć innych. Ponadto mister Kallenbach znał się trochę na stolarce, również jeden z mieszkańców naszej farmy rozumiał się na niej coś niecoś – mogliśmy więc zorganizować początkowy kurs stolarstwa. Niemal wszyscy młodzi potrafili gotować.

Wszystko to było dla nich zupełną nowością. Żadnemu z nich nie śniło się nigdy, że pewnego dnia będzie musiał się nauczyć czegoś podobnego. Jedyną bowiem nauką, jaką dzieci pobierały w Afryce Południowej, były tak zwane Trzy R (*reading* – czytanie, *writing* – pisanie, *arithmetic* – rachunki, przy czym liter „w" i „a" nie wymawia się, stąd „Trzy R").

Przyjęliśmy jako regułę na farmie imienia Tołstoja, że nie powinno się wymagać od młodzieży tego, czego nie wykonują ich nauczyciele, i dlatego ilekroć zwracano się do nich, by coś zrobili, nauczyciel brał wraz z nimi udział w tej pracy. Rezultat był taki, że młodzież uczyła się ochoczo, bez przymusu.

O tym, jak wpajaliśmy młodzieży zamiłowanie do wiedzy i kształtowaliśmy jej charakter, będzie mowa w następnym rozdziale.

XXXIII. WPAJANIE OGÓLNYCH WIADOMOŚCI

W poprzednim rozdziale opowiedziałem, jak staraliśmy się zapewnić młodzieży na farmie imienia Tołstoja rozwój fizyczny i naukę jakiegoś rzemiosła. Wprawdzie nie zaspokoiło to moich wymagań w zupełności, jednak można uznać, że skutek był mniej lub bardziej korzystny.

Natomiast wpajanie uczniom zamiłowania do wiedzy ogólnej przychodziło z większą trudnością. Nie miałem ani dostatecznego przygotowania, ani niezbędnych do tego podręczników. Poza tym nie rozporządzałem taką ilością czasu, jaki pragnąłbym poświęcić tej sprawie. Wykonywana przeze mnie praca fizyczna doprowadziła do tego, że pod koniec dnia byłem zupełnie wyczerpany, a lekcje w szkole wypadały właśnie wtedy, kiedy ja najbardziej potrzebowałem wypoczynku. Zamiast więc przychodzić do szkoły ze świeżą głową, z trudem powstrzymywałem się, by nie zasnąć. Ranki wypełniała praca na farmie i zajęcia domowe, a na lekcje w szkole pozostawały jedynie godziny popołudniowe. Bardziej odpowiednich godzin dla zajęć szkolnych nie dało się znaleźć.

Szkolenie ogólne podzieliłem na trzy stopnie. Wszyscy uczyli się języka hindi, tamiliskiego, gudźarati i urdu, a nauka odbywała się w ojczystym języku chłopców. Uczyli się również języka angielskiego. Trzeba było także nauczyć dzieci hinduskie z Gudźaratu początków sanskrytu oraz uczyć początków z zakresu historii powszechnej, geografii i arytmetyki.

Podjąłem się udzielania lekcji języków tamilskiego i urdu. Podczas moich podróży oraz odbywania kary więziennej nauczyłem się nieco języka Tamilów, jednak moje wiadomości nie sięgały dalej niż te, które były zawarte w doskonałym podręczniku Pope'a. Cała moja znajomość alfabetu urdu ograniczała się do tego, czego zdołałem się nauczyć w ciągu jednej podróży, a opanowanie języka – do kilku perskich i arabskich słów, których się nauczyłem, obcując z muzułmańskimi przyjaciółmi.

Z sanskrytu umiałem tylko tyle, ile zdążyłem nauczyć się w liceum, a językiem gudźarati władałem nie lepiej niż wtedy, gdy się go uczyłem w szkole.

Rozporządzając takimi oto zasobami wiedzy, zabrałem się do roboty. Moi koledzy rozporządzali równie ubogim przygotowaniem do prowadzenia

wykładów z zakresu ogólnej wiedzy, jednak przywiązanie do języków używanych w mojej ojczyźnie, zaufanie, jakie miałem do siebie jako do nauczyciela, a także ignorancja moich uczniów i ich pobłażliwość – wszystko to dodawało mi pewności siebie.

Chłopcy pochodzenia tamilskiego urodzili się już w Afryce Południowej i dlatego bardzo słabo znali język swoich ojców, a pisać wcale nie umieli. Musiałem więc uczyć ich pisania i podstaw gramatyki. Było to dość łatwe. Moi uczniowie wiedzieli, że są lepsi ode mnie w posługiwaniu się językiem tamilskim w konwersacji, bo kiedy przychodzili do mnie nieznający angielskiego Tamilowie, by się ze mną porozumieć, ci chłopcy byli moimi tłumaczami.

Dawałem sobie jednak jakoś radę, nigdy bowiem nie próbowałem ukryć przed uczniami, że czegoś nie umiem. Z całą szczerością ukazywałem się im takim, jakim byłem w rzeczywistości, i dlatego, pomimo moich rażących braków w opanowaniu tego języka, moi uczniowie nigdy nie przestawali mnie kochać i szanować.

Znacznie łatwiejszym zadaniem było uczyć dzieci muzułmańskie języka urdu. Dzieci znały alfabet, a do mnie należało jedynie obudzenie w nich zainteresowania przez czytanie i pisanie. Te właśnie dzieci należały do najbardziej zacofanych w nauce. W ciągu mojej pracy z nimi przekonałem się jednak, że wymagały one najmniej wysiłku z mojej strony, jeżeli nie liczyć tego, że trzeba było odzwyczajać je od lenistwa i pilnować, by odrabiały lekcje. Byłem z nich ogólnie zadowolony i w rezultacie mogłem umieścić chłopców różnego wieku i uczących się różnych przedmiotów w jednej klasie.

Brak podręczników, o których tyle się mówi, nigdy nie dawał mi się we znaki. Nie przypominam sobie, bym zbyt wiele korzystał z tych, które mi były dostępne. Nie uważałem za potrzebne zmuszać chłopców, by chodzili obładowani podręcznikami. Byłem zawsze zdania, że najlepszym podręcznikiem dla ucznia jest jego nauczyciel. Nie przypominam sobie również, by moi nauczyciele uczyli mnie z podręczników, natomiast dotychczas żywo zachowałem w pamięci to, czego mnie nauczyli, nie posługując się żadnymi książkami.

Dzieci potrafią znacznie więcej i łatwiej nauczyć się, słuchając, aniżeli patrząc. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przeczytał moim chłopcom jakąś książkę od początku do końca. Natomiast opowiadałem im językiem, jakim się sam posługiwałem, wszystko, co mi pozostawało w pamięci po przeczytaniu niejednej książki, i jestem przekonany, że ci właśnie chłopcy po dzień dzisiejszy zachowali w swej pamięci te opowiadania. Zapamiętanie tego, czego

się uczyli z książek, przychodziło im z większą trudnością, to zaś, co im opowiedziałem zwykłą, potoczną mową, mogli bez żadnego trudu później powtórzyć.

Czytanie – to był wysiłek, natomiast słuchanie mnie sprawiało im przyjemność, o ile nie zanudzałem ich i opowiadałem ciekawe rzeczy. Z pytań, jakie pod wpływem takich opowiadań zadawali mi moi uczniowie, mogłem wnioskować o stopniu ich uzdolnienia.

XXXIV. SZKOLENIE DUCHOWE

Duchowe szkolenie, jakiemu poddawałem chłopców, było zadaniem znacznie poważniejszym od fizycznego lub umysłowego, które musieli przedtem przejść. Do tego rodzaju ćwiczeń niewiele materiału mogłem zaczerpnąć z książek o treści religijnej. Byłem zdania, że każdy z moich uczniów powinien znać zasady wyznawanej przez siebie religii i mieć ogólną wiedzę o swych „świętych księgach", i dlatego w miarę sił dostarczałem im tych wiadomości. Stanowiło to jednak zaledwie cząstkę intelektualnego szkolenia. Na długo zanim podjąłem się wychowywania młodzieży na farmie imienia Tołstoja, wiedziałem już, że tak zwane szkolenie duchowe jest czymś odrębnym i niezależnym od niczego. Rozwój duchowy jest równoznaczny z kształtowaniem charakteru, umożliwieniem poznania Boga i zgłębienia siebie samego. Uważałem, że to właśnie stanowi nieodłączną część wychowania młodego pokolenia i że wszelkie szkolenie bez kultury duchowej jest całkowicie bezużyteczne, a nawet może być szkodliwe.

Znany mi jest przesąd, który powiada, jakoby człowiek mógł poznać swą istotę dopiero po osiągnięciu czwartego etapu swego życia, czyli w okresie tak zwanego *sanyasa* (wyrzeczenie). Jest jednak rzeczą powszechnie znaną, że ci, którzy odkładają przygotowania do tego bezcennego przeżycia aż do ostatnich okresów swego życia, osiągają nie owo poznanie własnej istoty, lecz po prostu podeszły wiek, cofający ich do żałosnego stanu zdziecinnienia, a ich życie na ziemi zamienia się wtedy w jedno uciążliwe pasmo udręki.

Doskonale sobie przypominam, że w latach 1911–1912, kiedy pełniłem funkcję nauczyciela, dawałem wyraz – co prawda w nieco odmiennych słowach – takiemu poglądowi.

W jaki więc sposób należało się zabrać do tego szkolenia duchowego? Kazałem dzieciom uczyć się na pamięć i recytować hymny, a także czytałem im książki o moralności. Ale to bynajmniej nie dawało mi zadowolenia.

Kiedy nawiązałem bliższy kontakt z młodzieżą, przekonałem się, że szkolenia duchowego nie da się prowadzić jedynie za pośrednictwem książek. Podobnie bowiem, jak doskonałość fizyczną osiąga się przez ćwiczenia fizyczne, a intelektualną przez ćwiczenia umysłowe, tak „trening" duchowy jest możliwy jedynie dzięki ćwiczeniom duchowym. Te zaś całkowicie są uzależnione od życia i charakteru nauczyciela. Nauczyciel musi zawsze uważać na to, co mówi i czyni, niezależnie od tego, czy znajduje się wśród swych uczniów, czy też nie.

Nauczyciel, choćby był oddalony o wiele mil od swych uczniów, jest w stanie poprzez własny sposób życia oddziaływać na ich dusze. Daremne byłyby wszystkie moje wysiłki wpajania chłopcom potrzeby mówienia prawdy, gdybym sam był kłamcą. Podszyty tchórzem nauczyciel nigdy nie nauczy swych uczniów odwagi, a człowiek, któremu obca jest wszelka wstrzemięźliwość, nie zdoła przekonać swych wychowanków o wartościach, jakie się kryją w ograniczaniu swych potrzeb.

Zdałem więc sobie sprawę z tego, że dla żyjących obok mnie chłopców i dziewcząt muszę sam być wiecznym przykładem i nieustającą lekcją. W ten sposób oni stali się moimi nauczycielami, a ja nauczyłem się od nich, że bodajby jedynie dla ich dobra sam muszę być dobry i żyć w sposób prawy.

Muszę wyznać, że coraz to większe rygory i wyrzeczenia, jakie mieszkając na farmie imienia Tołstoja, nakładałem na siebie, w dużym stopniu zawdzięczam tym moim „opiekunom".

Jeden z nich był niepohamowanym, krnąbrnym chłopcem i miał skłonność do kłamstwa i kłótni. Pewnego razu uniósł się niezwykle gwałtownie. Byłem zrozpaczony, nigdy nie karałem chłopców, tym razem jednak bardzo się rozgniewałem. Usiłowałem przemówić mu do rozumu. Był jednak nieprzejednany, a nawet usiłował mi się przeciwstawić siłą. Chwyciłem liniał, który miałem pod ręką, i uderzyłem go w ramię. Kiedy mu zadałem to uderzenie, drżałem na całym ciele. Sądzę, że chłopiec to spostrzegł. To, co zaszło, było czymś zgoła nieoczekiwanym dla wszystkich. Temu chłopcu mogło przyjść do głowy odpłacić mi tym samym – był to przecież rozzuchwalony siedemnastolatek – ale zamiast tego zaczął szlochać i prosić o przebaczenie. Nie płakał z bólu. Płakał dlatego, że zdał sobie sprawę, ile mi sprawił cierpienia, doprowadzając mnie do tego, że musiałem użyć tak gwałtownego środka. Po tym wydarzeniu nigdy już nie okazał mi nawet najmniejszego nieposłuszeństwa. Ja natomiast nie mogę dotychczas odżałować mojej gwałtowności. Obawiam się, że to ja zademonstrowałem mu owego dnia nie siłę własnego ducha, lecz drzemiące we mnie brutalne instynkty.

Zawsze byłem przeciwnikiem kary cielesnej. Przypominam sobie, jak kiedyś zbiłem jednego z moich synów. Jeszcze teraz nie jestem w stanie orzec, czy wtedy miałem rację, chwytając za liniał, czy też nie. Najprawdopodobniej nie miałem jej, gdyż powodowałem się gniewem i chęcią wymierzenia mu kary. Gdyby to było jedynie wyrazem mojej rozpaczy, może uważałbym się za usprawiedliwionego, ale w tym przypadku pobudki mego postępku były mieszane.

Wypadek, który opisałem, kazał mi się głęboko zastanowić i nauczył mnie lepszych metod wychowywania moich uczniów. Nie jestem jednak pewien, czy wynaleziona przeze mnie metoda okazałaby się skuteczna w tamtym wypadku. Ów chłopak prędko zapomniał o całym tym wydarzeniu i nie sądzę, by w jego sprawowaniu w przyszłości zaszła znaczna poprawa. O ile zaś chodzi o mnie, ten incydent zmusił mnie do głębszego zastanowienia się nad postępowaniem nauczyciela wobec uczniów.

Nieposłuszeństwo chłopców przytrafiało się także po tym wydarzeniu, jednak nigdy więcej nie zastosowałem wobec opornych kary cielesnej. W moich zabiegach o wpajanie chłopcom i dziewczętom potrzeby duchowego „treningu" coraz lepiej zacząłem sobie zdawać sprawę z mocy, jaką ma dusza ludzka.

XXXV. CHWASTY

Mieszkaliśmy na farmie imienia Tołstoja, kiedy pewnego razu mister Kallenbach zwrócił mi uwagę na zagadnienie, nad którym się nigdy przedtem nie zastanawiałem. Jak już wspomniałem, niektórzy chłopcy na farmie byli źli i krnąbrni. Było wśród nich również kilku zdecydowanych próżniaków. Moi trzej synowie stykali się z nimi codziennie, tak samo zresztą, jak inni chłopcy do nich podobni. Zaniepokojony tym mister Kallenbach zwrócił uwagę na niewłaściwość obcowania moich synów z tymi krnąbrnymi chłopcami.

Pewnego razu powiedział do mnie:

– Nie pochwalam twojej metody wychowywania własnych synów razem ze złymi chłopcami. Skutek może być tylko ten, że złe otoczenie zdemoralizuje twoich synów.

Nie przypominam sobie, czy tak postawiona sprawa w pierwszej chwili zaskoczyła mnie, czy też nie, pamiętam jedynie to, co mu odpowiedziałem:

– Czy mogę robić jakąś różnicę pomiędzy moimi chłopcami a leniuchami? Przecież jestem w tym samym stopniu odpowiedzialny za jednych, jak i za

drugich. Ci chłopcy przybyli tu na moje zaproszenie. Jeżeli każę im stąd odejść i dam nieco pieniędzy, natychmiast wrócą do Johannesburga i zaczną znów prowadzić dawny tryb życia. Prawdę mówiąc, zarówno oni, jak i ich opiekunowie mają prawo sądzić, że samo przybycie tych chłopców do nas nakłada na mnie pewne obowiązki. Zarówno ty, mój przyjacielu, jak i ja dobrze wiemy, ile niewygód muszą ci chłopcy tutaj znosić. Obowiązek, jaki spoczywa na mnie, jest oczywisty i dlatego moi synowie powinni żyć razem z nimi. Nie chciałbyś przecież, abym począwszy od dziś, zaczął dawać do zrozumienia moim synom, że są kimś lepszym od tamtych. Wpojenie im jakiejś wyższości byłoby błędem nie do darowania, natomiast współżycie z tamtymi może być dla nich dobrą szkołą. Kierowani własnym rozsądkiem, nauczą się odróżniać dobro od zła. Dlaczego mielibyśmy przestać wierzyć, że jeżeli w tych chłopcach tkwią jakieś dobre cechy, to współżycie z moimi synami może je wydobyć na zewnątrz? Jakkolwiek wygląda ta sprawa, muszę ich tu zatrzymać i jeżeli nawet jest to połączone z pewnym ryzykiem, musimy na nie przystać.

Mister Kallenbach potrząsnął głową.

Nie mogę powiedzieć, by wyniki były złe. Nie sądzę również, by ten eksperyment ujemnie podziałał na moich synów. Przeciwnie: wydaje mi się, że zyskali na nim coś niecoś. Jeżeli bowiem istniały w nich jakieś ślady poczucia wyższości, znikły one całkowicie i moi chłopcy nauczyli się obcować z różnymi dziećmi. Przeszli pod tym względem odpowiednią próbę i byli zdyscyplinowani. Tak zwane wychuchane dzieci nie zawsze potrafią się oprzeć różnym pokusom. Nie ulega jednak wątpliwości, że wychowując i razem ucząc chłopców i dziewczęta pochodzących z różnych środowisk, zarówno rodzice, jak i wychowawcy sami wystawiają się na bardzo poważną próbę i dlatego powinni zachowywać największą czujność.

XXXVI. POST JAKO POKUTA

Z każdym dniem coraz bardziej przekonywałem się, jak trudno jest wychowywać i właściwie pokierować kształceniem chłopców i dziewcząt. Chcąc być ich prawdziwym nauczycielem i opiekunem, musiałem trafić do ich serc, dzielić z nimi radości i smutki, pomagać w rozwiązywaniu ich problemów i wreszcie dotrzymywać kroku na drodze wiodącej do zrealizowania ich aspiracji.

Po uwolnieniu z więzienia niektórych uczestników kampanii Satjagraha farma imienia Tołstoja niemal opustoszała. Nieliczni pozostali mieszkańcy pochodzili przeważnie z Phoenix, dokąd też wkrótce się przenieśli. Tu wypadło mi przejść przez ogniową próbę.

W owym czasie musiałem często bywać w Johannesburgu i w Phoenix. Pewnego razu, kiedy byłem w Johannesburgu, doszła mnie wiadomość o kompletnym moralnym stoczeniu się dwóch mieszkańców aśramu. Wiadomość o ewentualnym niepowodzeniu lub o zawodzie związanym z naszą kampanią Satjagraha nie zrobiłaby zapewne na mnie takiego wrażenia jak ta, która po prostu spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

Tego samego dnia wyjechałem pociągiem do Phoenix. Mister Kallenbach uparł się, by mi towarzyszyć. Wiedział, w jakim stanie się znajdowałem. Nie chciał w żaden sposób pozwolić, bym sam udał się w tę podróż, tym bardziej że to on przyniósł wiadomość, która mną tak wstrząsnęła.

Podczas podróży dokładnie uprzytomniłem sobie, na czym polega mój obowiązek. W moim przekonaniu opiekun lub nauczyciel ponosi do pewnego stopnia odpowiedzialność za uchybienie, jakiego się dopuści powierzony jego opiece uczeń. Coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności, którą w tym wypadku ponoszę. Moja żona przestrzegała mnie już dawniej o możliwości podobnych wypadków, ale ja, ufając wszystkim, nie przywiązywałem wagi do jej przestróg.

Wreszcie doszedłem do wniosku, że nie ma innego sposobu na to, by pokazać winowajcom, ile sprawili mi przykrości i jak nisko sami upadli, jak biorąc na siebie pokutę za ich winy. Nałożyłem więc na siebie siedmiodniowy post i ślubowałem, że w ciągu czterech i pół miesiąca będę przyjmował tylko jeden posiłek dziennie.

Mister Kallenbach usiłował odwieść mnie od tego postanowienia, jednak bez skutku. W końcu zgodził się, że pokuta jest w tym wypadku wskazana, i oświadczył, że chce ją dzielić ze mną. Nie mogłem sprzeciwić się wobec tak oczywistej miłości, jaką mnie obdarzał.

Doznałem uczucia wielkiej ulgi, a powzięte przeze mnie postanowienie zdjęło ogromny ciężar z mego sumienia. Gniew na winowajców przeminął, a jego miejsce zajęła szczera litość, jaką poczułem dla nich. Było mi już znacznie lżej na duszy, a kiedy przybyłem do Phoenix, dowiedziałem się, po przeprowadzeniu dalszego śledztwa, o pewnych szczegółach, o których powinienem był wiedzieć.

Wiadomość o pokucie, którą nałożyłem na siebie, zmartwiła wszystkich, ale oczyściła atmosferę. Każdy uprzytomnił sobie, jak straszliwą rzeczą jest popełnienie grzechu, a więzy łączące mnie z chłopcami i dziewczętami zacieśniły się jeszcze bardziej i nabrały charakteru jeszcze większej szczerości.

Okoliczności, które powstały w związku z tym wydarzeniem, zmusiły mnie po pewnym czasie do nałożenia na siebie czternastodniowego postu, którego rezultaty przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

Nie zamierzam bynajmniej wyciągać z tego wydarzenia wniosku, że ilekroć któryś z uczniów zawini, obowiązkiem jego nauczyciela jest uciekać się do postu, uważam jednak, że niekiedy można sięgnąć do tak drastycznego środka. Wymaga to jednak pełnej świadomości tego, co się czyni, i gotowości duchowej. Gdy pomiędzy nauczycielem a uczniem nie ma prawdziwej miłości, jeśli przewinienie popełnione przez ucznia nie porusza do głębi nauczyciela lub gdy uczeń nie żywi szacunku dla swego nauczyciela, wtedy post nie pomaga, a nawet może być szkodliwy. Pomimo iż w niektórych wypadkach mogą się nasunąć pewne wątpliwości co do skuteczności postu, jest jednak pewne, że za błędy popełniane przez uczniów odpowiedzialność ponosi ich nauczyciel.

Pokuta, którą po raz pierwszy nałożyliśmy na siebie, nie była zbytnio uciążliwa dla żadnego z nas. Ja na przykład nie przerwałem w tym okresie wykonywania normalnych zajęć. Warto zaznaczyć, że podczas odbywania tej pokuty żywiłem się wyłącznie owocami. Zniesienie mojego drugiego postu przyszło mi z większą trudnością. Nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie sprawy z niezwykłej skuteczności *Ramanamy*, a moja zdolność do znoszenia tego rodzaju rygorów była w owym czasie niezbyt duża. Poza tym nie opanowałem jeszcze należytej techniki, jakiej wymaga racjonalne przestrzeganie postu, zwłaszcza nie rozumiałem potrzeby picia dużych ilości wody, bez względu na to, że pobudzała do mdłości i nie smakowała mi. To, że pierwszy post zniosłem bez trudu, sprawiło, że potraktowałem następny dość beztrosko. Podczas pierwszego, zgodnie z zaleceniami Kuhnego, kąpałem się codziennie, natomiast w okresie drugiego po dwóch czy też trzech dniach zrezygnowałem z kąpieli, do tego piłem bardzo mało wody, gdyż nie smakowała mi i wywoływała mdłości. Krtań miałem spieczoną i zbolałą, a w ostatnich dniach postu mówiłem już bardzo cichym głosem.

Nie bacząc na to wszystko, nie przerywałem swej pracy i dyktowałem, kiedy zachodziła potrzeba zapisania czegoś. Systematycznie słuchałem odczytywanych mi urywków z *Ramajany* oraz z innych świętych ksiąg. Miałem też dość siły, by prowadzić rozmowy i udzielać porad we wszystkich nagłych sprawach.

XXXVII. NA SPOTKANIE Z GOKHALEM

Muszę przeskoczyć przez niektóre wspomnienia związane z moim pobytem w Afryce Południowej.

Kiedy w 1914 roku kampania Satjagraha dobiegała końca, otrzymałem od Gokhalego polecenie powrotu do domu przez Londyn. W lipcu Kasturbai, Kallenbach i ja odpłynęliśmy do Anglii.

W czasie kampanii Satjagraha zacząłem podróżować trzecią klasą i dla odbycia tej podróży również kupiłem bilety trzeciej klasy. Jednak pomiędzy trzecią klasą na statku, którym płynęliśmy, a trzecią klasą na parowcach indyjskich odbywających przybrzeżne rejsy lub trzecią klasą w naszych pociągach zachodziła ogromna różnica. U nas nigdy nie było dość miejsc siedzących, jeszcze mniej miejsc do spania, czystość na statkach i w pociągach pozostawiała wiele do życzenia, natomiast w podróży do Londynu mieliśmy dość miejsca i wszędzie panowała wzorowa czystość, a towarzystwo okrętowe postarało się dla nas o wiele specjalnych wygód.

Mieliśmy więc osobne pomieszczenie, a wobec tego, że wszyscy byliśmy wegetarianami, obsługa okrętowa otrzymała polecenie nieograniczonego zaopatrywania nas w owoce i orzechy, mimo iż pasażerowie trzeciej klasy zazwyczaj otrzymują mało owoców i orzechów. Dzięki tym ułatwieniom nasza podróż, trwająca osiemnaście dni, była bardzo wygodna.

Warto wspomnieć o niektórych wydarzeniach, jakie się nam przytrafiły. Mister Kallenbach był wielkim amatorem lornetek i miał przy sobie dwie, dość kosztowne. Codziennie prowadziliśmy rozmowy na ten temat, podczas których ja usiłowałem go przekonać, że posiadanie tak kosztownych przedmiotów nie licuje z ideałami prostoty, do której obydwaj dążymy. Pewnego dnia rozmowa toczyła się na progu naszej kabiny.

– Jeżeli ta lornetka ma być kością niezgody pomiędzy nami, to czy nie lepiej rzucić ją do morza i obchodzić się bez niej? – powiedziałem do mister Kallenbacha.

– Oczywiście! Najlepiej cisnąć precz tę nieszczęsną lornetkę! – odparł Kallenbach.

– Ja też tak sądzę – odpowiedziałem.

– Właśnie mam zamiar to zrobić! – padła szybka odpowiedź.

W tej samej chwili cisnąłem lornetki do morza. Ich wartość mogła wynosić około siedmiu funtów, ale w tym przypadku chodziło nie tyle o ich cenę, ile o to,

że mister Kallenbach był po prostu zakochany w swoich lornetkach. Pozbywszy się ich, nigdy jednak nie okazał żalu.

Jest to zaledwie jeden z wielu incydentów, jakie miały miejsce pomiędzy mną a Kallenbachem.

Każdy dzień przynosił nam coś nowego z podobnych przeżyć, gdyż i on, i ja usiłowaliśmy kroczyć ścieżką wiodącą do poznania Prawdy.

Rzecz prosta, że na tej drodze ku Prawdzie zarówno gniew, jak i egoizm czy uczucie nienawiści i tym podobne musiały skapitulować, w przeciwnym razie poznanie Prawdy byłoby wręcz niemożliwe. Człowiek, którego pożerają namiętności, może mieć jak najlepsze intencje, może być prawdomówny, a przecież nigdy nie potrafi odnaleźć Prawdy. Skuteczne poszukiwanie Prawdy jest równoznaczne z całkowitym wyzwoleniem się z podwójnej zależności – zarówno z miłości, jak i nienawiści, ze szczęścia i z uczucia niedoli.

Niewiele czasu upłynęło od chwili ukończenia mego postu, kiedy udaliśmy się w podróż. Nie odzyskałem jeszcze całkowicie sił. Zazwyczaj odbywałem krótkie spacery na pokładzie zarówno dla ruchu, jak i dla pobudzenia apetytu i lepszego trawienia. Ale nawet to przerastało moje siły, sprawiając mi taki ból w łydkach, że kiedy przybyliśmy do Londynu, czułem się znacznie gorzej, niż kiedy rozpoczynałem podróż.

Wtedy poznałem doktora Dźiwradźę Mehtę. Opowiedziałem mu o postach, jakie przebyłem, oraz o bólach, które później wystąpiły, na co doktor Mehta oświadczył mi:

– Jeżeli pan nie położy się natychmiast na parę dni do łóżka, obawiam się, że może pan zupełnie stracić władzę w nogach.

Dowiedziałem się wtedy, że człowiek, który przez dłuższy okres pościł, nie powinien się śpieszyć z odzyskaniem utraconych sił i zapanować nad swoim apetytem. Przerwanie postu wymaga więcej ostrożności i nawet więcej panowania nad sobą aniżeli samo powstrzymanie się od przyjmowania posiłków.

Mijając Maderę, dowiedzieliśmy się, że lada chwila może wybuchnąć wojna światowa. Kiedy wpłynęliśmy na wody kanału La Manche, otrzymaliśmy wiadomość, że wojna już się rozpoczęła. Nasz statek został na pewien czas zatrzymany. Holowanie statku nie było łatwe z powodu ogromnej liczby podwodnych min; minęły dwa dni, zanim zawinęliśmy do Southampton.

Wojna została wypowiedziana czwartego sierpnia. Przybyliśmy do Londynu szóstego.

XXXVIII. MÓJ UDZIAŁ W WOJNIE

Po przybyciu do Anglii dowiedziałem się, że Gokhale bawi w Paryżu, dokąd udał się w celach zdrowotnych, wobec tego jednak, że wszelka komunikacja pomiędzy Paryżem a Londynem została przerwana, trudno było się dowiedzieć, kiedy może nastąpić jego powrót.

Nie chciałem wracać do domu, nie spotkawszy się z nim, nikt jednak nie był w stanie dokładnie określić daty jego powrotu. Cóż miałem więc począć, czekając na niego? Jakie obowiązki spadały na mnie w związku z wybuchem wojny?

Sorabdźi Adadźania, mój towarzysz z celi więziennej i współuczestnik Satjagrahy, studiował w owym czasie prawo w Londynie. Jako jeden z najwybitniejszych działaczy w ruchu Satjagraha został wysłany do Anglii, aby zdobyć dyplom adwokacki, by powróciwszy do Afryki Południowej, mógł zająć moje miejsce.

Doktor Prandźiwandas Mehta pokrywał koszty jego studiów. Wraz z nim, czy też za jego pośrednictwem, odbyłem konferencję z doktorem Dźiwradźą Mehtą oraz z innymi Indusami przebywającymi na studiach w Anglii. W porozumieniu z nimi zwołaliśmy zgromadzenie wszystkich Indusów przebywających w Wielkiej Brytanii oraz w Irlandii. Przedstawiłem zebranym mój pogląd na sprawę udziału Indusów w toczącej się wojnie.

W moim przekonaniu obowiązkiem Indusów przebywających w Anglii było wziąć czynny udział w wojnie. Studenci angielscy zgłaszali się na ochotników do wojska, a według mnie Indusi powinni byli postąpić podobnie. Wysunięto jednak szereg zastrzeżeń przeciwko temu stanowisku, twierdząc, że pomiędzy Indusami a Anglikami istnieje olbrzymia różnica: myśmy byli niewolnikami, a oni – władcami. Jakże więc mógł niewolnik współdziałać ze swym panem w ciężkiej potrzebie? Czy nie jest raczej obowiązkiem niewolnika dążącego do odzyskania wolności skorzystać z trudnego położenia swego władcy?

Tego rodzaju argumenty nie trafiały mi jednak wtedy do przekonania. Dobrze zdawałem sobie sprawę z różnicy, jaka zachodziła pomiędzy naszą sytuacją a położeniem Anglików, nie uważałem jednak, abyśmy byli ich niewolnikami. Sądziłem, że błędy popełnione wobec nas należy przypisać raczej poszczególnym brytyjskim urzędnikom, nie zaś całemu systemowi rządów brytyjskich, i że drogą miłości możemy ich nawrócić.

Jeżeli zaś chcemy polepszyć naszą sytuację, pomagając Brytyjczykom i współpracując z nimi, naszym obowiązkiem jest przyjść im z pomocą w tej ciężkiej potrzebie. Chociaż ówczesny system rządzenia w Imperium był błędny, nie wydawał mi się jednak tak trudny do zniesienia jak obecny.

Jeżeli – straciwszy wiarę w słuszność brytyjskich metod rządzenia – odmówię dziś rządowi Wielkiej Brytanii swojej współpracy, jak mają postąpić ci, którzy przestali wierzyć nie tylko rządowi, lecz również jego urzędnikom?

Przeciwstawiający się mojemu poglądowi przyjaciele twierdzili, że oto wybiła godzina, kiedy Indusi powinni wysunąć szereg daleko idących postulatów, które przyczyniłyby się do poprawy sytuacji naszego narodu. Byłem jednak zdania, że nie powinniśmy wykorzystywać godziny ciężkiej próby, na jaką została wystawiona Wielka Brytania, i że byłoby bardziej wskazane i bardziej dalekowzroczne nie upierać się przy naszych żądaniach tak długo, jak trwa wojna. Gorąco popierałem ten pogląd i zachęcałem do ochotniczego wstępowania do wojska. Ta propozycja spotkała się z dobrym przyjęciem i wśród zgłaszających się ochotników były reprezentowane wszystkie prowincje naszego kraju oraz wszystkie religie.

Wystosowałem list do lorda Crewe'a, powiadamiając go o tych faktach i wyrażając gotowość przebycia szkolenia potrzebnego do pełnienia służby sanitarnej w razie przyjęcia naszej oferty.

Lord Crewe po pewnym wahaniu przyjął ofertę i wyraził nam podziękowanie za chęć przyjścia z pomocą Imperium w krytycznych chwilach.

Ochotnicy pod kierunkiem ogólnie znanego doktora Cantliego rozpoczęli wstępne ćwiczenia w zakresie niesienia pomocy rannym. Był to krótki, sześciotygodniowy kurs, który jednak obejmował wszystko, co było potrzebne do udzielenia pierwszej pomocy.

Było nas około osiemdziesięciu na kursie. Po sześciu tygodniach odbyły się egzaminy i wszyscy, z wyjątkiem jednego, zdali je pomyślnie. Rząd zorganizował dla nas szkolenie wojskowe i inne. Pracę tę powierzono pułkownikowi Bakeroniemu.

Warto było widzieć Londyn w owym czasie. Nie było mowy o jakiejkolwiek panice, a każdy w miarę swych możliwości starał się udzielić rządowi jak największej pomocy. Młodzież sprawna fizycznie przystąpiła do regularnych ćwiczeń wojskowych, ale cóż mieli zrobić ludzie w starszym wieku lub niezdolni do fizycznego wysiłku i kobiety? Pracy starczyło jednak dla każdego, kto chciał się jej podjąć. Tacy ludzie znaleźli zajęcie przy krojeniu i szyciu ubrań i bandaży przeznaczonych dla rannych.

„Lyceum", znany klub kobiecy, podjął się szycia bielizny dla żołnierzy. *Śrimati*[121] Sarodźini Naidu[122] była członkinią tego klubu i z ogromnym zapałem przystąpiła do tej pracy. Wtedy po raz pierwszy się z nią zetknąłem. Położyła przede mną stertę skrojonej bielizny i zwróciła się z prośbą, bym oddał ją do szycia, a następnie zwrócił już gotową. Z przyjemnością spełniłem tę prośbę i przy pomocy moich przyjaciół uszyliśmy tyle bielizny, ile się tylko dało w chwilach wolnych od naszego szkolenia.

XXXIX. ZAGADNIENIE MORALNE

Natychmiast po nadejściu do Afryki Południowej wiadomości o tym, że ja oraz inni Indusi zgłosiliśmy gotowość oddania swych usług na rzecz wojny, otrzymałem dwie depesze. Jedna z nich pochodziła od mister Polaka, który zapytywał mnie, czy mój postępek pozostaje w zgodzie z wyznawanymi przeze mnie zasadami ahimsa.

Już przedtem do pewnego stopnia przewidywałem możliwość wysunięcia podobnych zastrzeżeń i dlatego szeroko omówiłem to zagadnienie w mojej broszurze *Hind Swaradź* (*Autonomia Indii*), niemal codziennie prowadząc na ten temat dyskusje z przyjaciółmi w Afryce Południowej.

Każdy z nas był zdania, że wojna jest czymś niemoralnym. Jeżeli nie czułem się na siłach, by wystąpić przeciwko memu napastnikowi, to tym bardziej nie zamierzałem uczestniczyć w wojnie, zwłaszcza że nie wiedziałem, kto z walczących broni słusznej sprawy. Moi przyjaciele wiedzieli – rzecz prosta – iż pełniłem służbę w wojsku podczas wojny z Burami, sądzili jednak, że od tego czasu moje poglądy uległy zmianie. Tymczasem te same argumenty, które skłoniły mnie do wzięcia udziału w wojnie z Burami, zaważyły i w tym przypadku. Zdawałem sobie jak najwyraźniej sprawę z tego, że udział w wojnie nie może pozostawać w zgodzie z zasadami ahimsy, ale nie zawsze człowiek potrafi sobie jasno uprzytomnić, na czym polega jego obowiązek. Ten, kto ślubował, że będzie dążył do poznania Prawdy, często musi błąkać się po omacku.

Zasady ahimsy są dostępne dla każdego. Jesteśmy bezradnymi śmiertelnikami miotającymi się wśród namiętności *himsa* (unicestwiania życia).

---

121 *Śrimati* – pani.

122 Sarodźini Naidu (1879–1949) – znana poetka indyjska. Była wybitną działaczką Kongresu Narodowego, wchodząc przez długi okres w skład jego władz centralnych.

Stwierdzenie, że życie czerpie swe soki z życia, ma głęboki sens. Niepodobna przeżyć jednej nawet chwili, by świadomie lub bezwiednie nie popełnić czegoś, co jest *himsa*.

Najmniejszy objaw życia – jedzenie, picie, poruszanie się – pociąga za sobą unicestwienie czyjegoś istnienia, choćby ono było nie wiem jak mikroskopijne. Natomiast człowiek, który złożył śluby ahimsy, czyli nieczynienia nikomu zła, pozostaje w zgodzie ze swą wiarą, jeżeli pobudką jego postępowania jest współczucie, jeżeli czyni wszystko, co jest w jego mocy, by uniknąć zgładzenia nawet najdrobniejszego stworzenia i jeżeli usiłuje ocalić je od zguby. Tym samym nieustannie dąży on do wyzwolenia się ze śmiertelnego przymusu, jaki niesie ze sobą *himsa*.

Uczucie litości i panowania nad sobą będzie w nim nieustannie wzrastało, a przecież nigdy nie zdoła całkowicie uwolnić się od tego, by nie popełniać *himsa*, czyli nie być tym, który unicestwia życie, szerzy zagładę.

I oto dlatego właśnie, że wyznawanie zasad ahimsy polega na stosowaniu jednakiej miary do każdego życia, błąd popełniony przez jednego człowieka nie może nie obarczać winą wszystkich ludzi, a tym samym człowiek nie może całkowicie wyzwolić się od *himsa* (mimowolnego wyrządzania zła). Tak długo, jak człowiek jest członkiem społeczeństwa, musi brać udział w wyrządzaniu zła – co samo istnienie społeczeństwa pociąga za sobą.

Gdy dwa narody zaczynają walczyć, obowiązkiem człowieka wyznającego zasady ahimsy jest powstrzymać wojnę. Człowiek, który nie dorósł do tego zadania lub który nie rozporządza dostateczną siłą, by móc powstrzymać wojnę, może jednak wziąć w niej czynny udział, by uwolnić siebie, swój kraj i cały świat od pożogi wojennej.

Liczyłem na to, że przy pomocy Imperium Brytyjskiego uda mi się poprawić zarówno moją własną sytuację, jak i mego narodu.

Podczas pobytu w Anglii korzystałem z opieki floty brytyjskiej, jej siły zbrojne zapewniały mi bezpieczeństwo, czyli bezpośrednio uczestniczyłem w posługiwaniu się przemocą. Chcąc utrzymać swe więzy z Imperium i żyć pod jego sztandarami, miałem do wyboru trzy drogi: mogłem jawnie sprzeciwić się wojnie i w zgodzie z zasadami satjagrahy bojkotować Imperium do chwili, kiedy ono zmieni swą militarystyczną politykę; mogłem dążyć do tego, by władze cywilne zamknęły mnie w więzieniu za postępowanie sprzeczne z ustanowionymi przepisami; i wreszcie – mogłem uczestniczyć u boku Imperium w tej wojnie i w ten sposób starać się o zdobycie możliwości i środków do przeciwstawienia się jej. Nie rozporządzałem jednak ani tą możliwością, ani

niezbędnymi środkami do zwalczania wojny i dlatego doszedłem do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć w niej udział.

Z punktu widzenia ahimsy nie widzę żadnej różnicy pomiędzy tymi, którzy czynnie uczestniczą w wojnie, są kombatantami, a tymi, którzy w niej nie biorą bezpośredniego udziału.

Człowiek, który zgłasza się na ochotnika, by służyć bandzie rozbójników dakoitów – czy to w charakterze przewoźnika, czy to stojąc na straży, podczas gdy tamci dokonują swego niecnego dzieła, czy też pielęgnując ich, gdy zostaną ranni – w tym samym stopniu ponosi winę za bandytyzm co sami rozbójnicy.

Podobnie ci, którzy z poświęceniem opatrują żołnierzy rannych podczas bitwy, nie są wolni od winy za prowadzenie wojny.

Zanim otrzymałem telegram od Polaka, długo roztrząsałem w umyśle całą tę sprawę, rozumując w podobny sposób. Podobnie czyniłem i później, już po otrzymaniu telegramu. Wielokrotnie dyskutowałem na ten temat z przyjaciółmi i doszedłem do wniosku, że obowiązek nakazuje mi oddać rządowi swoje usługi na czas wojny.

Nawet dziś jeszcze nie widzę w tym rozumowaniu żadnego uchybienia moim poglądom i nie żałuję tego, co zrobiłem. Mój ówczesny pogląd na Imperium Brytyjskie nie był ujemny. Zdaję sobie sprawę, że nie byłem wtedy w stanie podzielać poglądu wielu moich przyjaciół i osądzić, czy moje postępowanie jest słuszne, czy też nie. Była to nad wyraz delikatna sprawa, na którą można się było rozmaicie zapatrywać, i dlatego – w miarę moich sił – starałem się możliwie najszczerzej uzgodnić moje poglądy z zapatrywaniami tych, którzy wierzyli w ahimsę i czynili poważne wysiłki, by stosować te zasady do każdego postępku w swoim życiu.

Człowiek dążący do poznania Prawdy nie powinien postępować wbrew własnym przekonaniom. Musi natomiast być zawsze gotów do poprawienia w sobie tego, co uzna za złe, musi się za wszelką cenę przyznać do tego i ponieść odpowiednią pokutę.

XL. SATJAGRAHA W MINIATURZE

Pomimo iż uczestniczyłem w wojnie, kierując się poczuciem obowiązku, nie tylko uniknąłem bezpośredniego udziału w operacjach wojennych, ale ponadto udało mi się w tej krytycznej sytuacji znaleźć zastosowanie dla tego, co nazwałbym satjagrahą w miniaturze.

Wspomniałem już, że natychmiast po zarejestrowaniu nas i przyjęciu do wojska przydzielono nam pewnego oficera, który miał się zająć naszym wyszkoleniem. Byliśmy przekonani, że ów oficer – pułkownik Baker – jest naszym dowódcą jedynie gdy chodzi o sprawy techniczne i wojskowe. We wszystkich innych sprawach uważano mnie za dowódcę naszego oddziału i ja byłem odpowiedzialny za przestrzeganie w nim dyscypliny. Czyli ów oficer miał wydawać rozkazy naszemu oddziałowi za moim pośrednictwem. Jednak od pierwszej chwili pułkownik rozwiał wszystkie nasze złudzenia.

Mister Sorabdźi Adadźania był człowiekiem przewidującym i przestrzegł mnie, mówiąc: „Strzeż się tego człowieka! Zdaje się, że ma zamiar dyrygować nami. Nie chcemy wysłuchiwać żadnych jego rozkazów, możemy go uważać jedynie za naszego instruktora. Młodszym oficerom, przydzielonym do nas w charakterze instruktorów, również się zdaje, że pozostajemy pod ich rozkazami".

Ci młodsi oficerowie byli studentami z Oksfordu, odkomenderowanymi do nas w charakterze instruktorów, tymczasem pułkownik wyznaczył im funkcje dowódców w naszych poszczególnych kompaniach i plutonach.

Ja również spostrzegłem u naszego dowódcy skłonności do demonstrowania swej władzy, zwróciłem się jednak do Sorabdźiego z prośbą, by zachował spokój i postarał się umitygować Bakera. Niestety, Sorabdźi nie należał do ludzi, którzy daliby się z łatwością przekonać.

– Zanadto pan ufa ludziom – powiedział do mnie z uśmiechem. – Ci ludzie są zdolni wprowadzić pana w błąd zwodniczymi słowami, a nawet kiedy pan ich przejrzy na wylot, będzie pan żądał od nas, abyśmy postępowali, jak nakazuje satjagraha i wraz z panem w pokorze znieśli ciężki los, jaki nas czeka!

– Czy mogą was czekać gorsze rzeczy od tych, na jakie naraziliście się, łącząc wasze losy z moimi? – zapytałem go. – Taki już jest los człowieka biorącego udział w Satjagraha, że się go oszukuje, niech więc i ten nasz dowódca nas okpi. Czy nie powtarzałem wam nieskończoną liczbę razy, że ten, kto oszukuje innych, w końcu oszukuje siebie samego.

Sorabdźi wybuchnął głośnym śmiechem.

– W takim razie dobrze! Niech pan się nadal pozwala oszukiwać. Pewnego dnia spotka pana śmierć podczas akcji Satjagraha i pociągnie pan za sobą biednych śmiertelników, takich jak ja!

Te słowa przypomniały mi, co w swoim czasie napisała do mnie nieżyjąca już miss Emily Hobhouse w związku ze sprawą odmowy współpracy z władzami brytyjskimi: „Nie zdziwi mnie bynajmniej, gdy pewnego dnia będzie pan

musiał dla ocalenia Prawdy stanąć pod szubienicą. Oby Bóg zechciał skierować pana na właściwą drogę i otoczyć Swą opieką!".

Rozmowa z Sorabdźim odbyła się akurat po przydzieleniu do nas owego angielskiego pułkownika.

Po paru dniach między nami doszło do krytycznego napięcia. Z trudem odzyskiwałem siły po czternastodniowym poście, brałem już jednak udział w musztrze i często musiałem przebywać przeszło dwie mile drogi od swego domu do wyznaczonego miejsca ćwiczeń. W rezultacie nabawiłem się zapalenia opłucnej, co mnie zwaliło z nóg. Zupełnie chory musiałem spędzić weekend w obozie. Następnie, podczas gdy inni pozostali na miejscu, ja musiałem wrócić do domu. Wtedy właśnie nadarzyła się okazja do zademonstrowania satjagrahy.

Nasz pułkownik zaczął nieco nadużywać swej władzy, dając nam wyraźnie do zrozumienia, że jest naszym władcą i panem, zarówno w sprawach wojskowych, jak i innych, jednocześnie nie szczędząc nam próbek swojej władzy nad nami.

Sorabdźi pośpieszył do mnie. Nie miał zamiaru tolerować nadużyć władzy ze strony pułkownika i zwrócił się do mnie słowami:

– Chcemy wszystkie rozkazy otrzymywać za pańskim pośrednictwem. Znajdujemy się jeszcze w obozie ćwiczebnym i musimy spełniać wiele wręcz niedorzecznych rozkazów. Wprowadzone zostały upokarzające rozróżnienia pomiędzy nami a młodzikami, których przydzielono do nas w charakterze instruktorów. Musimy zerwać wszelkie stosunki z naszym dowódcą, gdyż nie zniesiemy tego dłużej. Studenci Indusi oraz inni nasi ochotnicy nie mają zamiaru wykonywać bezsensownych rozkazów. Podjęliśmy tę pracę w imię godności człowieka i jest nie do pomyślenia, byśmy mieli ją tutaj narazić na szwank!

Zwróciłem się więc do pułkownika Bakera i powiadomiłem go o zażaleniach, jakie do mnie wpłynęły. Pułkownik odpowiedział listem, w którym wezwał mnie do złożenia na piśmie owych skarg, a jednocześnie polecił mi „pouczyć tych, którzy wnieśli skargi, że właściwym trybem składania wszelkich zażaleń jest kierowanie ich za pośrednictwem świeżo przydzielonych dowódców plutonów, którzy z kolei przez instruktorów będą mogli mnie powiadomić".

Odpowiedziałem mu na to, że nie chodzi mi bynajmniej o sprawowanie władzy i że z wojskowego punktu widzenia jestem takim samym zwykłym żołnierzem jak inni, natomiast sądzę, że jako organizatorowi ochotniczego oddziału wolno mi występować nieoficjalnie w charakterze przedstawiciela członków tego oddziału.

Powiadomiłem go również, że mianowanie dowódców plutonów bez zasięgnięcia w tej sprawie opinii członków oddziału wywołało powszechne niezadowolenie. Należy więc pozwolić oddziałowi, by sam wybrał swoich dowódców plutonów, a potem zwrócił się do pułkownika z prośbą o odwołanie poprzednich i zatwierdzenie nowych.

Pułkownik odrzucił te wszystkie żądania, twierdząc, że wybieranie dowódców stoi w rażącej sprzeczności z wojskową dyscypliną, a odwołanie już zatwierdzonych nominacji byłoby jaskrawym pogwałceniem wszelkiej dyscypliny.

Zwołaliśmy zebranie, na którym rozważaliśmy ewentualność wycofania swego oddziału. Powiadomiłem uczestników o poważnych następstwach, jakie może wywołać ten krok podyktowany przez satjagrahę. Wszakże przeważająca liczba głosów padła na rzecz rezolucji, która domagała się, by dotychczasowe nominacje kapralów zostały cofnięte, a członkom oddziału przyznano prawo wybrania własnych dowódców plutonów, w przeciwnym bowiem razie członkowie oddziału będą zmuszeni powstrzymać się od dalszych ćwiczeń i spędzania weekendów w obozie.

Wystosowałem drugi list do pułkownika Bakera, powiadamiając go o głębokim rozczarowaniu, jakie wywołał jego list odrzucający moje propozycje. Zapewniłem go przy tym, że bynajmniej nie zależy mi na sprawowaniu jakiejkolwiek władzy, przeciwnie – gotów jestem jak najgorliwiej pełnić służbę. Zwróciłem również jego uwagę na pewne precedensy, przytaczając jako przykład, że kiedy podczas wojny z Burami zajmowałem w Afryce Południowej kierownicze stanowisko w Indyjskim Oddziale Sanitarnym, pomiędzy pułkownikiem Gallweyem a dowodzonym przeze mnie oddziałem nigdy nie było żadnych konfliktów oraz że pułkownik Gallwey nigdy nie wydawał zarządzeń bez uprzedniego uzgodnienia ich z oddziałem.

Do listu dołączyłem odpis powziętej poprzedniego wieczoru uchwały.

Wszystko to zrobiło jak najgorsze wrażenie na pułkowniku Bakerze, który uznał, że zarówno odbycie zebrania, jak i uchwalenie rezolucji stanowią poważne naruszenie dyscypliny wojskowej.

Niezależnie od tego wystosowałem list do ministra do spraw Indii, informując go o wszystkim i załączając odpis powziętej uchwały. Otrzymałem odpowiedź, w której minister tłumaczył mi, iż warunki w Afryce Południowej są zgoła inne, zwrócił moją uwagę na to, że zgodnie z istniejącymi tu przepisami dowódcy plutonów są wyznaczani przez dowódcę jednostki, wreszcie zapewnił mnie, że w przyszłości dowódca, mianując podoficerów, weźmie pod rozwagę moje sugestie.

Korespondencja na ten temat pomiędzy nami trwała jeszcze dość długo, nie mam jednak zamiaru ciągnąć dalej tej niewesołej opowieści. Wystarczy powiedzieć, że to, co mi się przytrafiło w Anglii, było kropka w kropkę podobne do tego, co mnie spotykało w Indiach. Posługując się częściowo groźbami, a częściowo zręcznymi posunięciami, pułkownikowi Bakerowi udało się posiać niezgodę w naszym oddziale. Niektórzy spośród tych, którzy głosowali za rezolucją, ugięli się pod wpływem gróźb lub perswazji pułkownika i wycofali się ze swego stanowiska. W tym samym czasie nieoczekiwanie nadszedł do szpitala w Netley znaczny transport rannych żołnierzy i do naszego oddziału zwrócono się z prośbą o przybycie z pomocą. Ci, których udało się przekonać pułkownikowi, wyjechali do Netley, inni odmówili wyjazdu. Leżałem wtedy chory, utrzymując jednak nieprzerwanie łączność z pozostałymi członkami naszego oddziału.

Mister Roberts, podsekretarz stanu, zaszczycił mnie, telefonując parokrotnie w ciągu dnia i prosząc, bym przekonał innych, że powinni przystąpić do pełnienia swych obowiązków. Minister zaproponował utworzenie wyodrębnionego oddziału w szpitalu w Netley, z tym że jego członkowie podlegaliby jedynie miejscowemu dowódcy. Takie załatwienie sprawy wykluczało – zdaniem ministra – jakiekolwiek uchybienie czyjejś godności, a rząd czułby się również zadowolony, tym bardziej że nasz oddział mógł oddać bardzo duże usługi, śpiesząc z pomocą licznym rannym przywiezionym do szpitala.

Zarówno ja, jak i moi towarzysze zgodziliśmy się na takie rozstrzygnięcie i ci, którzy pierwotnie odmówili wyjazdu, obecnie udali się do Netley.

Jedynie ja nie mogłem się tam udać. Leżałem chory, nadrabiając miną, o ile to było możliwe.

XLI. MIŁOSIERDZIE GOKHALEGO

Wspomniałem już o tym, że zachorowałem w Anglii na zapalenie opłucnej. Wkrótce potem Gokhale powrócił do Londynu. Kallenbach i ja odwiedzaliśmy go zazwyczaj dość regularnie. Nasze rozmowy toczyły się głównie na temat wojny, a ponieważ Kallenbach znał geografię Niemiec jak własną kieszeń i w ogóle dużo podróżował po Europie, pokazywał mu na mapie różne miejscowości związane z operacjami wojennymi.

Kiedy zachorowałem na zapalenie opłucnej, moja choroba również stała się tematem codziennych rozmów. Moja dieta składała się między innymi z orzeszków

ziemnych, dojrzałych i niedojrzałych bananów, cytryn, oliwy z oliwek, pomidorów i winogron. Wyeliminowałem całkowicie z mego pożywienia mleko, produkty mączne, jarzyny strączkowe oraz inne produkty.

Leczył mnie doktor Dźiwradźa Mehta. Usilnie namawiał mnie, bym odżywiał się mlekiem i produktami mącznymi, byłem jednak uparty. Doszło to do Gokhalego. Nie przykładał zbyt wielkiej wagi do moich argumentów przemawiających za owocową dietą i zaczął mnie zmuszać, bym odżywiał się tym, co lekarz uważa za pożyteczne dla mego zdrowia.

Oprzeć się namowom Gokhalego nie było łatwo. Ponieważ nie chciał cofnąć tego, co powiedział, poprosiłem go o dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Kiedy Kallenbach i ja wróciliśmy tego wieczoru do domu, zaczęliśmy się zastanawiać nad tym, jak powinienem postąpić. Gokhale chciał mnie poddać próbie. Wiedziałem, że mu sprawi przyjemność, jeżeli ze względu na swoje zdrowie ustąpię jego żądaniu. Musiałem więc sam powziąć decyzję zgodnie z tym, co mi podyktuje mój głos wewnętrzny.

Całą noc spędziłem na zastanawianiu się nad tą sprawą. Zrezygnowanie z dalszego eksperymentowania oznaczałoby rezygnację ze wszystkich moich poglądów związanych z tym zagadnieniem, a przecież uważałem je za nieomylne.

Chodziło o to, jak dalece powinienem ulec naciskowi ze strony Gokhalego i w jakim stopniu zmodyfikować swoje eksperymenty z uwagi na swój stan zdrowia. Ostatecznie postanowiłem trwać przy swoim eksperymencie jedynie w tych wypadkach, kiedy pobudki wynikały z założeń religijnych, i ustąpić wobec zaleceń lekarza wtedy, gdy pobudki były odmiennego charakteru.

Przy wyrzeczeniu się mleka główną rolę odegrały względy natury religijnej. Miałem przed oczyma obraz potwornych operacji dokonywanych przez *govala* (mleczarzy) w Kalkucie, gdy chodziło o wyciśnięcie z krów i bawolic ostatniej kropli mleka. Byłem przekonany, że podobnie jak człowiek nie powinien żywić się mięsem, tak samo i mleko zwierząt nie może mu służyć za pożywienie.

Wstałem z rana zdecydowany dochować wiary memu postanowieniu powstrzymania się od spożywania mleka. Doznałem uczucia jakiejś wewnętrznej ulgi, a jednocześnie bałem się spotkania z Gokhalem. Wierzyłem jednak, że potrafi on uszanować moje postanowienie.

Wieczorem Kallenbach i ja spotkaliśmy się z Gokhalem w National Liberal Klub. Pierwsze pytanie skierowane do mnie brzmiało:

– No i co? Zdecydował się pan posłuchać rady lekarza?

Odpowiedziałem mu uprzejmie, ale stanowczo:

– Gotów jestem ustąpić we wszystkim prócz jednego i proszę, niech pan nie nalega. Nie chcę używać jako pożywienia mleka, wyrobów mlecznych i mięsa. Jeżeli ta odmowa może pociągnąć za sobą moją śmierć, chętnie zgadzam się na nią.

– Czy jest to pańska ostateczna decyzja? – zapytał Gokhale.

– Niestety, nie mogę jej zmienić. Wiem, że to pana zmartwi, ale proszę mi wybaczyć.

Gokhale, bardzo zasmucony i jednocześnie głęboko przejęty, odpowiedział:

– Nie pochwalam pańskiego postanowienia. Nie mogę odnaleźć w nim jakichkolwiek motywów religijnych, nie będę jednak więcej nalegał.

Mówiąc to, odwrócił się do doktora Dźiwradźy Mehty ze słowami:

– Proszę, niech pan da mu spokój i zapisze coś, co pan będzie chciał, ale w granicach, które on sam sobie wyznaczył.

Doktor nie zgadzał się wprawdzie z tym, ale był bezradny. Poradził mi żywić się zupą z *mung* z dodatkiem szczypty asafetydy. Zgodziłem się na to. Karmiłem się nią w ciągu jednego czy dwóch dni, lecz to jedynie zwiększyło bóle. Wobec tego, że nie znalazłem nic odpowiedniejszego, wróciłem do owoców i orzechów.

Lekarz zaczął stosować środki zewnętrzne. Po pewnym czasie bóle ustały, jednak ograniczenia w odżywianiu, które nakładałem na siebie, bardzo mu utrudniały zadanie.

Tymczasem Gokhale wyjechał do domu, gdyż nie mógł znieść październikowej mgły londyńskiej.

XLII. LECZENIE ZAPALENIA OPŁUCNEJ

Uporczywość mojego zapalenia opłucnej budziła pewne zaniepokojenie, wiedziałem jednak, że leczenie nie polega jedynie na przyjmowaniu lekarstw, lecz głównie na zmianie odżywiania chorego i zabiegach zewnętrznych.

Zwróciłem się po poradę do głośnego zwolennika wegetariańskiej diety doktora Allinsona, którego poznałem w 1890 roku; leczył on metodą dietetycznych zabiegów.

Doktor Allinson zbadał mnie bardzo dokładnie. Opowiedziałem mu, w jaki sposób wyrzekłem się mleka. Pochwalił mnie i powiedział:

– Mleko wcale nie jest panu potrzebne. Chcę zastosować kilkudniową dietę całkowicie pozbawioną tłuszczu.

Następnie zalecił mi żywić się zwykłym razowym chlebem, surowymi jarzynami, jak buraki, rzodkiew, cebula, oraz innymi korzonkami i zieleniną, a także świeżymi owocami, głównie pomarańczami. Jarzyn nie należało gotować, lecz raczej jeść tarte, jeżeli gryzienie przychodziłoby mi z trudem.

Zastosowałem się do tej diety w ciągu trzech dni, lecz spożywanie surowych jarzyn mi nie służyło. Mój organizm nie nadawał się jeszcze do skutecznego przeprowadzenia tego eksperymentu. Jedzenie surowych jarzyn denerwowało mnie. Doktor Allinson polecił mi również, by okna w moim pokoju były otwarte przez całą dobę. Kazał kąpać się w ciepłej wodzie, masować oliwą miejsca, w których odczuwałem ból, i od piętnastu do trzydziestu minut spacerować na powietrzu. Wszystkie te zalecenia bardzo mi odpowiadały.

W moim pokoju znajdowały się francuskie okna i można je było tylko uchylać, gdy się je zostawiało otwarte, wpadał deszcz. Górne okno nie dawało się otworzyć, musiałem więc stłuc szybę, aby wpuścić świeże powietrze.

Zalecenia doktora Allinsona w dużym stopniu przyczyniły się do poprawy mego zdrowia, chociaż nie czułem się jeszcze zupełnie wyleczony.

Kiedyś niespodziewanie odwiedziła mnie lady Cecilia Roberts. Byliśmy zaprzyjaźnieni. Koniecznie chciała mnie przekonać, abym pił mleko. Byłem jednak nieprzejednany i moja przyjaciółka szukała wciąż czegoś, co mogłoby zastąpić mleko. Któryś z jej znajomych polecił słód, zapewniając, że jest całkowicie wolny od mleka, a jego chemiczny skład w zupełności może je zastąpić.

Lady Cecilia, jak mi było wiadomo, miała wielki szacunek dla moich poglądów religijnych, ja zaś w swej naiwności wierzyłem jej. Rozpuściłem w wodzie proszek słodowy i łyknąłem: napój miał smak mleka. Z etykiety, jaka widniała na flaszce, dowiedziałem się – niestety zbyt późno – że był to preparat mleczny. Oczywiście – zrezygnowałem z niego.

Dałem znać lady Cecilii o moim odkryciu i zwróciłem się z prośbą, by zechciała przestać zajmować się moją dietą. Wkrótce sama przyszła, aby mi powiedzieć, jak bardzo ją ta cała historia zmartwiła. Okazało się, że jej znajomy nawet nie przeczytał etykiety. Jeszcze raz prosiłem ją, by się nie przejmowała tym wszystkim, i wyraziłem ubolewanie, że nie potrafię sam zdobyć dla siebie tego, co mi jest potrzebne, narażając ją na zbyteczne kłopoty.

Zapewniłem ją również, że ani się nie gniewam, ani sam nie poczuwam się do winy z tego powodu, że wskutek nieporozumienia łyknąłem nieco mleka.

Muszę pominąć parę niezmiernie miłych wspomnień związanych z osobą lady Cecilii. Nieraz z uczuciem wdzięczności powracam pamięcią do moich licznych przyjaciół, którzy byli dla mnie źródłem prawdziwej otuchy w okresie ciężkich prób i przeżyć, jakie mnie w życiu spotykały. Człowiek wierzący widzi w tym bezgraniczną dobroć Boga, który potrafi złagodzić największy ból.

Podczas następnej wizyty doktor Allinson złagodził nieco swe ograniczenia i pozwolił mi zamiast tłuszczów używać masła orzechowego lub nieco oliwy, a także – jeżeli będę chciał – trochę gotowanych jarzyn z ryżem. Z radością powitałem te zmiany w mojej diecie, niestety, nie mogły mi pomóc w odzyskaniu zdrowia. Musiałem się odżywiać z zachowaniem maksymalnej ostrożności i przeważnie pozostawałem w łóżku.

Któregoś dnia odwiedził mnie przypadkowo doktor Mehta, zbadał i zgodził się leczyć mnie pod warunkiem, że będę słuchał jego rad.

Gdy wypadki toczyły się nadal jak przedtem, pewnego dnia przyszedł do mnie mister Roberts i zaczął przynaglać mnie do powrotu do domu, mówiąc przy tym: „W tym stanie nie może pan wyjechać do Netley. Czekają nas dotkliwe mrozy. Bardzo bym panu radził wrócić do Indii, gdyż jedynie tam będzie pan mógł całkowicie odzyskać zdrowie. Jeżeli po wyzdrowieniu stwierdzi pan, że wojna jeszcze trwa, będzie pan miał dość innych sposobności, by przyjść nam z pomocą. W każdym razie uważam, że już teraz oddał nam pan niemałą przysługę".

Przyznałem mu słuszność i zacząłem robić przygotowania do powrotu do Indii.

XLIII. POWRÓT DO DOMU

Mister Kallenbach towarzyszył mi w podróży do Anglii, mając zamiar następnie wrócić do Indii. Mieszkaliśmy razem i – rzecz prosta – chcieliśmy odpłynąć na tym samym statku. Obywatele niemieccy byli jednak tak bacznie strzeżeni, że nie liczyliśmy na to, by mister Kallenbach mógł otrzymać zezwolenie na wyjazd. Starałem się zrobić wszystko, co było w mojej mocy, i mister Roberts, który nie miał nic przeciwko wydaniu paszportu Kallenbachowi, wysłał telegram do wicekróla Indii, prosząc o przychylne załatwienie tej sprawy.

Niemal niezwłocznie nadeszła następująca odpowiedź od lorda Hardinge'a: „Niestety, rząd Indii nie zamierza brać na siebie podobnego ryzyka". Zrozumieliśmy wszyscy, co taka odpowiedź oznacza.

Wyjazd bez Kallenbacha był wielkim zawodem dla mnie, widziałem jednak, że jemu sprawiło to jeszcze większą przykrość. Gdyby mógł udać się do Indii, pędziłby dziś zapewne spokojne i szczęśliwe życie jako farmer lub tkacz. Mister Kallenbach mieszka obecnie w Afryce Południowej, prowadzi dawny tryb życia i jest bardzo wziętym budowniczym.

Mieliśmy zamiar odbyć podróż trzecią klasą, wobec tego jednak, że statki tej linii okrętowej nie miały trzeciej klasy, musieliśmy kupić bilety do drugiej.

Zabraliśmy ze sobą suszone owoce przywiezione jeszcze z Afryki Południowej, gdyż na statku nie dostalibyśmy ich, były tam bowiem tylko świeże owoce.

Doktor Dźiwradźa Mehta obandażował mi żebra gipsowym bandażem Medego i nie pozwolił mi zdjąć go aż do chwili, kiedy statek wpłynie na Morze Czerwone. Dwa dni znosiłem tę niewygodę, wreszcie miałem jej dosyć. Z trudem udało mi się zdjąć te bandaże i odzyskać możność umycia się i wykąpania.

Moje pożywienie składało się przeważnie z orzechów i owoców. Zauważyłem, że z każdym dniem przybywa mi sił, a kiedy dopłynęliśmy do Kanału Sueskiego, czułem się już o wiele lepiej. Byłem jeszcze osłabiony, ale niebezpieczeństwo minęło i stopniowo zacząłem rozszerzać zakres swoich ćwiczeń. Poprawę zdrowia w głównej mierze zawdzięczam czystemu powietrzu w tej umiarkowanej strefie.

Nie wiem, czy należy to przypisać moim wcześniejszym doświadczeniom, czy też innym przyczynom, ale dystans, jaki zauważyłem pomiędzy pasażerami Indusami a Anglikami znajdującymi się na tym statku, był czymś takim, czego nie zaobserwowałem nawet podczas mojej podróży z Afryki Południowej. Nawiązałem rozmowę z nielicznymi Anglikami, była to jednak jedynie formalna wymiana zdań. Nie było mowy o żadnej w serdecznym tonie prowadzonej wymianie myśli, z jaką się spotykałem na południowoafrykańskich parowcach.

Przyczyna, jak mi się wydaje, tkwiła w tym, że świadomie, a może bezwiednie, każdy Anglik w głębi duszy uważa siebie za człowieka należącego do rasy panów, podczas gdy na dnie duszy Indusa kryje się przekonanie, że należy do rasy niewolników.

Chciałem czym prędzej być w domu i uwolnić się od tej nieprzyjemnej atmosfery. Już po przybyciu do Adenu poczuliśmy się prawie jak w domu. Znaliśmy dobrze Adenwallasów[123], poznaliśmy bowiem w swoim czasie w Durbanie mister Kekobada Kawasdźiego Dinszaw i nawiązaliśmy bliskie stosunki z nim i jego żoną.

123 Adenwallas – mieszkaniec Adenu.

Po paru dniach byliśmy już w Bombaju. Powrót do ojczystego kraju po dziesięciu latach sprawił nam moc radości.

Z inicjatywy Gokhalego zorganizowano dla mnie przyjęcie w Bombaju, na którym był on obecny pomimo swego słabego zdrowia.

Przybyłem do Indii z gorącym pragnieniem oddania wszystkich swych sił na usługi mego kraju, w nadziei, że dzięki temu odnajdę prawdziwą wolność.

Los chciał jednak, by stało się inaczej.

XLIV. KILKA UWAG NA TEMAT ADWOKATURY

Zanim przystąpię do opowiedzenia o tym, jak potoczyło się moje życie w Indiach, powrócę do niektórych wydarzeń z okresu mego pobytu w Afryce Południowej, które dotychczas umyślnie pomijałem.

Niektórzy moi przyjaciele adwokaci zwrócili się do mnie z prośbą, bym spisał swoje spostrzeżenia na temat adwokatury. Nagromadziło się ich tyle, że gdybym chciał opisać wszystkie, wyszedłby z tego cały tom, a ja zgubiłbym wątek własnej opowieści. Warto jednak przypomnieć przynajmniej niektóre, które mają coś wspólnego z dążeniem do Prawdy.

O ile sobie przypominam, wspomniałem już przedtem, że uprawiając zawód adwokata, nigdy nie posługiwałem się kłamstwem, a przeważająca część mojej działalności jako prawnika była poświęcona zagadnieniom o charakterze społecznym, za co nie brałem żadnego honorarium, poza drobnymi kosztami, które zresztą bardzo często opłacałem z własnej kieszeni.

Miałem wrażenie, że wyznając to, powiedziałem wszystko, co dotyczyło mojej praktyki adwokackiej. Jednak moi przyjaciele domagali się ode mnie czegoś więcej, zdawało im się bowiem, że jeżeli nawet pobieżnie opowiem o tym, jak przy różnych sposobnościach sprzeciwiałem się jakiemukolwiek uchybieniu prawdzie, nasz prawniczy zawód może wiele na tym zyskać.

Jeszcze jako student słyszałem nieraz, że zawód adwokata jest właściwie zajęciem dla kłamcy. Nie zrobiło to jednak na mnie żadnego wrażenia, gdyż najzwyczajniej w świecie nie miałem zamiaru zarabiać na życie ani zdobywać jakiegoś stanowiska, posługując się w tym celu kłamstwem.

Moje zasady niejednokrotnie były wystawiane na próbę podczas pobytu w Afryce Południowej. Często dowiadywałem się, że moi przeciwnicy pouczali swoich świadków o tym, jak mają zeznawać, i nieraz – gdybym tylko zachęcił

moich klientów lub świadków do kłamstwa – wygrałbym sprawę. Potrafiłem jednak zawsze oprzeć się tej pokusie.

Przypominam sobie jeden taki przypadek, kiedy po wygraniu sprawy nabrałem przekonania, że klient mnie oszukał. W głębi serca zawsze pragnąłem wygrać tylko wtedy, gdy słuszność była po stronie mojego klienta. Nie przypominam sobie również, abym ustalając honorarium, uzależniał je od tego, czy proces będzie wygrany. Niezależnie od tego, czy mój klient wygrywał sprawę, czy też ją przegrywał, nie liczyłem nigdy na nic więcej, aniżeli wynosiło moje honorarium.

Każdego nowego klienta przybywającego spoza mojego środowiska uprzedzałem z góry, by nie liczył na to, że podejmę się obrony niesłusznej sprawy lub że będę wpływał na świadków, przy czym rezultat był ten, że żadna „nieczysta" sprawa nigdy do mnie nie trafiała. Klienci zwracali się do mnie zazwyczaj, gdy chodziło o „czystą" sprawę, a takie, które mogły budzić wątpliwości, powierzali innym adwokatom.

Przypominam sobie pewną sprawę, która przysporzyła mi sporo kłopotu. Jeden z moich najlepszych klientów zwrócił się z nią do mnie. Chodziło o niezmiernie skomplikowane rozrachunki, sprawa ciągnęła się bardzo długo i przeszła już przez różne instancje. Wreszcie trybunał przekazał sprawę zbadania ksiąg handlowych do arbitrażowego rozpatrzenia przez paru doświadczonych księgowych. Orzeczenie rzeczoznawców wypadło na korzyść mojego klienta, jednakże gremium arbitrów przez niedopatrzenie popełniło błąd w obliczeniach – niewielki wprawdzie, ale mający poważne następstwa, gdyż wkład figurujący po stronie „debet" znalazł się po przeciwnej, jako pozycja „kredyt".

Moi przeciwnicy zgłosili sprzeciw przeciwko orzeczeniu arbitrów, opierając się jednak na innych przesłankach. Byłem wtedy jednym z młodszych obrońców mojego klienta. Kiedy starszy ode mnie obrońca spostrzegł ów błąd, wyraził pogląd, że nasz klient nie jest obowiązany wiedzieć o nim. W ogóle był zdania, że żaden obrońca nie jest obowiązany przyznawać się do czegoś, co jest wymierzone przeciwko interesom jego klienta. Natomiast ja twierdziłem, że powinniśmy zwrócić uwagę sądu na popełniony błąd.

Na to ów starszy kolega odpowiedział mi:

– W takim razie jest bardzo prawdopodobne, że trybunał anuluje całość orzeczenia, a przecież żaden adwokat o zdrowych zmysłach nie zechce narazić swego klienta na coś takiego. W każdym razie ja się tego nie podejmę. Jeżeli sprawa zostanie skierowana do ponownego rozpatrzenia, niepodobna przewidzieć, jakie koszty pociągnie to dla naszego klienta, a poza tym: nie wiadomo, jak wypadnie ostateczne rozstrzygnięcie!

Nasz klient był obecny przy całej tej rozmowie.

Oto co mu wtedy powiedziałem:

– Wydaje mi się, że zarówno my, jak i nasz klient powinniśmy wziąć na siebie to ryzyko. Skąd możemy mieć pewność, że trybunał zatwierdzi mylne orzeczenie jedynie dlatego, że nie zwróciliśmy mu uwagi na popełnioną omyłkę! Przypuśćmy, że sami przyznamy się do tego błędu i że to może mieć przykre skutki dla naszego klienta, ale przecież nic mu za to nie grozi.

– Ale dlaczego w ogóle mamy się przyznawać? – odparł starszy ode mnie adwokat.

– A skąd możemy mieć pewność, że sąd sam nie wykryje tego błędu lub że nasi przeciwnicy nie wskażą na niego? – brzmiała z kolei moja odpowiedź.

– A więc chce pan poruszyć tę sprawę? Oświadczam, że nie mam zamiaru robić tego! – odparł z całą stanowczością mój oponent.

Odpowiedziałem mu możliwie najskromniej:

– Jeżeli pan nie ma takiego zamiaru, w takim razie ja się tego podejmę, oczywiście, gdy nasz klient będzie sobie tego życzył. Jeśli nie zwrócimy uwagi sądu na popełniony błąd, nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprawą.

Mówiąc to, spojrzałem na naszego klienta. Był nieco zakłopotany. Po raz pierwszy występowałem jako jego obrońca. Klient miał całkowite zaufanie do mnie i znał mnie bardzo dobrze. Oto co powiedział, zwracając się do mnie:

– W takim razie dobrze! Pan podniesie tę sprawę i wskaże na popełniony błąd. Przegrajmy, jeżeli tak jest sądzone. Wierzę, że Bóg broni tych, co mają słuszność.

Byłem zachwycony tą odpowiedzią, nigdy bowiem nie spodziewałem się tego po tym człowieku.

Mój starszy kolega znów przestrzegł mnie, wyrażając ubolewanie z powodu mojego uporu, ale jednocześnie złożył mi gratulacje.

O tym, co zaszło w sądzie, dowiemy się z następnego rozdziału.

XLV. CZY TO BYŁ NIEROZWAŻNY KROK?

Nie wątpiłem, że moja rada była dobra, nie miałem jedynie pewności, czy wystarczy mi umiejętności, by stanąć w jej obronie. Zdawałem sobie sprawę, że podejmuję się niezmiernie ryzykownego zadania, broniąc tak skomplikowanej sprawy przed Sądem Najwyższym, toteż stanąłem przed trybunałem, dygocąc cały i pełen obaw.

Kiedy przedstawiłem sądowi sprawę omyłki popełnionej w księgach, jeden z sędziów zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Czy nie sądzi pan, że to nieco nierozważny krok z pańskiej strony?

Ten zarzut mnie wzburzył. Nie mogłem znieść, że mnie oskarżano o brak rozwagi, gdy nie dałem żadnego powodu do takiego zarzutu.

Wtedy powiedziałem w myślach do siebie: „Trudno liczyć na pomyślny wyrok w tak zawiłej sprawie, skoro sędzia od początku jest do niej źle usposobiony".

Opanowałem się jednak i odpowiedziałem:

– Dziwi mnie niezmiernie, że Jego Lordowska Mość z góry przesądza sprawę i oskarża mnie o popełnienie nierozważnego kroku, zanim mogłem zabrać głos i wyjaśnić, o co mi chodzi.

– O nic pana nie oskarżam – odpowiedział sędzia. – Jest to jedynie moje przypuszczenie.

– W tym wypadku przypuszczenie równa się oskarżeniu. Chciałbym prosić, by Wysoki Sąd zechciał mnie wysłuchać i dopiero potem, jeżeli zajdzie tego potrzeba, kwestionował moje słowa.

– Przepraszam, że panu przerwałem – odrzekł sędzia. – Zechce pan kontynuować swoje wyjaśnienie w związku z popełnionym uchybieniem.

Rozporządzałem dostateczną ilością materiału, by móc podtrzymać moje twierdzenie. Zawdzięczając sędziemu, że poruszył tę sprawę, udało mi się od pierwszej chwili przykuć uwagę trybunału do wysuniętych przeze mnie dowodów. Czułem się już znacznie pewniejszy i skorzystałem z okazji, by wdać się w szczegółowe wyjaśnienia.

Członkowie trybunału słuchali mnie cierpliwie. Udało mi się przekonać ich, że błąd został popełniony jedynie przez niedopatrzenie. Sędziowie bynajmniej nie byli skłonni do przekreślenia całej ekspertyzy, która bądź co bądź wymagała dość znacznego nakładu pracy.

Adwokat strony przeciwnej czuł się dość pewnie, sądząc, że nie zachodzi już potrzeba sięgnięcia po dalsze argumenty, skoro uznano, że omyłka została popełniona. Sędziowie przerywali mu raz po raz, gdyż nabrali przekonania, że błąd był przypadkowy i bez trudu może być naprawiony. Adwokat atakował ze wszystkich sił orzeczenie specjalistów, ale ten sam sędzia, który na początku miał pewne wątpliwości, teraz wyraźnie stanął po mojej stronie.

– Przypuśćmy, że obrońca, mister Gandhi, nie przyznałby się do tego, że został popełniony błąd, jak postąpiłby pan w tym wypadku? – zapytał ten właśnie sędzia.

– Niepodobna było zapewnić sobie współpracy bardziej doświadczonego i sumiennego rzeczoznawcy jak ten, którego zaangażowaliśmy.

– Trybunał sądzi, że strona zna dobrze sprawę, o którą chodzi. Jeżeli strona nie jest w stanie wytknąć żadnego innego błędu prócz tego, który może popełnić każdy rzeczoznawca, w takim razie trybunał nie będzie zmuszony zwrócić się do obu stron, aby oddały sprawę do ponownego rozpatrzenia, co pociągnęłoby za sobą nowe koszty. Jeżeli ów błąd da się bez trudu usunąć, trybunał może nie przekazać powództwa do ponownego rozpatrzenia – mówił dalej sędzia.

Zastrzeżenia strony przeciwnej zostały odrzucone. Nie przypominam sobie, czy trybunał potwierdził słuszność orzeczenia pod warunkiem poprawienia błędu, czy też kazał arbitrom skorygować pomyłkę.

Byłem ogromnie uradowany, podobnie zresztą jak mój klient i ów starszy kolega. Jednocześnie umocniłem się w swoim przeświadczeniu, że można uprawiać zawód adwokata bez posługiwania się nieprawdą.

Niech czytelnik zechce jednak pamiętać, że nawet dochowanie wierności prawdzie nie jest w stanie uleczyć tego zawodu od zasadniczej choroby, która go toczy.

XLVI. KLIENCI STAJĄ SIĘ WSPÓŁPRACOWNIKAMI

Różnica, jaka zachodziła pomiędzy praktyką prawniczą w Natalu a w Transwalu, polegała na tym, że w Natalu Izba Adwokacka była wspólna: prawnik przyjęty do izby w charakterze adwokata mógł również występować jako strona oskarżająca, podczas gdy w Transwalu, podobnie jak w Bombaju, obydwa zawody – oskarżyciela i obrońcy – były oddzielone od siebie. Prawnikowi przysługiwało prawo wyboru tej lub innej formy praktyki.

W Natalu zostałem przyjęty jako obrońca, natomiast w Transwalu ubiegałem się o otrzymanie praw oskarżyciela. Jako adwokatowi trudniej by mi było nawiązać bezpośrednie stosunki z Indusami, a „biali" oskarżyciele w Afryce Południowej nie przyjęliby mnie do swego grona.

Jednak nawet w Transwalu oskarżycielowi przysługiwało prawo stawania w urzędach. Pewnego razu, gdy prowadziłem sprawę w którymś z urzędów w Johannesburgu, wykryłem, że mój klient mnie oszukał. Zauważyłem, że zeznaje nieprawdę. Nie wdając się w żadne motywacje, zwróciłem się do sędziego z wnioskiem oddalenia powództwa. Obrońca strony przeciwnej był zaskoczony,

natomiast sędzia był zadowolony. Zbeształem mego klienta za zwrócenie się do mnie ze sprawą, która nie była „czysta". Klient ów wiedział, że nigdy nie przyjmuję tego rodzaju spraw, i kiedy mu to wyjaśniłem, przyznał się do popełnienia błędu, a ja odniosłem wrażenie, że nie żywi do mnie urazy za to, że zwróciłem się do sądu o wydanie wyroku przeciwko niemu.

Ten wypadek bynajmniej nie odbił się niekorzystnie na mojej praktyce, lecz przeciwnie – był mi bardzo pomocny. Widziałem również, że moje przywiązanie do prawdy przyczynia się do podniesienia opinii o mnie wśród członków naszego zawodu i że mimo poważnych przeszkód, na jakie natrafiałem z powodu różnicy koloru skóry, potrafiłem w niektórych sprawach zdobyć uznanie u moich „białych" kolegów.

Uprawiając mój zawód, zwykłem nie ukrywać zarówno przed klientami, jak i przed kolegami tego, że nie znam się na wszystkim. Gdy nie czułem się dość pewny, radziłem klientowi, by zwrócił się o poradę do innego adwokata, a gdy klient wolał pozostać przy mnie, proponowałem mu zaproszenie do obrony któregoś ze starszych obrońców.

Ta szczerość zjednała mi ogromne uznanie i zaufanie ze strony klientów. Zawsze zgadzali się na poniesienie kosztów, gdy zachodziła potrzeba zasięgnięcia rady starszego kolegi. Uznanie i zaufanie moich klientów bardzo mi się przydały w mojej działalności społecznej.

Wspomniałem już w poprzednich rozdziałach, że moja praktyka prawnicza w Afryce Południowej obejmowała w głównej mierze sprawy ludności Indii. Pozyskanie jej zaufania było niezbędnym warunkiem pomyślnej działalności.

Prostoduszni Indusi mieli głęboki szacunek dla opłacanej pieniędzmi pracy zawodowej, a kiedy zdarzało się, że radziłem im, by w imię obrony swych praw zgodzili się nawet na karę więzienia, wielu z nich z ochotą przyjmowało moją radę, przy czym czynili to nie tylko dlatego, że uznawali słuszność tego kroku, ale ponieważ mieli do mnie zaufanie.

Kiedy kreślę te słowa, przypomina mi się niejedno miłe zdarzenie. Setki moich klientów stawało się moimi przyjaciółmi i najżarliwszymi współpracownikami w sprawach dotyczących ogółu, a ich współpraca nieraz była mi osłodą w ciężkich i pełnych niebezpieczeństw chwilach mego życia.

XLVII. JAK URATOWAŁEM PEWNEGO KLIENTA

Pars Rustomdźi nie jest obcy moim czytelnikom. To on w pewnym okresie został moim klientem, a później współpracownikiem, a raczej należałoby powiedzieć, że przedtem był moim współpracownikiem, a dopiero później został klientem.

Do tego stopnia pozyskałem sobie jego zaufanie, że radził się mnie i postępował zgodnie z moimi radami we wszystkich domowych sprawach. Nawet kiedy był chory, zwracał się do mnie o pomoc i chociaż pomiędzy jego trybem życia a moim zachodziła ogromna różnica, bez wahania korzystał z moich „znachorskich" środków leczenia.

Pewnego razu Rustomdźi znalazł się w nad wyraz przykrej sytuacji. Wprawdzie mówił mi o większości swoich handlowych transakcji, ale jedną z nich zachował w ścisłej tajemnicy przede mną. Rustomdźi był na dużą skalę importerem różnych towarów z Bombaju i Kalkuty i nieraz posługiwał się kontrabandą. Wobec tego jednak, że utrzymywał najlepsze stosunki z urzędnikami celnymi, żaden z nich go nie podejrzewał. Przywykli dawać wiarę jego słowom, a byli nawet i tacy, którzy wiedząc o uprawianym przez niego przemycie, patrzyli na to przez palce.

Kradzież – by użyć porównania poety Akho[124], piszącego w języku gudźarati – podobnie jak rtęć, nie da się ukryć i Rustomdźi nie stanowił pod tym względem wyjątku.

Pewnego dnia ów przyjaciel przybiegł do mnie ze łzami ściekającymi po policzkach i zawołał:

– *Bhai* (bracie), oszukałem ciebie! Dziś wykryto moją winę. Uprawiałem przemyt i przyłapano mnie na tym. Pójdę do więzienia, jestem zrujnowany. Tylko ty możesz mnie ocalić przed tą klęską. Niczego poza tym jednym nie ukrywałem przed tobą, ale nie chciałem cię zanudzać handlowymi sprawami i dlatego nigdy nie wspomniałem o tej kontrabandzie. Jak bardzo dziś tego żałuję!

Uspokoiłem go, mówiąc:

– Wszystko jest w rękach Boga. On zadecyduje, czy masz być uratowany z tej sytuacji czy nie. Jeżeli chodzi o mnie, wiesz, jakiego jestem zdania o tym. Spróbuję jednak ci pomóc, jeżeli szczerze przyznasz się do wszystkich popełnionych win.

124 Akho (1615–1675) – poeta, mistyk.

Rustomdźi siedział przygnębiony.

– Czy wystarczy, jeżeli wyznam wszystko przed tobą?

– Oszukałeś nie mnie, lecz władze. Jak możesz liczyć na to, że spowiedź przede mną uwolni cię od kary? – odpowiedziałem mu możliwie najłagodniej.

– Zrobię tak, jak mi, drogi bracie, poradzisz, ale czy nie należałoby zasięgnąć także rady adwokata X, który jest również moim przyjacielem? – zapytał Rustomdźi.

Dowiedziałem się, że uprawianie przemytu ciągnęło się od dość dawna, jednak nadużycia popełnione ostatnio wynosiły jakąś znikomą sumę. Udaliśmy się razem do radcy prawnego, którego zatrudniał Rustomdźi, a ten po zapoznaniu się z dokumentami oświadczył, że sprawa niewątpliwie zostanie oddana do sądu, a sędziowie w Natalu nie będą skorzy uwolnić Indusa od kary. Nie należy jednak tracić nadziei.

Nie znałem dość blisko tego prawnika, więc Rustomdźi odpowiedział mu, dziękując za poradę, przy czym dodał:

– Pójdę w tym przypadku za radą mister Gandhiego, który zna mnie dobrze. W razie potrzeby pozwolimy sobie zasięgnąć pańskiej rady.

Po przedstawieniu całej sprawy radcy prawnemu wróciliśmy do sklepu Rustomdźiego.

Wyjaśniając mu swoje stanowisko, powiedziałem:

– Nie przypuszczam, aby ta sprawa miała w ogóle trafić do sądu. Od władz celnych będzie zależało, czy puścić to płazem, czy wytoczyć powództwo, w każdym razie kierownik urzędu celnego będzie musiał zasięgnąć opinii naczelnego prokuratora. Gotów jestem odbyć konferencję z jednym i drugim. Proponowałbym zapłacić grzywnę, jaką oni wyznaczą, na co zapewne chętnie się zgodzą. W wypadku odmowy z ich strony, musi pan być przygotowany na to, że czeka go kara więzienia. Moim zdaniem – dodałem – popełnienie podobnego przestępstwa jest bardziej kompromitujące aniżeli pójście do więzienia. Zresztą, najadł się pan już dosyć wstydu, a karę więzienną powinien pan potraktować jako zasłużoną pokutę. Prawdziwa pokuta będzie jednak polegała na tym, że wyrzeknie się pan raz na zawsze uprawiania przemytu.

Nie mogę powiedzieć, by pars Rustomdźi z lekkim sercem przeżywał całą tę historię. Był to człowiek dzielny, ale w danej chwili zabrakło mu odwagi. W grę wchodziło jego dobre imię i popularność. Jakie byłyby jego dalsze losy, gdyby gmach, który budował z takim trudem i z takim nakładem pracy, rozpadł się w gruzy?

– Powiedziałem już, że jestem całkowicie w twoich rękach. Czyń, co uważasz za stosowne!

Podejmując się załatwienia tej sprawy, zrobiłem wszystko, na co mnie było stać. Spotkałem się z naczelnikiem wydziału celnego i bez ogródek powiadomiłem go o wszystkim. Przyrzekłem również, iż oddam do jego dyspozycji wszystkie księgi handlowe, i opowiedziałem, jak ogromną skruchę odczuwa z tego powodu Rustomdźi.

Oto co mi odpowiedział naczelnik urzędu celnego:

– Bardzo lubię starego Rustomdźiego. Martwi mnie, że popełnił takie szaleństwo. Pan chyba wie, jak powinienem postąpić. Muszę jednak kierować się tym, co mi poleci naczelny prokurator, i dlatego radzę panu użyć wszelkich środków, by uzyskać jego przychylność dla pańskiego klienta.

– Będę panu niezmiernie wdzięczny – odpowiedziałem – jeżeli nie będzie pan obstawał przy przekazaniu tej sprawy sądowi.

Po otrzymaniu odpowiedniego zapewnienia z jego strony zwróciłem się listownie do naczelnego prokuratora i uzyskałem spotkanie z nim.

Z przyjemnością stwierdzam, że prokurator należycie ocenił szczerość, z jaką przedstawiłem mu tę sprawę, i nabrał przeświadczenia, że nie ukryłem przed nim żadnego szczegółu.

Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, czy było to w związku z tą, czy też inną sprawą, kiedy mój upór i moja szczerość kazały mu zwrócić się do mnie słowami: „Widzę, że nie zwykł pan uważać odmowy za ostateczną odpowiedź!".

Sprawa Rustomdźiego została załatwiona kompromisowo. Kazano mu zapłacić grzywnę w wysokości podwójnej opłaty za oclenie towarów, do których przemycenia sam się przyznał.

Rustomdźi otrzymał zaświadczenie o anulowaniu całej sprawy, kazał oprawić ten dokument w ramki i powiesił w swoim biurze, jako wieczną przestrogę dla swoich spadkobierców i wszystkich innych kupców.

Niektórzy spośród przyjaciół Rustomdźiego odradzali mi wzięcie udziału w tej drażliwej sprawie. Kiedy mu powiedziałem o tej przestrodze, odrzekł: „Jaki los czekałby mnie, gdybym oszukał ciebie, mój bracie?".

CZĘŚĆ V

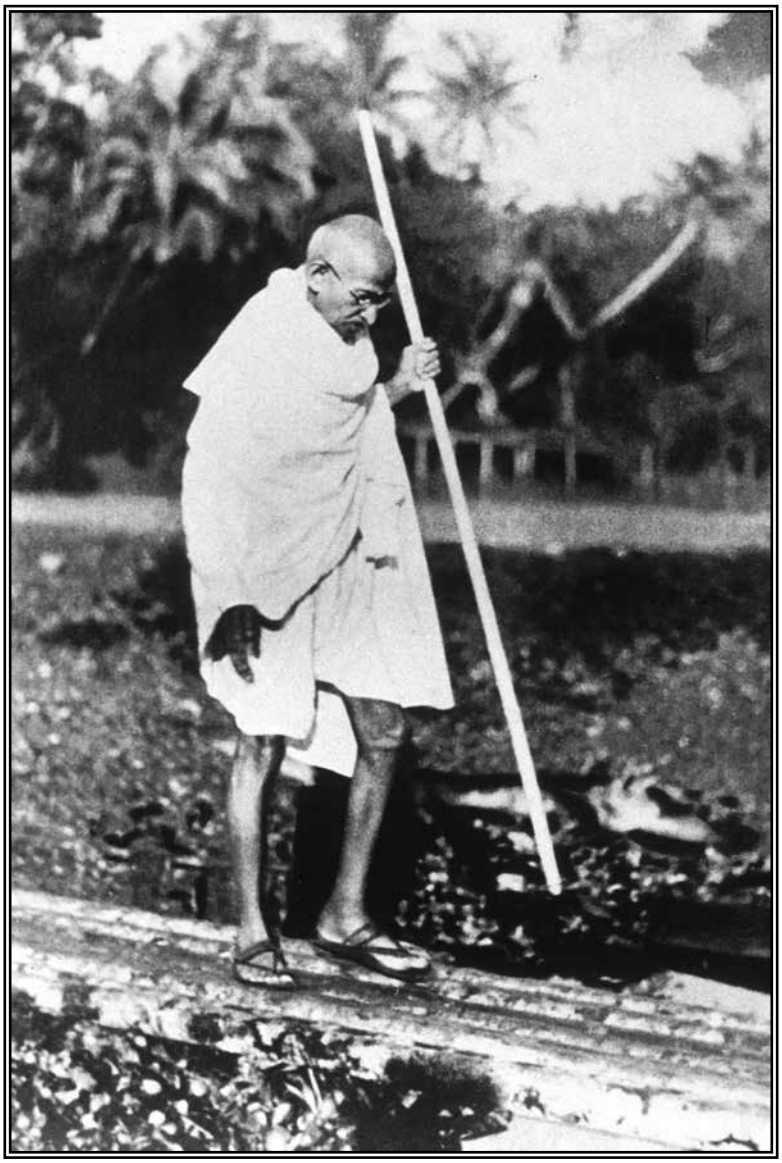

Zanim znalazłem się w domu, grupa ludzi, która wyjechała z Phoenix, już przybyła na miejsce. Zgodnie z naszym pierwotnym planem miałem przybyć przed nimi, ale moje zajęcia w Anglii związane z wojną zmieniły wszystkie nasze rachuby, a kiedy zorientowałem się, że mój pobyt w Anglii może się przeciągnąć w nieskończoność, stanąłem w obliczu konieczności znalezienia miejsca, gdzie mógłbym umieścić moją gromadkę z Phoenix. Chciałem, by, o ile to możliwe, zamieszkali wszyscy razem w Indiach i prowadzili ten sam tryb życia co w Phoenix.

Nie znałem żadnego aśramu[125], gdzie mógłbym ich skierować, i dlatego zatelegrafowałem do nich, by spotkali się u mister Andrewsa[126] i postąpili zgodnie z jego radą.

Z początku umieszczono wszystkich w Gurukul-Kangri[127], gdzie nieżyjący już *swami* Śraddhanandźi odniósł się do nich jak do swych własnych dzieci. Następnie ulokowano ich w aśramie, w Santiniketan[128], gdzie Poeta[129] i jego bliscy dali im dowody podobnej miłości. To, czego doznali w obu tych miejscach, przydało się zarówno im, jak i mnie.

Poeta, Śraddhanandźi oraz kierownik Suszil Rudra – jak o tym zwykłem opowiadać mister Andrewsowi – stanowili Trójprzymierze. Jeszcze podczas swego pobytu w Afryce Południowej mister Andrews nie przestawał mówić o nich, a w liczbie miłych wspomnień, jakie mi pozostały z Afryki Południowej, codzienne jego opowiadania o tej wielkiej „Trójce" należą do najprzyjemniejszych i najbardziej utrwalonych w mojej pamięci.

Mister Andrews skontaktował, oczywiście, przybyłych z Phoenix z Suszilem Rudrą. Rudra nie posiadał własnego aśramu, ale miał dom, który oddał

125 Aśram – rodzaj gminy lub falansteru, w którym przebywali zwolennicy ideałów głoszonych przez mistrza, poświęcając czas na prace i rozważania. Aśram Gandhiego znajdował się początkowo w Sabarmati pod Ahmedabadem, później zaś w Sevagram pod Wardhą.

126 Charles Freer Andrews (1871–1940) – pastor, misjonarz angielski w Indiach. Ściśle współpracował długie lata z Gandhim i opublikował wiele prac o nim. Wielki przyjaciel Rabindranatha Tagore.

127 Gurukul – rodzaj uniwersytetu i aśramu. Specjalnie wiele miejsca poświęcano w nim studiom literatury sanskryckiej i tradycji hinduskich.

128 Santiniketan (miejsce pokoju) – uniwersytet utworzony przez Tagorego w rejonie Bardwan, na północny wschód od Kalkuty.

129 Rabindranath Tagore.

całkowicie do dyspozycji naszej „rodziny" z Phoenix. Następnego dnia po przybyciu wszyscy czuli się tam jak we własnym domu i bynajmniej nie było im tęskno za Phoenix.

Dopiero po wylądowaniu w Bombaju dowiedziałem się, że przybysze z Phoenix znajdują się w Santiniketan. Natychmiast po zobaczeniu się z Gokhalem pragnąłem spotkać się z nimi wszystkimi. Powitanie w Bombaju dało mi sposobność do zorganizowania czegoś, co nazwałbym „małą satjagrahą".

Na przyjęciu wydanym na moją cześć w posiadłości mister Dżehangira Petita nie miałem odwagi przemówić w ojczystym języku gudźarati. Spędziwszy najlepsze lata mojego życia wśród kontraktowych robotników rolnych, czułem się w pałacowej atmosferze, pełnej niezwykłego przepychu, jak wieśniak. W moim odzieniu Katiawadi, w turbanie i *dhoti* miałem zapewne bardziej cywilizowany wygląd aniżeli obecnie, jednak wystawność i przepych panujące w rezydencji mister Petita sprawiały, że czułem się nieswojo. Przywykłem jednak do nich, schroniwszy się pod opiekuńcze skrzydła Sir Pherozeszaha.

Następnie odbyło się przyjęcie gudźarati, gdyż moi ziomkowie nie chcieli mnie puścić bez urządzenia na moją cześć spotkania, które zostało zorganizowane przez nieżyjącego już Uttamala Trivediego. Zaznajomiłem się zawczasu z programem. Mister Jinnah[130], który jako Gudźarati również był obecny – nie pamiętam jednak, czy przewodniczył, czy też był głównym mówcą – wygłosił krótkie i bardzo miłe przemówienie w języku angielskim. O ile pamiętam, większość innych przemówień była również w języku angielskim. Kiedy przyszła kolej na mnie, podziękowałem w języku gudźarati, wyrażając moje przywiązanie zarówno do gudźarati, jak i do hindi i z lekka protestując przeciwko posługiwaniu się angielskim językiem na zebraniu ludzi, których ojczystą mową jest gudźarati. Uczyniłem to po pewnym wahaniu, gdyż obawiałem się, że może to być uznane za niewłaściwy krok ze strony niedoświadczonego człowieka, który po długiej nieobecności powraca do domu i protestuje przeciwko ustalonym zwyczajom. Jednak nikt nie wytłumaczył sobie opacznie mojego nalegania, by mowy wygłaszano w języku gudźarati. Odczuwałem

130 Mohammed Ali Jinnah (1876–1948) – był do pierwszej wojny światowej zwolennikiem porozumienia muzułmańsko-hinduskiego; działał wówczas w Kongresie i Lidze Muzułmańskiej, postulując ścisłą współpracę tych organizacji. W latach 30. przeszedł na pozycję fanatycznej walki o odrębność muzułmanów i wystąpił przeciw hinduskiej większości w Kongresie. W okresie drugiej wojny światowej wysuwa hasło Pakistanu. W 1947 r. po utworzeniu Pakistanu został jego pierwszym generalnym gubernatorem.

nawet wielką przyjemność, widząc, że wszyscy solidaryzują się z moim sprzeciwem.

To zebranie dało mi podstawę do stwierdzenia, że nie będzie mi trudno propagować nowych zasad wśród swoich ziomków.

Po krótkim pobycie w Bombaju, wypełnionym tego rodzaju wstępnymi wydarzeniami, udałem się do Puny, dokąd wezwał mnie Gokhale.

II. Z GOKHALEM W PUNIE

araz po moim przybyciu do Bombaju Gokhale powiadomił mnie, iż gubernator pragnie zobaczyć się ze mną i że powinienem uczynić to przed udaniem się do Puny. Czyniąc zadość temu życzeniu, zameldowałem się u Jego Ekscelencji. Po wymianie zdawkowych zdań gubernator zwrócił się do mnie, mówiąc:

– Chciałbym prosić pana o jedno, a mianowicie, by zechciał pan przyjść i zobaczyć się ze mną, ilekroć będzie pan miał zamiar przedsięwziąć jakiekolwiek kroki mające coś wspólnego z rządem.

Odpowiedziałem mu na to:

– Mogę panu to przyrzec z tym większą łatwością, że jako s*atjagrahi* kieruję się zasadą konieczności poznawania poglądów mojego kontrahenta i w miarę możności osiągania porozumienia z nim. Ściśle przestrzegałem tej zasady w Afryce Południowej i zamierzam to samo czynić tutaj.

Lord Willingdon[131] podziękował mi i rzekł:

– Może pan przychodzić do mnie, kiedy pan będzie sobie tego życzył, a ja zrobię wszystko, by mój rząd nie postępował niewłaściwie.

Na co ja z kolei odpowiedziałem:

– Wierzę w to i dodaje mi to sił.

Następnie udałem się do Puny. Z trudem przychodzi mi wyliczenie wszystkich wydarzeń związanych z tym niezapomnianym okresem.

Gokhale oraz członkowie Stowarzyszenia Sług Indii[132] prześcigali się w okazywaniu mi swej uprzejmości. O ile sobie przypominam, Gokhale namawiał ich

131 Lord Willingdon – wówczas gubernator Bombaju. W 1931 r. został wicekrólem Indii.

132 Stowarzyszenie Sług Indii – założone w 1905 r. przez Gokhalego. Działalność stowarzyszenia miała charakter głównie społeczny. Z jego inspiracji powstały m.in. harcerstwo i ruch spółdzielczy w Indiach.

wszystkich, by spotykali się ze mną. Prowadziłem z nimi szczere rozmowy na różne tematy.

Gokhale bardzo pragnął, bym wstąpił do tego stowarzyszenia, ja również chciałem tego. Jednak członkowie stowarzyszenia uważali, że pomiędzy wyznawanymi przeze mnie zasadami a ich poglądami i metodami działania zachodzą zbyt wielkie różnice, aby było możliwe moje przystąpienie do niego. Gokhale sądził, że niezależnie od uporu, z jakim obstawałem przy swoich zasadach, mogłem i stać mnie było na to, by okazać tolerancję dla cudzych zapatrywań.

– Jednakże – mówił do mnie – członkowie stowarzyszenia nie uprzytomnili sobie jeszcze pańskiej gotowości do pójścia na kompromis. Uparcie trzymają się swoich zasad i są dość niezależni. Mam nadzieję, że przyjmą pana do swego grona, gdyby jednak miało być inaczej, niech pan nie sądzi, że jest to dowodem braku szacunku lub miłości dla pana. Ci ludzie nie są zdolni do popełnienia jakiegokolwiek ryzykownego kroku i nie chcą wystawiać na próbę szacunku, jaki żywią dla pana. Jednak bez względu na to, czy zostanie pan formalnie przyjęty do stowarzyszenia w charakterze członka, czy też nie, będę pana traktował, jak gdyby pan nim był.

Powiadomiłem Gokhalego o moich zamiarach, które sprowadziły się do tego, że bez względu na to, czy zostanę przyjęty do Stowarzyszenia czy też nie, pragnę mieć aśram, gdzie mógłbym się osiedlić wraz z moją „rodziną z Phoenix". Jako Gudźarati wolałbym, aby się znajdowała gdzieś w Gudźaracie, gdyż uważałem, że najlepiej przysłużę się swojemu krajowi, oddając swe usługi Gudźaratowi. Gokhalemu podobał się ten pomysł. Powiedział do mnie:

– Niech pan koniecznie to zrobi. Niezależnie od wyniku pańskich rozmów z członkami stowarzyszenia, proszę zwrócić się do mnie w sprawie wydatków, jakie pociągnie za sobą zorganizowanie aśramu, który będzie pan uważał za swój.

Radość wypełniła moje serce po brzegi. Byłem ogromnie uradowany z tego, że nie będę potrzebował zabiegać o środki materialne i brać wszystkiego na własne barki, lecz przeciwnie – że w razie jakichkolwiek trudności będę mógł liczyć na pewną pomoc i radę. Była to dla mnie wielka ulga.

Nieżyjący już doktor Dev został powiadomiony o wszystkim i otrzymał polecenie otwarcia dla mnie bieżącego rachunku w księgach stowarzyszenia oraz wypłacania mi każdej żądanej kwoty na cele związane ze zorganizowaniem aśramu oraz inne wydatki o charakterze publicznym.

Zacząłem czynić przygotowania do wyjazdu do Santiniketan. W przededniu wyjazdu Gokhale urządził przyjęcie w gronie wybranych przyjaciół, przy czym nie zapomniał o przygotowaniu ulubionych przeze mnie dań, jak owoce i orzechy.

Przyjęcie miało się odbyć tuż obok jego pokoju, ale nie czuł się on na siłach przebyć te kilka kroków, by w nim uczestniczyć. Jednak uczucie, jakim mnie obdarzał, wzięło górę i Gokhale uparł się, że musi być obecny. Przybył wprawdzie, lecz zemdlał i trzeba go było zanieść do jego pokoju. Tego rodzaju omdlenia nie były u niego rzadkością, toteż gdy przyszedł do siebie, nadesłał mi parę słów, w których prosił o nieprzerywanie przyjęcia.

Przyjęcie, o którym wspominam, było raczej sposobnością do wymiany poglądów na terenie przylegającym do posiadłości stowarzyszenia. Spożywając orzeszki ziemne, daktyle oraz inne świeże owoce dostępne o tej porze roku, prowadziliśmy serdeczne i przyjacielskie rozmowy.

Jednak ów wypadek z omdleniem nie był zwykłym wydarzeniem w moim życiu.

III. CZY TO BYŁA GROŹBA?

Puny udałem się do Radźkotu i Porbandaru, gdzie miałem się spotkać z wdową po moim bracie oraz z innymi krewnymi.

Podczas kampanii Satjagraha w Afryce Południowej zmieniłem swój sposób ubierania się, przystosowując go bardziej do sposobu, w jaki ubierali się kontraktowi robotnicy rolni; zresztą w Anglii również chodziłem po domu podobnie ubrany. Na przybycie do Bombaju przygotowałem strój Katiawadi, składający się z koszuli, *dhoti*, surduta oraz białego szalika. Wszystko to było utkane z bawełny indyjskiej. Wobec tego jednak, że podróż z Bombaju miałem odbyć trzecią klasą, uznałem, że zarówno ów szal, jak i surdut będą bardzo niepraktyczne, i dlatego wyzbyłem się tego wszystkiego i kupiłem czapkę kaszmirską, za którą zapłaciłem około ośmiu lub dziesięciu ann. Człowiek ubrany w ten sposób mógł być pewien, że go wszędzie wezmą za biedaka.

W związku z grasującą w owym czasie epidemią dżumy pasażerowie podróżujący trzecią klasą podlegali oględzinom lekarskim, chyba w Viramgamie[133] albo w Wadhwanie[134] – nie pamiętam. Miałem wtedy z lekka podwyższoną temperaturę. Po stwierdzeniu, że mam gorączkę, inspektor sanitarny polecił mi, bym się zameldował u lekarza w Radźkocie, i zapisał sobie moje nazwisko.

133 Viramgam – małe miasteczko w Gudźaracie, na wschód od Ahmedabadu.

134 Wadhwan – miasteczko położone 60 km na południowy wschód od Viramgamu.

Widocznie ktoś musiał wysłać wiadomość o tym, że będę przejeżdżał przez Wadhwan, gdyż krawiec Motilal, wybitny miejscowy działacz, oczekiwał mnie na dworcu. Opowiadał mi o przepisach celnych w Viramgamie i przykrościach, na jakie są w związku z tym narażeni podróżni jadący koleją.

Nie miałem wielkiej ochoty do rozmowy ze względu na trapiącą mnie gorączkę, usiłowałem więc skończyć ją, odpowiadając mu w formie zapytania:

– Czy jesteście gotowi pójść do więzienia?

Uważałem Motilala za jednego z owych impulsywnych młodych ludzi, co to mówią, zanim się zastanowią. Pomyliłem się jednak, gdyż Motilal odpowiedział zdecydowanym tonem:

– Gotowi jesteśmy pójść do więzienia, jeżeli wy staniecie na czele. Jako ludzie z Katiawadu my przede wszystkim mamy do was prawo. Nie możemy – rzecz prosta – domagać się, abyście się teraz tu zatrzymali, ale musicie nam obiecać, że zrobicie to w powrotnej drodze. Będziecie zachwyceni, gdy zobaczycie, jak pracuje i jakim duchem jest ożywiona nasza młodzież, a wtedy uwierzycie, że stawimy się wszyscy, gdy nas zawezwiecie.

Słowa Motilala zrobiły na mnie duże wrażenie. Jego towarzysz usiłował go usprawiedliwić, mówiąc:

– Nasz przyjaciel jest wprawdzie tylko krawcem, ale jest takim mistrzem w swoim zawodzie, że pracując zaledwie godzinę dziennie, zarabia piętnaście rupii miesięcznie, co mu najzupełniej wystarcza na jego potrzeby; resztę swego czasu poświęca pracy społecznej. Jest naszym przywódcą i wytyka nam nasze nieuctwo.

Nawiązałem później bliższy kontakt z Motilalem i przekonałem się, że w tych pochwałach nie było żadnej przesady. Uważał on za swój obowiązek spędzać każdego miesiąca parę dni w naszym nowo powstałym aśramie, by uczyć dzieci krawiectwa i samemu wykonywać pewne prace krawieckie dla członków naszej gminy. Opowiadał mi codziennie o Viramgamie, o trudnościach, jakie napotykają podróżni, a które stały się dla niego czymś nie do zniesienia. Nagła choroba spowodowała jego śmierć w kwiecie wieku, a życie publiczne w Wadhwanie boleśnie odczuło jego brak.

Następnego dnia po przybyciu do Radźkotu zameldowałem się u lekarza. Znano mnie tutaj. Lekarz czuł się zawstydzony i rozgniewał się na inspektora sanitarnego. Było to zgoła niepotrzebne, gdyż ten jedynie spełniał należący do niego obowiązek. Nie wiedział, kim jestem, a nawet gdyby wiedział, nie mógł postąpić inaczej. Lekarz nie pozwolił, abym sam udał się do owego inspektora, i obstawał przy tym, by on przyszedł do mnie.

Kontrola sanitarna pasażerów trzeciej klasy jest w podobnych razach niezbędna. Jeżeli któraś z osób znaczniejszych, niezależnie od zajmowanego stanowiska, decyduje się na odbywanie podróży trzecią klasą, musi się dobrowolnie poddać rygorom, jakie się stosuje wobec biedaków, a urzędnicy powinni zachować należną bezstronność. Z moich osobistych doświadczeń wynika, iż urzędnicy zamiast traktować pasażerów trzeciej klasy jak ludzi równych sobie, patrzą na nich jak na barany. Traktują ich z góry i nie znoszą żadnych odpowiedzi lub tłumaczenia się. Pasażer trzeciej klasy ma słuchać każdego urzędnika niczym jego sługa, a tamtemu wolno go bezkarnie zwymyślać, oszukać lub sprzedając bilet, robić najróżniejsze trudności, do tego stopnia, że taki pasażer często spóźnia się na pociąg.

Wszystko to oglądałem na własne oczy. Żadnej poprawy nie da się osiągnąć, jeżeli niektórzy wykształceni i zamożni podróżni nie postawią się dobrowolnie w sytuacji ubogich pasażerów, nie zaczną sami podróżować trzecią klasą, rezygnując z przywilejów, których są pozbawieni ubodzy, i zamiast godzić się na łatwe do usunięcia szykany, niewygody i niesprawiedliwości, nie zaczną walczyć o ich zniesienie.

Ilekroć udawałem się do Katiawadu, musiałem wysłuchiwać skarg na kłopoty związane z cłem w Viramgamie. Postanowiłem więc niezwłocznie zrobić użytek z propozycji, jaką mi uczynił lord Willingdon.

Zebrałem i przestudiowałem wszystko, co zostało napisane na ten temat, nabrałem bezwzględnego przekonania o słuszności skarg i rozpocząłem korespondencję w tej sprawie z rządem w Bombaju. Widziałem się z prywatnym sekretarzem lorda Willingdona i czekałem na audiencję u Jego Ekscelencji. Gubernator wyraził swój żal z powodu takiego stanu rzeczy, ale zrzucił całą winę na Delhi.

– Gdyby ta sprawa znajdowała się w naszych rękach, od dawna usunęlibyśmy barierę celną. Powinien pan porozumieć się w tej sprawie z rządem Indii – powiedział mi sekretarz.

Napisałem do rządu Indii, ale poza potwierdzeniem odbioru mego listu żadnej innej odpowiedzi nie otrzymałem. Dopiero kiedy miałem sposobność spotkać się z lordem Chelmsfordem, udało się naprawić te błędy. Lord Chelmsford był zdumiony, kiedy mu przedstawiłem faktyczny stan rzeczy, o którym absolutnie nic nie wiedział. Po cierpliwym wysłuchaniu mnie lord Chelmsford z miejsca zażądał telefonicznie przysłania mu wszystkich dokumentów dotyczących Viramgamu oraz przyrzekł skasować barierę celną, jeżeli miejscowe władze

nie będą w stanie dostarczyć przekonujących dowodów na rzecz jej utrzymania. Po upływie paru dni od tej rozmowy przeczytałem w pismach, że bariera celna w Viramgamie została zniesiona.

Uważałem to wydarzenie za początek akcji Satjagraha w Indiach. Podczas audiencji udzielonej mi przez przedstawiciela rządu w Bombaju sekretarz wyraził swe niezadowolenie z powodu aluzji, jaką uczyniłem pod adresem akcji Satjagraha w przemówieniu wygłoszonym w Bagasra, w Katiawadzie.

– Czy to nie jest groźba? – zapytał mnie. – I czy sądzi pan, że silny rząd ustąpi przed groźbami?

– Nie była to żadna groźba – odpowiedziałem. – Ja uświadamiam mój naród. Uważam za swój obowiązek pouczyć go o wszystkich prawnych środkach, za pomocą których może zwalczać wyrządzane mu krzywdy. Naród, który pragnie odzyskać niepodległość, powinien znać wszystkie drogi i wszystkie środki prowadzące do wolności. Zazwyczaj sięga się do gwałtu, jako ostatniego środka działania. Satjagraha natomiast jest bronią, która nie ma nic wspólnego z gwałtem. Uważam za swój obowiązek wyjaśnić, jak należy się nią posługiwać i do jakich granic. Nie wątpię, iż rząd brytyjski jest rządem silnym, ale jednocześnie nie mam wątpliwości, że akcja Satjagraha jest bardzo radykalnym środkiem działania.

Rozumny sekretarz gubernatora kiwnął głową i powiedział:

– Zobaczymy!

IV. SANTINIKETAN

Z Radźkotu udałem się do Santiniketanu. Nauczyciele i wychowankowie dali wiele dowodów gorącego uczucia, jakim mnie darzyli. Przyjęcie było piękną manifestacją prostoty, sztuki i miłości. Tu właśnie po raz pierwszy spotkałem Kakasaheba Kalelkara.

Nie wiedziałem, dlaczego Kalelkar nazywa się „Kakasaheb". Dowiedziałem się później, że Keszawrao Deszpande, który był w swoim czasie w Anglii moim bliskim przyjacielem i został w księstwie Baroda dyrektorem zakładu naukowego, noszącego nazwę Ganganath Vidyalaya, nadał nauczycielom przydomki rodzinne, by stworzyć w Vidyalaya[135] rodzinną atmosferę.

135 Vidyalaya – uniwersytet.

Kalelkar, który był wtedy nauczycielem, otrzymał przydomek „kaka", co dosłownie znaczyło „stryj" , Phadke został nazwany „mama", co oznaczało „wujek", a Harihar Szarma dostał przydomek „anna", to jest „brat". Inni wychowawcy otrzymali podobne przydomki.

Anandanand (*swami*) – przyjaciel kaki i Patwardhan (appa) – przyjaciel mamy przyłączyli się później do rodziny; z biegiem czasu wszyscy oni jeden po drugim współpracowali ze mną.

Deszpanda nazywano zazwyczaj sahebem. Kiedy uniwersytet Vidyalaya przestał istnieć, rozpadła się również związana z nim rodzina, chociaż nadal istniała wspólnota duchowa i posługiwano się wspomnianymi przydomkami.

Kakasaheb wyjechał, by zdobyć więcej doświadczenia, współpracując w różnych organizacjach, i przypadkowo znajdował się w Santiniketanie, kiedy tam przyjechałem. Ćintaman Szastri, który należał do tego samego braterskiego związku, również tam był. Obydwaj pomagali w nauczaniu sanskrytu.

„Rodzinie" z Phoenix przydzielono w Santiniketanie osobne kwatery. Na czele „rodziny" stał Maganlal Gandhi i czuwał nad tym, by wszystkie reguły obowiązujące w gromadzie w Phoenix były i tu skrupulatnie przestrzegane. Mogłem stwierdzić, iż miłość, wiedza i wytrwałość dawały się wyczuć w ogólnej atmosferze, jaka panowała w Santiniketanie.

Był tam Andrews, a także Pearson. Pomiędzy nauczycielami z Bengalu, z którymi nawiązałem bliższe stosunki, znajdowali się: Dźagadanandbabu, Nepalbabu, Santoszbabu, Kśitimohanbabu, Nagenbabu, Śaradbabu i Kalibabu.

Zgodnie z moim obyczajem szybko znalazłem się wśród wychowawców i wychowanków i wciągnąłem ich do dyskusji na temat samoobsługi. Przekonałem wychowawców, że jeżeli oni i ich uczniowie zrezygnują z usług płatnych kucharzy i sami będą przygotowywali dla siebie posiłki, pozwoli to wychowawcom mieć pieczę nad fizycznym i moralnym zdrowiem wychowanków, a jednocześnie posłuży młodzieży jako praktyczna lekcja samoobsługi. Jeden czy też dwóch potrząsało przecząco głowami, natomiast inni gorąco poparli tę propozycję. Wychowankowie powitali ją z radością – choć może jedynie z powodu upodobania do wszelkich innowacji. W ten sposób podjęty został nowy eksperyment. Kiedy zwróciłem się do Poety, by zechciał wyrazić swą opinię, odpowiedział mi, że nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem że wychowawcy potraktują całą sprawę przychylnie.

Zwracając się do chłopców powiedział: „Eksperyment, który podejmujemy, jest drogą prowadzącą do *swaradź*" .

Pearson czynił nadludzkie wysiłki, by doprowadzić ten eksperyment do pomyślnego końca. Z niezwykłym zapałem zabrał się do roboty. Zorganizowano specjalną brygadę do krajania jarzyn, inną do przesiewania ziarna i tak dalej.

Nagenbabu oraz inni podjęli się przestrzegania warunków sanitarnych w kuchni i w jej sąsiedztwie. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłem, jak pracowali, trzymając w rękach łopaty.

Jednak te wymagania, postawione stu dwudziestu pięciu chłopcom oraz ich wychowawcom, były zbyt wielkie i łączyły się z ogromnym wysiłkiem fizycznym. Codziennie toczyły się na ten temat dyskusje. Niektórzy zaczęli dość wcześnie objawiać zmęczenie, ale Pearson był człowiekiem, któremu to uczucie było obce. Stale można go było spotkać z uśmiechniętą twarzą, jak robił coś w kuchni lub poza nią. Pearson podjął się mycia większych naczyń kuchennych. Gromadka wychowanków przygrywała na sitarach[136], by umilić czas zajętej myciem brygadzie. Wszyscy gorliwie zabrali się do roboty i w Santiniketanie zawrzało jak w ulu.

Gdy się raz rozpoczną tego rodzaju przeobrażenia, zazwyczaj mają one tendencję do dalszego rozwoju. Okazało się, że brygada z Phoenix zatrudniona w kuchni nie tylko potrafi sama dawać sobie radę, lecz również przygotowane przez nią posiłki uległy znacznemu uproszczeniu. Unikało się wszelkich przypraw. Ryż, dal, jarzyny, a nawet mąka – wszystko to było jednocześnie gotowane w jednym garnku nad parą. Wychowankowie zakładu w Santiniketanie zorganizowali kuchnię tak samo, mając na celu zreformowanie stosowanego w Bengalu sposobu przyrządzania posiłków. Prowadzeniem kuchni zajmowali się jeden czy też dwóch wychowawców oraz kilku wychowanków.

Jednak po pewnym czasie wspomniany eksperyment został zaniechany. Uważam, iż ten głośny zakład naukowy nic nie stracił na tym, że przez niedługi zresztą czas dokonywano tego rodzaju prób, które mogły jedynie przynieść pewną pomoc wychowawcom.

Miałem zamiar pozostać pewien czas w Santiniketanie, jednak los chciał inaczej. Minął zaledwie tydzień od mego przybycia, kiedy otrzymałem z Puny telegram zawiadamiający mnie o śmierci Gokhalego[137]. Santiniketan okrył się żałobą. Wszyscy członkowie miejscowej gminy przyszli do mnie, by wyrazić swe współczucie. W miejscowej świątyni zwołano specjalne zebranie na znak narodowej żałoby. Była to bardzo podniosła uroczystość. Tego samego dnia

136 Sitar – instrument muzyczny przypominający gitarę.

137 Śmierć Gokhalego nastąpiła 19 lutego 1915 r.

wyjechałem do Puny wraz z moją żoną i Maganlalem. Wszyscy inni pozostali w Santiniketanie.

Andrews towarzyszył mi do Burdwanu.

– Czy sądzisz – zapytał mnie – że przyjdzie czas na podjęcie akcji Satjagraha również w Indiach? A jeżeli tak, to kiedy, twoim zdaniem, może to nastąpić?

– Trudno odpowiedzieć na to pytanie – odrzekłem. – W ciągu całego roku nie będę mógł się tym zająć, gdyż przyrzekłem Gokhalemu, że odbędę podróż po całych Indiach dla zdobycia doświadczenia i nie będę zabierał głosu w sprawach publicznych, aż nie skończę okresu szkolenia. Nawet po upływie tego roku nie będę się kwapił do wygłaszania przemówień, czy też wyrażania swoich poglądów. Dlatego też nie sądzę, aby w ciągu najbliższych mniej więcej pięciu lat mogła powstać możliwość podjęcia akcji Satjagraha.

Chciałbym w związku z tym zaznaczyć, że Gokhale śmiał się z niektórych moich pomysłów związanych z *Hind Swaradż* (Autonomia Indii), mówiąc: „Po roku pobytu w Indiach twoje pomysły same ulegną zmianie".

V. NIEDOLE PASAŻERÓW TRZECIEJ KLASY

W Burdwanie mieliśmy sposobność zetknąć się ze wszystkimi szykanami, na jakie są narażeni pasażerowie trzeciej klasy, nawet przy nabywaniu biletu kolejowego.

– Biletów trzeciej klasy nie sprzedaje się wcześniej – powiedziano nam.

Udałem się do naczelnika stacji, aczkolwiek dostać się do niego nie było wcale rzeczą prostą. Ktoś uprzejmie wskazał mi, gdzie go można znaleźć, i przedstawiłem mu trudną sytuację, w której się znaleźliśmy. Odpowiedział nam to samo. Natychmiast po otworzeniu okienka w kasie udałem się, by kupić bilety. Nie było to jednak łatwe do zrealizowania. Rządziła tu siła. Podróżni, którzy byli przede mną, nie licząc się z tymi, którzy nadeszli później, wypchnęli mnie z kolejki. Byłem prawie ostatni w tłumie ludzi pragnących nabyć bilety. Wreszcie nadjechał pociąg, ale dostanie się do niego było nową ciężką przeprawą. Pomiędzy tymi, którzy już byli w wagonach, a tymi, którzy się do nich chcieli dostać, odbywała się niczym nieskrępowana wymiana szturchańców i była stosowana wszelkiego rodzaju przemoc fizyczna. Biegaliśmy po peronie tam i z powrotem, ale wszędzie słyszeliśmy: „Tu nie ma już miejsc!". Zwróciłem się do konduktora, który mi powiedział:

– Musicie się sami postarać o znalezienie miejsca, gdzie się da, albo zaczekajcie na następny pociąg!

– Ależ ja mam bardzo pilne sprawy! – odpowiedziałem z zachowaniem należnego respektu. Ów dygnitarz kolejowy nie miał czasu na słuchanie tego, co do niego mówiłem. Nie wiedziałem, co czynić. Powiedziałem Maganlalowi, aby się ulokował, gdzie się da, a sam z żoną wszedłem do przedziału innej klasy. Konduktor widział, jak wchodziliśmy, i na stacji Asansol zjawił się, by ściągnąć z nas dodatkową opłatę.

Powiedziałem mu:

– Pańskim obowiązkiem było znalezienie miejsca dla nas. Nie mogliśmy go nigdzie znaleźć i zajęliśmy je tutaj. Będziemy bardzo radzi, jeżeli pan znajdzie dla nas miejsca w trzeciej klasie.

– Nie sprzeczajcie się ze mną. Albo zapłacicie dodatkową opłatę, albo musicie opuścić ten przedział.

Zależało mi na tym, aby możliwie najprędzej znaleźć się w Punie. Nie miałem zamiaru staczać walki z konduktorem, zapłaciłem więc dodatkową opłatę aż do Puny. Byłem oburzony tą niesprawiedliwością.

Nad ranem przybyliśmy do Mogalsarai. Maganlal zdobył miejsce w trzeciej klasie, do której się przeniosłem. Przedstawiłem całą tę sprawę kontrolerowi i zwróciłem się do niego z żądaniem, by wydał mi zaświadczenie stwierdzające, iż w Mogalsarai przesiadłem się do wagonu trzeciej klasy. Kontroler odmówił. Zwróciłem się do władz kolejowych i otrzymałem następującą odpowiedź:

– Wprawdzie nie ma zwyczaju zwracania nadpłaty bez okazania odpowiedniego zaświadczenia, ale gotowi jesteśmy zrobić wyjątek w tym wypadku. Natomiast nie uważamy za możliwe zwrócenia nadpłaty za przejazd pomiędzy stacjami Burdwan a Mogalsarai.

Od tego czasu nagromadziłem taką ilość doświadczeń z podróży trzecią klasą, że gdybym chciał je wszystkie spisać, można byłoby bez trudu ułożyć z nich spory tom. W następnych rozdziałach będę mógł o nich wspomnieć zaledwie przelotnie. Ogromnie żałuję i nie przestanę zapewne nigdy ubolewać nad tym, że zły stan zdrowia zmusił mnie do zaniechania odbywania podróży trzecią klasą.

Krzywdy, jakie spotykają podróżujących trzecią klasą, należy niewątpliwie przypisać w głównej mierze nadmiernej gorliwości władz kolejowych. Brutalność, złe obyczaje, egoizm oraz nieuctwo pasażerów w nie mniejszym stopniu zasługują na potępienie. Wielka szkoda, że bardzo często sami nie zdają sobie

sprawy z tego, że zachowują się źle, że są niechlujni i samolubni. Wydaje im się, że wszystko, co robią, jest dozwolone. W rezultacie doprowadza to do tego, że my, tak zwani ludzie wykształceni, przestajemy się interesować ich losem.

Do Kaljanu przybyliśmy śmiertelnie znużeni. Maganlal i ja zdobyliśmy nieco wody z pompy znajdującej się na stacji i wykąpaliśmy się. W chwili kiedy byłem zajęty przygotowaniem kąpieli dla mojej żony, jeden z członków Stowarzyszenia Sług Indii, Kaul, poznał mnie i podszedł do nas. On również udawał się do Puny. Zaproponował, iż zaprowadzi moją żonę do przedziału kąpielowego w drugiej klasie. Wahałem się, czy przyjąć tę uprzejmą propozycję. Wiedziałem wprawdzie, że moja żona nie ma prawa korzystać z kąpielowego przedziału w drugiej klasie, ale ostatecznie zgodziłem się na to uchybienie. Sądzę, że nie narusza to w niczym złożonego przeze mnie ślubowania dotrzymywania wierności Prawdzie. Mojej żonie nie bardzo zależało na użyciu tego kąpielowego przedziału, ale dbałość męża o żonę wzięła tym razem górę nad jego przywiązaniem do Prawdy.

„Oblicze Prawdy – jak jest powiedziane w *Upaniszadach* – jest ukryte za złotym welonem *maya*[138]".

VI. CZY WSTĄPIĆ DO STOWARZYSZENIA

Po przybyciu do Puny znaleźliśmy się znowu razem i po uprzednim dokonaniu rytuału *śraddha*[139] zaczęliśmy dyskutować o przyszłości stowarzyszenia i sprawie mego ewentualnego przystąpienia do niego. Sprawa mojego członkostwa była dla mnie dość subtelnym zagadnieniem do rozstrzygnięcia. Za życia Gokhalego nie ubiegałem się o należenie do stowarzyszenia, gdyż miałem jedynie spełniać jego rozkazy, co mi jak najbardziej odpowiadało. Rzucając się w wir życia publicznego w Indiach, musiałem mieć pewnego przewodnika. Miałem go w Gokhalem i czułem się pod jego kierownictwem pewny. Obecnie, kiedy go zabrakło, musiałem polegać na własnych siłach i zdawałem sobie sprawę, że powinienem dążyć do przyjęcia mnie w poczet członków stowarzyszenia. Sądziłem, że odpowiadałoby to życzeniom Gokhalego. Nie wahając się przeto i z mocnym postanowieniem wytrwania w zamiarze, rozpocząłem starania o przyjęcie mnie do tej organizacji.

---

138 *Maya* – nicość świata materialnego (ułuda).

139 *Śraddha* – rytuał pogrzebowy i ceremonie pośmiertne.

Okoliczności tak się złożyły, że większość członków stowarzyszenia była obecna w Punie. Rozpocząłem z nimi pertraktacje i usiłowałem rozwiać ich obawy związane z moją osobą. Widziałem jednak, że zdania są podzielone. Część członków była za przyjęciem mnie, inna jawnie się temu sprzeciwiała. Wiedziałem, że ta grupa żywi pewne sympatie dla mnie, jednak ich lojalność w stosunku do Stowarzyszenia przeważyła, a w każdym razie dorównywała ich uczuciom dla mnie. Wszystkie nasze rozmowy były więc pozbawione jakiegokolwiek rozgoryczenia i dotyczyły wyłącznie spraw zasadniczych. Część członków sprzeciwiała się mojemu przystąpieniu, twierdząc, że niektóre moje zapatrywania na zasadnicze sprawy stoją w rażącej sprzeczności z ich poglądami, przy czym uważali, że przyjęcie mnie w poczet członków stowarzyszenia może w wielu wypadkach zagrażać celom, dla których zostało ono powołane do życia, do czego oczywiście nie mogli dopuścić.

Po długotrwałych sporach rozeszliśmy się, odraczając ostateczną decyzję na później.

Po powrocie do domu byłem dość wzburzony. Czy wypadało, abym został przyjęty większością głosów? Czy pozostawałoby to w zgodzie z moim uczuciem lojalności wobec Gokhalego? Zdawałem sobie najwyraźniej sprawę z tego, że wobec powstania tak rażących rozbieżności pomiędzy członkami stowarzyszenia w związku z przyjęciem mnie, najlepszym wyjściem byłoby zaniechanie wszelkich dalszych starań o przyjęcie, a tym samym umożliwienie tym, którzy są mi przeciwni, wyjścia z niezręcznej sytuacji. Miałem zamiar w ten sposób potwierdzić moją lojalność zarówno wobec stowarzyszenia, jak i Gokhalego. To postanowienie przyszło do mnie nieoczekiwanie i niezwłocznie napisałem do mister Szastriego, prosząc go, by nie wyznaczał następnego terminu zebrania. Ci, którzy byli przeciwni mojemu przyjęciu, ocenili właściwie moje postępowanie. Wybawiłem ich z przykrego położenia, a tym samym zacieśniłem więzy łączącej nas przyjaźni. Wycofanie mojego podania uczyniło ze mnie prawdziwego członka stowarzyszenia.

Późniejsze wydarzenia wykazały, że postąpiłem rozumnie, nie zostając formalnym członkiem stowarzyszenia, i że stanowisko tych, którzy się temu sprzeciwiali, było słuszne. Okazało się również, że istotnie nasze poglądy w wielu sprawach poważnie się różniły, jednak bynajmniej nie wywołało to uczucia obcości lub niechęci między nami. Pozostaliśmy złączeni braterskimi więzami, a siedziba stowarzyszenia w Punie pozostała na zawsze miejscem, które chętnie odwiedzałem.

To prawda, że formalnie nie zostałem członkiem stowarzyszenia, byłem nim jednak w sensie duchowym. Więzy duchowe często są cenniejsze od fizycznych, a związek fizyczny pozbawiony więzi duchowej jest jak ciało bez duszy.

VII. KUMBHA MELA[140]

Następnie wyjechałem do Rangunu, aby się spotkać z doktorem Mehtą, i po drodze zatrzymałem się w Kalkucie. Byłem gościem nieżyjącego już dziś babu Bhupendranatha Basu. Gościnność Bengalczyków osiągnęła tu swój szczyt. W owym czasie żywiłem się wyłącznie owocami, zamówiono więc dla mnie wszelkiego rodzaju owoce i orzechy, jakie można było otrzymać w Kalkucie. Panie domu całą noc rozłupywały dla mnie orzechy różnych gatunków. Zadano sobie moc trudu, aby przyrządzić świeże owoce według przyjętego w Indiach zwyczaju. Dla towarzyszących mi osób, wśród których znajdował się również mój syn Ramdas, przygotowano mnóstwo różnych smakołyków i chociaż bardzo wysoko ceniłem okazaną mi gościnność, nie mogłem się pogodzić z tym, że cały dom był postawiony na nogi, by przyjąć dwóch czy też trzech gości. Nie widziałem jednak sposobu, jak uniknąć tych nad wyraz nas krępujących dowodów uznania.

Na statku płynącym do Rangunu byłem pasażerem pokładowym. O ile w domu Basu krępował nas nadmiar poświęcanej nam uwagi, o tyle na statku spotkaliśmy się z brakiem wszelkiej uwagi i najbardziej elementarnych wygód dla podróżujących na pokładzie. Jakie usprawiedliwienie można znaleźć na to, że łazienki były nieprawdopodobnie brudne, a ustępy cuchnęły? By skorzystać z ustępów, trzeba było brnąć przez kałuże moczu oraz sterty nieczystości lub też przez nie przeskakiwać. Było to ponad ludzkie siły. Bezskutecznie interweniowałem u starszego oficera, cóż kiedy pasażerowie sami swoim zachowaniem jeszcze bardziej pogarszali całą sytuację, plując dokoła siebie, zaśmiecając wszystko resztkami żywności, tytoniem i liśćmi betelu. Wszędzie panował nieopisany rozgardiasz, a każdy usiłował zagarnąć dla siebie możliwie najwięcej miejsca. Bagaż, jaki ci ludzie wieźli ze sobą, zajmował więcej miejsca aniżeli oni sami. Dwa dni spędzone w tej podróży były wystawieniem się na najcięższą próbę.

---

140 Kumbha Mela – określenie wielkich pielgrzymek, odpustów, jarmarków odbywających się na brzegu Gangesu – w Haridwarze albo Prajagu (blisko Allahabadu).

Po przybyciu do Rangunu napisałem do przedstawiciela linii okrętowej, powiadamiając go o wszystkim. Dzięki temu listowi oraz staraniom doktora Mehty podróż powrotna, mimo iż również odbyliśmy ją na pokładzie, była już mniej męcząca.

W Rangunie moja dieta owocowa znów była źródłem dodatkowych kłopotów dla podejmujących mnie gospodarzy. Wobec tego jednak, że uważałem dom doktora Mehty niemal za swój, mogłem nieco ukrócić obfitość potraw. W każdym jednak razie licząc się z tym, że nie ograniczyłem dokładnie ilości spożywanych przeze mnie produktów, zarówno podniebienie, jak i oczy nie protestowały przeciwko różnorodności dań, jakie podawano do stołu. Godziny posiłków nie były ustalone. Osobiście wolałem jadać ostatni raz przed zapadnięciem nocy. Nigdy jednak – z reguły – nie wypadało to wcześniej niż o ósmej lub dziewiątej.

Tego roku – 1915 – przypadła pielgrzymka Kumbha, odbywająca się w Haridwarze co dwanaście lat. Nie miałem wcale ochoty brać w niej udziału, natomiast ogromnie mi zależało na zobaczeniu się z Mahatmą Munsziramdźim, który przebywał w swoim Gurukule.

Stowarzyszenie Gokhalego wysłało na Kumbhę duży ochotniczy oddział, który miał tam pełnić służbę. Na jego czele stał pandit Hridayanath Kunzru, a nieżyjący już doktor Dev pełnił w nim obowiązki lekarza. Poproszono również mnie do wysłania grupy z Phoenix, a Maganlal Gandhi wyjechał tam przede mną. W powrotnej drodze z Rangunu miałem się do nich przyłączyć.

Podróż z Kalkuty do Haridwaru była szczególnie męcząca. W przedziale kolejowym od czasu do czasu nie było światła. Od Saharanpuru stłoczono nas w wagonach towarowych lub przeznaczonych do przewożenia bydła. Były one bez dachów, rezultat był więc ten, że mając nad głowami palące słońce i siedząc na rozgrzanej żelaznej podłodze, po prostu się smażyliśmy. Nawet męczarnie pragnienia, jakie sprawiała podróż w tych warunkach, nie mogły skłonić ortodoksyjnych hindusów do napicia się wody, jeżeli była „muzułmańska" . Czekali więc, aż będą mogli dostać „hinduską" . Warto zaznaczyć, że ci prawdziwi hindusi nie mają tych wahań, kiedy są chorzy i zgodnie z zaleceniem lekarza piją wino, mięsne buliony lub lekarstwa przyrządzone przez muzułmanina czy chrześcijanina i zawierające wodę.

Pobyt w Santiniketanie przekonał nas, że zamiatanie i uprzątanie śmieci będzie naszym specjalnym zajęciem w Indiach. Obecnie zbudowano dla ochotników w Haridwarze namioty w *dharmaśala* (przytułku), a doktor Dev kazał

wykopać kilka dołów, które miały służyć za ustępy. Był zmuszony płacić sprzątaczom za utrzymanie czystości. Było to odpowiednie zajęcie dla naszej gromady z Phoenix. Zaofiarowaliśmy swe usługi przy zasypywaniu nieczystości ziemią, a następnie przy ich wywożeniu, na co doktor Dev z radością się zgodził. Propozycja ta była oczywiście uczyniona za moim pośrednictwem, ale jej wykonaniem zajął się Maganlal Gandhi. Moje zajęcie polegało przeważnie na tym, że siedziałem w namiocie, udzielałem błogosławieństwa (*darśan)* oraz prowadziłem religijne i wszelkie inne rozmowy z pielgrzymami, którzy się do mnie zgłaszali. Nie miałem ani jednej wolnej chwili. Nawet kiedy udawałem się do kąpieli, nie odstępowali mnie pobożni pątnicy, pragnący otrzymać ode mnie błogosławieństwo; to samo działo się, gdy spożywałem posiłki.

Dopiero podczas pobytu w Haridwarze przekonałem się, jak wielkie wrażenie w całych Indiach wywarły moje skromne wysiłki w Afryce Południowej. Nie była to jednak sytuacja godna zazdrości. Czułem, jak gdybym się znalazł gdzieś pomiędzy piekłem a bezdennym morzem. Kiedy mnie nikt nie poznawał, spotykał mnie ciężki los milionów ludzi tego kraju, podróżujących na przykład tutejszymi kolejami, natomiast gdy zostałem rozpoznany przez ludzi, którzy coś niecoś o mnie słyszeli, padałem ofiarą ich obłąkanej pogoni za uzyskaniem darśanu.

Często sam nie mogłem rozstrzygnąć, która z tych ewentualności była bardziej godna pożałowania. Przekonałem się w końcu, że tak zaślepiona adoracja ludzi ubiegających się o błogosławieństwo napełniała mnie częstokroć gniewem, a jeszcze częściej sprawiała ból mojemu sercu, natomiast podróże, chociaż nieraz były ciężkim przeżyciem, podnosiły mnie na duchu i nigdy nie budziły we mnie gniewu.

Byłem wtedy jeszcze dość silny, by móc się dużo przechadzać, i na szczęście nie byłem jeszcze tak popularny, bym nie mógł iść ulicami, nie wywołując zbiegowiska. Podczas swoich wędrówek miałem sposobność zaobserwować u pątników więcej bezmyślności, obłudy i niechlujstwa aniżeli bogobojności. Tłumy *sadhu*, które tu przybyły, robiły wrażenie ludzi, którzy czerpią z życia wszystkie jego uciechy.

Widziałem tu krowę o pięciu nogach! Byłem niezmiernie zdumiony, lecz wkrótce się przekonałem, że ta biedna krowa o pięciu nogach była ofiarą ludzkiej zachłanności. Dowiedziałem się, że owa piąta noga była obcięta żywemu cielakowi i przeszczepiona do łopatki tej krowy! Wynik tego podwójnego okrucieństwa był wyzyskiwany do wyciągania pieniędzy od naiwnych ludzi.

Nie było takiego hindusa, który nie zechciałby zobaczyć krowy o pięciu nogach, i niestety nie było również ani jednego, który by się nad tą niezwykłą krową ulitował.

Dzień tej pielgrzymki-odpustu minął. Dla mnie zapisał się niezapomnianymi zgłoskami. Nie przybyłem do Haridwaru jako pielgrzym; nigdy zresztą nie odczuwałem potrzeby uczestniczenia w podobnych pielgrzymkach dla zaspokojenia pobożności.

Niemożliwe, aby wśród tych miliona siedmiuset tysięcy ludzi, jak mówiono, wszyscy byli obłudnikami lub tylko gapiami. Nie miałem wątpliwości, że bardzo liczni spośród przybyłych zjawili się tu, aby zaskarbić sobie względy Wszechmogącego lub odbyć pokutę. Jest rzeczą nad wyraz trudną, a może nawet niemożliwą, powiedzieć, jak dalece ten rodzaj religijności oczyszcza duszę człowieka.

Całą noc spędziłem pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Oto – mówiłem sobie – dusze pobożne przybyły, aby zmieszać się z obłudą, która je otacza. Pragnęli się oczyścić przed Wszechmogącym ze swych win. Gdyby samo przybycie do Haridwaru miało się uważać za grzech, zaprotestowałbym publicznie i opuściłbym Haridwar w dniu rozpoczęcia pielgrzymki. Natomiast jeżeli i pielgrzymka do Haridwaru, i odpust Kumbha nie nosiły żadnych cech grzechu, byłbym zmuszony odbyć jakąś pokutę za to, że się tu znalazłem, i sam musiałbym się oczyścić z winy. Było to dla mnie jak najbardziej oczywiste, całe bowiem moje życie składało się z postanowień, których celem było naprawianie popełnionych błędów.

Zastanawiałem się nad zgoła zbytecznymi kłopotami sprawionymi w Kalkucie i Rangunie moim gospodarzom, którzy mnie tak gościnnie podejmowali. Postanowiłem ograniczyć porcję spożywanej dziennie żywności i zjadać ostatni posiłek przed zachodem słońca. Byłem przeświadczony, że jeżeli nie potrafię zastosować się do tych ograniczeń, przysporzę swoim przyszłym gospodarzom jeszcze więcej kłopotów i zamiast się im przysłużyć, zmuszę ich do tego, że będą się czuli zobowiązani mi usługiwać.

Przyrzekłem więc sobie, że podczas pobytu w Indiach będę się żywił najwyżej pięcioma artykułami spożywczymi w ciągu dwudziestu czterech godzin i że nigdy nie będę jadał po zapadnięciu zmroku.

Zdawałem sobie najdokładniej sprawę z trudności, jakie będę musiał przezwyciężyć. Nie chciałem jednak zostawić sobie żadnej furtki, by móc się przez nią wymknąć. Zastanawiałem się nad tym, co by się stało, gdybym zachorował

i miał zaliczyć lekarstwo do środków żywności, nie czyniąc przy tym żadnych wyjątków na korzyść specjalnych potraw mojej diety. W końcu postanowiłem, iż żadne wyjątki nie powinny mieć miejsca.

Od trzynastu lat dotrzymuję wiary tym ślubowaniom. Wystawiały mnie one na ciężkie próby, ale mogę stwierdzić, że jednocześnie uchroniły mnie przed wieloma uchybieniami. Jestem przeświadczony, że przedłużyły mi życie o parę lat i ocaliły przed niejedną chorobą.

VIII. LAKSZMAN DŹHULA

Przyjazd do Gurukulu i spotkanie z Mahatmą Munsziramdźim, o postawie olbrzyma, były dla mnie prawdziwą ulgą. Od pierwszej chwili odczułem cudowny kontrast pomiędzy spokojem w Gurukulu a gwarem i rozgardiaszem, jakie panowały w Haridwarze.

Mahatma obdarzał mnie ponad miarę dowodami swojej serdeczności. *Brahmaćari* również byli dla mnie niezmiernie uprzejmi. Tu właśnie zostałem przedstawiony aćarji[141] Ramadewdźiemu i mogłem stwierdzić, jaką moc ma w sobie ten człowiek. Nasze poglądy na pewne sprawy różniły się, niemniej jednak zawarta znajomość zamieniła się wkrótce w przyjaźń.

Prowadziłem długie dyskusje z aćarją Ramadewdźim oraz innymi profesorami na temat konieczności wprowadzenia szkolenia przemysłowego do Gurukulu. Z prawdziwą przykrością opuszczałem tę miejscowość, gdy nadszedł czas wyjazdu.

Słyszałem bardzo wiele pochwał o Lakszman Dźhula – wiszącym moście nad Gangesem, który znajduje się w pewnej odległości od Hriszikeszu[142], toteż liczni przyjaciele namawiali mnie, bym nie wyjeżdżał z Haridwaru, zanim go nie zobaczę. Chciałem odbyć tę wycieczkę pieszo i zrobiłem ją w dwóch etapach.

Liczni *sanyasi* (asceci) chcieli się ze mną zobaczyć w Hriszikeszu. Jeden z nich był szczególnie ciekaw poznać mnie. Nasza gromadka z Phoenix przybyła tu i ich obecność wywołała sporo pytań ze strony swamiego.

Dyskutowaliśmy na tematy religijne i *swami* uprzytomnił sobie, że sprawy dotyczące religii stanowią przedmiot moich głębokich zainteresowań. Widział

141 *Aćarja* – profesor, nauczyciel.

142 Hriszikesz – miejscowość sąsiadująca z Hardvarem, skupisko ascetów.

mnie bez koszuli, z gołą głową, gdy wracałem po kąpieli w Gangesie. Był niemile zaskoczony, gdy nie dostrzegł na mojej głowie *sikha* (kosmyka włosów) oraz świętej nici na szyi, i powiedział do mnie:

– Jest mi niezmiernie przykro widzieć wierzącego hindusa bez poświęcanej nici i *sikha.* Są to dwa zewnętrzne symbole hinduizmu i każdy hindus powinien je nosić.

A oto cała historia, w jaki sposób wyzbyłem się jednego i drugiego. Kiedy byłem dziesięcioletnim chłopcem, zazdrościłem synom braminów, że noszą na szyi sznury kamyków uwiązane na poświęcanej nici i bardzo pragnąłem mieć podobne. Zwyczaj noszenia świętej nici nie był wówczas rozpowszechniony wśród rodzin *waisya* (kasty kupców) w Katiawadzie. Właśnie wtedy podjęto akcję, która miała uczynić obowiązującym noszenie nici dla pierwszych trzech *warna* (kast). W końcu kilku członków klanu Gandhich przyswoiło sobie zwyczaj noszenia świętej nici. Bramin, który uczył nas – trzech czy też czterech chłopców – *Ramarakszy*, dostarczył nam nici i chociaż nigdy nie miałem okazji sprawienia sobie sznurka kamyków, zdobyłem na razie jeden i nosiłem go na szyi. Później, kiedy zgubiłem ową nić, nie przypominam sobie, abym odczuwał zbytnio jej brak. Wiem tylko tyle, że nie uczyniłem nic, by mieć nową.

Kiedy byłem już dorosłym mężczyzną, zarówno w Indiach, jak w Afryce Południowej czyniono wielokrotnie próby obdarowania mnie podobną nicią – spotykały się one jednak z niepowodzeniem.

Jeżeli nie noszą jej *sudra* (członkowie czwartej kasty) – usiłowałem tłumaczyć – jakie mają prawo nosić ją inne kasty? Nie widziałem przeto żadnego wytłumaczenia, by stosować się do zwyczaju, który uważałem za zbyteczny. Nie miałem żadnych zastrzeżeń przeciwko nici jako takiej, ale przyczyna, dla której miałbym ją nosić, wydawała mi się mało przekonująca.

Jako wisznuita nosiłem – rzecz oczywista – dokoła szyi amulet *kanthi*, natomiast noszenie *sikha* obowiązywało jedynie starszych. W przededniu mojego wyjazdu do Anglii pozbyłem się *sikha*, gdyż chodząc bez nakrycia głowy, narażałbym się na śmieszność i uchodziłbym – tak mi się przynajmniej wtedy zdawało – w oczach Anglików za barbarzyńcę.

To uczucie trącące tchórzostwem owładnęło mną do tego stopnia, że kiedy znalazłem się w Afryce Południowej, skłoniłem mojego kuzyna, Czhaganlala Gandhiego, który był bardzo religijnym człowiekiem i nosił *sikha*, by go usunął. Sądziłem, że może mu to przeszkadzać w jego pracy społecznej, i narażając się nawet na sprawienie mu przykrości, namówiłem go, by zaniechał przestrzegania tego zwyczaju.

Wytłumaczyłem całą tę sprawę swamiemu i powiedziałem:

– Nie chcę nosić świętej nici, gdyż nie widzę potrzeby. Niezliczone rzesze hindusów obchodzą się bez tego, a jednak są hindusami. Ponadto ta święta nić powinna być symbolem duchowego odrodzenia, zakładając, że ten, kto ją nosi, dąży do osiągnięcia lepszego i wyższego poziomu życia. Nie mam pewności, czy przy obecnym stanie hinduizmu i w sytuacji, jaka panuje w Indiach, hindusom przysługuje prawo noszenia czegoś, co stanowi symbol o tak wielkim znaczeniu. To prawo można zdobyć dopiero wtedy, gdy hinduizm nie uzna więcej istnienia „niedotykalnych" i kiedy skasuje istniejące różnice stanowiące rzekomo o wyższości lub niższości ludzi, a także odrzuci wiele innych krzywd, jakie wciąż jeszcze żyją w tym społeczeństwie. Mój umysł buntuje się przeciwko noszeniu świętej nici, ale uważam, że pańskie uwagi na temat *sikha* zasługują na to, by się nad nimi zastanowić. Kiedyś sam podlegałem temu zwyczajowi i wyzbyłem się go pod wpływem fałszywego poczucia wstydu. Czułem jednak, że muszę pozwolić odrosnąć temu kosmykowi. Omówię to zagadnienie z moimi towarzyszami.

Swami nie zechciał uznać mojego stanowiska wobec świętej nici. Powody, które przemawiały do mnie przeciwko jej noszeniu, jemu wydawały się przemawiającymi na jej korzyść. Mój stosunek do tego zagadnienia jest do dzisiejszego dnia ten sam co w Hriszikeszu. Dopóki istnieją różne religie, każda z nich musi mieć jakiś zewnętrzny symbol odróżniający ją od innych wierzeń. Natomiast gdy ten symbol staje się fetyszem i narzędziem, za pomocą którego udowadnia się przewagę jednej religii nad drugą, wtedy należy się go pozbyć.

Święta nić nie wydaje mi się dzisiaj dowodem wyższości hinduizmu. Dlatego też to zagadnienie jest mi całkowicie obojętne.

Jeżeli natomiast chodzi o *sikha*, po stwierdzeniu, że pozbyłem się go jedynie przez tchórzostwo, i po naradzeniu się z mymi przyjaciółmi postanowiłem pozwolić odrosnąć temu kosmykowi na mojej głowie.

Wróćmy jednak do Lakszman Dżhula. Byłem zachwycony krajobrazem otaczającym Hriszikesz i Lakszman Dżhula i z szacunkiem chyliłem czoło przed poczuciem piękna, jakie mieli nasi przodkowie, a także uczciłem ich dalekowzroczność, która potrafiła tym wspaniałościom natury nadać znaczenie religijne.

Wszakże sposoby, którymi posługiwał się człowiek dla wykorzystania tych wspaniałości, były dalekie od zaspokojenia mnie. Podobnie jak w Haridwarze, również i w Hriszikeszu drogi i brzegi Gangesu były zanieczyszczone przez ludzi, którzy nie zawahali się nawet przed zbezczeszczeniem świętych wód

Gangesu. Szczerze bolało mnie, kiedy byłem świadkiem, jak ludzie załatwiali swoje naturalne potrzeby tuż nad brzegiem rzeki, mogąc przecież bez trudu odejść nieco dalej od ludzkich siedlisk.

Lakszman Dźhula nie był dla mnie niczym więcej jak żelaznym mostem zawieszonym nad Gangesem. Mówiono mi, że dawniej był tu bardzo kunsztowny most wiszący. Pewnemu filantropowi, pochodzącemu z Marwadu[143], przyszło do głowy zniszczyć tamten most i na jego miejscu zbudować ogromnym kosztem żelazny, a klucze do niego wręczyć rządowi. Niewiele mogę powiedzieć o wiszącym moście, gdyż go nigdy nie widziałem, natomiast jeśli chodzi o żelazny, to jest on absolutnie nieodpowiedni na tle takiego krajobrazu i wyraźnie go szpeci. Co się zaś tyczy wręczenia rządowi kluczy do mostu, który miał służyć pątnikom, nawet dla mojej ówczesnej lojalności było to stanowczo zbyt wiele.

Świargaśram, dokąd się dochodziło po przebyciu mostu, to bardzo niewesoła miejscowość, w której nie było nic poza pewną liczbą ubogich klitek zrobionych z blachy. Zostały one, jak mi mówiono, postawione dla *sadhaka* (aspirantów). W obecnej chwili nie było tam nikogo, a ci, którzy zamieszkiwali główny budynek, sprawiali raczej niekorzystne wrażenie.

Doświadczenia nabyte przy zwiedzaniu Haridwaru miały jednak dla mnie bezcenne znaczenie i w niemałym stopniu wpłynęły na powzięcie przeze mnie decyzji, gdzie mam zamieszkać i co czynić.

IX. ZAŁOŻENIE AŚRAMU

Pielgrzymka na święto Kumbha była moimi drugimi z kolei odwiedzinami Haridwaru.

Dwudziestego piątego maja 1915 roku powstała kolonia Aśram związana z akcją Satjagraha. Śraddhanandźi życzył sobie, bym zamieszkał w Haridwarze. Natomiast niektórzy moi przyjaciele z Kalkuty polecali miejscowość Vaidyanathadham, jeszcze inni obstawali przy tym, bym obrał jako miejsce zamieszkania Radźkot, a kiedy przejeżdżałem przez Ahmedabad, liczni przyjaciele nalegali, bym tam został, i zgadzali się ponieść wszystkie wydatki związane z założeniem tam aśramu oraz nabyciem domu, w którym moglibyśmy zamieszkać.

143 Marwadi – mieszkańcy Marwadu, rejonu Radźputany. Marwadi stanowią bardzo zwartą społeczność, zajmującą się głównie handlem.

Mnie najbardziej podobało się w Ahmedabadzie. Będąc z pochodzenia Gudźarati, sądziłem, że mógłbym najbardziej przysłużyć się mojej ojczyźnie, posługując się językiem gudźarati. Ponadto Ahmedabad był bardzo dawnym ośrodkiem ręcznego tkactwa i wydawało mi się, że będzie najodpowiedniejszym miejscem do wskrzeszenia wiejskiego rękodzielnictwa tkackiego. Prócz tego można było się spodziewać, iż ze względu na to, że Ahmedabad był stolicą Gudźaratu, tu łatwiej niż gdzie indziej można będzie otrzymywać pomoc pieniężną ze strony zamożnych mieszkańców.

Zrozumiałe, że wśród spraw, które omawiałem z moimi przyjaciółmi w Ahmedabadzie, znajdowała się również sprawa tak zwanych „niedotykalnych". Oświadczyłem im, że skorzystam z pierwszej sposobności, by przyjąć do aśramu kandydata spośród „niedotykalnych", jeśli tylko będzie na to zasługiwał.

– Gdzież znaleźć takiego, który będzie odpowiadał wymaganym warunkom? – odpowiedział mi jeden spośród bardzo pewnych siebie przyjaciół, wisznuita.

W końcu postanowiłem założyć aśram w Ahmedabadzie.

Jeżeli chodzi o znalezienie odpowiedniego pomieszczenia, największą pomoc okazał mi Dźiwanlal Desai, obrońca sądowy zamieszkały w Ahmedabadzie. Zaproponował nam wynajęcie swej letniej willi w Koczrabie, co też uczyniłem.

Pierwszą rzeczą, którą musieliśmy ustalić, była nazwa przyszłego aśramu. W tym celu naradziłem się z przyjaciółmi, a wśród proponowanych nazw znalazły się takie, jak: Sewaśram (Siedziba Obowiązku) albo Tapowan (Siedziba Wyrzeczenia). Nazwa Sewaśram podobała mi się bardziej, gdyż nie miała w sobie nic z przesady i raczej wskazywała na to, jakiemu celowi będzie służyła nowo założona instytucja. Tapowan wydawał mi się nazwą nieco pretensjonalną i chociaż pojęcie *tapas* było nam drogie, nie mogliśmy jednak pretendować do tego, że jesteśmy *tapaswin*, czyli ludźmi żyjącymi w wyrzeczeniu.

Celem, który nam przyświecał, było poznanie Prawdy, a naszym zadaniem było jej poszukiwanie i dochowanie jej wierności. Pragnąłem zapoznać Indie z metodami, które wypróbowałem w Afryce Południowej, a poza tym chciałem zobaczyć, w jakim stopniu dadzą się one zastosować na tym terenie. W końcu moi towarzysze i ja obraliśmy nazwę Satjagraha-aśram, jako najbardziej odpowiadającą zarówno celom, jak i metodom, za pomocą których pragnęliśmy służyć krajowi.

By prowadzić ten aśram, trzeba było opracować szereg przepisów oraz reguł.

Przygotowany został odpowiedni projekt, po czym zwróciliśmy się do naszych przyjaciół, by zechcieli wyrazić swoją opinię o nim. W liczbie wielu

nadesłanych w mojej pamięci dotychczas zachowała się opinia wyrażona przez Sir Gurudasa Banerdźiego. Opracowane przez nas reguły podobały mu się, jednak uważał, że należało dodać pokorę jako jedną z reguł, która musi być surowo przestrzegana, gdyż – jego zdaniem – tej właśnie pokory brak było młodemu pokoleniu.

Przyznałem, iż to pominięcie stanowi błąd z naszej strony, jednakże miałem pewne obawy, czy w tym przypadku pokora, będąc przedmiotem złożonego ślubowania, nie straci swego właściwego charakteru. Prawdziwa pokora polega bowiem na całkowitym przekreśleniu własnej osoby, co z kolei jest *moksa*, czyli drogą wiodącą do wyzwolenia. Gdy potrzeba pokory nie potrafi zostać regułą, należy dla jej osiągnięcia znaleźć inne środki. Jeżeli czyny popełniane przez dążącego do poznania Prawdy po osiągnięciu *moksa* nie zawierają w sobie cech pokory lub wyrzeczenia, dowodzi to, że ów człowiek ani nie tęsknił do *moksa*, ani nie pragnął służyć innym. Służenie innym bez uczucia pokory jest jedynie zaspokajaniem egoizmu i zapatrzeniem się wyłącznie w siebie.

Nasza gmina liczyła podówczas około trzynastu Tamilów. Pięciu młodych Tamilów przybyło ze mną z Afryki Południowej, pozostali zaś zebrali się z różnych stron kraju. Razem było nas około dwudziestu pięciu mężczyzn i kobiet.

W ten oto sposób rozpoczął swoje istnienie nasz aśram. Wszyscy jadaliśmy posiłki przygotowane we wspólnej kuchni i dążyliśmy do tego, by żyć jak jedna wspólna rodzina.

X. POMIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Aśram istniał zaledwie od paru miesięcy, kiedy zostaliśmy wystawieni na próbę, której nigdy nie mogliśmy się spodziewać.

Oto co się stało: od Amritlala Thakkara otrzymałem list tej mniej więcej treści: „Pewna skromna i uczciwa rodzina pariasów pragnęłaby przyłączyć się do waszego aśramu. Czy przyjmiecie ich?".

Wytrąciło mnie to z równowagi. Nigdy nie przypuszczałem, że rodzina pariasów, protegowana ni mniej, ni więcej, jak przez Thakkarababu, może tak szybko zabiegać o przyjęcie do naszej gminy. Poinformowałem moich przyjaciół o treści listu. Wszyscy gotowi byli z ochotą powitać tych ludzi.

Napisałem do Amritlala Thakkara, wyrażając zgodę na przyjęcie tej rodziny, pod warunkiem że wszyscy jej członkowie zechcą stosować się do przepisów obowiązujących w aśramie.

Wspomniana rodzina składała się z Dudabhai, jego żony Danibehn oraz ich córeczki Lakszmi, która dopiero zaczynała chodzić. Dudabhai był wtedy nauczycielem w Bombaju. Oboje zgodzili się ściśle trzymać przewidzianych przepisów i zostali przyjęci.

Okazało się, że przyjęcie ich wywołało znaczne poruszenie wśród wielu przyjaciół okazujących materialną pomoc naszemu aśramowi. Pierwsza trudność powstała w związku z korzystaniem ze studni, która częściowo podlegała kontroli właściciela letniego domku. Człowiek, którego pieczy została powierzona studnia, sprzeciwił się, by bodaj jedna kropla z naszego wiadra miała być odebrana. Obrzucił nas wyzwiskami i zaczął robić przykrości Dudabhai. Powiedziałem im, aby dali spokój tym kłótniom z powodu wody i nadal za wszelką cenę korzystali ze studni. Kiedy ów człowiek spostrzegł, że nie odpowiadamy przemocą na jego bezprawie, zawstydził się i zaniechał robienia nam dalszych przykrości.

Jednak wszelki dopływ pomocy pieniężnej dla aśramu naraz ustał. Ów nasz przyjaciel, który zadał w swoim czasie pytanie, czy pariasi potrafią zastosować się do przepisów obowiązujących w aśramie, nigdy nie przypuszczał, że coś podobnego może się wydarzać. Wraz ze wstrzymaniem pomocy pieniężnej rozeszły się pogłoski o tym, że zamierza się zastosować wobec nas bojkot społeczny. Byliśmy przygotowani na wszystko. Powiedziałem moim towarzyszom, że gdyby zastosowano wobec nas bojkot i odmówiono nam udzielanych dotychczas ułatwień, nie opuścimy Ahmedabadu, udamy się do dzielnicy zamieszkiwanej przez pariasów i osiedlimy się gdziekolwiek, utrzymując się z pracy naszych rąk.

Doszło do tego, że pewnego dnia Maganlal Gandhi oświadczył mi:

– Nasze zasoby pieniężne są na wyczerpaniu, nie wystarczy nam na przetrzymanie następnego miesiąca…

Odpowiedziałem mu na to:

– Wobec tego przeniesiemy się do dzielnicy pariasów!

Nie po raz pierwszy byłem wystawiony na podobną próbę. W każdym takim wypadku Wszechmogący w ostatniej chwili okazywał mi swą pomoc. Pewnego ranka, wkrótce potem, kiedy Maganlal przestrzegł mnie przed grożącą nam katastrofą finansową, przybiegło do mnie któreś z dzieci i powiedziało, że *szeth* czeka na mnie w powozie i chce się ze mną widzieć. Udałem się do niego.

– Chcę okazać pewną pomoc waszemu aśramowi. Czy przyjmiecie ją? – zapytał mnie.

– Ależ tak! – odrzekłem. – I przyznam się, że w obecnej chwili skończyły się wszystkie zasoby, jakimi rozporządzaliśmy.

– Przyjadę jutro o tej samej porze. Czy będziecie w domu?

– Tak – odrzekłem, po czym *szeth* odjechał.

Następnego dnia o wyznaczonej godzinie zajechał powóz do zamieszkiwanej przez nas dzielnicy i rozległy się dźwięki trąbki. Dzieci przybiegły z nowiną. *Szeth* nie wysiadł, musiałem więc pójść sam, by się z nim zobaczyć. *Szeth* wręczył mi trzynaście tysięcy rupii w obiegowej walucie i odjechał.

Nigdy nie spodziewałem się podobnej pomocy, a przy tym sposób udzielenia jej był wręcz niezwykły! Ten człowiek nigdy przedtem nie był w aśramie i – o ile sobie przypominam – tylko raz się z nim spotkałem. Żadnych wizyt, żadnych uprzednich badań – po prostu okazał mi swą pomoc i odjechał.

Nigdy dotąd nic podobnego mnie nie spotkało. Okazana mi pomoc zapobiegła konieczności przeniesienia się do dzielnicy pariasów. Mieliśmy zapewnioną egzystencję na okres jednego roku.

Podobnie jak na zewnątrz aśramu rozszalała burza, tak samo działo się wewnątrz naszej gminy. Pomimo iż w Afryce Południowej moi przyjaciele pariasi zwykli przychodzić do mnie, żyjąc i jedząc wraz ze mną, to obecnie zarówno moja żona, jak i również inne kobiety nie były zbyt zadowolone z tego, że przyjmujemy do aśramu przyjaciół pariasów. Bez trudu mogłem stwierdzić, że nasze kobiety bynajmniej nie ukrywają swojej niechęci dla Danibehn. Trudności pieniężne nie przerażały mnie, natomiast wewnętrzna burza w naszym gronie budziła we mnie największe obawy. Danibehn była prostą kobietą, a Dudabhai, chociaż miał dość powierzchowne wykształcenie, był rozumnym człowiekiem. Podobała mi się jego cierpliwość. Niekiedy wybuchał, ale na ogół wysoko ceniłem jego opanowanie. Umówiliśmy się, że będziemy sobie nawzajem wybaczali nieznaczne uchybienia. Nie tylko się z tym zgodził, ale wpłynął na swą żonę, by postępowała podobnie.

Okazało się, że przyjęcie tej rodziny było cenną lekcją dla naszego aśramu. Na samym początku oświadczyliśmy wobec wszystkich, że aśram będzie udzielał gościny pariasom, ci zaś, którzy mieli zamiar udzielać nam swojej pomocy, byli z góry uprzedzeni, co w dużym stopniu ułatwiło działalność aśramu w tym kierunku. To, że z dnia na dzień rosnące wydatki na utrzymanie aśramu były przeważnie pokrywane przez ortodoksyjnych hindusów, jest najlepszym dowodem na to, że sprawa „niedotykalności" została zachwiana w swych fundamentach. Jest zresztą wiele innych dowodów świadczących o tym, wszakże to, że prawy hindus nie odczuwał żadnych skrupułów, udzielając pomocy aśramowi, gdzie spożywano posiłki wraz z pariasami, w niemałym stopniu świadczy o słuszności tego stwierdzenia.

Ogromnie żałuję, że muszę pominąć milczeniem sporo faktów związanych z tym zagadnieniem i nie mogę opowiedzieć, jak rozstrzygnęliśmy pewne drażliwe szczegóły wynikłe na zasadniczym tle oraz jak przezwyciężaliśmy niektóre zgoła nieprzewidziane trudności. Muszę również pominąć wiele innych tematów, które mogłyby mieć dość duże znaczenie przy opisywaniu naszych poszukiwań na drodze poznania Prawdy.

Ta sama luka da się odczuć również w następnych rozdziałach. Będę zmuszony, niestety, w dalszej części mojej opowieści pominąć wiele ważnych szczegółów, głównie dlatego że większość ludzi, którzy wzięli udział w tych dramatycznych wydarzeniach, żyje jeszcze i byłoby niewłaściwe posługiwanie się – bez ich zgody – nazwiskami osób, które odegrały pewną rolę w omawianych wydarzeniach. Uzyskanie ich zgody jest raczej mało prawdopodobne, trudno byłoby również tu i ówdzie skorygować dotyczące ich rozdziały.

Niezależnie od tego opisywanie tych szczegółów wykraczałoby poza ramy, jakie sobie nakreśliłem w tej autobiografii. Dlatego też obawiam się, że w pozostałej części opowieści, która ma – moim zdaniem – wartość dla poszukiwaczy Prawdy, z konieczności znajdą się pewne niedomówienia.

Pragnę jednak kontynuować ją i mam nadzieję, że z pomocą Wszechmogącego uda mi się doprowadzić tę opowieść do okresu, który nosi nazwę „odmowy współdziałania".

XI. ZNIESIENIE SYSTEMU KONTRAKTOWEJ EMIGRACJI

Porzućmy na pewien czas aśram, w którym od chwili jego założenia trzeba było walczyć z zewnętrznymi i wewnętrznymi przeciwieństwami, i zajmijmy się przez chwilę pewnymi sprawami, które również w dużym stopniu absorbowały moją uwagę.

Robotnikami rolnymi kontraktowymi byli ci, którzy emigrowali z Indii, by pracować na mocy kontraktów zawieranych na pięć lat lub krócej. Na podstawie porozumienia z 1914 roku, znanego pod nazwą „Umowa Smuts-Gandhi", zniesiono co prawda podatek trzyfuntowy, pobierany od kontraktowych osiedleńców przybywających do Natalu, jednak zagadnienie ogólnej emigracji z Indii wciąż jeszcze wymagało odpowiedniego rozpatrzenia.

W marcu 1916 roku pandit Madan Mohan Malaviyadżi zgłosił wniosek do Rady Ustawodawczej Imperium, w którym domagał się zniesienia systemu

kontraktowego. Przyjmując ten wniosek, lord Hardinge[144] oświadczył, iż „otrzymał od rządu Jego Królewskiej Mości obietnicę skasowania tego systemu we właściwym czasie".

Odniosłem wrażenie, że Indie nie mogą się zadowolić tą dość luźną obietnicą, lecz powinny rozpocząć akcję na rzecz niezwłocznego zniesienia tego systemu. Indie tolerowały go przez jawne niedopatrzenie, ja zaś doszedłem do przekonania, że nadszedł czas, kiedy naród z powodzeniem może podjąć walkę o naprawienie tego błędu.

Spotkałem się z kilkoma przywódcami, pisałem do prasy i widziałem, że opinia publiczna wyraźnie stoi po stronie niezwłocznego skasowania tego systemu. A może będzie to odpowiednią sprawą dla akcji Satjagraha? Nie wątpiłem, iż tak jest w istocie, nie wiedziałem jedynie, jakie podjąć metody działania.

Tymczasem wicekról nie robił żadnej tajemnicy z tego, jak on rozumie „ewentualne zniesienie", które – jak się wyraził – „może być dokonane jedynie w terminie, na jaki pozwoli wprowadzenie zmian w poprzednim stanie rzeczy".

W lutym 1917 roku pandit Malaviyadżi zażądał wprowadzenia ustawy niezwłocznie znoszącej stosowanie dawnego systemu. Lord Chelmsford[145] odmówił. Działo się to w tym samym czasie, kiedy objeżdżałem cały kraj, prowadząc agitację na rzecz zjednoczenia Indii. Uważałem za właściwe zaczekać na wicekróla przed rozpoczęciem swej akcji agitacyjnej. Zwróciłem się do niego z prośbą o przyjęcie mnie dla odbycia rozmowy, na co niezwłocznie otrzymałem przychylną odpowiedź.

Mister Maffey, obecnie Sir John Maffey, był wtedy prywatnym sekretarzem wicekróla. Nawiązałem z nim bezpośrednie kontakty. Odbyłem przyjazną rozmowę z lordem Chelmsfordem, który obiecał mi swą pomoc, ale nie sprecyzował, na czym będzie ona polegała.

Swój objazd rozpocząłem od Bombaju. Mister Dżehangir Petit poczynił kroki, by wiece odbywały się pod auspicjami Imperialnego Stowarzyszenia Obywateli (Imperial Citizenship Association). Komitet wykonawczy tego stowarzyszenia zebrał się przede wszystkim w celu zredagowania uchwał, które miały być powzięte na wiecu.

Doktor Stanley Reed, Lallubhai Samaldas, Nataradźan oraz mister Petit obecni byli na posiedzeniu komitetu. Dyskusja toczyła się przeważnie na temat ustalenia terminu, w jakim rząd powinien znieść system pracy kontraktowej.

---

144 Lord Hardinge – wicekról Indii w latach 1910–1916.

145 Lord Chelmsford – wicekról Indii w latach 1916–1921.

Wysunięte zostały trzy propozycje: pierwsza – w której domagano się „możliwie „najszybszego zniesienia", druga – „zniesienia w terminie do trzydziestego pierwszego lipca" oraz trzecia – „niezwłocznego zniesienia".

Byłem za ustaleniem daty, gdyż moglibyśmy postanowić, co należy czynić dalej, na wypadek, gdyby rząd nie dokonał żądanych zmian w wyznaczonym terminie. Lallubhai był za niezwłocznym zniesieniem systemu, twierdząc, że określenie „niezwłoczne" wskazuje na okres krótszy od wyznaczonego na trzydziestego pierwszego lipca. Tłumaczyłem, że ludność nie zrozumie znaczenia wyrazu „niezwłoczny". Jeżeli chcemy od niej, by coś uczyniła, musimy dać zrozumiałe słowo. Każdy będzie rozumiał wyraz „niezwłocznie" po swojemu – inaczej rząd, inaczej ludność. Natomiast gdy się powie: „najpóźniej do trzydziestego pierwszego lipca", nie ma miejsca na żadne nieporozumienie i dopiero gdy nic nie zostanie zrobione w tym terminie, będziemy wiedzieli, co należy przedsięwziąć dalej.

Doktor Reed uznał słuszność tego argumentu, zgodził się z nim również Lallubhai.

Ustaliliśmy więc datę na trzydziestego pierwszego lipca jako ostateczny termin ogłoszenia dekretu o zniesieniu systemu pracy kontraktowej, odpowiednia uchwała została powzięta na publicznym wiecu, a zebrania zorganizowane na obszarze całych Indii również ją przyjęły.

Pani Dźaidźi Petit włożyła bardzo wiele energii w zorganizowanie delegacji kobiet, która miała się udać do wicekróla. W liczbie delegatek w Bombaju przypominam sobie nazwisko lady Tata oraz nieżyjącej już Dilshad Begam. Delegacja odniosła wielki sukces, a odpowiedź wicekróla brzmiała pomyślnie.

Odwiedziłem również Karaczi, Kalkutę i wiele innych miejscowości. Wszędzie odbywały się doskonale zorganizowane wiece, na których panował ogromny entuzjazm. Rozpoczynając kampanię agitacyjną, nie spodziewałem się czegoś podobnego.

W tym okresie przywykłem podróżować samotnie i w związku z tym spotykały mnie niezwykłe przygody. Agenci policyjni nie odstępowali mnie na krok, wobec tego jednak, że nie miałem przed nimi nic do ukrywania, nie byli zbyt uciążliwi dla mnie, a ja również nie przysparzałem im kłopotów. Na szczęście nie otrzymałem jeszcze wtedy godności „Mahatma", chociaż to słowo wykrzykiwali wszędzie ludzie, którzy mnie znali.

Zdarzyło się jednak, że na kilku stacjach agenci policyjni nie dawali mi spokoju, pytając mnie raz po raz o bilety kolejowe i zapisując ich numery. Odpowiadałem im chętnie na zadawane pytania. Jadący wraz ze mną pasażerowie

brali mnie za *sadhu* lub za fakira. Kiedy jednak spostrzegli, że na każdej kolejnej stacji spotykają mnie przykrości, wzburzyło ich to i zwymyślali agentów, mówiąc:

– Dlaczego dokuczacie bez powodu temu biednemu *sadhu*? Nie pokazuj tym łajdakom swego biletu! – namawiali mnie.

Odrzekłem im możliwie najuprzejmiej:

– Okazywanie biletu nie sprawia mi najmniejszej trudności. Oni jedynie wykonują to, co do nich należy.

Ta odpowiedź nie zadowoliła jednak moich towarzyszy podróży, którzy okazywali mi coraz większe współczucie i energicznie protestowali przeciwko tak niegodziwemu traktowaniu Bogu ducha winnego człowieka. Ale agenci – to drobnostka. Prawdziwy kłopot sprawiało podróżowanie trzecią klasą.

Najgorszy wypadek przytrafił mi się pomiędzy Lahore a Delhi. Jechałem do Kalkuty z Karaczi przez Lahore, gdzie miałem się przesiąść do innego pociągu. Nie sposób było znaleźć miejsce w wagonie. Pociąg był przepełniony, a ci, którym udało się wejść do wagonu, musieli to zrobić przy użyciu siły, często włażąc przez okna, gdyż drzwi były zamknięte. Miałem przybyć do Kalkuty w określonym dniu, na który został wyznaczony wiec, i gdybym się nie dostał do tego pociągu, nie mógłbym przybyć na czas.

Straciłem już niemal wszelką nadzieję dostania się do pociągu. Nigdzie nie chciano mnie wpuścić, kiedy oto naraz pewien tragarz kolejowy, widząc, w jakiej znalazłem się biedzie, podszedł do mnie, mówiąc:

– Daj mi dwanaście ann, to ci znajdę miejsce!

– Dobrze – odpowiedziałem – dostaniecie dwanaście ann, jeżeli mi je znajdziecie!

Młodzieniec obszedł wszystkie wagony, zapytując pasażerów, czy nie ma gdzie wolnego miejsca, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Pociąg miał ruszyć za chwilę, kiedy pasażerowie powiedzieli do niego:

– Nie ma tu miejsca, ale postaraj się go wepchnąć, jeżeli chcesz. Będzie jednak musiał stać.

– Zgoda! – odrzekł tragarz.

Ja również zgodziłem się skwapliwie i tragarz wepchnął mnie przez okno do wagonu. W ten sposób dostałem się do wagonu, a tragarz zarobił swoich dwanaście ann.

Jazda nocą była nie do zniesienia. Pasażerowie siedzieli, gdzie się dało. Ja stałem dwie godziny, trzymając się łańcuszka zawieszonego na górnej ławce. Od czasu do czasu któryś z pasażerów zwracał się do mnie z pytaniem:

– Dlaczego nie siadacie, człowieku?

Odpowiadałem im, że nie ma przecież miejsca, oni zaś udawali, że nie mogą ścierpieć, bym cały czas stał, chociaż sami leżeli wyciągnięci na górnych ławkach. Nie przestawali mi dokuczać, a ja nie przestawałem odpowiadać im najuprzejmiej, aż wreszcie się uspokoili. Ktoś zapytał, jak się nazywam, a kiedy powiedziałem, kim jestem, zawstydzili się, zaczęli mnie przepraszać i zwolnili mi miejsce, bym usiadł. Moja cierpliwość została więc wynagrodzona. Byłem śmiertelnie zmęczony, kręciło mi się w głowie. Wszechmogący zesłał mi pomoc w chwili, kiedy jej najbardziej potrzebowałem.

W ten sposób jakoś dobrnąłem do Delhi, a stamtąd do Kalkuty. Maharadźa z Kassimbazaaru, który przewodniczył na wiecu, udzielił mi gościny u siebie. Podobnie jak w Karaczi wiec odbył się w atmosferze nieopisanego entuzjazmu. Byli na nim obecni liczni Anglicy.

Zanim nadszedł dzień trzydziesty pierwszy lipca, rząd ogłosił, iż „kontraktowa emigracja" z Indii została zniesiona. W 1894 roku zredagowałem pierwszą petycję protestującą przeciwko temu systemowi, wierząc niezbicie, że to „na wpół niewolnictwo", jak zwykł mówić o nim Sir W.W. Hunter, skończy się pewnego dnia.

Liczba osób, które były mi pomocne w rozpoczętej w 1894 roku agitacji na rzecz zniesienia tego systemu, jest pokaźna, muszę jednak stwierdzić, że do osiągnięcia celu naszej akcji w głównej mierze przyczyniła się potencjalna satjagraha.

Pragnących dowiedzieć się bliższych szczegółów o samej kampanii oraz o osobach, które brały w niej udział, odsyłam do mojej książki pod tytułem *Satjagraha w Afryce Południowej*.

XII. PLAMA Z INDYGO

Czamparan jest państewkiem należącym do króla Dżanaki. Dziś pełno tu plantacji mango, natomiast do 1917 roku Czamparan był krainą indyga. Dzierżawców w Czamparanie miejscowe prawo zmuszało do obsiewania jednej trzeciej z każdych dwudziestu akrów indygiem na rzecz plantatora. System ten był znany pod nazwą *tinkathia*, gdyż trzy *katha* z każdych dwudziestu części (stanowiących każda jeden akr) miały być użyte pod uprawę indyga.

Muszę przyznać, że w owym czasie nawet nie znałem nazwy Czamparan, nie mówiąc już o tym, że nie wiedziałem, gdzie się ten kraj znajduje, o istnieniu

zaś plantacji indyga wiedziałem jeszcze mniej. Widywałem wprawdzie paczki indyga, lecz nie przypuszczałem, że ono rośnie i że jest przetwarzane w Czamparanie kosztem niezmiernego wysiłku tysięcy rolników.

Radźkumar Szukla był jednym z tych, którzy uginali się pod tym jarzmem, i gorąco zapragnął zmyć plamę indyga dla dobra tysięcy swych współbraci, którzy znosili cierpienia podobne do tych, które on sam musiał znosić.

Człowiek ten zatrzymał mnie w Lucknow, dokąd udałem się w 1916 roku na Kongres.

– Wakilbabu opowie wam wszystko o naszej niedoli – rzekł do mnie, nalegając, bym udał się do Czamparanu.

Wakilbabu (obrońca sądowy) był owym Bradźkiszore Prasadem, który został później moim bardzo cennym współpracownikiem w Czamparanie i który jest duszą całej społecznej akcji w Biharz.

Radźkumar Szukla przyprowadził go do mego namiotu. Był ubrany w czarny alpagowy *aczkan* (surdut) oraz spodnie. Nie zrobił wtedy na mnie żadnego wrażenia, wziąłem go za zwykłego adwokacinę, który wykorzystuje naiwnych rolników. Dowiedziawszy się od niego pewnych rzeczy o Czamparanie, odpowiedziałem zgodnie z moim zwyczajem:

– Nie wypowiadam swojego poglądu, zanim się własnymi oczami nie przyjrzę ich warunkom życia. Proszę złożyć odpowiedni wniosek do Kongresu i zostawić mnie na razie w spokoju.

Radźkumar Szukla liczył na pewną pomoc ze strony Kongresu. Bradźkiszorebabu przedłożył Kongresowi rezolucję wyrażającą współczucie dla ludności Czamparanu. Została ona uchwalona jednogłośnie.

Radźkumar Szukla był wprawdzie zadowolony, ale to nie wystarczało, by go zaspokoić. Chciał, abym osobiście przybył do Czamparanu i naocznie przekonał się o niedoli miejscowych wieśniaków. Powiedziałem mu, że włączę Czamparan do objazdu, którego zamierzam dokonać, i poświęcę mu jeden lub dwa dni.

– Jeden dzień najzupełniej wystarczy! – odrzekł. – Zobaczycie wszystko własnymi oczami.

Z Lucknow udałem się do Cawnpore. Radźkumar Szukla mi towarzyszył.

– Czamparan leży niedaleko. Poświęćcie mu jeden dzień – nie przestawał nalegać.

– Musicie mi tym razem wybaczyć, obiecuję, że tu jeszcze przyjadę – odpowiedziałem, okłamując sam siebie.

Wróciłem do aśramu. Wszędobylski Radźkumar był już tam.

– Proszę, ustalcie dzień! – zwrócił się do mnie.

– Dobrze – odpowiedziałem. – Mam być tego a tego dnia w Kalkucie, spotkamy się tam i zabierzecie mnie ze sobą.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, dokąd mam się udać, co mam przedsięwziąć i co mam zobaczyć.

Zanim przybyłem do miejsca zamieszkania Bhupenbabu w Kalkucie, Radźkumar Szukla już się tam znalazł i zainstalował. Tą drogą ten niewykształcony, mało rozwinięty, lecz przedsiębiorczy wieśniak zdołał mnie dla siebie zjednać.

Na początku 1917 roku wyjechaliśmy z Kalkuty do Czamparanu; wyglądem przypominaliśmy dwóch wieśniaków. Nie wiedziałem nawet, jakim pociągiem mamy tam pojechać. Radźkumar wpakował mnie do pociągu, wyjechaliśmy razem i nad ranem przybyliśmy do Patny.

Był to pierwszy mój przyjazd do Patny. Nie miałem tam ani przyjaciela, ani znajomego, u którego mógłbym się zatrzymać. Przyszło mi wtedy na myśl, że zwykły wieśniak, jakim był Radźkumar Szukla, powinien chyba mieć jakieś znajomości w takim miasteczku jak Patna. Poznałem go nieco bliżej podczas wspólnej podróży, a kiedy przybyliśmy do Patny, nie miałem już żadnych złudzeń co do jego osoby: był to człowiek absolutnie nieorientujący się w sytuacji. Owi obrońcy sądowi, których uważał za swoich przyjaciół, wcale nimi nie byli. Biednego Radźkumara traktowali mniej więcej jak swojego lokaja. Różnice, jakie dzielą tego typu wieśniaków od ich obrońców sądowych, są równie bezgraniczne jak wody wezbranego Gangesu.

Radźkumar Szukla zaprowadził mnie do domu zamieszkiwanego w Patnie przez Radźendrababu, który w owym czasie wyjechał do Puri czy gdzie indziej, nie pamiętam już dokładnie. W letniej willi znajdowali się dwaj służący, którzy nie zwrócili na nas żadnej uwagi. Zabrałem ze sobą coś niecoś do jedzenia. Miałem ochotę na daktyle, które mój towarzysz kupił dla mnie na rynku.

W Biharze surowo przestrzegano przepisu „niedotykalności". Nie wolno mi było nabrać wody ze studni, z której korzystali ci służący, a wobec tego, że oni nie wiedzieli, do jakiej należę kasty, zachodziła obawa, że kropla wody z mojego wiadra zanieczyści ich studnię. Radźkumar powiedział mi, abym skorzystał z ustępu mieszczącego się w domu, natomiast owi służący czym prędzej skierowali mnie do znajdującego się poza domem.

Wszystko to nie było dla mnie niespodzianką i nie gniewało mnie, gdyż byłem przyzwyczajony do podobnych rzeczy. Służba spełniała swój obowiązek i to, czego – ich zdaniem – wymagałby od nich Radźendrababu.

Wszystkie te dość zresztą zabawne wydarzenia wzmogły wprawdzie mój szacunek dla Radźkumara Szukli, ale jednocześnie pozwoliły mi poznać go bliżej. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na niego i że muszę ująć cugle we własne ręce.

XIII. SZLACHETNI RODACY Z BIHARU

Maulanę Mazharula Haqa poznałem w Londynie podczas jego studiów prawniczych, następnie spotkałem się z nim w 1915 roku na Kongresie w Bombaju, gdzie był przewodniczącym Ligi Muzułmańskiej. Odnowiliśmy wtedy naszą znajomość, przy czym Mazharul Haq zaprosił mnie, bym zamieszkał u niego, ilekroć wypadnie mi przybyć do Patny. Przypomniałem sobie o tym i posłałem do niego list, w którym wymieniłem powód mojego przybycia. Mazharul Haq niezwłocznie przyjechał własnym autem i gorąco namawiał mnie, bym skorzystał z ofiarowanej mi gościny. Podziękowałem mu, prosząc jedynie, by zechciał mi dopomóc w udaniu się pierwszym nadarzającym się pociągiem do celu mojej podróży, gdyż jako obcy w tym mieście nie jestem w stanie skorzystać z jakichkolwiek informacji.

Mazharul Haq porozumiał się z Radźkumarem Szuklą i poradził, abym wpierw udał się do Muzaffarpuru. Tego samego wieczoru odchodził pociąg do tej miejscowości i Mazharul Haq odprowadził mnie na dworzec.

Rektor Kripalani znajdował się w tym czasie w Muzaffarpurze. Słyszałem o nim jeszcze podczas mojej bytności w Hajderabadzie. Doktor Czoithram mówił mi o wielkich ofiarach składanych przez niego, o jego prostym trybie życia oraz o aśramie prowadzonym przez doktora Czoithrama za fundusze dostarczone przez profesora Kripalaniego. Był on w swoim czasie profesorem w rządowym wyższym zakładzie naukowym w Muzaffarpurze i w tym samym czasie, kiedy tam przyjechałem, zrezygnował z zajmowanego stanowiska.

Wysłałem do niego telegram, powiadamiając o swoim przybyciu. Profesor powitał mnie na dworcu wraz z tłumem studentów, mimo iż pociąg przybył około północy.

Kripalani nie miał własnego mieszkania, i mieszkał razem z profesorem Malkanim i on właśnie udzielił mi gościny. W owych czasach było dość

niezwykłe, by profesor rządowego zakładu naukowego gościł u siebie takiego jak ja człowieka.

Profesor Kripalani opowiedział mi o rozpaczliwej sytuacji powstałej w Biharze, zwłaszcza w okręgu Tirhut, i dał mi do zrozumienia, jak ciężkie zadanie mnie czeka. Nawiązał ponadto bardzo bliski kontakt z ludnością Biharu i powiadomił o misji, która mnie tam sprowadza.

Z rana odwiedziła mnie niewielka grupa miejscowych obrońców sądowych. Przypominam sobie spośród nich Ramnawmiego Prasada, gdyż jego powaga zwróciła moją szczególną uwagę.

– Jest absolutnie niemożliwe, by misja, z którą tu przybywacie, odniosła pomyślny skutek, jeżeli będziecie mieszkali w tym domu – powiedział Prasad, mając na myśli mieszkanie profesora Malkaniego. – Musicie się stąd wyprowadzić i zamieszkać u jednego z nas. Gayababu jest dobrze znanym tutaj obrońcą sądowym. Przychodzę w jego imieniu, aby zaprosić was do niego. Przyznaję, że wszyscy boimy się władz rządowych, ale postaramy się okazać wam wszelką możliwą pomoc. Większość spraw, o których mówił wam Radźkumar Szukla, odpowiada rzeczywistości. Wielka to szkoda, że nasi przywódcy nie są tu dzisiaj obecni. W każdym razie wysłałem telegramy do Bradźkiszore Prasada i Radźendry Prasada. Spodziewam się, że wkrótce tu przybędą i będą mogli udzielić wam wszystkich niezbędnych informacji, a także okażą potrzebną pomoc. Bardzo was proszę – kończył Prasad – byście zechcieli przenieść się do Gayababu.

Była to prośba, której nie mogłem się oprzeć, aczkolwiek obawiałem się, że mogę tym przysporzyć kłopotów Gayababu; pozostawiono mi tam jednak całkowitą swobodę i przeniosłem się do jego domu. Zarówno gospodarz, jak i jego rodzina prześcigali się w okazywaniu mi swojej serdeczności.

Wreszcie Bradźkiszorebabu przybył z Darbhangi, a Radźendrababu z Puri. Przybyły z Darbhangi Bradźkiszore nie był tym samym człowiekiem, którego kiedyś poznałem w Lucknow. Tym razem wywarł na mnie duże wrażenie swą skromnością, prostotą, dobrocią i niezwykłą siłą wiary, tak charakterystyczną dla wszystkich pochodzących z Biharu, co mnie szczególnie uradowało. Szacunek, jaki mu okazywali obrońcy sądowi z Biharu, był dla mnie przyjemną niespodzianką.

Wkrótce poczułem się tak, jak gdyby mnie z tą gromadą łączyły więzy odwiecznej przyjaźni. Bradźkiszorebabu przedstawił mi stan faktyczny całej sprawy. Znał ją dobrze, gdyż prowadził sprawy sądowe ubogich dzierżawców. W czasie mojego pobytu na wokandzie znalazły się akurat dwie tego rodzaju

sprawy. Gdy Bradźkiszore wygrywał jakieś powództwo, pocieszał się, że przynajmniej zrobił coś na rzecz tych biedaków. Nie znaczy to, by nie brał honorarium od tych prostych wieśniaków; adwokaci są bowiem przekonani, że jeżeli będą udzielali bezpłatnej porady, nie będą mieli z czego utrzymać swego domu, a tym samym nie potrafią skutecznie przyjść z pomocą swym biednym klientom. Byłem zdumiony wysokością wyznaczonych przez nich honorariów i przeciętnymi zarobkami adwokatów w Bengalu i Biharze.

– Daliśmy dziesięć tysięcy rupii temu adwokatowi za poradę! – usłyszałem pewnego razu.

Honorarium w żadnym wypadku nie mogło być mniejsze niż czterocyfrowe!… Moi przyjaciele wysłuchiwali łagodnych wyrzutów, jakie im robiłem, i zdawali się rozumieć, o co mi chodzi.

– Po przestudiowaniu tych spraw – odpowiedziałem im – doszedłem do wniosku, że powinniśmy przestać odwoływać się do sądu. Przekazywanie podobnych spraw trybunałowi przyniesie niewiele korzyści. Tam, gdzie wieśniacy są tak gnębieni i żyją w takim strachu, prawo i sąd nie mają zastosowania. Prawdziwą pomocą będzie uwolnienie ich od strachu. Nie możemy siedzieć bezczynnie, dopóki nie usuniemy *tinkathia* z Biharu. Sądziłem, że będę mógł wyjechać stąd po dwudniowym pobycie, tymczasem widzę, że aby wykonać niezbędną tu pracę potrzeba co najmniej dwóch lat. Jestem gotów w razie potrzeby poświęcić wam tyle czasu. Zaczynam się dopiero orientować, ale chcę, byście mi pomogli.

Jak mogłem stwierdzić, Bradźkiszore potraktował tę sprawę wyjątkowo obojętnie.

– Chętnie wam pomożemy – odrzekł – ale może zechcielibyście nam powiedzieć, na czym ma polegać pomoc, której będziecie potrzebowali?

W ten sposób rozmawialiśmy aż do północy.

– Wasza wiedza prawnicza nie będzie mi bardzo potrzebna – powiedziałem im – potrzebny mi jest urzędnik do załatwiania spraw biurowych oraz ktoś do pomocy w interpretacji ustaw. Trzeba się będzie liczyć również z możliwością znalezienia się w więzieniu, ale pomimo że bardzo chętnie widziałbym narażanie się z waszej strony na to ryzyko, posuniecie się na razie tylko tak daleko, jak sami będziecie uważali za możliwe. Już to, że zamienilibyście się w urzędników i na nieograniczony czas porzucili swój zawód, miałoby niemałe znaczenie. Z trudem rozumiem miejscowy dialekt hindi, poza tym nie będę

mógł przeczytać dokumentów napisanych w *kaithi*[146] lub urdu. Chciałbym, abyście mi je mogli przetłumaczyć. Nie stać nas na płacenie za to. Wszystko to musi być zrobione w imię miłości dla swego kraju i służenia mu.

Bradźkiszorebabu tym razem natychmiast zrozumiał i po kolei zaczął zadawać pytania mnie i swoim towarzyszom. Chciał mieć szczegółowe dane w związku z tym, o czym mówiłem, a przede wszystkim chciał wiedzieć, jak długo może potrwać okres wymaganej od nich pracy, ilu potrzeba do tego ludzi, czy będą mogli kolejno pełnić swe obowiązki i tak dalej. Następnie zwrócił się do obrońców sądowych, zapytując ich, do jakich ofiar są zdolni.

W końcu złożyli mi następujące zapewnienie: „Tacy a tacy spośród nas gotowi są zrobić wszystko, czego od nich zażądasz. Niektórzy pozostaną przy tobie tak długo, jak tylko będą ci potrzebni. Myśl dobrowolnego pójścia do więzienia jest dla nas czymś zupełnie nowym. Będziemy usiłowali się z nią zżyć".

XIV. OKO W OKO Z AHIMSĄ

Zamiarem moim było zbadanie warunków, w jakich żyją rolnicy w Czamparanie, oraz ich skarg na plantatorów indyga. W tym celu musiałem odbyć spotkania z tysiącami wieśniaków. Zanim jednak rozpocząłem dochodzenie, uznałem za właściwe poznać stanowisko właścicieli plantacji w tej sprawie, a także zobaczyć się z okręgowym pełnomocnikiem rządu imperialnego. Zwróciłem się z prośbą o przyjęcie mnie i otrzymałem zgodę w obu przypadkach.

Sekretarz Stowarzyszenia Właścicieli Plantacji powiedział mi po prostu, że uważa mnie za obcego przybysza, że nie powinienem się wtrącać do zatargów pomiędzy dzierżawcami i właścicielami plantacji, a wreszcie, że jeżeli chcę coś załatwić, powinienem uczynić to na piśmie.

Odpowiedziałem mu uprzejmie, że nie uważam siebie za obcego, że przysługuje mi prawo zbadania sytuacji dzierżawców, jeżeli sami chcą, abym się tego podjął.

Pełnomocnik rządu, z którym rozmawiałem, usiłował mnie nastraszyć i radził, abym niezwłocznie opuścił Tirhut. Powiadomiłem moich współpracowników o tym wszystkim i powiedziałem, iż zanosi się na to, że rząd nie zechce

146 *Kaithi* – pismo używane w Biharze.

mi pozwolić na dalsze prowadzenie tej akcji oraz że zapewne będę aresztowany wcześniej, aniżeli przypuszczałem. Sądziłem, że w razie gdyby to miało nastąpić, najlepiej byłoby, aby aresztowanie odbyło się w Motihari lub – jeżeli będzie to możliwe – w Bettiah. Uważałem również za wskazane udać się możliwie najszybciej do tych miejscowości.

Czamparan jest miejscowością położoną w okręgu Tirhut, a Motihari jest siedzibą jego władz lokalnych. Miejscowość, w której mieszkał Radźkumar Szukla, znajdowała się w pobliżu Bettiah, a dzierżawcy w tej okolicy należeli do najuboższych. Radźkumar Szukla chciał koniecznie, abym ich odwiedził, ja również bardzo tego pragnąłem.

Wyjechałem więc wraz ze współpracownikami do Motihari. Gorakhbabu Prasad dał nam gościnę w swoim domu, który zamienił się w zajazd i z trudem mógł pomieścić nas wszystkich.

Tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że pewien dzierżawca mieszkający w odległości około pięciu mil od Motihari został dotkliwie pobity. Postanowiliśmy, że nazajutrz z rana powinienem wraz z Dharanidharem Prasadem udać się tam i zobaczyć się z tym człowiekiem.

Następnego dnia na grzbiecie słonia wyruszyliśmy w drogę. Warto zaznaczyć, że w Czamparanie podróż na słoniu jest tak samo ogólnie przyjętym sposobem poruszania się, jak w Gudźaracie wozem zaprzężonym w woły.

Zaledwie zdążyliśmy przebyć połowę drogi, gdy dogonił nas goniec naczelnego komendanta policji, mówiąc, że komendant kazał nam się kłaniać. Zrozumiałem, co to znaczy. Zostawiłem Dharanidhara samego, polecając mu udać się tam, dokąd zmierzaliśmy, sam natomiast wsiadłem do wynajętego powozu, którym przyjechał ów goniec. Po chwili wręczył mi nakaz opuszczenia Czamparanu i odwiózł mnie do domu, w którym mieszkałem. Gdy ów urzędnik zażądał ode mnie, abym mu poświadczył doręczenie nakazu, odpowiedziałem na piśmie, że nie zamierzam zastosować się do niego i wyjadę z Czamparanu dopiero po ukończeniu przeze mnie dochodzenia. W odpowiedzi otrzymałem ostrzeżenie, że następnego dnia zostanę pociągnięty do odpowiedzialności za nieposłuszeństwo i niewykonanie rozkazu opuszczenia Czamparanu.

Całą noc nie spałem, pisząc listy i wydając niezbędne polecenia Bradźkiszore Prasadowi.

Wiadomość o otrzymanym przeze mnie nakazie wyjazdu i ostrzeżeniu rozeszła się błyskawicznie, opowiadano mi, że Motihari było świadkiem nigdy dotąd nie spotykanych scen. Dom Gorakhbabu i przylegający do niego

dziedziniec zapełniły tłumy ludzi. Na szczęście skończyłem w ciągu nocy całą pracę i mogłem przyłączyć się do zebranych. Moi towarzysze okazali mi dużą pomoc, utrzymując porządek wśród tłumu, gdyż ten nie odstępował mnie na krok.

Pomiędzy władzami miejscowymi: poborcą podatkowym, sędzią oraz komendantem policji a mną wytworzył się pewien rodzaj przyjaźni. Miałem podstawy, by prawnie zaprotestować przeciwko wręczeniu mi nakazu wyjazdu, ale zamiast tego przyjąłem go i moje zachowanie wobec władz było najzupełniej poprawne. Władze ze swojej strony widziały, że nie mam zamiaru ich obrazić, pragnę jedynie stawić bierny opór przeciwko wydanym zarządzeniom. Uspokoiło to je i zamiast czynić mi trudności, starały się wraz z moimi współpracownikami uspokoić tłum.

Jednak czynniki oficjalne mogły się naocznie przekonać, że ich autorytet został mocno nadwerężony. Tłum przestał przez chwilę bać się jakiejkolwiek kary i jawnie deklarował posłuszeństwo swojemu nowemu przyjacielowi, który przybył do niego, przynosząc mu dowody prawdziwej miłości.

Należałoby dodać w tym miejscu, że w Czamparanie nikt mnie nie znał. Wieśniacy byli na ogół ludźmi pozbawionymi elementarnego wykształcenia. Czamparan leży daleko na północ od Gangesu, prawie u samego podnóża Himalajów, w bezpośrednim sąsiedztwie Nepalu, i był całkowicie odcięty od reszty terytorium Indii. Prawie nikt nie wiedział o istnieniu partii Kongresu. Ci zaś, którzy przynajmniej słyszeli tę nazwę, wzbraniali się wstąpić do partii, a nawet mówić o niej. I oto partia Kongresu i jej członkowie zjawiają się tutaj, wprawdzie nie w imieniu partii, ale w jeszcze bardziej realnym sensie.

Po naradzie z moimi współpracownikami ustaliliśmy, że żadna akcja nie będzie podejmowana w imieniu Kongresu. Chodziło nam o wykonanie pewnego zadania, nie zaś o firmę, o żywy kształt – nie o cienie! Powzięliśmy to postanowienie dlatego, że sama nazwa partii Kongresu była czymś w rodzaju czerwonej płachty dla rządu i jego kontrolerów – plantatorów. Dla nich bowiem Kongres był uosobieniem adwokackich sporów, ucieczką przed prawem za pomocą różnych wykrętów i wreszcie oznaczał to samo co bomby, zbrodnie anarchistów i przewrotna dyplomacja.

Musieliśmy więc rozczarować zarówno jednych, jak i drugich i w tym celu postanowiliśmy nie powoływać się na partię Kongresu i nic nie mówić wieśniakom o istnieniu organizacji noszącej tę nazwę.

Uważaliśmy, że najzupełniej wystarczy, jeżeli nawet nie wiedząc, czym jest ów Kongres, zrozumieją ducha ożywiającego jego cele i będą im wierni.

Wobec tego, że nigdy przedtem – jawnie czy też skrycie – nie przysłano tu żadnych emisariuszy, którzy by z ramienia Kongresu przygotowali grunt dla naszego przybycia, było prawie niemożliwe, by Radźkumarowi Szukli udało się dotrzeć do tysięcy wieśniaków. Nie prowadzono wśród nich dotąd żadnej akcji politycznej, żaden z nich nie znał świata leżącego poza Czamparanem – a przecież ci ludzie przyjęli mnie tak, jak gdybyśmy byli starymi przyjaciółmi, i nie będzie żadnej przesady, gdy powiem, że zetknąwszy się z tymi wieśniakami, stanąłem oko w oko z Wszechmogącym, z ahimsą, z Prawdą.

Gdy się zastanawiam nad tym, co mnie upoważnia do tego twierdzenia, odnajduję, iż jedyną do niego podstawą jest miłość, jaką czuję dla mojego narodu, a ona z kolei nie jest przecież niczym innym jak moją niezachwianą wiarą w ahimsę.

Ten dzień w Czamparanie był wydarzeniem, którego nigdy w życiu nie zapomnę, był dniem wielkiego święta zarówno dla owych wieśniaków, jak i dla mnie.

Zgodnie z literą prawa miałem stanąć przed sądem, w rzeczywistości jednak na ławie oskarżonych zasiadł rząd. Pełnomocnik rządu tyle tylko wskórał, że w sieci, które na mnie zastawił, wpadł reprezentowany przez niego rząd.

XV. SPRAWA ZOSTAJE UMORZONA

Rozprawa przed sądem się rozpoczęła. Rzecznik z ramienia rządu, sędzia, a także inne czynniki oficjalne były w kłopocie, jak mają postąpić. Rzecznik rządu domagał się od sędziego, by odroczyć rozprawę. Zaprotestowałem i obstawałem przy tym, że sprawa ta nie powinna ulec odroczeniu, gdyż mam zamiar przyznać, że istotnie nie usłuchałem rozkazu opuszczenia Czamparanu, i przy tej okazji odczytałem następujące krótkie oświadczenie:

Wysoki Sąd zechce mi zezwolić na złożenie niniejszego krótkiego oświadczenia, z którego będzie wynikało, dlaczego poczyniłem bardzo poważne kroki zmierzające do rzekomego nieusłuchania rozkazu wydanego na podstawie 144 paragrafu kodeksu karnego. Według mojego skromnego zdania zachodzi w tym wypadku pomiędzy organami lokalnej administracji a mną różnica poglądów. Przybyłem tu, by wypełnić pewną humanitarną misję mającą na celu dobro mego narodu. Zrobiłem to, ulegając wielokrotnym zaproszeniom, bym przybył i przyszedł z pomocą wieśniakom, którzy

skarżą się, iż nie są należycie traktowani przez plantatorów indyga. Nie mógłbym im udzielić tej pomocy, nie poznawszy uprzednio całego zagadnienia. Przyjechałem więc, by je poznać przy pomocy – o ile to będzie możliwe – organów administracji oraz samych plantatorów. Nie powodowałem się żadnymi innymi zamiarami i nie mogę uwierzyć, by moje przybycie mogło w jakimkolwiek stopniu zakłócić spokój publiczny i narazić na niebezpieczeństwo życie ludzkie. Stwierdzam, że mam dość duże doświadczenie w podobnych sprawach. Przedstawiciele administracji byli widocznie innego zdania. Zdaję sobie sprawę z ich trudności i przyznaję również, że organy administracyjne kierują się w swoim postępowaniu jedynie takimi informacjami, jakie otrzymują. Jako lojalny obywatel uważam, że moim pierwszym obowiązkiem byłoby – co zresztą miało miejsce – podporządkować się nakazowi, jaki otrzymałem. Nie mógłbym jednak tak postąpić, nie zadając gwałtu mojemu poczuciu obowiązku wobec tych, dla których tu przybyłem. Zdaję sobie sprawę z tego, że mogę im być pożyteczny jedynie wtedy, gdy będę przebywał wśród nich, i dlatego nie mogę dobrowolnie opuścić tej miejscowości. Z uwagi na wyżej wyłuszczone sprzeczności wynikłe przy wykonywaniu ciążących na mnie obowiązków mógłbym jedynie zrzucić z siebie odpowiedzialność, przerzucając ją na organy administracyjne. Zdaję sobie również jak najdokładniej sprawę z tego, że ktoś, kto zajmuje w życiu publicznym Indii taką pozycję jak ja, musi zwracać wielką uwagę na przykład, jaki daje. Wierzę niezbicie, że w świetle ustaw konstytucyjnych, stanowiących jedyną bezpieczną i honorową drogę postępowania dla każdego szanującego się obywatela, w okolicznościach, w jakich ja się znalazłem, nie pozostaje mi nic innego, jak bez sprzeciwu ponieść należną karę za okazanie nieposłuszeństwa.

Pozwalam sobie dodać, że powyższego oświadczenia nie składam po to, by złagodzić karę, jaka mi będzie wymierzona. Pragnę jedynie wyjaśnić, że odmówiłem wykonania wydanego mi rozkazu nie z braku szacunku dla prawowitej władzy, lecz przez posłuszeństwo dla najwyższego prawa rządzącego naszym istnieniem, a mianowicie dla głosu sumienia.

Tym samym powód do odroczenia rozprawy odpadł, wobec tego jednak, że zarówno sędzia, jak i przedstawiciel rządu byli całkowicie zaskoczeni, sędzia odroczył wydanie wyroku. Tymczasem ja powiadomiłem szczegółowo o przebiegu całej rozprawy wicekróla, moich przyjaciół w Patnie, a także pandita Madana Mohana Malawiję oraz innych.

Zanim zdążyłem zgłosić się do sądu, by usłyszeć wyrok, sędzia przysłał mi wiadomość na piśmie, z której wynikało, że zastępca gubernatora kazał umorzyć

wytoczoną mi sprawę; poborca napisał do mnie, oświadczając, że mogę bez przeszkód prowadzić zamierzone dochodzenie oraz że w razie potrzeby mogę liczyć na pomoc ze strony czynników rządowych. Nikt z nas nie przypuszczał, że cała sprawa rozstrzygnie się tak szybko i tak pomyślnie.

Spotkałem się z owym poborcą, mister Heycockiem. Zrobił na mnie dobre wrażenie i najwidoczniej zależało mu na tym, by nie postąpić wbrew prawu. Powiedział mi, że mogę zażądać jakich tylko zechcę dokumentów i że mogę się z nim zobaczyć, ilekroć będę tego potrzebował.

Tak więc nasz kraj otrzymał pierwszą i bezpośrednią lekcję „biernego oporu". Całe to zajście było bez ogródek omawiane zarówno na miejscu, jak i w prasie i moja akcja „przeprowadzenia dochodzeń" nieoczekiwanie uzyskała ogromny rozgłos.

Podjęta przeze mnie kampania wymagała zachowania neutralności przez rząd, natomiast poparcie ze strony reporterów lub ogłaszanie w tej sprawie artykułów wstępnych było zgoła zbyteczne. Chodzi o to, że sytuacja w Czamparanie była tak drażliwa i napięta, że nadmiernie gorliwa krytyka albo przesadne reportaże mogły z łatwością popsuć sprawę, którą spodziewałem się załatwić pomyślnie. Napisałem więc do redaktorów najważniejszych organów prasowych, prosząc, aby nie zadawali sobie niepotrzebnego trudu i nie przysyłali żadnych reporterów, gdyż ja sam w razie potrzeby przyślę wszystkie materiały, jakie będą wymagały publikacji, oraz że sam będę ich informował o wszystkim.

Wiedziałem dobrze, że stanowisko rządu, który zgodził się na moją obecność, bardzo nie podoba się plantatorom w Czamparanie, wiedziałem również, że pewne czynniki oficjalne, aczkolwiek nie mogły tego wyrazić otwarcie, też nie były tym zachwycone. Nieodpowiadające rzeczywistości lub wprowadzające w błąd reportaże mogły je jeszcze bardziej podniecić, a ich gniew, zamiast dotknąć mnie, z pewnością spadłby na biednych, wystraszonych wieśniaków, co jeszcze bardziej utrudniłoby mi wykrycie całej prawdy.

Pomimo przedsięwziętych przeze mnie środków ostrożności właściciele plantacji rozpętali przeciwko mnie najbardziej jadowitą propagandę. W prasie ukazało się wiele całkowicie zmyślonych oszczerstw przeciwko moim współpracownikom oraz mojej osobie. Jednak moja wytężona czujność i uporczywe trzymanie się prawdy, nawet gdy chodziło o najdrobniejsze szczegóły, stępiły ciosy mieczów plantatorów.

Właściciele plantacji nie zostawili kamienia na kamieniu, szkalując Bradźkiszora, ale im bardziej go spotwarzali, tym bardziej rósł szacunek ludu dla niego.

W podobnie napiętej sytuacji nie uważałem za stosowne prosić przywódców z innych prowincji o przybycie. Pandit Malaviyadżi zapewnił mnie listownie, że przyjedzie natychmiast, gdy tego zażądam – ale nie chciałem go niepokoić. Dzięki temu udało mi się pozbawić całą akcję charakteru walki politycznej. Wysłałem zarówno do przywódców, jak i do redakcji najważniejszych pism specjalne raporty, przeznaczone jednak nie do druku, lecz tylko dla ich informacji.

Zorientowałem się wtedy, że nawet w tych przypadkach, kiedy wynik nosiłby polityczny charakter, podczas gdy sama sprawa bynajmniej nie była polityczna, można było jej raczej zaszkodzić, nadając jej polityczny charakter, a pomóc przez pozbawienie jej tego znaczenia.

Walka stoczona w Czamparanie udowodniła, że bezinteresowna służba na rzecz ludu – niezależnie od jej zakresu – w rezultacie jest politycznie korzystna dla kraju.

XVI. METODY PRACY

Aby zdać sprawę z całokształtu akcji w Czamparanie, należałoby przedstawić historię czamparańskiego wieśniaka tak, jak ona wyglądała, co jest nie do pomyślenia na tym miejscu. Akcja w Czamparanie była śmiałym eksperymentem na drodze poszukiwania Prawdy i ahimsy; właśnie pod tym kątem widzenia przeprowadzam z tygodnia na tydzień selekcję wydarzeń. Bardziej wszechstronne informacje daje książka Radźendry Prasada o dziejach ruchu Satjagraha w Czamparanie, której angielskie wydanie, jak mi powiedziano, przygotowuje się obecnie.

Ale do rzeczy. W domu Gorakha Prasada nie mieliśmy warunków do prowadzenia dochodzeń, chyba że całkowicie wyprosilibyśmy biednego właściciela. A mieszkańcy Motihari jeszcze nie wyzbyli się lęku do tego stopnia, aby wynająć nam jakieś pomieszczenie. Jednak Bradźkiszorebabu sprytnie wynalazł dom z dość obszernym dziedzińcem, do którego zaraz się przenieśliśmy.

Niepodobna było prowadzić dalej pracy bez pieniędzy. Dotychczas nie było w zwyczaju apelować do społeczeństwa o fundusze na taki cel. Bradźkiszore oraz jego towarzysze byli w większości prawnikami. Pieniądze, które wnieśli, pochodziły albo wprost od nich, albo od ich przyjaciół, zdobywane, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Jak więc mieli prosić o datki innych, skoro sami, we własnym gronie, mogli je łatwo zebrać.

To przeważyło szalę. Postanowiłem nie przyjmować nic od chłopów czamparańskich, żeby mnie źle nie zrozumieli. Byłem również zdecydowany nie odwoływać się do kraju o pomoc finansową na większą skalę. Albowiem nadałoby to zapewne całej sprawie ogólnoindyjskie, polityczne znaczenie.

Podziękowałem swym przyjaciołom z Bombaju, którzy ofiarowywali piętnaście tysięcy rupii. Z pomocą Bradźkiszorego chciałem wydostać, ile się tylko da, od zamożnych Biharczyków spoza Czamparanu, a w ostateczności zwrócić się do mojego przyjaciela, doktora Mehty, zamieszkałego w Rangunie, który zresztą chętnie zgodził się przesłać każdą sumę, jaka będzie potrzebna. Tak więc pozbyliśmy się troski materialnej. Ogólne ubóstwo Czamparanu nakazywało nam wprowadzić jak najdalej posuniętą oszczędność. Z czasem okazało się, że możemy się obejść bez wielkich funduszów. Mam wrażenie, że przez cały ten czas wydaliśmy nie więcej niż trzy tysiące rupii, i przypominam sobie, że zaoszczędziliśmy ze składek kilkaset rupii.

Osobliwy sposób życia moich towarzyszy wystawiał ich z początku na ciągłe drwiny z mej strony. Każdy z tych obrońców miał służącego, kucharza i osobną kuchnię, a obiady podawano nieraz dopiero o północy. Chociaż sami płacili za wszystko, martwił mnie ten brak ładu i marnotrawstwo czasu. Ale że staliśmy się bliskimi przyjaciółmi, moje uszczypliwe uwagi odniosły dobry skutek. Ostatecznie zapadła decyzja, żeby kuchnie połączyć, ustalić wspólne godziny posiłków, a służbę odprawić. Ponieważ prowadzenie dwóch kuchni – nie wszyscy byli wegetarianami – byłoby za kosztowne, zdecydowano się na wegetariańskie obiady dla wszystkich. Ustaliliśmy też, że posiłki muszą być skromne.

Te udogodnienia w znacznym stopniu ograniczyły wydatki i zaoszczędziły nam moc bardzo potrzebnego czasu i energii. Chłopi napływali tłumnie, aby złożyć swoje oświadczenia, ciągnąc za sobą całe zastępy znajomych. Ogród i dziedziniec był zatłoczony po brzegi. Wysiłki moich przyjaciół, by ustrzec mnie przed pragnącymi otrzymać moje błogosławieństwo, były daremne. Musiałem w pewnych godzinach spełniać życzenia tych ludzi, ukazując się im. Trzeba było co najmniej od pięciu do siedmiu ochotników do spisywania zeznań chłopów, a nawet wówczas sporo chętnych musiało odejść wieczorem z kwitkiem. Większość oświadczeń była nieistotna, w wielu wypadkach nie wnosiły nic nowego, ale dla tych ludzi był to jedyny sposób zadośćuczynienia i rozumiałem dobrze ich uczucia w tej sprawie.

Przy spisie obowiązywały pewne rygory. Każdy chłop był skrupulatnie badany i jeżeli jego zeznania nie odpowiadały wymaganiom – odpadał. Kosztowało

to sporo czasu, ale w ten sposób można było uzyskać pewność, że prawie wszystkie zeznania bezwzględnie odpowiadają prawdzie.

W czasie spisywania oświadczeń obecny był zawsze oficer z policji śledczej. Można było temu zapobiec, ale od razu postanowiliśmy nie tylko nie sprzeciwiać się obecności oficerów śledczych, ale traktować ich uprzejmie i udostępnić im możliwie wszystkie wiadomości. Nic na tym nie straciliśmy. Przeciwnie, z jednej strony niezmierny lęk, jaki wieśniacy czuli przed policją śledczą, osłabł, z drugiej zaś – sama obecność oficerów wywoływała naturalną u chłopów powściągliwość, nie pozwalała na przesadę. Zadanie agentów policyjnych polegało na tym, by zastawiać pułapki na ludzi, nic więc dziwnego, że wieśniacy musieli się mieć na baczności.

Ponieważ nie chciałem budzić gniewu plantatorów, lecz przeciwnie – ująć ich dobrocią, przyjąłem zasadę, aby komunikować się listownie lub osobiście z każdym, komu stawiano poważne zarzuty. Byłem również w Stowarzyszeniu Plantatorów, gdzie przedstawiłem roszczenia wieśniaków i poznałem ich punkt widzenia. Poszczególni plantatorzy okazywali mi bądź nienawiść, bądź obojętność, a tylko nieliczni traktowali mnie życzliwie.

XVII. TOWARZYSZE

Radźkiszorebabu i Radźendrababu stanowili niezrównaną parę. Ich oddanie sprawiło, że żaden krok z mojej strony nie obył się bez ich pomocy. Ich uczniowie i towarzysze – Szambhubabu, Anugrahababu, Dharanibabu, Rammnavmibabu i inni obrońcy sądowi – wakilowie nie opuszczali nas nigdy. Vindhyababu i Dżanakdharibabu również przyjeżdżali, przychodząc nam od czasu do czasu z pomocą. Byli to wszystko Biharczycy. Ich głównym zadaniem było spisywanie zeznań wieśniaków.

Profesor Kripalani nie mógł nie podzielić naszych losów. Chociaż pochodził z Sindu, był bardziej Biharczykiem niż urodzony Biharczyk. Spotkałem niewielu ludzi zdolnych tak się zaaklimatyzować na obcym terenie. Nikt by się nie domyślił, że ma przed sobą przybysza. On głównie czuwał nad zapewnieniem mi spokoju. Ostateczny cel swego życia widział w tym, że musi mnie uchronić przed poszukiwaczami darśanu. Na natrętów miał dwa sposoby: swój niezawodny dowcip lub łagodne pogróżki. O zmroku powracał zazwyczaj do zajęć nauczycielskich i z taką erudycją umiał przedstawić słuchaczom historię, że nawet w nieśmiałym człowieku budziła się uśpiona dotąd odwaga.

Maulana Mazharul Haq figurował na liście stałych pomocników, na których można liczyć w razie potrzeby, i uważał za punkt honoru wpaść do nas raz lub dwa razy w miesiącu. Przepych i okazałość, jakie go otaczały, stanowiły skrajne przeciwieństwo prostoty jego późniejszego życia. Sposób jego obcowania z nami sprawiał, że uważaliśmy Mazharula za jednego z nas, chociaż ktoś patrzący z boku mógł odnieść inne wrażenie.

Gdy się lepiej zorientowałem w warunkach panujących w Biharze, doszedłem do wniosku, że niemożliwe jest uzyskanie trwałych wyników pracy, dopóki oświata nie dotrze na wieś. Nieuctwo chłopów było przerażające. Dzieciom pozwalano wałęsać się albo kazano ciężko pracować od świtu do nocy na plantacjach indyga za parę miedziaków dziennie. W tym czasie dniówka wynosiła nie więcej niż dziesięć pajs[147] dla mężczyzn, sześć dla kobiet, a trzy dla dzieci. Jeśli ktoś potrafił zarobić cztery anny, uważano go za szczęśliwca.

W porozumieniu z towarzyszami postanowiłem założyć szkoły podstawowe w sześciu wioskach. Jeden z wysuniętych przez nas warunków głosił, że wieśniacy sami postarają się o wikt i mieszkanie dla nauczycieli; resztę wydatków pokrywaliśmy my. Co prawda wieśniacy byli bez grosza, lecz żywności im nie brakowało. Toteż od razu wyrazili gotowość dostarczenia ziarna i innych surowców.

Skąd wziąć nauczycieli? Był to nie lada problem. Z miejscowych nauczycieli mało który zechciałby pracować za tak niską pensję albo całkiem bezpłatnie. Zresztą nie miałem zamiaru powierzać dzieci zwykłym nauczycielom, gdyż w tym przypadku chodziło nie tyle o kwalifikacje naukowe, ile o stronę moralną pedagoga.

Dlatego też wystąpiłem z publicznym apelem o zgłaszanie się nauczycieli ochotników. Oddźwięk był pomyślny. Gangadharrao Deszpande przysłał Babasaheba Somana i Pundalika, z Bombaju przybyła *śrimati* Avantikabai Gokhale, z Puny znana działaczka Anandibai Vaisampayan. Napisałem do aśramu po Ćhotalala, Surendranatha i swojego syna Devdasa. Gdzieś w tym samym czasie przyłączyli się do nas Mahadev Desai i Narahari Parikh w towarzystwie swych żon. Wezwałem też Kasturbai, by nam pomogła. Był to dość silny zespół. *Śrimati* Avantikabai i *śrimati* Anandibai były dostatecznie wykształcone, ale obie żony moich przyjaciół wykazywały się jedynie znajomością języka gudźarati, a Kasturbai nawet tym nie mogła się pochwalić. Jakże tedy miały owe ochotniczki uczyć dzieci, skoro nauka musiała być prowadzona w języku hindi?

147 Pajsa – 1/4 anna, anna – 1/16 rupii.

Wytłumaczyłem, że oczekuję od nich przede wszystkim tego, żeby wpoiły dzieciom zasady dobrego wychowania i higieny, a potem będzie można pomyśleć o nauce czytania, pisania i rachunków. Następnie wyjaśniłem, że jeśli chodzi o alfabet, to nie ma tak wielkich różnic między językami gudźarati, hindi i marathi, jak by się na pozór wydawało; w każdym razie nauka samych liter i cyfr w najniższych klasach nie powinna sprawiać trudności. Rezultat był ten, że klasy prowadzone przez te panie mogły się wykazać najlepszymi postępami. Doświadczenie natchnęło nauczycieli wiarą i entuzjazmem. Avantikabai sercem i duszą oddała się pracy i dzięki swym wyjątkowym uzdolnieniom stworzyła wzorową szkołę. Za pośrednictwem pań udało się w pewnej mierze trafić również do wieśniaczek.

Nie zamierzałem jednak poprzestać na zakładaniu początkowych szkół. Wioski były pod względem sanitarnym okropnie zaniedbane, na uliczkach pełno brudu, wokół studni smród i błoto, w zagrodach nieprawdopodobne zaniedbanie. Trzeba było uczyć czystości nawet ludzi starszych. Dorośli bez wyjątku cierpieli na wszelkiego rodzaju choroby skórne. Należało zorganizować jak najszerszą akcję sanitarną i dotrzeć do każdego zakamarka ich bytowania.

Do tej pracy byli potrzebni lekarze. Zwróciłem się do Stowarzyszenia Sług Indii z prośbą o wydelegowanie, dziś już nieżyjącego, doktora Deva. Byliśmy wielkimi przyjaciółmi i doktor chętnie ofiarował swe usługi na sześć miesięcy. Nauczyciele – mężczyźni i kobiety – musieli pracować pod jego kierownictwem.

Mieli oni wyraźne instrukcje, żeby się nie mieszać do polityki ani w sprawy zatargu między wsią a plantatorami, a wszystkich poszkodowanych kierować do mnie. Nikomu nie wolno było przekroczyć tego zarządzenia, a ogół wydanych przeze mnie przepisów był przestrzegany ze zdumiewającą karnością przez moich przyjaciół. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek choć raz się wyłamał.

XVIII. BADAM ŻYCIE WSI

Staraliśmy się – o ile to było możliwe – kierownictwo każdej szkoły powierzać dwóm osobom – mężczyźnie i kobiecie. Do nich też należała pomoc lekarska i sanitarna. Dostęp do wieśniaczek miały jedynie kobiety.

Leczenie było nadzwyczaj proste: olejek rycynowy, chinina i maść siarkowa. Gdy pacjent miał obłożony język i skarżył się na niestrawność, dostawał

rycynę, w razie gorączki – chininę po uprzedniej dozie niezawodnego olejku, maść siarkowa szła na świerzb i czyraki, po dokładnym obmyciu chorych miejsc. Pacjentom nie wolno było brać lekarstw do domu. W poważniejszych przypadkach zasięgano rady doktora Deva. Odwiedzał on poszczególne ośrodki w pewnych ustalonych dniach tygodnia.

Wcale pokaźna liczba osób skorzystała z tej skromnej pomocy. Taki sposób leczenia nie wyda się dziwny, jeśli się uwzględni, że poważniejszych dolegliwości było niewiele, przy czym leczyło się je zwykłymi środkami, obywając się bez zasięgania porady specjalistów. Ludności tego rodzaju zarządzenia najzupełniej odpowiadały.

Sprawa higieny natomiast wcale nie była prosta. Chłopi nie zdradzali ochoty do zamiatania ulic, w ogóle nie byli przygotowani do tego, żeby zrobić cokolwiek z własnej woli. Lecz doktor Dev nie należał do ludzi, którzy łatwo dają za wygraną. Cały zespół z doktorem na czele dążył do tego, aby wieś była idealnie czysta. Zamiatali ulice i zagrody, czyścili studnie, zasypywali kałuże, zachęcając serdecznie wieśniaków, aby dobrowolnie poszli za ich przykładem. Nieraz trzeba było chłopów zawstydzać, ale zdarzało się też, że sami odnosili się do sprawy entuzjastycznie, tak że nawet poprawiali drogi, bym mógł z miejsca na miejsce podróżować samochodem. Radość, jaką sprawiały takie przeżycia, bywała zaprawiona goryczą, gdy napotykałem całkowitą bierność. Pamiętam i takich wieśniaków, którzy otwarcie wyrażali niechęć do całej sprawy.

Nie będzie od rzeczy, jeżeli opowiem o pewnym zdarzeniu, które zresztą przytaczam dość często. W wiosce Bhitiharwa mieściła się jedna z naszych szkół. Przypadkowo odwiedziłem wioszczynę w sąsiedztwie i zauważyłem tam sporo kobiet bardzo brudno ubranych. Poprosiłem więc żonę, by spytała, dlaczego nie piorą strojów. Jedna z nagabniętych chłopek zaprowadziła żonę do swojej chaty i spytała: „Czy widzi tu pani choć jedną komodę czy schowek na ubranie? Cały mój majątek to sari na grzbiecie. Nie mam innego. Jak mam je prać? Proszę powiedzieć Mahatmie, żeby dał mi drugie sari, wtedy obiecuję myć się codziennie i codziennie wdziewać czyste ubranie" .

Nie był to wyjątkowy przypadek, lecz typowe zjawisko, z jakim można było się spotkać w każdej indyjskiej wiosce. W niezliczonej liczbie wiosek znajdzie się takie chaty, gdzie ludzie żyją bez mebli, bez ubrań na zmianę, szmatą okrywając swą nagość.

Wspomnę o jeszcze jednym zdarzeniu. W Czamparanie nie brak bambusu i trawy. Z tego materiału zbudowano szkołę w Bhitiharwie. Pewnej nocy

– zapewne za namową okolicznych plantatorów – ktoś podłożył pod nią ogień. Kierownictwo tej szkoły należało do Somana i Kasturbai. Soman postanowił zbudować szkołę murowaną, którą – dzięki jego udzielającemu się zapałowi – postawiono w szybkim czasie. Nie było już obawy, żeby ten budynek spłonął.

Tak więc zespół ochotników swoimi szkołami, działalnością higieniczną i lekarską zyskał zaufanie i szacunek wieśniaków, co pozwoliło im dobrze oddziaływać na wieś.

Z przykrością muszę jednak wyznać, że moje nadzieje na stworzenie dla tej twórczej pracy trwałej podstawy zawiodły. Nie udało mi się zdobyć ani jednego ochotnika z zewnątrz poza tymi, którzy przyjechali jedynie na pobyt czasowy, a nie można było znaleźć na stałe honorowych pracowników z Biharu. Zaledwie zdążyłem uporać się z robotą w Czamparanie, już nowa czekała na mnie w innej części kraju. Jednak kilkumiesięczna praca na tym gruncie okazała się tak trwała, że jej wpływ, w ten czy inny sposób, daje się odczuć nawet obecnie.

XIX. GDY GUBERNATOR JEST DOBRY

Jednocześnie ze społeczną działalnością, o której pisałem w rozdziałach poprzednich, postępowała akcja spisywania chłopskich zażaleń. Zanotowano ich tysiące, co nie mogło pozostać bez skutku. Gniew plantatorów był wyraźnie podsycany rosnącym powodzeniem prowadzonego przeze mnie dochodzenia. Toteż, by mu przeciwdziałać, poruszyli niebo i ziemię.

Któregoś dnia otrzymałem od rządu biharskiego pismo tej treści: „Dochodzenia pańskie przedłużają się ponad miarę. Czy nie uważa pan za stosowne skończyć je i opuścić Bihar?". List był utrzymany w grzecznym tonie, mimo to sens pozostawał oczywisty.

Napisałem w odpowiedzi, że dochodzenia przeciągnęły się z konieczności i że pozostanę w Biharze dopóty, dopóki nie zobaczę ich skutku, czyli ulgi przyniesionej chłopom. Wskazałem również na fakt, że nic nie stoi na przeszkodzie, by rząd zakończył moje dochodzenia, przyznając słuszność skargom chłopów i odpowiednio wynagradzając im krzywdę lub też stwierdzając, że chłopi wygrali sprawę *prima facie*, wobec czego oficjalne dochodzenia winny być podjęte niezwłocznie.

Wicegubernator, Sir Edward Gait, zaprosił mnie na rozmowę, w której wyraził gotowość rozpoczęcia oficjalnych dochodzeń, proponując mi przy

tym udział w komitecie. Zapoznałem się z listą członków komitetu i po naradzie z moimi współpracownikami zgodziłem się przyjąć propozycję gubernatora pod warunkiem, że: po pierwsze, wolno mi będzie korzystać z rad współpracowników w czasie trwania dochodzeń; po drugie, rząd raczy pamiętać, iż zostając członkiem komitetu, nie przestanę być obrońcą chłopów; i po trzecie, że będzie mi wolno – w przypadku gdy rezultat dochodzeń mnie nie zadowoli – wskazać i doradzić chłopom tę linię działania, której powinni się trzymać.

Sir Edward Gait uznał te warunki za słuszne i zapowiedział rozpoczęcie dochodzenia. Przewodniczącym komitetu został nieżyjący już dziś Sir Frank Sly.

Komitet wypowiedział się na korzyść wieśniaków, żądając zniesienia drogą prawną systemu *tinkathia* i wynagrodzenia choć w części krzywd wyrządzonych im przez właścicieli plantacji.

Sir Edward Gait w dużym stopniu przyczynił się do tego, że rezolucja komitetu przyjęta została jednomyślnie, również dzięki niemu nowa ustawa rolna przeszła zgodnie z zaleceniami komitetu. Gdyby nie wykazał w tej sprawie dość stanowczości i taktu, nie można byłoby się spodziewać jednogłośnej rezolucji lub zatwierdzenia ustawy. Plantatorzy rozporządzali nadzwyczajną siłą. Wbrew kompromitującym wynikom dochodzeń sprzeciwiali się bardzo ostro projektowi ustawy, lecz Sir Edward Gait pozostał niewzruszony do ostatka i całkowicie wykonał zalecenia komitetu.

W ten sposób krzywdzący system rolny *tinkathia*, który istniał tu niemal od stu lat, został obalony, a wraz z jego upadkiem skończyło się panowanie plantatorów. Gnębieni przez cały ten czas chłopi obecnie z wolna odzyskiwali swe prawa. Prysł przesąd o tym, jakoby nigdy nie można było zmyć plamy z indyga.

Chciałem prowadzić tę twórczą pracę jeszcze przez kilka lat. Chciałem założyć więcej szkół, bardziej skutecznie przyjrzeć się życiu na wsi. Grunt był już przygotowany. Lecz Wszechmocny, jak to się już nieraz zdarzało, nie pozwolił, by moje plany się ziściły. Los chciał inaczej i rzucił mnie do pracy w inne strony.

XX. KONTAKTY Z ROBOTNIKAMI

Byłem jeszcze zajęty pracami w komitecie, gdy otrzymałem list od Mohanlala Pandyi i Śankarlala Parikha, w którym powiadamiali mnie o klęsce nieurodzaju w rejonie Khedy[148] i jednocześnie prosili, abym poradził wieśniakom, którzy nie mogli zapłacić podatków, jak mają postąpić. Nie miałem ani ochoty, ani możności czy nawet odwagi udzielać jakichkolwiek porad bez zbadania całej tej sprawy na miejscu.

W tym samym czasie nadszedł list od *śrimati* Anasuyabai o warunkach, w jakich robotnicy pracują w Ahmedabadzie. Zarobki były niskie, robotnicy od dawna prowadzili agitację na rzecz ich podwyższenia i gdybym mógł, chętnie bym im w tym dopomógł. Nie miałem jednak pewności, czy potrafię pokierować tą stosunkowo drobną akcją z tak dużej odległości. Skorzystałem więc z pierwszej sposobności, by udać się do Ahmedabadu. Liczyłem na to, że uda mi się dość szybko zlikwidować obie sprawy i powrócić do Czamparanu, by mieć nadzór nad pracą, którą podjęliśmy na tym terenie.

Ale nie poszło to tak szybko, jak sobie tego życzyłem, i nie mogłem powrócić do Czamparanu, co doprowadziło do tego, że jedna szkoła po drugiej została zamknięta. Ja i moi współpracownicy zbudowaliśmy niemało zamków na lodzie, a wszystkie one z czasem znikły bez śladu.

Jedną z tych spraw była akcja na rzecz ochrony krów używanych do pracy, inne dotyczyły warunków sanitarnych na wsi oraz powszechnego nauczania. Podczas moich podróży przekonałem się, że ochrona krów oraz propaganda na rzecz hindi stanowiły wyłączny przedmiot zainteresowań ludności Marwadi. Pewien mój przyjaciel z Marwadi udzielił mi podczas mojego pobytu w Bettiah gościny w swoim *dharmaśala.* Inny miejscowy Marwadi zapoznał mnie z prowadzonym przez nich gospodarstwem mlecznym. Wtedy moje plany dotyczące ochrony krów przybrały definitywne formy, a moje ujęcie całokształtu tej sprawy było takie samo, jakie jest dziś.

W moim przekonaniu do ochrony krów należała hodowla cieląt, poprawa rasy, bardziej humanitarne traktowanie wołów oraz organizowanie wzorowych mleczarni (*gośala*) i tak dalej.

Moi przyjaciele z Marwadi przyrzekli mi swą jak najdalej idącą pomoc, ale ponieważ nie mogłem się osiedlić w Czamparanie, nie dało się już ruszyć z miejsca całej tej sprawy.

148 Kheda – rejon pomiędzy Ahmedabadem i Cambay.

Gośala nadal istnieje w Bettiah, ale nie przekształciła się we wzorowe gospodarstwo mleczne, woły w Czamparanie w dalszym ciągu zmusza się do pracy ponad siły, a ci, którzy mienią się hindusami, po dawnemu okrutnie obchodzą się z biednymi zwierzętami i obrażają swą własną religię.

Nie mogę odżałować, że ten zakres mojej pracy nie doczekał się realizacji, i ilekroć bywam w Czamparanie i słyszę nieśmiałe wyrzuty ze strony moich przyjaciół z Marwadi lub z Biharu, z wielkim żalem wspominam wszystkie tamte plany, z których, niestety, musiałem tak nagle zrezygnować.

Jeśli chodzi o prace oświatowe, to są one tak lub inaczej prowadzone w różnych miejscowościach. Sprawa ochrony krów nie posunęła się naprzód w zamierzonym kierunku.

W tym samym czasie, kiedy rozważano sprawę wieśniaków z Khedy, zająłem się skargami robotników pracujących w fabrykach w Ahmedabadzie.

Znalazłem się w niezmiernie drażliwej sytuacji. Sprawa owych robotników fabrycznych przedstawiała się poważnie.

Śrimati Anasuyabai musiała prowadzić walkę ze swoim własnym bratem, Ambalalem Sarabhai, który występował z ramienia właścicieli fabryk. Łączyły mnie z nimi przyjazne stosunki, co jeszcze bardziej utrudniało mi występowanie przeciwko nim. Przeprowadziłem z nimi wiele rozmów i zaproponowałem przekazanie sprawy arbitrażowi, jednak właściciele nie zgodzili się na tę formę rozstrzygnięcia sporu. Nie pozostawało mi nic innego, jak poradzić robotnikom, by rozpoczęli strajk. Zanim jednak to zrobiłem, nawiązałem bardzo bliski kontakt zarówno z nimi, jak z ich przywódcami i wyjaśniłem, jakie warunki są niezbędne dla pomyślnego wyniku strajku.

Po pierwsze: nigdy nie uciekać się do jakiejkolwiek przemocy,

po drugie: nigdy nie prześladować łamistrajków,

po trzecie: nigdy nie uzależniać się od datków pieniężnych

i po czwarte: zachować niewzruszoną postawę, niezależnie od tego, jak długo potrwa strajk, zarabiając w czasie jego trwania na chleb inną uczciwą pracą.

Przywódcy strajku znali te warunki i przyjęli je, a robotnicy zwołali wielki wiec, na którym postanowili nie wracać do pracy, zanim ich żądania nie zostaną przyjęte lub właściciele nie zgodzą się na arbitraż.

W czasie trwania tego strajku poznałem bliżej Wallabhbai Patela[149] i Śankarlala Bankera. *Śrimati* Anasuyabai znałem dobrze już dawniej. Spotykaliśmy

149 Wallabhabai Patel – wybitny działacz prawicy Kongresu. Minister w rządzie Nehru w 1947 r.

się codziennie ze strajkującymi w cieniu drzew nad brzegiem Sabarmati. Tysiące robotników przychodziło na te spotkania, ja zaś w moich przemówieniach przypominałem im o celu, jaki mają przed sobą, a także o obowiązku zachowania spokoju i godnej postawy.

Robotnicy urządzali codziennie, z zachowaniem największego spokoju, pochody przez ulice miasta, niosąc transparenty z napisem: EK-TEK (Dotrzymaj Zobowiązania).

Strajk trwał dwadzieścia jeden dni. Przez cały ten czas odbywałem konferencje z właścicielami fabryk, domagając się od nich, by spełnili słuszne żądania robotników.

– My stawiamy również swoje żądania! – odpowiadali zazwyczaj. – Nasz stosunek do robotników jest taki, jak rodziców do dzieci. Nie możemy się zgodzić, by ktoś trzeci wtrącał się do nich. Tu nie może być mowy o żadnym arbitrażu!

XXI. POBIEŻNY RZUT OKA NA AŚRAM

Zanim przystąpię do dalszego opisu zatargu, jaki wynikł w Ahmedabadzie z robotnikami fabrycznymi, uważam za wskazane bodaj pobieżnie rzucić okiem na to, co się działo w aśramie. Nigdy podczas całego mego pobytu w Czamparanie nie przestawałem myśleć o aśramie i od czasu do czasu wpadałem tam na krótko.

Nasz aśram znajdował się w owym czasie w Koczrabie, niewielkiej wiosce położonej w pobliżu Ahmedabadu. W wiosce tej wybuchła epidemia dżumy i byłem zdania, że dzieciom w aśramie grozi niebezpieczeństwo. Przy panujących w tej okolicy złych warunkach sanitarnych zabezpieczyć się przed zachorowaniem było prawie niemożliwe, pomimo iż w obrębie aśramu ściśle przestrzegaliśmy wszelkich przepisów higieny. Nie byliśmy jednak w stanie narzucić ich ludności w Koczrabie ani przyjść jej z pomocą w jakiś inny sposób.

Idealnym rozwiązaniem było ulokowanie naszego aśramu niezbyt daleko od miasta i wsi, a jednocześnie w odpowiedniej odległości od nich. Byliśmy również zdecydowani osiąść kiedyś na własnej ziemi. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wybuch epidemii jest wystarczającym powodem, by opuścić Koczrab.

Pundźabhai Hiraczand, kupiec z Ahmedabadu, utrzymywał dość bliskie stosunki z aśramem i nieraz oddawał nam całkowicie bezinteresowne usługi.

Orientował się dobrze w miejscowych stosunkach i obiecał wystarać się o jakiś nadający się dla nas kawałek ziemi. Udałem się razem z nim na północ od Koczrabu w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Zaproponowałem mu, abyśmy szukali w odległości trzech lub czterech mil na północ. Pundźabhai Hiraczand sprzeciwiał się memu wyborowi, natomiast dla mnie bliskość centralnego więzienia w Sabarmati stanowiła specjalną atrakcję. Upodobałem sobie tę miejscowość, ponieważ siedzenie w więzieniu stanowiło normalny los uczestników akcji Satjagraha, a ponadto wiedziałem, że miejscowości położone w sąsiedztwie więzienia są zazwyczaj utrzymywane w czystości.

Po upływie tygodnia akt kupna był podpisany. Na całym terenie nie było ani zabudowań, ani nawet jednego drzewa, ale niedaleki brzeg rzeki i samotność były ogromną zaletą tej miejscowości. Postanowiliśmy – zanim nie zostaną zbudowane trwałe domostwa – zamieszkać w namiotach, a kuchnia miała się mieścić w niewielkiej drewnianej szopie.

Aśram rozrastał się powoli. Było nas teraz przeszło czterdzieści osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Posiłki jadaliśmy wszyscy ze wspólnej kuchni. Pomysł przeprowadzenia się należał do mnie, a wykonanie, jak zwykle, pozostawione zostało Maganlalowi. Niewygody, jakie musieliśmy znosić, zanim zbudowano stałe pomieszczenia mieszkalne, były znaczne. Padały nieustanne deszcze, żywność trzeba było przywozić z miasta odległego o trzy mile. Teren, który był właściwie pustynią, roił się od żmij, zamieszkiwanie w takiej okolicy z małymi dziećmi było więc dość ryzykowne. Obowiązywał nas zakaz zabijania żmij, chociaż muszę się przyznać, że żaden z nas nie ukrywał strachu przed nimi, co nam zresztą pozostało aż do teraz.

Ten przepis niezabijania jadowitych gadów obowiązywał głównie w Phoenix, na fermie imienia Tołstoja i w Sabarmati. W każdej z tych miejscowości musieliśmy się osiedlać na gołych, niezabudowanych terenach, a jednak nie mieliśmy nigdy śmiertelnych wypadków z powodu ukąszenia przez żmiję. Jako wierzący upatruję w tym dowód miłosierdzia Wszechmogącego. Niech nikt nie mówi, że Wszechmogący nie potrafi być bezstronny i że nie ma czasu na branie udziału w małych ludzkich sprawach. Nie potrafię w inny sposób mówić o tym, jak jedynie przytaczając własne doświadczenia.

Mowa ludzka jest aż nazbyt daleka od doskonałości, by mogła wyrazić drogi, którymi kroczy wola Wszechmocnego. Obstaję przy tym, że nie dadzą się one ani wyrazić słowami, ani ocenić. Jeżeli jednak zwykły śmiertelnik waży się na to, by je wyrazić za pomocą słów, nie znajdzie lepszego sposobu wypowiedzenia

się niż własna, często prymitywna mowa. Nawet jeżeli ktoś zechce twierdzić, że uchowanie się w ciągu dwudziestu pięciu lat przed wszelkim niebezpieczeństwem, mimo stałego przestrzegania zakazu zabijania jadowitych gadów, jest rzeczą przypadku, a nie dowodem miłosierdzia boskiego, i że wiara w to jest zabobonem – wolę pozostać przy tym rzekomym zabobonie.

Podczas strajku robotników w Ahmedabadzie położone zostały fundamenty pod zorganizowanie w aśramie warsztatów tkackich, bowiem głównym naszym zajęciem w aśramie miało być tkactwo. Przędzenie było dla nas na razie niedostępne.

XXII. GŁODÓWKA

W ciągu pierwszych dwóch tygodni robotnicy składali dowody wielkiej odwagi i ofiarności. Codziennie odbywały się wielkie wiece. Przypominałem im przy tej sposobności, do czego się zobowiązali, na co odpowiadali mi, wołając, że wolą umrzeć, aniżeli złamać swoje słowo.

Jednak w końcu nastroje zaczęły słabnąć. Podobnie bowiem jak w człowieku zaczynają występować oznaki osłabienia fizycznego, tak samo nieomylnie daje o sobie znać upadek sił duchowych. W miarę tego jak strajk zdawał się tracić na sile, ich postawa wobec łamistrajków była coraz bardziej groźna i zacząłem się obawiać z ich strony ekscesów. Frekwencja na codziennych wiecach zaczęła słabnąć, a na twarzach uczestników coraz wyraźniej występowały oznaki przygnębienia i rozpaczy.

Wreszcie otrzymałem wiadomość, że strajkujący się zachwiali. Byłem tym bardzo przejęty i zacząłem się głęboko zastanawiać, jak powinienem postąpić w tych okolicznościach.

Przeżyłem kiedyś w Afryce Południowej ogromny strajk, ale sytuacja, z którą tu miałem do czynienia, była całkowicie odmienna. Robotnicy wysunęli swoje żądania za moją namową. Powtarzali mi to codziennie. To, że mogliby teraz przystąpić do pracy, było dla mnie czymś nie do przyjęcia. Trudno mi powiedzieć, co się za tym uczuciem kryło: ambicja, miłość dla tych ludzi pracy, czy też moje bezgraniczne dążenie do Prawdy?

Pewnego ranka – było to podczas robotniczego zebrania – kiedy wciąż jeszcze usiłowałem znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji i nie wiedziałem, jaką wybrać drogę, doznałem jak gdyby olśnienia. Bezwiednie i jakby same przez się nasunęły mi się na usta te słowa, które powiedziałem do strajkujących:

– Nie będę przyjmował żadnego posiłku, aż nie zostanie osiągnięte porozumienie lub wszyscy razem nie powrócą do fabryki!

Na robotnikach zrobiło to piorunujące wrażenie. Po policzkach Anysuyabehn zaczęły płynąć łzy. Robotnicy zawołali w odpowiedzi:

– To nie wy, ale my rozpoczniemy głodówkę! To byłoby okropne, gdybyście wy mieli cierpieć głód! Wybacz nam chwilę naszej słabości! Aż do ostatka będziemy wierni naszym żądaniom!

– Nie ma potrzeby, abyście wy głodowali! – odrzekłem. – Wystarczy, jeżeli wytrwacie w wierności dla waszych żądań. Wiecie, że nie mamy żadnych funduszów, a jednocześnie nie chcemy strajkować, żyjąc z ofiarności publicznej. Musicie się postarać o jakąkolwiek pracę, by przetrzymać strajk, niezależnie od tego, jak długo może jeszcze potrwać. Co się tyczy mojej głodówki, to przerwę ją, gdy strajk będzie pomyślnie zakończony.

W tym samym czasie Vallabhbhai czynił starania, by znaleźć dla strajkujących jakieś zajęcie w zarządzie miasta, ale mało było nadziei na pomyślne wyniki. Wtedy Maganlal Gandhi wystąpił z takim projektem: wobec tego, że potrzebny nam jest piasek do budowy fundamentów szkoły tkackiej w aśramie, część bezrobotnych mogłaby znaleźć zajęcie. Robotnicy z radością przyjęli ten projekt.

Pierwsza szła z koszem piasku na głowie Anasuyabehn, a wkrótce można było zobaczyć, jak niekończący się sznur robotników z koszami piasku na głowach ciągnie od dołów wykopanych na brzegu rzeki. Warto było to widzieć! W robotników jak gdyby wstąpiły nowe siły, a nam trudno było podołać zadaniu wypłacania im wszystkim należnych za pracę pieniędzy.

Moja głodówka miała jednak pewne bardzo słabe strony. Jak już wspomniałem w poprzednim rozdziale, z właścicielami fabryk łączyły mnie bardzo bliskie i zażyłe stosunki i moja głodówka nie mogła nie odbić się na ich decyzji. Jako uczestnik akcji Satjagraha wiedziałem, że moja głodówka nie powinna być wymierzona przeciwko nim, lecz że na decyzję właścicieli ma wpłynąć wyłącznie strajk. Postanowiłem rozpocząć tę głodówkę nie z myślą o właścicielach fabryk, ale dlatego że wraz z robotnikami, których reprezentowałem, poczuwałem się do wspólnej winy. Z właścicielami mogłem jedynie pertraktować, głodować z ich powodu byłoby zadaniem sobie przymusu. A przecież, pomimo iż wiedziałem, że moja głodówka może wywrzeć na nich pewną presję – co odpowiadało prawdzie – czułem, że nic na to nie poradzę. Obowiązek rozpoczęcia głodówki wydawał mi się niewątpliwy.

Usiłowałem uspokoić właścicieli, oświadczając im:

– Nie ma najmniejszej potrzeby, abyście wycofywali się ze swojego stanowiska.

Ci jednak dość chłodno przyjęli moje oświadczenie, a nawet odpowiedzieli mi dość ironicznie i zjadliwie, co zresztą mieli prawo uczynić.

Główną rolę wśród właścicieli fabryk nieprzejednanie usposobionych wobec strajku odgrywał *szeth* Ambalal. Jego zdecydowanie i bezwzględna szczerość były zachwycające i całkowicie zjednały moje serce. Prowadzenie walki z nim było prawdziwą przyjemnością. Efekt, jaki wywołała moja głodówka wśród opozycji, na czele której stał właśnie on, poruszył mnie do żywego. Ponadto jego żona, Saraladevi, była przywiązana do mnie jak rodzona siostra, nie mogłem więc patrzeć spokojnie, jak bardzo przeraziło ją moje postępowanie.

Anasuyabehn oraz wielu innych moich przyjaciół i robotników powstrzymało się wraz ze mną pierwszego dnia od przyjmowania jakiegokolwiek pożywienia. Z dużym trudem udało mi się wyperswadować im, aby tego zaprzestali.

Bezpośrednim skutkiem tego wszystkiego było wytworzenie się dokoła całej sprawy atmosfery pojednania. Serca fabrykantów zmiękły, zaczęli wreszcie zastanawiać się nad znalezieniem sposobów, które doprowadziłyby do zakończenia zatargu. Dom Anasuyabehn stał się miejscem ich dyskusji. Anandśankar Dhruva interweniował w tej sprawie i w końcu został wyznaczony arbitrem. Strajk został odwołany zaledwie po trzech dniach mojej głodówki. Fabrykanci uczcili to wydarzenie rozdaniem słodyczy robotnikom. Porozumienie zostało osiągnięte po dwudziestojednodniowym strajku.

Na wiecu, który został zwołany dla uroczystego obchodu zakończenia strajku, obecni byli właściciele oraz pełnomocnik rządu. Rada udzielona przez niego robotnikom brzmiała: „Powinniście zawsze postępować tak, jak wam poradzi Gandhi!".

Tak się złożyło, że niemal bezpośrednio po tych wydarzeniach pomiędzy mną a owym prawdziwym dżentelmenem wybuchł ostry zatarg. Okoliczności się zmieniły, i to wyłącznie dzięki niemu. Nie kto inny jak on właśnie ostrzegał patidarów[150] z Khedy przed dawaniem posłuchu moim radom!

Nie mogę skończyć tego rozdziału, nie wspomniawszy o pewnym wydarzeniu zarówno śmiesznym, jak i mającym swą głębszą wymowę, które miało miejsce w związku z owym rozdawaniem łakoci.

150 *Patidar* – posiadacz lub częściej drobny dzierżawca kawałka ziemi.

Fabrykanci zamówili bardzo duże ilości słodyczy, przy czym powstało pytanie, w jaki sposób należy dokonać ich podziału pomiędzy tysiące robotników. Postanowiono, iż najlepiej będzie rozdać je na wolnym powietrzu, pod tymi samymi drzewami, gdzie zapadły uchwały wysunięcia robotniczych żądań, zwłaszcza że zgromadzenie wszystkich w jakimś innym miejscu byłoby nad wyraz niewskazane.

Sądziłem, że mężczyźni, którzy umieli przez dwadzieścia jeden dni zachować tak surową karność, potrafią również bez trudu utrzymać spokój podczas rozdawania owych słodyczy i nie będą się w zniecierpliwieniu po nie pchali. Kiedy jednak nadeszła ta chwila, okazało się, że wszystkie z góry przewidziane sposoby rozdawania łakoci zawiodły. Szeregi, w których stali robotnicy, załamywały się raz po raz, wywołując zamieszanie, chociaż rozdawanie trwało zaledwie od paru minut. Przywódcy robotników robili, co mogli, by przywrócić porządek, wszystko jednak było daremne. Ogólne zamieszanie, tumult, popychanie się doszły wreszcie do tego, że znaczna część słodyczy została rozdeptana i trzeba było w końcu zrezygnować z rozdawania ich na powietrzu. Z ogromnym trudem udało nam się przenieść pozostałe słodycze do letniego domku szetha Ambalala w Mirzapurze. Następnego dnia rozdano je bez przeszkód na podwórzu tego domku.

Całe to wydarzenie ma niewątpliwie komiczne strony, ale warto wspomnieć również o innych, mających raczej patetyczny charakter. Przeprowadzone później dochodzenie wykazało, że żebracy z Ahmedabadu, dowiedziawszy się o zamierzonym rozdawnictwie smakołyków, które miało się odbyć pod drzewami, gdzie miały miejsce spotkania akcji EK-TEK, tłumnie przybyli na nie i swą nieposkromioną chciwością doprowadzili do zamieszania i zakłócenia porządku.

Bezgraniczne ubóstwo i głód panujące w naszym kraju z każdym rokiem czynią żebrakami coraz większą liczbę ludzi, którzy rozpaczliwie walcząc o kawałek chleba, tracą w końcu wszelkie poczucie przyzwoitości i własnej godności.

Nasi filantropowie, zamiast dać im zajęcie i dbać o to, by te szerokie rzesze ludzkie mogły własną pracą zdobywać kawałek chleba, ofiarują im jałmużnę.

XXIII. AKCJA SATJAGRAHA W KHEDZIE

Nie miałem po prostu czasu, by odetchnąć. Ledwo się zakończył strajk robotniczy w Ahmedabadzie, kiedy musiałem się rzucić w wir walki, którą nazwę: „Satjagraha w Khedzie".

W prowincji Kheda wytworzyła się z powodu nieurodzaju sytuacja bliska powszechnego głodu, a patidarzy w Khedzie zastanawiali się, czy w związku z tym nie należałoby odłożyć do przyszłego roku ściągania podatku dochodowego. Zanim zdążyłem dać ostateczną radę wieśniakom, Amritlal Thakkar już przeprowadził dochodzenie, rozejrzał się w sytuacji i osobiście omówił całą tę sprawę z pełnomocnikiem rządu. Do podjętej akcji przyłączyli się również Mohanlal Pandya oraz Śankarlal Parikh i za pośrednictwem Yithalbhai Patela oraz nieżyjącego już Sir Gokuldasa Kahandasa Parkha rozpoczęli agitację na rzecz tej sprawy w Radzie Ustawodawczej w Bombaju. Niejedna delegacja czekała na przyjęcie jej przez gubernatora.

Byłem w tym czasie przewodniczącym zgromadzenia Sabha w Gudżaracie. Sabha wysyłała petycje i telegramy do gubernatora i nawet cierpliwie przełknęła obelgi i pogróżki, jakie pod jej adresem skierował pełnomocnik rządu. Postępowanie tych oficjalnych czynników było w tym wypadku tak śmieszne i pozbawione godności, że dziś wydaje mi się ono czymś wręcz nieprawdopodobnym.

Żądania wieśniaków były jak najbardziej usprawiedliwione, a przy tym tak umiarkowane, że można je było przyjąć bez trudu. Zgodnie z przepisami dotyczącymi ściągania podatku gruntowego w wypadku, gdy zbiory wynosiły cztery anny (dwadzieścia pięć procent) lub mniej, wieśniacy mieli w tym roku prawo domagać się, aby zostało ono całkowicie zawieszone. Według oficjalnych danych zbiory tegoroczne miały wynosić ponad cztery anny, natomiast rolnicy twierdzili, że są one niższe od czterech ann. Rząd nie był jednak skłonny zgodzić się z tym i uznał żądania arbitrażu wysunięte przez wieśniaków za „obrazę majestatu". Kiedy zawiodły wszystkie petycje i prośby, po naradzie z moimi współpracownikami poradziłem patidarom, by sięgnęli do satjagrahy.

Prócz ochotników z Khedy moimi najbliższymi towarzyszami w tej walce byli: Vallabhbhai Patel, Śankarlal Banker, *śrimati* Anasuyabehn, Indulal Yajnik, Mahadev Desai oraz inni. Vallabhbhai, przyłączając się do nas, musiał przerwać znakomitą i coraz lepiej rozwijającą się praktykę adwokacką, której pomimo wielu wysiłków nigdy już nie mógł odzyskać.

Obraliśmy jako naszą kwaterę główną Nadiad Anathaśram, nie mogąc znaleźć żadnego innego dostatecznie obszernego pomieszczenia, w którym moglibyśmy się ulokować.

Następujące oświadczenie zostało podpisane przez uczestników akcji Satjagrahy:

Wiedząc, że urodzaj w naszych wioskach wyniósł mniej niż cztery anny, zwróciliśmy się do rządu, by zawiesił ściąganie podatku dochodowego w roku bieżącym, jednak rząd nie przychylił się do naszej prośby.

Wobec tego my, niżej podpisani, oświadczamy uroczyście, że nie wniesiemy dobrowolnie żadnych kwot należnych rządowi z tytułu podatku dochodowego. Niech rząd sięgnie do wszelkich środków, które sam uzna za legalne, my chętnie poniesiemy wszystkie następstwa, jakie za sobą pociągnie odmowa zapłacenia podatku. Zgodzimy się raczej, by rząd skonfiskował nasze ziemie, aniżeli mielibyśmy przez dobrowolne zapłacenie podatków przyczynić się do tego, aby rząd uznał naszą akcję za niesłuszną, a nasze poczucie godności własnej zostało narażone na szwank.

Natomiast gdyby rząd zgodził się na odroczenie drugiej raty podatku przewidzianego dla naszego okręgu, ci spośród nas, którzy będą mieli możność zapłacić, uczynią to bądź w całości, bądź wpłacając pozostałość należnej sumy.

Powodem, dla którego od wpłacenia podatku wstrzymują się również ci, którzy mogliby to uczynić, jest to, że zdjęci strachem ubożsi wieśniacy posprzedawaliby swoje ruchomości lub zadłużyliby się ponad miarę, byle zapłacić podatki, co oczywiście pogorszyłoby jeszcze bardziej ich ciężką sytuację.

W tych warunkach, mając na względzie dobro ubogich wieśniaków, obowiązkiem tych, którzy mogliby zapłacić podatki, jest powstrzymać się od uiszczenia ich.

Nie mogę niestety poświęcić zbyt wiele rozdziałów wyżej opisanej walce. Liczne, niezmiernie miłe mojej pamięci wspomnienia muszą być pominięte, jednak ci spośród czytelników, którzy chcieliby bliżej i gruntowniej zapoznać się z tym doniosłym epizodem stoczonej wtedy walki, zechcą przeczytać dokładną relację o akcji Satjagraha w Khedzie w książce napisanej przez Śankarlala Parikha z Kathlalu (Kheda).

XXIV. „ZŁODZIEJ CEBULI"

Champaran znajdował się w oddalonym zakątku Indii, a prasa była trzymana z dala od prowadzonej kampanii, nic więc dziwnego, że wypadki, jakie się tam rozgrywały, nie ściągnęły przyjezdnych. Inaczej przedstawiały się sprawy, gdy chodzi o wydarzenia w Khedzie, o których prasa przynosiła codzienne relacje.

Ludność Gudźaratu była ogromnie przejęta toczącą się walką, która dla nich była zupełnie nowym zjawiskiem. Gotowa była nawet ofiarować swoje zasoby, by zapewnić jej powodzenie. Ludzie nie mogli się też tak łatwo pogodzić z tym, że akcja Satjagraha nie da się prowadzić jedynie za pomocą pieniędzy; przecież one są ostatnią rzeczą potrzebną do osiągnięcia naszych celów. Wbrew moim sprzeciwom kupcy z Bombaju przysyłali nam więcej pieniędzy, aniżeli potrzebowaliśmy, i dlatego przy końcu kampanii mieliśmy nawet pewne nadwyżki.

W tym samym czasie ochotnicy biorący udział w akcji Satjagraha musieli otrzymać nową lekcję prostoty. Nie twierdzę, by przejęli się nią do końca, w każdym razie przyczyniła się ona do wprowadzenia znacznych zmian w ich życiu.

Dla farmerów podobna walka była również czymś nowym. Musieliśmy więc chodzić od wioski do wioski, wyjaśniając podstawy akcji Satjagraha. Najważniejsze zadanie polegało na tym, by uwolnić wieśniaków od strachu i dać im do zrozumienia, że urzędnicy nie są bynajmniej tymi, którzy mają rozkazywać ludowi, lecz przeciwnie – powinni mu służyć, tym bardziej że swoje pobory otrzymują z pieniędzy wpłacanych przez podatników.

Wytłumaczyć im, że powinni zachowywać się godnie, a jednocześnie odważnie, zdawało się wręcz niemożliwe. Jeżeli raz przestaną bać się wszelkich urzędników, nie da się ich powstrzymać przed odpowiadaniem na obelgi, jakie ich spotykają. A gdyby ci ludzie mieli sięgnąć do gwałtów, naruszyłoby to czystość ich satjagrahy, podobnie jak jedna kropla arszeniku zatruwa dzban mleka.

Dopiero znacznie później uprzytomniłem sobie, że ci ludzie w znacznie mniejszym stopniu, aniżeli przypuszczałem, nauczyli się godnego zachowania. Doświadczenie przekonało mnie, że godna postawa jest jedną z najtrudniejszych rzeczy w akcjach Satjagraha. W danym przypadku nie oznacza ona jedynie zewnętrznych objawów uprzejmości, przestrzeganej w sposobie wyrażania się, lecz jest raczej wewnętrzną układnością i chęcią okazania swemu przeciwnikowi dobrego serca. To właśnie powinno znajdować wyraz w postępowaniu człowieka biorącego udział w akcji Satjagraha.

W początkowych okresach, pomimo iż ludność składała liczne dowody odwagi, odnosiło się wrażenie, że rząd nie zamierza przedsięwziąć żadnej poważniejszej kontrakcji. Kiedy jednak okazało się, że niezłomne stanowisko ludu jest nie do zachwiania, rząd zaczął stosować politykę gwałtu. Komornicy wystawili na sprzedaż zasekwestrowane bydło i wszystko, co dało się zarekwirować. Powypisywano mnóstwo mandatów, a w niektórych przypadkach nałożono areszt na zboże na pniu. Wyprowadziło to z równowagi wieśniaków, gdyż byli wśród nich tacy, którzy już zapłacili należne podatki, lub też inni, którzy sami pozwalali zasekwestrować swe nieruchomości na opłacenie należności. Znaleźli się również tacy, którzy gotowi byli do ostatka bronić swego mienia.

W tym samym czasie, kiedy rozgrywały się wyżej opisane wydarzenia, jeden z dzierżawców u Śankarlala Parikha zapłacił podatek, jaki należał się od dzierżawionej przez niego ziemi. Wzbudziło to dużą sensację. Śankarlal Parikh niezwłocznie wniósł odwołanie, twierdząc, iż była to pomyłka popełniona przez jego dzierżawcę, i oddał na cele dobroczynne ziemię, za którą zapłacono podatek. W ten sposób uratował swój honor i dał doskonały przykład innym.

Chcąc zjednać sobie serca zdjętych strachem ludzi, poradziłem im, by pod przewodnictwem Mohanlala Pandyi uprzątnęli zbiory cebuli z pola, które – moim zdaniem – było niesprawiedliwie zasekwestrowane. Nie uważałem tego za dowód „biernego oporu", lecz nawet gdyby tak było istotnie, sądziłem, że sekwestrowanie na pniu, choćby nawet było zgodne z prawem, jest zdecydowanie niemoralne, wręcz zwykłą grabieżą, i dlatego uważałem, że obowiązkiem wieśniaków jest zebrać cebulę pomimo wydanego nakazu jej rekwizycji.

Była to doskonała sposobność do wytłumaczenia, że nieuniknionym następstwem aktu nieposłuszeństwa jest narażenie się na grzywnę lub więzienie. Odpowiadało to jak najbardziej Mohanlalowi Pandyi, który był zdania, że cała ta akcja nie może się skończyć bez zamknięcia w więzieniu za coś, co zostało zrobione ściśle według zasad satjagrahy. Wobec tego sam zgłosił się na ochotnika, by zebrać z pola cebulę, a siedmiu czy też ośmiu przyjaciół przyłączyło się do niego.

Puszczenie płazem tego wykroczenia było dla rządu niemożliwe. Aresztowanie Mohanlala i jego towarzyszy jeszcze bardziej wzmogło powszechny entuzjazm. Kiedy znika obawa przed więzieniem, każda represja jedynie podnosi ducha w ludziach.

W dniu rozprawy sądowej tłumy ludzi wypełniły gmach sądu. Pandya i jego towarzysze zostali uznani za winnych i skazani na krótkoterminowe kary

więzienne. Byłem zdania, że wydanie wyroku skazującego było niesłuszne, gdyż ze stanowiska kodeksu karnego do zebrania cebuli z pola nie wolno było stosować pojęcia „kradzieży".

Nie wnieśliśmy jednak odwołania od tego wyroku, gdyż przyjęta przez nas taktyka zalecała unikanie rozpraw sądowych.

Ogromny pochód eskortował skazanych w drodze do więzienia i tego dnia Mohanlal Pandya zdobył u ludności zaszczytny tytuł *dungli ćor* (złodziej cebuli), którego po dzień dzisiejszy używa z prawdziwą przyjemnością.

O zakończeniu akcji Satjagraha w Khedzie opowiem w następnym rozdziale.

XXV. KONIEC AKCJI SATJAGRAHA W KHEDZIE

Kampania skończyła się zgoła nieoczekiwanie. Było oczywiste, że ludzie są wyczerpani, zastanawiałem się więc nad tym, czy mam prawo doprowadzać ich do ruiny. Szukałem jakiejś zręcznej drogi dla zlikwidowania całej akcji, która byłaby do przyjęcia dla ruchu Satjagraha.

Sposobność nadarzyła się dość niespodziewanie. *Mamlatdar*[151] z taluku Nadiad powiadomił mnie, że jeżeli zamożni rolnicy z Patidaru zapłacą podatki, ubożsi będą mogli skorzystać z odroczenia. Zwróciłem się z prośbą o pisemne potwierdzenie tej propozycji i otrzymałem je. Wobec tego jednak, że *mamlatdar* odpowiadał jedynie za swój okręg, interweniowałem u naczelnika taluku, który mógł rozciągnąć działanie tego układu na całą prowincję. Odpowiedział mi, że rozporządzenia o odroczeniu zgodne z propozycją mamlatdara zostały już wydane. Nie wiedziałem jeszcze o tym, ale jeżeli tak było istotnie, można było uznać, że nasze żądania zostały całkowicie zaspokojone. Należy z kolei zaznaczyć, że postulaty wysunięte przez ludność miejscową zawierały te same żądania, czyli mieliśmy wszelkie powody do zadowolenia.

Mimo wszystko ten sposób zlikwidowania całego zatargu nie cieszył mnie, gdyż brakło mu tej podniosłości ducha, która winna towarzyszyć zakończeniu każdej akcji przeprowadzanej w imię satjagrahy.

Poborca podatkowy postępował tak, jak gdyby się niczym nie przyczynił do osiągnięcia porozumienia. Biedakom przyznano wprawdzie zawieszenie

151 *Mamlatdar* – popularne w prowincji Bombaju określenie urzędnika zarządzającego talukiem (w pewnym sensie odpowiednik naszego powiatu).

wszelkich opłat, nie sądzę jednak, by ktokolwiek mógł z tego skorzystać. To ludność sama miała orzec, kto jest biedny – niestety nie mogła skorzystać z tego prawa. Zasmuciło mnie to bardzo i chociaż zakończenie całej sprawy obchodzono uroczyście jako zwycięstwo satjagrahy, nie mogłem podzielać tego uczucia, gdyż brak mu było zasadniczych cech triumfu.

Zakończenie akcji Satjagraha może być uznane za pomyślne tylko wtedy, kiedy czyni jej uczestników mocniejszymi na duchu, niż byli na początku.

W każdym razie kampania przyniosła pewne bezpośrednie, do dziś jeszcze widoczne skutki, których owoce obecnie zbieramy. Akcja Satjagraha w Khedzie zapoczątkowała okres rozbudzenia w rolnikach z Gudźaratu istotnego politycznego uświadomienia.

Nie ulega wątpliwości, że znakomicie przeprowadzona przez doktor Besant agitacja na rzecz Home Rule (autonomii) żywo poruszyła wieśniaków, lecz dopiero „kampania w Khedzie" zmusiła wykształconych działaczy społecznych do nawiązania stałego kontaktu z ówczesnym życiem na wsi i do wpojenia im potrzeby utrzymywania łączności z ludźmi pracującymi na roli.

Działacze, których mam na myśli, odnaleźli właściwy grunt dla swej działalności, a zdolność ponoszenia ofiar wzrosła w nich niepomiernie. Już samo to, że Vallabhbhai znalazł się w szeregach prowadzących tę kampanię, było niemałym osiągnięciem. Znaczenie tego faktu byliśmy w stanie ocenić podczas niesienia pomocy powodzianom oraz tego roku w okresie akcji Satjagraha w Bardoli.

W życie publiczne Gudźaratu wstąpiła nowa energia i nowa moc. Chłopi raz na zawsze uświadomili sobie, jaką siłę stanowią. W umysłach ludzkich w sposób nieodwołalny utrwaliło się przeświadczenie, że wyzwolenie ludu leży w jego własnych rękach i jest zależne od jego zdolności ponoszenia ofiar i cierpień.

Dzięki kampanii w Khedzie Satjagraha głęboko zapuściła korzenie na terenie Gudźaratu. I chociaż ja osobiście nie odczuwałem zbytniej radości z takiego zakończenia akcji Satjagraha, chłopi w Khedzie triumfowali, gdyż po pierwsze: wiedzieli, że to, co udało im się osiągnąć, było współmierne z włożonym przez nich wysiłkiem, a po drugie: odnaleźli pewny i niezawodny sposób usunięcia dręczących ich krzywd.

Niemniej muszę przyznać, że chłopi w Khedzie niezupełnie zrozumieli wewnętrzny sens satjagrahy i – jak zobaczymy w następnych rozdziałach – komentowali całą akcję na swój sposób.

XXVI. DĄŻENIE DO ZJEDNOCZENIA

Kampania w Khedzie rozpoczęła się w chwili, kiedy w Europie trwały jeszcze zmagania wojenne. W obliczu krytycznej sytuacji wicekról zwołał przywódców różnych stronnictw na konferencję wojenną w Delhi. Mnie również przynaglano do wzięcia w niej udziału. Wspomniałem już o serdecznych stosunkach, jakie wytworzyły się pomiędzy lordem Chelmsfordem a mną.

W odpowiedzi na to zaproszenie udałem się do Delhi. Miałem pewne zastrzeżenia w związku z uczestnictwem w konferencji – najgłówniejsze z nich dotyczyły niezaproszenia takich przywódców jak bracia Ali[152]. Obydwaj znajdowali się w więzieniu. Spotkałem się z nimi zaledwie raz lub dwa razy, słyszałem jednak o nich bardzo wiele. Wszyscy z największym uznaniem mówili o położonych przez nich zasługach oraz ich odwadze. Nie miałem również sposobności zetknąć się bliżej z Hakimem Sahebem, jednak rektor Rudra i Dinabandhu Andrews wyrażali się o nim bardzo pochlebnie.

W Kalkucie spotkałem się z mister Shuaibem Qureszim i z mister Khwadźą z Ligi Muzułmańskiej. Nawiązałem też kontakt z doktorem Ansarim i doktorem Abdurem Rahmanem. Starałem się o nawiązanie przyjaznych stosunków z wybitnymi muzułmanami i za pośrednictwem ich nieposzlakowanych i szczerych przedstawicieli usiłowałem zrozumieć ich poglądy.

Nigdy nie potrzebowałem specjalnie ubiegać się o to, gdyż ilekroć miałem możność zetknięcia się z tymi ludźmi, wytwarzały się między nami bliskie i serdeczne stosunki.

Dość wcześnie, bo jeszcze podczas mojego pobytu w Afryce Południowej, zrozumiałem, że pomiędzy hindusami a muzułmanami nie istnieje prawdziwa przyjaźń. Nie zaniedbałem nigdy żadnej okazji, by usunąć przeszkody stojące na drodze do wytworzenia jedności. Nie było też moim zwyczajem wywyższanie kogokolwiek przez pomniejszenie czyjejś wartości lub kosztem godności własnej partnera. Jednak doświadczenia nabyte w Afryce Południowej przekonały mnie,

152 Bracia Ali – Mohammed i Szaukat. Mohammed Ali (1878–1931) – muzułmański działacz polityczny, wydawca dziennika w języku angielskim „The Comrade" i w języku urdu „Hamdard" (sympatyk). W 1915 r. został aresztowany wraz ze swym bratem Szaukatem za wydrukowanie (w czasie walk pod Gallipoli) artykułu pod tytułem *Wybór Turków*, w którym bronił stanowiska Turcji, będącej wówczas w stanie wojny z aliantami. Obaj bracia byli internowani do 1919 r.

że właśnie gdy chodzi o osiągnięcie jedności pomiędzy hindusami a muzułmanami, moje dążenie do ahimsy będzie wystawione na najcięższą próbę, a samo zagadnienie stanowi najbogatsze pole dla moich poszukiwań na drodze do osiągnięcia ahimsy. To przeświadczenie wciąż jeszcze we mnie żyje. W każdej chwili mego życia zdaję sobie sprawę z tego, że Wszechmogący wystawia mnie na próbę. Żywiąc tak niezbite przeświadczenie, tym bardziej się ucieszyłem po powrocie z Afryki Południowej, kiedy nadarzyła się sposobność nawiązania bliskiego kontaktu z braćmi Ali. Zanim jednak to nastąpiło, obydwaj znaleźli się w więzieniu.

Maulana Mohammed Ali pisywał do mnie długie listy z więzienia w Betulu[153] i Ćhindwadzie, ilekroć jego dozorcy więzienni pozwalali mu na to. Prosiłem o zezwolenie odwiedzenia obu braci w więzieniu, ale bezskutecznie.

Po uwięzieniu braci Ali zostałem zaproszony przez moich przyjaciół muzułmanów do wzięcia udziału w konferencji Ligi Muzułmańskiej, która miała się odbyć w Kalkucie. Kiedy zwrócono się do mnie z prośbą, bym zabrał głos, wygłosiłem przemówienie, w którym twierdziłem, że obowiązkiem muzułmanów jest podjąć akcję na rzecz uwolnienia z więzienia braci Ali. Wkrótce potem moi przyjaciele zawieźli mnie do uniwersytetu muzułmańskiego znajdującego się w Aligarh. Zwróciłem się z apelem do młodzieży, by poświęciła wszystkie swe siły służbie dla ojczyzny.

Następnie rozpocząłem wymianę listów z przedstawicielami rządu w sprawie uwolnienia braci Ali. W związku z tym przestudiowałem poglądy obu braci na zagadnienie Kalifatu[154] oraz ich działalność związaną z tą sprawą. Odbyłem wiele rozmów na ten temat z moimi przyjaciółmi muzułmanami i uprzytomniłem sobie, że jeżeli chcę zostać ich prawdziwym przyjacielem, muszę uczynić wszystko, co jest w mej mocy, dla uwolnienia obu braci z więzienia i załatwienia sprawy Kalifatu.

Ocena wszystkich dodatnich stron tego zagadnienia nie należała do mnie, o ile – rzecz prosta – wysuwane żądania nie kolidowały z moimi etycznymi zasadami. W sprawach religijnych istnieją różne poglądy, a każdy z nich dla tego,

153 Betul – region w Indiach Środkowych zarośnięty dżunglą. W więzieniu w Betulu przebywał Mohammed Ali.

154 Kalifat – w Indiach był to ruch na rzecz obrony kalifa (sułtana tureckiego) w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej. Miał on charakter antybrytyjski i wysuwał hasła wyzwolenia Indii. Na czele ruchu stali bracia Ali, którzy współdziałali z Gandhim i Kongresem.

kto weń wierzy, stanowi najwyższą prawdę. Gdyby wszyscy mieli jednakowe poglądy na zagadnienie wiary, na świecie istniałaby tylko jedna religia.

Z biegiem czasu nabrałem przeświadczenia, że wysuwane przez muzułmanów postulaty w sprawie Kalifatu nie stoją w sprzeczności z zasadami etyki, a brytyjski premier przyznał nawet tym żądaniom całkowitą słuszność. Uważałem, że moim obowiązkiem jest uczynić wszystko, by poglądy premiera na tę sprawę zostały zrealizowane.

Stanowisko to zostało wyrażone tak jasno, że zbadanie słuszności żądań muzułmanów mogło być potrzebne tylko dla zaspokojenia mojego własnego sumienia.

Moi przyjaciele i przeciwnicy skrytykowali moje stanowisko w sprawie Kalifatu. Nie licząc się z tą krytyką, sądziłem, że nie mam podstaw ani do robienia sobie wyrzutów z powodu swojego stosunku do muzułmanów, ani do zrewidowania go. Gdyby ponownie zaszła podobna sytuacja, zająłbym identyczne stanowisko.

Udając się więc do Delhi, byłem zdecydowany przedstawić wicekrólowi całe zagadnienie dotyczące muzułmanów. Sprawa Kalifatu nie przedstawiała się jeszcze tak, jak to miało miejsce później. Jednak po moim przybyciu do Delhi powstała nowa trudność w związku z moim uczestnictwem w wyżej wspomnianej konferencji. Dinabandhu Andrews wysunął pytanie, czy mój udział w konferencji, której tematem jest wojna, może być ze stanowiska etycznego uważany za słuszny. Opowiedział mi o rozbieżnościach, jakie istnieją w prasie brytyjskiej w związku z tajnymi układami zawartymi pomiędzy Wielką Brytanią a Włochami. Jak mogę – pytał mnie mister Andrews – uczestniczyć w naradach, jeżeli Anglia zawiera tajne układy z innym europejskim mocarstwem? Wobec tego, że nic o tych układach nie wiedziałem, zadowoliłem się tym, co mi powiedział Dinabandhu Andrews.

W związku z tym wszystkim napisałem list do lorda Chelmsforda, wyjaśniając mu moje wahania co do wzięcia udziału w konferencji. Lord Chelmsford zaprosił mnie, bym omówił z nim tę sprawę. Rozmowa przedłużyła się, uczestniczył w niej również mister Maffey, prywatny sekretarz lorda. W wyniku tych rozmów zgodziłem się wziąć udział w konferencji, na co wpłynęły następujące argumenty lorda Chelmsforda:

– Pan chyba nie przypuszcza, że wicekról jest poinformowany o wszystkich krokach poczynionych przez rząd brytyjski. Ani ja, ani nikt inny nie twierdzi, że rząd brytyjski jest nieomylny. Jeżeli natomiast zgodzi się pan z tym, że na

ogół Imperium rządzi się zasadami mającymi na celu powszechne dobro, i jeżeli pan wierzy, że Indie, dzięki związkom, jakie je łączą z Imperium, również korzystają z tego, to czy nie przyzna pan, że obowiązkiem każdego obywatela Indusa jest przyjść z pomocą Imperium w godzinie potrzeby? Ja również czytałem to, co pisma brytyjskie pisały o tajnych układach, i mogę pana zapewnić, że nie wiem nic ponadto, co było w pismach, a sam pan przecież dobrze wie, jakie kaczki dziennikarskie są nieraz puszczane w prasie. Czy może pan, opierając się jedynie na tych gazeciarskich danych, odmówić rządowi Imperium pomocy w tak krytycznej sytuacji? Wolno panu wysuwać jakie pan zechce problemy moralne i domagać się od nas różnych ustępstw, ale dopiero po zakończeniu wojny, nie teraz.

Nie był to nowy argument. Przemówił jednak do mnie jako coś nowego, zarówno przez sposób, jak i moment, w jakim został wysunięty. W rezultacie zgodziłem się na uczestniczenie w konferencji.

Jeśli chodzi o żądania muzułmanów, postanowiłem wystosować list do wicekróla.

XXVII. AKCJA WERBUNKOWA

Wziąłem więc udział w konferencji. Wicekrólowi bardzo zależało na tym, abym głosował za rezolucją dotyczącą werbunku. Zwróciłem się z prośbą o zezwolenie przemawiania w języku hindi. Wicekról zgodził się, ale dodał, że muszę jednak przemawiać również po angielsku. Powiedziałem w tym języku tylko jedno zdanie: „W poczuciu pełnej odpowiedzialności, jaką ponoszę, głosuję za przyjęciem tej uchwały".

Otrzymałem z wielu stron podziękowania za to, że przemawiałem w hindi. Mówiono mi, że jak daleko sięga ludzka pamięć, był to pierwszy wypadek, by ktoś na podobnym zebraniu przemówił w języku hindi. Świadomość, że to ja pierwszy przemawiałem w ojczystym języku na zebraniu zwołanym przez wicekróla, oraz gratulacje, jakie mi z tego powodu składano, silnie podziałały na moje poczucie godności narodowej. Czułem, że wszystko się we mnie przewraca. Cóż to za dramat, żeby użycie języka ojczystego było czymś nie do pomyślenia na zebraniach w kraju, gdzie omawiane są sprawy związane z tym krajem, a wygłoszenie mowy w ojczystym języku wywołało powódź powinszowań.

Tego rodzaju wydarzenia uświadamiają nam, do jakiego stanu upokorzenia zostaliśmy doprowadzeni.

To jedno zdanie w języku angielskim, wygłoszone na wspomnianym zebraniu, miało dla mnie osobiście dość duże znaczenie. Nie byłem w stanie nigdy zapomnieć o tej konferencji i o uchwale, którą poparłem. Podczas pobytu w Delhi miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Musiałem napisać list do wicekróla. Nie było to dla mnie łatwe zadanie. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że moim obowiązkiem zarówno wobec rządu, jak i wobec mojego narodu jest wytłumaczyć, dlaczego i w jaki sposób wziąłem udział w konferencji, oraz wyraźnie przedstawić, czego mój naród oczekuje od rządu.

W swoim liście wyraziłem ubolewanie z powodu niedopuszczenia do udziału w obradach takich działaczy, jak Lokamanja Tilak lub bracia Ali, a także przedstawiłem minimalne polityczne żądania zarówno moich ziomków, jak i muzułmanów w związku z sytuacją, jaka się wytworzyła w okresie wojny. Zwróciłem się również z prośbą o pozwolenie ogłoszenia tego listu, na co wicekról chętnie się zgodził.

List miał być przesłany do Simli, dokąd wicekról wyjechał niezwłocznie po zakończeniu konferencji. Przywiązywałem duże znaczenie do tego listu, a wysłanie go przez pocztę znacznie opóźniłoby doręczenie. Chciałem wygrać na czasie, a jednocześnie nie miałem zamiaru wysyłać go za pośrednictwem pierwszego lepszego gońca. Chciałem go powierzyć jakiejś odpowiedzialnej osobie, która następnie osobiście dostarczyłaby list do siedziby wicekróla.

Dinabandhu Andrews i rektor Rudra wskazali mi kapelana Irlandczyka, członka misji z Cambridge, który zgadzał się zawieźć list, ale pod warunkiem, że go przeczyta i uzna za słuszny. Nie miałem żadnych zastrzeżeń, gdyż nie uważałem listu za sprawę osobistą.

Kapelan przeczytał list, który mu się spodobał, i zgodził się spełnić powierzone mu zadanie. Zaproponowałem mu poniesienie kosztów przejazdu drugą klasą, jednakże odmówił, twierdząc, że jest przyzwyczajony jeździć bez wygód. Uczynił to, mimo iż czekała go całonocna podróż. Zjednał mnie swą prostotą, szczerością i bezpośredniością. List został – moim zdaniem – wręczony zasługującemu na zaufanie człowiekowi. Wysłanie go sprawiło mi ulgę i dało swobodę działania.

Inna strona moich zobowiązań polegała na wzmożeniu akcji werbunkowej. Gdzie, jeżeli nie w Khedzie, powinienem był rozpocząć tę akcję i do kogo, jeśli nie do moich współpracowników, miałem się przede wszystkim zwrócić? Toteż

niezwłocznie po przybyciu do Nadiadu odbyłem konferencję z Vallabhbhai oraz z innymi przyjaciółmi. Niektórzy spośród nich niezbyt chętnie przyjęli moją propozycję, ci natomiast, którzy się z nią zgadzali, nie bardzo wierzyli w jej powodzenie.

Pomiędzy rządem a warstwami społeczeństwa, do którego się zwracałem, nie było miejsca na zbytnią miłość. Gorzkie doświadczenia ludności z przedstawicielami rządu były jeszcze bardzo żywe w jej pamięci.

Mimo wszystko byliśmy za tym, aby natychmiast przystąpić do akcji. Kiedy jednak to uczyniłem, otworzyły mi się oczy, a mojemu optymizmowi został zadany dotkliwy cios.

Podczas kampanii na rzecz zniesienia podatku ludność chętnie dawała mi bezpłatnie do dyspozycji wozy, a tam, gdzie potrzebny był jeden ochotnik, zjawiało się dwóch, natomiast teraz z trudem można było zdobyć wóz – nawet jeżeli chciało się go wynająć, nie mówiąc już o tym, że nie zgłaszał się żaden ochotnik.

Nie upadaliśmy jednak na duchu i postanowiliśmy, rezygnując z posługiwania się wozami, odbywać nasze podróże pieszo; sądziliśmy, że uda się przebywać dziennie około dwudziestu mil. Skoro nikt nie dał nam do dyspozycji wozów, nie można było liczyć na to, że ktoś zechce nas żywić, a zwracanie się do ludności po żywność było raczej niewskazane. Wobec tego uchwaliliśmy, że każdy ochotnik będzie niósł swoją żywność w plecaku. Żadne koce i prześcieradła nie były potrzebne ze względu na letnią porę. W każdej miejscowości, do której docieraliśmy, organizowaliśmy wiece. Ludność przychodziła na nie, ale rzadko kiedy zdarzało się, by się zgłosił jeden lub dwóch ochotników.

– Skoro jesteście zwolennikami ahimsy, jak możecie wzywać nas do wstąpienia do wojska? Co dobrego zrobił rząd dla Indii, że zasługuje na to, byśmy mu przyszli z pomocą? – takie oto i podobne pytania nam stawiano.

Mimo wszystko nasza wytrwałość zrobiła swoje. Mieliśmy na liście wiele nazwisk i liczyliśmy na to, że po wysłaniu pierwszego plutonu będziemy mogli wkrótce regularnie wysyłać nowe kontyngenty. Rozpocząłem również rozmowy z pełnomocnikiem rządu w sprawie rozmieszczenia rekrutów.

Pełnomocnicy rządu każdego okręgu odbywali narady na wzór tej, która odbyła się w Delhi. Podobna narada odbyła się również w Gudźaracie. Ja i moi współpracownicy zostaliśmy zaproszeni do wzięcia w niej udziału. Byliśmy obecni na niej, chociaż zdawałem sobie sprawę, że mogłem tu zdziałać jeszcze mniej niż w Delhi. Czułem się bardzo źle w tej atmosferze uległości i serwilizmu.

Wreszcie przemówiłem, ale z pewnością nie mogło się to spodobać czynnikom oficjalnym, tym bardziej że musiałem poruszyć parę dość przykrych spraw.

Zazwyczaj wydawałem ulotki, w których wzywałem ochotników do zgłaszania się. Jeden z użytych przeze mnie argumentów szczególnie nie podobał się pełnomocnikowi rządu. Oto co powiedziałem: „Wśród wielu błędów, jakie popełnił rząd brytyjski w Indiach, historia uzna ustawę pozbawiającą cały naród prawa do posiadania broni za najbardziej haniebną. Jeżeli chcemy, by ta ustawa została zniesiona, i jeżeli chcemy się nauczyć, jak należy posługiwać się bronią, nadarza się po temu znakomita sposobność. Jeżeli średnie klasy przyjdą rządowi ochotniczo z pomocą w tej godzinie ciężkich zmagań, nieufność zniknie, a zakaz posiadania broni będzie cofnięty!".

Pełnomocnik rządu powołał się na te słowa i oświadczył, że pomimo istniejących pomiędzy nami różnic poglądów bardzo sobie ceni moją obecność na konferencji. Musiałem w najbardziej uprzejmych słowach wszelkimi sposobami bronić mojego stanowiska.

A oto list do wicekróla, o którym była mowa poprzednio:

Jak Jego Ekscelencji jest wiadome, czułem się zmuszony po głębokim namyśle powiadomić Jego Ekscelencję o tym, iż nie będę mógł wziąć udziału w konferencji z powodów, jakie wyłuszczyłem w swoim liście z 26 bm. (kwietnia), jednak po rozmowie, którą Jego Ekscelencja był łaskaw mnie zaszczycić, doszedłem do wniosku, że powinienem uczestniczyć w niej, bodaj z racji głębokiego szacunku, jaki żywię dla Jego Ekscelencji.

Jednym z powodów – i zapewne najpoważniejszych – dla których nie chciałem brać udziału w konferencji, było to, że Lokamanja Tilak, pani Besant oraz bracia Ali, których uważam za najwybitniejszych przedstawicieli opinii publicznej, nie zostali zaproszeni na konferencję. Wciąż jeszcze jestem tego zdania, że niezaproszenie ich było poważnym błędem, i pozwalam sobie z całym szacunkiem zauważyć, że błąd ten może być naprawiony, jeżeli zaprosi się wspomnianych działaczy, by wzięli udział w konferencjach okręgowych, gdzie będą mogli służyć rządowi swoimi radami. O ile mi wiadomo, podobne konferencje mają być wkrótce zwołane.

Ośmielam się wyrazić pogląd, że żaden rząd nie może sobie pozwolić na bagatelizowanie przywódców reprezentujących szerokie masy ludności, jak to ma miejsce w danym wypadku, nawet jeżeli poglądy tych przywódców całkowicie różnią się od stanowiska rządu. Jednocześnie z przyjemnością dowiaduję się, że poglądy wszystkich stronnictw będą mogły znaleźć swój wyraz w komisjach zwołanej konferencji.

O ile chodzi o mnie, celowo powstrzymałem się od wyrażenia moich poglądów w komisji, do której miałem zaszczyt należeć, oraz podczas obrad samej konferencji. Sądziłem, że będzie bardziej skuteczne, jeżeli poprę uchwały powzięte na konferencji, co uczyniłem bez zastrzeżeń. Mam nadzieję, iż uda mi się zastąpić słowa czynami, z chwilą gdy rząd zechce skorzystać z moich usług, o czym będzie mowa w oddzielnym liście.

Przyznaję, iż w godzinie niebezpieczeństwa winni jesteśmy udzielić – jak to właśnie czynimy – bezinteresownej i bezwzględnej pomocy Imperium, którego członkami pragniemy zostać w niedalekiej przyszłości w tym samym stopniu co jego zamorskie dominia. Trzeba jednak w imię prawdy dodać, że nasza gotowość jest uzależniona od nadziei, że nasze pragnienia zostaną zrealizowane w możliwie najszybszym czasie.

Zważywszy że wykonanie obowiązków jest automatycznie związane z korzystaniem z przysługujących praw, ludność spodziewa się, że poruszone w przemówieniu Jego Ekscelencji niezbędne reformy będą zawierały te ogólne zasady, które zostały wypracowane przez Kongres i Ligę, ja zaś ze swej strony jestem przekonany, że liczni uczestnicy konferencji na podstawie tego właśnie przeświadczenia wyrazili swą szczerą gotowość współpracy z rządem.

Gdybym był w stanie wpłynąć na zmianę stanowiska zajętego przez moich rodaków, wycofałbym wszystkie uchwały powzięte przez Kongres i nie zabiegałbym o wprowadzenie Home Rule lub „odpowiedzialnego rządu" w okresie toczącej się wojny. Postarałbym się o to, by Indie w tych krytycznych chwilach oddały Imperium wszystkich swych synów zdolnych do pełnienia powinności wojskowej, i pozwalam sobie wyrazić pewność, że dzięki temu szczeremu aktowi Indie stałyby się najbardziej uprzywilejowanym członkiem Imperium, a wszelkie dyskryminacje rasowe należałyby do przeszłości. W rzeczywistości jednak prawie cała oświecona część ludności mego kraju postanowiła wybrać inną skuteczną drogę i niepodobna obecnie nie przyznać, że opinia tych ludzi wywiera znaczny wpływ na szerokie masy.

Od czasu przybycia z Afryki Południowej do Indii nawiązałem jak najbardziej bliskie stosunki z naszymi wieśniakami i mogę zapewnić Jego Ekscelencję, że pragnienie odzyskania niepodległości jest wśród nich bardzo szeroko rozpowszechnione. Byłem obecny na obradach ostatniego Kongresu i wziąłem udział w uchwaleniu rezolucji domagającej się od rządu Imperium utworzenia w Indiach brytyjskich odpowiedzialnego rządu w terminie, który ma być ostatecznie ustalony przez ustawę powziętą przez parlament. Przyznaję, że jest to krok dość śmiały, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że jedynie perspektywa uzyskania

w najbliższym czasie definitywnej realizacji statutu autonomii mogłaby zaspokoić żądania mojego narodu. Wiem, że w Indiach jest dość ludzi, którzy uważają, że warto wszystko poświęcić dla tego celu, a którzy jednocześnie są dość przewidujący, by zdać sobie sprawę z tego, że trzeba być przygotowanym na poniesienie ofiary z własnego życia na rzecz Imperium, w którym ci ludzie pokładają swoje nadzieje i z którym chcą dojść do ostatecznego porozumienia.

Z tego, co zostało powiedziane, wynika, że możemy przyśpieszyć nasz marsz do tego celu, szczerze i ofiarnie oddając nasze serca i umysły sprawie uwolnienia Imperium od grożącego mu niebezpieczeństwa. Nieuświadomienie sobie tej elementarnej prawdy równałoby się popełnieniu samobójstwa przez cały naród. Musimy zrozumieć, że przyczyniając się do ocalenia Imperium, zapewniamy sobie przez to możność uzyskania Home Rule (autonomii).

Zdając sobie sprawę z tego, że powinniśmy dać Imperium każdego nadającego się do noszenia broni, obawiam się jednocześnie, że nie będziemy w stanie zdobyć się na podobny wysiłek w zakresie pomocy finansowej. Bezpośrednie i szczere rozmowy, jakie na ten temat odbyłem z mieszkańcami naszych wsi, przekonały mnie, że Indie już udzieliły skarbowi Imperium pomocy ponad swe siły. Składając to oświadczenie, wyrażam pogląd większości moich ziomków.

Aczkolwiek obecna konferencja oznacza dla mnie, a przypuszczam, że również i dla wielu spośród nas, zdecydowany krok na drodze do poniesienia w ofierze naszego życia na rzecz wspólnej sprawy, to jednak trzeba przyznać, że my, Indusi, znajdujemy się w szczególnym położeniu, a to dlatego, że obecnie nie należymy jeszcze do grona członków Imperium. Gotowi jednak jesteśmy ponieść ofiary w nadziei na lepszą przyszłość. Postąpiłbym nieuczciwie zarówno wobec Jego Ekscelencji, jak i wobec mego narodu, gdybym nie powiedział w sposób jasny i niebudzący żadnych wątpliwości, na czym polegają nasze nadzieje. Nie zamierzam targować się o ich urzeczywistnienie, chcę jednak, by Jego Ekscelencja wiedział, że zawiedzione nadzieje oznaczają rozczarowanie.

Jest jeszcze jedna sprawa, której nie chciałbym pominąć. Jego Ekscelencja zwrócił się do nas z propozycją, byśmy puścili w niepamięć wszelkie istniejące pomiędzy nami wewnętrzne rozterki. Jeżeli ten apel ma na myśli dalsze tolerowanie przez nas tyranii oraz niesprawiedliwości popełnianych przez czynniki oficjalne, nie mogę go usłuchać. Do ostatnich sił będę się przeciwstawiał zorganizowanej tyranii. Apel powinien być skierowany do czynników oficjalnych, by one nie miały prawa nikogo źle traktować, lecz przeciwnie, by zasięgały, jak nigdy dotąd, rady opinii publicznej oraz by ją respektowały. Przeciwstawiając się w Czamparanie odwiecznej tyranii,

pozwoliłem dojść do głosu bezwzględnej suwerenności brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. W Khedzie, gdzie ludność złorzeczyła rządowi, obecnie sądzi, że to nie rząd, lecz ona sama jest tą siłą, która gotowa jest do poniesienia ofiar w imię prawdy przez nią głoszonej. Ludność ta pozbywa się stopniowo uczucia rozgoryczenia i nabrała obecnie przeświadczenia, że widocznie rząd ten jest rządem sprawującym władzę dla dobra narodu, skoro tolerował odmowę posłuszeństwa – przy zachowaniu należnego spokoju i szacunku – w tych wypadkach, kiedy postępowanie rządu było istotnie niesprawiedliwe. Sądzę, że akcje przeprowadzone przeze mnie w Czamparanie i w Khedzie stanowią mój bezpośredni, zdecydowany i szczególny wkład w dzieło prowadzenia wojny. Zaproponowanie mi zaniechania dalszej działalności w tym kierunku jest równoznaczne z żądaniem, bym przestał żyć.

Gdybym mógł upowszechnić posługiwanie się miast brutalną siłą pięści, mocą ducha, która jest przecież niczym innym jak mocą miłości, jestem pewien, że potrafiłbym ukazać całemu światu Indie zdolne do przeciwstawienia się wszelkiemu istniejącemu złu.

Sądzę, że uda mi się osiągnąć kiedyś taki stopień doskonałości oraz że życiem moim zdołam wyrazić odwieczne prawo cierpienia i uczynić z niego wzór do naśladowania dla tych, którym będzie na tym zależało. Natomiast jeżeli dziś uczestniczę w każdej innej akcji, to czynię tak jedynie po to, by pokazać, jak bezgraniczną moc ma to prawo.

Kończąc, proszę Jego Ekscelencję, by zechciał zwrócić się do ministrów rządu Jego Królewskiej Mości o udzielenie sprecyzowanego zapewnienia dotyczącego zagadnienia państw mahometańskich. Sądzę, iż Jego Ekscelencja wie, jak bardzo te sprawy obchodzą każdego wyznawcę islamu. Nie mogę, jako Indus, pozostać obojętny wobec ich sprawy, a ich cierpienia muszą być również moimi cierpieniami.

Bezpieczeństwo Imperium w tym samym stopniu zależy od poszanowania praw tych państw i uczuć, jakie wyznawcy islamu żywią dla miejsc związanych z ich kultem religijnym, co od sprawiedliwego i szybkiego spełnienia żądań Indii o wprowadzenie Home Rule.

Piszę te słowa, gdyż kocham naród angielski i pragnę w każdym Indusie obudzić uczucie lojalności, godne Anglika.

XXVIII. NA PROGU ŚMIERCI

Prawie zrujnowałem sobie zdrowie podczas akcji werbunkowej. Moje pożywienie w owym czasie składało się przeważnie z masła, orzeszków ziemnych oraz z cytryn. Wiedziałem, że spożywając zbyt wiele masła, narażam na szwank swoje zdrowie, a jednak pozwalałem sobie na to. Doprowadziło to do lekkiej dyzenterii. Nie brałem jednak na serio tej choroby i tego samego wieczoru, gdy zachorowałem, wyjechałem do aśramu, co zresztą czyniłem od czasu do czasu. Rzadko kiedy przyjmowałem wtedy jakieś lekarstwa, wierząc, że wyzdrowieję, jeżeli będę mało jadał.

Ilekroć powstrzymałem się od jedzenia, następnego dnia rano zawsze czułem się lepiej. Wiedziałem, że aby wyzdrowieć zupełnie, powinienem przedłużyć głodówkę, a jeżeli już coś przyjmowałem, to najwyżej mogły to być jakieś soki owocowe.

Tego dnia miały się odbyć jakieś uroczyste obchody i chociaż powiedziałem Kasturbai, że nie będę nic jadł na obiad, żona namówiła mnie do jedzenia i uległem. Wobec tego, że ślubowałem nie używać do posiłków ani mleka, ani żadnych mlecznych produktów, Kasturbai przyrządziła specjalnie dla mnie słodzone płatki owsiane, do których zamiast *ghi* dodała nieco oliwy. Zostawiła dla mnie również miseczkę fasoli *mung.* Bardzo lubiłem te potrawy, zabrałem się więc do jedzenia, licząc na to, że nie złamię mego ślubowania, jeżeli dla sprawienia przyjemności Kasturbai i dla zaspokojenia własnego łakomstwa zjem nieco. Ale diabeł tylko czyhał na tę sposobność. Zamiast zjeść niewiele, podjadłem sobie niezgorzej. Wystarczyło to najzupełniej, by wywołać widmo śmierci. Po godzinie wystąpiły ostre objawy dyzenterii.

Zamierzałem tego samego wieczoru powrócić do Nadiadu. Z trudem dobrnąłem pieszo do dworca kolejowego w Sabarmati, odległego zaledwie o dwa kilometry. Vallabhbhai, który oczekiwał mnie w Ahmedabadzie, widział, że jestem niezdrów, ale nie pozwoliłem mu się nawet domyślić, jak bardzo cierpiałem.

Około godziny dziesiątej przybyliśmy do Nadiadu. Hinduski Anathaśram, gdzie znajdowała się nasza główna kwatera, był położony w odległości zaledwie pół mili od stacji kolejowej. Mnie jednak wydawało się, że wynosi ona co najmniej z dziesięć mil. Udało mi się w końcu dotrzeć do naszych mieszkań, ale bóle wzmagały się coraz bardziej. Zamiast korzystać z latryny, która się znajdowała dość daleko poza domem, poprosiłem, aby w sąsiednim pokoju postawiono

mi coś nadającego się do tego celu. Wstyd mi było prosić o to, ale nie miałem innego wyjścia. Fulczand natychmiast postarał się o wszystko, co było potrzebne. Wszyscy okazywali mi bardzo wiele uczucia i serdeczności, ale nie mogli nic zrobić, by ulżyć moim cierpieniom. Zresztą mój upór jeszcze bardziej przyczyniał się do ich bezradności. Odmówiłem skorzystania z jakiejkolwiek pomocy lekarskiej, nie chciałem brać żadnych lekarstw i wolałem znosić cierpienia jako karę za mój brak rozsądku. Wszyscy stali dokoła zupełnie bezradni. W ciągu dwudziestu czterech godzin miałem od trzydziestu do czterdziestu wypróżnień. Zachowałem głodową dietę, nie przyjmując na początku nawet owocowych soków. Straciłem zupełnie apetyt. Zawsze byłem przekonany, że mam żelazny organizm, tymczasem przekonałem się, że jestem czymś w rodzaju kawałka gliny. Organizm stracił wszelką zdolność stawiania oporu chorobie.

Doktor Kanuga odwiedzał mnie i nie przestawał namawiać, bym wypił lekarstwo. Stale odmawiałem. Chciał mi zrobić zastrzyk – również odmówiłem. Moja ignorancja w owym czasie, o ile chodzi o zastrzyki, była po prostu śmieszna. Wyobrażałem sobie, że zastrzyk jest czymś w rodzaju surowicy, i dopiero znacznie później dowiedziałem się, że zastrzyk, który mi chciał zrobić, był wyciągiem roślinnym. Niestety, było już za późno, by móc go zastosować. Wypróżnienia następowały jedno za drugim, wyczerpując mnie do ostateczności, co z kolei doprowadzało do tego, że traciłem przytomność. Moi przyjaciele byli coraz bardziej zaniepokojeni i wzywali wciąż nowych lekarzy – ale cóż można było począć z pacjentem, który nie słuchał tego, co mu zalecano?

Szeth Ambalal przybył do Nadiadu wraz ze swą niezmiernie dla mnie życzliwą żoną i po uzgodnieniu z moimi współpracownikami przewiózł mnie z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności do Mirzapuru, swego letniego domku w Ahmedabadzie.

Trudno sobie wyobrazić więcej miłości i troskliwej opieki od tej, którą mnie otaczano podczas mojej choroby. Lekka gorączka wciąż jeszcze nie opuszczała mnie, coraz bardziej osłabiając mój organizm. Zdawałem sobie sprawę z tego, że choroba przeciąga się i że jej wynik może być fatalny. Otoczony miłością i troskliwością, której mi nie skąpiono w domu szetha Ambalala, zacząłem się jednak coraz bardziej niepokoić i domagałem się przewiezienia mnie do aśramu. *Szeth* Ambalal musiał ustąpić.

Wiłem się z bólu na łóżku w aśramie, gdy naraz Vallabhbhai przywiózł wiadomość o całkowitym rozgromieniu Niemców oraz o tym, że pełnomocnik

rządu nadesłał list, w którym oznajmia o zbyteczności dalszej akcji werbunkowej. Świadomość, że już nie będę potrzebował martwić się z tego powodu, sprawiła mi ogromną ulgę.

Zacząłem stosować metodę wodoleczniczą, co mi trochę pomogło, ale odzyskanie sił nie było łatwe. Wielu ludzi pośpieszyło do mnie ze swymi lekarskimi poradami, jednak nie mogłem wymóc na sobie zastosowania się do którejkolwiek z nich. Dwóch czy też trzech doradców zalecało bulion mięsny, niezależnie od mojego „mlecznego" ślubowania, cytując przy tym poglądy różnych autorytetów, zaczerpnięte z Ajurwedy i przemawiające na korzyść udzielanych przez nich rad. Inny jak najuporczywiej radził, bym się odżywiał jajkami – jednak ja dla nich wszystkich miałem jedną odpowiedź: nie!

Dla mnie autorytet śastr nie był decydujący, jeśli chodziło o sprawę mojej diety. Stanowiła ona nieodłączną część mojego życia, które kierowało się zasadą uniezależnienia się od jakiegokolwiek autorytetu. Nie miałem zamiaru mu ulegać. Jak mogłem zrezygnować z szacunku dla siebie samego, skoro nieustępliwie domagałem się go od swojej żony, swych dzieci i przyjaciół?

Ta pierwsza w moim życiu poważna i przedłużająca się choroba pozwoliła mi na dokładne skontrolowanie wyznawanych przeze mnie zasad i wystawienie ich na próbę.

Pewnej nocy poczułem, że ogarnia mnie rozpacz. Miałem wrażenie, że śmierć stanęła na progu. Posłałem parę słów do Anasuyabehn. Przybyła niezwłocznie do aśramu. Vallabhbhai również przyjechał wraz z doktorem Kanugą, który zbadał mój puls i powiedział: „Tętno jest dobre. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Jest to załamanie nerwowe, wywołane przez krańcowe wyczerpanie".

Jednak te zapewnienia mnie nie uspokoiły. Spędziłem bezsennie całą noc.

Nadszedł następny dzień, a śmierć nie przyszła. Nie mogłem się jednak pozbyć uczucia, że zbliża się koniec mego życia. Każdą godzinę, kiedy nie spałem, poświęciłem słuchaniu księgi *Gita*, odczytywanej mi przez moich najbliższych z aśramu. Sam nie byłem zdolny do czytania, nie miałem również ochoty do rozmowy. Najmniejsza rozmowa oznaczała dla mnie wysiłek mózgu. Straciłem wszelką ochotę do życia; nigdy zresztą nie kochałem go jeno dla samego procesu życia. Trwać dłużej w tym stanie kompletnej bezradności, nie móc nic robić, być obsługiwanym przez przyjaciół i współpracowników i patrzeć, jak organizm powoli coraz bardziej słabnie – wszystko to było niesłychanie bolesne.

Kiedy tak leżałem, oczekując nadejścia śmierci, pewnego dnia przyszedł do mnie doktor Talvalkar wraz z jakimś bardzo dziwnym człowiekiem. Nikt go nie znał, a kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy, domyśliłem się, że jest takim samym dziwakiem, jakim ja byłem. Przybył, aby wypróbować na mnie swoją metodę leczenia. Prawie skończył studia na wydziale lekarskim, ale nie miał jeszcze dyplomu. Później dowiedziałem się, że należał do bractwa Brahmo Samadź. Kelkar, tak się bowiem nazywał, był człowiekiem obdarzonym niezależnym i stanowczym umysłem. Święcie wierzył w skuteczność leczenia lodem, co chciał wypróbować na mnie. Nazwaliśmy go „lodowym doktorem". Jest przekonany, że odkrył pewne rzeczy nieznane, na które nie zwrócili uwagi najbardziej doświadczeni lekarze.

Wielka to szkoda – zarówno dla niego, jak i dla mnie – że nie zdołał mi wpoić wiary w swoją metodę leczenia. Mam jednak pewne zaufanie do niej, obawiam się jedynie, że Kelkar zbyt pośpiesznie wyciągnął z niej niektóre wnioski.

Niezależnie od tego, jakie zalety miały jego odkrycia, pozwoliłem mu na dokonywanie doświadczeń na moim organizmie. Nie miałem nic przeciwko zewnętrznym zabiegom. Leczenie Kelkara polegało na okładaniu całego ciała lodem. Chociaż nic nie mogę powiedzieć o skutkach, jakie jego metoda leczenia wywarła na mnie, muszę jednak przyznać, że nowa nadzieja i energia wstąpiły we mnie, a umysł reagował podobnie jak ciało. Apetyt zaczął powracać, odbywałem już niewielkie spacery od pięciu do dziesięciu minut.

Kelkar poradził, bym nieco zreformował mój sposób odżywiania się.

– Zapewniam pana, że nabierze pan energii i że szybciej odzyska siły, jeżeli zacznie się odżywiać surowymi jajkami. Jajka są tak samo dopuszczalne jak mleko i stanowczo nie mogą być uważane za pożywienie mięsne. A poza tym, wie pan chyba, że nie wszystkie jajka są zapłodnione? Na rynku można dostać jajka bez zarodków…

Nie miałem jednak zamiaru jadać nawet jaj bez zarodków.

Stan mego zdrowia poprawił się jednak na tyle, że działalność o charakterze publicznym zaczęła mnie na nowo interesować.

XXIX. USTAWY ROWLATTA[155] I MOJA ROZTERKA

Przyjaciele i lekarze zapewniali mnie, że znacznie szybciej odzyskam siły, jeżeli przeniosę się do Matheranu, co też zrobiłem. Jednak woda w Matheranie była bardzo „twarda", a to ogromnie utrudniało mój pobyt tam. Po przebyciu ostrej biegunki moja odbytnica zrobiła się nadzwyczaj delikatna, a liczne pęknięcia sprawiały, że każde wypróżnienie było połączone z ogromnymi bólami, co z kolei doprowadziło do tego, że sama myśl o jedzeniu napełniała mnie strachem. Zanim minął tydzień, musiałem uciekać z Matheranu. Śankarlal Banker stanął obecnie na straży mojego zdrowia i przynaglał mnie do zasięgnięcia porady u doktora Dalala, który też został wkrótce wezwany. Zdolność, z jaką potrafił powziąć niezwłoczną decyzję, zrobiła na mnie duże wrażenie.

Oto co mi powiedział:

– Nie podejmuję się przywrócić panu zdrowia, jeżeli nie zgodzi się pan odżywiać mlekiem. Poza tym zalecam zastrzyki z żelaza i arszeniku. Jeżeli się pan zgodzi, ręczę, że uda mi się całkowicie odrestaurować pański organizm.

– Zgadzam się na zastrzyki – odpowiedziałem – ale gdy chodzi o mleko, sprawa jest poważniejsza. Złożyłem ślubowanie.

– Na czym ono polegało? – dopytywał się lekarz.

Opowiedziałem mu całą historię oraz podałem przyczyny, jakie wpłynęły na moje postanowienie, od czasu kiedy się dowiedziałem, że krowy i bawoły poddawane są zabiegowi zwanemu *phooka*. Od tej właśnie chwili nabrałem obrzydzenia do mleka. Zresztą nigdy przedtem nie uważałem, by mleko mogło stanowić naturalne pożywienie dorosłego mężczyzny, i dlatego przyrzekłem sobie, że go nigdy nie będę używał. Kasturbai stała przy moim łóżku i słuchała tego, co mówię.

– Ale przecież nie możesz mieć nic przeciwko koziemu mleku? – wtrąciła.

Lekarz ją poparł.

– Dla mnie wystarczy, jeżeli się pan zgodzi na kozie mleko.

Uległem im. Gorące pragnienie podjęcia na nowo akcji Satjagraha wzbudziło we mnie nową chęć do życia, zgodziłem się więc na formalne dotrzymanie

155 Ustawy Rowlatta – wydane w 1917 r. Nazwane od nazwiska przewodniczącego komisji, która je zredagowała. Miały na celu nadanie rządom w Indiach prawa do stosowania nadzwyczajnych środków represji (np. stan wojenny i trzymanie osób podejrzanych w więzieniu bez sądu). Ustawy skierowane były przeciwko fali ruchu narodowego w Indiach w latach 1919–1922.

mego ślubowania, chociaż jego sens wewnętrzny uległ zmianie. Kiedy składałem ślubowanie, miałem na myśli jedynie mleko krów i bawolic, chociaż ślubowanie dotyczyło każdego zwierzęcego mleka. Skoro uważałem, że mleko nie może stanowić pożywienia dla mężczyzny, nie powinienem był używać żadnej jego odmiany, a jednak wiedząc o tym, zgodziłem się na kozie mleko.

Chęć do życia okazała się silniejsza od dochowania wierności Prawdzie, a święte ideały przyświecające mi na drodze do poszukiwania jej musiały ustąpić przed gorącym pragnieniem podjęcia na nowo walki w imię satjagrahy.

Na samo wspomnienie o tym wszystkim czuję, jak ściska mi się pierś, jak ogarniają mnie wyrzuty sumienia, i nie przestaję myśleć o tym, co zrobić, aby zaprzestać używania jako posiłku koziego mleka.

Wciąż jednak nie mogę się uwolnić od tej najsubtelniejszej ze wszystkich pokus, która mnie nie opuszcza, a mianowicie od pragnienia służenia innym.

Moje doświadczenia, gdy chodzi o sposób odżywiania się, są mi bardzo drogie, stanowią bowiem cząstkę moich poszukiwań na drodze do osiągnięcia ahimsy. Są one dla mnie źródłem wytchnienia i radości. To, że się odżywiam dziś kozim mlekiem, zakłóca mi wewnętrzny spokój nie tyle z punktu widzenia reguł dietetycznych, jakie nakłada ahimsa, ile ze stanowiska dochowania wierności Prawdzie, bo wszak nie jest to niczym innym jak złamaniem ślubowania.

Wydaje mi się, że ideał Prawdy jest dla mnie bardziej zrozumiały aniżeli ideały ahimsy, a moje doświadczenie mówi mi, że gdy przestanę dotrzymywać wierności Prawdzie, nigdy nie zdołam rozwiązać zagadki, jaką zawiera w sobie ahimsa. Ideał Prawdy wymaga, by złożone ślubowanie zostało dotrzymane zarówno w jego sensie wewnętrznym, jak i w dosłownym brzmieniu. W tym przypadku zabiłem ducha, czyli sens wewnętrzny mego ślubowania – zachowując jedynie jego zewnętrzną formę – i to właśnie trapi mnie najbardziej. Czyli mówiąc inaczej: zabrakło mi zapewne odwagi, by kroczyć wytyczoną drogą. W gruncie rzeczy oznacza to jedno i to samo, gdyż zwątpienie jest zawsze spowodowane brakiem wiary lub jej słabością.

„Ześlij na mnie, o Wszechmogący, łaskę wiary!" – oto moja modlitwa, która mi nieodłącznie towarzyszy we dnie i w nocy.

Wkrótce potem, kiedy zacząłem się odżywiać kozim mlekiem, doktor Dalal dokonał pomyślnej operacji zaszycia pęknięć odbytnicy. W miarę tego, jak powracałem do zdrowia, odżyła we mnie chęć do życia, zwłaszcza dlatego że Wszechmogący tak skutecznie przyczynił się do mego uzdrowienia.

Zaledwie zacząłem przychodzić do siebie, kiedy przypadkowo przeczytałem w pismach ogłoszony właśnie raport tak zwanej Komisji Rowlatta. Zalecenia, jakie zawierał, zdumiały mnie. Śankarlal Banker i Umar Sobani zwrócili się do mnie z propozycją, bym niezwłocznie wszczął akcję w tej sprawie.

Po upływie mniej więcej miesiąca udałem się do Ahmedabadu. Podzieliłem się mymi spostrzeżeniami z Vallabhbhai, który niemal codziennie przyjeżdżał na spotkania ze mną.

– Musimy zacząć działać! – powiedziałem do niego.

– Co możemy zrobić w tych okolicznościach? – odpowiedział mi w formie zapytania, na co ja z kolei dałem mu następującą odpowiedź:

– Jeżeli uda nam się zebrać bodaj garstkę ludzi gotowych podpisać wezwanie do stawienia oporu przeciwko tej ustawie, a ona mimo to wejdzie w życie i nabierze mocy prawnej, wtedy natychmiast przystąpimy do akcji Satjagraha. Gdybym nie był tak słaby, sam wypowiedziałbym walkę i sądzę, że inni przyłączyliby się do niej. Ale mój obecny stan zdrowia uniemożliwia mi wykonanie zadania przerastającego moje siły.

W wyniku tej rozmowy postanowiliśmy zwołać niewielkie zebranie, w którym wzięli udział ludzie pozostający w stałym kontakcie ze mną. Zalecenia Komisji Rowlatta w tym stanie, w jakim zostały ogłoszone, były wręcz nie do przyjęcia i – moim zdaniem – żaden szanujący się naród nie mógł się im podporządkować.

Przewidziana konferencja odbyła się ostatecznie w aśramie. Zaproszonych zostało nie więcej niż dwadzieścia osób. O ile sobie przypominam, znajdowali się wśród nich: Vallabhbhai, *śrimati* Sarodźini Naidu, mister Horniman, nieżyjący już mister Umar Sobani, Śankarlal Banker oraz *śrimati* Anasuyabehn.

Na tej konferencji zredagowano wezwanie do akcji Satjagraha i, jeżeli sobie dobrze przypominam, wszyscy obecni się pod nim podpisali. Nie redagowałem w owym czasie żadnego pisma i jedynie od czasu do czasu dawałem wyraz swoim poglądom w prasie codziennej. W tym wypadku postąpiłem podobnie. Śankarlal Banker bardzo poważnie zabrał się do akcji propagandowej i wtedy po raz pierwszy przekonałem się o jego niezwykłych zdolnościach organizacyjnych i wytrwałości w pracy.

Ponieważ nie można było liczyć na to, by którakolwiek z istniejących instytucji zechciała posługiwać się bronią podobną do satjagrahy, na moje żądanie powołana została do życia osobna organizacja, nosząca nazwę Satjagraha Sabha. Czołowi działacze pochodzili z Bombaju, gdzie zainstalowano jej główną kwaterę.

Liczni przyszli uczestnicy akcji zaczęli składać swoje podpisy pod uchwalonymi postulatami, wydano specjalne biuletyny, a w niemal każdej miejscowości urządzano wiece przypominające te, które się odbywały podczas prowadzenia kampanii w Khedzie.

Zostałem przewodniczącym Satjagraha Sabha. Wkrótce doszedłem do wniosku, że nie ma widoków na osiągnięcie porozumienia pomiędzy mną a przedstawicielami inteligencji, która wchodziła w skład tej sabhy. Moje nalegania, aby w sabhie posługiwano się językiem gudźarati oraz niektóre inne proponowane przeze mnie metody działalności uznane zostały przez członków organizacji za dziwne i wywołały dość znaczne zamieszanie i zakłopotanie. Muszę jednak przyznać, że większość z nich usiłowała wielkodusznie pogodzić się z moimi uprzedzeniami. Od samego jednak początku uprzytomniłem sobie, że żywot sabhy, tej nowej organizacji, nie będzie zbyt długi. Spostrzegłem również, że moje fanatyczne poszukiwania Prawdy i ahimsy przestały odpowiadać niektórym członkom. Nie bacząc jednak na to, nasza nowa akcja od najwcześniejszego okresu energicznie ruszyła z miejsca i kampania szybko zyskiwała na sile.

XXX. WSPANIAŁE WIDOWISKO

Oto kiedy z jednej strony agitacja przeciwko uchwałom Komisji Rowlatta coraz bardziej przybierała na sile i obejmowała coraz szerszy zasięg, a jednocześnie rząd zdawał się coraz mocniej obstawać przy wprowadzeniu w życie jej zaleceń, ogłoszono Ustawę Rowlatta.

Tylko raz w życiu byłem obecny na posiedzeniu Izby Ustawodawczej Indii, a było to podczas debaty nad tą właśnie ustawą. Śastridźi wygłosił płomienne przemówienie, w którym brzmiała przejmująca nuta przestrogi, skierowanej pod adresem rządu. Wicekról wsłuchiwał się w nie z ogromnym przejęciem, z oczami utkwionymi w Śastridźiego, z którego ust płynął wartki strumień krasomówstwa. Przez chwilę zdawało mi się, że jest głęboko wzruszony, tyle prawdy i szczerości było w głosie mówcy.

Można obudzić człowieka, ale tylko wtedy, gdy jest on naprawdę pogrążony we śnie, wszelkie jednak wysiłki na nic się nie zdadzą, gdy jedynie udaje, że śpi. Takie właśnie było stanowisko zajmowane przez rząd. Zależało mu jedynie na przeforsowaniu ustawy na drodze formalnoprawnej, gdyż decyzja została

powzięta z góry. Uroczyste przestrogi Śastridźiego pod adresem rządu nie miały już żadnego znaczenia.

W tych okolicznościach każde moje wystąpienie byłoby głosem wołającego na pustyni. Z całą powagą odwołałem się do wicekróla. Wystosowałem do niego szereg listów zarówno prywatnych, jak i otwartych, w których stwierdziłem, że wobec postępowania rządu nie pozostaje mi nic innego, jak zacząć działać za pomocą akcji Satjagraha.

Jednak wszystko było daremne.

Ustawa nie została jeszcze ogłoszona w Dzienniku Ustaw i nie nabrała mocy prawnej. Byłem ciągle bardzo osłabiony, ale kiedy otrzymałem zaproszenie z Madrasu, by tam przybyć, postanowiłem zaryzykować odbycie tak długiej podróży. Nie mogłem jeszcze przemawiać publicznie podniesionym głosem. Nie byłem też w stanie przemawiać publicznie, stojąc cały czas. Po prostu załamałbym się fizycznie, zacząłbym drżeć cały przy pierwszej próbie przemawiania na stojąco.

Zawsze najlepiej czułem się na Południu. Dzięki mojej działalności w Afryce Południowej czułem się niejako specjalnie uprawniony do pracy wśród Tamilczyków i Telugów, a ci zacni mieszkańcy Południa nigdy mnie nie zawiedli.

Zaproszenie było podpisane przez nieżyjącego już Kasturiego Ranga Iyengara. Tym jednak, który się ukrywał za zaproszeniem – jak się później dowiedziałem w drodze do Madrasu – był Radźagopalaczari[156]. Był to, właściwie mówiąc, mój pierwszy kontakt z nim, w każdym razie osobiście spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy.

Radźagopalaczari dopiero niedawno opuścił Salem i ulegając usilnym prośbom swych przyjaciół, między innymi Kasturiego Ranga Iyengara, przeniósł się do Madrasu, by zająć się tu praktyką adwokacką i wziąć bardziej czynny udział w życiu publicznym. To właśnie z nim zetknął mnie los w Madrasie. Dowiedziałem się o tym dopiero po paru dniach. Wobec tego, że letni domek, w którym mieszkaliśmy, był własnością Kasturiego Ranga Iyengara, byłem pewien, że to on nas gości u siebie. Mahadev Desai wyprowadził mnie z błędu. Nawiązał bardzo szybko bliskie stosunki z Radźagopalaczarim, który, bardzo nieśmiały z natury, stale trzymał się na uboczu. Jednak Mahadev uprzedził mnie, mówiąc pewnego dnia:

156 Radźagopalaczari – wybitny działacz Kongresu na południu Indii. W latach poprzedzających II wojnę światową był premierem rządu prowincjonalnego w Madrasie. Podczas wojny rezygnuje ze swych stanowisk i występuje przeciw polityce Gandhiego.

– Powinien pan zwrócić uwagę na tego człowieka.

Postąpiłem zgodnie z tą radą. Omawialiśmy codziennie plan przyszłej kampanii, jednak trudno mi było myśleć o szerszym zakresie działania poza organizowaniem wieców publicznych. Byłem w rozterce, nie wiedząc, w jaki sposób zamanifestować „bierny opór" skierowany przeciwko Ustawie Rowlatta na wypadek, gdy ona uzyska moc prawną. Można byłoby się jej przeciwstawić, ale tylko wtedy, gdyby rząd sam dał do tego sposobność. Czy mogliśmy, w przeciwnym wypadku, biernie przeciwstawić się innym ustawom? A jeżeli tak, to na czym należało poprzestać?

Takie oto i mnóstwo innych podobnych pytań stanowiło temat naszych rozmów.

Kasturi Rang Iyengar zwołał niewielką konferencję przywódców dla omówienia tych spraw. Wśród tych, którzy wzięli wybitny udział w tej naradzie, znajdował się Widźajaraghawaczari. Zaproponował on, abym napisał krótki i popularny podręcznik informujący o akcji Satjagraha, w którym byłyby zawarte najdrobniejsze szczegóły. Sądziłem, że jest to zadanie przerastające moje możliwości, i przyznałem się do tego.

Podczas gdy wciąż tkwiliśmy w tych rozważaniach, przyszła wiadomość, że Ustawa Rowlatta została już ogłoszona i tym samym nabrała mocy prawnej. Tej nocy zasnąłem, zastanawiając się nad tym zagadnieniem. Obudziłem się nad ranem, wcześniej niż zazwyczaj. Znajdowałem się w stanie pomiędzy snem a jawą, kiedy naraz nieoczekiwana myśl zrodziła się w mojej głowie. Był to jak gdyby jakiś sen. Z rana opowiedziałem o tym Radźagopalaczariemu.

„Ubiegłej nocy przyszedł mi we śnie pomysł wezwania całego naszego kraju do przeprowadzenia powszechnego hartalu[157]. Akcja Satjagraha oznacza proces oczyszczania się. Walka, którą podejmujemy, jest dla nas świętością. Sądzę, że byłoby jak najbardziej wskazane rozpocząć ją od takiego właśnie aktu samooczyszczenia. Niech cała ludność Indii tego dnia porzuci pracę i spędzi go na poście i modłach. Muzułmanie nie poszczą dłużej niż jeden dzień, wyznaczmy więc dwudziestoczterogodzinny post. Trudno powiedzieć, czy wszystkie prowincje odpowiedzą na nasz apel, o ile jednak chodzi o Bombaj, Madras, Bihar i Sind, jestem pewien, że można na nie liczyć. Przypuszczam, że będziemy mieli wszelkie powody do zadowolenia, nawet jeżeli tylko te wymienione miejscowości należycie spełnią obowiązek hartalu".

157 *Hartal* – strajk połączony z zamykaniem sklepów i warsztatów.

Radźagopalaczari bez zastrzeżeń zaakceptował moją propozycję. Inni przyjaciele, kiedy ich później powiadomiłem o niej, również przyjęli ją jak najprzychylniej.

Zredagowałem krótki apel[158]. Data hartalu została ustalona na trzydziestego marca 1919 roku, ale później przesunęliśmy ją na dzień szóstego kwietnia. Ludność miała bardzo niewiele czasu, by dowiedzieć się o wszystkim, a wobec tego, że postanowiliśmy rozpocząć akcję niezwłocznie, nie mieliśmy czasu na szerokie rozpowszechnienie wiadomości o wyznaczonej dacie hartalu.

Kto wie, jak to będzie wyglądało?

I oto całe Indie, od krańca do krańca, zarówno miasta, jak i wsie, obchodziły tego dnia najściślejszy *hartal.*

Było to wspaniałe widowisko!

XXXI. NIEZAPOMNIANY TYDZIEŃ – I

Po krótkim objeździe południowych Indii przybyłem około czwartego kwietnia do Bombaju, otrzymawszy telegram od Śankarlala Bankera, który zapraszał mnie do wzięcia udziału w hartalu wyznaczonym na dzień szóstego kwietnia.

W tym samym mniej więcej okresie, czyli trzydziestego marca, obchodzono *hartal* w Delhi. Słowo wyrzeczone przez nieżyjącego już obecnie swamiego Śraddhanandźiego oraz Hakima Adżmala Khana Saheba było uznawane za święte. Wiadomość o odroczeniu hartalu do szóstego kwietnia nadeszła tu z opóźnieniem.

Delhi nigdy dotąd nie było świadkiem takiego obchodu hartalu jak obecnie. Pomiędzy hindusami i muzułmanami nastąpiło całkowite zbratanie. *Swami* Śraddhanandźi został poproszony o wygłoszenie przemówienia w Dżama Masdżid[159], co też uczynił. Wszystko to przebrało miarę tolerancji czynników oficjalnych. Oddziały policji rozproszyły pochód uczestników hartalu, zdążający w stronę dworca kolejowego, dały salwę do tłumu, powodując liczne ofiary. W Delhi rozpoczął się okres ciągłych represji. Śraddhanandźi wezwał mnie natychmiast do Delhi. Odpowiedziałem telegraficznie, że wyjadę do Delhi niezwłocznie po zakończeniu obchodu szóstego kwietnia.

---

158 Apel z 23 marca 1919 r. wzywał do: a) 24–godzinnego postu; b) zaprzestania pracy w ciągu jednego dnia; c) organizowania zebrań w tym dniu w całych Indiach, w miastach i wioskach.

159 Dżama Masdżid – wspaniały meczet muzułmański w Delhi, wybudowany w XVII w.

O tym, co się wydarzyło w Delhi, opowiadano w Lahore i Amritsarze z różnymi dodatkami. Doktor Satyapal i doktor Kiczlu zwrócili się do mnie, bym niezwłocznie udał się do Amritsaru. Nie znałem wtedy jeszcze żadnego z nich, powiadomiłem ich jednak, że mam zamiar przybyć do Amritsaru dopiero po odwiedzeniu Delhi.

Z rana szóstego kwietnia mieszkańcy Bombaju tłumnie przybyli do Chowpati[160], aby wykąpać się w morzu, po czym ruszyli pochodem do Thakurdwaru[161]. W pochodzie brała udział niewielka garstka kobiet i dzieci. Muzułmanie tłumnie przyłączyli się do niego. Z Thakurdwaru niektórzy z uczestników pochodu zostali zaprowadzeni przez przyjaciół muzułmańskich do pobliskiego meczetu, a do pani Naidu i do mnie zwrócono się z prośbą o wygłoszenie przemówień. Withaldas Dżeradżani wystąpił z propozycją, abyśmy od czasu do czasu zwracali się do ludności, głosząc potrzebę wypracowania podstaw *swadeszi*[162] i jedności hindusko-muzułmańskiej. Sprzeciwiłem się jednak temu, twierdząc, że podobna akcja nie może być prowadzona zbyt pośpiesznie i że powinniśmy być zadowoleni z tego, co udało się osiągnąć dotychczas. Starałem się udowodnić, że postanowienia raz powzięte nie mogą być później zaniechane. Należało więc dążyć do tego, by zasady *swadeszi* zostały wyraźnie zrozumiane i aby cała ludność zdała sobie sprawę, jak wielką bierze na siebie odpowiedzialność, występując w imię całkowitej realizacji zasad jedności pomiędzy hindusami a muzułmanami. W końcu zaproponowałem, by ci, którzy zechcą wziąć na siebie odpowiedzialność za wypracowanie tych postulatów, zebrali się w tym celu ponownie następnego dnia z rana.

Nie ma potrzeby zaznaczać, że obchodowi hartalu w Bombaju towarzyszyło ogromne powodzenie. Wszystkie przygotowania zostały już poczynione do rozpoczęcia akcji biernego oporu. W związku z tym poddaliśmy dyskusji jeszcze dwa czy też trzy zagadnienia. Zostało uchwalone, że odmowa posłuszeństwa, czyli bierny opór, będzie dotyczyła jedynie takich przepisów, których nieprzestrzeganie przyjdzie szerokim masom bez trudu. Podatek na sól był bardzo niepopularny i od pewnego czasu rozwinęła się intensywna agitacja, mająca na celu anulowanie go. Proponowałem, by ludność sama zaopatrywała się w sól, którą można było warzyć z morskiej wody w swoich domach wbrew ustawie solnej.

160 Chowpati – dzielnica Bombaju.

161 Thakurdwar – świątynia sikhów.

162 *Swadeszi* – ruch na rzecz rozwoju własnej produkcji i bojkotu towarów obcych importowanych do Indii. Rozpoczął się w 1905 r. pod auspicjami Kongresu.

Następna moja propozycja dotyczyła sprzedaży zabronionej literatury. Dwie moje książki *Hind Svaraj* i *Sarvodaya* (adaptacja w języku gudźarati dzieła Ruskina *Unto This Last)*, których sprzedaż została właśnie zakazana, doskonale nadawały się do tego celu. Drukowanie i publiczna sprzedaż tych książek wydawały mi się jednym z łatwiejszych sposobów zademonstrowania „odmowy posłuszeństwa". Wydrukowano dostateczną liczbę egzemplarzy wspomnianych książek, przy czym postanowiono sprzedawać je po wielkim mityngu, który miał się odbyć wieczorem po zakończonym poście.

Wieczorem szóstego kwietnia na ulice miasta wyszła cała armia ochotników, którzy sprzedawali ludności obie zakazane książki. *Śrimati* Sarodżini Dewi i ja wyjechaliśmy na miasto samochodami. Wkrótce wszystkie egzemplarze zostały sprzedane. Dochód ze sprzedaży miał być obrócony na podtrzymanie akcji biernego oporu. Każda z tych książek kosztowała po cztery anny, ale nie przypominam sobie, by ktokolwiek w mojej obecności nabył ją za tę cenę. Bardzo wielu ludzi po prostu wysypywało ze swoich kieszeni wszystkie posiadane pieniądze, nabywając jeden egzemplarz. Rzucano banknoty po pięć i dziesięć rupii, a przypominam sobie nawet, że w jednym wypadku sprzedałem egzemplarz za pięćdziesiąt rupii. Ludność poinformowano wyraźnie, że nabywając zabronioną literaturę, naraża się na to, że może być aresztowana, ale na razie nikt nie odczuwał strachu przed pójściem do więzienia.

Dowiedzieliśmy się później, iż rząd wolał uznać, że wspomniane książki wcale nie były zakazane, czyli że to, co sprzedawaliśmy, nie może być uważane za „zabronioną literaturę". Rząd uważał, że wydrukowanie nowych egzemplarzy jest tylko nowym wydaniem dawniej zakazanych książek oraz że sprzedaż ich nie stanowi żadnego naruszenia prawa. Powyższa wiadomość wywołała powszechne rozczarowanie.

Następnego ranka odbył się nowy wiec zwołany dla zredagowania postulatów *swadeszi* i jedności hindusko-muzułmańskiej.

Withaldas Dżeradżani po raz pierwszy przekonał się, że nie wszystko, co błyszczy, jest złotem. Na wiec przyszła zaledwie garstka ludzi. Dokładnie przypominam sobie niektóre z naszych sióstr, które były wtedy obecne. Mężczyzn uczestników wiecu było bardzo niewielu.

Naszkicowałem już projekt uchwały i przyniosłem go ze sobą. Zanim przedłożyłem go do głosowania, dokładnie wytłumaczyłem obecnym sens postulatów. Nie czułem się ani urażony, ani zaskoczony tym, że na wiec przyszła tak szczupła garstka ludzi, nieraz bowiem przedtem mogłem stwierdzić,

jak charakterystyczna różnica zachodzi pomiędzy powszechną gotowością do wzięcia udziału w jakiejś pasjonującej pracy a niechęcią do uczestniczenia w spokojnej i konstruktywnej działalności. Ta różnica pozostała zresztą aż do dzisiejszego dnia. Powinienem właściwie poświęcić temu zagadnieniu specjalny rozdział i dlatego wracam do rzeczy.

W nocy z szóstego na siódmego kwietnia wyruszałem w podróż do Delhi i Amritsaru. Po przybyciu, ósmego, do Mathury po raz pierwszy doszły mnie pogłoski o tym, że zapewne zostanę aresztowany. Na następnej, za Mathurą, stacji na spotkanie ze mną przybył *aćarja* Gidvani, przyniósł mi sprawdzoną już wiadomość o tym, że będę aresztowany, i zaofiarował mi swoje usługi na wypadek, gdyby mi był potrzebny. Podziękowałem mu za nie, zapewniając, że nie omieszkam skorzystać z nich w razie potrzeby.

Zanim pociąg dojechał do stacji kolejowej Palval, doręczono mi pismo, z którego wynikało, że nie wolno mi przekroczyć granic Pendżabu, gdyż moja obecność może rzekomo zakłócić spokój publiczny. Policja zażądała, abym wysiadł z pociągu. Odmówiłem, oświadczając: „Mam zamiar udać się do Pendżabu, zostałem tam zaproszony nie po to, by siać niepokój, lecz przeciwnie, by załagodzić sytuację. Bardzo żałuję, ale nie mogę usłuchać doręczonego mi rozkazu…".

W końcu pociąg przyjechał do Palvalu. Mahadew był ze mną. Poprosiłem go, aby udał się do Delhi, powiadomił swamiego Śradhanandżiego o tym, co zaszło, i prosił ludzi, aby zachowali spokój. Miał on wyjaśnić, dlaczego zdecydowałem się nie usłuchać rozkazu i cierpieć karę za nieusłuchanie go. Miał również wskazać, że fakt utrzymania całkowitego spokoju mimo kary, która mnie spotka, oznaczać będzie zwycięstwo po naszej stronie.

Po przybyciu pociągu na stację Palval zostałem wyprowadzony z pociągu i wzięty pod straż. Wkrótce nadszedł pociąg z Delhi. Kazano mi wejść do wagonu trzeciej klasy, przy czym towarzyszyła mi eskorta policyjna. Po przybyciu do Mathury zaprowadzono mnie do baraków policyjnych, jednak żaden z urzędników policji nie mógł mi powiedzieć, co mają zamiar zrobić ze mną dalej i dokąd mam być odwieziony. O czwartej nad ranem obudzono mnie i wpakowano do pociągu towarowego, udającego się w kierunku Bombaju. W południe znów kazano wysiąść, w Sawai Madhopurze.

Zostałem oddany do dyspozycji mister Bowringa, inspektora policji, który przybył pociągiem jadącym w kierunku Lahore. Umieszczono mnie razem z nim w przedziale pierwszej klasy i oto ze zwykłego więźnia zamieniłem się w więźnia-dżentelmena.

Oficer policyjny zaczął wygłaszać hymny pochwalne na cześć Sir Michaela O'Dwyera[163], który – jak twierdził – nie ma osobiście nic przeciwko mnie i jedynie pragnie zapobiec zakłóceniu spokoju, które może nastąpić z powodu mojego przyjazdu do Pendźabu. W końcu zażądał ode mnie, abym dobrowolnie wrócił do Bombaju i zgodził się nie przekraczać granicy Pendźabu.

Odpowiedziałem mu, że nie widzę możliwości poddania się tym rozkazom i nie zamierzam dobrowolnie udać się w podróż powrotną. Wobec tego inspektor oświadczył, iż nie pozostaje mu nic innego, jak zastosować w stosunku do mnie moc prawa.

– Co ma pan zamiar zrobić ze mną? – zapytałem.

Otrzymałem odpowiedź, że „sam jeszcze nie wie, ale czeka na otrzymanie dalszych instrukcji". „Na razie – dodał – zawiozę pana do Bombaju".

Przyjechaliśmy do Suratu. Tu zostałem przekazany innemu oficerowi policyjnemu.

– Jest pan wolny! – oświadczył mi po przyjeździe do Bombaju. – Byłoby jednak najlepiej – dodał po chwili – gdyby pan zechciał zejść na dół bliżej dworca portowego, gdzie mógłbym zatrzymać dla pana pociąg. Podobno w Colabie zebrały się duże tłumy.

Powiedziałem mu, że z przyjemnością spełnię jego życzenie, za co bardzo mi dziękował. Udałem się więc w stronę dworca portowego. Tak się złożyło, że jeden z moich przyjaciół przejeżdżał samochodem, zabrał mnie ze sobą i przywiózł do domu, w którym mieszkał Rewańsankar Dźhaweri. Od tego przyjaciela dowiedziałem się, że wiadomość o zaaresztowaniu mnie wzburzyła ludność i doprowadziła powszechne wrzenie do ostateczności.

– W każdej chwili – dodał – mogą wybuchnąć zamieszki w pobliżu Pydhuni[164]. Władze sądowe oraz policja są już na miejscu.

Zaledwie zdążyłem tam przybyć, kiedy nadjechali Umar Sobani i Anasuyabehn, prosząc, abym niezwłocznie udał się samochodem do Pydhuni. „Tłum jest coraz bardziej zniecierpliwiony i podniecony. Nie jesteśmy w stanie go uspokoić. Jedynie wasze przybycie może odnieść skutek!".

Wsiadłem do samochodu. Zbliżając się do Pydhuni, zobaczyłem ogromny tłum. Na mój widok ludzi ogarnęła szalona radość. Niezwłocznie uformował się pochód, a okrzyki *Vande mataram*[165] i *Allaho akbar*[166] ulatywały pod samo niebo.

---

163 Sir Michael O'Dwyer – gubernator Pendźabu w 1919 r.

164 Pydhuni – dzielnica Bombaju.

165 *Vande mataram* – „Pozdrawiam matkę" – pierwsze słowa narodowego hymnu Indii.

166 *Allaho akbar* – „Allah jest wielki".

W Pydhuni zobaczyliśmy oddział konnej policji. Posypały się odłamki cegieł. Zaklinałem na wszystko tłum, by zachował spokój, ale zanosiło się na to, że my sami nie uchronimy się przed gradem cegieł. Kiedy pochód wyszedł z Abdur Rahman Street i zmierzał w kierunku Crawford Market, naraz stanął twarzą w twarz z plutonem konnej policji, która przybyła tu, by przeszkodzić pochodowi w dalszym posuwaniu się w kierunku Fortu. Tłum był zwarty i niemal przerwał kordon policyjny. Nie było mowy, by mój głos mógł być usłyszany na tak znacznej przestrzeni. W tej samej chwili jeden z oficerów dowodzących oddziałem konnych policjantów wydał rozkaz rozproszenia tłumu. Policjanci na koniach z pochylonymi lancami szarżowali na tłum. Przez krótką chwilę zdawało mi się, że zostałem zraniony, okazało się jednak, że byłem w błędzie, gdyż lance jedynie zadrasnęły samochód, mijając go w pędzie. Szeregi pochodu załamały się, wybuchło ogólne zamieszanie, które po chwili zamieniło się w ucieczkę w popłochu. Niektórzy dostali się pod kopyta, inni zostali dotkliwie poturbowani i potłuczeni. Konie nie mogły się przebić przez ten skłębiony tłum, nie było też żadnego sposobu, by tłum mógł się wydostać z tej opresji. Uzbrojeni w lance policjanci na ślepo torowali sobie drogę poprzez tłum. Nie sądzę, by mogli widzieć, co robią. Wszystko razem było przerażającym widowiskiem. Kawalerzyści i tłum przewalali się w jakimś szaleńczym zamieszaniu.

Wreszcie tłum został rozproszony, a dalsze jego posuwanie się naprzód – przełamane. Nasze auto mogło przejechać. Zatrzymałem je przed biurem komisarza policji i wysiadłem, aby złożyć zażalenie na zachowanie się policji.

XXXII. NIEZAPOMNIANY TYDZIEŃ – II

Udałem się więc do biura mister Griffitha, komisarza policji. Na schodach wiodących do biura zobaczyłem żołnierzy uzbrojonych od stóp do głów, jak gdyby przygotowanych do działań wojennych. Na werandzie panowało powszechne podniecenie. Kiedy zostałem wpuszczony do gabinetu, zobaczyłem mister Bowringa siedzącego obok mister Griffitha.

Opisałem komisarzowi sceny, których byłem świadkiem. Odpowiedział mi krótko:

– Nie życzyłem sobie, aby pochód dotarł do Fortu, gdyż wywołałoby to tam nieuniknione rozruchy! Kiedy zobaczyłem, że nie da się niczym przekonać

tłumu, nie pozostało mi nic innego, jak wydać konnemu oddziałowi policji rozkaz rozproszenia tłumu.

– Ale pan wiedział, jakie to pociągnie następstwa! – odpowiedziałem. – Konie tratowały ludzi. Sądzę, że było zbyteczne posyłać konną policję.

– Sąd o tym nie należy do pana – odparł mister Griffith. – My, oficerowie policji, wiemy lepiej od pana, jakie skutki wywiera na tłum pańska nauka. Gdybyśmy nie sięgnęli od razu do drastycznych środków, przestalibyśmy panować nad sytuacją. Jestem pewien, że pan również straciłby kontrolę nad tłumem. Wezwanie do okazywania nieposłuszeństwa wobec prawa bardzo szybko znajdzie w nim oddźwięk. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć, na czym polega obowiązek zachowania się spokojnie. Nie wątpię, że pańskie intencje są dobre, ale ludność nie potrafi ich zrozumieć. Ci ludzie pójdą za głosem instynktu.

– Nie zgadzam się z panem – odpowiedziałem. – Lud z natury nie jest skłonny do gwałtów, przeciwnie: jest usposobiony pokojowo.

Długo sprzeczaliśmy się na ten temat. Wreszcie mister Griffith powiedział:

– Przypuśćmy, że doszedł pan do przeświadczenia, że pańskie nauki nie trafiają do ludzi… Jak postąpiłby pan w tym wypadku?

– Gdybym doszedł do tego przekonania, przerwałbym akcję biernego oporu.

– Co pan przez to rozumie? Przecież pan powiedział inspektorowi Bowringowi, że z chwilą gdy zostanie pan zwolniony, chce pan udać się do Pendżabu.

– Owszem. Chciałem to zrobić i wsiąść do pierwszego odchodzącego pociągu. Teraz nie wchodzi to już w rachubę.

– Niech pan będzie cierpliwy, a z pewnością dojdzie pan do tego samego przekonania. Czy pan wie, co się wydarzyło w Ahmedabadzie, a co było w Amritsarze? Ludność ogarnął jakiś szał. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Druty telefoniczne zostały przecięte w paru miejscach. Obarczam pana odpowiedzialnością za wszystkie te rozruchy.

– Mogę pana zapewnić, że biorę je na siebie w każdym wypadku. Jestem jednak zaskoczony i zmartwiony, dowiadując się, że jakieś zamieszki miały miejsce w Ahmedabadzie. Za wypadki w Amritsarze nie mogę ponosić odpowiedzialności, bo nigdy tam nie byłem i nikt mnie tam nie zna. Natomiast gdy chodzi o Pendżab, jestem przekonany, że gdyby rząd Pendżabu nie zabronił mi przyjazdu, mógłbym mu być bardzo pomocny w utrzymaniu tam spokoju. Zabraniając mi przyjazdu, rząd sam sprowokował ludność.

Spory na ten temat przeciągały się. Nie mogliśmy dojść do porozumienia. Powiadomiłem ich, że mam zamiar wygłosić przemówienie na wiecu

w Czowpati i zwrócić się do ludności z apelem o zachowanie spokoju. Następnie pożegnałem ich.

Wiec odbył się na wybrzeżu w Czowpati. Mówiłem cały czas o obowiązku nieposługiwania się gwałtem oraz o granicach, jakie wyznacza akcja Satjagraha, przy czym powiedziałem: „Satjagraha jest zasadniczo bronią ludzi prawych. Satjagraha wzywa do nieposługiwania się gwałtem i przemocą i jeżeli ludność nie będzie stosowała się do tego wezwania zarówno w myślach, jak i w słowach oraz czynach, będę musiał zrezygnować z prowadzenia tej akcji".

Anasuyabehn również otrzymała wiadomość o rozruchach w Ahmedabadzie. Ktoś puścił nawet pogłoskę, że ona także została aresztowana. Wiadomość o jej aresztowaniu ogromnie wzburzyła robotników fabrycznych, którzy porzucili pracę, dopuścili się wielu gwałtów i nawet zabili sierżanta policji.

Udałem się niezwłocznie do Ahmedabadu. Dowiedziałem się, że usiłowano pozrywać szyny kolejowe w pobliżu stacji Nadiad oraz że pewien urzędnik państwowy został zamordowany w Wiramgam, a w Ahmedabadzie ogłoszono stan wojenny. Strach ogarnął ludność. Dopuszczono się gwałtów, za które trzeba będzie drogo zapłacić.

Na dworcu oczekiwał oficer policyjny, który miał mnie zaprowadzić do mister Pratta, komisarza policji. Zastałem go w stanie najwyższego wzburzenia. Rozmawiałem z nim możliwie najuprzejmiej, tłumacząc, że wprowadzenie stanu wojennego było najzupełniej zbyteczne, i wyraziłem gotowość przyczynienia się do przywrócenia porządku. Prosiłem go o udzielenie mi zezwolenia na zwołanie wiecu na terenie aśramu Sabarmati. Otrzymałem zezwolenie i wiec – o ile sobie przypominam – odbył się w niedzielę trzynastego kwietnia, a stan wojenny został odwołany tego samego dnia, a może następnego. Zwracając się do zebranych, usiłowałem im wytłumaczyć, na czym polegały błędy ich postępowania, następnie powiedziałem, że na znak pokuty nakładam na siebie trzydniowy post, pozostałych wezwałem do jednodniowego postu, a tym, którzy się poczuwają do popełnienia gwałtów, poradziłem, by się do tego przyznali.

Jasno zdawałem sobie sprawę z tego, na czym polega mój obowiązek. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że robotnicy, wśród których spędziłem tyle czasu, którym starałem się przyjść z pomocą i po których spodziewałem się czegoś znacznie lepszego, również wzięli udział w rozruchach. Czułem, że część winy spada i na mnie.

Namawiając ludzi do przyznania się do winy, dawałem jednocześnie do zrozumienia rządowi, by ukarał za popełnione przestępstwa. Nikt mnie jednak nie usłuchał.

Nieżyjący już Sir Ramanbhai oraz inni mieszkańcy miasta Ahmedabad przyszli do mnie, prosząc, bym zaniechał dalszego prowadzenia akcji Satjagraha. Było to zbyteczne, gdyż sam postanowiłem wstrzymać ją aż do czasu, kiedy ludność nauczy się działać bez użycia gwałtów i przemocy. Moi przyjaciele, odchodząc, byli bardzo szczęśliwi.

Znaleźli się jednak i tacy, których ta decyzja nie zadowoliła. Byli tego zdania, że jeżeli liczę na powszechne uspokojenie i uważam je za nieodzowny warunek do prowadzenia akcji Satjagraha, zastosowanie jej do szerokich mas ludu jest czymś wręcz niemożliwym do zrealizowania. Było mi bardzo przykro, ale nie mogłem się z nimi zgodzić. Jeżeli bowiem nieuciekanie się do gwałtu i przemocy było dla ludzi, wśród których działałem i o których sądziłem, że dojrzeli do tego, by nie posługiwać się przemocą i ponieść ofiary, czymś nie do pomyślenia, w takim razie akcja Satjagraha istotnie traciła wszelki sens.

Byłem bezwzględnie przekonany, że ci, którzy chcą prowadzić lud na drogę wskazaną przez satjagrahę, powinni umieć utrzymać go w ramach, jakie przewiduje wyrzeczenie się wszelkich aktów przemocy. Jestem tego samego zdania jeszcze i dziś.

XXXIII. POMYŁKA HIMALAJSKA

Niemal bezpośrednio po wiecu w Ahmedabadzie wyjechałem do Nadiadu. To właśnie tam po raz pierwszy użyłem wyrażenia „pomyłka himalajska", które później szeroko się rozpowszechnieniło.

Jeszcze podczas pobytu w Ahmedabadzie zacząłem sobie zdawać sprawę z popełnionej przeze mnie pomyłki. Dopiero kiedy przybyłem do Nadiadu, zobaczyłem, jak się przedstawiają sprawy, i wysłuchałem meldunku o tym, że została aresztowana znaczna liczba ludzi z Khedy, zrozumiałem, że popełniłem poważny błąd, przedwcześnie wzywając mieszkańców Khedy oraz innych miejscowości do podjęcia akcji biernego oporu. Zwróciłem się z tym apelem na publicznym wiecu. Zdawałem sobie sprawę również i z tego, że ośmieszyłem się w dużym stopniu. Nie wstydziłem się jednak nigdy do tego przyznać.

Zawsze byłem zdania, że tylko ten człowiek, który sam potrafi spojrzeć na własne błędy przez powiększające szkła, a postępuje wręcz przeciwnie, gdy chodzi o kogoś innego, potrafi wydać sprawiedliwy sąd zarówno w jednym, jak i w drugim wypadku. Sądzę również, że jak najbardziej skrupulatne i sumienne przestrzeganie tej zasady jest niezbędne dla kogoś, kto chce brać udział w akcji Satjagraha.

Przyjrzyjmy się teraz, na czym polegała „pomyłka himalajska". Zanim ktoś stanie się zdolny do wzięcia udziału w stawianiu biernego oporu, musi umieć okazywać dobrowolne i pełne szacunku posłuszeństwo wobec praw ustanowionych przez państwo. Przeważnie jesteśmy posłuszni prawu z obawy przed karą za jego naruszenie i można to nawet uważać za wskazane w odniesieniu do tych praw, które nie dotyczą zasad etycznych. Na przykład jakiś uczciwy i ogólnie szanowany człowiek nie zgodzi się naraz zostać złodziejem, niezależnie od tego, czy istnieją przepisy przeciwko kradzieży, czy też nie, ale ten sam najprzyzwoitszy człowiek nie odczuje żadnych skrupułów, odmawiając zastosowania się do przepisów, które nakazują po zapadnięciu zmroku umieszczać na rowerze zapaloną latarkę. Jest nawet wątpliwe, czy przyjmie uprzejmie skierowaną do niego uwagę, by zechciał zachować pod tym względem konieczną ostrożność. Ten sam człowiek zastosuje się do każdego obowiązującego przepisu w podobnej sprawie, ale jedynie dlatego, by uniknąć przykrości, jakie mu mogą grozić z powodu nałożenia na niego kary za złamanie obowiązujących przepisów.

Tego rodzaju uległość nie ma nic wspólnego z dobrowolnym i spontanicznym posłuszeństwem, jakiego wymaga satjagraha. Uczestnik akcji Satjagraha podporządkowuje się prawom rządzącym społeczeństwem w sposób inteligentny i dobrowolny, uważa to bowiem za swój święty obowiązek.

Dopiero gdy ktoś potrafi najskrupulatniej podporządkować się tym prawom, jest w stanie ocenić, które przepisy są słuszne i sprawiedliwe, a których za takie nie można uważać. Dopiero wtedy w pewnych określonych okolicznościach zdobywa prawo stawiania biernego oporu pewnym określonym przepisom prawnym.

Mój błąd polegał na tym, że nie potrafiłem zachować tych niezbędnych warunków. Wezwałem ludność do stawiania biernego oporu, zanim ona była zdolna do podjęcia takiego ogromnego zadania, i dlatego popełniony przeze mnie błąd wydawał mi się równie gigantyczny jak Himalaje.

Kiedy przybyłem do okręgu Kheda, ogarnęły mnie wspomnienia związane z dawną akcją Satjagraha, prowadzoną tam niegdyś, i zachodziłem w głowę, jak mogłem nie liczyć się z czymś, co było tak oczywiste.

Uprzytomniłem sobie wyraźnie, że zanim ludność będzie mogła zdobyć się na podjęcie kampanii biernego oporu, powinna zrozumieć głęboki sens, jaki jest w niej zawarty.

Zważywszy to wszystko, zrozumiałem, że przed podjęciem na szeroką skalę akcji biernego oporu należy zorganizować oddział wypróbowanych, nieposzlakowanych w sensie etycznym ochotników, którzy dobrze zrozumieli surowe warunki nakładane przez satjagrahę. Mogliby wytłumaczyć ludności to wszystko i czuwając niezmordowanie, potrafiliby ją skierować na właściwą drogę.

Z głową przepełnioną tego rodzaju myślami przybyłem do Bombaju, zorganizowałem przy pomocy miejscowej Satjagraha Sabha taki właśnie ochotniczy oddział uczestników akcji Satjagraha i przy ich współudziale rozpocząłem pracę uświadomienia szerokich mas, mając na względzie głównie znaczenie i wewnętrzny sens akcji Satjagraha. Czyniliśmy to przeważnie za pomocą broszur o charakterze wychowawczym.

Ale ochotnicy nie napłynęli w tak znacznej liczbie, jak się tego spodziewałem, a ci, którzy się zgłosili, niechętnie poddawali się systematycznemu szkoleniu. Mijały dnie, liczba nowych ochotników zamiast się powiększać, stopniowo coraz bardziej malała.

Zrozumiałem, że sprawa szkolenia, gdy chodzi o akcję biernego oporu, nie będzie się posuwała tak szybko, jak pierwotnie sądziłem.

XXXIV. „NAVAJIVAN" I „YOUNG INDIA"

Oto w tym samym czasie, kiedy propaganda na rzecz biernego oporu przeprowadzana bez użycia jakichkolwiek gwałtownych środków robiła coraz większe, choć powolne postępy, polityka bezprawnych represji stosowana przez rząd doszła do szczytu, przy czym jej bezwzględność szczególnie dobitnie dawała znać o sobie na terenie Pendżabu. Przywódców wtrącono do więzienia, ogłoszono stan wyjątkowy, który właściwie oznaczał to samo co zawieszenie wszelkich obowiązujących praw, ustanowiono „specjalne trybunały". Nie były to żadne trybunały, lecz po prostu urzędy, za pomocą których legalizowano samowolę wielkorządcy. Wyroki zapadały bez żadnego uzasadnienia i jakichkolwiek dowodów rzeczowych, z jawnym pogwałceniem prawa.

W Amritsarze niewinnych ludzi – mężczyzn i kobiety – zmuszano do pełzania na czworakach, niczym robactwo. W porównaniu z tym wszystkim tragedia, jaka się rozegrała na Dżalianwala Bagh[167], straciła w moich oczach na znaczeniu, pomimo iż masakra, której widownią była ta miejscowość, ściągnęła na siebie uwagę wszystkich mieszkańców Indii i całego świata.

Przynaglano mnie, abym nie zważając na konsekwencje, jakie to może za sobą pociągnąć, czym prędzej udał się do Pendźabu. Napisałem list, a także telegrafowałem do wicekróla, prosząc go o pozwolenie udania się tam. Niestety – na próżno. Gdybym wyjechał bez zezwolenia, nie pozwolono by mi przekroczyć granic Pendźabu i musiałbym szukać zadośćuczynienia w popełnieniu jakiegoś aktu biernego oporu. Stanąłem wobec poważnego zagadnienia. W tym stanie rzeczy złamanie zakazu przekroczenia granic Pendźabu nie mogło – moim zdaniem – uchodzić za czyn równający się stawianiu biernego oporu, gdyż atmosfera, jaka panowała dokoła, bynajmniej nie była tak pokojowa, jak bym sobie tego życzył, a terror rozpętany w Pendźabie jeszcze bardziej przyczyniał się do zwiększenia i pogłębienia powszechnej nienawiści.

Sądziłem, że demonstrowanie przeze mnie w tym właśnie czasie aktów biernego oporu równałoby się rozdmuchiwaniu płomieni. Postanowiłem więc wbrew radom przyjaciół nie wyjeżdżać do Pendźabu. Była to dla mnie bardzo gorzka pigułka do przełknięcia. Codziennie nadchodziły do mnie z Pendźabu opowieści o popełnianiu przez władze aktów jawnej niesprawiedliwości i przemocy. Niestety, wszystko, co mogłem wtedy uczynić, to siedzieć i zgrzytać zębami.

W tym samym czasie mister Horniman, pod którego kierownictwem dziennik „The Bombay Chronicle" stał się niezmiernie wpływowym organem, został usunięty ze swojego stanowiska przez oficjalne czynniki. Tego rodzaju postępowanie rządu wydało mi się czymś wręcz obrzydliwym. Miałem pewność, że mister Horniman nigdy nie był zwolennikiem bezprawia. Nie był za tym, abym wypowiedział posłuszeństwo rozkazowi wydanemu przez rząd Pendźabu bez specjalnego zezwolenia komitetu akcji Satjagraha, natomiast całkowicie się ze mną zgadzał, gdy chodziło o zawieszenie akcji biernego oporu. Otrzymałem nawet list od niego, w którym przed ogłoszeniem mojego postanowienia w tej sprawie

167 Dżalianwala Bagh – plac w Amritsarze, na którym 13 kwietnia 1919 r. doszło do masakry ludności protestujacej przeciwko zakazowi przybycia Gandhiego do Pendźabu. Oddział wojsk angielskich z rozkazu gen. Dwyera otworzył ogień przeciwko manifestującemu tłumowi. 1200 osób zostało zabitych, a 3600 rannych (według danych Kongresu).

radził mi postąpić tak samo. Jedynie przestrzeń dzieląca Bombaj od Ahmedabadu sprawiła, że otrzymałem ten list po fakcie. Nagłe wydalenie mister Hornimana było dla mnie prawdziwą niespodzianką i sprawiło mi dużą przykrość.

W związku z tymi wydarzeniami wydawcy „The Bombay Chronicle" zwrócili się do mnie z propozycją, bym wziął na siebie odpowiedzialność za dalsze redagowanie tego pisma. Mister Brelvi wchodził już w skład redakcji, toteż nie miałem tam zbyt wiele do roboty, ale – jak to było w moim zwyczaju – odpowiedzialność stała się wkrótce dodatkowym obowiązkiem ciążącym na mnie. Nieoczekiwanie sam rząd przyszedł mi z pomocą, wydając nakaz zawieszenia dalszego wydawania „The Bombay Chronicle".

Moi przyjaciele – wydawcy „The Bombay Chronicle" – Umar Sobani i Śankarlal Banker byli jednocześnie wydawcami pisma „Young India". Zgodnie z ich propozycją miałem wobec zawieszenia „The Bombay Chronicle" objąć kierownictwo „Young India", którego zadaniem miało być wypełnienie powstałej luki, przy czym postanowiono „Young India" zmienić z tygodnika na pismo wychodzące co dwa tygodnie.

Zależało mi bardzo, aby przedstawić opinii publicznej wewnętrzne znaczenie akcji Satjagraha i miałem nadzieję, że dzięki temu będę w stanie wyjaśnić sytuację, jaka się wytworzyła w Pendźabie. Za wszystkim, co pisałem, ukazywała się potencjalna satjagraha, o czym rząd był dobrze poinformowany. Dlatego chętnie przyjąłem propozycję moich przyjaciół.

Powstawało jednak pytanie, jak za pomocą języka angielskiego przygotować szeroką opinię do podjęcia akcji Satjagraha. Głównym terenem mojej działalności był Gudźarat. Indulal Yajnik współpracował wtedy z grupą Sobaniego i Bankera. Był redaktorem ukazującego się w języku gudźarati miesięcznika „Navajivan", finansowanego przez tych właśnie przyjaciół, którzy oddali wspomniany miesięcznik do mojej dyspozycji, a następnie Indulal zgodził się na współpracę w nim. Miesięcznik „Navajivan" później przekształcono w tygodnik.

Tymczasem „The Chronicle" został wskrzeszony i zaczął się ukazywać ponownie, a „Young India" wróciła do cotygodniowego wydania. Redagowanie dwóch tygodników, wychodzących w dwóch różnych miejscowościach, było połączone z wielkimi niewygodami i wymagało dużego wysiłku. Wobec tego, że „Navajivan" ukazywał się w Ahmedabadzie, na mój wniosek do tej miejscowości przeniesiono również redakcję „Young India".

Istniały jednak jeszcze inne powody dla dokonania tej zmiany. Doświadczenia nabyte przeze mnie przy wydawaniu w swoim czasie „Indian Opinion"

nauczyły mnie, że tego rodzaju pisma muszą mieć własne drukarnie. Ustawa prasowa, która w owym czasie obowiązywała w Indiach, przedstawiała się w ten sposób, że chcąc jasno wyrażać swoje poglądy, byłem bardzo skrępowany, gdyż istniejące zakłady drukarskie, kierujące się oczywiście wyłącznie względami komercyjnymi, mocno się zastanawiały nad tym, czy mogę korzystać z ich usług. Potrzeba posiadania własnej drukarni była więc coraz bardziej paląca, a w związku z tym, że ta sprawa dała się zrealizować jedynie w Ahmedabadzie, trzeba było również wydawanie „Young India" przenieść do tego miasta.

Za pośrednictwem tych oto pism zabrałem się z największym zapałem, na jaki mnie było stać, do powszechnego nauczania zasad satjagrahy. Obydwa tygodniki osiągnęły wysokie nakłady, które w pewnym okresie doszły każdy prawie do czterdziestu tysięcy egzemplarzy. Po uwięzieniu mnie nakłady obu pism znacznie spadły i dziś dochodzą zaledwie do ośmiu tysięcy.

Od samego początku sprzeciwiałem się zamieszczaniu ogłoszeń w tych pismach. Nie sądzę, że straciły na tym. Przeciwnie: jestem przekonany, że to właśnie w niemałym stopniu pomogło im do zachowania swej niezawisłości.

Jednocześnie tak się złożyło, iż oba te pisma przyczyniły się niemało do tego, że pozostawałem w zgodzie ze sobą samym, a to dlatego że nie będąc w stanie niezwłocznie zacząć posługiwać się biernym oporem, mogłem przynajmniej za ich pośrednictwem szerzyć swoje poglądy i udostępniać je mojemu narodowi.

Sądzę więc, że obydwa pisma dobrze spełniły swoją rolę w owej godzinie ciężkich prób oraz że przyczyniły się bodaj w skromnym zakresie do ukrócenia samowoli, jaką spowodowało wprowadzenie stanu wyjątkowego w Pendźabie.

XXXV. W PENDŹABIE

Sir Michael O'Dwyer obarczył mnie odpowiedzialnością za wszystko, co się wydarzyło w Pendźabie, a niektórzy tamtejsi srodze rozgniewani młodzieńcy uważali, że to z mojego powodu wprowadzono stan wyjątkowy, zapewniając przy tym, że gdybym nie wstrzymał akcji biernego oporu, nie doszłoby do masakry na Dżalianwala Bagh. Byli i tacy, którzy posunęli się do tego, że zagrozili zamordowaniem mnie, gdybym przybył do Pendźabu.

Miałem jednak wewnętrzne przeświadczenie, że mojemu stanowisku nie można nic zarzucić i że każdy rozumny człowiek powinien je zrozumieć.

Płonąłem z niecierpliwości, by udać się do Pendźabu. Nigdy przedtem tam nie byłem i tym bardziej zależało mi, aby na własne oczy zobaczyć wszystko, co się tam działo.

Doktor Satyapal, doktor Kiczlu i pandit Rambhadźi Dutt Czowdhari, którzy mnie zapraszali do Pendźabu, znajdowali się w tym czasie w więzieniu. Sądziłem, że rząd nie ośmieli się przetrzymywać w więzieniu zbyt długo zarówno ich, jak i innych aresztowanych.

Liczni mieszkańcy Pendźabu odwiedzali mnie podczas mojego pobytu w Bombaju. Usiłowałem podtrzymywać ich na duchu i dodawać im otuchy. Wiara we własne siły, jaką wtedy miałem, udzielała się innym.

Mój wyjazd do Pendźabu z konieczności był raz po raz odraczany. Ilekroć zwracałem się do wicekróla o udzielenie mi pozwolenia na wyjazd, otrzymywałem odpowiedź: „Jeszcze nie teraz". Sprawa przeciągała się w nieskończoność.

W tym samym czasie wyznaczona została tak zwana Komisja Huntera[168] w celu przeprowadzenia dochodzeń w związku z postępowaniem rządu Pendźabu posługującego się stanem wyjątkowym.

Mister C.F. Andrews był już na miejscu w Pendźabie, a jego listy przynosiły rozdzierające serce opisy tego, co się tam działo. Na ich podstawie doszedłem do przeświadczenia, że okrucieństwa wynikające ze stosowania stanu wyjątkowego przechodziły w swej grozie wszystko, o czym donosiła prasa. Mister Andrews domagał się, abym przyjechał jak najprędzej i się z nim zobaczył. Jednocześnie Malaviyadżi również wysyłał telegramy, w których wzywał mnie do niezwłocznego przyjazdu do Pendźabu. Wobec tego jeszcze raz zatelegrafowałem do wicekróla, zapytując, czy mogę wyjechać do Pendźabu. Otrzymałem od niego telegraficzną odpowiedź, z której wynikało, że po upływie pewnego terminu będę mógł wyjechać. Nie przypominam sobie dokładnie, ale wydaje mi się, że była to data siedemnastego października.

Nigdy nie zapomnę scen, jakie się rozegrały, kiedy przyjechałem do Lahore. Stację kolejową zalegał ogromny tłum. Cała ludność miasta wyszła, jakby na powitanie po długiej rozłące kogoś szczególnie bliskiego, i nie posiadała się z radości. Zamieszkałem w letnim domku nieżyjącego już pandita Rambhadźiego Dutta, a wszystkie ciężary związane z moim pobytem spadły na barki *śrimati*

168 Komisja Huntera oficjalnie powołana przez władze brytyjskie dla zbadania okoliczności wydarzeń na Dżalianwala Bagh i ustalenia za nie odpowiedzialności.

Sarady Dewi. Były to istotnie niemałe ciężary, gdyż miejsce mojego zamieszkania wkrótce zamieniło się w prawdziwy jarmark.

Ze względu na to, że czołowi przywódcy Pendżabu znajdowali się w więzieniu, ich miejsca, jak się o tym wkrótce przekonałem, zostały obsadzone przez innych działaczy, wśród których znajdowali się: pandit Malaviyadżi, pandit Motilaldżi oraz nieżyjący już *swami* Śraddhanandźi. Malaviyadżi i Śraddhanandźi byli mi znani przedtem dość dobrze, natomiast z Motilaldżim po raz pierwszy spotkałem się osobiście i nawiązałem z nim bliższe stosunki. Zarówno ci przywódcy, jak również inni miejscowi działacze, którym udało się na razie uniknąć więzienia, otoczyli mnie tak serdeczną atmosferą, że czułem się wśród nich jak w domu.

Nasza jednogłośna decyzja, aby nie składać zeznań przed Komisją Huntera, należy już do historii.

Przyczyny, które nas do tego skłoniły, były w swoim czasie opublikowane i nie ma potrzeby powtarzać ich w tym miejscu. Wystarczy powiedzieć, że nawet kiedy spojrzę na te wypadki z perspektywy minionych lat, nie opuszcza mnie przeświadczenie, że nasze postanowienie zbojkotowania owej komisji było jak najbardziej słuszne i wskazane.

Logiczną konsekwencją bojkotu Komisji Huntera było utworzenie z ramienia partii Kongresu równoległej i nieoficjalnej komisji dla zbadania całokształtu wypadków. Pandit Malaviyadżi mianował pandita Motilala Nehru[169], nieżyjącego już obecnie Deszbandhu C.R. Dasa, Abbasa Tjabdźiego, M.R. Dżayakara i mnie członkami tej komisji. Podzieliliśmy między siebie poszczególne miejscowości dla przeprowadzenia dochodzeń. Odpowiedzialność za zorganizowanie prac tej komisji spoczywała na mnie, a wobec tego, że mnie przypadł jednocześnie w udziale zaszczyt prowadzenia dochodzeń w największej liczbie różnych miejsc, skorzystałem z tak rzadkiej sposobności, by bezpośrednio przyjrzeć się temu, jak żyje ludność w miastach i wioskach Pendżabu.

W toku tych dochodzeń poznałem również kobiety Pendżabu. Odniosłem wrażenie, że znamy się od dawna. Gdziekolwiek się udawałem, zjawiały się tłumnie, składając przede mną zwoje przędzy. Moja działalność związana z przeprowadzaniem dochodzeń naprowadziła mnie na myśl, że prowincja Pendżab mogłaby się stać w przyszłości terenem szeroko rozwiniętego rękodzielnictwa tkackiego.

169 Motilal Nehru (1861–1931) – znany prawnik, ojciec premiera Indii J. Nehru. Wybitny działacz Kongresu w latach pierwszej wojny światowej i w latach 20. Współpracownik i przyjaciel Gandhiego.

W miarę posuwania się moich dochodzeń dotyczących okrucieństw, jakie zostały popełnione na ludności, zetknąłem się z relacjami o samowoli i bezwzględności ze strony rządu i jego urzędników, jakiej sobie po prostu nie wyobrażałem. Zabolały mnie one bardzo głęboko. Co zwłaszcza mnie zdziwiło i nie przestaje mnie zresztą dziwić do dziś, to stwierdzenie faktu, że prowincja, która dostarczyła rządowi brytyjskiemu podczas wojny największej liczby żołnierzy, mogła stać się terenem tak brutalnej przemocy.

Zadanie zredagowania raportu dla wyżej wspomnianej komisji powierzono mnie. Każdemu, kto chciałby sobie wyrobić wyobrażenie o rodzaju okrucieństw, jakich się tam dopuszczano wobec ludności Pendźabu, radzę przeczytać ten raport. Chcę jedynie dodać w tym miejscu, że nie ma w nim ani odrobiny jakiejkolwiek przesady, a każde zawarte w nim stwierdzenie jest poparte bezsprzecznymi faktami. Ogłoszone fakty stanowiły jednak zaledwie ułamek tych materiałów, którymi rozporządzała komisja.

W raporcie nie znalazł się ani jeden fakt, który mógł budzić nawet najlżejszą wątpliwość. Opracowany jedynie w celu ujawnienia całej prawdy raport, o którym jest mowa, pozwoli czytelnikowi zobaczyć, do czego jest zdolny rząd brytyjski, jakie okrucieństwa i barbarzyństwa potrafi popełniać dla utrzymania w swych rękach władzy.

O ile mi wiadomo, ani jedno ze stwierdzeń przytoczonych w tym raporcie nigdy nie spotkało się z zaprzeczeniem.

XXXVI. KALIFAT I SPRAWA OCHRONY KRÓW

Musimy na pewien czas zostawić te pożałowania godne wydarzenia w Pendźabie. Dochodzenia w tej sprawie prowadzone z ramienia Kongresu właśnie się rozpoczęły, kiedy otrzymałem list zapraszający mnie do wzięcia udziału w połączonej hindusko-muzułmańskiej konferencji, która miała się zebrać w Delhi dla omówienia sprawy Kalifatu.

Wśród tych, którzy podpisali to zaproszenie, znajdowali się: nieżyjący już obecnie Hakim Adżmal Khan Saheb oraz mister Asaf Ali[170]. Nieżyjący już dziś *swami* Śraddhanandźi miał – jak było zapowiedziane – również wziąć w niej udział i nawet – jeżeli mnie pamięć nie zawodzi – przewodniczył tej konferencji,

170 Asaf Ali (1888–1953) – wybitny działacz muzułmański, który przystąpił do Kongresu i był jednym z członków jego kierownictwa.

która miała omówić sytuację po zdradzie Anglii w sprawie Kalifatu oraz powziąć decyzję, czy hindusi i muzułmanie mają uczestniczyć w uroczystościach związanych z zawarciem pokoju, czy też nie.

We wspomnianym liście była też mowa o tym, że wśród innych spraw, jakie będą stanowiły temat obrad, znajdzie się nie tylko samo zagadnienie Kalifatu, lecz również sprawa ochrony krów, co może służyć za okazję do ostatecznego rozstrzygnięcia tego zagadnienia. Byłem przeciwny postawieniu na porządku obrad sprawy ochrony krów. W swoim liście, wyrażającym zgodę na wzięcie udziału w konferencji, wyraziłem pogląd, że nie należy obu tych spraw łączyć i nie mogą one stanowić przedmiotu przetargu, że należy każdą z nich rozpatrzyć z osobna i zgodnie z ich znaczeniem.

Z głową pełną tego rodzaju myśli udałem się na konferencję. Było to bardzo liczne zebranie, aczkolwiek daleko mu było do następnych, w których uczestniczyły dziesiątki tysięcy ludzi. Ze swamim Śraddhanandźim omówiłem wyżej wymienione sprawy. Zgodził się ze mną i polecił mi zreferować je w odpowiedni sposób w toku obrad. Podobnie przedyskutowałem je z nieżyjącym już Hakimem Sahebem.

Przed rozpoczęciem konferencji byłem tego zdania, że jeżeli zagadnienie Kalifatu istotnie jest słuszne i prawnie uzasadnione oraz jeżeli rząd doprawdy popełnił jawną niesprawiedliwość, hindusi powinni podtrzymać muzułmanów i żądać wraz z nimi naprawienia krzywdy wynikłej ze sprawy Kalifatu. Byłoby natomiast niewskazane poruszanie w związku z tym sprawy ochrony krów albo wykorzystanie tej okazji do zawarcia porozumienia z muzułmanami. Czymś wręcz nietaktownym byłoby również, gdyby za cenę pomocy hindusów w sprawie Kalifatu muzułmanie zgodzili się przestać zarzynać krowy. Ale byłoby rzeczą zupełnie inną, znacznie szlachetniejszą i przysparzającą muzułmanom wiele uznania, gdyby ci z własnej woli, licząc się z religijnymi uczuciami hindusów i poczuwając się do obowiązku jako sąsiedzi i dzieci tej samej ziemi, sami zaprzestali zabijać krowy.

Twierdziłem, że zajęcie takiego właśnie stanowiska nie tylko było ich obowiązkiem, ale że w dużym stopniu przyczyniłoby się do wzbudzenia szacunku dla nich za takie postępowanie. Jeżeli bowiem indyjscy wyznawcy Mahometa zechcieliby uznać za swój sąsiedzki obowiązek zaniechanie zarzynania krów, powinni tak uczynić bez względu na to, czy hindusi okażą im swoje poparcie w sprawie Kalifatu, czy też nie. W tym stanie rzeczy obie sprawy powinny być rozpatrywane oddzielnie, a obrady – jak twierdziłem – powinny się ograniczyć jedynie do zagadnienia Kalifatu.

Moje argumenty trafiły słuchaczom do przekonania i w rezultacie sprawa ochrony krów wcale nie była poruszana na tej konferencji.

Niezależnie jednak od moich przestróg Maulana Abdul Bari Saheb powiedział:

– Wszystko jedno, czy hindusi chcą nam udzielić pomocy, czy nie, my muzułmanie, jako mieszkańcy tej samej ziemi, powinniśmy, nie licząc się z innymi względami, zaprzestać zarzynania krów!

W pewnym momencie zanosiło się na to, jak gdyby muzułmanie raz na zawsze chcieli zaniechać tych praktyk.

Pewne koła wystąpiły z wnioskiem, aby sprawę Pendźabu połączyć z omówieniem sprawy Kalifatu. Sprzeciwiłem się tej propozycji. Sprawa Pendźabu – jak twierdziłem – była zagadnieniem na wskroś lokalnym i w żadnym razie nie mogła zaważyć na naszej decyzji wzięcia udziału w uroczystościach związanych z zawarciem pokoju. Popełnimy ogromny błąd, jeżeli dopuścimy do pomieszania sprawy o znaczeniu lokalnym z zagadnieniem Kalifatu, które powstało jako bezpośrednie następstwo warunków pokojowych.

Moje argumenty bez trudu znalazły uznanie.

Maulana Hasrat Mohani był obecny na tym zebraniu. Znałem go przedtem, ale dopiero teraz przekonałem się, jaki był z niego bojownik. Niemal od początku powstały pomiędzy nami różne rozbieżności, a w niektórych sprawach istnieją one do dziś.

Spośród powziętych na tej konferencji uchwał jedna wzywała zarówno hindusów, jak i muzułmanów do złożenia ślubowania *swadeszi*, a tym samym – do bojkotu obcych towarów.

Sprawa *khadi* (wyrobu samodziałowego płótna) nie znalazła jeszcze właściwego miejsca. Hasrat Saheb nie chciał się zgodzić na tę rezolucję. Miał zamiar zemścić się na Imperium Brytyjskim, gdyby nie stało się zadość sprawiedliwości w sprawie Kalifatu. Zgodnie ze swoją koncepcją zgłosił wniosek, który przewidywał jedynie bojkot angielskich towarów.

Sprzeciwiłem się temu zarówno ze względów zasadniczych, jak i praktycznych, przytaczając szereg dowodów, które są już dziś powszechnie znane. Przedstawiłem uczestnikom konferencji również moje poglądy, dotyczące nieposługiwania się przemocą i mogłem stwierdzić, że zrobiły one duże wrażenie na słuchaczach. Mowa, którą przede mną wygłosił Hasrat Mohani, została przyjęta tak entuzjastycznie, że obawiałem się, by mojej nie powitał jakiś jeden odosobniony okrzyk, niczym głos wołającego na pustyni. Odważyłem się zabrać głos tylko dlatego, że

uważałbym za złamanie ciążącego na mnie obowiązku, gdybym nie przedstawił zebranym moich zapatrywań na te sprawy. Byłem jednak bardzo mile zdziwiony, przekonawszy się, że słuchano mego przemówienia z ogromną uwagą, przy czym zjednało ono sobie uznanie ludzi zasiadających w prezydium, a następnie jeden mówca po drugim zabierał głos, by podtrzymać moje stanowisko.

Przywódcy przekonali się, że bojkot towarów angielskich nie tylko całkowicie zawiedzie, ale ponadto narazi projektodawców na śmieszność. Wśród biorących udział w konferencji prawdopodobnie nie znalazłby się ani jeden człowiek, który by nie miał na sobie jakiegokolwiek brytyjskiego wyrobu. Bardzo liczni uczestnicy konferencji zorientowali się, że przyjęcie wspomnianej uchwały mogłoby jedynie wyrządzić szkodę ogólnej sprawie, a ci, którzy ją popierali swoimi głosami, wiedzieli, że nie potrafią wprowadzić jej w czyn.

Oto co w tej sprawie powiedział Maulana Hasrat Mohani:

– Bojkot obejmujący jedynie zagraniczną odzież nie jest w stanie nas zadowolić, bo któż może przewidzieć, ile czasu minie, zanim sami potrafimy produkować ją w dostatecznych ilościach z własnych tkanin i kiedy doprowadzimy do skutecznego bojkotu odzieży sprowadzanej z zagranicy? Chcemy czegoś, co natychmiast odpowiednio podziałałoby na Brytyjczyków. Niech proponowany przez was ogólny bojkot zagranicznych towarów trwa, nie mamy nic przeciwko temu, ale dajcie nam na dodatek jakiś szybszy i skuteczniejszy sposób działania!

Słuchając jego słów, już zdawałem sobie sprawę, że chodzi o coś więcej niż sam bojkot zagranicznych towarów, o coś nowego. Niezwłoczne ogłoszenie tego rodzaju bojkotu wydawało mi się w danej chwili zdecydowanie niemożliwe. Nie orientowałem się wtedy jeszcze, że jeżeli zechcemy, potrafimy przygotować taką ilość samodziału – *khadi*, która wystarczyłaby dla zaspokojenia naszych potrzeb. Dowiedziałem się o tym znacznie później. Z drugiej strony było mi już wtedy wiadomo, że gdybyśmy uzależniali pomyślne przeprowadzenie bojkotu jedynie od produkcji fabrycznej, przegralibyśmy.

Byłem właśnie w trakcie rozwiązywania tego zagadnienia, kiedy Maulana skończył swe przemówienie.

Trudno mi było przemawiać ze względu na brak odpowiednich słów w języku hindi lub urdu. Była to dla mnie pierwsza sposobność wygłoszenia w tym języku zasadniczego przemówienia przed audytorium złożonym wyłącznie z muzułmanów pochodzących z północnych Indii. Przemawiałem już kiedyś w języku urdu na zebraniu Ligi Muzułmańskiej w Kalkucie, była to jednak zaledwie kilkuminutowa przemowa, a właściwie jedynie serdeczny apel skierowany do słuchaczy.

Tym razem było zupełnie inaczej: stałem przed krytycznie usposobionym – aby nie powiedzieć: wrogim – audytorium, któremu miałem przedstawić i wytłumaczyć swój punkt widzenia. Pozbyłem się jednak wszelkiego uczucia onieśmielenia. Przybyłem tu przecież nie po to, by jedynie wygłosić poprawne przemówienie w bezbłędnym i gładkim języku urdu muzułmanów z Delhi, lecz by przedstawić zebranym moje poglądy, przemawiając takim łamanym językiem hindi, na jaki mnie było stać.

I to mi się udało. Ten wiec przekonał mnie, że połączenie hindi i urdu może być czymś w rodzaju lingua franca dla całych Indii. Gdybym przemawiał po angielsku, z pewnością nie wywarłbym na słuchaczach tego wrażenia, które udało mi się uzyskać, a Maulana nie zrezygnowałby z wygłoszenia swojej repliki. Zresztą – gdyby ją nawet wygłosił, nie sądzę, że byłaby skuteczna.

Nie mogłem jednak znaleźć odpowiedniego wyrazu – bądź w języku hindi, bądź w urdu – dla sprecyzowania swej nowej idei i to mnie nieco krępowało. W końcu użyłem określenia: „odmowa współdziałania". Na tym właśnie zebraniu użyłem go po raz pierwszy.

W czasie wygłaszania przemówienia przez Maulanę odniosłem wrażenie, że nie bardzo wypada, by on, który współpracował z rządem w tylu wypadkach, miał mówić o odmowie współpracy z nim, kiedy użycie siły zbrojnej było albo niemożliwe, albo niepożądane. Moim zdaniem jedyną formą przeciwstawienia się rządowi było przerwanie wszelkiej współpracy z nim. Wtedy właśnie wpadłem na to określenie: „odmowa współdziałania". Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy ze wszystkich możliwości stosowania go i nie wdawałem się w szczegóły. Powiedziałem po prostu:

– Muzułmanie uchwalili bardzo doniosłą rezolucję. Jeżeli warunki pokoju będą dla nich niekorzystne – przed czym uchowaj nas Boże! – zaprzestaną wszelkiej współpracy z rządem. Jest to niezaprzeczalne prawo przysługujące narodowi. Nikt nas nie zmusza do zachowywania nadanych nam przez rząd tytułów i odznaczeń czy dalszego pełnienia służby na rzecz rządu. Jeżeli w tak ważnej sprawie, jaką jest zagadnienie Kalifatu, rząd nas oszuka, nie możemy postąpić inaczej, jak tylko odmówić współdziałania z nim. W każdym razie przysługuje nam prawo odmówienia współdziałania z rządem, który zawiódł nasze nadzieje.

Minęły jednak miesiące, zanim wyrażenie „odmowa współdziałania" znalazło się w powszechnym użyciu. Na razie zaginęło w powodzi procedury towarzyszącej konferencji.

Kiedy na posiedzeniu Kongresu, który się zebrał po miesiącu w Amritsarze, poparłem uchwałę na rzecz „odmowy współdziałania", uczyniłem to w nadziei, że okazja do zastosowania jej się nie nadarzy.

XXXVII. KONGRES W AMRITSARZE

Rząd Pendżabu nie mógł trzymać w więzieniu setek mieszkańców tej prowincji, którzy na zasadzie ogłoszonego stanu wyjątkowego zostali bezpodstawnie pozbawieni wolności przez urzędy tylko nominalnie noszące nazwę „sądu". Jawne naruszanie prawa wzbudziło tak powszechne oburzenie, że niepodobna było dłużej więzić tych ludzi. Zanim rozpoczęły się obrady Kongresu, większość więźniów została zwolniona.

Obrady Kongresu były jeszcze w toku, kiedy Lala Harkiszanlal oraz inni przywódcy znaleźli się na wolności. Bracia Ali również przybyli na Kongres wprost z więzienia. Radość ludu nie miała granic. Przewodniczącym Kongresu został pandit Motilal Nehru, który zrezygnował ze swej świetnej praktyki adwokackiej, uczynił Pendżab swą główną kwaterą i oddawał nieocenione usługi naszej akcji. Nieżyjący już dziś *swami* Śraddhanandźi był przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego.

Mój udział w dorocznych zebraniach Kongresu ograniczał się w owym czasie jedynie do obrony praw obywatelskich Indusów przez wygłaszanie przemówień w moim ojczystym języku i do referowania spraw dotyczących życia Indusów poza krajem. Nie liczyłem na to, by w bieżącym roku miano mi powierzyć jakieś inne zadania, ale – jak to już zresztą nieraz przedtem bywało – zupełnie nieoczekiwanie obarczono mnie bardzo odpowiedzialną pracą.

Właśnie ogłoszone zostało orędzie królewskie dotyczące wprowadzenia reform. Nie mogły one całkowicie zadowolić ani mnie, ani kogokolwiek. Byłem jednak zdania, że aczkolwiek wspomniane reformy miały dużo wad, należało je na razie przyjąć. W orędziu królewskim wyczuwałem rękę lorda Sinha, a to budziło we mnie promień nadziei. Wypróbowani bojownicy, jak na przykład nieżyjący już Lokamanja i Deszabandhu Czittarandżan Das[171], potrząsali głowami. Pandit Malaviyadżi zachowywał neutralność.

171 Czittarandżan Das (1870–1925) – nazwany Deszabandhu („przyjaciel kraju") – adwokat, znany działacz Kongresu.

Pandit Malaviyadżi udzielił mi gościny w swoim pokoju. Podczas uroczystości związanych z założeniem Uniwersytetu Indyjskiego miałem sposobność przyjrzeć się, jak pełne prostoty życie pędził ten człowiek. Mieszkając z nim w jednym pokoju, obserwowałem jego codzienne życie w najdrobniejszych szczegółach, a to, co widziałem, napełniało mnie bezgraniczną radością. Pokój, w którym mieszkał, był dostępny dla każdego biedaka. Z trudem można się było w nim poruszać – było w nim zawsze pełno ludzi. Każdy miał prawo o każdej porze dnia zabierać mu tyle czasu, ile tylko zechciał. W rogu tego pokoju znajdowało się moje „łoże".

Nie chcę jednak wypełnić tego rozdziału samym opisem trybu życia, jakie prowadził Malaviyadżi, i muszę powrócić do tematu.

Miałem więc sposobność prowadzenia codziennych rozmów z Malaviyadżim, który niczym starszy brat z prawdziwą ochotą tłumaczył mi swoje poglądy na różne ugrupowania polityczne. Zrozumiałem, że mój udział w naradach nad wypracowaniem rezolucji jest nieunikniony. Ponosiłem częściową odpowiedzialność za przedstawienie Kongresowi raportu o nadużyciach w Pendżabie i zdawałem sobie sprawę z tego, że moja uwaga musi być zwrócona na wszystko, co w związku z tym powinno być zrobione. W tej sprawie rząd miał jeszcze sporo do wykonania. Podobnie przedstawiała się sprawa Kalifatu. Wciąż jeszcze wierzyłem wtedy, że mister Montagu nie zdradzi nas i nie dopuści do tego, by hinduskiemu zagadnieniu miała być wyrządzona krzywda.

Uwolnienie braci Ali oraz innych więźniów uważałem za pomyślny prognostyk.

W tych warunkach sądziłem, że należy uchwalić rezolucję raczej akceptującą reformy, a nie odrzucającą je. Natomiast Deszabandhu Czittarandżan Das z uporem obstawał przy tym, że reformy winny być w całości odrzucone jako nieodpowiednie i niewystarczające. Lokamanja zachowywał się mniej lub więcej neutralnie, postanowił jednak poprzeć każdą rezolucję, którą uzna Deszabandhu.

Sama myśl, że mój pogląd może się różnić od stanowiska, jakie zajmują tak wypróbowani i powszechnie uznawani przywódcy, była dla mnie czymś nie do przyjęcia, wszakże głos sumienia był dla mnie całkiem wyraźny.

Usiłowałem chyłkiem opuścić obrady Kongresu i przekonywałem pandita Malaviyadżiego i Motilaldżiego, że w ogólnym interesie leży, abym wycofał się z udziału w obradach Kongresu aż do ich zakończenia. Uwolniłoby mnie to od konieczności ujawnienia rozbieżności pomiędzy mną a powszechnie szanowanymi przywódcami.

Jednak moja propozycja nie znalazła uznania u tych dwóch zasłużonych działaczy. Wiadomość o niej dotarła jakimś sposobem do Lala Harkiszanlala.

– To nigdy nie powinno mieć miejsca! Będzie to bardzo bolesnym wstrząsem dla ludności Pendżabu! – rzekł.

Omawiałem tę sprawę z Lokamanją, Deszabandhu i mister Jinnahem – nie mogliśmy jednak znaleźć żadnego wyjścia. W końcu zwierzyłem się z moich kłopotów Malaviyadżiemu.

– Nie widzę żadnej możliwości osiągnięcia kompromisowego załatwienia tej sprawy – powiedziałem mu. – Jeżeli zgłoszę własną rezolucję, nastąpi rozłam. Nie znajduję żadnego sposobu wybrnięcia z tej sytuacji.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem na otwartych sesjach Kongresu głosowania odbywają się przez podniesienie rąk, wszelka różnica pomiędzy delegatami a gośćmi zaciera się i nie ma możności policzenia głosów na takich wielkich zgromadzeniach. Z tego wynika, że nawet gdybym dążył do spowodowania rozłamu, nie przyszłoby mi to z łatwością i nie odniosłoby skutku.

Jednak Lala Harkiszanlal przyszedł mi z pomocą i przedsięwziął odpowiednie kroki.

– W dniu głosowania zamkniemy dostęp dla gości na salę obrad Kongresu. Co się tyczy sprawy policzenia głosów, postaram się to załatwić, w każdym jednak razie nie powinniście się wycofać z udziału w pracach Kongresu.

Skapitulowałem. Zredagowałem swoją rezolucję i zgłosiłem ją z biciem serca. Pandit Malaviyadżi i mister Jinnah ją podtrzymali. Zastanowiło mnie to i aczkolwiek różnica poglądów, jaka istniała pomiędzy nami, była pozbawiona jakiejkolwiek wrogości, a w naszych przemówieniach nie było nic prócz obiektywnych rozważań, jednak obecni nie mogli się pogodzić z istnieniem różnic pomiędzy naszymi poglądami i byli szczerze tym zmartwieni. Ci ludzie domagali się jednomyślności.

Nawet podczas wygłaszania przemówień prezydium czyniło wysiłki usunięcia rozbieżności, a liściki w tej sprawie krążyły bez przerwy pomiędzy przywódcami. Malaviyadżi zrobił wszystko, co się tylko dało, by przerzucić pomost zgody. W tej samej chwili Dżeramdas wręczył mi swoją poprawkę i z właściwą sobie słodyczą w głosie zaklinał, by nie stawiać delegatów w obliczu ewentualności rozłamu.

Jego poprawka mi odpowiadała. W oczach Malaviyadżiego zaczęły się ukazywać błyski nadziei. Powiedziałem, że moim zdaniem poprawka zgłoszona przez Dżeramdasa może być przyjęta przez obie strony. Lokamanja, któremu

z kolei ją pokazano, oświadczył: „Jeżeli C.R. Das się na nią zgodzi, ja ze swej strony nie będę zgłaszał żadnych zastrzeżeń". Deszabandhu również w końcu ustąpił i posyłał w stronę Bepina Czandry Pala porozumiewawcze spojrzenia. Malaviyadżi był pełen najlepszych nadziei. Pochwycił skrawek papieru, na którym była napisana poprawka, i zanim Deszabandhu zdążył powiedzieć ostateczne „tak", głośno zawołał: „Bracia delegaci! Jestem pewien, iż z radością przyjmiecie do wiadomości, że osiągnęliśmy kompromisowe rozwiązanie!".

Tego, co nastąpiło, nie da się po prostu opisać. Sala zagrzmiała od oklasków, a zachmurzone i posępne dotąd twarze promieniały radością.

Nie ma potrzeby omawiać szczegółowo treści poprawki. Moim zamiarem było jedynie opisać, jak wspomniana rezolucja, stanowiąca część moich doświadczeń i poszukiwań opisanych w tych rozdziałach, znalazła drogę do realizacji.

Zawarty kompromis jeszcze bardziej wzmógł ciążącą na mnie odpowiedzialność.

XXXVIII. MÓJ DEBIUT W KONGRESIE

Mój udział w pracach Kongresu w Amritsarze uważam za debiut w politycznym współdziałaniu z Kongresem. Dotychczas moje uczestnictwo w poprzednich Kongresach ograniczało się do corocznego odnawiania mojej przynależności do niego. Nigdy też przy tej sposobności nie przypuszczałem, bym miał tu coś więcej do powiedzenia, zresztą – nie ubiegałem się o to.

Doświadczenia nabyte podczas Kongresu w Amritsarze przekonały mnie jednak, że są takie sprawy – jedna, a może i dwie – w których orientuję się dość dobrze, i przeto mógłbym się przydać Kongresowi. Widziałem również, że Lokamanja, Deszabandhu, pandit Motilaldżi oraz inni przywódcy byli zadowoleni z tego, co zrobiłem w związku z dochodzeniami prowadzonymi w Pendźabie. Zapraszali mnie zazwyczaj na swe nieoficjalne zebrania, na których, jak zauważyłem, redagowano uchwały Komisji Wnioskodawczej. Na wspomniane konferencje zapraszano jedynie osoby, które cieszyły się specjalnym zaufaniem przywódców i których współpraca była szczególnie pożądana. Zdarzało się jednak, że również jakiemuś intruzowi udało się przedostać na takie zebranie.

Jeśli chodzi o prace zamierzone na przyszły rok, były dwie interesujące mnie sprawy, do opracowania których czułem się powołany. Jedną z nich

była sprawa pomnika dla uczczenia pamięci ofiar masakry na Dżalianwala Bagh. Uchwała wzniesienia pomnika została powzięta przez Kongres wśród powszechnego entuzjazmu. Na ten cel miał być zebrany fundusz wynoszący około pięciu lakha (około pięciuset tysięcy rupii). Zostałem wybrany na członka komitetu.

Pandit Malaviyadżi słusznie uchodził za księcia kwestarzy i zawsze cieszył się największym powodzeniem, kiedy chodziło o zbiórki na cele publiczne. Wiedziałem jednak, że mogę mu pod tym względem dorównać, o czym mogłem się przekonać podczas mego pobytu w Afryce Południowej. Nie miałem jednak magicznych właściwości, którymi rozporządzał Malaviyadżi, gdy chodziło o zbieranie magnackich datków od potentatów hinduskich. Dobrze sobie zdawałem sprawę z tego, że zwracanie się do radżów i maharadżów po datki na pomnik ofiar masakry na Dżalianwala Bagh jest absolutnie bezcelowe. Główna odpowiedzialność za zbiórkę spadła – jak się tego zresztą spodziewałem – na moje barki. Wspaniałomyślni obywatele Bombaju bardzo chętnie składali datki, a fundusz przeznaczony na postawienie pomnika miał już w banku wcale pokaźne konto. Jednakże sprawą, której nie potrafiono rozwikłać aż do dzisiaj, jest rozstrzygnięcie, jakiego rodzaju pomnik ma być wzniesiony dla uczczenia krwi przelanej wspólnie przez hindusów, muzułmanów i sikhów. Trzy wspomniane społeczności, zamiast połączyć się więzami przyjaźni i miłości, znajdują się niejako w stanie wzajemnej wojny, a naród jest w zupełnej rozterce, nie wiedząc, w jaki sposób zużytkować zebrane fundusze.

Inną sprawą, w której mógłbym się przysłużyć Kongresowi, były moje zdolności redagowania uchwał. Przywódcy Kongresu przekonali się, że mam umiejętność zwięzłego formułowania myśli, nabytą w ciągu długiej praktyki prawniczej. Obowiązujący w owym czasie statut Kongresu był odziedziczony po Gokhalem. Zawierał szereg przepisów, stanowiących podstawę funkcjonowania aparatu Kongresu. Z ust samego Gokhalego dowiedziałem się w swoim czasie, jak one powstawały. Obecnie każdy zdawał sobie sprawę z ich niedoskonałości, zwłaszcza że zakres spraw rozpatrywanych przez Kongres ogromnie się rozszerzył. Sprawa ta była podnoszona z roku na rok. Kongres w owym czasie nie miał żadnego aparatu, który funkcjonowałby w przerwach pomiędzy sesjami lub mógł znaleźć zastosowanie przy rozpatrywaniu nowych zagadnień powstających w ciągu roku. Dotychczasowy regulamin przewidywał etaty dla trzech sekretarzy, w rzeczywistości jednak pracował tylko jeden, ale i on nie był pełnoetatowym urzędnikiem. Jakże więc ten jeden człowiek mógł

prowadzić kancelarię Kongresu, myśleć o przyszłości czy też w ciągu bieżącego roku wykonać zobowiązania podjęte przez Kongres w przeszłości?

Każdy rozumiał, że ta sprawa będzie stopniowo nabierała coraz większego znaczenia. Kongres był zbyt ciężką machiną, by mógł obradować nawet nad zagadnieniami o wyłącznie publicznym znaczeniu. Nie była też z góry ograniczona ogólna liczba delegatów na Kongres czy przysługująca każdej prowincji. Toteż uporządkowanie tego dość chaotycznego stanu rzeczy było powszechnie uważane za naglącą potrzebę.

Podjąłem się napisania odpowiedniego regulaminu, ale pod jednym warunkiem. Wiedziałem, że Lokamanja i Deszabandhu byli działaczami otoczonymi największym szacunkiem całego narodu. Postawiłem więc warunek, aby oni obydwaj, jako najgodniejsi reprezentanci ludu, weszli do komisji, która miała się zająć opracowaniem przyszłego regulaminu.

Było jednak oczywiste, że żaden z nich nie będzie rozporządzał dostateczną ilością czasu, by móc osobiście wziąć udział we wspomnianych pracach, wobec czego zaproponowałem, by jakieś inne osobistości obdarzone ich zaufaniem zostały wyznaczone do tego celu i aby Komitet Statutowy wraz ze mną składał się z trzech osób.

Powyższa propozycja została zaakceptowana przez Lokamanję i Deszabandhu, którzy jako kandydatów na zastępców wysunęli Kelkara i I.B. Sena.

Komitet Statutowy nie zebrał się w komplecie ani razu, mieliśmy jednak możność naradzania się w drodze korespondencji i w końcu przedłożyliśmy jednomyślnie uchwalony statut. Z uczuciem pewnej dumy patrzyłem na niego. Uważałem, że gdybyśmy mieli możność bardziej gruntownie zredagować ten statut, sam fakt opracowywania go przyniósłby nam *swaradź.*

Można powiedzieć, że do wzięcia czynnego udziału w politycznej akcji Kongresu przystąpiłem z pełną świadomością ciążącej na mnie odpowiedzialności.

XXXIX. NARODZINY *KHADI*

Nie przypominam sobie, abym widział kiedykolwiek kołowrotek lub ręczny warsztat tkacki, kiedy w 1908 roku opisywałem je w „Hind Swaradź" jako środki, za pomocą których udałoby się zapobiec coraz większej nędzy ogarniającej Indie. W tej książce wyrażałem pogląd, że wszystko,

co może się przyczynić do złagodzenia ubóstwa, w jakim są pogrążone szerokie masy ludowe, jednocześnie pomaga prowadzeniu akcji Swaradź.

Nawet w 1915 roku, kiedy powróciłem do Indii z Afryki Południowej, nie widziałem jeszcze kołowrotka. Dopiero kiedy w Sabarmati został utworzony aśram Satjagraha, zaczęliśmy się posługiwać kilkoma ręcznymi warsztatami tkackimi. Sięgnęliśmy jednak do tego dopiero w ostatecznej potrzebie. Każdy z nas należał właściwie do ludzi uprawiających wolny zawód lub zajmował się handlem, żaden nie był rzemieślnikiem. Potrzebny nam był jakiś specjalista-tkacz, który by nas nauczył tkactwa, zanim zaczęlibyśmy się posługiwać tkackim warsztatem.

Wreszcie znaleźliśmy tkacza, który pochodził z Palanpuru; nie potrafił on jednak wtajemniczyć nas we wszystkie arkana swej sztuki, ale Maganlal Gandhi nie był człowiekiem, który łatwo się zniechęcał. Miał wrodzone zdolności do wszelkiej mechaniki, zdołał więc opanować tkactwo i wkrótce mieliśmy w aśramie coraz to nowych, doskonale wyćwiczonych tkaczy.

Naszym celem było sporządzenie własnymi rękami dostatecznej ilości płótna na przyodzianie wszystkich mieszkańców aśramu. Już przedtem odmówiliśmy używania fabrycznie sporządzonego płótna i wszyscy mieszkańcy aśramu postanowili posługiwać się wyłącznie ręcznie tkanym płótnem i tylko z indyjskiej przędzy.

Wprowadzenie w życie tej zasady dało nam nieskończenie wiele. Pozwoliło dzięki bezpośredniemu kontaktowi poznać życie tkaczy, wydajność ich pracy, sposoby, jakich musieli się chwytać, by otrzymać przędzę, ponadto dowiedzieliśmy się, jak padali oni ofiarami wszelakich oszustw i zadłużali się coraz bardziej.

Nie byliśmy w stanie wyprodukować natychmiast całej ilości niezbędnego płótna, mogliśmy jednak uzupełniać nasze potrzeby, nabywając je od rękodzielników. Gotowej odzieży uszytej z czystej indyjskiej przędzy nie można było jednak tak łatwo dostać u handlujących odzieżą lub u rękodzielników. Cienkie płótno było zazwyczaj sporządzane przez tkaczy z zagranicznej przędzy, gdyż miejscowe fabryki tkackie nie umiały go wyrabiać. Nawet dziś ilość cienkiego płótna wyrabianego w Indiach jest bardzo ograniczona. Z największym trudem udało nam się znaleźć kilku tkaczy, którzy zgodzili się tkać dla nas płótno, pod warunkiem że aśram będzie odbierał od nich wszystko, co wyprodukują. Stając się w ten sposób odbiorcami płótna wyrabianego według naszego wzoru na warsztatach tkackich i polecając je naszym przyjaciołom, staliśmy się jednocześnie niejako dobrowolnymi agentami indyjskich zakładów tkackich, a to z kolei

pozwoliło nam nawiązać kontakt z tymi fabrykami, dowiedzieć się, w jaki sposób są prowadzone i na co się uskarżają.

Stwierdziliśmy, że owe zakłady tkackie dążyły przede wszystkim do tego, by jak najwięcej utkać z przędzy przez nie wyrabianej, a ich współpraca z rękodzielnikami wynikała nie tyle z dobrej woli, ile raczej z konieczności i była jedynie chwilowa.

Płonęliśmy z niecierpliwości, by móc jak najszybciej zacząć tkać z naszej własnej przędzy. Było jednak oczywiste, że zanim się sami na to zdobędziemy, będziemy musieli być nadal zależni od zakładów tkackich. Nie sądziliśmy też, byśmy się mogli przysłużyć krajowi, spełniając nadal rolę agentów indyjskich zakładów przemysłu tkackiego.

Znów mieliśmy mnóstwo trudności do przezwyciężenia. Nie mogliśmy dostać ani warsztatów tkackich, ani znaleźć tkacza, który by nas nauczył tkactwa. Posługiwaliśmy się w aśramie kołami do nawlekania szpul i czółen, nie mając pojęcia, że można było to robić za pomocą kołowrotków.

Pewnego razu Kalidas Dżhaweri znalazł jakąś kobietę, która, jak zapewniał, pokaże nam, jak się pracuje na tkackim warsztacie. Wydelegowaliśmy do niej jednego z członków aśramu, znanego z ogromnej łatwości przyswajania sobie nowych umiejętności. Niestety, nawet on wrócił, nie zdoławszy posiąść tajemnicy tej sztuki.

Czas mijał, a wraz z nim coraz bardziej rosło moje zniecierpliwienie. Każdego człowieka przybywającego przypadkowo do aśramu w odwiedziny nagabywałem o wiadomości związane z ręcznym tkactwem. Okazało się jednak, że kobiety, które się znały na tym, powymierały, a przy życiu została być może gdzieś w zapadłym kącie któraś z nich. Tylko kobieta mogła się czegoś od niej dowiedzieć.

W 1917 roku moi przyjaciele z Gudżaratu zabrali mnie ze sobą do Broach, abym przewodniczył na konferencji poświęconej zagadnieniom oświaty. Poznałem tam niezwykłą kobietę – Gangabehn Madżmundar. Była wdową i miała ogromne zdolności organizacyjne. Nie była zbyt wykształcona w tym znaczeniu, jak to dziś uznajemy, jednak śmiałością swych sądów i zdrowym rozsądkiem górowała nad niejedną kobietą z wyższym wykształceniem. Znana była z tego, że głównym przedmiotem jej zainteresowań była sprawa „niedotykalnych", wśród których poruszała się bez cienia obawy, oddając wiele usług tym upośledzonym warstwom ludności. Była zamożną kobietą, ale wydatki na jej osobiste potrzeby były bardzo skromne. Była mocnej budowy i w swoich wędrówkach obchodziła się bez żadnej eskorty. Przy tym świetnie jeździła konno.

Poznałem ją bliżej podczas konferencji w Godhrze. Opowiedziałem jej o moich kłopotach z czarkhą (kołowrotkiem). Obiecała niezwłocznie rozpocząć energiczne poszukiwania kołowrotka.

XL. NARESZCIE ZNALEZIONY

Po długich, niekończących się wędrówkach po prowincji Gudźarat nareszcie udało się Gangabehn znaleźć kołowrotek w miejscowości Widżapur, położonej w księstwie Baroda.

Dość pokaźna liczba ludzi trudniła się tam kiedyś tkactwem ręcznym uprawianym po domach, porzuciła to jednak dawno temu, a kołowrotki odłożono pomiędzy niepotrzebne rupiecie. Ale znaleźli się chętni, którzy oświadczyli, że są gotowi w każdej chwili podjąć na nowo dawne zajęcie, jeżeli ktoś zapewni im stałe dostarczanie wrzecion i będzie kupował utkaną przez nich przędzę.

Gangabehn zakomunikowała mi tę radosną wiadomość. Zaopatrywanie we wrzeciona okazało się dość skomplikowanym zadaniem. Kiedy wspomniałem o tym nieżyjącemu już obecnie Umarowi Sobaniemu, ten natychmiast rozwiązał problem, przysyłając mi ze swojej fabryki tkackiej wystarczającą liczbę wrzecion. Wysłałem je niezwłocznie do Gangabehn i wkrótce przędza zaczęła napływać w takich ilościach, że po prostu nie wiedzieliśmy, co z nią robić.

Wprawdzie szlachetna gotowość Umara Sobaniego przyjścia nam z pomocą była bardzo wielka, ale nie można było korzystać z niej bez końca. Ciągłe otrzymywanie od niego wrzecion krępowało mnie, a posługiwanie się fabrycznymi wydawało mi się czymś niewłaściwym. Jeżeli ktoś używał wrzecion fabrycznych, czemu wzbraniał się przed użyciem fabrycznej przędzy? Nasi przodkowie z pewnością nie byli zaopatrywani we wrzeciona przez fabryki… W jaki sposób sporządzali je sami?

Zastanawiając się bez przerwy nad tym, zaproponowałem Gangabehn, by postarała się znaleźć jakiegoś rozczesywacza lnu, który mógłby nam dostarczać wrzecion. Zacna kobieta podjęła się tego zadania, zachowując całkowitą tajemnicę. Wreszcie udało się jej znaleźć takiego człowieka, który zgodził się czesać dla nas bawełnę, przy czym zażądał trzydziestu pięciu rupii – a może i więcej – miesięcznie.

Żadna cena nie była dla mnie wtedy zbyt wygórowana. Gangabehn nauczyła kilku młodych ludzi prząść przędzę z wyczesanej bawełny. Zwróciłem

się do Bombaju z prośbą o dostarczenie nam bawełny. Yashvantprasad Desai niezwłocznie pośpieszył z odpowiedzią. Założone przez Gangabehn przedsiębiorstwo prosperowało ponad wszelkie oczekiwania. Potrafiła znaleźć tkaczy, którzy tkali z przędzy przygotowanej w Widżapurze i wkrótce *khadi* czyli płótno utkane w tej miejscowości, zyskało ogromny rozgłos.

Podczas gdy Widżapur był widownią wyżej opisanych wydarzeń, kołowrotek zdobywał dla siebie coraz większe uznanie w aśramie. Maganlal Gandhi w całej pełni wykazał swe niezwykłe uzdolnienia w zakresie techniki i znacznie udoskonalił jego mechanizm, a w aśramie zaczęto wyrabiać kołowrotki i niezbędne do nich akcesoria. Pierwsza sztuka *khadi* wyprodukowana w aśramie kosztowała siedemnaście ann za jard. Nie wahałem się namawiać moich przyjaciół, by kupowali bardzo jeszcze szorstkie płótno po tej cenie, którą oni zresztą chętnie płacili.

W Bombaju byłem zmuszony położyć się do łóżka, czułem się jednak dość dobrze, by kontynuować poszukiwania kołowrotka. Wreszcie udało mi się znaleźć dwóch tkaczy. Kazali sobie zapłacić rupię od każdego motka przędzy, czyli za dwadzieścia osiem tol[172] prawie trzy czwarte funta. Nie znałem się wtedy na kalkulacji cen za *khadi.* Zdawało mi się, że warto zapłacić każdą cenę, byle zapewnić sobie wyrób ręcznie utkanej przędzy. Kiedy porównałem ceny płacone przeze mnie z tymi, które płacono w Widżapurze, przekonałem się, że mnie oszukiwano. Tkacze nie chcieli się zgodzić na zmniejszenie wymaganej przez nich płacy. Byłem zmuszony zrezygnować z ich współpracy, ale oni sami w dalszym ciągu wykonywali swoje czynności.

Nauczyli tkactwa *śrimati* Avantikabai, Ramibai Kamdar, owdowiałą matkę Śankarlala Bankera oraz *śrimati* Vasumatibehn.

W moim pokoju zaczął turkotać kołowrotek i oto bez przesady mogę powiedzieć, że jego miłe turkotanie w dużym stopniu przyczyniło się do mego wyzdrowienia. Gotów jestem przyznać, że skuteczność tego środka miała raczej psychologiczne znaczenie aniżeli czysto fizyczne – ale to świadczyłoby o tym, jak silnie fizyczne czynniki reagują w człowieku na bodźce o charakterze psychicznym. I ja też usiłowałem przyłożyć rękę do pracy przy kołowrotku, ale na razie niewiele z tego wyszło.

W Bombaju znów stanęliśmy wobec dawnego problemu, a mianowicie: w jaki sposób zapewnić sobie otrzymywanie ręcznie zrobionych wrzecion. Pewien

172 Tola – indyjska miara wagi (11,7 g).

wyczesywacz lnu, pobrzękując na swym łuku, codziennie przechodził obok domu Rewanśankara. Posłałem po niego i dowiedziałem się, że on wyczesuje bawełnę używaną do wypychania materaców. Zgodził się na wyczesywanie jej do wrzecion, zażądał jednak wygórowanej ceny, którą mu w końcu zapłaciłem. Sporządzoną w ten sposób przędzę oddałem do dyspozycji niektórym swym przyjaciołom – wisznuitom, którzy zrobili z niej festony dla *pavitra ekadaszi.*

Sziwdżi otworzył w Bombaju szkołę tkactwa. Wszystkie te poczynania pociągały za sobą znaczne koszty, były jednak dobrowolnie pokrywane przez patriotycznych przyjaciół, ludzi kochających swą ojczyznę i wierzących w celowość podjętej akcji *khadi.* Moim skromnym zdaniem pieniądze wydane na ten cel nie poszły na marne. Wzbogaciły one nasze doświadczenia i pokazały możliwości, jakie tkwią w posługiwaniu się ręcznym tkactwem.

Ogarnęła mnie niepowstrzymana chęć zrobienia dla siebie odzienia wyłącznie z *khadi*. Strój na biodra – *dhoti*, które miałem na sobie, był jeszcze z fabrycznego indyjskiego płótna. Zwyczajne płótno tkane w naszym aśramie i w Widżapurze miało zaledwie trzydzieści cali szerokości. Zawiadomiłem Gangabehn, że jeżeli nie będzie mogła dostarczyć mi w ciągu miesiąca *khadi* szerokości czterdziestu pięciu cali, będę zmuszony użyć na *dhoti* wąskiego i zwykłego płótna. To ultimatum zrobiło na niej zapewne duże wrażenie, gdyż potrafiła podołać zadaniu i zanim minął miesiąc, przysłała mi takie, jak sobie życzyłem, czterdziestopięciocalowe płótno. Wybawiło mnie to z dość kłopotliwej sytuacji. W tym samym czasie Lakszmidas sprowadził z Lahti do aśramu tkacza Ramdźiego wraz z żoną Gangabehn i dostał *dhoti* z *khadi* zrobionego w aśramie. Rola, jaką to małżeństwo odegrało przy wyrobie *khadi*, była nie do przecenienia. Nauczyli oni sztuki tkackiej wielu ludzi z Gudźaratu oraz z innych miejscowości. Widok Gangabehn przy warsztacie tkackim miał w sobie coś nad wyraz podniosłego. Kiedy ta niewykształcona, a przecież niezwykle rozumna kobieta siedziała pochylona nad swoim warsztatem, pochłaniało ją to tak dalece, że trudno było skierować jej uwagę na coś innego, a jeszcze trudniej było sprawić, by oderwała od niego swe oczy.

XLI. POUCZAJĄCY DIALOG

Od chwili rozpoczęcia akcji na rzecz ręcznego tkactwa, czyli – jak ją wówczas nazwano – Swadeszi, spotkaliśmy się z ostrą krytyką ze strony właścicieli fabrycznych zakładów tkackich. Umar Sobani, który

sam był właścicielem dobrze prosperujących zakładów włókienniczych, nie tylko użyczał mi wiele ze swojej wiedzy i doświadczenia, ale również informował o tym, jakiego zdania o całym naszym przedsięwzięciu są inni właściciele fabryk. Argumentacja jednego z nich zrobiła na nim duże wrażenie. Sobani przynaglał mnie do rozmowy z nim. Zgodziłem się, Sobani zaaranżował spotkanie. Rozmowę rozpoczął ów właściciel fabryki.

– Czy wie pan o tym, że akcja Swadeszi istniała już dawniej?

– Owszem, wiem – odpowiedziałem.

– A czy jest panu wiadome, że w owych dniach Podziału my, właściciele fabryk, w całej pełni wykorzystaliśmy akcję Swadeszi? A kiedy doszła do kulminacyjnego punktu, podnieśliśmy ceny płótna, a nawet robiliśmy znacznie gorsze rzeczy.

– Tak. Słyszałem o tym i sprawiło mi to wiele bólu.

– Rozumiem pański ból, ale nie widzę podstaw do niego. Nie prowadzimy naszych przedsiębiorstw z pobudek filantropijnych. Chodzi nam o zarobek i o to, aby nasi udziałowcy byli zadowoleni. Cena każdego artykułu jest uzależniona od popytu. Czy możemy wpłynąć na zmianę reguł dyktowanych przez prawo kupna i sprzedaży? Bengalczycy powinni byli wiedzieć, że ich agitacja doprowadzi do podniesienia cen na płótno wobec wzmożonego popytu na nie.

W tym miejscu przerwałem mu:

– Podobnie jak ja, Bengalczycy są ludźmi ufnymi. Całą mocą swej wiary wierzyli, że właściciele fabryk nie będą aż tak bezwzględnymi egoistami, pozbawionymi uczuć patriotycznych, by chcieli zdradzić swą ojczyznę w tak ciężkiej dla niej godzinie, by mogli posunąć się aż tak daleko, że sprzedając płótno obcego pochodzenia, będą okłamywali, iż jest ono naszym płótnem – *khadi Swadeszi*.

– Znam pańskie usposobienie, skłonne do największej ufności – odpowiedział mój rozmówca – i dlatego pozwoliłem sobie prosić pana o przybycie na tę rozmowę, chcąc przestrzec go przed popełnieniem błędu, jaki w swoim czasie popełnili ci prostoduszni Bengalczycy.

Mówiąc to, fabrykant dał znak swemu urzędnikowi stojącemu tuż obok, by zademonstrował próbki towaru produkowanego w jego fabryce. Wskazując na nie, dodał:

– Proszę się im przyjrzeć. Są to ostatnie gatunki wyrabiane w naszych zakładach włókienniczych. Odpowiadają temu, co jest powszechnie poszukiwane na rynku. Wyrabiamy je z odpadków i – oczywiście – jest to tani towar. Posyłamy go daleko na północ, aż w doliny Himalajów. Mamy sieć punktów sprzedaży rozsianą po całym kraju, nawet tam, dokąd nigdy nie dochodzi ani pański głos,

ani głos pańskich emisariuszy. Powinno to przekonać go, że nie potrzebujemy powiększać liczby naszych agentów.

Z drugiej strony powinien pan wiedzieć, że lokalna produkcja płótna z trudem zaspokaja nasze zapotrzebowanie, czyli że zagadnienie *swadeszi* w ogromnym stopniu jest uzależnione od sprawy produkcji. Z chwilą kiedy będziemy mogli w dostatecznym stopniu podnieść naszą produkcję oraz odpowiednio udoskonalić jakość naszych wyrobów, import zagranicznych towarów automatycznie ustanie. Ja osobiście radziłbym panu nie kontynuować akcji w obecnym kierunku, lecz całą uwagę skierować na budowanie nowych fabryk. Potrzebujemy zwiększenia produkcji, a nie propagandy na rzecz zwiększenia zapotrzebowania.

– W takim razie udzieli nam pan zapewne swego błogosławieństwa, gdyż właśnie wstąpiłem na tę drogę? – zapytałem.

– Czyżby to było możliwe? – zawołał nieco zdziwiony. – A może ma pan zamiar budować nowe zakłady tkackie? W takim razie zasługuje pan na to, by mu złożyć gratulacje.

– Chodzi mi o coś innego – odrzekłem – podjąłem szeroką akcję na rzecz odbudowania rękodzielnictwa tkackiego.

– A cóż to jest? – zapytał, coraz bardziej tracąc pewność siebie.

Opowiedziałem wszystko o kołowrotku i o tym, jak długo go szukałem, po czym dodałem:

– Zgadzam się z panem najzupełniej. Nie ma sensu, abym się stał agentem fabryk włókienniczych. Przysporzyłoby to krajowi więcej szkody niż pożytku. Wiele czasu jeszcze minie, zanim nasze fabryki nie będą potrzebowały oglądać się za nabywcami. Moje zadanie będzie polegało – i obecnie polega – na tym, aby zorganizować produkcję samodziałowego płótna i znaleźć sposoby na zużycie wyprodukowanego *khadi*. W obecnej chwili cała moja uwaga jest skoncentrowana na produkcji *khadi*. Obstaję przy tej formie *swadeszi*, gdyż dzięki niej mogę zapewnić pracę umierającym z głodu bezrobotnym kobietom indyjskim. Moim celem jest zaopatrzenie tych kobiet w przędzę i przyodzianie ludności w Indiach w *khadi* utkane przez te kobiety. Nie wiem, jak się ta akcja rozwinie w przyszłości, obecnie jest ona zaledwie w zalążku. Wierzę jednak w jej powodzenie i wiem, że w żadnym razie nie może ona przynieść szkody. Przeciwnie: jeżeli bodaj nieznacznie przyczyni się do zwiększenia krajowej produkcji płótna – już będzie to stanowiło wielką wygraną. Zechce więc pan przyznać, że prowadzona przeze mnie akcja jest pozbawiona tych ujemnych cech, o których pan wspomniał.

Na te słowa otrzymałem następującą odpowiedź:

– Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli organizując swoją akcję, ma pan na celu uzyskanie dodatkowej produkcji. Czy jednak dziś, w wieku tak udoskonalonej mechaniki, kołowrotek potrafi wywalczyć dla siebie należne miejsce? – to inna sprawa. Ja ze swojej strony życzę panu wszelkiego powodzenia.

XLII. FALA PRZYBIERA!

Nie powinienem poświęcić ani jednego rozdziału więcej na opisywanie dalszego postępu akcji dotyczącej *khadi*. Przekroczyłbym ponadto rozmiary tych rozdziałów, gdybym chciał szczegółowo opowiedzieć dzieje przeróżnych odmian mojej działalności rozgrywającej się na forum publicznym. Nie wolno mi ulec tej pokusie, chyba że omawiany przeze mnie temat sam wymagałby tego.

Spisując te rozdziały, pragnąłem jedynie pokazać, jak pewne zagadnienia zjawiały się przede mną zupełnie nieoczekiwanie w trakcie moich doświadczeń na drodze poszukiwania Prawdy.

Powrócę więc do opisu dziejów akcji tak zwanej odmowy współdziałania. W tym samym czasie, kiedy podjęta przez braci Ali potężna agitacja w sprawie Kalifatu doszła do szczytu, odbywałem na ten temat długie dyskusje z nieżyjącym już dziś Maulaną Abdulem Barim oraz z innymi ulemami (ludźmi wykształconymi). Chodziło mi głównie o to, jak daleko gotowi są pójść muzułmanie na drodze do podtrzymania akcji nieposługiwania się gwałtem w walce politycznej. W końcu wszyscy zgodzili się z tym, że islam nie zabrania swoim wyznawcom być zwolennikami polityki niesprzeciwiania się złu, pod warunkiem że ci, którzy przysięgli jej wierność, dochowają jej.

W końcu rezolucja w sprawie odmowy współdziałania została zgłoszona na konferencji w sprawie Kalifatu i po długich rozważaniach uchwalona. Miałem jeszcze żywo w pamięci, jak kiedyś w Ahmedabadzie komisja przez całą noc obradowała nad tą sprawą. Nieżyjący już obecnie Hakim Saheb z początku odniósł się sceptycznie do możliwości uniknięcia jakiejkolwiek przemocy przy wprowadzaniu w życie akcji odmowy współdziałania. Jednak po przezwyciężeniu sceptycyzmu całym sercem poświęcił się tej akcji i oddał jej bezcenne usługi.

Rezolucja dotycząca odmowy współpracy została zgłoszona przeze mnie na konferencji politycznej w Gudżaracie, która odbyła się nieco później.

Przedwstępne zastrzeżenia zgłoszone przez opozycję polegały głównie na tym, że uchwalanie rezolucji przed zwołaniem Kongresu nie może należeć do kompetencji okręgowej konferencji.

Sprzeciwiłem się temu poglądowi, twierdząc, że podobne zastrzeżenie mogłoby znaleźć zastosowanie jedynie w przypadku, gdyby chodziło o akcję wsteczną, wobec tego jednak, że chodzi tu o działanie na przyszłość, organizacjom podporządkowanym nie tylko przysługuje jak najszerzej pojęte prawo inicjatywy, lecz ponadto ich obowiązkiem jest wydawać miarodajne orzeczenia, jeżeli organizacje są pewne, że są to orzeczenia słuszne, i jeżeli mają do nich zaufanie. Nie ma potrzeby uciekać się – jak twierdziłem – do żadnego pozwolenia, by podnosić prestiż bratniej organizacji, zwłaszcza że ona czyni to na własne ryzyko.

Następnie obradowano nad dodatnimi stronami tego wniosku, a chociaż dyskusja była dość gwałtowna, przebieg obrad cechowało jakieś „łagodne umiarkowanie".

Rezolucja została wreszcie uchwalona przytłaczającą większością głosów, a jej przyjęcie jest w dużym stopniu zasługą dwóch wybitnych działaczy: Vallabhbhai i przewodniczącego Abbasa Tjabdźiego, który nie ukrywał swoich sympatii dla rezolucji na rzecz akcji odmowy współdziałania.

Komisja do spraw ogólnoindyjskiego Kongresu zwołała we wrześniu 1920 roku specjalne obrady Kongresu w Kalkucie dla rozważenia tego zagadnienia. Poczyniono w tym celu przygotowania na szeroką skalę. Lala Ladżpat Rai[173] został obrany jego przewodniczącym. Specjalne pociągi zwożące członków Kongresu i Kalifatu podążały z Bombaju do Kalkuty, gdzie zebrały się nieprawdopodobne tłumy delegatów i przybyłych na Kongres gości.

Na prośbę Maulany Szaukata Alego przygotowałem w pociągu szkic rezolucji dotyczący odmowy współdziałania. Dotychczas w miarę możności starałem się unikać w redagowanych przeze mnie rezolucjach posługiwania się określeniem „bez użycia gwałtu", natomiast w swoich przemówieniach stale go używałem. Moje słownictwo dotyczące tego przedmiotu nie wyszło jeszcze z okresu kształtowania się.

Zdawałem sobie sprawę, że nie potrafię wyrazić swych myśli przed audytorium złożonym z samych muzułmanów, określając w sanskrycie zaledwie

173 Ladżpat Rai (1865–1928) – wybitny lewicowy działacz Kongresu. Pochodził z Pendźabu, występował na rzecz politycznej samodzielności Indii, wzywając do walki z panowaniem brytyjskim. Wielokrotnie więziony za swą działalność.

w przybliżeniu pojęcie nieposługiwania się przemocą. Zwróciłem się więc do Maulany Abula Kalama Azada[174], by podyktował mi kilka synonimów. Polecił użycie wyrazu *ba-aman*, a dla określenia „odmowy współdziałania" radził posłużyć się krótkim zdaniem: *tark-i-mavalat*.

Podczas gdy byłem jeszcze całkowicie pochłonięty wynajdywaniem odpowiedników w językach hindi, gudźarati i urdu dla wyrażenia pojęcia „odmowy współdziałania", polecono mi zredagować rezolucję, która w sprawie odmowy współdziałania miała być przedłożona Kongresowi. W oryginale szkicu opuściłem słowa „bez użycia gwałtu". Wręczyłem projekt owej rezolucji Maulanie Szaukatowi Aliemu – który odbywał podróż ze mną w tym samym przedziale – nie zwróciwszy uwagi na to opuszczenie w tekście. W nocy przypomniałem sobie popełnioną przeze mnie pomyłkę. Z rana wysłałem Mahadeva z listem, w którym prosiłem o poprawienie błędu przed przekazaniem tekstu prasie. Miałem jednak wrażenie, że został on wydrukowany, zanim poprawiono błąd. Komisja do rozpatrywania wniosków miała się zebrać tego samego wieczoru, musiałem więc poczynić niezbędne poprawki na już wydrukowanym tekście. Później dowiedziałem się, że wynikłyby ogromne trudności, gdybym nie był na czas gotów z moim brulionem rezolucji.

Niemniej sytuacja, w jakiej się znalazłem, była nad wyraz żałosna. Nie wiedziałem, kto będzie głosował za przyjęciem rezolucji, a kto przeciwko niej. Nie miałem również pojęcia, jakie stanowisko zajmie Laladżi. Widziałem jedynie imponujący zastęp zasłużonych działaczy weteranów zgromadzonych dla stoczenia boju w Kalkucie, a wśród nich znajdowali się: doktor Besant, pandit Malaviyadżi, Widżajaraghawaczari, pandit Motilaldżi i Deszabandhu.

Moja rezolucja wzywająca do odmowy współdziałania domagała się jedynie naprawienia krzywd w sprawie Pendźabu i Kalifatu. Nie zadowalało to jednak Widżajaraghawaczariego, który wysuwał następujące kontrargumenty:

– Jeżeli ma być podjęta akcja odmowy współdziałania, dlaczego ma ona dotyczyć wyłącznie poszczególnych wyrządzonych nam krzywd i popełnionych błędów? To, że nie została podjęta akcja Swaradź, jest największym błędem, jaki

174 Abul Kalam Azad urodzony w Mekce w 1889 r. Jeden z najwybitniejszych działaczy muzułmańskich w Indiach. Podczas pierwszej wojny światowej rozpoczyna działalność publicystyczną zwróconą przeciwko panowaniu brytyjskiemu. Uczestniczył w ruchu Kalifatu. Od lat 20. był aktywnym działaczem Kongresu; dwukrotnym jego przewodniczącym. Od 1947 r. minister oświaty w rządzie Indii.

popełniono wobec kraju. Odmowa współdziałania powinna była być skierowana przeciwko temu!

Pandit Motilaldżi również domagał się, by rezolucja zawierała zapowiedź podjęcia akcji Swaradź. Chętnie przystałem na to i włączyłem postulaty Swaradź do mojej rezolucji, którą przyjęto po wyczerpującej, poważnej, a niekiedy nawet burzliwej dyskusji.

Motilaldżi jako pierwszy przyłączył się do naszego ruchu. Przypominam sobie nad wyraz przyjemne dyskusje, jakie odbywałem z nim na temat tej rezolucji. Motilaldżi zaproponował pewne zmiany w układzie zdań, na które się zgodziłem, i podjął się zadania zjednania Deszabandhu dla naszej kampanii.

W głębi serca Deszabandhu był nawet przyjaźnie do niej usposobiony, obawiał się jedynie, czy nasz lud potrafi wykonać to, co przewiduje jej program. Dopiero podczas Kongresu w Nagpurze on i Laladżi przyjęli ją bez zastrzeżeń.

Zwłaszcza głęboko odczułem podczas specjalnej sesji stratę po śmierci Lokamanji. Jestem do dziś przekonany, że gdyby Lokamanja żył, udzieliłby mi swego błogosławieństwa przy tej sposobności – ale nawet gdyby był odmiennego zdania i sprzeciwiał się naszemu ruchowi, potrafiłbym uszanować jego opozycję i czerpałbym z niej naukę dla siebie.

W naszych poglądach zawsze zachodziły różnice, nigdy jednak nie doprowadzały do jakichkolwiek zgrzytów między nami. Lokamanja pozwalał mi żywić przekonanie, że łączą nas bardzo silne więzy. Nawet teraz, gdy kreślę te słowa, przed moimi oczyma żywo stają wszystkie okoliczności towarzyszące jego śmierci. Było już około północy, kiedy Patwardhan, który w owym czasie współpracował ze mną, powiadomił mnie telefonicznie o jego zgonie. Znajdowałem się wtedy w gronie moich przyjaciół. Bezwiednie wyrwało mi się z ust: „Odszedł człowiek, który był moją najmocniejszą ostoją!".

Kampania odmowy współdziałania była wtedy w pełnym toku, a ja byłem spragniony jego słów zachęcających i dodających mi odwagi. Trudno powiedzieć, jakie stanowisko zająłby Lokamanja w ostatniej fazie kampanii odmowy współdziałania. Jedno jest pewne: próżnię, jaką pozostawił po sobie, głęboko odczuli wszyscy uczestnicy Kongresu w Kalkucie. Każdy z nas w tej przełomowej godzinie dziejów naszego narodu czuł, jak bardzo brak nam jego światłych rad.

XLIII. W NAGPURZE

Uchwały powzięte na specjalnej sesji Kongresu w Kalkucie musiały uzyskać zatwierdzenie na dorocznej sesji w Nagpurze. Tu również, podobnie jak w Kalkucie, był ogromny zjazd delegatów i gości. Liczba delegatów wysyłanych na Kongres nie była wówczas jeszcze ograniczona. Rezultat był ten, że – o ile sobie dobrze przypominam – tym razem ich liczba sięgała prawie czterystu tysięcy.

Laladżi nalegał na wprowadzenie nieznacznej poprawki do punktu, w którym była mowa o bojkocie szkół, na co się zgodziłem. Tego samego rodzaju poprawki zostały wniesione na żądanie Deszabandhu, po czym rezolucja dotycząca „odmowy współdziałania" została jednogłośnie przyjęta.

Na tej samej sesji miano również uchwalić rezolucję dotyczącą rewizji statutu Kongresu. Projekt wypracowany przez podkomisję został zgłoszony w Kalkucie na specjalnym posiedzeniu. Całe zagadnienie poddane zostało skrupulatnemu rozważeniu. W Nagpurze, gdzie sprawa ta miała być ostatecznie rozstrzygnięta, przewodniczącym obrad był C. Widżajaraghawaczari. Komisja Statutowa przyjęła całość projektu z jedną poważną poprawką. W moim projekcie statutu liczba delegatów miała – o ile sobie przypominam – wynosić tysiąc pięćset, a Komisja Statutowa ustaliła ją na sześć tysięcy. W moim przekonaniu poprawka została niepotrzebnie wprowadzona, gdyż doświadczenie ubiegłych lat przemawiało na korzyść mojego stanowiska. Uważałem za absolutnie błędny pogląd, jakoby większa liczba delegatów mogła w jakikolwiek sposób być pomocna Kongresowi w jego pracach lub że zachowanie tego warunku jest zgodne z postulatami demokracji. Tysiąc pięćset delegatów szczerze oddanych sprawie ludu, rozsądnych i prawych może pewnego dnia odegrać rolę bardziej pewnych obrońców demokracji aniżeli sześć tysięcy nieodpowiedzialnych ludzi, wybranych w nie wiadomo jaki sposób.

By skutecznie bronić demokracji, lud musi mieć głębokie poczucie niezawisłości, godności własnej i temu podobne cechy oraz powinien obstawać przy tym, że na swoich przedstawicieli obiera jedynie tych, którzy na to zasługują. Komisja Statutowa, ulegając sugestii dużych liczb, chciała pójść nawet dalej i nie ograniczać się do sześciu tysięcy delegatów. Wyznaczenie tej liczby było więc także wynikiem pewnego kompromisu.

Zagadnienie celu, jaki stał przed Kongresem, było tematem niezmiernie ożywionej dyskusji. W statucie, stanowiącym rodzaj konstytucji dla Kongresu,

a proponowanym przeze mnie, ostatecznym celem Kongresu miało być osiągnięcie *swaradź*, czyli niezawisłości – o ile to możliwe – w ramach Imperium Brytyjskiego i poza nim, jeżeli to okazałoby się konieczne.

Pewna część delegatów na Kongres pragnęła zamknąć akcję Swaradź jedynie w ramach Imperium. Ten pogląd był popierany przez pandita Malaviyadżiego i Jinnaha. Nie potrafili oni jednak zebrać większej liczby głosów. Projekt wspomnianej konstytucji przewidywał, iż środki, za pomocą których miało się osiągnąć te cele, powinny były być pokojowe i nie mogły być sprzeczne z prawem. Ten warunek również spotkał się ze sprzeciwem, gdyż rozległy się głosy, iż nie powinno się stawiać zastrzeżeń, gdy chodzi o środki zmierzające do osiągnięcia pożądanego celu.

Kongres po wyczerpującej i szczerze prowadzonej dyskusji uchwalił jednak rezolucję w jej pierwotnym brzmieniu. Jestem przeświadczony, że gdyby wspomniany statut był wykonywany uczciwie, rozumnie i z dużym zapałem, mógłby się stać skutecznym instrumentem uświadomienia szerokich mas, a sama jego realizacja mogłaby nam przynieść *swaradź* odzyskanie niezawisłości.

Nie sądzę jednak, by to miejsce nadawało się do dyskusji na ten temat.

Kongres uchwalił rezolucje dotyczące jedności hindusko-muzułmańskiej, zniesienia „niedotykalności", a także produkcji samodziałowego płótna – *khadi*; hinduscy członkowie Kongresu zobowiązali się do podjęcia wśród hindusów akcji na rzecz zlikwidowania „niedotykalnych". Ponadto Kongres postanowił utrzymać za pośrednictwem akcji dotyczącej *khadi* ożywione stosunki ze wszystkimi prowincjami dotkniętymi klęską głodu. Rozszerzenie akcji odmowy współdziałania na rzecz sprawy Kalifatu było samo przez się dużym i realnym krokiem naprzód zrobionym przez Kongres na drodze do zbudowania jedności hindusko-muzułmańskiej.

Oto nadszedł czas, kiedy muszę zakończyć spisywanie tych rozdziałów. Moje życie było pod pewnym względem tak wystawione na widok publiczny, że nie ma w nim zapewne takiego momentu, który nie byłby powszechnie znany. Poza tym od 1921 roku cała moja działalność była tak blisko związana z przywódcami Kongresu, że nie mógłbym chyba opisać żadnego epizodu z mojego życia, nie wspominając o łączących mnie z nimi stosunkach. I chociaż nie ma już wśród nas ani Śraddhanandźiego, ani Deszabandhu, ani Hakima Saheba czy Laladżiego, pozostała jeszcze na szczęście przy życiu cała gromada innych zasłużonych weteranów, działaczy Kongresu, którzy nadal z nami współpracują.

Dzieje Kongresu, od czasu wielkich przemian, o których tu pisałem, toczą się nadal, a wszystkie moje najdonioślejsze poszukiwania i doświadczenia, zdobyte w ciągu siedmiu lat, dokonały się za pośrednictwem Kongresu. Dlatego też chcąc opisywać je w dalszym ciągu, nie mógłbym uniknąć powracania raz po raz do więzów łączących mnie z czołowymi działaczami Kongresu. Nie chciałbym jednak pod żadnym warunkiem czynić tego obecnie, uważając to za niewłaściwe. Muszę w końcu stwierdzić, że wnioski, jakie mi nasuwają moje obecne doświadczenia, nie mogą uchodzić za ostateczne i dlatego wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest raczej skończyć na tym moją opowieść.

Moje pióro niemal instynktownie nie chce mi służyć dłużej.

Rozstanie się z czytelnikami nie przychodzi mi bez bólu. Przykładam bowiem wielką wagę do osiągniętych przeze mnie doświadczeń. Nie jestem pewien, czy potrafiłem je należycie uzasadnić, mogę jednak z czystym sumieniem oświadczyć, że nie szczędziłem trudu, by móc dać opowieść zgodną z prawdą. Mój największy wysiłek był skierowany na takie przedstawienie Prawdy, jak ja ją rozumiem, i wskazanie dróg, jakie mnie do niej przywiodły.

Praca nad spisywaniem tej opowieści dała mi nieskończenie wiele wewnętrznego spokoju, albowiem nieustannie przyświecała mi najżarliwsza wiara, że moje słowa pozwolą uwierzyć w Prawdę i ahimsę tym, którzy do tego dążą.

Jestem jak najgłębiej przekonany, że nie ma innego Boga ponad Prawdę. Jeżeli każda kartka tej książki nie przemawiałaby do czytelnika, że jedynym sposobem poznania Prawdy jest ahimsa, wtedy musiałbym uznać całą tę pisaninę za daremny wysiłek. Ale nawet gdyby ten mój wysiłek okazał się daremny, niech czytelnicy wiedzą, że winę za to ponosi nieudolna forma, a nie wielkie zasady, którym chciałem dać wyraz.

Zresztą jakkolwiek szczere były wszystkie moje usiłowania osiągnięcia ahimsy, z pewnością nie były one wolne od błędów i niedoskonałości.

Te niewielkie, zaledwie przelotne przebłyski Prawdy, jakie dane mi było poznać, nie są w stanie dać wyobrażenia o niedającym się wyrazić blasku, który bił od niej, a jest po tysiąckroć razy potężniejszy od promieni słońca, oglądanego przez nas codziennie.

To, co udało mi się pochwycić, było zaledwie słabiutkim promykiem potężnej światłości. Mogę jednak – po wszystkich moich poszukiwaniach i doświadczeniach – powiedzieć z całą pewnością, że całkowite poznanie Prawdy jest możliwe jedynie po całkowitym osiągnięciu ahimsy.

By stanąć twarzą w twarz z Prawdą – wszechobecną i wszechprzekonującą – trzeba nosić w sobie miłość dla najmarniejszego stworzenia żyjącego na świecie. Dla człowieka, który do tego dąży, żadna dziedzina naszego życia nie może być obca. Oto dlaczego moja wiara w Prawdę popchnęła mnie w kierunku polityki. Bez najmniejszego wahania, a przecież z całą skromnością mogę powiedzieć, że ci, co twierdzą, jakoby religia nie miała nic wspólnego z polityką, nie wiedzą, czym jest religia.

Nie sposób wczuć się w duszę każdej żyjącej na świecie istoty bez samooczyszczenia. Bez niego przestrzeganie reguł ahimsy musi pozostać czczym snem. Człowiek, którego serce nie jest czyste, nigdy nie będzie zdolny do poznania Wszechmogącego. Oczyszczenie winno zatem oznaczać zachowanie czystości na wszystkich ścieżkach ducha, a że udziela się ono z łatwością innym, więc też indywidualne samooczyszczenie w sposób nieunikniony doprowadza do tego samego całe otoczenie.

Droga do tego wiodąca jest trudna i stroma. By osiągnąć stan całkowitego oczyszczenia, trzeba osiągnąć je również w myślach, w mowie, w czynach, trzeba się wznieść ponad zwalczające się nawzajem nurty miłości i nienawiści, przywiązania i odrazy.

Wiem, że nie osiągnąłem jeszcze tej potrójnej czystości, mimo iż nie przestaję dążyć do niej. Oto dlaczego pochwały tego świata nie robią na mnie żadnego wrażenia, przeciwnie: często sprawiają mi przykrość.

Przezwyciężenie utajonych namiętności wydaje mi się niekiedy czymś znacznie trudniejszym aniżeli podbój świata za pomocą oręża.

Od czasu mojego powrotu do Indii raz po raz musiałem przezwyciężać drzemiące we mnie namiętności. Świadomość tego onieśmielała mnie, ale nie poddawałem się im.

Doświadczenia i osiągnięcia zdobyte na tej drodze podtrzymywały mnie na duchu i sprawiały mi wiele radości. Wiem jednak, że wciąż mam jeszcze przed sobą pełną trudu drogę do przebycia. Muszę sprowadzić siebie samego do zera. Dopóki człowiek z własnej woli sam nie zrówna się z innymi bratnimi mu istotami, nie ma dla niego zbawienia. Ahimsa jest najdalej posuniętą granicą pokory.

Żegnając na razie – a być może na zawsze – mego czytelnika, proszę go, by zechciał wraz ze mną wznieść modły do Boga Prawdy, aby zesłał na mnie łaskę ahimsy w moich myślach, słowach i czynach.

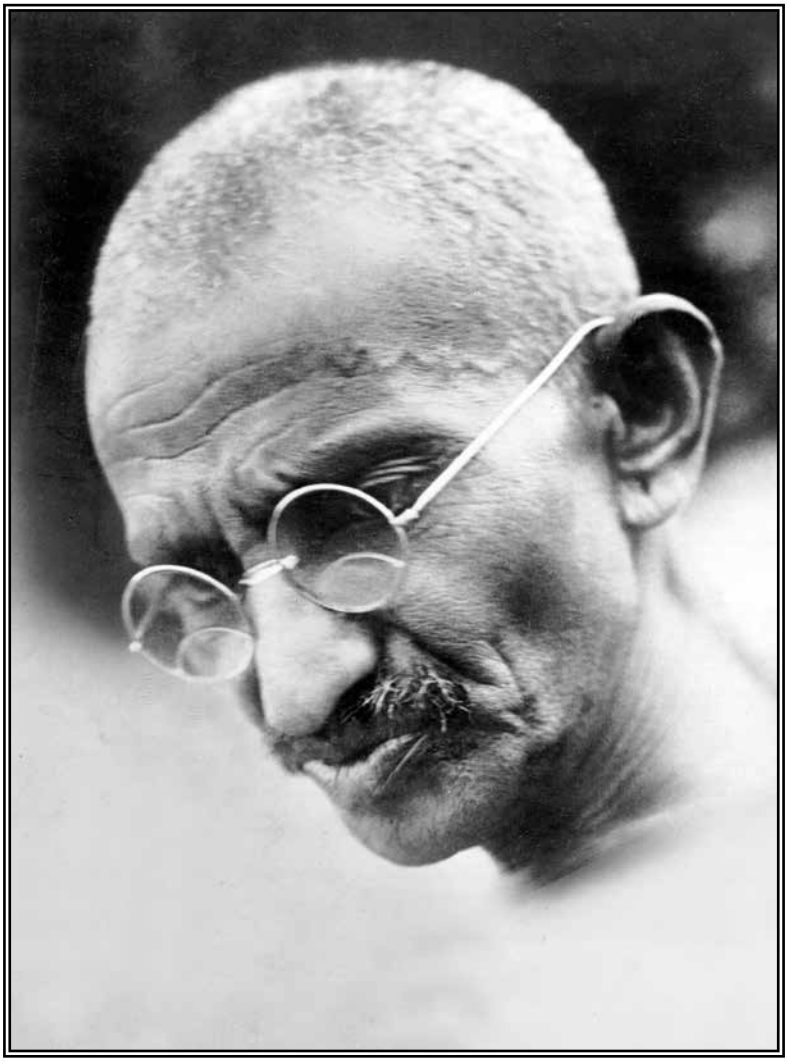

SPIS TREŚCI

	PRZEDMOWA	7
	CZĘŚĆ I	13
I.	NARODZINY I POKREWIEŃSTWA	15
II.	DZIECIŃSTWO	18
III.	MAŁŻEŃSTWO DZIECIĘCE	20
IV.	ZABAWA W „MAŁŻONKA”	23
V.	W LICEUM	26
VI.	TRAGEDIA	30
VII.	TRAGEDIA (CIĄG DALSZY)	33
VIII.	KRADZIEŻE I SKRUCHY	37
IX.	ŚMIERĆ OJCA I MOJA PODWÓJNA HAŃBA	40
X.	NIECO O RELIGII	42
XI.	PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU DO ANGLII	47
XII.	WYKLĘTY	51
XIII.	NARESZCIE W LONDYNIE	53
XIV.	MÓJ WYBÓR	57
XV.	UDAJĘ ANGIELSKIEGO DŻENTELMENA	60
XVI.	ZMIANY	63
XVII.	MOJE DOŚWIADCZENIA Z ODŻYWIANIEM	66
XVIII.	NIEŚMIAŁOŚĆ JEST MOJĄ TARCZĄ	69
XIX.	RAK NIEPRAWOŚCI	73
XX.	ZAWIERAM ZNAJOMOŚĆ Z RELIGIAMI	77
XXI.	*NIRBAL KE BALA RAMA*	80
XXII.	NARAJAN HEMĆANDRA	82
XXIII.	WSZECHŚWIATOWA WYSTAWA	86
XXIV.	„NOMINACJA” – I CO DALEJ?	88
XXV.	MOJA BEZRADNOŚĆ	90
	CZĘŚĆ II	95
I.	RAJĆANDBHAI	97
II.	JAK ROZPOCZĄŁEM ŻYCIE	100

III.	PIERWSZA SPRAWA	103
IV.	PIERWSZY WSTRZĄS	107
V.	PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ	110
VI.	PRZYBYCIE DO NATALU	112
VII.	NIEKTÓRE Z MOICH DOŚWIADCZEŃ	116
VIII.	W DRODZE DO PRETORII	119
IX.	DALSZE CIĘŻKIE PRZEJŚCIA	123
X.	PIERWSZY DZIEŃ W PRETORII	128
XI.	SPOTKANIA Z CHRZEŚCIJANAMI	132
XII.	W POSZUKIWANIU KONTAKTÓW Z INDUSAMI	135
XIII.	CO TO ZNACZY BYĆ „KULISEM”?	138
XIV.	PRZYGOTOWANIA DO PROCESU	141
XV.	FERMENT RELIGIJNY	144
XVI.	CZŁOWIEK STRZELA — PAN BÓG KULE NOSI	148
XVII.	OSIEDLAM SIĘ W NATALU	150
XVIII.	„NIE DLA KOLOROWYCH”	154
XIX.	KONGRES INDYJSKI W NATALU	157
XX.	BALASUNDARAM	161
XXI.	TRZYFUNTOWY PODATEK	164
XXII.	STUDIA PORÓWNAWCZE NAD RELIGIAMI	167
XXIII.	PROWADZĘ WŁASNE GOSPODARSTWO	170
XXIV.	DO DOMU	173
XXV.	W INDIACH	175
XXVI.	DWIE NAMIĘTNOŚCI	179
XXVII.	WIEC W BOMBAJU	183
XXVIII.	PUNA I MADRAS	186
XXIX.	WRACAĆ NATYCHMIAST!	188
	CZĘŚĆ III	193
I.	POMRUKI BURZY	195
II.	BURZA	197
III.	PRÓBA	200
IV.	USPOKOJENIE PO BURZY	205
V.	WYCHOWANIE DZIECI	208

VI.	W DUCHU SŁUŻBY DLA INNYCH	210
VII.	*BRAHMAĆARJA* — I	213
VIII.	*BRAHMAĆARJA* — II	216
IX.	ŻYCIE W PROSTOCIE	220
X.	WOJNA Z BURAMI	222
XI.	REFORMA SANITARNA I POMOC PODCZAS GŁODU	225
XII.	POWRÓT DO INDII	227
XIII.	ZNÓW W INDIACH	230
XIV.	URZĘDNIK I OPIEKUN	233
XV.	NA KONGRESIE	235
XVI.	PRZYJĘCIE U LORDA CURZONA	237
XVII.	MIESIĄC Z GOKHALEM — I	238
XVIII.	MIESIĄC Z GOKHALEM — II	241
XIX.	MIESIĄC Z GOKHALEM — III	244
XX.	W BENARESIE	247
XXI.	CZY OSIEDLIĆ SIĘ W BOMBAJU?	251
XXII.	WIARA WYSTAWIONA NA PRÓBĘ	253
XXIII.	ZNÓW DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ	256
	CZĘŚĆ IV	259
I.	„STRACONE ZACHODY MIŁOŚCI"	261
II.	SAMOWŁADCY Z AZJI	263
III.	PRZEŁKNIĘTA OBELGA	265
IV.	OŻYWCZY DUCH POŚWIĘCENIA	267
V.	REZULTATY WEJRZENIA W SIEBIE	269
VI.	OFIARA NA RZECZ WEGETARIANIZMU	272
VII.	LECZENIE WODĄ I ZIEMIĄ	274
VIII.	OSTRZEŻENIE	276
IX.	POTYCZKI Z WŁADZAMI	279
X.	ZBOŻNE WSPOMNIENIE I POKUTA	281
XI.	BLISKIE KONTAKTY Z EUROPEJCZYKAMI	284
XII.	KONTAKTY EUROPEJSKIE (DALSZY CIĄG)	287
XIII.	„INDIAN OPINION"	289
XIV.	„REZERWATY" DLA KULISÓW CZY GETTA?	292

XV.	DŻUMA – I	294
XVI.	DŻUMA – II	297
XVII.	„REZERWAT" W PŁOMIENIACH	299
XVIII.	CZAROWNY UROK KSIĄŻKI	301
XIX.	OSADA PHOENIX	304
XX.	PIERWSZA NOC	306
XXI.	POLAK WPRZĘGA SIĘ DO PRACY	308
XXII.	NAD KIM CZUWA BÓG	310
XXIII.	RZUT OKA NA ŻYCIE RODZINNE	314
XXIV.	REBELIA ZULUSÓW	316
XXV.	WEWNĘTRZNY NIEPOKÓJ	319
XXVI.	NARODZINY SATJAGRAHY	322
XXVII.	NIECO WIĘCEJ PRÓB W DZIEDZINIE ODŻYWIANIA SIĘ	323
XXVIII.	ODWAGA KASTURBAI	325
XXIX.	DOMOWA SATJAGRAHA	329
XXX.	DROGA KU POWŚCIĄGLIWOŚCI	331
XXXI.	POST	333
XXXII.	DYREKTOR SZKOŁY	336
XXXIII.	WPAJANIE OGÓLNYCH WIADOMOŚCI	339
XXXIV.	SZKOLENIE DUCHOWE	341
XXXV.	CHWASTY	343
XXXVI.	POST JAKO POKUTA	344
XXXVII.	NA SPOTKANIE Z GOKHALEM	347
XXXVIII.	MÓJ UDZIAŁ W WOJNIE	349
XXXIX.	ZAGADNIENIE MORALNE	351
XL.	SATJAGRAHA W MINIATURZE	353
XLI.	MIŁOSIERDZIE GOKHALEGO	357
XLII.	LECZENIE ZAPALENIA OPŁUCNEJ	359
XLIII.	POWRÓT DO DOMU	361
XLIV.	KILKA UWAG NA TEMAT ADWOKATURY	363
XLV.	CZY TO BYŁ NIEROZWAŻNY KROK?	365
XLVI.	KLIENCI STAJĄ SIĘ WSPÓŁPRACOWNIKAMI	367
XLVII.	JAK URATOWAŁEM PEWNEGO KLIENTA	369

	CZĘŚĆ V	373
I.	PIERWSZE DOŚWIADCZENIA	375
II.	Z GOKHALEM W PUNIE	377
III.	CZY TO BYŁA GROŹBA?	379
IV.	SANTINIKETAN	382
V.	NIEDOLE PASAŻERÓW TRZECIEJ KLASY	385
VI.	CZY WSTĄPIĆ DO STOWARZYSZENIA	387
VII.	KUMBHA MELA	389
VIII.	LAKSZMAN DŹHULA	393
IX.	ZAŁOŻENIE AŚRAMU	396
X.	POMIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM	398
XI.	ZNIESIENIE SYSTEMU KONTRAKTOWEJ EMIGRACJI	401
XII.	PLAMA Z INDYGO	405
XIII.	SZLACHETNI RODACY Z BIHARU	408
XIV.	OKO W OKO Z AHIMSĄ	411
XV.	SPRAWA ZOSTAJE UMORZONA	414
XVI.	METODY PRACY	417
XVII.	TOWARZYSZE	419
XVIII.	BADAM ŻYCIE WSI	421
XIX.	GDY GUBERNATOR JEST DOBRY	423
XX.	KONTAKTY Z ROBOTNIKAMI	425
XXI.	POBIEŻNY RZUT OKA NA AŚRAM	427
XXII.	GŁODÓWKA	429
XXIII.	AKCJA SATJAGRAHA W KHEDZIE	433
XXIV.	„ZŁODZIEJ CEBULI”	435
XXV.	KONIEC AKCJI SATJAGRAHA W KHEDZIE	437
XXVI.	DĄŻENIE DO ZJEDNOCZENIA	439
XXVII.	AKCJA WERBUNKOWA	442
XXVIII.	NA PROGU ŚMIERCI	449
XXIX.	USTAWY ROWLATTA I MOJA ROZTERKA	453
XXX.	WSPANIAŁE WIDOWISKO	456
XXXI.	NIEZAPOMNIANY TYDZIEŃ — I	459
XXXII.	NIEZAPOMNIANY TYDZIEŃ — II	464
XXXIII.	POMYŁKA HIMALAJSKA	467

XXXIV.	„NAVAJIVAN" I „YOUNG INDIA"	469
XXXV.	W PENDŹABIE	472
XXXVI.	KALIFAT I SPRAWA OCHRONY KRÓW	475
XXXVII.	KONGRES W AMRITSARZE	480
XXXVIII.	MÓJ DEBIUT W KONGRESIE	483
XXXIX.	NARODZINY *KHADI*	485
XL.	NARESZCIE ZNALEZIONY	488
XLI.	POUCZAJĄCY DIALOG	490
XLII.	FALA PRZYBIERA!	493
XLIII.	W NAGPURZE	497
	POŻEGNANIE	499

Zakupiono w NEXTO: 2479245